

Miejska Biblioteka Publiczna
w Dąbrowie Górniczej



105 0 0000007 1

110. Redm

CHRYSTYANIZM

i

CZASY OBECNE.

164

APPROBATUR.

Varsaviae, d. 29 Novembris (11 Decembris) 1893 а.

Judex Surrogatus,
Canonicus Metropolitanus

R. Filochowski.

pro Secretario

J. Podbielski.

№ 4912.

ОДОБРЕНО.

Варшава, 29 Ноября 1893 года.

Судья Суррогатъ Варш. Р.-К. Духовной Консист.,
Каноникъ Митрополитальнаго Капитула

Кс. Р. Филоховски.

за Секретаря

Кс. Подбильскій.

Ks. E. Bougaud.

CHRYSTYANIZM

i

CZASY OBECNE

Tłómaczenie z francuskiego

wydane staraniem Księdza P. SKOLIMOWSKIEGO.

**Miejska Biblioteka dla Wszystkich
im. H. Kollataja
w Dąbrowie Górniczej**

„Mając obietnicę żywota, który
teraz jest, i przyszłego.“

(I Tim., IV, 8).

I.

Wiara i Niewiara.

WARSZAWA
GEBETHNER I WOLFF

1894



23/28 9.2

Дозволено Цензурою.

Варшава, 3 Августа 1893 года.

Przedmowa Autora.

Książka ta nie jest wcale dziełem okolicznościowym. Przygotowaną była ona oddawna, wydanie jej tylko zostało opóźnione wskutek bolesnych wypadków, jakie nas nawiedziły. Ukończyłem już był kilka jej części, gdy wystrzał działowy w Reichshoffen wytrącił mi pióro z ręki, zakrwawiając serce. Dopiero później, wśród niepokojów oblężenia Paryża i okropności Komuny, wziąłem się znowu do niej w tem przekonaniu, że pracując dla Boga, religii i dla dusz, przyczyniam się do dobra mojej ojczyzny.^o To też tom ten ze łzami wykończony. / Ogłaszam go teraz po przeczekaniu chwil pierwszych, ażeby ciężkie próby miały czas oświecić nas i wydać owoce. Skorzystasz z nauki tej, o Francyo! Przytłum gniew, stary zraniony twie; niechaj płynie krew z ran twoich, bo to krew zadosyćuczynienia. Teraz, o Francyo! kiedy tyle wycierpia-

Autora wyjechała polska

ł!ś, wznieść się moŹesz wyŹej, niŹ kiedykolwiek.
Nie zapominaJ tylko o tem, co najlepsi twoi
obywatele ujrzeli wobec groŹ!cej zagł!dy,
i dla uniknienia nadal takich wstrz!śnień weŹ
religię za podstawę odnowioneJ budowy spo-
łecznej.

Orlean,
24 marca 1874 r.



KSIEGA PIERWSZA.

Wiara i Niewiara.

„Mam wszelką nadzieję, że starając się ile mocy być doskonale uczciwym człowiekiem, zrozumiesz, iż pierwszym do tego warunkiem jest oddanie Bogu, co Mu się należy (co jest boskiego).“

Racine. List do syna.

PRZEDMOWA.

Chciałbym w tej pierwszej księdze zgłębić religię; nie religię objawioną, chrześcijaństwo, ale religię z punktu widzenia najogólniejszego. Stawię sobie za zadanie wykazać stopniowo wielką, najwyższą jej potrzebę, niezaprzeczoną i żywą prawdę, piękność cudowną, błogie owoce: ale na początku i przede wszystkim prawdziwą jej istotę — treść, bo od tego zależy wszystko.

Z całego zbiorowiska przesądów, zaciemniających dziś w duszach czyste pojęcie religii, najzgubniejszym, według mnie, po uważaniu jej za ludzki wymysł, jest owo ciasne i fałszywe zapatrywanie się, według którego religia ma być instytucją obcą człowiekowi, leżącą poza obrębem jego natury, dowolną i sztuczną, którą nam Bóg jako jarzmo i wędzidło narzucił.

Wielką i piękną jest ta rzecz, nosząca miano religii. Ma ona swe podstawy w najgłębszych zakątkach ludzkiej natury. Nie tylko była uczynioną dla niej, według niej odwzorowaną i utworzoną, że się tak wyrażę, na jej podobieństwo: wypływa w części z duszy ludzkiej, i nie przesadzę, mówiąc, że jeżeli pod niektórymi względami przewyższa religia naturę naszą, dowodząc tem, że nie cała od niej pochodzi, pod innymi znowu, a nawet i pod tamtymi, jest tylko urzeczywistnieniem tego wszystkiego, co w nas jest największem i najpiękniejszym. Dlatego to, chcąc poznać prawdziwą istotę religii, postawimy naprzód to pytanie: Jaka jest prawdziwa istota człowieka? Poza tem, wszystkie pojęcia religii są sztuczne i bez wartości.

Ale z drugiej strony ta religia, dlatego tylko tak piękna i skuteczna, że jest tak głęboko *ludzką*, cóż byłaby warta, gdyby nie była *boską*? A jeżeli rzecz tę wzniosłą Bóg uczynił, jakże można przypuścić, ażeby nie dał jej nic ze swego umysłu, serca, nic z prawdziwej natury swojej? Najmniejszy z nas nie tworzy nic bez współudziału swej duszy. A największymi czyż nie są ci, którzy ją całą w dzieło swe wlać potrafili? To też skoro poznamy

prawdziwą istotę człowieka, będziemy musieli zgłębiać prawdziwą istotę Boga. Wtedy z dwóch tych dobrze zrozumianych danych, sama przez się wypłynie prawdziwa, powszechna i wieczna religia. Ukaże się nam taką, jaką ją Bóg uczynił i jak ją zawsze rozumiała ludzkość, jako prawdziwy stosunek Boga i człowieka, wzajemny ich i naturalny związek.

A gdy przejrzymy dobrze jej istotę, wówczas pojmimy tajemnicę jej piękności moralnej, jej niezbędności, najwyższych i nieprzepartyh wpływów na życie prywatne i publiczne.

Następnie zaś poznamy i tajemnicę chrześcijaństwa. Na tym pniu bowiem, boskim zarazem i ludzkim, wiecznej, powszechnej i jedynej religii, wykwitnie w oczach naszych chrześcijaństwo, jako jej przyrodzony owoc, jej najwyższy kwiat, długo oczekiwany, pożądaný z upragnieniem.

Kto potrafił dokazać, że religia, instynkt przyrodzony człowieka, niezbita serca jego potrzeba, tak dziś jest zapoznaną i zaprzeczaną? Kto mógł doprowadzić Francję do tego stanu, którego dotąd nie widziano nigdzie i nigdy u pogan, ani u dzikich, w którym dwie trze-

cie płci męskiej zupełnie się już o Boga nie troszczą? Kto to mógł uczynić? Zobaczymy to w niniejszej książce. Będziemy wyszukiwali przyczyn tego, że tak powiemy, bolesnego dramatu niewiary w wieku XIX. Wypowiemy smutki jej i niedole. Szczególnie zaś będziemy zbijali rzekome jej powody. Przekonamy się, że święty ten związek Boga z człowiekiem jest naukowo możebny i historycznie pewny, będąc jednocześnie niezbędnym społeczeństwu; i że w nauce ani w filozofii, w ruchu przemysłowym, ani politycznym, ani nigdzie nic niema i nie będzie, coby mogło przeszkodzić połączeniu i zjednoczeniu Boga i człowieka, wzajem się pragnących, wzywających i kochających.

Po tem określeniu natury religii, wykazaniu jej naukowej możebności i niezbędności społecznej, po uczczeniu jej świętej rzeczywistości pozostaną nam do rozpatrywania jej skutki. Rozwiniemy obszerniej jeden z nich, dar właściwy samej tylko religii, uspokajania, pocieszania, chciałem prawie powiedzieć: zacyrowywania naszych cierpień, kołysania nas do śmierci, jak do snu, zapatrzonych w nieśmiertelność. Któż z nas dzisiaj nie potrzebuje tego? Któraż żona, która matka nie płacze

przy drogim grobie! Kto nie ma łez w oczach i w sercu!

Oto mniej więcej przedmiot i plan tej książki, przeznaczonej w całości do rozjaśnienia pojęcia religii. Był czas, kiedy zbywano śpieszenie tę pierwszą kwestyę religii w ogólności, żeby rychlej dojść do głównego zadania, do religii objawionej. Teraz już nie te czasy. Podstawy ziemi zostały zachwiane. Trzeba ich odszukiwać w gruzach, ażeby odnalazłszy umocnić takowe. W mnóstwie dusz tylko one istnieją, oparłszy się powszechniej ruinie, ale podkopane, chwiejne, zaledwie się trzymają.

Często podróżny w którym z miast nowożytnych, noszących ślady tylu przewrotów, napotyka gmach spustoszony. Wiek albo ręka ludzka podziurawiła sklepienia, pochyliła wieże, pobiła szyby, napół obaliła krzyże; a światło, przechodząc przez popękane mury, ruiny już tylko oświeca. Podróżny wstrzymuje się ze łzą w oku. Tylko głębokie podziemia zostały nienaruszone. Schodzi do nich, widzi filary, na które czas żadnego prawie nie miał wpływu. Dotyka ich wzruszony i pełen nadziei odchodzi, przewidując dzień, w którym na tych samych podstawach stanie znowu gmach w całej swej wspaniałej piękności i daw-

nej chwale. Tak piszący tę książkę uważał za swój obowiązek odszukać i umocnić w duszach podstawy wiary przed odbudowaniem na tych niezbędnych podwalinach wzniesłego gmachu chrześcijaństwa.



ROZDZIAŁ PIERWSZY.

O prawdziwej naturze człowieka.

Naprzód, jaką jest prawdziwa natura człowieka? Pascal stawiał to pytanie na początku swego wielkiego dzieła, i taką nań dawał odpowiedź:

Kiedy człowiek, mówił, przygląda się uważnie „przyrodzie w pełni jej majestatu,” owym milionom gwiazd ponad nami, „temu jaśniejącemu światłu, które jak wiekuista lampa oświeca ziemię;” tym burzącym się na niej i ryczącym oceanom; całej tej nareszcie ziemi, tak z pozoru obszernej, a która mimo to jest tylko „rysem niedostrzegalnym w wielkim obrazie przyrody;” a potem z tego wielkiego i wspaniałego widoku zwróci myśl na samego siebie, — może się słusznie czuć przygnębnym. Bo i czemże jest w tym ogromie? Cieniem tylko przemijającym. *Sicut nubes... quasi fluctus... velut umbra...*

Ale to tylko na pierwsze wejście. „Bo przecież, — ciągnie dalej z dumą Pascal, — ten świat przedziwny nie zna siebie, a człowiek go zna. Trzcina jest on tylko najslabszą w przyrodzie, ale ta trzcina myśli.” Z tego małego zakątka świata, gdzie jest prawie niewidocznym, przejrzał i przeliczył gwiazdy; związał dwie deski, za-

przegajając wichry do nich, i przepłynął na nich morze; zawładnął kulą ziemską, wykarczował ją, użyźnił, ozdobił; opasuje ją teraz żelazem, ażeby módz pośpieszniej przenosić się z miejsca na miejsce; a przyjdzie czas, kiedy i przebieganie w trzy dni niezmierzonej przestrzeni nie wystarczy już tej istocie, jak cień przemijającej..., *sicut nubes.., velut umbra.*

Ale co mówię? Nigdy mu ziemia nie wystarczała. Nawet przed niezrównanemi naszymi odkryciami za małą mu była. O pierwszym jego na nią dumnem i smutnem wejściu mówi księga Genezy: *Adae vero non inveniebatur adjutor similis ei.* „Adamowi nie znajdował się pomocnik podobny jemu” (Rozdz. II, 20).

A potem, gdy Bóg dał mu już towarzyszkę, do niego podobną, która miała zaludnić jego samotność i pocieszać go, ani w niej, ani w przyrodzie, w niczem stworzonym nie znalazł zaspokojenia swych pragnień i pełnego nasycenia duszy. Spójrzycie na szlachetną tę istotę, taką, jaka wyszła z ręki Boga, pełną zapału i niespokojną, czułą i smętną, dumną i wspaniałomyślną, czującą się być większą od wszystkich światów i pożądaną skrzydeł, ażeby gdzieindziej spocząć mogła. Spójrzycie na wszystkie władze umysłu jej i serca i powiedzcie, czy choć jedna ogranicza się do ziemi, czy choć jedna prostą i przyrodzoną swą dążnością nie unosi jej ponad wszystkie rzeczy stworzone, ponad wszystkie firmamenty i gwiazdy aż do Boga.

Oto jest prawdziwa natura duszy, dążenie, które ją przeważnie stanowi. Ale nie trzeba mierzyć tak wysoko. Dążenie to trzeba stwierdzić z naukowego punktu zapatrywania się, usunąć z przed niego wszystkie wątpliwości; bo jeśliby to czasem marzenie tylko było, to cóż po

religii? Byłaby ona też urojeniem. Jeżeli zaś przeciwnie, marzenie to jest rzeczywistością, prawdą, jeżeli treścią całą duszy jest dążenie do nieskończoności, to posiadamy już pierwszy składowy pierwiastek religii. Wejdźmy w szczegóły bliższe, a ujrzymy cośkolwiek prawdziwej jej natury.

I.

Weźmy naprzód wszystkie władze człowieka i zbadajmy ich przyrodzoną, prawdziwą dążność. Zaczniemy od rozumu.

Rozum jest to zdolność poznawania. Cechą jego jest niewypowiedziana potrzeba widzenia i wiedzy, pragnienie niedorzeczne czy szczytne nieskończonego światła. Nie było mnie wczoraj, nie będę jutro. Iskierkę tylko rozumu posiadam. Zdawałoby się, że najmniejszy zakątek nieba, gwiazdka, kwiat jeden powinny mu wystarczyć i wyczerpać go. Tymczasem tak nie jest. Chcę wszystko wiedzieć, wszystko przeniknąć; umysł mój ogarnia wszystkie czasy, miejsca, przestwory, wszystkie stworzone rzeczy; i jak ten poeta, wołający przed zgonem: „Światła, światła więcej!” — po przejrzeniu wszystkich kart księgi, po dotarciu do dna wszystkich nauk, mówię chciwy i nienasycony: Cóż dalej? Oto umysł człowieka! Każcie mu wstrzymać się przed osiągnięciem nieskończoności,—unicestwicie go. A raczej, jeżeli dojdę kiedykolwiek do nieskończoności, czuję, że się nie zatrzymam, że zawsze będę postępował naprzód, że nigdy nie nastanie chwila, w której powiem: „Dosyć już widziałem; złóż swe skrzydła, duchu mój; odpocznijmy.” Nie, chwila taka nigdy nie przyjdzie. Podobnie, jak te wielkie okręty,

wypływające na morze z rzek, gdzie ciasne brzegi tamowałyby im swobodę ruchów, jak gdyby rozszerzyły się, rozwijają wszystkie żagle i przyspieszają szybkości, tak duch mój, wchodząc do nieskończoności z niezupełnego i ciasnego widnokręgu, nową, czuję to, rozpocznie drogę. A droga ta będzie mu zarazem odpoczynkiem, radością i chwałą, jedynym środkiem zaspokojenia niezmiernego pragnienia prawdy, dręczącego go na ziemi, które się w niebie jeszcze powiększy, ale go dręczyć już nie będzie, bo jednocześnie ciągle będzie odnawiane i zaspokajane bezustanku.

Nieskończoność zatem jest koniecznym celem dążenia ludzkiego umysłu, jakby oceanem, w którym on dopiero w całej pełni żagle rozwinać może. Ale to nie wszystko. „Jakże wielkim — powiada Fenélon, — jest umysł człowieka! Zasoby jego muszą go samego zadziwiać i przewyższać jego oczekiwania. Pojęcia jego są powszechne, wieczne i niewzruszone.” W istocie, zbierzcie całą uwagę w chwili, gdy się przedmiot jaki oczom waszym przedstawi, i śledźcie czynność waszego umysłu.

Widzę przedmiot, porównywan go z innymi przedmiotami, wydaję o nim zdanie. Na ten cel mam w sobie pojęcia ogólne, powszechne, niezmiennie stałe, które nazywam zasadami. Skąd mam te zasady? Czy z przedmiotów, które widzę? Bynajmniej, gdyż nie tylko są rozciąglejsze, aniżeli ten lub ów przedmiot, ale sięgają poza zakres wszystkich istot i przedmiotów. Są one wieczne, niewzruszone i niezbędne, podczas gdy cała natura jest skończoną i zmienną (contingente). Skądże je więc posiadam, skoro nie od przedmiotów? gdzie są one? gdzie przebywają? We mnie? Tak zapewne, ale nie pochodzą ze mnie, albowiem mną samym rządzą. Czuję, że

są wyższe ode mnie. Zamiast módz kierować tym sądem, jestem owszem zależny od niego; jemu poddane są wszystkie moje myśli. Gdy się mylę, on nie schodzi za mną z drogi; gdy spostrzegę błąd, nie on potrzebuje wracać do celu; owszem, nie myląc się nigdy, prostuje mnie i nawraca: jeden jest mną, drugi nade mną. Jeden—mój własny, niedoskonały, błędny, niepewny, zmienny, chwiejny, uparty i ograniczony; drugi—doskonały, wieczny, niewzruszony, niewyczerpany i niepodzielny, chociaż wszystkim się udziela. Ten wniosek wyprowadził i Fenélon, wołał więc zwracając się do tego wyższego rozumu: „Gdzież jest ten doskonały rozum, tak mnie bliski, a tak różny ode mnie? Gdzie jest? Musi on być czemś rzeczywistym. Gdzież jest ten rozum nadludzki? Czy nie jest to Bóg, którego szukam? ¹⁾” Zapewne, jest to Bóg, którego szuka ludzkość. Nie mogę zatem być umysłowo czynnym, bez zetknięcia się mego rozumu z Bogiem. A więc mój rozum jest złączonym z wiecznością i jakby głęboko w niej ugruntowanym (w nią wrosłym). To mówi i Platon: „Umysł ludzki korzeniem swym tkwi w nieskończoności.”

Bossuet wyklada tę samą myśl w świetniejszy sposób, z wymową, nadającą przedmiotowi ruch i życie. Bierze kilka najprostszych pewników: że całość jest większą od części, że prosta linia jest drogą najkrótszą między dwoma punktami. Pewniki te widzi zarazem w rzeczach i umysłach. Ale, powiada, przypuśćmy, że zginą wszystkie rzeczy, że unicestwione będą umysły,—czy pewniki te

¹⁾ Fenélon, *Traité de l'existence de Dieu*, I-re part., ch. LII, LX.

zginą? Czyż nie przetrwają zagłady wszystkiego? Gdzież więc są, jeżeli nie w Tym, który przestać istnieć nie może? A skąd ja je mam, jeżeli nie przez rzeczywistą, żywą, nieustanną łączność z wiekuistą Istotą, w której istnieją ¹⁾?

Tak więc umysł ludzki, czy to dręczony żądzą wiedzy przebiega rzeczy stworzone i nie nasyciwszy się niemi, o nieskończoność potraça, czy też zatrzymuje się nad jakimś przedmiotem i do osądzenia go potrzebuje u wiekuistego rozumu zapożyczyć jego niewzruszonych pewników,—zawsze porusza się w nieskończoności. Nieskończoność jest dla niego zarazem morzem, na którym się rozwija, i gruntem, noszącym go. I dlatego dwa tylko są rodzaje wielkich umysłów: jedne skrzydlate, jak Platona, jednym rzutem przebiegające wszystkie stworzone rzeczy, unoszące się bez względu na żadne granice ruchem swoim w nieskończoność; drugie spokojniejsze i zimniejsze, jak Arystotelesa na przykład, same zaledwie się poruszając, patrząc na przechodzące przed sobą stworzone rzeczy, wydają sąd o nich, orzekają z przedziwną jasnością o ich stosunkach, zgodności, różnicy, bo ciasny ich, ograniczony i zmienny rozum wspomagany jest i ożywiony bezustanku przez mądrość wiekuistą. Albo raczej różnica umysłów leży tylko w ich rozmaitym sposobie działania. Jedne i drugie są wielkimi dlatego tylko, że potężniej od innych w nieskończoności szybują.

To też uważcie, że nawet w słowie ludzkim jest nieskończoność. Mowa jego podwójna jest tak, jak rozum:

¹⁾ Bossuet, *Traité de la connaissance de Dieu et de soi-même*, ch. IV, § 5. Patrz także jego *Logique*, liv. I, ch. XXXVI i XXXVII.

jedna dokładna, ale zimna, ograniczona, ciasna; druga niezmierna, wieczna, nieskończona. Ach, znam ja cierpienia pisarza, mówcy! Często bierze go ochota złamać niewierne narzędzie swej myśli i zawołać z poetą: „Niestety! człowiek ma tylko słowa, słowa bez życia i skrzydeł, znikome echa nieśmiertelnej myśli!” Ale niech za pośpiesznie nie złorzeczy tej mowie, którą ma od Boga. Pod jej pozornem ubóstwem, pod tak czasem ciasnemi formami jest nieskończoność. W tem to leży niewymowny urok wielkich pisarzów. Każą myśleć, marzyć. Mówią wiele, więcej jednak dają do myślenia. Coś głębokiego i prawie ciemnego w największej jasności, coś ukrytego i niewidzialnego, przenikającego mimo to jak ostrze, coś niewyrażonego i nieodpowiedzianego, co budzi w nas tysiące oddźwięków; coś nieokreślonego a jasnego cechuje wielkiego pisarza. Czuje się myśl, która nie jest i nie może być cała w słowach, gdyż z za wysoka na to pochodzi i jest za obszerną; którą zapełnia i przepełnia słowa; którą się jeszcze więcej odczuwa niż widzi. Mowa to podwójnie godna uwielbienia, pełna jasnych błyskawic i tajemniczych głębi, pogodnego światła i ukrytego żaru; cudownie nadająca się dla dusz, które Bóg ze skończoności i nieskończoności ulepił, które potrzebują jasno widzieć, ale lubią też przewidywać, przeczuwać i szczególniejsze są czasem przewidując, niżli widząc.

Takim więc jest umysł człowieka. Porusza się w nieskończoności. W tej tylko mierze, w jakiej w niej przebywa, posiada światło, piękność, siłę, wielkość, poezję, rozum nawet. Nie wyciągajmy jeszcze stąd żadnego wniosku i pomówmy w jego sercu.

Serce jest to zdolność kochania, i zdawałoby się, że ze wszystkich władz człowieka ta powinna być

najłatwiejszą do zaspokojenia. Skoro mnie, stworzeniu przemijającemu, dano tę słodką władzę kochania dla pocieszenia i upiększenia wygnania mojego, zdawałoby się, że dość mi otworzyć serce, ażeby je zaspokoić. A jednak, dziwna rzecz! nigdy mi się to nie udaje.

Nie wiem, kto me serce utworzył, ale uczyniłeś je w dziwny sposób, o nieznany budowniczy! Jaki zamiar miałeś, dając mu tę czułość, którą lada drobnostka wzrusza, i tę głębokość, której nic nie może zapełnić? Wszystko widziane zdala pociąga mię, zachwyca; podchodzę szczęśliwy, lecz skoro tylko zbliżę usta, skoro pić zaczęę, upuszczam czarę z wykrzykiem rozczarowania: „Tylko tyle! nic więcej!...” I tak schodzi mi smutne życie od kwiatu do kwiatu, od marzenia do marzenia; wszędzie szukam tego czegoś, czego pragnie moja dusza, coby jej do szczęścia wystarczyło, a znaleźć nie mogę nigdzie.

Pewna dama z wielkiego świata, której Bóg dał wszystko, co stanowi urok życia: wielkie imię, piękny majątek, męża godnego jej, prześliczne dziatki,—mówiła: „Jest coś we mnie, co nigdy nie było zadowolone.” Takie to serce ludzkie. Jest to szczególniejszego rodzaju otchłań. Rzucam w nią wszystkie radości. Otchłań drgnie i zamiast się zapełnić, rozszerza się jeszcze.

Młody, pełen wdzięku pisarz wołał niedawno: „Ach! któż wypowie niezmierzone cierpienia serc na ziemi i jak mowa miłości jest wieczną skargą! Słuchajcie wszystkich głosów ludzkiej duszy; jeżeli człowiek wspomina miłość, to na to, żeby skarżyć się i płakać. Im jest czystszy, tem bardziej się skarży; im wyżej wznosi się ponad poziom, tem cierpi więcej. Jeżeli kiedy niekiedy rozbrzmiewa hymnem radości i przerwie na chwilę

tę jednostajność, to święci on zachwyty godziny jednej i wnet ustępuje bezmiarowi pragnień. Nie będę serca człowieczego potępiał. Żałować go nawet nie będę. Powinno samo znać swoją wartość. Trzeba mu przytem oddać tę sprawiedliwość, że choć płacze, ranę swą miłuje i wstręt ma do uleczenia jej, przedstawiającego mu się w obojętności. Idź więc dalej, męczenniku wiekuisty! Ludzie nic dla cię nie mogą. Wołaj, pragnij, oczekuj, płacz i cierp, napełniając świat pieśnią umiłowanej swej boleści! Tylko pod warunkiem, że będziesz cierpiał, wielkim być możesz ¹⁾.”

Często człowiek, zrozpaczony ciągle ponawianą a zawsze tak próżną pogonią, upada na duchu. Gorzkie słowo Hioba wypływa mu z serca, szyderstwo wstępuje na wargi. Powiada stworzeniom: „Zostawcie mnie, złudzeniem tylko jesteście! Sam chcę pozostać.” Ale nigdy rozpacz nie jest okrutniejszą, ból dotkliwszym, próżnia głębszą i straszniejszą, niż wówczas. I słusznie. Czyż bowiem w egoizmie znalazłby to, czego dać nam nie może nawet miłość?

Takie są dzieje serca człowieka, gdy szuka szczęścia u stworzeń tylko. Na podobieństwo ptaka, umieszczonego pod dzwonem maszyny pneumatycznej, niepokoi się, miota, upada, cierpi i umiera, chyba, że łamiąc zapory, potrafi się wznieść w czystą i głęboką przestrzeń nieskończoności.

Nieskończoność! oto jeszcze więcej marzenie naszych serc, niżeli potrzeba umysłów; jej to szukamy w uczuciach naszych, ona to stanowi ich piękność,

¹⁾ Ks. Perreye, *Une Station à la Sorbonne*, p. 83.

a zarazem, niestety, nietrwałość ich i znikomość! Jakaż bowiem istota stworzona dać nam może nieskończoność? Napróżno Bóg nas obdarował słodką własnością, że ukochani są doskonałymi w naszych oczach; napróżno stroimy we wszystkie wymarzone uroki drogą istotę; zanadto wymagamy od stworzenia i przyrzekamy mu zanadto, więcej, niżeli ono i ja możemy dotrzymać. Stąd to, gdy boska zasłona opadnie, a wątle i niedoskonałe stworzenie ukaże się oczom naszym w rzeczywistej swej postaci, przeraża nas nasze złudzenie; cierpimy, czasem buntujemy się, aż dopóki, poznawszy lepiej ułomność rzeczy ludzkich, oświeceni i oczyszczeni, nie zwróciwszy się do nieskończonej miłości, ażeby w niej znaleźć dopełnienie naszych znikomych uczuć, które Bóg w łasce swojej w ten sposób dozwala nam rozwinąć i uwiecznić.

Kto wie, czy nie dla wynagrodzenia za bolesne zawody serca, albo raczej, któż nie przyzna, że to dla wspomżenia umysłu i serca człowieka w dążeniu do nieskończoności, dał nam Bóg, tę piękną władzę: wyobraźnię? Rozumiem pod tem ową potężną zdolność, której cechą główną jest wzruszenie nasze na widok piękna; która, gdy stracimy z oczu to piękno, jeszcze bardziej uroczo w myślach je naszych odtwarza, a skoro patrzymy na nie, uzupełnia je i przemienia; która zaciera jego granicę, słabości, niedoskonałości i wady, a wznosząc się pomału do piękna duchowego, w innem i wzruszającym świetle przedstawia nam wszystko stworzone. A to uwielbienie piękności bez zmazy, to czyste i gorące uczucie, które stworzyło poezję, malarstwo, rzeźbę, muzykę; ta wiara w ideał, czyli w coś doskonalszego, niż wszystko istniejące,—cóż to jest, jeżeli nie trzecie skrzydło, które Bóg dał barkom naszym, ażeby unosiło nas w nieskoń-

czoność! Bo gdzież jest na ziemi to idealne piękno, o jakim marzymy? Ani w jednostkach, ani w zbiorowisku. Pokażcie mi piękność: znajdę w każdej wady. Dajcie mi arcydzieło, a wymarzę większe. Wenus z Milo, wychodząc z ziemi, gasi Wenus Medycejską. Piękne Eleuzyńskie marmury na drugi plan usuwają Apollona Belwederskiego. Któż nie wie, że największe arcydzieła pendzla lub pióra są tylko cieniami wobec świetlanych obrazów, o jakich marzyli ich twórcy? Wirgiliusz chce spalić Eneidę; Apelles z gniewem rzuca pendzle. Tak zawsze bywa z geniuszami. Im jest większym, im bardziej się do ideału zbliża, tem się widzi dalszym od niego. Dlaczego? bo kres ideału jest w nieskończoności.

Te to uczucie tworzy piękność, wielkość, cierpienia prawdziwego poety, i stąd pochodzi wzruszenie, z jakim nań mimowoli spoglądamy. Widzi on piękności ziemi: ogarnia go zapal. Ale wkrótce bledną one; niejako zasłony rozsuwają się i podnoszą, ukazując piękność niecielesną. Spostrzega ją z zachwytem, chce odmalować, cień jej jakiś przynajmniej stara się odtworzyć: nie może, a jego bezowocne wysiłki, rozpacz, łzy, jasno pokazują, że piękno, jakie widzi, nieuchwytnem jest dlatego właśnie, że nieskończonem.

To samo, co mówię o poezyi, powiedzieć trzeba o wszystkich sztukach pięknych, o malarstwie, o rzeźbie nawet, nadewszystko zaś o muzyce. Wszystkie porywają duszę i w nieskończoność ją unoszą. Spójrzcie na te piękne Madonny Rafaela lub jego świętą Cecylię: czy te wejrzenia, twarze, uśmiechy, godność ta, czystość, te draperye, wdzięczne zarysy są z tej ziemi, i czyż czyste te i świetlane postacie nie wskazują niewidzialnego źródła piękna? Albo ten instrument muzyczny, którego

nawet nie potrzebuje dotykać Mozart ani Beethoven! Świeży, młody głos, kilka dźwięków wystarczają, aby mnie oczarować i ponieść w krainy harmonii wiekuistej.

Uczucie to tak dalece panuje w zakresie wszystkich sztuk pięknych, że nikt mu się nie oprze. Choćby kto się wychował w otoczeniu najgorszem, bez wiary, wzniosłości ani ideału, choćby się oddał na usługi najbrzydszego realizmu,—prędzej czy później ukaże mu się piękno nadziemskie i wyrwie mu za karę okrzyk uwielbienia. „Kto nie pamięta łez, które wylał Heine przed posągami Wenus z Milo, gdy po raz pierwszy spostrzegł, że potrzebuje się wesprzeć na czemś silniejszym i wyższym od siebie, gdy ta dusza artysty, ta natura tak głęboko estetyczna odczuła z goryczą niedostateczność sztuki, całej jego dotychczasowej religii, i zobaczyła upadek tego piękna ludzkiego, które jedynie otaczał czią gorącą ¹⁾.” Bo piękna ludzkiego niema. „Piękno, powiedział trafnie Kant, jest to odbłysek nieskończoności poprzez skończoność. To przeczucie Boga.”

Nie trzeba być nawet poetą, malarzem, muzykiem, by te rzeczy odczuwać; dosyć jest na to być człowiekiem. Któż nie poczuł kiedykolwiek, w czasie samotnej nad morzem przechadzki, jak dusza jego podniosła się do Boga?

Kto czasem wśród tych niewypowiedzianych rozmyślań nie doznał, jak do tego uwielbienia przyłączyła się melancholia i dusza zasmuciła się bez przyczyny? Dlaczegoż, duszo ma, spoglądasz ponad gór szczyty?

¹⁾ Alfred Tonnelé, *Fragments sur l'art et la philosophie*, p. 150.

Czego szukasz za morzami, za widnokręgiem? O co się pytasz chmur przechodzących, jesiennych wiatrów, obumierających liści drzew leśnych? Dlaczegoś jest smutna? Czego ci brakuje? Boga to, nieskończoności brak nam, a ów brak sprawia w naszych sercach ten smutek bez przyczyny, ale nie bez uroku. Szlachetny młodzieniec, przedwcześnie zgasły, ale już sławny, doznał tego wszystkiego i skreślił następujące słowa, w których maluje się cała uczuciowość młodzieńczego serca: „Piękność letniego wieczoru, spokój okolicy, podmuch ciepłego, wiosennego wiatru, boska czystość czoła Madonny, głowa grecka, wiersz, melodia: jaki ból sprawia mi wszystko! Im większem jest piękno chwilowo ujrzane, tem bardziej pozostawia duszę niezaspokojoną i pełną nieuchwytnego obrazu ¹⁾.” Doświadczył niemniej tego ów drugi młodzieniec, tak niestety upadły, ale tak wielki, który grzeszną piękność tylu swych utworów takimi okupił okrzykami:

„Pomimo woli nieskończoność mnie udręcza.”

I jeszcze:

„Na dnie próżnych rozkoszy, które wzywam na pomoc, znajduję taki niesmak, że czuję śmierć w sobie.”

Nakoniec:

„Cierpię”

„Wielka nadzieja ziemię przeniknęła,

„Mimowoli musimy w niebo podnieść oczy.”

Nieskończoność jest zatem celem, do którego dąży dusza tak na skrzydłach wyobraźni, jak i rozumu, drogą piękną, jak również prawdy i dobra. Nie obstaję przy tem ostatniem słowie, bo któż nie czuje, jak niemocni

¹⁾ Alfred Tonnelé, *Fragments sur l'art et la philosophie*.

jesteśmy do osiągnięcia dobra, o którym marzymy? Któż z nas, stworzonych dla cnoty, spragnionych sprawiedliwości, śmie świadczyć o sobie, że sprawiedliwym jest istotnie? Nosimy w sobie wszyscy ideał dobra, żyjący ideał, którego nic zmaćć nie może, żadna zbrodnia nie może przekupić, którego głos przez nas samych tylko słyszany, ciągle nam mówi, co jest dobre i święte. Ale czyż nie prawda, że nigdy nie urzeczywistniamy tego żywego i niewzruszonego ideału? Zawsze jesteśmy od niego dalecy, a podążając ku niemu widzimy, jak ciągle uchodzi od nas, oddala się coraz więcej, sprawiając nam przez to cierpienie, które świadczy najlepiej o naszej wielkości. De Maistre mówił: „Nie wiem, czym jest serce zbrodniarza; znam tylko serce uczciwego człowieka: okropne jest ono.” Cóż rzec o trwożliwym sercu dziewic, Bogu poświęconych! o zachwyconem, lecz tak pokornem sercu świętych! Dziwna otchłań sumienia! nigdy nie czuje się pustszą, niż wtedy, gdy wszystkie cnoty w sobie zgromadzi.

Żeby już zakończyć z tym przedmiotem, zwrócę waszą uwagę na jeden rys dziwny. Właśnie ponieważ wszystkie nasze władze zmierzają do nieskończoności, uczucia nasze przechodzą w uwielbienie. Jesteśmy zawsze skłonni czcić to, co kochamy i podziwiamy. Co mówimy wobec piękna, przed Madonną della Sedia, przed Przemienieniem? „To godne uwielbienia.” A jeszcze co? „Nie można mówić o nich, najmniejszego wydawać sądu inaczej, tylko na kolanach ¹⁾.” A kiedy ktoś zyskał sympatyę

¹⁾ Słowa p. Causin'a przed siedmiu kartonami Rafaela, w Londynie, w *British Museum*.

naszego serca, i mówimy mu: „Kocham cię,” trzeba czuwać nad chrześcijańskimi naszymi ustami, by im się nie wymknęło: „Uwielbiam cię.”

Teraz zapomnijmy o duszy, zwróćmy uwagę na ciało. Inne formy, inne dziwy, widok ten sam. Ta dusza, wdychająca do nieskończoności swoim rozumem, uczuciem, pragnieniem piękna, sumieniem, jest przykuta do ciężkiego, z ziemi ulepionego i po ziemi czołgającego się ciała. Zdawałoby się więc, że przynajmniej pod tym względem człowiek zawierać się i poruszać w skończoności powinien. Tymczasem nie z tego. Ciało moje umrze, pada już w kawały. Mam zaledwie lat czterdzieści, i jak ten król po dojściu do szczytu, z którego się już schodzi w dół życia, powiadam smutnie: „W połowicy dni moich pójdę do bram piekielnych (*Iz. XXXVIII. 10*). *In dimidio dierum meorum vadam ad portas inferi.*” Cóż powinienem czynić? Oswoić się z tą myślą, powiedzieć sobie: „Liście opadają, kwiaty więdną, płyną fale; wszystko umiera; słuszna, abym i ja umarł.” Tymczasem nie tak robię. Stawię śmierci czoło. Mówię jej: „Próżne twe usiłowania, o śmierci! nie będziesz mnie mieć całkowicie w swej mocy. Przejdę tylko przez twoje ciemności.” I z jedną nogą w grobie o nieśmiertelności marzę.

Stworzenie doczesne pogardza czasem; kwiat dnia jednego chce się uwiecznić nawet na ziemi. Jeden chce uwiecznić swe imię, inny swój ród; ta swoją piękność, ów swe szczęście, miłość swą wszyscy. Homer żyje w biedzie, nędzy, ślepotcie, pocieszając się tą myślą, że potomność wiersze jego powtarzać będzie. Napoleon z synem na ręku wychodzi na balkon Luwru i woła: „Przyszłość, przyszłość do mnie należy!” A któż nie wie, że i w zjed-

noczeniu miłości małżeńskiej zachwycone serce ma tylko jedno wołanie: „Zawsze! zawsze!”

A co jest dziwnem, że dla uwiecznienia się tego, poświęcamy teraźniejszość. Czuwamy, wyniszczamy się teraz; dlaczegoż to?—ażeby żyć w przyszłości. Co mówię! Znosimy w teraźniejszości oszczerstwa, pogardę, w nadziei, że potomność nas oceni sprawiedliwie. Potomność! cóż za myśl, jeżeli dziś mam umrzeć na zawsze! Wieczność! co za ironia, jeżeli falą tylko przemijającą jestem! ale jak silnie to dowodzi, że nawet znikomą i przemijającą częścią mej istoty garnę się ku nieskończoności!

Za każdym tedy krokiem, za każdym jakoby zapuszczeniem sondy w duszę, zarysowuje się wyraźniej przed nami jej prawdziwa istota. Wynurza się ona z toni czasu. Umysłem, sercem, wyobraźnią, sumieniem, całym swoim życiem kruszy wszystkie powłoki i w nieskończoność się unosi. Grecy znaleźli dla niej prawdziwe słowo. Nazwali ją dążeniem, aspiracją, *ἄσπυα*. Aspiracją do czego? do nieskończoności.

Wynika stąd wiele bardzo wniosków, szczególnie jeden, którego nie mam zamiaru rozwijać obszernie, pominać wszelako w milczeniu nie mogę. Dusza podąża do wieczności, zatem nie jest z czasu. Wznosi się w nieskończoność przez swoje smutki, bole, rozczarowania, przez radości swe, miłość; każde jej poruszenie ma kres w nieskończoności. Zatem nie jest z tego świata; jest czemś innem, niż podłym prochem ziemi; jest w niej tchnienie boże, duch, który z góry pochodzi i dlatego tak ku górze dąży. Mówicie, że nie widzieliście nigdy tego ducha, żeście go pod waszym skalpelem nie znaleźli! A ja was zapytam: Czy nie poczuliście go też nigdy?

Nie dostrzegliście go pod skalpelem waszym? A gdzieście go szukali? Czy w tej ciemnej izbie, w tym rozkładającym się trupie spodziewacie się znaleźć duszę? Niema jej już: odeszła, uleciała. O ślepi! została wam w ręku pusta klatka i dlatego zaprzeczacie istnieniu ptaka, słodkiego słowika, śpiewaka gajów! Ależ to szaleństwo! to jak te osoby, co przychodzą do mnie w odwiedziny, kiedy wiedzą, że mnie niema w domu.

Chcecie znaleźć duszę? nie pytajcie umarłych, pytajcie żywych. Połóżcie rękę na sercu, bijącym szlachetną miłością. Spójrzcie na Rafaela w chwili, gdy ma rzucać na płótno swoje Przemienienie, na Mozarta, pochylonego nad swym instrumentem i zatopionego w nieskończonej harmonii, a ujrzycie duszę żyjącą; nie będziecie już widzieli ciała, będziecie na nie patrzali z oburzeniem, jak na zaporę; i ze wzruszeniem, bez cienia wątpliwości, z pewnością powitacie w błysku oczu, na ustach, na promiennem czole tę rzecz szczytną — duszę! i zrozumiecie, że niema przestrzeni dosyć szerokich dla bezmiernego jej lotu. Potrzeba jej nieskończoności.

II.

Jeżeli słuszne są uwagi, któreśmy czytelnikowi przedstawili, a każdy to na sobie sprawdzić może, spostrzegliśmy już nieco prawdziwą naturę duszy; żeby ją atoli dobrze zrozumieć, bliżej jeszcze przypatrzeć się należy i zapytać się, jaką ma cechę to dążenie do nieskończoności. Czy jest to poryw nieokreślony i mglisty, coś niepewnego, chwiejnego? Może człowiek jest tylko uczuciową i poetyczną istotą, pożądaną wzlecieć wyobraźnią i miłością ponad świat materyalny? Czy nie

wyróżnia go jedynie to smutne i chwalebne cierpienie istoty większej, niż ziemia, obracającej się niespokojnie na za ciasnem dla siebie posłaniu i patrzącej w dal, czy tam co lepszego nie znajdzie? Piękneby to było, zapewne, i zawierałoby już w całości wniosek, który tu zaraz wyprowadzimy. Ale dążność, o której mówię, inny ma zupełnie charakter. Jest jasną, dokładną, praktyczną, jak sama natura człowieka. W tej nieskończoności, do której bezustanku dąży, widzi człowiek istotę żyjącą, odrębną, wielką bardzo i dobrą zarazem, i rzeczywistego z nią, stałego i wzajemnego stosunku, czynnego związku on pożąda.

Zwróćcie też, proszę, uwagę na dwa czyny, niezbędne do tego stosunku; są one szczególne, tak jednakże starożytne, powszechne, żywotne, tak duszy ludzkiej właściwe, że jak gdyby oddychanie jej i wydychanie stanowią.

Naprzód człowiek pragnie wznieść się do Boga i czuje się do tego zdolnym. Chociaż jest tylko atomem, niknącym w przestrzeniach wszechświata, wierzy, że Bóg słyszy głos jego i że, bez względu na dzielącą ich odległość, pewne wołania serca ludzkiego z pewnością muszą dojść do Niego. Wierzy w to mocno. Wiara ta jest dziwną, śmiesznie zarozumiałą, jeżeli chcecie; ale jest ona odwieczną, powszechną, niepożytą. Nic nigdy nie mogło wydrzeć jej człowiekowi.

A nie tylko chce on wznieść się do Boga i sądzi się być do tego zdolnym, ale, co dziwniejsza jeszcze może, pragnie, aby Bóg do niego zstąpił. I drugie to pragnienie ma za tak samo prawdopodobne, tak nawet pewne, jak pierwsze.

„Niechaj przyjdzie!” wołał Platon, a z nim cała starożytność pogańska.

„Obyś rozdarł niebiosą i zstąpił (Iz. LXIV, 1).
Utinam dirumperes coelos et descenderes!” wołał Izajasz
i z nim cała starożytność biblijna.

Skrusz to głębokie sklepienie,
Świat stworzony pokrywające,
Unieś zasłony nieba
I ukaż się, Boże, sprawiedliwy i dobry!

Takiem jest ogólne wołanie natury ludzkiej. A ponieważ każda głęboka potrzeba musi sobie koniecznie stworzyć powszechny i trwały objaw, co ujrzymy na całej powierzchni kuli ziemskiej, rozglądając się w wieku obecnym i wszystkich poprzedzających? Świątynie, ołtarze, modły, oczy wzniesione błagalnie i dziękczynnie złożone ręce.

Można starać się wytłómaczyć ten fakt, utrzymywać, że to jest złudzenie i szaleństwo, przypomnieć nadużycia jego i wszystkie fałsze, błahostki i potworności, jakie się do niego przymieszały; ale nie można zaprzeczyć, że wiara ta istnieje; że ta potrzeba stosunku z Bogiem jest zarazem wrodzoną i nieprzepartą, tak dawną, powszechną, tak wiekuiącą, że wchodzi w skład natury ludzkiej, tworząc podstawę jej i treść główną.

Bo skądże to znamy naturę ludzką, prawdziwe jej potrzeby, zasadnicze prawa?

Thiers zadaje to samo pytanie, mówiąc o własności. Słuchajmy odpowiedzi jego; wiele nam ona wyjaśni. „Prawa są to wzajemne stosunki rzeczy,” powiedział Montesquieu. Nie ubliżając wielkiemu temu umysłowi, powiem, że dokładniejby się wyraził, gdyby powiedział, że prawa to stałość rzeczy. Newton przypatruje się ciałom stałym. Widzi, jak jabłko spada z drzewa, według sposobu wyrażania się mieszkańców naszej planety.

Odnosząc zjawisko to do zjawiska przyciągania księżyca do ziemi, a ziemi do słońca, w pojedynczem i nie znaczącem wydarzeniu widzi fakt stały, ogólny i powiada: „Przyciąganie ciał stałych jest proporcjonalne do ich masy,” a zjawisku temu daje nazwę prawa ciężkości.

„Przypatruję się człowiekowi, porównywan go ze zwierzęciem; wierzę, że zamiast zamykania się w granicach potrzeb zwierzęcych, jak jedzenie, picie i t. d., przekracza je i oprócz zaspokajania tych potrzeb, wyższy daleko zakres działania posiada. Ma umysł przenikliwy i za pomocą jego uprawia ziemię, handluje, prowadzi wojnę, zawiera pokój, wznosi się do rządzenia krajami, a potem wyżej jeszcze — do poznania Boga. Gdy już uznałem w nim ten wysoki rozum, rozwijający się przez działanie, gdy ujrzałem, że powstrzymując ten rozwój, przynoszę człowiekowi utratę rozumu, poniżam go, unieszczęśliwiam i prawie czynię godnym tego nieszczęścia, wołam: Człowiek ma prawo być wolnym, bo dokładne badanie szlachetnej jego natury odkrywa mi to prawo, że istota myśląca wolną być powinna, tak, jak upadające jabłko odkryło Newtonowi, że ciała przyciągają się wzajemnie.

„Nie wierzę, żeby można było odkryć prawa w inny sposób, niż za pomocą zdrowej i głębokiej obserwacji istot. Gdy się dobrze ich stałe zachowanie się zbadało, przychodzi się do wywnioskowania prawa, jakiemu ulegają, i ujmuje się to prawo w formy i przepisy.”

Zastosowując tę samą zasadę do własności, wykazuje Thiers, że własność jest zjawiskiem ogólnem, stałym, powszechnem, wszystkich czasów i wszystkich krajów, że jest zatem potrzebą i prawem. Naturaliści, mówi on, widząc zwierzę, które buduje sobie mieszkanie, jak

bóbr, pszczoła, bez wahania orzekają, że są to zwierzęta budownicze. Czyż filozofowie, przyrodnicy ludzkiego rodzaju, nie mogą powiedzieć na takiej samej zasadzie, że własność jest prawem człowieka, że jest on utworzony dla własności, że ona jest jego rodzaju prawem?

Piękne są to zaiste i błogie w skutkach zasady. Zaklinam każdego poważnego człowieka, aby je do religii także zastosował i powiedział, czy owo dążenie do Boga, ta potrzeba czynnego z Nim stosunku, prawdziwego związku, nie jest zjawiskiem stałym, ogólnym, powszechnym, występującem w każdym czasie, miejscu i we wszystkich ludziach. Wszędzie widzę ludzkość, która wierzy w Boga, ma w Nim nadzieję, modli się do Niego, wznosi się ku Niemu na skrzydłach wiary, nadziei, dzięki Mu za pomoc składa.

Zauważcie też, proszę, że powszechne to i wiekuiście zjawisko nie ukrywa się w głębi ziemi, w łonie tajemnych stowarzyszeń, gdzieby mogło ująć uwagi i nie podlegać roztrząsaniu. Jest ono jawnem. Stanowi część chwały i wielkości narodów. Ci, którzy go znać nie chcą, ulecz mu czasem muszą, a ludzie nigdy się nie modlący widzą się niekiedy w konieczności przybrać pozory ludzi, którzy się jeszcze modlą.

Powiedziałem: nie modlący się nigdy; cofam to słowo, bo niema nikogo, ktoby się nigdy nie modlił. Niema młodzieńca, któryby w dniu, kiedy szlachetna miłość podniesie go, a czasem oczyści, nie wzniosł oczu w niebo z podzięką. Niema starca, któryby nie doznał potrzeby czci i nadziei, kiedy wiek pochyła mu już głowę, jak gdyby dla oswojenia z widokiem grobu. A ty, który masz się za wyższego nad tę słabość, jak możesz wie-

dzieć, czy Bóg niespodzianie nie zeszle na cię jednej z tych klęsk, które przed czasem głowę bielą? Pod wpływem boleści zawołasz pomimo woli: O, mój Boże! Dosyć na tem,—będzie to już modlitwą.

Tysiące wniosków ciśnie mi się jeszcze pod pióro. Ale powstrzymuję je, zadowalając się tym jednym: że dusza ludzka dąży do Boga i wznosi się ku Niemu porywem jasnym, określonym i pewnym; że pragnie stałego i rzeczywistego z Nim związku; i że jeżeli, badając naturę ludzką, ze stałego istnienia pewnych czynów dochodzę do wyprowadzenia prawa, rządzącego nimi, mogę także, z tego założenia wychodząc, powiedzieć: Dążenie do Boga, poryw ku Niemu, potrzeba wiary, modlitwy oddawania czci jest prawem rodzaju ludzkiego, tak samo słusznie, jak mówię: własność jest prawem.

Jeżeli zasady te dobre są dla dowiedzenia własności, dobre są i dla dowiedzenia religii. Jeżeli odrzucacie je w rzeczach religii, nie dziwcie się, że inni pod względem własności je odrzucają. Spójrzcie z bliska, ujrzyecie, iż religia, społeczeństwo, rodzina, własność na tych samych opierają się podstawach. Żadna z tych wysokich rzeczy nie jest znikomą, bo każda jest potrzebą i prawem ludzkiej natury.

Niektórzy nawet filozofowie, a raczej fizyologowie, dalej się pod względem religii posunęli. Zadali sobie pytanie, jaki mianowicie jest punkt, stanowiący istotną różnicę między człowiekiem a zwierzęciem; co jest tak właściwem człowiekowi, żeby się w każdym znajdowało, a nie było w żadnem zwierzęciu. Może ustrój ogólny, budowa i działalność organów? Nie, odpowiedzieli, bo anatomia i fizyologia od dawna wykazały zadziwiającą zgodność budowy ciała u człowieka i zwierząt ssących.

Czy władze umysłowe? Ależ zaprzeczyć nie można, że pomimo niezmiernej różnicy umysłowego rozwoju między człowiekiem a zwierzęciem, to ostatecznie, oprócz instynktu, czuje, chce, pamięta, rozumuje, i że czasem nawet dokładność i pewność jego sądów mają w sobie coś cudownego, czego w wielu razach niepodobna przypisywać ślepej jakiejś sile. Zatem władze serca? Jeszcze mniej, gdyż zwierzę kocha, nienawidzi, mści się, odczuwa wdzięczność, ginie za swego pana i za swoje potomstwo. Gdzież więc jest to *sanctius his* Owidyusza, to coś zupełnie zwierzęciu obcego, co stanowi odrębną cechę człowieka? Uczeni ci odpowiadają: Zasadniczo człowieka od zwierzęcia odróżnia *religijność*, władza religijna; innemi słowy: poryw ku Bogu, dążenie do Boga.

To mówią fizyologowie. I musi ta aspiracya ku Bogu, potrzeba z Bogiem stosunku zasadniczo leżeć w naturze ludzkiej, skoro znakomici uczeni, ludzie oświadczający, że „nie chcą być metafizykami ani filozofami, tylko po prostu przyrodnikami,” posuwają się aż do uznania jej nie tylko za główną, ale za jedyną cechę, jaka stanowi w oczach nauki wyższość naszą, panowanie człowieka ¹⁾.

III.

Jeszcze jedna uwaga przedstawi nam to wszystko w nowem i niemniej zadziwiającem świetle.

¹⁾ *Mémoire sur l'unité de l'espèce humaine* par M. de Quatrefages. Uczony ten pamiętnik jest doskonale oceniony w pięknej książce Nicolas'a: *l'Art de croire*, t. I, ch. II.

Owo dążenie duszy naszej do Boga przedstawia w nas dwie odrębne cechy: z jednej strony jest ono koniecznem, gdyż stanowi jeden ze składowych pierwiastków natury ludzkiej, jej zasadę główną; ale z drugiej strony jest swobodnem. Trudno bardzo wyrwać je z duszy, ale dziwne w niej przechodzi koleje. Wzrasta i zmniejsza się. W pewnych dniach błednie, w innych odżywa gasnący jego płomień, zmartwychpowstaje, i ciekawem jest wziąć pod ścisły rozbiór, poddać dokładnej obserwacyi to zjawisko wzrostu i zmniejszania się jego.

Wogóle wzrasta ono w cnocie, w występku się zmniejsza. Mówię: wogóle, gdyż jeśli i nie zawsze znika w występku, jeśli przetrwa czasem w sumieniu upadek dobra, co stanowi nowy dowód, że należy do najgłębszych podstaw ludzkiej natury,—z cnotą wzrasta niechybnie. Im jesteśmy szlachetniejsi, pokorniejsi, czystszy, tem żywszy poryw uczucia ku Bogu nas wznosi. Jeżeli nawet w życiu zmaconem spełnimy czyn cnotliwy, bezinteresowny, jeżeli poświęcimy siebie czyjemuś dobru, uczuwamy się natychmiast lepiej usposobionymi względem Boga i jakby podniesionymi bliżej do Niego.

Co jest nie mniej godnem uwagi, to że ta wiara w Boga, z cnotą wzrastająca, wzrasta również w miarę cierpienia. Wiecie, co sprawia boleść; rozwiewa wszystkie marzenia, wszystkie fałszywe błyski światła. Wszystko sztuczne ustępuje, znika pod jej surowem dotknięciem; wyprowadza nas ona ze złudzeń ku rzeczywistości. W tej to chwili najżywszym jest poryw ku Bogu. W szczęściu oddalamy się od Boga, powracamy do Niego w doświadczeniu. Załzawione oczy same przez się wznoszą się ku Bogu.

A kiedy wśród cierpienia zbliżamy się powoli do śmierci, któż nie wie, jak nagle i pocieszająco wzmagą się w nas myśli o Bogu? Czy widziano kiedy, żeby człowiek, który wierzył za życia, na łożu śmierci żałował i wyrzekał się swojej wiary? Wielu przeciwnie widzimy, którzy zwątpiwszy o wszystkim, odnajdują światło nad grobem, jak gdyby dusza w miarę wyzwalań się z więzów ciała i zbliżania do wieczności, odbierała stamtąd światło, ostatnie cienie rozpraszające; albo, jak gdyby Bóg, nasz Ojciec, pochylał się wtedy ku dzieciom swoim z większą jeszcze miłością i usilniej jeszcze starał się je zbawić. Owa reakcja tak jest silną w tej ostatniej godzinie, że ulega jej większość filozofów wieku XVIII: Boulanger, Condillac, Montesquieu, Fontenelle, Buffon; a ażeby zaś z innymi, Voltaire'm, Diderot'em tak nie było, potrzeba było uciec się do środków ostrożności i bronić ich od ich własnej *słabości*, strzegąc dostępu do ich łoża. A ponieważ w wieku XIX *słabość* ta wzrosła jeszcze, i człowiek więcej wyrzekając się Boga, pewniej ku Niemu powraca, powiększono środki ostrożności, potworzono związki dla strzeżenia łoża śmierci, rodzaj towarzystw ubezpieczeń od Boga. W opiekuńczych tych stowarzyszeniach wymagają od człowieka najstraszniejszych przysięg i przyrzekają mu energiczne poparcie, aby mu pomódz wytrwać w zobowiązaniu niewierzenia w nic. Daremne usiłowania! dręczona brakiem Boga dusza traci tu tylko możność publicznego do Niego powrotu. W tej albowiem chwili więcej jeszcze, aniżeli pod wpływem cierpienia pierzchają wszystkie ułudę, marzenia znikają; wszystko sztuczne, fałszywe ustępuje z duszy; w tej to godzinie wiara utwierdza się i wzrasta. Jakiegoż trzeba większego dowodu jej prawdy? Doty-

kamy wtedy niejako Boga. Nie trzeba już prawie wówczas weń wierzyć, widzimy Go; unosi się nad naszym łożem boleści; jasne światło nadziei pokazuje nam otwarte niebo, gdzie nas miłość czeka.

I nie tylko z cnotą, z cierpieniem, ze zbliżaniem się śmierci wzrasta w nas to dążenie ku Bogu; wzrasta także w miarę wielkości duszy. Jest ono zarazem koroną wielkich dusz, powolnych mu, męką—mu opornych, zawsze ich zaszczycem. Wznosi się w nich czasem aż do rodzaju świętego pragnienia, które bezspornie jest najwyższym szczytem wzruszającej piękności człowieka. Patrzcie na dusze wielkie czasów wszystkich, wszystkich krajów, dusze podniesione nad pospolity poziom przez wyższy umysł, potężniejszy rozum, żywszą wyobraźnię, głębsze i tkliwsze serce, i powiedzcie, czy choć jedna z nich nie nosiła w sobie potrzeby Boga, głodu, pragnienia Boga, i czy nie miała na czole albo świętych piętn tej chwalebnej męki, albo cudownego pokoju znalezionej prawdy i posiadania Boga.

Często, pod wpływem tych wzruszających myśli, zaczynam marzyć o wielkim obrazie, w rodzaju procesyi Flandrin'a na murach Św. Wincentego à Paulo. Tylko, gdybym był malarzem, większąbym ją uczynił; przedstawiłbym w niej wszystkie dusze, które na tym smutnym świecie spragnione były Boga.

Wybyście tam byli na czele, wszystkich wieków poeci, wzniosłe i piękne dusze, którzyście tak piękne mieli ku Bogu porywy! Zgromadziłbym was wokoło boskiego Homera, was wszystkich mistrza. Z jednej strony Orfeusz i wszyscy poeci orficzni, tak mało znani, tak boscy. Z drugiej Pindar i Eschylos, Eurypides i Sofokles, Wirgiliusz pobożny i tkliwy, a i ty także, Hora-

cyuszu, którego lekka lutnia tak jednakże często oddźwiękiem nieskończoności rozbrzmiewała! Uczylibyście świat, że dusze najpiękniejsze są i najreligijniejszymi, i że nawet w łonie pogaństwa wyższa poezja była zawsze wołaniem duszy do Boga.

Drugi chór prowadziłby Platon. On to powiedział: „Czegoż trzeba, ażeby zobaczyć Boga? Być niewinnym i umrzeć.” I to drugie słowo, jeszcze szczytniejsze, jeżeli to być może: „Filozofować—to uczyć się umrzeć.” Onby postępował na czele, czule podtrzymując Sokratesa, swego starego mistrza, wsparty na młodym swym przyjacielu, Arystotelesie, który pojmował Boga, jako wielki magnes dusz, magnes miłości. Za nimi widzieliby wszystkich wielkich filozofów: Pitagoresa, który milczeniem i postem przygotowywał się do lepszego zrozumienia harmonii światów; Cycerona, który wśród wątpliwości umysłu zachował tak żywe poczucie Bóstwa i poświęcił mu tak wspaniale piękną wymowę;—Senekę, którego życie byłoby wielkie, gdyby nauce jego odpowiadało;—wszyscy jednym poruszani uczuciem, wznoszący się ponad widome światy i wpatrzeni w nieskończoność. Chciałbym, ażeby w ugrupowaniu tej części można było jakim śmiałym rysem oddać to słowo Platona, streszczające całą jego filozofię: człowiek jest stworzony dla prawdy, ale trzeba, żeby Bóg przyszedł go jej nauczyć.

Nie zapomniałbym o was, w trzecim byłibyście rzędzie, tajemnicze dziewice, znane w starożytności pod nazwą Sybill. Miałybyście na oczach zasłonę, której nauka podnieść jeszcze nie potrafiła, w rękę zaś trzymałybyście te tak starannie na Kapitolu przechowywane księgi, wspominające ciągle o Bogu i o tym, który

miał nadejść. Poczerpnęłyście te boskie przecucia w waszych niewieścich i dziewiczych sercach, a może zebraliście je z ust ludzkości, będąc w ten sposób najpiękniejszym uosobieniem spragnionego Boga ludu.

Potem szedłby chór inny, piękniejszy jeszcze — chór patryarchów i proroków. Pierwsi wpatrzeni w niebo, ojczyznę daleką, wysyłający ku niemu żale i tęsknoty i wyznający, że przechodniami są na ziemi, wygnaniami zdala od Boga; drudzy ze świętymi harfami w rękach, z wyrazami czci, chwały, dziękczynienia i miłości na ustach.

A cóżby było, gdybym mógł przyłączyć do wszystkich tych przedstawicieli geniuszu religijnego starożytności wielkie dusze społeczeństwa chrześcijańskiego: męczenników, zamordowanych dla Boga, dziewice poświęcające Mu miłość całą ludzką, malarzy, rzeźbiarzy, architektów, wznoszących Mu świątynie wspaniałe, teologów, filozofów, mówców, muzyków i poetów, tak wzniosłe Go opiewających?

Ale nie dośćby było odmalować taki pochód; trzebaby mózgi ożywić te postacie, włożyć w ich usta mowę. Jakież to usłyszeliśmy pienia! jakie porywy ku prawdzie! jakie westchnienia do nadziemskiego bez zmayı piękna! Oto umysł ludzki w najwyższej potędze! serce w najbardziej wzruszającej wielkości! oto wyobraźnia z najpiękniejszymi swymi obrazami! oto na koniec człowiek, ze wszystkim, co ma najlepszego i najpiękniejszego! a umysł ten, wyobraźnia, serce jedno mają tylko wołanie: Bóg! Bóg!

A gdyby po odmalowaniu tego boskiego pochodu dusz wielkich, spragnionych Boga, wolno mi było, jak artystom XV wieku, umieścić godło pod obrazem moim,

nie obrałbym innego, tylko te słowa: Błogosławieni, którzy łakną i pragną sprawiedliwości, albowiem oni będą nasyceni (*św. Mat. V. 6*) *Beati qui esuriunt et sitiunt justitiam, quoniam et ipsi saturabuntur*. O tak, błogosławieni, którzy łaknęli i pragnęli prawdy, piękna, sprawiedliwości i miłości nieskończonej, bo jakżeby takie pragnienia zadowolone być nie miały?

ROZDZIAŁ DRUGI.

O prawdziwej naturze Boga.

Jakaż jest ta istota, do której wzdycha ludzkość cała? Czy jest to Bóg głuchy, Bóg niemy? Czy jest pozbawiony serca? Człowiek pragnie wznieść się do Boga, a Bóg czy się nie skłoni zejść do człowieka? Mniejszy stara się usilnie dosięgnąć większego; czyliż ten nie pochyli się trochę, ażeby umożliwić zerknięcie?

Oto jest pytanie. Dla rozstrzygnięcia jego usiłujmy zgłębić naturę Boga, jakieśmy prawdziwą człowieka naturę zbadali. Ta ostatnia streszcza się cała w gorącym ku Bogu dążeniu; zobaczmy, azali nie znajdziemy w tamtej rodzaju tkliwej przychylności do człowieka.

Kiedy człowiek w całej swej słabości dąży ku Bogu, kto wie, czy Bóg nie schodzi do człowieka całą wielkością swoją?

Piękne to i ważne zadanie, godne wyższego umysłu i które nas posunie o krok dalej w znajomość religii.

I.

A naprzód, co za cudowna zgodność, jaka głęboka i dziwna harmonia pomiędzy naturą ludzką i wyobrażeniem, jakie mam o boskiej naturze! Wszystko, czego pragnę, jest w Bogu. Pragnę prawdy — On jest prawdą. Pragnę piękna — On jest pięknem nadziemskim. Pragnę dobra — On jest najwyższem dobrem. Pragnę życia — On jest wiecznem, niewzruszonym, nieskończonym życiem.

On ma wszystko, czego mi braknie. W Nim jest wszystko, o czem moje serce marzy, czego oczekuje, spodziewa się, co przeczuwa. Każdemu memu brakowi odpowiada przymiot Jego boskiej istoty w tej samej mierze, w jakiej tego pragnę. Czyliż to przypadek tylko, że On to ma właśnie, czego ja szukam, a ja, który Go znam tak mało, instynktowo i nieprzeparcie tego, co On posiada, pożądam?

Powiedzą mi może, że pojęcie to Boga jest czystym wytworem mego umysłu, że złożyły się na nie wszystkie *desiderata* mej duszy; że pożądając prawdy, piękna, życia, nie znajdując nic z tego tu na ziemi w stopniu, w jakim ich pragnę, gdzieindziej ich poszukałem i, że łącząc tak wszystko, czego mi brakuje: dobro, piękno, prawdę, odejmując granice, dodając nieskończoność, utworzyłem to, co nazywam Bogiem. Zapewne, tak postępuję; ale co podobnemu rozumowaniu zarzucić można? Tak rozumują umysły największych filozofów. Pójdźmyż teraz ich śladem. Naprzód stawiam założenie: Istnieje, jest zatem Bóg. To już więcej, niż wywód rozumowy: to czysta intuicya. To też nie zdołano nigdy wydrzeć

ludzkości pierwszego tego ogniwa. Słucha ona rozpraw, już to w imię filozofii, już to nauki wokoło niej toczo-nych, a po skończeniu sporów, w tem samem świetle, w tejsze co wpierw pewności znowu powtarza: Istnieję, jest więc Bóg.

Ale czemuż ja jestem? Istotą niedoskonałą, ogra-niczoną, która przemija i znika. Jest więc istota nie-przemijająca, nieograniczona i doskonała. „Bo i cze-muż — powtarzam za Bossuet'em — miałaby istnieć nie-doskonałość, a doskonałości byćby nie miało?” To jest: „Dlaczego istniałoby to, co z nicości jest, a nie istniało to, co nic z nią nie ma wspólnego? ¹⁾” Patrzcie: chociaż tak jestem niedoskonały, tak ograniczony, pragnę czegoś większego i lepszego; większego, niż wszelka znana wiel-kość, lepszego nad wszelką dobroć stworzoną. Jest więc istota nad wszystką wielkość wyższa, nad wszystką do-broć dobra, to jest doskonała i nieskończona. Bo czyż nie szaleństwem byłoby przypuszczać, żeby ta tak piękna i niezwyciężona tęsknota, tło duszy ludzkiej stanowiąca, niczemu w rzeczywistości nie odpowiadała? Wszakże-by to było przyciąganie bez niczego, coby je wywierało, skutek bez przyczyny, dążności do niczego nie prowa-dzące? Pragnienie moje miałoby upadać w próżnię? miałoby nie znaleźć pożądanego przedmiotu?

Moje pożądanie prawdy, piękna, dobra, miłości, oszukaneby być miało? Najczystsze porywy mego umysłu gorzkiemby tylko były szyderstwem? To być nie może. Umysł, serce, sumienie, modlitwa, poezya, zapał, czystość, cierpienie, powiadają nam: Dążymy do nieskończoności, jest zatem nieskończoność.

¹⁾ Bossuet, *Elévations sur les mystères*, 1.

To jest widoczne, jasne, bez cienia możliwej wątpliwości. Ale Kartezjusz, który położył pierwsze ogniwa tego łańcucha, za wczesnie się zatrzymał w swoich wspaniałych wywodach. Jeżeli od niedoskonałej własnej istoty koniecznie, nieomylną intuicyą wznoszę się do istoty doskonałej, którą jest Bóg, powinienem też tą samą metodą od mojej natury, moich przymiotów, dojść do natury, do nieskończonej doskonałości Boga. Kartezjusz mówił: Istnieje, jest zatem Bóg. Idę dalej i mówię: Jestem rozumem, Bóg zatem jest rozumem. Jestem miłością, Bóg zatem jest miłością. Jestem siłą, więc Bóg jest siłą. I tak dalej, przypisuję Bogu wszystkie doskonałości, jakie są we mnie, po sprawdzeniu uprzedniem, czy są to rzeczywiście doskonałości. Bo jakżeby mogło być we mnie cokolwiek pięknego, doskonałego, coby nie było w Bogu? Dalej jeszcze idę. Odejmuję granice tym doskonałościom; powiększam je do nieskończoności i mówię: Bóg jest nieskończoną mądrością, miłością, życiem i pięknnością nieskończoną.

Tutaj też niema kwestyi spornej, bo skoro się raz wymówiło to wielkie słowo — nieskończoność, trzeba ją przyjąć ze wszelkimi jej doskonałościami.

Co jest nieskończonem pod jednym względem, granic pod innym mieć nie może. Przyznajecie istocie Bożej nieskończoność, a odmawiacie jej mądrości! W takim razie cóż to jest Bóg?

Ślepa siła, nieświadoma samej siebie; mniejsza w takim razie od człowieka, bo człowiek ją zna, a ona, przeciwnie, nie zna człowieka. Zezwalacie w Bogu na nieskończoną mądrość, a odmawiacie Mu swobody, miłości! Ale czyż to możebne? Czyż myśl, żyjąca, nieskończenie piękna, może istnieć bez swobody? Czyż nie

stwarza miłości? Czy nie wypływa z niej, jako matka jej i córka zarazem? Unicestwicie zatem Boga, gdyż bez miłości, wolności, bez piękności, byłby niższym od nas. Od takiej nieokreślonej siły, takiej ślepej sprężyny wyżsi jesteśmy niezaprzeczoną wyższością, ponieważ znamy, kochamy i chcemy, a ona ani zna, ani kocha, ani jest zdolną chcieć. Jest więc Bóg, a jest nieskończoną mądrością, nieskończonem pięknem, nieskończoną miłością, życiem nieskończonem; to jest posiada nieskończenie to wszystko, na czem mnie zbywa. Trawiony tęsknotą patrzę naokoło siebie, na ziemię, na stworzenia i nie znajduję nic z tego, czego się serce me tak stanowczo domaga. Patrzę na Boga i w Nim znajduję to wszystko, a znajduję w tym nieograniczonym, niewyczerpanym, nieskończonym stopniu, jakiego pragnęło zuchwałstwo mych marzeń. Raz jeszcze pytam: czy to tylko przypadek?

I czyż nie mam wierzyć, że posiadając to wszystko, na czem mi zbywa, nad czego brakiem cierpię, zdolnym On jest udzielić mi tego? Bo tutaj właśnie występuje i sama się nam narzuca potężna Kartezyusza metoda. Czyż wielkie serca, przepełnione miłością, nie tęsknią do wylania się? Czy wielkie, pełne światła duchy, nie usiłują promieni naokoło rozsyłać? Czy piękno ukazywać się nie lubi? Czy wylanie się na zewnątrz nie towarzyszy zawsze doskonałości? Jeżeli zaś tak się rzecz ma z tymi cieniami ziemskimi, które mianujemy światłem, życiem, miłością, cóż to będzie z nieskończonem światłem, nieskończoną pięknnością, wieczną miłością, z życiem nieskończonem? ową urną zawsze pełną, wylewającą się przez samo przepełnienie swoje, ale którą wspaniałomyślność łaskawie pochyla dla łatwiejszego wylania, udzielającą się przytem bez żalu, gdyż nigdy

się nie wyczerpuje? I dlatego to Święty Tomasz, ów wielki geniusz filozoficzny, nie wahał się określić Boga: Istota siebie wylewająca. Porzuć swe troski, duszo moja! jeśli się do Niego wznieść nie umiesz, może On znajdzie jaki sposób, żeby przyjść do ciebie. Wszystkim twym próżniom, ażeby je napęłnić, odpowiadają wszystkie wielkości Jego.

II.

Ale dajmy krok naprzód. Badając naturę Boga, nie tylko widzimy w Nim ocean piękna, dóbr wszelkich życia, nad miarę obfity i udzielać się pragnący; patrząc bliżej, widzimy, że udzielanie się to istotnie się odbywało. Dnia pewnego wyszedł Bóg ze swego spoczynku i rzucił w przestrzeń światy. A z jaką obfitością, wspaniałością, nie powiedzą tego nigdy ani poezya, ani nauka. A w innym dniu, gdy wszystko już było gotowe, stworzył człowieka; umieścił go na tej kuli, jak matka kładzie dziecko w przygotowaną dla niego kolebkę. Tak jest, stworzył mnie Ten, który ma to wszystko, na czem mi zbywa, który we wspaniałościach nieskończonej swej natury posiada wszystko, czego ja potrzebuję.

On jest moim ojcem. Druga to przyczyna, większa jeszcze i bardziej stanowcza, ażeby się ku mnie skłonił, nie tylko już przez wspaniałomyślność, ale przez dobroć.

Że Bóg stworzył człowieka, jest to rzeczą zupełnie pewną, o której wątpić nie mogę. Bo są tu tylko dwie możliwe hipotezy: albo przypuścić Boga stwórcy, co zapewne wielką jest tajemnicą; albo utrzymywać, że świat nie miał początku, że materya jest wieczną, co jest

niedorzecznością. To też nikt się tego nie odważa jasno wypowiedzieć. Obierają drogę wykrętów, i wszystkie pokuszenia zaprzeczania stworzeniu streszczają się w dwóch podstępnych i obłudnych systemach: własna wola generacyi i *przemiany gatunków*.

Nazywam je podstępnymi i obłudnymi; z pewnością nie w myśli ich twórców, ale w sobie samych. Zaraz się okaże, dlaczego tak je mianuję.

Kto mówi: „generacya nagła,” rozumie przez to istotę, która sama na świat przychodzi bez ojca ani matki, bez rodziców, bez pierwotnego nasienia.

Niektórzy uczeni utrzymują w istocie, że z danej czystej materji, w której niema zarodków ukrytych, zagrzebanych, niewidocznych, przez samo rozwinięcie właściwych naturze sił, może powstać szereg istot żyjących. Potem, po postawieniu tego mniemanego założenia, wyprowadzają z niego wniosek, że jeżeli mogły się tak bez poprzednich zarodków, bez nasienia pierwotnego urodzić istoty niższego ustroju, nic nie przeszkadza, ażeby i człowiek w ten sam sposób powstał.

Dnia pewnego, na pochyłości wzgórza, wystawionego na działanie silnych promieni słonecznych, pod silniejszym uderzeniem światła i ciepła, mogły się rozwinąć siły rodzajne natury i utworzyć człowieka. Człowiek ten urodził się przypuszczalnie w wieku dojrzałym, w pełni wzrostu, siły, inteligencyi, wszystkich władz swoich. Bo przypuście, że urodziłby się jako dziecko, tak, jak rodziły się wszyscy, ślepy, głuchy, potrzebujący objąć do noszenia go, piersi do karmienia; to gdyby powstało i tysiąc takich, w jednym wieku, tak samo słabych, czyż nie zginęliby z głodu, zimna lub od dzikich zwierząt? Przyszedł więc człowiek na świat w wieku

dojrzałym, trzydziestoletni, przypuśćmy, bez ojca, bez matki, bez działania ciepła słonecznego na ziemię, a ponieważ natura czuła, że ostygnie, że nie będzie mogła długo prowadzić chwalebnej tej czynności, wydając nagle człowieka, odrazu też utworzyła dla niego towarzyszkę; pod względem fizycznym, umysłowym i moralnym stworzyła jedno dla drugiego; skłaniała ich ku sobie, ażeby ich wzajemna miłość pozwoliła jej zaprzestać zbyt niepewnego dzieła doraźnej generacyi. I w istocie, od dnia, w którym ujrzeni się i pokochali mężczyzna i kobieta, ustało doraźne tworzenie ¹⁾. Oto jest ten system, i powiedzcie, czy to nie namiętność obywatela się bez Boga popycha człowieka do podobnych rojeń? Bo w końcu, jeżeli tajemnicą jest stworzenie człowieka przez Boga, kto zaprzeczy, że większą jeszcze jest stworzenie go przez materję? Ale któż nadewszystko nie zobaczy, że mniemane to tłómaczenie nic nie wyjaśnia? że zostaje zawsze pytanie: kto udzielił materji tej twórczej potęgi? że całym wynikiem tego systemu jest przypuszczenie stworzenia przez Boga w drugim stopniu, zamiast w pierwszym?

Tak jest; zamiast twierdzenia, że Bóg stworzył ziemię, a na niej potem człowieka, mówicie, że stworzył ziemię i nadał jej zdolność wydania go. Ta sama tu trudność, mniej tylko o jedną piękność, a więcej o jedno poniżenie.

¹⁾ „Co mi się w Strauss’ie niepodoba,—mówi Aleksander Humboldt,—to jego lekkomyślność, że się silniej nie wyrażę, w historyi naturalnej. Tak wyprowadza on bez trudności istoty organiczne z nieorganicznej materji; człowieka nawet wywodzi doraźnie z mułu chaldejskiego.”

List do Varnhagen’a.

Święty Augustyn, Święty Jan Chryzostom i wielu innych Ojców przypuszczali w swoim czasie pewne fakta doraźnej generacyi. Dowodzi to, że nie uważali oni za niemożliwe, aby Bóg, tworząc materję, dał jej siłę zdolną wydać życie organiczne. Ale ci wielcy ludzie wzdrygaliby się pomyśleć, żeby materya *sama przez się* mogła wydać te żyjątka, a szczególnie żeby z nagłego powstania wymoczka można było wyciągnąć wniosek nagłego powstania człowieka. Gdyby więc nawet dowiedziono prawdziwości pierwszego przypuszczenia, byłoby to w jednych szczytem bezbożnego zuchwalstwa, w drugich pobożną, lecz nieświadomą trwożliwością wyobrażać sobie, że pociągnęłoby to za sobą upadek duchowości i wiary w Boga stwórcy.

Ale zresztą system ten nie utrzymał się. Błyskawczy chwile, jak błędny ogień, skwapliwie przyjęty przez pół-światek nauki, rozwiązał się wobec najpoważniejszych doświadczeń. Wykazano, że natura własności twórczej żadnej nie posiada i że wszędzie, gdzie tylko zdołano uchwycić i zniszczyć niezliczone zarodki, wszędzie się znajdujące, natura okazała się zupełnie bezpłodną. Tego dowiedli: Pasteur ¹⁾, Flourens ²⁾, Longet ³⁾, Claude Bernard ⁴⁾, Liebig ⁵⁾, Ehren-

¹⁾ Pasteur, *Hétérogénie, ou Traité de la génération spontanée sur de nouvelles expériences.*

²⁾ Flourens, *Ontologie naturelle*, p. 84. *Cours de physiologie*, p. 40 — 47.

³⁾ Longet, *Traité complet de physiologie*, p. 206.

⁴⁾ Claude Bernard, *Rapport sur les progrès de la physiologie générale en France*, p. 114 i 217.

⁵⁾ Liebig, przytoczony w Ettinger'a *Apologie du christianisme*, t. I, p. 203.

berg ¹⁾, Aleksander Humboldt ²⁾, wreszcie Quatrefages ³⁾, który w tych słowach streszcza stan współczesnej nauki: „Doktrynę generacji nagłych uważamy za stanowczo odrzuconą.”

Nie trzeba więc dłużej myśleć o tem. Ale gdyby nawet, powtarzam, miało to jakąkolwiek podstawę, nie stanowiłoby pomimo to żadnego dowodu przeciw stworzeniu człowieka przez Boga, chyba gdyby chciano utrzymywać, że sama natura nadała sobie tę siłę twórczą.

W tym stanie rzeczy, gdy już hipoteza nagłej generacji jak mrzonka się rozwiała, angielski uczony, Darwin, wznowił walkę podaniem nowej hipotezy, więcej niż tamta rozwiniętej, zupełniejszej, obszerniejszej, świetniejszej także, przynajmniej w początkach, gdyż potem utonęła w otchłani najbrzydszego materjalizmu.

Według Darwina, miało z początku być niewiele typów pierwotnych, obdarzonych potężną siłą twórczą, dążnością do rozwijania się, do postępowania naprzód ku coraz wyższemu stanowi. Najpierw prosty minerał dąży do większego życia, zbliża się do rośliny, naśladuje ją, a po milionach wieków przekracza granicę i staje się rośliną. Roślina dąży do życia zwierzęcego, pragnie ruchu, instynktu i, również po wielu wiekach, przestępuje granicę i przechodzi w zwierzę. Zwierzę dąży wyżej, ku człowiekowi; zbliża się do niego przez powolną pracę stuleci; dostaje z czasem na wzór jego rąk, nóg prosto stojących, grzbietu wyprostowanego, twarzy patrzącej

¹⁾ Ehrenberg, *ibid.*

²⁾ Aleksander de Humboldt, *Lettre à Varnhagen.*

³⁾ Quatrefages, *Revue des Deux Mondes*, 1861, p. 157.

w górę; dąży więcej jeszcze ku takiej samej inteligencji, dosięga jej stopniowo, mała naprzód, potem z małej człowiek.

Jak stało się to przejście? Na to odpowiada Darwin w ten sposób: Między tymi początkującymi rodzajami, temi jednostkami, do życia i to życia wyższego dążącemi, wszczęła się koniecznie od początku walka. W walce tej musiały poginać gorzej uorganizowane, a same tylko doskonalsze organizmy przeżyły. Natura, walcząc w nich z tyłu i takimi trudnościami bytu, robiła rozpaczliwe wysiłki, ażeby zachować życie. Zastosowała organa do otoczenia. Zaostrzyła, udoskonaliła je wedle potrzeb. A po bilionach lat, po nieskończonych naoslep próbach, wszystko nieużyteczne lub szkodliwe odrzucając, badając i utrwalając z cudowną mądrością wszelkie ulepszenia, postępując od nich do ulepszeń coraz większych, doszła w końcu do niezmierzonych rezultatów, które dziś widzimy ¹⁾.

Takim jest ten system. Zajął on w historyi miejsce pod nazwą *transformizmu*, przemiany gatunków.

Pierwsze, co mam o nim do powiedzenia, to, że choćby i prawdziwą była owa hipoteza, nie więcej od pierwszej przyniosłaby swoim twórcom pociechy, jakoby się bez Boga obejść mogli. Bo, raz jeszcze, któż stworzył materję? któż stworzył te pierwotne typy? kto im dał tę postępową siłę, tę energię twórczą? Oddajmy sprawiedliwość Darwinowi — pierwsze jego słowo było: Bóg.

¹⁾ Powabną tę pracę natury, *wybierając* co pożyteczne, a wszystko inne odrzucając, nazwał Darwin *doborem naturalnym*.

Ale trzeba zaraz dodać, że wszyscy jego przyjaciele zaprotestowali: jedni delikatnie dali do zrozumienia, że mówiąc tak, nie był szczerym i dlatego tylko położył to słowo na czele swego dzieła, aby zbyt nie odstraszyć publiczności, z zamiarem usunięcia go później; drudzy dowodzili mu, że to imię Boga odejmowało całą oryginalność jego systemowi, że była to nawet sprzeczność, bo jeżeli się przypuszcza, że Stwórca utworzył typ jeden, zatem mógł tak samo wszystkie rodzaje utworzyć.

Dosyć, że Darwin uchylił głowy, i krótkie zdanie w wydaniu pierwszym, opiewające, że *typ pierwotny otrzymał życie od Stworzyciela*, z drugiego już wyrzucono. Ale w takim razie to samo powstaje pytanie: Skąd się wziął ten typ pierwotny, ta prosta komórka, ta istota najniższa, która była na początku, bez żadnej widomej przyczyny i z której wszystko bierze początek?

Dziwni to ludzie, którym tak trudno przypuścić nieskończoną doskonałość, a nieskończoną niedoskonałość tak łatwo!

System ów zresztą, do którego obalenia ten jeden wzgląd wystarczyłby, większe poniósł w rozbiórce kłeski. Rozbił się o cztery następujące trudności.

1) *Staość rodzajów od najdawniejszych czasów.* Ażeby wymyślony przez Darwina typ pierwotny mógł z biegiem czasu wytworzyć niezliczone i przeróżne gatunki, ziemię dziś zapełniające, trzeba by na to przypuścić w żyjących istotach nieograniczoną i nieskończoną zmienność. Tymczasem w rzeczywistości dzieje się przeciwnie. Czyniono najciekawsze poszukiwania w grobowcach i podziemnych świątyniach Egiptu. Znaleziono w nich mnóstwo mumii nie tylko ludzi, ale psów, kotów,

wołów, ibisów, a te zwierzęta, od tysięcy lat zabalsamowane, zupełnie są podobne do dzisiejszych. Ten sam wniosek wyprowadzono z najdokładniejszych badań paproci, mięczaków i płazów przedpotopowych. Szczególnie profesor Van Beneden, porównywając nietoperze z epoki mamutów z dzisiejszymi, najmniejszej nie znalazł między nimi różnicy. Wszystko więc dowodzi, że prawem istot żyjących jest stałość gatunków, nie zaś zmienność ich bez granic i końca. Pierwszy to fakt, zbijający ten system.

2) *Natychmiastowa lub bardzo rychła niepłodność, występująca przy krzyżowaniu ras zbliżonych.* W istocie, niedosyć jest przypuścić *nieograniczoną zmienność* kilku pierwotnych gatunków, ażeby wytłómaczyć pochodzenie od nich świata dzisiejszego: trzeba, aby były jeszcze obdarzone *nieograniczoną zdolnością krzyżowania się z pokrewnymi gatunkami.* Tymczasem niczemu więcej nie zaprzeczyły doświadczenia naukowe.

Zapewne, zmieniając warunki fizyczne lub organiczne, można zachwiać gatunkiem i sprawić w nim przemiany, znacznemi się z początku wydające. Ale te zбочenia świata roślinnego, a szczególnie zwierzęcego, podobne są do oscylacyi igły magnesowej, wracającej zawsze do swego pierwotnego kierunku. Jak tylko gatunek jest zachwiany, przestaje być płodnym. Dotyka go niemoc. Botanik Lindley mówi: „Niepłodność jest zwykłą chorobą uprawnych roślin.” Za pomocą sztuki otrzymujemy kwiaty podwójne lub pełne: róże, anemony, pierwiosniki, kamelie, chryzantemy—kwiaty prawdziwie zbyt liczne, bogate, wspaniałe, lecz niepłodne, na podobieństwo owych ogierów, które człowiek wytwarza, forsując naturę, ale których nie może rozpowszechnić.

Prawdziwie rodzajne i niewyczerpane są tylko rasy naturalne.

3) *Nieobecność żyjących lub kopalnych stopni pośrednich, których wymaga teoria.* Ponieważ, według teorii Darwina, dobór naturalny musi koniecznie działać bardzo powolnie, szeregiem prawie niedostrzeżonych modyfikacyi, zatem pomiędzy istotami dzisiejszemi a ich przodkami ginącymi w pomroce wieków musiały istnieć *formy przechodnie w bardzo wielkiej liczbie.* Gdzież one? Trzeba było przyznać, że dzisiaj nie istnieją. Wtedy utrzymywano, że są to gatunki *zaginione*, i niesłychane czyniono starania, ażeby je odnaleźć w wiekach kopalnych. Nie udało się to. Odkrycie kilku wygasłych gatunków jest niczem wobec ogromnych szczerb, które trzeba zapełnić, tak, że jeżeli dziś jest jaka dowiedziona prawda w geologii, to ta, iż wymagane przez ów system pośrednie formy nie istnieją.

Darwiniści musieli to przyznać. Dla wybawienia się z kłopotu nie znaleźli nic lepszego nad utrzymywanie, że świat jest wielkiem dziełem w kilku tomach, z których ostatni tylko jest w posiadaniu naszym, a brakujące formy pośrednie znajdują się w innych, dziś zaginionych. Ale to już nie należy do zakresu nauki; to jest fantazya.

4) *Niemożliwość wytłómaczenia przez dobór naturalny przemian, których dzisiaj żaden sztuczny dobór nie może sprowadzić.* Jak to! od sześciu tysięcy lat opanowujemy naturę i pomimo całego naszego rozumu nie potrafiliśmy ani razu zmusić jej do przeskoku od minerału do rośliny; od rośliny do zwierzęcia, od małpy nawet do człowieka, a natura sama, bez pomocy, miałaby to uczynić tysiące razy! To niedorzeczne. „Spróbujcież, —

powiada p. Vitet, — uczynić człowieka. Mówicie, że to kwestya czasu, niech i tak będzie; ale zawsze zaczniemy, niech widzą was działających; a choćbyście czynili to jak najdłużej, przez miliony wieków, nigdy z najrozumnniejszej choćby małpy nie uczynicie nawet najgłupszego człowieka!" ¹⁾

Hypoteza *przemiany gatunków* nie utrzymuje się zatem.

Z drugiej strony, doktryna *nagłej generacji* jest pozbawiona podstaw. Pozostaje więc, że człowiek był przez Boga stworzony. A jeżeli tak jest, to czyż nie czujecie, że taki czyn musiał koniecznie zostawić w sercu Boga skłonność do człowieka, uczucie dla niego?

Zresztą nie wszystko w tym systemie jest fałszywym.

Nigdy fałsz nie mógłby istnieć, gdyby u podstawy nie miał nieuznawanej prawdy. Złudzenie tutaj stąd pochodzi, że oba te systematy są to dwa najszczytniejsze prawa stworzenia, ale widziane przez krótkowidzów. Tak, była doraźna generacja, tylko, że pierwszy człowiek otrzymał życie nie od działania słońca na ziemię, ale od promieni miłości z serca Boga. Jest także prawo przemiany, albo raczej ciągłości gatunków, ale trzeba je rozumieć i nie zwracać przeciwko Wielkiemu Artyście jednej z najcudowniejszych piękności dzieła Jego. Przyjrzyjmy się wszystkiemu z bliska, w świetle współczesnej nauki. W nowym blasku czcigodne Boskie Oblicze.

¹⁾ Vitet, *Dé la Science et de la Foi*.

III.

Pięknem było, pełnem poezyi, wzniosłości i wielkości stworzenie świata, tak, jak nam je opisuje Mojżesz. Szczytnem było owo *fiat lux*. To przygotowanie ziemi z myślą o człowieku było dziełem nieskończonej miłości. Jak dobrym i wielkim ten Bóg, który się namyśla przed stworzeniem człowieka, ciało jego ulepia swemi boskimi rękoma i ze swego serca wydaje tchnienie miłości, mające go ożywić!

Jak się czuło, że po takim czynie będzie Bóg na wieki ku człowiekowi skłonionym! Mimo to, pomine owo opowiadanie, tak pełne wspaniałości i dobroci Boga, gdzie widzimy, jak On dobrowolnie z miłością zajmuje się swoim stworzeniem ¹⁾, i będę tylko zapytywał współczesnej nauki, najdokładniejszej i najbardziej poważnej.

Na początku, tak daleko, jak tylko może zasięgnąć nauka, cóż widzi? Ziemia obraca się w przestrzeni, jako skała pusta i rozżarzona. Powierzchnia jej znajduje się w stanie nieustannego gorzenia. Nic tam żyć nie może. Atmosfera jej, przepełniona elektrycznością i magnetyzmem, pełna jest świetnych zjawisk i burz potężnych. Otaczają ją gęste pary, które nie dopuszczają do niej przemian dnia i nocy. Oświeconą jest tylko swem własnem światłem. Gdyby ktoś widział ją w przestrzeni, zaliczyłby ją do gwiazd, same przez się świecących, które mają swe własne światło. Takim jest pierwszy wiek, pierwszy stan naszej kuli. Jak długo trwał? Nauka

¹⁾ Powrócimy do tej kwestyi w trzecim tomie naszej pracy, gdy będziemy mówili o stworzeniu ze stanowiska wiary.

nie odważa się tego wypowiedzieć. Wyrachowuje tylko, że kula tejże co ziemia objętości, do czerwoności rozgrzana i stygnąca w takich samych warunkach, potrzebowałaby kilku milionów lat, ażeby zejść do temperatury panującej obecnie na ziemi. Ale ogień ten uspokaja się. Zaczyna się powoli oziębianie. Woda w postaci pary, otaczająca ziemię gęstym obłokiem, spada skroplona na gorejącą kulę. W miarę zniżania się temperatury opada woda ta coraz obficie i otacza ziemię płynną powłoką, o której temperaturze i składzie możemy powziąć wyobrażenie ze źródeł naszych leczniczych. Tu i owdzie zpośród fal ukazują się wyniosłości, pierwsze wskazówki przyszłych lądów. Od czasu do czasu rozlegają się straszliwe łoskoty, i z łona tego oceanu występują łańcuchy gór, wznoszą się wyspy, zatoki się zarysowują, nareszcie ziemia ukazuje się i urządza.

A w miarę jak ona stygnie i osycha na powietrzu, a masy wód, zawieszone nad nią w przestrzeni, kończą opadać, ukazuje się słońce, księżyc, sąsiednie bratnie gwiazdy, siostrzane planety, wszystkie te wreszcie cuda, które prawdopodobnie już istniały, ale których dojrzeć przeszkadzała atmosfera, przepelniona parą i wodą.

Spójrzcie teraz na rozkład tego wszystkiego, na budowę i urządzenie ziemi. Niech to sobie będzie wszystko dziełem przypadku, sił ukrytych, które tutaj podniosły skorupę ziemi, owdzie zarysowały prześliczne zatoki, skały wyniosłe, tajemnicze doliny. Co za piękność! ile uroku! a jaka widoków rozmaitość, jaka szczególnie ich zgodność z poruszającemi moją duszę uczuciami radości, smutku, tęsknoty lub bólu! Zaprawdę,

wielkim jest mistrzem przypadek, i błogosławić go trzeba, że choć działając na ślepo, tak dobrze uczynił wszystko, co uczynił.

Ale oto coś, czego nie wytłómaczy nikt przez przypadek, ani przez elektryczność, ciepło lub magnetyzm.

Ziemia była nagą skałą, bryłą rozżarzoną, o temperaturze przenoszącej tysiąc stopni. A oto okrywa się liśćmi, kwiatami, owocami. Jest ogrodem najpiękniejszym. Gdzież były ziarna, nasiona?

Spytajcie nauki i spróbujcie mi ten fakt wyjaśnić. Tylko co nie było na ziemi roślin, ani ziarn, ani nasion żadnego rodzaju. Gdyby i były, uległyby spaleni. O tem nie można wątpić.

„Musiało tu koniecznie, — powiada Becquerel, — zajść wdanie się twórczej potęgi.” Trzeba było, aby porozsiewał te rośliny ktoś nad miarę, bosko potężny. Bo jakaż to rozmaitość i piękność! jaka świetność i co za wonie!

Oto róża łączy w sobie wszystko: zapach, kolor, kształt; byłaby ostatnim wyrazem świata roślinnego, gdyby miała jeszcze owoc. Lilia taka, wysmukła i czysta, fiołek, rozszerzający woń z ukrycia; wielki dąb o wspaniałym cieniu.

A dwie te rośliny, tak wątłe, delikatne, a tak wzniosłe: zboże i winorośl!

Stanowią one naczelny pokarm człowieka. A jak wszystkie te rośliny nadają się dla niego! Jedne żywią go, inne leczą; tamte znów ocieniają, orzeźwiają i cieszą wejrzenie. Są znów takie, które w swych wątłych kielichach zawierają siłę, mogącą go ożywić, rozweselić, dać mu moc, rozum. I wszystko to wychodzi

ze spalonej skały, na której jeszcze wczoraj żadne nasienie, żadne życie istnieć nie mogło. Raz jeszcze: któż to uczynił? Dla kogo chleb ten i wino? Po co te tak ożywione krajobrazy, rozległe widoki, te szczyty tak wyniosłe, te tajemnicze cienie, tyle rzeczy tak pięknych, wzruszających, tak odpowiednich dla naszej duszy, że wołamy czasem z poetą: „Przedmioty martwe, czyliż macie duszę, która wiąże się z naszą duszą i zmusza ją do miłości?”

Ale patrzmy w dalszym ciągu na tę ziemię, do niedawna masę gorejącą, rozżarzoną skałę, gdzie stąpić nie mogła żadna żywa istota, odświeżoną teraz, zroszoną, zacienioną, woniejącą, okrytą kwiatami i owocami, które wyrosły tam bez poprzedników, bez żadnego nasienia. Ujrzymy cud nowy. W powietrzu, w łonie wód, na ziemi ukazują się zwierzęta. Przychodzą one po roślinach. Rozum to mówi, potwierdza nauka.

Skądże się one biorą? Jeżeli nasiona roślin spaliłyby się w tem ogromnem ognisku, jak nam je przedstawia nauka, o ileż więcej zarody żyjątek, jaja ptaków, słonie, wielbłądy, koń, wół, pies? Skądże więc, raz jeszcze, wzięły się one? Z minerałów? Ależ były one w stanie płynnym. Z roślin? A one same skąd pochodzą? A przytem, co za przejście od rośliny do zwierzęcia! Oto istota poruszająca się, chodząca, latająca, która działa, kocha, nienawidzi. Cóż za porównanie z rośliną?

Jest to już natura nowa, nie mogąca być zmierzoną z poprzedzającym ją, oddzielona od niego całą otchłanią i wymagająca ponownego i potężniejszego wdania się twórczej ręki. Przypatrzcie się tym zwierzętom i powiedzcie, czy świat ów nie jest tysiąc razy piękniejszym

od roślinnego, cudowniej dla człowieka przygotowanym? Niektóre są dla niego niebezpieczne, ale ileż z nich mu służy! Pies strzeże jego ogniska i liże rękę, której nikt już nie całuje. Koń dumny i ognisty dźwiga go w walce. Wół ciągnie jego sochę, pomagając mu w uprawie roli. A ileż to służących mu⁷ za pokarm na ziemi, w powietrzu i w wodzie! A ile więcej jeszcze ich rozwesela go swym śpiewem, lotem, ożywia naturę i wspólnie z szelestem wiatru w liściach i szmerem wody nadaje jej ruch i życie, które dopełniają jej piękność! Ach! tak w oczach nauki, jak i rozumu, dla tych, którzy umieją patrzeć, jest to wspaniały wstęp, pałac przygotowany, wonny ogród, słudzy w pogotowiu, coś, co zdaje się mówić: „Pan przyjdzie!” Przyszedł nareszcie. Dnia jednego ukazał się na ziemi człowiek.

Jaki to był dzień, tego nauka nie wie. Ale to wie, i powinna, pod groźbą kłamania samej sobie, ogłaszać to głośno, że był dzień i wiele dni, w których byłby pożarty, strawiony przez ogień, i inny dzień bardzo stosunkowo niedawny, kiedy po wielu wiekach, po ostygnięciu ziemi, człowiek się ukazał. A musi też jeszcze, pod groźbą zdrady, powiedzieć, że chociaż wielkie były cuda poprzednie, nie nie przygotowało świata do tego cudu. Między skałą a człowiekiem, między rośliną a człowiekiem, między zwierzęciem a człowiekiem jest przepaść. Istota to nowa, z gruntu i zupełnie odmienna od poprzedzających i więcej jeszcze niż wszystkie inne niewytłómaczona, jeżeli nie przez nowe i jeszcze wyższe wdanie się potęgi twórczej.

Kto był matką, kto karmicielką tej tak wielkiej istoty? Kto ją uczył stać, mówić, chodzić, patrzeć w niebo, uważać ziemię za zbyt małą? kochać prawdę,

sprawiedliwość, honor, aż do poświęcenia im życia? wyznawać Boga i wołać do Niego: „Ojcze!” Kto go tego nauczył? Tu niema wątpliwości: Bóg!

Biada temu, kto bez wzruszenia i czci myśli o tej jedynej i cudownej chwili w historyi, o tym dniu narodzin rodzaju ludzkiego, i kto nie widzi, że Bóg umieścił człowieka na kuli ziemskiej, tak samo zupełnie, jak matka swe dziecko w kolebkę kładzie! Tak jest, biada mu! jest on już więcej, niż krótkowidzem; należy do tych nieuleczonych, prawie nieszczęśliwych, o których powiedziano:

„Najgorzej ślepym ze wszystkich ślepych jest ten, kto widzieć nie chce.”

To jest pierwsze prawo, którego nadużywa Darwin ze swymi uczniami, prawo powstania wszystkiego do życia pod tchnieniem Bożem. Ale nie to jedno prawo lekceważą oni. W widocznej tej i wspaniałej pracy Boga, ustanawiającej kolejno wszystkie królestwa, jakby stopnie stworzenia, jest drugie prawo, na które też patrzą z zaślepieniem. Prawo cudowne i głębokie, które przeciwnie powinno by ich było zachwycić i ostatecznie dzieło Boże im wyjaśnić. Prawo to, o którym powiedział Linneusz, że w miarę wzbogacania się, uzupełniania naszych zbiorów, będziemy się przekonywali, jak natura nie robi nic nagle, ale przez łagodne i nieznaczne stopniowanie, co już starożytni dostrzegli i określili jak następuje: „Natura nie robi nic przeskokiem.”

Nie, za wielkim mistrzem jest na to. Między czarną nocą a świetnością południa postawiła jutrzeńkę; między jasnością dnia a głębiami cieniów umieszcza

gasnące i tak łagodne odcienie zmroku. Tak samo ze wszystkim.

Pomiędzy minerałem a rośliną jest przepaść; wiecież, co robi natura? Pomieszcza między nimi mnóstwo istot, zarazem do minerałów i do roślin należących, które stopniowo i nieznacznie prowadzą od jednego do drugiego. Tak samo jest między roślinnem a zwierzęcem królestwem. Spójrzcie na ogromną rodzinę polipów. Zwierzę-roślina, roślina-zwierzę, polip jest jakby drzewkiem w skale korzenie zapuszczającym, a z gębą, z żołądkiem zwierzęcym. Tysiące jest podobnych istot, umieszczonych pomiędzy dwoma królestwami, przez jednych do roślin, przez drugich do zwierząt zaliczanych, stanowiących od jednych do drugich łagodne przejście.

Ten sam widok w świecie zwierzęcym.

Co za przepaść pomiędzy tem skromnem, po ziemi pełzającym stworzonkiem, a wspaniałym orłem, szybującym w przestrzeni! Ale i tu natura przeskoków nie czyniła.

Wejdźcie do wspaniałego paryskiego muzeum historyi naturalnej, najzupełniejszego na świecie; przejrzyjcie cały szereg istot, skrzydłami przez naturę obdarzonych, a zdumieni będziecie. Z początku, w jednym gatunku jest to tylko zaród, ślad skrzydła; potem już się ono zwiększa, chociaż jeszcze nieśmiałe, słabe, podlatywać ledwie pozwalające. Trochę dalej już nabiera mocy, sprężystości; unosi ptaka wysoko, długo bardzo. Potem natura ośmiela się; skrzydło dostaje potężną moc i wymiary. Ten ptak o śmiałem i pewnem skrzydle odbywa podróże nie do uwierzenia, więcej stu mil na godzinę, i przebywając wszystkie strefy w prze-

ciągu godzin kilku, z lodów Syberyi przenosi się na gorące Peruwiańskie wybrzeże. Inny znowu wznosi się tak wysoko, że wzrok nie może go doścignąć i kołysany przez burzę usypia w powietrzu. A inny jeszcze, jak kolibr, ptak-mucha, tak ma żywe ruchy skrzydeł, że nie można ich dostrzedz i wydaje się nam nieruchomym w powietrzu ten skrzydlaty kwiat, ten żywy klejnot.

To samo cudowne stopniowanie pomiędzy rybami wody zaludniającymi, ptakami szybującymi w powietrzu i pełzającymi po ziemi stworzeniami. Któż nie zna olbrzymiego szeregu istot ziemnowodnych, pływających i latających, latających i pełzających, ryb zarazem i ptaków lub ssących. Nigdzie natura nie robi przeskoków. Gdzie zdaje nam się, że widzimy przerwę, próżnię, nagłe i rażące przejście, sami siebie obwiniamy: przerwą tą jest tylko nieświadomość.

Nie trzeba się więc dziwić, jeżeli to samo prawo jest pomiędzy światem zwierzęcym a człowiekiem. Im jest ogromniejszą, z tem większą sztuką urządził Bóg przejście. Pomiedzy pełzającym po ziemi zwierzęciem a człowiekiem, ku niebu głowę wznoszącym, są zwierzęta, próbujące stać prosto, inne mają ślady mowy, inne znowu cień ludzkiej twarzy.

W ten sposób natura zapełnia przerwy i przez nieznaczne odcienie doprowadza świat zwierzęcy aż do człowieka. Na nic się nie zdało zaprzeczać temu prawu, ale nie trzeba go naciągać do swoich celów. Wszystkie rzeczy takie same są od początku i takimi samymi aż do końca pozostaną. Nie mówcie, że ten żywy atom, ten wymoczek, wznosząc się coraz wyżej, do polipa, koralu lub perły, dojdzie może za dziesięć tysięcy lat do

godności owadu; za dziesięć, za sto tysięcy lat wymoczek wymoczkiem jeszcze będzie, polip pozostanie zawsze polipem. Tak samo biedny nietoperz ze swoim zarodkiem skrzydła: za lat dziesięć tysięcy będzie tym samym nietoperzem; orłem nie stanie się nigdy. Małpa nakoniec będzie zawsze małpą, nawet po upływie lat tysięcy, więc nie przekształci się w człowieka. Prawo świata to nie przemiana gatunków, jak ją pojmuje Darwin; to cztery coraz wyższe królestwa, cztery rosnące stopnie; pomiędzy nimi zaś, dla złagodzenia przejść, dla pogodzenia kolorów półtony, łagodne i wdzięczne stopniowanie, całość zachwycająca, ale stała, ustanowiona od początku, w której najdokładniejsze badanie od sześciu tysięcy lat nie odkryło innego dążenia, tylko posłuszne prawu odwiecznemu życie.

Oto jest stworzenie takie, jakiem je dziś widzi nauka. Nie zatrzymuję się dłużej na niem, mając później traktować wspaniały ten temat ze wszystkich punktów widzenia, i śpieszę wyprowadzić z niego następujący wniosek:

Bóg więc stworzył wszystko: stworzył ziemię, stworzył człowieka. Nie pytam jeszcze: dlaczego? — powiadam po prostu: Czyżby mógł stworzyć człowieka, a nie kochać go, nie zajmować się nim, nie czuć potrzeby rozciągania nad nim opieki, przychodzenia mu w pomoc? Bo powiedzcież mi: czyście kiedy co utworzyli? a utworzywszy rzecz jaką, czyż jej nie kochacie? Choćbyście stworzyli tylko mały ogródek z kilku ścieżkami bukszpanem otoczonymi, kilku goździkami i różami, czyż nie macie sympatii dla tych kwiatów? czy nie lubicie polewać ich, oczyszczając ze szkodliwych owadów? Powiedzcie mi jeszcze, czyście nie napisali książki w dniu

zachwytu i męczarni, nie włożyli w nią duszy swej i serca? Czy jej nie kochacie? Czy los jej was nie obchodzi? Czy nie macie tej słabostki, żeby lubić tych, którzy ją czytają i mówią wam o niej? A nadewszystko powiedzcie mi, matki, któreście w jeszcze radośniejszej i boleśniejszej zarazem chwili wydały na świat dziecię, istotkę o waszej krwi w żyłach, o waszych rysach twarzy, o waszych przymiotach i wadach w duszy, — czy go nie kochacie? i czy nie czujecie, że miłość ta tak gorąca i silna nie słabością w was jest, ale pięknoscią moralną, wielkością, pierwiastkiem wszelkiej wzniosłości i cnoty? a gdy szukacie jej źródła, czyż nie czujecie, że przychodzi wam ona z wysoka? że nie zrodziła się z namysłów, rozwagi, potrzeby, ale zesłała na was zupełna, skończona, szczytna? O tak! miłość ta z wysoka na człowieka przychodzi, od Boga, który go stworzył, a stwarzając doznał pierwszy jej uroku; który nie mógł być ojcem bez pocucia ojcowskiego serca i umieściwszy swoje dziecko na pełnej niebezpieczeństw ziemi, nie przestał nim się zajmować, opiekować, bronić go, skłaniać się ku niemu, nie tylko już przez wspaniałość, ale przez dobroć i miłość!

IV.

Uczyńmy krok trzeci.

Wśród tego tak pięknego świata, którego harmonia świadczy o wielkim artyście, jakim jest właściwie stanowisko człowieka? Tylko cośmy mówili, że jako władca na ziemię przychodzi. Czy jako władca nieograniczony? Wszystko, co jest pod nim, słuchać go

winno, ale czyż ponad nim niema nikogo, komuby on był winien posłuszeństwo? Nauka wykazała nam tylko co ciągle coraz wyższe stopnie stworzenia; od minerału do rośliny, od rośliny do zwierzęcia, od zwierzęcia do człowieka. Jest to fałszem w tem znaczeniu, jak je pojmuje Darwin; ale w sobie jest to wszystko prawdziwe i piękne; i wszystko to mówi nam, że człowiek nie jest ostatnim wyrazem stworzenia, i że od niego musi ono jeszcze wznieść się do Boga, początku jego i pana. I dlatego to naukowa niewiara tak usiłuje zaprzeczać istnienia Boga Stworzyciela. Bo przypuściwszy Stworzyciela, jakże nie uznać Prawodawcy i Pana?

Dosyć zresztą jednego na człowieka wejrzenia, ażeby zrozumieć prawdziwy porządek rzeczy, zobaczyć, że Bóg jest panem i do jakiego stopnia człowiek, pomimo swych zadziwiających naukowych odkryć, pozostaje stworzeniem pokornem, słabem i zależnem. Teologowie określają Boga: istota sama przez się—*Ens a se*. Moznaby człowieka określić: istota przez inną—*Ens ab alio*. Bo kiedy przychodzi on na świat? gdy go zawołają. A kiedy go opuszcza? Gdy jest z niego wypędzany. Pomiędzy tą kolebką zaś, której nie wybrał miejsca, godziny ani kształtu, i jeszcze bardziej niedobrowolnym grobem, jakąż jest ta ziemia, na którą przybywa płakać chwilę? Ziemia, która nie do niego należy, która przed nim istniała, istnieć będzie po nim, ziemia jawnie do kogo innego należąca, ziemia nakoniec, której wysiłki naszego geniuszu zdołały zaledwie porysować naskórek i która unosi nas w przestrzeni nie jako rządzącego nią króla, ale jak dziecko, które tuli na łonie. Przychodzi człowiek, kiedy go Bóg zawoła, odchodzi, gdy go odsyła, zamieszkuje we łzach ziemię

nie swoją: tak było wczoraj, tak jest dzisiaj. Nie widzę, co by w tem zmienił postęp nasz naukowy.

Prawda, żeśmy odkryli siły natury, tajemniczą jej i nieujętą energię. Pokonane są one i do usług naszych obrócone; ale pod jednym tylko warunkiem są nam posłuszne: oto że my pierwsi zastosujemy się do nich.

Pięknym jesteś, człowiecze, na twym wozie ognistym! Podziwiam potulność, zgodną siłę niezmiernych tych dźwigni, poruszanych przez parę. Nie poważ się jednakże naruszyć któregoś z zasadniczych praw przyrody: kociel wyleciałby w powietrze i ty z nim razem. Swoim kosztem dowiedziałbyś się, biedny władco, żeś w przyrodzie tylko pod warunkiem posłuszeństwa prawu Tego, który ją stworzył.

A jak ta zależność zarysowuje się coraz wyraźniej, gdy zbadamy szczegółowo nasze codzienne czynności!

Wszystko zaczynam, niczego skończyć nie mogę. Sieję, ale potrzeba mi słońca, deszczu, rosy. Działam, a gdy wszystko obrachował naprzód, do powodzenia trzeba mi czegoś niezależnego ode mnie. Co to jest? tego nie wiedzą ludzie. Nazywają je przeznaczeniem, przypadkiem, losem szczęścia. Fénelon prawdziwie to określił: „Człowiek się porusza, prowadzi go Bóg.” Polskie przysłowie wyraża to niemniej dosadnie: „Chłop strzela, Pan Bóg kule nosi.” Cóż tu zmieniły postępy naszych nauk?

A cóż powiedzieć o życiu? Dziwną jest słabość człowieka! Żyję, — lecz czegoż trzeba, aby mię zabić? Okno niedomknięte, otworzone drzwi, najmniejszy jakiś przeciąg — i otom martwy. Przechodzę przez życie,

jak się przechodzi przez podwórze, osłaniając ręką od wiatru drżące i gasnące światelko świecy, zajęty ciągle ochroną mego biednego życia, co mi się nie udaje.

Najmniej pewne, najbardziej na przypuszczeniach oparte, najmniej mające u ludzi wiary, nauki są jednak najpotrzebniejsze. Jak też daleko zaszła sztuka leczenia? Jakie uczyniła medycyna postępy? Przez sześć tysięcy lat nauka nie potrafiła ani o godzinę przedłużyć nam życia, dodać choćby cala do naszego wzrostu, lub ująć jednej zmarszczki czołom naszym. Prawda, że rachujecie na przyszłość dla osiągnięcia tego postępu. „Któż wie, — powiadacie, — czy nauka, pani życia, nie zmieni jego warunków? czy wszystko wiedząca biologia nie da nam żywota wiekuistego?” ¹⁾ Oto do jakich rojeń doprowadza was szalona pycha nauki!

Ale ponieważ urzeczywistnieniu tego postępu stawiacie za warunek sto milionów lat rozwoju chemii, ludzkość dziękuje wam za wasze dobre chęci. Umiera ona i nie ma czasu czekać.

Tak, umiera; jak fala przechodzi. Gdzie byłem wczoraj? com czynił? Nie pamiętam już tego. Gdzie byli wczoraj ojciec mój, dziad, pradziad? Szukam ich śladów — zatarte. Jest jakaś chmura, która w miarę, jak postępuje naprzód, toczy za mną i na mnie swe pełne zapomnienia fale. Zapominamy wszystkiego, nawet samych siebie. Tracimy się z każdą chwilą. Oto jest życie. A jutro, gdzież będę? Szczęśliwym będę, czy nędzarzem? wielkim, czy małym? bogatym, lub też ubogim? Gdzie umrę? Kiedy? Któż może ręczyć za

¹⁾ Renan, *Revue des Deux Mondes*, 1861.

dzień jeden? co mówię! za godzinę? Jasnem jest, żeśmy w rękę Innego.

A jeżeli tak, to czyż ten Inny kierować, rządzić nami nie powinien? W gruncie rzeczy, dlaczegoż tak staramy się dowieść, że Bóg się nami nie zajmuje? Czy nie dla zyskania sobie prawa niezajmowania się Nim? I w istocie, dwie te rzeczy idą jedna za drugą. Nic Mu nie jesteśmy winni, jeżeli nie raczy rządzić nami. W jakiż sposób mielibyśmy obowiązek postępowania jak poddani, jeśliby On nie raczył postępować jako władca?

Tak On też postępuje. Czuwa nad ludzkością, kieruje nią. Tylko, że rządy Boże są arcydziełem łagodności, cierpliwości, dyskrecyi, poszanowania, swobody. Człowiek niecierpliwi się i druzgocze. On nigdy. Czeką poza zasłoną. Zadowolając się boskiem połączeniem swego prawa z przeznaczeniami ludzkości, a nawet z losem każdej duszy, pozostawia On człowiekowi ukaranie samego siebie. Każde przestąpienie jego rozkazów wywołuje przeciwcios ukryty nawet w fizycznym naszym życiu. Posuńcie bunt trochę dalej: oto rodzina się rozprzega. Nie powstrzymacie się: chwieje się społeczeństwo. Klęski bez nazwy, wojny domowe, niewytłómaczone upadki przyjmują na się wykazanie tak społeczeństwom, jak i duszom, że nie jest się bezkarnie nieposłusznym Bogu. On rządzi światem, a pierwszym Jego ministrem jest logika.

V.

Widzieliśmy już wiele przymiotów Boga, skłaniających Go ku człowiekowi: wspańiałość, dobroć, miłość

ojcowską, władzę. Dotknę jeszcze jednego ze wszystkich: świętości.

Bóg jest Świętym, Świętym nad Świętymi. Wolał Jego było też, abyśmy z wolnego wyboru tem zostali, czem On jest z natury swojej. Według tego planu utworzył świat i przez to dał dziełu swemu godny sobie koniec, a z życia człowieka tak wzruszający uczynił dramat.

Wiecie co jest dramat. To piękność, sprawiedliwość, odwaga, honor wobec przeszkody. Zatem przewycięża się zawadę ofiarą, i jest to tryumf, spoczynek w szczęściu, świetle i miłości.

Takim też jest plan Boga. Człowiek dąży ku dobru wiecznemu i nieskończonemu dobru, które z natury rzeczy jest zarazem szczęściem. Ale zaledwie krokiem naprzód postąpi, gdy już jest przeszkoda. Cierpienie, gorzka czara, na której dnie spoczywa wielkość. To znów straszna pokusa, sposobność do cnoty. Człowiek waha się, cierpi, walczy. A Bóg tymczasem podtrzymuje go, wspomaga, pociesza; potem, po ukończeniu walki, wprowadza go do spoczynku, do szczęścia.

Są tacy, którzy ten plan odrzucają. Woleliby oni, ażeby dramat świata był brzydki, śmieszny, wstętny: chcieliby walki bez przyczyny, ofiary bez nagrody, szczytnych wysiłków odwagi przepadających w próżni. Najgorszy artysta lepiejby uczynił.

Gdybyż przynajmniej usuwali cierpienie; ale nie, oni tylko to, co je złagodzić może, odrzucają. Rzeczywiście przy każdym systemie ludzie cierpią. Rodzimy się we łzach, wyrastamy w pracy, dojrzewamy w troskach i odpowiedzialności, w rozczarowaniu starzejemy, umieramy w boleści. Oto jest życie dla nas wszystkich,

Potem, na tej smutnej ziemi, dla pomocy w dźwiganii ciężaru życia, szukamy dusz, naszej duszy pokrewnych. Kochamy, jesteście kochani. Zakładamy sobie gniazdko, zaludniamy je istotkami z naszej krwi i kości. Tymczasem dnia jednego powstaje wiatr zimny, jeden z tych jesiennych wichrów, które zeschnęły liście unoszą; a gdy liczymy naszą godzinę, te jasne główki, dumę naszą i nadzieję, braknie nam ich! Albo też, gdy drogie te istoty dojdą lat męskich, oddajemy je ojczyźnie, poświęcamy honorowi.

Takim jest los nas wszystkich. A gdy widok naszych nieszczęść rozczula bliźniego; gdy zwierzęta nawet ze łzami na nas spoglądają; gdy drzewa nasze smutnieją, widząc jak ponuro błąkamy się w ich cieniu, — Bóg miałby pozostać niewzruszonym w głębi swojej wieczności! Nie dopomoże nam zwyciężyć cierpienie, lub się przez nie przemienić? Jakiegoż Boga wyobrażacie sobie?

Zresztą nie sama tylko boleść i ofiara w ciężkiej tej walce życia wstrzymują wśród drogi zbolalego człowieka; zło także, namiętności pociągające a straszne unoszą go w tym wirze, odwodząc od celu, do którego dążyć powinien.

Są też tacy, którzy złu temu podlegają, dając się oczarować błyszczącym widmom. Żal mi ich. Inni znów czynią źle bez wstydu, urągając wszystkiemu, co świętem jest na świecie.

Tych nienawidzę; a wstrętowi mojemu ku nim dorównywa tylko zachwyt mej duszy wobec tych czystych i silnych istot, które ze łzami dla cnoty się poświęcają. Oto czego doznaję ja, człowiek ułomny! A Bóg, nieskończona świętość, nicby nie odczuwał! Czyż On nie

widzi tego dobra, zła, szkaradnych występków, tych cnót wzniosłych? Gdzie więc jest Jego nieskończoność? A jeżeli, widząc je, nie zadrży z oburzenia, miłości, to mniejszym jest ode mnie! Mówicie: I cóż to Boga obchodzi? Na to odpowiadam: A cóż to obchodzi mnie?— a pomimo to jestem wzruszony.

Wyższym rysem piękności danej natury jest właśnie jej czułość. Weźcie artystę muzyka; najmniejszy fałszywy ton go porusza. Spójrzcie na człowieka uczciwego,—unosí się oburzeniem wobec podłości. A któż wypowie łzy serc czystych na widok lekkiego nawet zła? Boga tylko jednego wyłączacie z tej szlachetności, tylko Jemu sądzicie się w prawie odjąć tę wielkość!

Źródło sprawiedliwości i świętości, Twórco prawa moralnego i dobra, początku tej wzniosłej wolności, która przez ofiarę do cnoty prowadził niech sobie człowiek wyobraża świat ten jak chce wielkim, nie uczyni go nigdy tak obszernym, byś nie widział, co się na nim dzieje; i nie pojmie Cię nigdy na tyle obojętnym, na tyle pozbawionym czucia i sprawiedliwości, ażebyś na takie widoki spoglądał zimny i niewzruszony! Wymagania szczytnej Twojej natury zawsze Cię skłonią mieszać się w wielki dramat ludzkości, jako prawodawca, sędzia, współpomoczní, nagradzający, jako mściciel czasem. A sam spokój, zadowolenie głębokie, towarzyszące cnocie w tem życiu, wyrzuty sumienia, prześladowające winnego, przebaczenie, podnoszącego; a siła, która tak często z modlitwy powstaje, pociecha, która w ciszy nocnej nawiedza serca złamane, czemże są, jeżeli nie widocznym nieustannym dowodem czulej skłonności Boga ku człowiekowi?

Streścimy się i zakończmy.

Widzieliśmy w poprzedzającym rozdziale, że człowiek nieprzeparcie ku Bogu dąży. Wznosi się ku Niemu umysłem swym, sarkem, sumieniem; swemi radościami, cierpieniami, słabością swoją; całe jego życie jest nieustannem dążeniem do Boga, jako do jedynej istoty, która odpowiedzieć jego potrzebom i pragnienia jego zadowolić może.

Z drugiej strony ujrzeliśmy w tym rozdziale, że wszystkie przymioty Boga skłaniają Go ku człowiekowi: wspańiałość, dobroć, uczucie ojcowskie, zwierchnictwo, sprawiedliwość, świętość, miłość. Bóg więc i człowiek są to dwie istoty, które szukają się wzajemnie.

Pytam tedy: dlaczegożby nie miało nastąpić spotkanie i kto mógłby przeszkodzić człowiekowi, szukającemu Boga, i Bogu, szukającemu człowieka, spotkać się i zjednoczyć?

ROZDZIAŁ TRZECI.

O prawdziwej istocie religii.

I.

Jeżeli prawdą jest to wszystko, cośmy do tej pory powiedzieli, to jest, jeżeli człowiek dąży do Boga a Bóg do człowieka, z powodów wprawdzie jak ich istota różnych, ale głębokich i wzniosłych ze stron obu, widocznem jest, że musieli się spotkać, bo któż mógłby im w tem przeszkodzić? że muszą być pomiędzy nimi łączniki, stosunki, pewne czyny, podnoszące człowieka ku Bogu i Boga do niego zbliżające, religia — jednym słowem; bo religia, jak to nazwa jej sama wskazuje, nie jest czem innem, tylko żywym stosunkiem Boga i człowieka, spotkaniem ich i zjednoczeniem, zebraniem czynów, prowadzących ich, jeżeli tak się poważymy wyrazić, wzajemnie w swe objęcia.

Tak, Bóg i człowiek szukają się wzajem, znajdują się, łączą: — oto religia.

Religia nie jest tylko, jak sobie wiele osób wyobraża i jak mówił Cyceron w sztucznym i powierzchownym języku pogaństwa, „czcią i hołdem oddanym Bóstwu, *superioris naturae cultum coeremoniamque*” ¹⁾.

¹⁾ Cicer. de Invent. lib. II, LIII.

Gdyby to tylko tu było, gdyby człowiek ze swojej strony dawał wszystko, a Bóg nie od siebie, religia byłaby najniepotrzebniejszem ze wszystkich urojeniem. Cóż to za cześć, jeżeli Bóg jej nie odczuwa? Czemże modlitwa, która słuchaną nie jest? Pocóż żal, jeżeli nie idzie za nim przebaczenie? Czemże są nakoniec wszystkie czyny człowieka, usiłującego się dostać do Boga, jeżeli nie prowadzą za sobą odpowiadających im czynów Boga, ku niemu się zniżającego? A nawet, mówiąc mimochodem, czuje się, że w poszukiwaniu tem i spotkaniu Boga i człowieka, Bóg powinien był zacząć pierwszy, dać jak gdyby hasło, gdyż jest starszym, silniejszym, tkliwszym i pod każdym względem lepszym. Oto, powtarzam, religia w najprostszem jej pojęciu. W czemże pojęcie to może urażać rozum ludzki? Pozostawcie na boku sofizmaty, które zresztą potem roztrząśniemy, a wejdźcie w głąb siebie samych, gdziebyście słyszeli tylko głos z góry: czyż nie czujecie, jak rozbrzmiewa w was, jak mówi prawda? Bóg i człowiek nie mogą być przepaścią oddzieleni. Dążą ku sobie dla przyczyn, równych im wielkością. Niepodobną więc, aby się nie spotkali. Człowiek winien się ku Bogu wznosić przez uwielbienie, modlitwę, posłuszeństwo, przez żal i miłość; ale trzeba też, by Bóg zniżył się ku niemu; aby przyszedł do człowieka przez pomoc, przebaczenie, dobrodziejstwo, a zatem także przez miłość. To oczywista.

To też nie szczędzono napaści tej teoryi prostej i obfitej w skutki, ponieważ w niej zawiera się wiekuista religia. Nie mogąc przeszkodzić człowiekowi wznosić się do Boga, bo i jak, niestety, zapobiedz temu, aby nigdy wzroku do nieba nie zwrócił? próbowano wszystkiego, ażeby Boga usunąć, wygnać z religii.

Wiek XVIII-ty mówił: „Człowiek podziwiał Boga, czci, niechże wyobraża sobie, że może się do Niego dostać. Bóg jest za wielki. Przez tę samą swoją wielkość usuwa się przed człowiekiem nieskończoną ucieczką.” Słyszeliście też kiedy o takiej religii, a raczej o mecie Tantala, gdzie Bóg uchodzi bez końca od goniącego człowieka? Przedziwni byli ci filozofowie!

Ale za dui naszych przewyższono ich jeszcze, bo oto, co powiadają: „Człowiek czci, uwielbia, wzywa, co? Nic. Bo nic niema. Religia jest rzeczą czysto subiektywną, bez żadnego przedmiotu, do którego by się odnosiła. Bóg jest tylko stworzonym przez człowieka ideałem, marzeniem jego serca, czystym marzeniem bez rzeczywistości.” Niemcy to obfitują w te dziwolagi, a Francya wprowadza je u siebie i podziwiał. „Natura,—mówi Feuerbach, z *uwielbieniem* przez p. Vacherot’a cytowany,—nie słyszy skarg człowieka, jest nieczułą na jego cierpienia; to też człowiek odwraca się od niej, od wszystkich wogóle przedmiotów widzialnych; usuwa się w swój świat wewnętrzny, ażeby tam nakoniec, zdala od widoku martwych potęg, mógł znaleźć kogoś, coby go słyszał i pocieszył. Tam wypowiada dręczące go tajemnice, swobodę daje uciśnionemu sercu. Ta swoboda serca, ta odkryta tajemnica, ta boleść wypowiedziana—to Bóg. Bóg to łza miłości, zdala od wszystkich oczu uroniona nad nieszczęściem ludzkim. Bóg, to nieokreślone westchnienie, ukryte w głębi ludzkiej duszy.” ¹⁾

Nie ubliżając p. Vacherot’owi, wszystko to jest śmiesznem pomimo jego *uwielbienia*. Jak to! moja łza—to

¹⁾ Vacherot, *la Religion*, p. 72.

Bóg! westchnienie mego uciśnionego serca—to Bóg! Bóg jest modlitwą, która sama siebie wysłuchuje! echem naszych jęczeń! Tak wy mówicie, a ja nie miałbym wymówić tu prawdziwego słowa: beżbożność, a co większa: niedorzeczność? Człowiek uchodzi przed niepojmującą go naturą. Zamyka się w sobie, ażeby wysłuchywać się i pocieszać. A westchnienie to, które mu się z serca wydobywa, to Bóg! Innego niema wcale! I nazywacie to „nieubłaganą logiką!” Powiedzcież raczej: głupstwo nieubłagane!

Nie, jęk człowieka nie jest Bogiem, ale ten jęk Go wzywa. Widzi On tę łzę gorącą, słyszy rzewne westchnienie. Nie myli się człowiek, gdy ucieka od nieczulej na jego cierpienia natury i zamyka się w sobie, szukając „kogoś, co by go usłyszał i pocieszył!” Znajduje tego „kogoś,” a jest nim Bóg. Następuje zjednoczenie, a nigdy nie jest ono głębsze, niż gdy od łez początek bierze.

Wy wszyscy, którzy to czytacie, bez różnicy, kimbyście byli, lub jakie są wasze teorye, posłuchajcie uważnie tego: wierzycie-li, że Bóg was słyszy? i wierzycie, iż usłyszawszy, może wam odpowiedzieć? Jeżeli wierzycie w to, czyście katolicy, protestanci, żydzi, mahometanie, — jesteście religijnymi. Jeśli nie wierzycie, jesteście niereligijnymi niedowiarkami w praktyce. Boga macie tylko dla formy, ażeby ująć śmieszności, lub może wyrzutów sumienia, że nie wierzycie w Niego.

Bóg, który mnie nie słyszy, lub nie odpowiada nic, toż nie jest Bóg, — to bożyszcze. Religia, która jest tylko monologiem, to nie religia. Jakżebyście mogli długo mówić do kogoś, któryby wam nigdy nie odpowiedział? Wiekuista czołobitność przed głuchym

i niemym: niegodneby to było ani Boga, ani człowieka. Nie można określić religii: *całość obowiązków człowieka względem Boga*, bez dodania jednocześnie: *ogół obowiązków Boga względem człowieka* ¹⁾. Inaczej jest to fałszywem, a co gorsza, szkodliwem; bo widząc w religii tylko człowieka, zapomina się w końcu o Bogu; widzi się Go zdala od rzeczy, w której nic do czynienia nie ma. Zaciera się On i znika.

Zatem, jeżeli religia nie ma być smutnem złudzeniem, koniecznie potrzeba, ażeby między Bogiem i człowiekiem były akty zobopólne; akty Boga względem człowieka, jak są akty człowieka względem Boga; coś, coby *więzało* Boga z człowiekiem, jak jest coś, co człowieka z Bogiem *wiąże*. Potrzeba węzła, miejsca, gdzieby dwa te więzy łączyły się i zacieśniały.

Jest to zresztą właściwe znaczenie, źródłosłów wyrazu *religio*, przez najlepsze umysły tak pojęty i objaśniony. Pochodzi on od słowa *religare*, które znaczy *więzać, związywać, łączyć*. Tak to pojmowali Tertulian, Laktancyusz, święty Augustyn, Hieronim, a w nowszych czasach Bossuet, Fénelon, Pascal, Leibnitz. Zacytujemy tu tylko Bossuet'a, w którym zawiera się cała starożytność kościelna i zdrowy rozsądek czasów wszystkich: „Wszystkie czyny religijne w Bogu cel swój mieć powinny, a właściwością religii jest łączyć nas z tą

¹⁾ Bóg był zupełnie wolnym w kwestyi stworzenia lub nie stworzenia człowieka. Ale stworzywszy, nie miał prawa go opuścić. *Winien* był sam sobie przyjść mu z pomocą. W Nim samym było źródło obowiązków, które zaciągnął dobrowolnie względem swego stworzenia. Ale obowiązki te istniały i odpowiadały obowiązkowi człowieka.

pierwszą Istotą. Św. Augustyn nas uczy, że z tego to źródła wzięła religia swą nazwę: *Religio dicitur eo, quod nos religet omnipotenti Deo* — „Religia bierze swą nazwę z tego, że nas łączy ze wszechmocnym Bogiem.” ¹⁾ Wiąże nas, łączy, jednoczy z Bogiem, i przez to zjednoczenie jest określona.

Przyznam się wam, że czytając tę teologię, tak piękną i głęboką, a tak mimo to prostą, czuję rodzaj żalu do nowoczesnych teologów, którzy zamiast trzymać się tego wielkiego pojęcia religii, przyjęli prawie wszyscy sztuczne określenie Cyncerona i zepchnęli ją na stanowisko zbioru obowiązków, czci, chwały, dziękczynienia, jakie człowiek winien jest Bogu. Określenie, jak powiedziałem, sztuczne; nawet niedokładne, ponieważ nie zawiera w sobie treści religii, a jedna z dwóch jednoczących się stron nic nie znaczącą ma tam rolę; niebezpieczne na koniec, z powodu tej ogólnej skłonności nowoczesnych umysłów, ażeby obrócić religię w cześć oddalonego Boga, teoretyczne uwielbienie niewidzialnego.

I to nie tylko wielkie umysły pojęły religię w ten wzruszający sposób; rozumiały ją zawsze tak samo całe narody. Zawsze była w ich oczach boską zarazem i ludzką, zbiorem aktów łączących człowieka z Bogiem i Boga z człowiekiem: a nawet najbardziej boską i najbardziej ludzką ze wszystkich instytucji. I niema też rzeczywiście żadnej, gdzieby Bóg i człowiek w tak niezrównanym stosunku się spotykali. Człowiek przynosi tam wszystko, co ma najwznioślejszego, najbardziej niewypowiedzianego, bosko pięknego: swoje święte pragnie-

¹⁾ Bossuet, *Oeuvres complètes*, t. VI, p. 47.

nie prawdy, sprawiedliwości, doskonałości moralnej, szlachetne do nieskończoności dążenie. Bóg przynosi swą świętość, majestat, miłosierdzie i tklivość. Włożył w religię wszystko, co w Nim jest pięknem, słodkiem, dobrem, świętem, wielkiem; a ponieważ rzecz tak się ma i z człowiekiem, łatwo pojąć, że nie nie może się z nią porównać pod względem życia, trwałości, płodności, piękności moralnej. Jak sam Bóg odwieczna, powszechna jak człowiek, jak jeden i drugi niepożyta, przebywa wszystkie czasy, wszystkie miejsca; stawia czoło wszelkim burzom; czysta zawsze w tej nienaruszonej swej części, która pochodzi od Boga; a i w drugiej, którą ziemi dotyka, piękna także i czcigodna, pomimo słabości człowieka, który nie może się jej tknąć bez udzielenia swych niedostatków; płodna, zawsze dająca natchnienie każdej cnocie, każdej moralności, każdej wiedzy, prawodawstwu każdemu, poezyi wszelkiej czasów dawnych i obecnych; ponad mgłami, wznoszącemi się z ziemi, podnosi swe czoło, gdzie jaśniej zarazem piękność boska i ludzka, w niewymownej harmonii połączone. Ludzkość, znalazłszy się u swej kolebki, nad grobem swym jeszcze ją ujrzy, jest bowiem sprawiedliwym, ażeby w tem spotkaniu Boga i człowieka, gdzie tak wielką rolę spełnia miłość, Ten, który więcej kocha, miał pierwsze i ostatnie słowo.

II.

Religia więc jest szukaniem się i spotkaniem Boga i człowieka, stosunkiem ich wzajemnym. I w tem to leży, wspomnijmy tu mimochodem, wielka różnica religii i filozofii, tak nadaremnie nieraz szukana, tak źle pojęta.

Zapewne, religia i filozofia mają wspólny przedmiot: Boga. Ale filozofia jest nauką, religia stosunkiem. Filozofia uczy nas patrzeć na Boga, religia nas ku Niemu prowadzi. Czego brak najwyższej nawet filozofii, to dwóch sił, które religia, zmacona nawet, posiada zawsze: siły wznoszącej, która człowieka w objęcia Boga prowadzi, i zniżającej, która ściąga Boga w objęcia człowieka. Usunięcie religii; Bóg już się nie zniża, człowiek się nie wznosi, albo, jeżeli się wznosi, to umysłem, nie duszą. Jednem słowem, Bóg pozostaje Bogiem, człowiek człowiekiem, w niebie jeden, drugi na ziemi. Niezmierzona przepaść, *chaos magnum*, istnieje przy filozofii. Religia most na nią zarzuca.

Przez to widzicie też, że religia i filozofia mogą przebywać razem w ludzkiej duszy; nie różnocześnie i kolejno, jak mówi p. Vacherot, utrzymujący, iż za pojawieniem się filozofii religia uchodzi, ale razem, jak dwie kochające się i pomagające sobie wzajem siostry. Jedna, córka człowieka, wskazuje mu Boga i oświeca Go światłem swojego geniuszu. Druga, ludzka i boska zarazem córka, także pokazuje Boga, oświeca Go podwójnem, niebieskiem i ziemskim światłem, a co większa, daje nam Go. Obiedwie sobie nie zazdroszczą i nie współzawodniczą jedna z drugą, a tem mniej są sobie wrogie; siostrami są i obie przyczyniają się do uświęcenia związku i umilenia stosunku pomiędzy Bogiem a człowiekiem.

A nie zwlekajmy dłużej z poruszeniem drugiej kwestyi.

Religia, jakśmy to już powiedzieli, jest dążeniem ku sobie i spotkaniem się Boga i człowieka. Dlaczegoż to dążenie? W jakim celu połączenie się? Oczywiście, ażeby u obydwóch stron zadowolić świętą skłonność, po-

pychającą je ku sobie, a zadowolić w sposób, któryby ich był godzien. To też, ponieważ dla zjednoczenia się dwóch rozumnych istot potrzeba koniecznie, aby umysł wszedł w grę najpierwszy, człowiek umysł swój naprzód przynosi, ten niespokojny umysł, żądny wiedzy i doświadczenia, — ten rozum, wiedzący tyle rzeczy, ale tyle innych wymarzający i przewidujący; a Bóg zbliża do niego nieskończoną swą inteligencję, umysł wielki i świetlany; nie dla przytłumienia ludzkiego rozumu, jak utrzymuje bezbożność, ale przeciwnie, dla wzbogacenia go; ażeby człowiek lepiej zobaczył to, co już dostrzegał, ażeby nawet poznał rzeczy, o których nie mógł mieć wyobrażenia.

Następnie przynosi człowiek swe serce, do kochania stworzone i cierpiące nad tem, że musi usychać na ziemi i tak często upadać w miłości; a Bóg zbliża do niego swoje serce, nie dla tego zaprawdę, ażeby serce człowieka wyiębić, lecz żeby je rozgrzać; żeby w zbliżeniu tem poczerpnęło ono siłę lepszego kochania, kochania zawsze, w jedności, wiekuistości, świętości, kochania zarazem Boga i ludzi: Boga w ludziach, a ludzi w Bogu.

Nakoniec człowiek przynosi życie swoje, to życie, które pragnie być szczęśliwem, a upływa w nieustannych ranach, rozczarowaniu, blizkie wygaśnięcia; Bóg zaś zbliża do niego nieskończone swe życie, ażeby mu dać siłę, pociechę, radość, pokój, w oczekiwaniu pełności życia i nieśmiertelności.

To są trzy pierwiastki związku Boga i człowieka, tego zjednoczenia szczytnego, noszącego nazwę religii. I nie mogą one być inne; bo człowiek ma w sobie tylko te trzy składowe pierwiastki: rozum, serce i życie; Bóg również, pomimo szczytnej tajemniczości i bogatej wspa-
niałości niepojętej swej natury; to też nie będzie związku

pomiędzy Bogiem i człowiekiem, zjedno-
 jeżeli nie będzie to połączenie rozumó-
 To, co tu mówimy, stwierdza nam
 nauka porównawcza religii, załedwie s-
 rej chcianoby użyć jako broni przeciwi-
 jej niebawem nowego doda blasku, —
 nam w świetle najpiękniejszym. Wy-
 cie na całej powierzchni ziemi nietylko
 jest stosunkiem Boga i człowieka, p-
 Bogu i Boga ku duszy — to, powtarz-
 i tworzy zasadę wszelkich religii, — ale t-
 ten wszędzie jest potrójny, w ten sa-
 wskazałem powyżej: związek umysłu,
 Bo też rzeczywiście, otwórzcie ś-
 cie wszystkich historyków, opisy podro-
 dziecie w każdej religii, w treści jej gł-
 trzy rzeczy:
 1) Dogmat. Ale cóż to jest c-
 Boga do człowieka, wymówione *po ojc-*
 przyjęte. Człowiek tu chce wiedzieć
 wiedzącego Boga; Bóg wszechwiedzą-
 dzieć pragnącego człowieka. To ro-
 wieka, wzniosły dyalog pomiędzy ojc-
 ludzkością. To jest dogmat. Cóż n-
 i jaśniejszego zarazem?
 Muszę jednakże przyznać, że w
 dziełach jest często pod tym względem
 ciasne i mogące zaćmić prawdziwą m-
 pojęcie dogmatu. Utrzymują, iż
przemówił do człowieka, ażeby podt-
jego rozum. To też napadają na te
go; okrywają wzgardą, wykazują jeg

pomiędzy Bogiem i człowiekiem, zjedno-
 jeżeli nie będzie to połączenie rozumó-
 To, co tu mówimy, stwierdza nam
 nauka porównawcza religii, załedwie s-
 rej chcianoby użyć jako broni przeciwi-
 jej niebawem nowego doda blasku, —
 nam w świetle najpiękniejszym. Wy-
 cie na całej powierzchni ziemi nietylko
 jest stosunkiem Boga i człowieka, p-
 Bogu i Boga ku duszy — to, powtarz-
 i tworzy zasadę wszelkich religii, — ale t-
 ten wszędzie jest potrójny, w ten sa-
 wskazałem powyżej: związek umysłu,
 Bo też rzeczywiście, otwórzcie ś-
 cie wszystkich historyków, opisy podro-
 dziecie w każdej religii, w treści jej gł-
 trzy rzeczy:
 1) Dogmat. Ale cóż to jest c-
 Boga do człowieka, wymówione *po ojc-*
 przyjęte. Człowiek tu chce wiedzieć
 wiedzącego Boga; Bóg wszechwiedzą-
 dzieć pragnącego człowieka. To ro-
 wieka, wzniosły dyalog pomiędzy ojc-
 ludzkością. To jest dogmat. Cóż n-
 i jaśniejszego zarazem?
 Muszę jednakże przyznać, że w
 dziełach jest często pod tym względem
 ciasne i mogące zaćmić prawdziwą m-
 pojęcie dogmatu. Utrzymują, iż
przemówił do człowieka, ażeby podt-
jego rozum. To też napadają na te
go; okrywają wzgardą, wykazują jeg

pomiędzy Bogiem i człowiekiem, zjedno-
 żeżeli nie będzie to połączenie rozumó-
 To, co tu mówimy, stwierdza nam
 nauka porównawcza religii, załedwie s-
 rej chcianoby użyć jako broni przeciwi-
 jej niebawem nowego doda blasku, —
 nam w świetle najpiękniejszym. Wy-
 cie na całej powierzchni ziemi nietylko
 jest stosunkiem Boga i człowieka, p-
 Bogu i Boga ku duszy — to, powtarz-
 i tworzy zasadę wszelkich religii, — ale t-
 ten wszędzie jest potrójny, w ten sa-
 wskazałem powyżej: związek umysłu,
 Bo też rzeczywiście, otwórzcie ś-
 cie wszystkich historyków, opisy podro-
 dziecie w każdej religii, w treści jej gł-
 trzy rzeczy:
 1) Dogmat. Ale cóż to jest c-
 Boga do człowieka, wymówione *po ojc-*
 przyjęte. Człowiek tu chce wiedzieć
 wiedzącego Boga; Bóg wszechwiedzą-
 dzieć pragnącego człowieka. To ro-
 wieka, wzniosły dyalog pomiędzy ojc-
 ludzkością. To jest dogmat. Cóż n-
 i jaśniejszego zarazem?
 Muszę jednakże przyznać, że w
 dziełach jest często pod tym względem
 ciasne i mogące zaćmić prawdziwą m-
 pojęcie dogmatu. Utrzymują, iż
przemówił do człowieka, ażeby podt-
jego rozum. To też napadają na te
go; okrywają wzgardą, wykazują jeg

pomiędzy Bogiem i człowiekiem, zjedno-
 żeżeli nie będzie to połączenie rozumó-
 To, co tu mówimy, stwierdza nam
 nauka porównawcza religii, załedwie s-
 rej chcianoby użyć jako broni przeciwi-
 jej niebawem nowego doda blasku, —
 nam w świetle najpiękniejszym. Wy-
 cie na całej powierzchni ziemi nietylko
 jest stosunkiem Boga i człowieka, p-
 Bogu i Boga ku duszy — to, powtarz-
 i tworzy zasadę wszelkich religii, — ale t-
 ten wszędzie jest potrójny, w ten sa-
 wskazałem powyżej: związek umysłu,
 Bo też rzeczywiście, otwórzcie ś-
 cie wszystkich historyków, opisy podro-
 dziecie w każdej religii, w treści jej gł-
 trzy rzeczy:
 1) Dogmat. Ale cóż to jest c-
 Boga do człowieka, wymówione *po ojc-*
 przyjęte. Człowiek tu chce wiedzieć
 wiedzącego Boga; Bóg wszechwiedzą-
 dzieć pragnącego człowieka. To ro-
 wieka, wzniosły dyalog pomiędzy ojc-
 ludzkością. To jest dogmat. Cóż n-
 i jaśniejszego zarazem?
 Muszę jednakże przyznać, że w
 dziełach jest często pod tym względem
 ciasne i mogące zaćmić prawdziwą m-
 pojęcie dogmatu. Utrzymują, iż
przemówił do człowieka, ażeby podt-
jego rozum. To też napadają na te
go; okrywają wzgardą, wykazują jeg

pomiędzy Bogiem i człowiekiem, zjedno-
 żeżeli nie będzie to połączenie rozumó-
 To, co tu mówimy, stwierdza nam
 nauka porównawcza religii, załedwie s-
 rej chcianoby użyć jako broni przeciwi-
 jej niebawem nowego doda blasku, —
 nam w świetle najpiękniejszym. Wy-
 cie na całej powierzchni ziemi nietylko
 jest stosunkiem Boga i człowieka, p-
 Bogu i Boga ku duszy — to, powtarz-
 i tworzy zasadę wszelkich religii, — ale t-
 ten wszędzie jest potrójny, w ten sa-
 wskazałem powyżej: związek umysłu,
 Bo też rzeczywiście, otwórzcie ś-
 cie wszystkich historyków, opisy podro-
 dziecie w każdej religii, w treści jej gł-
 trzy rzeczy:
 1) Dogmat. Ale cóż to jest c-
 Boga do człowieka, wymówione *po ojc-*
 przyjęte. Człowiek tu chce wiedzieć
 wiedzącego Boga; Bóg wszechwiedzą-
 dzieć pragnącego człowieka. To ro-
 wieka, wzniosły dyalog pomiędzy ojc-
 ludzkością. To jest dogmat. Cóż n-
 i jaśniejszego zarazem?
 Muszę jednakże przyznać, że w
 dzielach jest często pod tym względem
 ciasne i mogące zaćmić prawdziwą m-
 pojęcie dogmatu. Utrzymują, iż
przemówił do człowieka, ażeby podt-
jego rozum. To też napadają na te
go; okrywają wzgardą, wykazują jeg

moc, aby wyciągnąć z tego wszystkiego wniosek, że potrzeba było, iżby Bóg przemówił.

Rozum, słysząc te dowodzenia, podnosi bunt, oddala się od religii, będącej dla niego upokorzeniem tylko, albo, jeżeli się jej ima, to burząc się.

Stawia w ten sposób religię w położeniu wrogiem względem natury ludzkiej; podkopują w wielu umysłach podstawy gmachu, który umocnić pragnęli, i dają przeciwnikom sławę, że oni to bronią najszlachetniejszych władz człowieka i dochodzą praw jego najbardziej nie-tykalnych.

Tymczasem nie: Bóg tylko z potrzeby przemówił. Przemówił, gdyż jest ojcem, a dla ojca szczęściem jest rozmawiać z dziećmi. Czyż ojciec wtedy tylko do syna się odzywa, kiedy widzi, że ten nie może nic zrozumieć bez niego? Postępuje tak czasem, ażeby skłonić go do pracy i być mu pomocnym. Ale poza tem rozmawia z nim ciągle, wymienia z nim myśli; dwie dusze zlewają się w jedno. Pójdźcież i powiedzcie temu ojcu, żeby milczał, kiedy syn go nie potrzebuje. Niweczycie rodzinę, społeczeństwo. Z rozmowy czynicie chłodny i nudny monolog. Tak samo rzecz się ma z religią; Bóg nie dla tego tylko przemawia do człowieka, że ten ostatni jest ograniczony. Dwa, trzy razy powiększcie jego geniusz, jeszcze Bóg do niego przemawiać będzie, inaczej bowiem nie byłoby wcale religii. Religia jest związkiem dusz, a przedewszystkiem umysłu z umysłem.

Bez wątpienia Bóg, przemawiając do człowieka, powiedział mu rzeczy, których on samby nie odkrył, rzeczy nieskończone. Niepodobna, ażeby było inaczej, ponieważ umysł Jego jest nieskończony. Mały umysł mówi rzeczy małe, wielki — wielkie; umysł niskończony z ko-

Handwritten notes in the margins:
 Left margin: *Handwritten notes, possibly 'Handwritten notes' or similar.*
 Right margin: *Takich, mamy wielu*
I bym nie mógł ten gmach etc. - barwny
nieporówna wach i uburowy

nieczności nieskończone mówi rzeczy, — ale nie dlatego przemówił.

Bez wątpienia także, ponieważ Bóg, po osypaniu nas darami przyrodzonymi, postanowił wznieść nas daleko wyżej, do stanu, któryby nieskończenie przewyższał wszystkie pragnienia naszej duszy, — potrzeba było, ażeby nam to powiedział, bo inaczej nie wiedzielibyśmy o tem nigdy. Prawdą jest niemniej, że nie w tem jeszcze leży ostatnia słów jego pobudka. I bez tego cudownego pomysłu swej miłości, jeszczeby przemówił. Dlaczego? Ponieważ jest ojcem i chciał mieć stosunki ze swemi dziećmi; ponieważ religia jest zbiorem tych stosunków, towarzystwem, obcowaniem, a obcowanie umysłów odbywa się przez słowa. To jest pierwsza zasada wszelkiej religii, dogmat, czyli słowo wymówione *po ojcowsku*, a *po synowsku* przyjęte.

2) Moralność. A cóż to za moralność? To przepisy dane *po ojcowsku*, *po synowsku* wykonywane. To miłość, która nadaje prawa, i miłość, która je przyjmuje. To Bóg kierujący, ponieważ kocha, i człowiek z tej samej przyczyny kierować sobą dający. Oto myśl przewodnia moralności, którą wszędzie można odnaleźć. W szczegółach mogły się tam zapewne zakraść błędy, nadużycia. Nie w tem rzecz. We wszystkich religiach Bóg człowiekiem kieruje, a człowiek daje kierować sobą Bogu. Miłość to tworzy prawa moralności i miłość je wypełnia. Moralność — to zetknięcie się serca ludzkiego z sercem Boskiem, ażeby pierwsze uczynić godniejszym drugiego. Jest to wszędzie, często w zarodku, ledwie zarysowane, wynaturzone nawet czasem; ale nigdzie niema religii bez moralności, ani moralności bez zjednoczenia miłości *ojcowskiej*, która rozkazuje, i miłości *synowskiej*, która słucha,

3) Kult, ryt, modlitwa. To jest trzeci składowy żywioł religii, i widocznem jest zaraz, z czego się składa. To pomoc *po synowsku* wyblągana i udzielona *po ojcowsku*. To słabość, wzywająca siły na pomoc; to siła, słabość wspomagająca. To życie potężne, bogate, obfite, nieskończone, które jednoczy się z życiem upadającym, ażeby je podźwignąć. To także jest powszechnem. We wszystkich religiach człowiek modli się, gdyż czuje się słabym, i wzywa Boga na pomoc. Wszędzie jest modlitwa poufna i modlitwa publiczna. Jest modlitwa uroczysta, uroczystsza, najuroczystsza z towarzyszeniem jeńców i wołań serdecznych. I wszędzie też wierzą, że modlitwa wysłuchaną będzie. Wszędzie są ceremoniały, sprowadzające pomoc Bożą, formuły pełne nadziejskiej siły, akty, przez które ludzie łączą się z życiem Boskiem, za pomocą których do swego wyczerpanego i gasnącego życia dodają życie nieskończone.

Ta jest zasada wszystkich religii. To nie tylko rzeczywisty, skuteczny stosunek pomiędzy Bogiem a człowiekiem; to obcowanie potrójne, obcowanie umysłu z umysłem, serca z sercem, życia z życiem, czyli zjednoczenie dusz zupełne. Czyż nie zdumiewa was taka zgodność? Kto mógł zaprowadzić tak cudowną jedność pomiędzy tylu ludami tak różnymi pochodzeniem, językiem, obyczajami, naturą, cywilizacją? pomiędzy tylu sprzecznymi z sobą religiami? Usuńcie w myśli błędy, zabobony, dziełem człowieka będące; czyż w głębi wszystkich religii nie widzicie przeblaskującej religii prawdziwej? Bo jedna jest ona tylko, jak jest jedna logika, arytmetyka, moralność, sprawiedliwość; a ta jedyna religia ma tylko jeden cel, jedno zadanie: łączyć człowieka z Bogiem i Boga z człowiekiem.

Jeden to z pierwszych i najpiękniejszych wyników tej nauki religii porównywanych, nieistniejącej dotychczas, do której wiek XVII był niezdolny dla braku pomników; wiek XVIII jeszcze mniej, ale z innego powodu, a mianowicie, że nie widział tych pomników, które się zjawiać zaczynały; którą przedsiębrał wiek XIX, a która omyli nadzieje i plany wrogów religii; podczas bowiem, gdy oni spodziewają się na dnie mnogich wiar znaleźć zaprzeczenie religii, ujrzą ją tam w większej jeszcze jasności i piękności, odnajdą najlepsze jej prawa i najniezbite dowody.

Im więcej, w istocie, badać będą religie starożytne, tem bardziej przekonywać się będą, że żadnej człowiek sam nie wymyślił. Wszystkie są wyjęte, naśladowane, odwzorowane z najpierwszej, powszechnej i wiecznej religii. Typ jest tylko jeden, z którego wytworzyli się naśladowcy. A ponieważ typ ten, od Boga dany, ma niemniej swe podstawy w najtajniejszych głębiach ludzkiej duszy, jeden tylko jest i może być porządek prawdziwy w religii, który *religie* naśladowały. Coraz więcej wykazywać to będzie głębsze badanie ksiąg świętych i podań rodzaju ludzkiego. Ujrzą wtedy ze zdumieniem w tych różnych formach tę samą treść Boską; akty jednakowe wszędzie, wznoszące ludzi do Boga, i akty, również wszędzie jednakowe, Boga do ludzi sprowadzające. A widząc, że zawsze na całej powierzchni globu była religia rzeczywista, skutecznem obcowaniem Boga i człowieka, wzniosą się ludzie do myśli, że instytucja ta nieludzką ręką utworzona została. Będą usiłowali rozpoznawać pochodzenia, spaczenia i pod wszystkimi temi wynaturzającymi osłonami zacząć przeczuwać, aż ujrzą jasno i ogłaszają religię prawdziwą, nie wzruszoną i wiekuistą.

Trzeba zauważyć istotnie, że tam nawet, gdzie wkradł się błąd, nie mógł naruszyć treści religii. Treść, głąb rzeczy, jest poza obrębem i powyżej mocy ludzkiej, tak w religii, jak i w innych rzeczach. Religia pozostała tem, czem Bóg ją uczynił. Odnajdujemy ją na dnie wszystkich ksiąg świętych, w Wedach, Zend-Aweście, Koranie, jak i w Biblii z tą samą fizyognomią, temi samemi cechami. Wskażcie mi księgę świętą, świątynię, naród, jakie dzikie plemię, gdzieby religia nie była stosunkiem Boga z człowiekiem, potrójnym stosunkiem umysłu, serca, życia całego. Pokażcie religię, gdzieby nie było dogmatu, moralności, kultu. Jedną choćby pokażcie! Błąd tu nic nie dokazał. I równie jak fizyognomii ludzkiej nie mogły odmienić ludzkie namiętności, ani różne nieba, i na obliczu Kafra i Hotentota zarówno, jak Greka i Francuza odnajdujemy zasadnicze rysy ludzkiej twarzy, — tak samo w *religiach* nic naruszyć nie mogło głównej treści boskiego dzieła; i dosyć jednego spojrzenia, ażeby pod szpecącemi je osłonami odnaleźć prawdziwą, powszechną i niewzruszoną religię.

III.

A idźmy dalej. Trzeba głębiej wniknąć w budowę religii, ażeby zobaczyć, jak ten gmach jest prosty, naturalny, doskonale zgodny z tem, co w nas jest najlepszego.

Religia jest więc spotkaniem się Boga i człowieka, ich zjednoczeniem. Widzieliśmy, dlaczego się oni łączą: idą za skłonnością, która ich wzajemnie zbliża ku sobie. Teraz zaś, ujrzawszy *dłaczego*, trzeba starać się dowiedzieć: *w jaki sposób*? Jak łączą się? jak duch łączyć się może z duchem? serce z sercem? w jaki sposób

może siła połączyć się ze słabością? Bóg jest duszą i człowiek także; jakże się dusze jednoczą? Trudno będzie zbadać bliżej tę kwestyę bez rzucenia nowego światła na treść religii.

Zastanawiając się głęboko nad duchową naturą człowieka, widzimy w niej dwa szeregi odpowiadających sobie czynów. Naprzód czyny odosobnione, osobiste, nie śmiem rzec: egoistyczne, dla złego znaczenia tego słowa, przez które człowiek, skupiając swe życie, podnosi je do najwyższej potęgi. Potem, czyny stosunku, przez które wychodzi z siebie, a czując się osamotnionym i słabym, zawiązuje stosunki z tem, co go otacza, dla zaczerpnięcia w nich powiększenia i siły. To przyływ i odpływ ludzkiej duszy, podwójny, harmonijny i dźwięczny ruch życia.

Przyjawszy to za pewnik, zbadajmy najpierw, jak się rzeczy mają w jego rozumie.

Człowiek przygląda się swemu otoczeniu, zastanawia się, sądzi, porównywa, czyni wnioski: to jest akt pierwszy. To praca rozumu, czyn odosobniony, którego piękność zbytecznem jest podnosić, gdyż uczynił to już Kartezjusz: „Myślę, więc jestem.”

A obok tego pierwszego czynu, bezpośrednio po nim, a może i przedtem, o to mniejsza, wykonywa człowiek drugi, również piękny, równie niezbędny dla całkowitego życia jego inteligencji. Napotyka drugi umysł, pyta go, wierzy weń; i drugim tym czynem wchodzi w stosunek z odmiennym od swego duchem: wzbogaca się jego myślami; przestaje być odosobnionem, jałowem ziarnkiem pyłu; wchodzi w harmonijną społeczność duchów. Dziecko pyta ojca i słowu jego daje wiarę; uczeń wierzy mistrzowi, żona mężowi, lekarzowi chory, żołnierz dowódcy,

a człowiek Bogu swojemu wierzy; inaczej nie byłoby ani rodziny, ani przyjaźni, miłości, społeczeństwa ani religii.

Powiadają ludzie: „Mam swój rozum i ten mi wystarczy.” Tak jest, co do pewnych rzeczy, ale nie co do wszystkich. Na cóż, na przykład, przyda ci się swój rozum, gdy jesteś chory? Przyzywasz doktora i w nim pokładasz ufność, wierzysz mu w kwestyi twego zdrowia i życia. A w iluż to innych okolicznościach nieinaczej postępujesz! Jednym z najpiękniejszych a najzwyczajszych na tym świecie przykładów są ludzie, którzy słowu przyjaciela powierzają żonę, dzieci, majątność i odchodzą bez trwogi, mówiąc: „Śpię spokojnie, mam jego słowo.” Oto święta podstawa stosunków międzyludzkich. Odrzućcie ją; trzymajcie się jedynie działania waszego rozumu; nie wierzcie nikomu: nie będzie już dla was rodziny, ani przyjaźni, miłości, ni społeczeństwa, pewności, ni życia żadnego. Najświętsze rzeczy opierają się w części na wierze; zatem także religia, ponieważ Bóg jest duchem, a w mnóstwie okoliczności jeden jest tylko sposób zawiązania z duchem stosunków, a tym jest: pytać go i wierzyć jego słowu.

Drugim odosobnionym czynem człowieka jest wiara w siebie samego, liczenie na siły swoje, na swe własne życie, a przez to szlachetne uczucie podnoszenie tych sił do najwyższego stopnia. Ale wobec tylu nieprzyjaciół człowiek jeden tak mało znaczy. To też drugim jego czynem jest nadzieja w innych, wzywianie innych sił na pomoc swoim. Nadzieja—to drugi akt stosunku, a córką jej jest prośba. Człowiek prosi człowieka, aby otrzymać od niego pomoc; dziecię prosi rodziców, żona męża, wszystkie słabości proszą sił wszelkich, a prosząc opanowują

je. I w tem to urok rodziny, przyjaźni, społeczeństwa. Co chwila siła mocuje się ze słabością i jest przez nią pokonana. Rozbraja ją prośba. To też, jeżeli tak jest na ziemi, jeżeli człowiek prosi człowieka i przez tę prośbę otrzymuje dodatek wyższej siły do swej słabości, cóż w tem dziwnego, że człowiek prosi Boga i że przez to także podporę i pomoc otrzymuje?

Nakoniec człowiek kocha siebie. Nic też w tem niema złego ani zabronionego; jest to nawet nieprzecieżonem. Ale, dzięki Bogu, który stworzeniu swemu dał prawdziwą piękność, człowiek nie samego siebie tylko kocha. Odosobniony ten akt nie wystarcza mu.

IV.

Odosobniony ten akt nie wystarcza mu. Wychodzi poza swą istotę, ażeby kochać, jak wychodził z siebie, ażeby wierzyć i mieć nadzieję; i tym ostatnim aktem dopełnia swoje życie stosunków. Ponad wiarą jest nadzieja, ponad nadzieją — miłość; ponad miłością niema już nic więcej: to dar wszystkie inne w sobie zawierający. Jeżeli więc dla wejścia w stosunek z innemi sercami potrzeba kochać; jeżeli kochamy ojca, matkę, rodzeństwo, dzieci; jeżeli kochamy tak często, z taką łatwością; jeżeli w braku ludzi kochamy zwierzęta: psa, pająka; jeżeli kochamy kwiaty, drzewa, nieożywione przedmioty; jeśli żyć bez miłości nie możemy,—jakże nie mielibyśmy kochać Boga? Któż nie widzi, że tylko przez miłość możemy z Nim zawiązać stosunek i że akt ten uzupełnia nasz z Bogiem związek tak samo, jak stosunki nasze z ludźmi?

Pozostań, jeśli chcesz, w samotności swej, człowiecze. Duchu odosobniony, poprzestawaj na wierze, na-

dzień w samego siebie, na miłości siebie tylko; żyj samotnie; — ale będziesz żył bezpożytecznie; nie pragnij stworzyć sobie rodziny, ani nawet dać wytchnąć sercu w przyjaźni. Ażeby stworzyć rodzinę, żeby cieszyć się przyjaźnią, potrzeba wyjść z siebie i oddać się drugiej istocie, trzeba mieć wiarę w tę istotę, nadzieję i miłość dla niej. Jeżeli więc ponad rodziną, przyjaźnią, społeczeństwem, z Bogiem chcemy mieć stosunki, z tym wielkim, ukrytym, najbardziej ze wszystkich nieprzeniknionym duchem, winniśmy uczynić tak samo: wyjdźmy z naszego odosobnienia, wierźmy w Boga, w Nim miejmy nadzieję. Kochajmy Go. Czemuż dla zjednoczenia z Bogiem nie uczynilibyśmy tego, co czynimy dla zjednoczenia z najmniejszym duchem? Dlaczegożbyśmy względem Boga nie mieli doznawać tego wzniosłego potrójnego poruszenia serca: wiary, nadziei i miłości? Oto jest religia i oto są *religie*. Niema żadnej, która by nie spoczywała na tej potrójnej podstawie i nie prowadziła dusz przez trzy stopnie tych niebieskich schodów. Raz jeszcze: czyż to wszystko nie jest proste, rozsądne, wdzięczne dla duszy, zgodne z naszą duszą, samo siebie tłómaczące? I czyż nie jest to rzeczą piękną, że religia tę samą ma podstawę, co rodzina, przyjaźń, społeczeństwo, i że święty stosunek dusz z Bogiem ma te same i te tylko prawa, co stosunek dusz między sobą?

Nie mówię, ażeby nie kosztowało wejść tak z Bogiem w stosunek. Czyliż nie kosztują nic trzy odosobnione czyny (działania, akty) człowieka: wiara w siebie, ufność o sobie, miłość siebie? Bo iluż to ludzi samych siebie opuszcza, osamotnia tchórzliwie, mało i źle siebie kocha! A czyż tak łatwe są akty zjednoczenia i wspałałości (générosité)? Czyż tak łatwo względem

najmilszej nawet istoty zachować zawsze wiarę, nadzieję i miłość? To też i z Bogiem wejść w stosunek nie łatwo. Ale zaledwie dusza się odda, gdy Bóg oddaje się nawzajem. Napełnia ją urokiem swej obecności. Stąd to daje jej światło, rozpraszające wszystkie eienie, stąd daje niewymowny pokój, z umysłu do serca, z serca do sumienia rozszerzający się, który ogarnawszy całą duszę, wznosił ją ponad wypadki życiowe, choroby, boleści, ponad śmierć samą.

Uczucie to spokoju w posiadaniu Boga, owo głębokie i wzruszające szczęście, ceną wiary, nadziei i miłości osiągnięte, jest takim, że najwięksi nawet niedowiarkowie nie bez żalu i niepokoju odczuwają jego przedsmak. „Ach, gdybym mógł wierzyć!” — powiadają.

Czuja, że wiaraby ich ożywiła, uzdrowiła zniewieściałą ich duszę, odnowiła by zużyte, pełne rozczarowań, odarte ze złudzeń życie. Pogoda, jaśniejąca na czole prawdziwie religijnego człowieka, zwykły jego spokój, to coś nieokreślenie łagodnego i czystego, które z serca na rysy twarzy przechodzi — przejmując ich podziwem, wywołując czasem mimowolne westchnienia. A cóż oni widzą? Pewne jedynie znaki zewnętrzne, słabe objawy obecności Boga w duszy. O! czemuż nie mogą przeniknąć aż do przybytku sumienia, uczuć ten pokój rozumu nakarmionego nieskończoną prawdą, tę boską nadzieję, gdzie gasną wszystkie żądze ziemskie, tę niewymowną miłość, którą się dusza napawa, niewypowiedzianą radość rozmowy z Bogiem poufnej, jak z przyjacielem! Jakiemże uwielbieniem byłiby przejęci! A żałując, że nie posiadają dóbr tych szacownych, z jakąż gorliwością oswobodziliby się od krepujących ich więzów, ażeby przez wiarę, nadzieję i miłość dojść do pełnego posiadania Boga!

Owo wielkie i wzruszające zjawisko, to wzajemne oddanie się duszy Bogu, a Boga duszy, tłumaczy, dlaczego religia, ciągle zwalczana, odradza się nieustannie. Jest ciągle napastowana, ponieważ człowiek inaczej się z umysłem, sercem, życiem Bożem jednoczyć nie może, tylko przez wiarę, nadzieję, miłość, to znaczy przez potrójne oddanie się, potrójną ofiarę, potrójną cnotę. Odradza się ustawicznie, bo związek ten tak jest słodki, że nieobecności jego nie wytrzymuje człowiek: jest to czar, do którego zawsze się powraca.

V.

Ale trzeba się wznieść jeszcze wyżej: do ostatniego słowa religii, wybitnego i Boskiego rysu jej piękności, najwyższej przyczyny trwałości jej wiekuistej.

Powiedzieliśmy już, że Bóg i człowiek szukają się wzajemnie i odnajdują w religii. Spróbujmy wynaleźć głębsze określenie i powiedzmy: Bóg i człowiek to dwie miłości szukające się i w religii oddające się sobie wzajemnie. Określenie to przygotowuje nas i pomoże nam później do rozpoznania religii z pomiędzy wszystkich *religii*. Jest to jej nieomyślne kryterium, wybitna cecha jej prawdy.

Ze wszystko w człowieku sprowadza się do miłości, to nie potrzebuje nawet dowodzenia. Ciało jest powodowane przez ducha, duch przez wolę, wola przez miłość. Święty Tomasz to powiedział: *Voluntas bona, amor bonus; voluntas mala, amor malus* (Dobra wola, dobra miłość; zła wola, zła miłość). Miłość więc jest sprężyną człowieka.

Powiedział ktoś: „Człowiek jest inteligencją, rozumem.” Trzeba pójść dalej, odnaleźć punkt główny i powiedzieć: „Człowiek jest miłością.”

Wszystko w nim z tego źródła pochodzi: wielkie myśli, wymowne słowa, bohaterskie postanowienia, największe piękności umysłu, uczucia, czynów; życie zapelnione, chwalebny zgon, wszystko z serca pochodzi, wszystko idzie z miłości.

Taką jest prawdziwa natura człowieka. Napozór uczynił ją Bóg niejednolitą. Ciało, duch, wyobraźnia, pamięć, wola, sąd—ileż to składników! Ale przeróżne te władze cudownie uporządkował. Wszystkie odnoszą się do serca. Co mówię! wszystkie w sercu się jednoczą. A tam, w tem centrum umieścił próżnię, otchłań bezmierną, ażeby serce, dążąc ku Bogu, całego człowieka pociągało za sobą.

Widzieliśmy, że z prawdziwej natury człowieka można wyprowadzić logiczny wniosek o prawdziwej naturze Boga, bo Bóg, który nas stworzył na obraz i podobieństwo swoje, posiada to wszystko, co w nas jest wielkiem, z dodaniem nieskończoności. Zatem, jeżeli miłością jest człowiek, wynika z tego, że Bóg jest także miłością. Miał o tem niejakię pojęcie Platon, przeczuwał Arystoteles, Święty Jan nauczał tego. „*Deus charitas est*” ¹⁾—mówił: Bóg jest miłością. To jest Jego prawdziwa natura, treść Jego istoty.

A miłość ta do czegoż dąży? Zapewne, tego powtarzać nie przestaniemy, wystarcza sobie; nie potrze-

¹⁾ Joann. IV, 8, 16.

buje nikogo; w sobie samej znajduje szczęście, niepożyty swój pokarm. Ale wiecie co się dzieje, gdy kochamy? Chce nam się wyjść z siebie, uszczęśliwiać drugih, udzielać i wylewać szczęście nasze. Wielkie serca najgoręcej tę potrzebę odczuwają. Gdyby więc było serce nieskończone, serce o nieograniczonej tkliwości i miłości, któż powie, czemu w niem była ta skłonność, ten niewymowny pociąg wyjścia z siebie, ażeby swego szczęścia udzielać drugim? Taka jest prawdziwa natura Boga.

Człowiek jest miłością szukającą Boga, ażeby się także nasycić, ażeby zadowolić w sobie potrzebę oddania się; tak więc Bóg i człowiek są to dwie, poszukujące się wzajem, miłości. I oto już zaczynacie dostrzegać, czym jest prawdziwa religia: wspaniałą świątynią, gdzie się te miłości spotykają.

Tak jest, Bóg kochający człowieka i człowiek kochający Boga, — oto jest religia, oto jej ostatni i najwyższy wyraz!

Bóg, pograżony w swojej chwale i udręczony, jeżeli się ośmielimy użyć takiego wyrażenia, potrzebą człowieka;

Człowiek pograżony w swej nędzy i udręczony potrzebą Boga.

Bóg, nie wytrzymując dłużej swej samotności, woła człowieka, szuka go, przychodzi do niego, zstępując ze stopnia na stopień, z nieba na Synai, z Synai do Żłobku, ze Żłobku na Krzyż, na ołtarz, zatrzymując się zaledwie w sercu człowieka;

Człowiek, także osamotnienia swego nie mogąc wytrzymać, usuwa przeszkody, odrywa się od stworzeń,

szuka skrzydeł i znajduje je: skrzydła wiary, nadziei, miłości; wznosi się z cnoty w cnotę, z ofiary w ofiarę: na łonie Boga zaledwie odpoczynek znajdując;

Bóg i człowiek wyciągają do siebie ręce, szukają siebie wzajem, jednoczą się z sobą: oto jest religia, prawdziwa jej natura, jej treść Boska.

I oto zarazem jej niezrównana piękność! bo jeżeli miłość dla słabych nawet istot tak wielkie czyni rzeczy, cóż to będzie z miłości Boga dla człowieka i z miłości człowieka dla Boga!

W tem także leży jej cecha, najwyższe piętno jej prawdziwości. Miłość jest nienasyconą; dając wszystko, cierpi jeszcze nad tem, że nic nie dała; powiedzcie mi tedy, jaka religia będzie największą? czyliż nie ta, gdzie Bóg i człowiek najwięcej dla siebie wzajem uczynią? Tak, oto kryterium porównawcze, oto Tabor, na który trzeba wezwać dla porównania wszystkie religie.

To nakoniec wyjaśnia niepożytość religii, jej wieczną trwałość. Dziwi was to czasem, że nie można wykorzenić religii. Ach, bo na to potrzebaby zarazem unicestwić Boga i człowieka, gdyby bowiem człowieka tylko zgładzono, Bógby go na nowo stworzył dla szczęścia kochania go; a jeżelibyście dowiedzieli niemożności i zniszczyli Boga, człowiek takby był nieszczęśliwy, tak brakiem jego udręczony, że, iż się tak wyrazić ośmielę, usiłowałby Go sam stworzyć. Nie polityka też to ani strach,, ale miłość, miłość zboliała wyrzekła:

„Gdyby Boga nie było, trzeba by Go wymyślić.”

Homer wskazuje Ocean, świat otaczający, jako początek wszystkich bogów. Myli się. Gdyby Bóg przez człowieka mógł być stworzony, wyszedłby z pewnością z morza łez naszych. Powstałby z niewymownych cierpień ludzkiego serca, szukającego Boga, nie znajdującego Go i niemogącego się bez Niego obejść.

ROZDZIAŁ CZWARTY.

Bolesny dramat niewiary. Człowiek bez religii i Boga.

Naprzeciwko rozległych tych i czystych widnokręgów, które religia otwiera przed nami, tego pokoju w prawdzie, tej pogody biorącej źródło w cnocie, tej żywotności i sił boskich, trzeba postawić bolesny dramat niewiary.

Chcę opowiedzieć, jak on się zaczyna, gdzie jest smutny jego wątek, dokąd zmierza. Ale nie ogólną niewiarę mam zamiar malować, tylko naszą chorobę, naszego stulecia. W moim wieku znam ją już, jak gdybym sam jej doświadczył. W tylu duszach ukochanych i pięknych widziałem jej burzliwy początek, z takim niepokojem śledziłem przebieg jej smutny, tyle serc zakrwawionych, inteligencyi spustoszonych przez nią otwierało przede mną swoje rany! Niektórzy z mych przyjaciół, z tych niestety, których dziećmi swojemi nazywałem, zginęli z tej przyczyny. Ach, tyle cierpiełem nad niewiarą innych, że nie trudno mi ją będzie odmalować. Trzebaby to tylko zrobić z taką delikatnością, piórem

tak wzruszonym, z sercem tak-leż pełnem, w tak tkliwych wyrazach, ażeby proste to przedstawienie rzeczy samo przez się stało za środek zaradczy.

I.

Więcej trochę, aniżeli przed stu laty, ujrzała Francya zadziwiające zjawisko i widzi je jeszcze bez należytego podziwu i przestrachu.

Tem zjawiskiem jest dziecko piętnastoletnie w nic już niewierzące! A raczej są niem tysiące takich dzieci i dorosłych młodzieńców, bez żadnej religii!

Tak, w piętnastu latach rozpoczyna się dziś niewiara. I jest to pierwsza z przyczyn, dla których nazywam ją bolesnym dramatem.

Zapewne, trudnoby mi było zrozumieć człowieka lat czterdziestu, dojrzałego wiekiem i umysłem, który zbadawszy chrystyanizm, odrzuciłby go; ale przynajmniej z pełnym szacunku współczuciem, skłoniłbym głowę przed takim nieszczęściem. A tu rzecz ma się inaczej.

Wychowałaś oto, matko, dziecko swoje z całą czułością, do jakiej twe serce jest zdolne. Ze staraniem zazdrośnem czuwałaś nad tem, aby od jego kolebki, jego dzieciństwa odsunąć wszystko, coby blask ich zaćmić mogło. Z uświęconych przez macierzyńską miłość rąk twoich, w wieku lat dziesięciu przeszedł w inne ręce kapłaństwem święte, które z poszanowaniem dotykały jego duszy, oczyszczały ją i podnosiły. Potem widziałaś z głębokiem wzruszeniem, jak to dziecko, twoje dziecko, wchodziło do domu Bożego i odbywało tam uroczyscie pierwszy publiczny akt swojej religii. Pierwszy to raz,

o matko, młoda dusza twojego syna łączy się z Bogiem. Przypatrz-że mu się dobrze; może to i ostatni!

A nalegać ci niewolno, choćby ze łzami nawet. Bo dziecko to piętnastoletnie mogłoby ci odpowiedzieć tak samo, jak niedawno w mojej obecności odpowiedział syn jeden zbolącej matce: „Cóż chcesz, matko, żebym robił w kościele? Nie wierzę już w Boga!”

Powiedzą mi może, że to słowo na wiatr rzucone, chwilowa i przemijająca gorączka. Nie, to początek życia, które potrwa lat dwadzieścia, trzydzieści, pięćdziesiąt. Niektórzy umrą nawet, po długiej starości, w tym samym stanie, nie zatrzymawszy przez chwilę myśli na tym akcie, który o życiu jego stanowił.

Nowe to i niezrozumiałe zjawisko. Bo zwróćcie uwagę, że zadziwia w niem nie tylko wiek i wczesność upadku, ale i ogrom klęski. Dawniej, w wieku lat piętnastu, dwudziestu, można było opuszczać niektóre praktyki religijne, mimo to wiarę się zachowywało. Występek mógł skalać chwilowo serce, głęboko nawet, ale trwała w niem wiara w Boga, ufność w Jezusa Chrystusa, modlitwa i szczątki miłości Bożej, które najmniejszy podmuch rozpałić mógł na nowo. Dzisiaj wszystkie tamy naraz ustępują, wszystkie zapory łamią się jednocześnie. Znika nie tylko wiara katolicka: wszelka wiara uchodzi, wszystka religia gaśnie. Niema już modlitwy, ołtarzy, Chrystusa, niestety, niema Boga dla piętnastoletnich dzieciaków!

Czy zatrzymaliście się kiedy z osłupieniem przed tem dziwnem zjawiskiem ucznia w nic niewierzącego? Byłoby to śmiesznem, gdyby nie pobudzało do płaczu. Zaledwie wychodzi chłopiec z dzieciństwa, nie jest jeszcze w stanie zdobyć się na męską myśl, na poważne

badanie, a odrzuca z pogardą to, w co uwierzyli po najgłębszych rozmyślaniach taki Bossuet, Pascal, Fénelon, Descartes, Newton, Leibnitz, Euler. Te sześć tysięcy lat wiary, te ośmnaście stuleci chrystyanizmu, cudowne dzieła z tej wiary powstałe, wszystko to dla niego kłamstwo, głupstwo, przesąd i ciemnota. Patrzy na chrześcijanizm, a raczej i patrzeć nań nie raczy; tylko sądzi go i odrzuca. A z nim razem odrzuca wszelką wiarę, religię i sumienie, nawet wiarę w Boga. Wieki dawniejsze nie widziały nic podobnego, a starożytność pogańska zgrozą byłaby na ten widok przejęta. A jednakże tę młodzież jeden tegoczesny myśliciel nazywa z dumą: „Nasi synowie!” Ładni ci wasi synowie!

Gdybyż jeszcze smutne to zjawisko występowało tylko u niektórych młodzieńców, mniej lub więcej zepsutych, nie tak dziwnemby to było; zboczenie z drogi obowiązku zawsze rodzi obojętność w rzeczach wiary, i możnaby wytłómaczyć przewrót ich umysłów przez obyczaje skażone. Ale smutna choroba, o której mówię, ma zupełnie inny charakter, zadaje kłam wszystkim spostrzeżeniom. Nie cierpi od niej jedynie garstka młodzieży, zepsutej mniej więcej, ale tłumy całe. Połowa, dwie trzecie płci męskiej we Francyi są dotknięte tą „obrzydliwą chorobą ducha,” jak jeden z nich powiedział, i tracą wszelką wiarę w wieku lat piętnastu.

Skąd to pochodzi? Jak wytłómaczyć upadek tak wczesny, tak niezmierną i powszechną katastrofę? Mówią: Nic naturalniejszego. Namiętności to powodują. Ale ja odpowiem: Czyż od dzisiaj datują się namiętności? Czyż kiedy wydały one co podobnego? Czy kiedy w jakimkolwiek czasie widziano obraz podobnie smutny, jak ten, który ogląda nasze stulecie: na sto dzieci, ośmdziesiąt

bez żadnej wiary? Czyż to zresztą rzecz dowiedziona, że zepsucie serca poprzedza w nich odstępstwo od religii? czasem towarzyszy mu tylko, czasem nawet za niem idzie za ledwie. A iluż ich zostaje dobrymi, zachowuje cnotę, dobre obyczaje, wypełnia wszystkie swoje obowiązki oprócz, niestety, obowiązków względem Boga! Nie, wiekuiste namiętności ludzkiego serca, tyle rzeczy tłómaczące, nie wyjaśnia tego, tak nowego, nieznanego w starożytności stanu, o którym wieki średnie, ani nawet wiek XVII nie miały najmniejszego pojęcia, któryby je przejął oburzenia pełnym podziwem i który, jako właściwość XIX-go stulecia, pozostanie na zawsze bolesną jego cechą.

Ale co mówię, nawet dzisiaj nie spotyka się nic podobnego, ani w Anglii, ani w Ameryce, w Prusiech, w Rosyi, w Hiszpanii, we Włoszech, Polsce ani na Wschodzie, u mahometanów, ani u dzikich. To choroba nie tylko nowa, ale lokalna, specyalna choroba Francyi; jej przyczyny trzeba więc gdzieindziej szukać, aniżeli w sercu nieszczęśliwej młodzieży, będącej jej ofiarą. Ale gdzież?

- Wiecie co we Włoszech nazywają *mala aria*? Uda wałem się raz do Ostyi, dla uczczenia pamięci Św. Augustyna i Św. Moniki. Był to prześliczny ranek sierpniowy. Słońce świeciło jasno; niebo było nadzwyczaj pogodne i przejrzyste. A jednak w miarę jakem postępował naprzód, ziemia wydawała mi się chorą. Zamiast gęstych traw woniejących, skąd spoglądały na mnie wielkie czarne bawoły, napół w zieloności ukryte, spostrzegałem tylko dzikie chwasty, trawkę gdzieniegdzie, ziemię spękaną od upału i chude owce. Za przybyciem do Ostyi, podwoiło się moje zdziwienie. Ludność

uciekła; kościół był zamknięty. Ledwo znalazłem blado wymęczonego od febry chłopca, żeby mię do ruin zaprowadził. Gdym go zapytał, na co cierpi, usłyszałem tylko: *La mala aria*. Zараźliwe miazmaty podnoszą się w lecie z tych ziem niezdrowych i zatruwają powietrze. Nie można już oddychać niem bezkarnie.

Obraz to tego, co dziś dzieje się we Francyi pod względem moralnym i religijnym. Piękną jest jej cywilizacya, ale dusze oddychają tam zatrutem powietrzem. Zarazki moralne unoszą się w atmosferze umysłów i wszędzie się przedostają. Pełne ich są: ognisko rodzinne, szkoła; nikt nie może uniknąć ich wpływu. Słabsi giną od nich; silniejsi cierpią. To jak w zarazie, odmalowanej tak znakomicie przez wielkiego naszego bajkopisarza:

„Nie wszyscy umierali, ale dotknięci byli wszyscy.”

Młodzi szczególnie padają masami, nie tyle trawieni wewnątrz namiętnościami swego wieku, ile zatruwani i duszeni zzewnątrz powietrzem, jakim oddychają w społeczeństwie. Spojrzmy zbliżka na to wszystko; ujrzyście przyczynę „szkaradnej choroby ducha,” której dziś młodzież podlega, i w jaki sposób działa powoli trucizna.

II.

Zatrzymajmy naprzód wzrok na ognisku, gdzie dziecko przychodzi na świat, na rodzinie takiej, jaką ją uczyniły nieszczęścia czasu, albo raczej, ażeby lepiej zbadać otchłań, spojrzymy na rodzinę taką, jak ją Bóg utworzył, ażeby młodzieniec wyszedł z niej czysty i silny,

przygotowany zawczasu do niebezpieczeństw mu grożących i zwyciężyć je zdolny. Pod jakim warunkiem udzielił Bóg ojcu, matce zaszczytu ojcostwa? Pod warunkiem najdoskonalszej jedności. Jeden duch, jedno serce, jedno życie, imię, ciało, wedle silnego wyrażenia ksiąg świętych: *Unus spiritus et una caro* (Jeden duch, jedno ciało). Za tę cenę, i za tę jedynie, będą ojcem, matką, staną przed Bogiem z wysokim ojcostwa zaszczytem. Zjednoczą swe życia, ażeby dać swemu dziecku życie ciała; zjednoczą umysły, dla dania mu życia umysłowego; dusze swe, sumienia, miłość nieskończoną połączą, dając mu życie duszy; a on syn swego ojca, swojej matki, zdrów na ciele, umyśle, sercu, sumieniu, całkowicie poczęty, wejdzie w życie z umysłowym, moralnym i religijnym temperamentem, zdolnym oprzeć się wszelkim namiętnościom i wszelkim niebezpieczeństwom stawić czoło. Oto jest tajemnica ogniska, jak je Bóg uczynił, i wszędzie, gdzie trwa tak doskonała jedność, dzieci dziś nawet są zdolne przetrwać mężnie próby.

Ale niestety, cóż się stało z tem ogniskiem? Cóż zrobiliśmy z tem dziełem Boga, z tą zupełną i doskonałą jednością? Łączą się jeszcze ludzie, jako istoty zewnętrzne, szczególnie zaś majątności. Biorą szale, ważą dwa worki złota. W wielu rodzinach jedyna to, o ile wiem, harmonia. Ale któż myśli o jedności dusz? Matka wierzy, ojciec nie wierzy. Matka modli się i cześć oddaje, ojciec ani pomyśli o tem. Nigdy nie zetknęły się wzniosłe strony ich dusz. Dziecko, które z tego fałszywego związku powstanie, będzie mogło być silne ciałem, ale duszą będzie rachityczne, gdyż jest niezupełnie poczęte.

To jest pierwsza przyczyna tego niskiego poziomu religijnego usposobienia, uderzającego w tegoczesnych pokoleniach. A gdy dziecko zaczyna patrzeć i rozumieć, jaki widok ma w najbliższem otoczeniu? W siedmiu latach spostrzega to i zapytuje matkę w prostocie ducha; w dziesięciu latach dziwi się; w piętnastu gorszy i na pierwszy głos namietności broń sobie z tego robi. I nie żart to niesmaczny i zimny, ale gorzka nauka dla ojców, te słowa wyjęte z ust dziecięcych: „Mamo, kiedyż będę taki duży, żeby się nie modlić, jak papa?”

Niecałkowicie w rodzinie pod religijnym względem poczęty i osłabiony już w wierze przykładem ojca, młodzieniec przechodzi do szkoły; a cóż tam często znajduje? Szkoła, ta druga twórcza i opiekuńcza dla młodości siła, zarówno jak i domowe ognisko, płodną być nie może, nie może dusz poczynać, ani kształcić bez jedności. Szkoła—to wielki głos ludzkości, religijny, moralny i umysłowy. Są to wielkie prądy wiary, smugi światła, tradycje smaku. Nie ukazujcie dziecku przeczącego sofisty, również jak zająkliwego barbarzyńcy i niszczącego wszystko dzikiego człowieka; albo jeżeli to uczynicie, czyńcież na sposób Sparty, która dla obrzydzenia dzieciom swoim pijaństwa, pijanych niewolników im pokazywała.

A czy tak jest za dni naszych? Czy zabezpieczyliśmy od niewiary szkołę, to drugie ognisko rodzinne naszych dzieci? Czy zamknęliśmy drzwi jej przed wszystkim, co poniżej dziecko i może je zgorszyć? Czyśmy pozaklejali jej okna dla niedopuszczenia do niej wyziewów zaraźliwych? Niestety! otwieraliśmy je czasem naościę, ażeby z niej Boga wypędzić. Ze wszech

stron wtargnęły: zwątpienie, bezbożność, obojętność; a z dzieckiem cóż się stało? Już w 1840-ym roku pisał Lamartine: „Na podobieństwo tych dzieci barbarzyńców, zanurzanych zaraz po urodzeniu w gorącą i lodowatą naprzemian wodę dla znieczulenia skóry na wpływy powietrza, przerzucano dziecko po kolei od religii do niedowiarstwa. Wychodzi chłopak z domu ojca, może wierzącego, a może sceptyka; widział, jak matka potwierdzała to, czemu zaprzeczał ojciec, wstępuje do zakładu podzielonego duchem i dążnością. Potrzebowalby zatem mieć chyba dwie dusze, a tymczasem jedną ma tylko. Ciągną ją i szarpia w różne strony. W myślach jego powstaje zamieszanie i nieład. Część ich pozostaje przy wierze, część inna przy rozumie. Dziecko dziwi się tym sprzecznościom, zaczyna się domyslać, że grają przed nim wielką komedję; że społeczeństwo nie wierzy w nic z tego, czego naucza, że ma dwie wiary i dwie moralności: jedną wiarę i jednego Boga dla dzieci, drugie dla podrostków, inne może jeszcze dla dorosłych ludzi. Myśli te przygniatają go. Wiara jego gaśnie, rozum bez gorliwości ostyga. Dusza robi się oschłą, a zapal przechodzi w obojętność lub zniechęcenie.”

Mówił to Lamartine trzydzieści lat temu. Posłuchajmy teraz innego, jeszcze mniej o stronność podejrzanego głosu; posłuchajmy Alfreda de Musset: „Ponieważ, młodym jeszcze będąc, byłem dotknięty okropną chorobą ducha, opowiem, co działo się ze mną przez trzy lata. Gdybym sam jeden był chory, milczałbym o tem; ale ponieważ wielu innych cierpi na to samo, dla nich piszę... Nie miałem jeszcze lat] szesnastu, gdy już w nic nie wierzył. Ani dzieckiem będąc, ani

w szkołach, do kościoła nie chodziłem; religia moja, jeżeli miał jaką, była bez obrządku i symbolu wiary; wierzyłem tylko w jakiegoś nieokreślonego, bez kultu, bez objawienia, Boga. Od dzieciństwa zatruty byłem wszystkimi pismami XVIII wieku, z których wcześniej nasiąknąłem jadem bezbożności. Pycha ludzka, ten Bóg egoistów, zamykała mi usta przed modlitwą, a wylękla dusza, uspokajała się nadzieją nicości.”

I nie sądzicie, aby to był wyjątek. Był to stan ogólny. „Jak ten żołnierz na zapytanie w kogo wierzy, odpowiedział: „W siebie samego,” — młodzież na pytanie miała gotową odpowiedź: „W nic wcale.”

„Któż się ośmieli opowiedzieć, co działo się naówczas w szkołach, — dodaje wyżej przytoczony autor. — Ludzie o wszystkim wątpili, młodzież przeczyła wszystkiemu. Poeci opiewali rozpacz, młodzieńcy opuszczali szkoły z czołem pogodnem, licem świeżem i zdrowem, a z bluźnierstwem na ustach. Serca powędły, jak zwarzone kwiaty. Zamiast mieć zapal zła, umieliśmy się tylko zdobyć na zaparcie się dobra, zamiast rozpacz ogarniało nas znieczulenie. Piętnastoletnie dzieci prowadziły w kwitnących zaroślach rozmowy, zdolne wstrząsnąć zgroszą nieruchome gaje Wersalu. Komunia Chrystusowa, Hostya, ten wieczny symbol niebieskiej miłości, służyła za pieczętki do listów. Dzieci wypluwały chleb Boży. Szczęśliwi, którzy ocaleli naówczas! Szczęśliwi, którzy w niebo patrząc, przechodzili przez przepaście! Zapewne, byli tacy i ci będą się litowali nad nami.”

Oto, cośmy uczynili ze szkoły w pierwszej wieku tego połowie. A cóż powiem o drugiej? Bezbożność, wygnana z zakładów średnich, a przynajmniej więcej

w nich powstrzymywana i skrepowana, rozwieliżyła się na wyższych kursach. Tam czyhała na młodzież, aby ją psuć i zatruwać. Widzieliśmy nauczycieli, ludzi dojrzałych wiekiem, którzy przy oklaskach zepsutej i lekkomyślnej młodzieży nauczali, że niema Boga, niema duszy, różnicy między dobrem a złem, wolnej woli, ani odpowiedzialności, że mózg wydziela myśl tak samo, jak na przykład nerki mocz wydzielają, że cnota i występki są to wytwory, tak jak cukier lub witryol; że Boga człowiek sam sobie tylko tworzy, wysnuwa Go z siebie, jak pajak swą przędzę. Tak owi starcy nauczali młodzieńców lekkomyślnych, zepsutych, podległych namiętnościom. I mówili im jeszcze, że namiętności wszystkie leżą w naturze, a wszystko, co jest w naturze, jest dobre; że moralność jest rzeczą instynktu, a sumienie prostą bardzo i podległą rozkładowi maszyneryą.

Ach, nie tę młodzież tu oskarżam; więcej jeszcze, aniżeli samych nauczycieli, obwiniam ojców, zezwalających na podobne zatruwanie swoich synów. Powiadam im: „Ślepi jesteście.” Powstał pomiędzy nami we Francyi w ostatnim wieku sofista, który wyrzekł: „Szkoła bez Boga.” I zamiast go biczmi wygnać, jak publicznego truciciela, przyklasnęliśmy mu! A z tego retora, wielkiego przez niektóre swe strony, powstało mnóstwo wstępných mędrków, powtarzających codzien: „Szkoła bez Boga.” A wy jeszcze klaszczecie! Gdy zaś wychodzą z tej szkoły młodzieńcy zepsuci, rozpustnicy, wstyd nam przynoszący, dziwicie się jak głupcy! Kiedy zaś ci młodzieńcy na zebraniach publicznych podnoszą głos bezbożny, gdy wzbudzają w was oburzenie, powiadacie, że za wiele

robią o to hałasu i że to są wyjątki. Bardzo pięknie! Ale gdyby ludzie więcej się zaniepokoiłi pierwszym wybuchem lawy z Wezuwiusza, Herculanium i Pompei nie zginęłyby w morzu płomieni, a podróżnik, ze wzruszeniem zwiedzający szczątki tych klęsk strasznych, nie widziałby tych spóźnionych słów na ruinach: *Cavete, potesteri, vestra res agitur!* (Strzeżcie się, potomni, o waszą sprawę tu chodzi).

Ale nie mówmy teraz o niebezpieczeństwach, społeczeństwu grożących; zajmijmy się tylko duszami.

Niecałkowicie w rodzinie poczęty, osłabiony i jakby zatruty w szkole, młodzieniec dorosły wchodzi w społeczeństwo; wiecież, co wtedy następuje? Upada zaduszony. Cóż bowiem spostrzega na każdym kroku? Złe dzienniki we wszystkich kawiarniach, złe książki u wszystkich księgarzy; dwadzieścia pięć tysięcy nie rządnic, zaczajonych wieczorem na rogach paryskich ulic, pożądających jego młodości; teatry na wszystkich bulwarach i jakież teatry! tak obrzydliwie nieskromne, że sama publiczność, wcale zresztą niewybredna, oburzała się czasem i wołała: „Dosyć!” Tyle o życiu prywatnem. W publicznem — honor w pogardzie, a na jego miejscu zaszczyty; ludzie, wzbogaceni poniżającymi środkami, chodzą z podniesioną głową i dosięgają najwyższych stanowisk; podłość zwie się umiarkowaniem, a cnota głupstwem; wiarołomstwo ze zdradą tak pospolite, że nikogo już nie dziwi; obyczajność zniesiona, a sumienia wszystkie na sprzedaż. W polityce—ani prawa, ani wiary; najświętsze sprawy, gdy tylko są słabe, zdradzane najniegodniej, najnikczemniejsze uwielbiane, byle się tylko udały; pomiędzy ludami żadnej spójni, sprawiedliwości; Europa cała zmieniona w rozległe

targowisko, gdzie, jak u dzikich ludów, uznają tylko prawo silniejszego. Royer-Collard mówi: „Jest wielka szkoła bezprawia, od lat pięćdziesięciu otwarta, której nauki rozlegają się dziś po całym świecie. Szkołą tą są wypadki, w oczach naszych się wydarzające. Jest to za silna próba i ludzkość jej nie wytrzyma.”

A jeżeli rzeczywiście ludzkość upada pod nią, jakżeby mogła ją wytrzymać młodzież? Bo i cóż ma to kilkunastoletnie dziecko, aby się jej oprzeć? Słabość umysłu, większą jeszcze serca, sumienie niezupełnie rozwinięte, uczucia religijne osłabione i niepewne, to też upada, a gdy się spojrzy na każde pokolenie i szuka tych, co w latach dwudziestu wierzą jeszcze w Boga, w duszę swą, w Zbawiciela Jezusa Chrystusa, widzi się, jak w wielkim obrazie rozbicia okrętu, przez Wirgiliusza odmalowanym:

Apparent rari nantes in gurgite vasto!

III.

Ale to zaledwie początek boleści, *initium dolorum haec*. Chociaż początek tego bolesnego dramatu tak jest dziwny, tak nieusprawiedliwiony w oczach rozumu, następstwa jego gorsze są jeszcze. Tak więc młodzieńiec zaprzeczył wszystkiemu, wszystko odrzucił z gorączką, z niedoświadczeniem młodości. Nie poświęcił ani godziny czasu temu, w co Bossuet, Pascal, Fénelon, Kartezjusz, Newton, Leibnitz, uwierzyli po najściślejszym rozbiorze, co było przedmiotem ich ciągłych rozmyślań. Zaprzeczył wszystkiemu,—cóż uczyni teraz? Czy cofnie ten czyn nierozsądny? Czy wiara wyrozumowana

zastąpi naiwną wiarę dziecięctwa? On, który dawniej wierzył na słowo matki, czy będzie teraz uczył się, badał, zgłębiał kwestyę religijną i podniesie wiarę swoją do wysokości nauki? Czy, jak Kartezjusz, poto tylko uczynił pustkę, aby odbudowywać? O za piękneby to było! ale też nie tak się dzieje. Nie wzniesie on nic — nie czuje nawet potrzeby odbudowywania. Chwytają go i pochłaniają sprawy życiowe, po nich rozrywki i namiętności. Tak przeżyje lat dwadzieścia, trzydzieści, czterdzieści; przez cały ten czas nie będzie nic twierdził, niczemu przeczył, bo ma co innego do roboty niż rozmyślanie o Bogu. Widzieliście, co następuje w pewnych cierpieniach? Po silnej gorączce, chory wpada w rodzaj snu letargicznego. Organizm jego już nie działa. Nie widzi on, nie słyszy — śpi. Druga to odsłona owego bolesnego dramatu dzisiejszej niewiary.

Nie pytajcie go już, czy czuje jeszcze w sobie ten wieczny głód umysłu i serca, to święte pragnienie Boga, ten głęboki wstręt do rzeczy przemijających, nieprzeparty do nieskończoności pociąg; słuchałby was, nie rozumiejąc; wszelki zapal, wszelki poryw wyższy zagasł w nim, nie obchodzi go nawet straszne i wzniosłe zagadnienie przyszłości; żyje teraźniejszością, z dnia na dzień, jeżeli to życiem nazwać można; śpi.

Nie pytajcie go również, dlaczego przestał się modlić, dlaczego nie spełnia żadnego z obowiązków religii. On sam nie wie dlaczego. Nie modli się dzisiaj, ponieważ się nie modlił wczoraj, zawczoraj, w przeszłym roku, ani w latach poprzednich; ponieważ niegdyś, dawno już temu, będąc prawie dzieckiem, modlić się przestał, nie wiedząc dlaczego. Innego powodu dzisiaj niema. Gdyby jeszcze zaprzeczał istnieniu Boga, łatwiejby to

było zrozumieć; ale on w nic nie wierzy. Gdyby także poddawał się namiętnościom, ale nie; najczęściej jest to człowiek uczciwy, prawy, szlachetny. Skądże więc to zapomnienie o Bogu? Pytacie go o to; on nawet nie stawia sobie podobnego pytania. Po gorączce przyszło odurzenie; po bezzasadnem przeczeniu sen poniżający. Drugi akt to bolesnego dramatu niewiary w wieku XIX, jak nazywam te smutne przejścia.

Nigdy nie zapomnę dnia, w którym ujrzałem to przesilenie w całej jego rozdzierającej prawdzie. Było to z rana. Wszedł do mnie młodzieniec, aby otworzyć przede mną sumienie w przeddzień ślubu. Miał około trzydziestu lat i stał na czele obszernego przedsięwzięcia, prowadząc je jak najrozumniej i najszlachetniej. Tylko od lat szesnastu zapomniał o Bogu: nie uczcił Go poranną, ani wieczorną modlitwą, myślą uwielbienia, ani wzniesieniem do Niego duszy. A ponieważ młodym był jeszcze, ponieważ smutki ani rozczarowania nie zaćmiły mu dotychczas szczęśliwego życia, zdawał się mnie nie rozumieć, gdym go pytał, czy nigdy nie uczuł potrzeby Boga. Ale oto co w ostateczne wprawiło mnie zdumienie. Wniknąwszy w jego duszę, co mi było łatwem, gdyż szczery był i prawy, znalazłem w niej co prawda słabości, ale żadnego wielkiego rozprężenia; żadnej przepaści moralnej, prowadzącej za sobą zaślepienie; żadnego wrogiego usposobienia przeciw religii i rzeczom świętym. Tylko Boga brakowało. Serce jego było jak te puste domy o zamkniętych okiennicach, których właściciele wymarli, albo jak te świątynie, z których wygnano Boga i gdzie niema już ołtarzy, światła ani kadzideł. I pamiętam, że odprowadzającego pożegnałem takim ściśnieniem ręki, jakim darzymy tych, którzy stracili

ojca, a powracając, mówiłem sobie: „Nie, nigdy nie widziano coś podobnego! nigdy dusze nie były tak do szczeru spustoszone i nigdy nie były tak nieświadome swej nędzy!”

W tem to, w istocie, główna zasadnicza różnica naszego wieku z tymi, które przed nim ucierpiały od niewiary. Niegdyś ruinę wiary sprowadzały wielkie upadki cnoty; wtedy zaledwie zapominano o Bogu, gdy zagaszono dobrowolnie w duszy wszystkie promienie niebieskie; cnota to, uchodząc, gasiła pochodnię; to też bezbożny, a tem imieniem nazywano tego, który już Boga nie czcił, rzadkim był wyjątkiem i wywoływał zgrozę. Dzisiaj w stan ten smutny wpadają tłumy, a w tych tłumach dusze najszczerze, najuczciwsze, najlepsze; ludzie szlachetni, którzy nie dotknęliby włoska z głowy dziecięcia, a którzy przez lat trzydzieści, czterdzieści, pięćdziesiąt żyją, nie spełniając obowiązków względem Boga. Wielki Racine pisał do syna: „Mam nadzieję, że starając się ile mocy być doskonale uczciwym człowiekiem, zrozumiesz, że pierwszym do tego warunkiem jest oddanie Bogu co jest Boskiego.” Oni nie oddają Bogu, co Mu są winni, a mają się za doskonale uczciwych. Dziwne to jest.

Bo wreszcie przeciw podobnemu życiu przemawiają rozum, sumienie, rozsądek, głos wieków wszystkich. Zawsze i wszędzie ludzkość wierzyła w Boga, miała w Nim nadzieję, czciła Go, utrzymywała z Bogiem związek żywy, ciągły stosunek, czerpiąc stąd siłę. A wam, którzy nie wierzycie, nie czcicie, nie modlicie się nigdy, żadnego z Bogiem nie macie związku, co mam powiedzieć, jeśli nie to, że się z ludzkości wykluczacie?

Ale ani oczywistość, ani rozum, ani rozsądek, ani głos wieków lub głos Boga nie przedostają się do uszu chorych w tem drugim stadyum przesilenia, które nazwałem odurzeniem. Nie widzą oni, nie słyszą, są ujęci snem letargicznym.

IV.

Gdy w zdumieniu przed tem tak nowem zjawiskiem, szukamy jego przyczyny, rychło spostrzegamy, że jest poza tym dziwnym snem jeszcze dziwniejsze upojenie, które ów sen umozębnia i podtrzymuje. Cóż chcecie! urodziliśmy się w wieku, w którym potęga człowieka olbrzymie przybrała rozmiary. Tyle cudów przy nas się dzieje! Mamy koleje żelazne i elektryczne, telegrafy, oczekujemy balonów. Po astronomii i fizyce, które odkryły nam prawa, rządzące światem, po chemii, która nas nauczyła pierwiastki składać i rozkładać,—oto biologia przenika w głąb człowieka i zmienić ma, jak mówią, wszystkie warunki jego życia. Ogarnia nas upojenie nowe, potworne upojenie, które jest w powietrzu i które prawie bezwiednie wdychamy pełną piersią.

Upojenie wiedzy! Nie potrzebujemy już Boga, ażeby wytłómaczyć sobie świat, ani żeby rządził nim i nami. Niech sobie pozostaje w swem Niebie, jeżeli jest w niem istotnie, nauka bowiem nigdy Go nie widziała.

Upojenie rozumu, myśli człowieczej! Cóż nas obchodzą jednogodne chociażby uczucia ludzkości?

„Ja sam, ja, powiadam, i dosyć na tem!”

Upojenie krytyki! Znamy początek wszystkiego, tak praw religijnych, jak i wszelkich innych. Poddaliśmy

rozbiorowi księgi starożytne i nie znaleźli nigdzie nie Boskiego.

Upojenie postępu, cywilizacji, wysokiego posłannictwa społeczeństwa nowożytnego. Nie stawajcież na drodze z waszemi przestarzałemi zasadami i odwiecznemi urządzeniami!

Te oto myśli unoszą się w powietrzu. Gdyby rozebrano atmosferę moralną wieku tego, najmniej cztery piątych znalazłoby w niej pychy.

A dokądże upojenie to nie sięga! Aż do szalu. Widzimy zasady, znamy prawa, pozostaje tylko wyciągnąć wnioski. Sprawa to czasu. „Któż wie, — napisano świeżo w *Revue des Deux Mondes*, — czy nauka, opanowawszy życie, nie odmieni jego warunków? czy *nieograniczona wiedza* nie sprowadzi *nieskończonej potęgi*? czy jaki wszystkowiedzący biolog nie udaruje nas nieśmiertelnością?” ¹⁾

To mówią, to jest w powietrzu, tem oddychają ludzie bezwiednie, i to tłómaczy dziwne zjawisko nowożytnej niewiary. Jeżeli tylu ludzi żyje dzisiaj bez modlitwy, bez dziękczynienia, bez ołtarza, bez Boga, — to dlatego, że w głębi duszy wyobrażają sobie, iż nie potrzebują tego wszystkiego, tak głęboko zakorzeniona w nich pycha, tak upojenie jest potworne, tak straszne przesilenie religijne przechodzi obecnie ludzkość!

V.

Później zobaczymy, co mamy sądzić o tem upojeniu, i czy w nauce, w krytyce, w umysłowym i spo-

¹⁾ *Revue des Deux Mondes*, octobre, 1863.

łecznym ruchu, jest choćby cień niezgodności z wiekuistymi naszymi względem Boga obowiązками. Tymczasem przypatrzmy się, do czego doprowadza niewiara, koniec albowiem stanowi o dziele:

Wszędzie końca czekać potrzeba.

Jak kończy się ten podwójnie, to jest przez początek swój i przebieg bolesny dramat? Do czego doprowadza niewiara? Czyż do światła, do cnoty, do zacności, do zdrowia duszy? Czy przynajmniej do pokoji? Zobaczmy. Po owocach o drzewie sądzićmy.

Byłoby to cudem, gdyby piętnastoletnie dzieci po odrzuceniu wszelkiej religii, wszelkiej modlitwy, nie wierząc nawet w Boga, zachowały czystość obyczajów. To też tak nie jest. Wraz za pierwszym upadkiem wiary w wieku młodzieńczym idzie pierwsze skażenie serca. Współczesny poeta, dobrze znający nasze stulecie, wskazał nam ich, tych piętnastoletnich młodzieńców, „usadowionych pod kwitnącymi krzewami, a których rozmowy mogły zgrozą wstrząsnąć nieruchome Wersalskie gaje;” łączących też, jak to bywa zwykle, bezbożność z nieczystością, tak, że „Chrystusowa Komunia, Hostya, ten zakład wiekuistej miłości, służyła im do pieczętowania listów.” Wszyscy współcześni, bez różnicy swych religijnych-przekonań, mówią nam o tem samem przedwczesnem zepsuciu, połączonem z tą samą zuchwałą bezbożnością. „W rozmowie młodzieży, którą znam, *a która stanowi najlepszą część towarzystwa*,—pisał młody naówczas Montalembert, w poufnym, nieprzeznaczonym dla szerszego ogółu liście—panuje przerażająca bezbożność i nieczystość.” A dalej: „Zaraźliwe powątpiewanie, zimna i uporczywa bezbożność panują dzisiaj we wszystkich młodych duszach. Niemoralność

krzycząca, potworna, jest zapisana w rocznikach każdej szkoły, we wspomnieniach każdego dziecka” ¹⁾. Chcecie innego świadka, bliższego, mniej o stronność podejrzanego? „Dziwią się, — powiada Aleksander Dumas, syn, — niemoralności, niedowiarstwu, zepsuciu naszych czasów; wejdźcie do pierwszej lepszej szkoły, dotknijcie tej rzekomej młodzieży, wywołajcie na powierzchnię to, co jest w ukryciu, zbadajcie to bagnisko, a przestaniecie się dziwić. Źródło oddawna jest zatrute. A skoro się nie było dzieckiem, nie można stać się człowiekiem” ²⁾. Pewien zaś lekarz mówi: „Często powtarzają, że poziom poczucia moralnego obniżył się. Sądzę, że jest to prawdą, a przypisuję ten fakt przedwczesnemu zepsuciu dziecka i młodzieńca.”

Zapewne, niemoralność zgubną jest zawsze; zgubną dla umysłu, dla serca, nawet dla życia fizycznego; straszną niszczycielką wszystkiego, co w nas jest najczulszego i najlepszego; ale cóż rzec o niemoralności w wieku lat piętnastu? A cóż nadto powiedzieć o wcześniejszem zepsuciu jeszcze tych istotek, przed czasem skażonych, które przez naśladownictwo szukają nieziszczonych rozkoszy? Czy można mniemać, że takie nieustanne, uparte podbudzanie może być znoszone bezkarnie i że można wyprzedzać w ten sposób naturę bez wyczerpania jej i uszkodzenia?

Wirgiliusz, mówiąc o pierwszych dniach świata, powiada: „Czyż delikatne jeszcze stworzenia trud ten wytrzymaćby mogły?”

¹⁾ Montalembert, *Oeuvres*, t. I, p. 14. *Lettre à un ami de collège*.

²⁾ Aleks. Dumas fils, *Affaire Clémenceau*.

Nec res hunc tenerae possent perferre laborem!

Cóż powiemy o młodocianej istocie i jej delikatnych organach, wydanych pożerczemu temu ogniewi?

Szczęśliwi młodzieńcy, którzy w tej pierwszej chwili przesilenia są pod okiem czujnej matki! Po bladym ich licu, niepewnym chodzie, ukradkowym wejrzeniu, po oczach podsiniących, pozna ona wnet rozwielenienie się złego i może zdoła jeszcze zaradzić na to.

Wszyscy lekarze zgadzają się na to, że przedwczesne skażenie zmysłów rujnuje całego człowieka na chwilę obecną, a często i na przyszłość. Najpierwej niszczy się inteligencja; przytępia się jej bystrość, pamięć słabnie. „Znałem, — mówi pewien lekarz, — najlepiej udarowane dzieci, których po upływie dwóch lat nie było można poznać. Jeden z nich, zdolny do najszczęśliwszego przywiązania, zepsuł się w mgnieniu oka. W krótkim czasie umysł się jego stepił. Pomimo największego starania nie mógł zająć w klasie miejsca mu przynależnego. Z pewnością żaden z jego współuczniów nie pracował tak sumiennie, ale rezultat tej pracy był żaden; nieszczęśliwe to dziecko *wyczerpało zasoby, dane mu przez naturę*; występki zniszczył całą inteligencję. Napróżno pracował usilnie i cierpliwie. Umysł stał się mu opornym. Nadużycia zmysłów zwichnęły *na zawsze* tę tak hojnie obdarzoną inteligencję.” „Zepsucie zmysłów, — powiada inny lekarz, — wywołuje często wybitne osłabienie umysłu, a szczególnie pamięci. Młodzieńcy, niedwuznacznie objawiający przedtem pewną żywość umysłu i zdolność do nauki, stają się wskutek oddawania się złym obyczajom jakby ogłupieni i niezdolni do pracy.”

Dziwią się dzisiaj pewnemu zubożeniu francuskiego umysłu; mówią, że inteligencya, rozum, bystrość pojęcia obniżają się u nas; szukają przyczyn złego. Leżą one tutaj. Młodzież od lat piętnastu do dwudziestu nie jest czystą. Jest skażona złem. Powstaje stąd na zawsze osłabienie ¹⁾.

Jeżeli tak jest z inteligencyą, rozumem, pamięcią, cóż rzec o sercu! Któż nie wie, że ze wszystkich sił zniszczonych przez przedwczesną zmysłowość, miłość, przyjaźń, delikatność uczuć, zapał, odwaga, miłość bliźniego najpierwej są zgładzone? Wszyscy lekarze zaznaczają tu jeszcze dziwne zjawisko. Pod tchnieniem wystętku, pod wpływem przedwczesnego zepsucia, dusze stają się oschłe, samolubne; niektóre stają się okrutne. „Niejeden skłonny z natury swej do dobroci, do jałmużny i serdecznego dla drugich współczucia, stanie się podłym, nieczułym, a nawet nielitościwym. To, co jest najżywotniejszem w materyi, rzucone tak, źle użyte, nieobecne w nas, jako Boża iskierka, która w nas winna krążyć i przemieniać się, ta dusza krwi, o której jest mowa w Piśmie, zmienia człowieka, uchodząc z niego, i uboży go w tajemnej jego istocie, dotyka w najwyższych i oddalonych źródłach” ²⁾.

George Sand mówi: „W smutnym naszym tegoczesnym świecie młodzieniec nie istnieje już, chyba że

¹⁾ Patrz prace specyalne d-rów: Tissot'a, Deslandes'a, Riccord'a, Tardieu'go, Bergeret'a, Bourgeois. Nie podajemy ich tytułów, ale znajdują je ojcowie rodzin, a jeżeli po przeczytaniu ich nie uznają potrzeby czuwania nad niewinnością swych synów, straszne tylko nieszczęścia oświecą ich, ale za późno.

²⁾ Sainte Beuve.

jest w wyjątkowy sposób wychowywany. Ten, którego codzień oglądamy, to szkolnik źle uczesany, dosyć nieokrzesany, dotknięty jakimś grubym występkiem, który zniszczył już w jego istocie świętość pierwotnego ideału. Albo jeżeli biedny dzieciak cudem jakimś nawet uniknął tej zarazy szkół, niemożliwem jest, ażeby zachował czystość wyobraźni i świętą nieświadomość swojego wieku. Jest brzydkim, chociażby nawet natura pięknym go utworzyła. Ma minę zawstydzoną i nie patrzy ci w oczy; pochłania tajemnie złe książki, a mimo to widok kobiety go przestrasza. Pieszczoty matki rumieniec w nim wywołują: rzekłbyś, iż uznaje się ich niegodnym. Najpiękniejsze języki, największe poemata ludzkości wzbudzają w nim tylko zmęczenie, wstręt i niesmak. Ma on już smak zepsuty i ku złemu tylko wzdycha. Lat całych będzie mu potrzeba, ażeby stracić tę cechę brzydoty, patrzeć śmiało i podnieść głowę. Wtedy dopiero będzie kochał swą matkę, ale już namiętności nim owładną; nigdy nie zazna tej anielskiej miłości, o której dopiero co wspominałem, a która jest dla duszy ludzkiej jakby chwilą wytchnienia w czasie pomiędzy dziecięctwem a dojrzałością" ¹⁾).

Zwrócić proszę uwagę na wszystkie te wyrazy, pochodzące od obserwatorów rozumnych i niepodejrzanych. *Młodzieniec nie istnieje już. Skoro się nie było dzieckiem, nie jest się człowiekiem. Zbliźcie się do tej mniemanej młodzieży, zbadajcie to bagno; źródło jego jest zatrute. Zważywszy to wszystko, spytacie się: czy można*

¹⁾ George Sand, przytoczona w wybornem dziełku O. Lescoeur'a: *L'Etat maître de pension*, str. 63.

liczyć na Francję w przyszłości, co do odzyskania zachwianego honoru i ziem straconych, bez radykalnej religijnej i moralnej reformy?

Powiecie może, iż wiele natur zdrowieje, a inne, szczęśliwsze jeszcze, nie ulegają zepsuciu. Nie przeczę temu; ale trąd toczy ogół, piętnując go „na zawsze.” Zmniejszają się: rzutność, zapal, odwaga, zmniejszają się: dobroć, uczucie. Męskość fizyczna i moralna, to, co Rzymianie zwali *virtus*, zetraca się. Dążymy ku upadkowi.

A zważcie jeszcze, żem nie rzekł nic o ostatnich stopniach złego. Nie mówiłem o tych młodzieńcach, aż do szpiku kości przez występki zużytych, błakających się jak blade widma po ulicach, a o których wielki jeden pisarz powiadał, że widząc ich, zdaje nam się słyszeć kroki grabarzy, po te trupy przychodzących. Nie mówiłem też o tych trędowatych rozpusty, którzy zostają nacechowani haniebnie przez jej rany i którzy z bezwstydem egoizmu przynoszą je w posagu swym dziewiczym małżonkom, a w niespodzianem dziedzictwie swoim synom. Nie mówiłem o tych strasznych chorobach, których lekarze, a w szczególności Tissot, dali nam dreszczem przejmujące opisy i rozbiory. Nie, zajmuję się tylko ogółem młodzieży, nie dochodzącej do tak okropnego zepsucia, ale niemniej pozostającej osłabłą „na zawsze,” osłabioną na umyśle, sercu, woli i charakterze. O ojcowie, pomyślcie o tem, póki czas jeszcze! Niezdolność niektórych ludzi, ich prawie idiotyzm w rzeczach umysłu, ich dusza zgrzybiała przed czasem, ciało w czterdziestu latach zużyte, wszystko to jest owocem bezbożności i nieczystości w wieku rozwijania się, pomiędzy dzieciństwem a młodością. A skoro się to

powtarza w milionach ludzi, skoro podobny zarazek zakradł się w żyły całych kolejno pokoleń, jakże całe stulecie nie miałoby tego odczuć? Mogłoby to być wielkie stulecie, a będzie tylko mierne.

A na ogólnem tem tle mierności i pospolitości, z dodatkiem jeszcze nieczystości i niewiary, muszą się co czas jakiś, w chwilach wielkich przesilen, wyradzać potwory. Naprzykład ów Raul Rigault, który prawie świeżo ze szkół wyszedłszy, kazał rozstrzelać zakładników, spalić Paryż i chciał „wykreślić imię Boga.” Proces jego sekretarza, a raczej współnika, Dacosty, odkrył w Raulu Rigault otchłań nieczystości podczas jego dorastania i młodzieńczego wieku ¹⁾.

VI.

A nie wszystkie to jeszcze skutki niewiary. Są i inne, niemniej zbadania warte. Oprócz skażenia dusz pospolitych, jest jeszcze skażenie dusz wielkich. Zobaczymy je; dopełnijmy sądu drzewa wedle owoców jego.

Podczas, gdy pospolite dusze, osłabione, wyjałowione przez niewiarę, umierają nisko po poziomem życiu, cóż się staje z wielkimi duszami? Dokąd dochodzi w nich niewiara? Powiem to, nie obawiając się zaprzeczenia: do tajemnych udręczeń, gorzkich smutków, a cza-

¹⁾ O całej tej ważnej kwestyi *niewiary w młodości* zobacz *Ostrzeżenie dla ojców rodziny*, przez Biskupa Orleańskiego. Znajduje się tam cały plan tej przerażającej antychrześcijańskiej i antyfrancuskiej kampanii, potwierdzony wszystkimi dowodami.

sem aż do zrozpaczeń, które więcej jeszcze, aniżeli popolite poniżenie i moralna ruina ogółu, wykazują konieczną potrzebę obecności Boga w duszach.

Spojrzenie na tego młodzieńca. Jak śmiało wszedł on w życie! Ani go to obchodziło, czy jest jaki Bóg i czyli on Mu co jest winien. Ale zaledwie postąpił parę kroków, już nań czyha zwątpienie; nie to zwątpienie wesołe, lekkie, zuchwałe, którem się w piętnastu latach upajał, ale smutne, bolesne, wkraczające przez wszystkie szczeliny, wszystkie rany życiowe. Teraz, gdy już trochę pożył, wątpi sam o sobie, o prawomocności swego poprzedniego zwątpienia; z goryczą dźwiga ciężar pustej duszy, zmarnowanego życia, bezcelowego istnienia, wieczności bez światła. Patrząc w niebo, mówi: „Być może.”

Oto jest stan mnóstwa współczesnych umysłów. Czytało się wiele, ciągle się uczy; widziało się wszystko, a każde odkrycie przyniosło smutek za sobą. Nie można otworzyć książki, ażeby nie natrafić na wiekuiste zagadnienia, Boga, Chrystusa, duszy. A ponieważ się nie wie, jak je rozwiązać, cóż tedy? Oto nie śmie się już patrzeć, zamyka się oczy. Umysł opuszcza wyżyny, na których już się nie potrafi kierować, i pogrąża się cały w badaniu materii. Tam, co prawda, rozwija się geniusz podziwu godny, ale o Bogu, duszy, życiu cóż wiemy? Cośmy odkryli? Co pozostawimy przyszłym pokoleniom? Nic.

Potoki światła co do świata niższego, a ciemności głębokie co do wyższego, wskutek zaś tego ciężkie smutki i bolesne niepokoje, oto bilans myśli w wieku XIX.

Ale to nie wszystko jeszcze. W sercu tych nieszczęśliwych jest drugi drapieżny jastrząb, okrutniejszy

i nieubłagański od pierwszego; rzeczy tych można zanie dbać, można powiedzieć: „Ja bo się tem nie zajmuję. Jestem matematykiem, chemikiem, inżynierem, sędzią, przemysłowcem, zajęty jestem zawodem swoim, obowiązkami. Tam widzę jasno.”

Zgoda; ależ jesteś człowiekiem! A wieszże, skąd przychodzisz i dokąd dążysz? — a jeżeli nie wiesz, jakże możesz żyć spokojnie? „Jakże chcecie, — mówił Jouffroy, — ażeby człowiek żył w spokoju, skoro jego rozum, który musi kierować życiem, wpada w niepewność nad samem życiem i nie wie nic, co wiedzieć potrzebuje, ażeby wypełnić swe powołanie? Jakże żyć spokojnie, nie wiedząc skąd się przychodzi, dokąd się idzie, ani co się tutaj ma do czynienia? nie wiedząc co znaczy człowiek i rodzaj i stworzenie? kiedy wszystko jest zagadką, tajemnicą, przedmiotem wątpliwości i obaw? Żyć spokojnie w tej niewiadomości jest rzeczą sprzeczną i niemożliwą” ¹⁾.

„Spokoju! spokoju! Kto mi da spokój! — wołał Gerald de Nerval. — Trzeba mi potoków spokoju do zatopienia mych smutków! Ale jakże mieć spokój bez przewodnika, bez najmniejszej gwiazdki nad głową?” ²⁾

„Skoro się żyje, — dodaje Jouffroy, — ślepym, pustym, niespokojnym i bez przewodnictwa?” ³⁾

A jeśli spokój jest niemożliwy, jeśli, nie dziś, to jutro, czuje się sępa szarpiącego piersi; jeżeli zniechęcenie, nieuleczona melancholia, — jak mówi jeszcze

¹⁾ Jouffroy, *Mélanges philosophiques*, p. 338.

²⁾ *Lettres intimes*, p. 27.

³⁾ *Mélanges philosophiques*.

Jouffroy, — śpi na twojej poduszce, jakże można mieć siłę, siłę rządzenia swem życiem, niesienia szlachetnie i dostojnie ludzkiej swej godności? „Ach! bądźcie pewni, że niewiara opustosza niebo i odziera z uroku ziemię,— pisał Schoerer. — Rzeczy nadprzyrodzone są naturalną sferą człowieka; to treść jego wiary, nadziei i miłości. Wiem dobrze, że krytyka jest zręczną, że argumenty jej wydają się często zwycięskie. Ale wiem jeszcze jedno: dusza straciła tajemnicę życia Bożego; przepaść ją teraz wzywa, coraz śpieszniejszy upadek oddala ją od Boga; traci po kolei pobożność, prawość, geniusz; wkrótce będzie leżała na ziemi, a czasem i w błocie!” ¹⁾.

A z pokojem traci wszelką radość. Stałe nadzieje, sny słodkie ulatują z duszy, jak stado spłoszonych ptaków. Nudy, niesmak miejsce ich zajmują. „Głębokie już tylko uczucie nudy dawało mi znak, że żyję,” — mówił jeden z tych młodzieńców, w kwiecie wieku dotkniętych żądłem zwątpienia ²⁾. A drugi: „Dlaczego ziemia tak dla mnie urok straciła! Nie znam zadowolenia, znajduję wszędzie próżnię... Nuda mię pożera, niesmak przyniata” ³⁾.

Pytasz, biedny młodzieńcze, dlaczego ci zbrzydła ziemia? Powie ci jeden z twoich: „Jesteśmy nieszczęsnem pokoleniem, ludem błakającym się w bezmiarze zwątpienia, szukającym jak Izrael miejsca spoczynku, ale opuszczonym, bez proroka, bez przewodnika, bez gwiazdy, nie wiedzącym nawet, gdzie rozpiąć namiot w ogromie pustyni. Oto dlaczego pożera nas nuda,

¹⁾ Schoerer, *Mélanges de critique religieuse*, p. 183.

²⁾ Goethe, *Mémoires*.

³⁾ De Sénancourt, t. I, p. 18.

opanowują namiętności, a samobójstwo, szatan ciemności, czyha u naszego wezglowia, albo wieczorem na brzeg wód nas pociąga. Brak nam już mocnego dna dla zarzucenia w nie kotwicy naszej woli i bezużyteczna ta kotwica pękła nam w rękę. Straciliśmy straż nad sobą samymi, władzę nad swojemi uczuciami, świadomość sił swoich. Wątpimy nawet o naszym przelotnem istnieniu, naszym przejściu śpiesznem przez tę przekłętą ziemię i zatrzymujemy się ciągle przed widokiem naszego własnego życia, jak człowiek rzucający się w gorączce i wołający za przebudzeniem: Co znaczy ten sen?" ¹⁾

Oto przepaść, do której prowadzi niewiara; a i to jeszcze nie jest ostatnie słowo. Są zwątpienia straszniejsze od zwątpień umysłowych, niepokoje od niepokoików sumienia boleśniejsze. Daremnie się nie wierzy; życie mija pomimo to, jak sen bolesny, ucieka, jak senne marzenie.

Pracuję i pracuję z powodzeniem, ale w końcu mam lat pięćdziesiąt, sześćdziesiąt; mam już łaskę marszałka; w perspektywie mam śmierć tylko. Albo jestem światową kobietą; błyszczałam chwilę, ale już koniec; została przede mną tylko starość. Niewesołe to.

A przytem, wokoło mnie umierają. Ten oto ojciec ma prześliczną córkę i traci ją w szesnastu latach. Dlaczego? Tamten młodzieniec zaledwie się ożenił, a już mu szczęście ucieka; młoda jego małżonka umiera w kwiecie wieku. Dlaczego? Nie wie nic o tem. *In umbra mortis sedent* (W cieniu śmierci siedzą). Przygnębieni, milczący, tłumiący smutek, niewiedzący gdzie się znajdują

¹⁾ *Lettres à Marcie lettre*, IV, p. 194.

ich ukochani, ani czy się kiedykolwiek z nimi zobaczą: tacy są ludzie dzisiejsi. Starożytność wymyśliła była sfinksa, dającego zagadkę i pożerającego tego, kto jej nie rozwiązał. Od czasu, gdy religię wygnano, sfinks ukazał się na nowo i pożera ludzi. Lekarze obliczyli, że połowa przynajmniej nas umiera ze smutku, a pewien tegoczesny poeta wyrzekł, że to *beznadziejność* ich zabija. Widziałem to ze sto razy. Dusze nie wytrzymują już ciosów przeciwności, upadają. Najpiękniejsze inteligencje nagle słabną. W innych życie ustaje od razu. Jakże chorymi są ludzie tegocześni! Samobójstwo mnoży się; obłąkanie wzrasta; wszędzie znajduje się smutek; na dnie dusz wszystkich, nawet najmłodszych, najpiękniejszych, jest nieubłagana nuda, nim przyjdzie rozpacz, zezwierzenie lub samobójstwo.

Mówilem wyżej, że gdybym był malarzem, wymalowałbym obraz, jak ów, którym Flandrin ozdobił mury kościoła Św. Wincentego a Paulo: długą procesyę, gdzie na wieczną cześć Bogu i ludzkości przechodziłyby wszystkie dusze nieskończoności pragnące. Ale gdybym już był malarzem, nie ten jeden utworzyłbym obraz, dałbym mu drugi odpowiedni: Wymalowałbym drugi chór, korowód wszystkich tych dusz, także wielkich, spragnionych także, ale które nie chcąc pić ze źródła życia, po pewnym czasie niepokoju i gorączki wpadły w odurzenie senne, albo samobójstwem położyły kres swemu upodleniu. W środku pomieściłbym tego biednego i wielkiego Alfreda de Musset, jeżeli można nazwać wielkim tego, kto rozprasza wspaniały talent na drobiazgi, a spragnionym będąc nieskończoności, otrzymawszy od Boga serce nienasycone, popada w końcu dobrowolnie w pijaństwo, ażeby zabić w sobie duszę lub ją przynajmniej zagłuszyć.

Obok niego, ale na drugim planie, postawiłbym nieszczęśliwego Jouffroy, który tak kochał prawdę, tak jej szukał; nie znalazł jej, gdyż jej poszukiwał na drogach pychy, ale nie znalazłszy, ból po niej w sercu nosił i dał mu wyraz w słowach, pełnych niepocieszonego smutku. Nieszczęśliwy sądził, że wie „jak się kończą dogmaty,” a potrzeba mu było tylko trochę pokory i wiary w Boga, ażeby zrozumieć, dlaczego one wiecznie trwają! Obaj, poeta i filozof, byliby w stanie pokazać, że ani szczerza choćby filozofia, ani szczytna nawet poezja, nie wystarczają bez religii, ażeby dać pokój w światłości. Około nich bylibyście wy ustawieni, Henryku Heine, Murgerze, Gerardzie de Nerval, Hegezypie Moreau, Leopoldzie Robert, dusze poetów, malarzy, artystów, stworzone dla piękna, dla harmonii, dla ideału, a które dałyście słyszeć światu tylko chór bluźnierstw i żalów, szaleń i żaloby, upojen i rozpacz, zakończony pijaństwem u jednych, u drugich samobójstwem! To też, kiedy na pierwszym obrazie widzianoby synów światłości, poszukiwaczy prawdy, stojących i idących, bo w światłości postępuje się naprzód; was, pomimo waszych niepokojów i miotań się, przedstawiłbym siedzących na ziemi, z przygasłym wzrokiem, ściśniętymi pięściami, pograżonych w ciemności, jak owi ślepi, tak bosko przez Danta odmalowani. A jeżeli bym, tak jak w pierwszym obrazie, miał i pod tym podpisać jakoweś godło, nie bacząc na tyle geniuszu, na tak wielkie wysiłki, tak piękne czasem wyrazy,—te tylko położyłbym słowa: *In umbra mortis sedent* („W cieniu śmierci siedzą.” Łuk, I, 79).

ROZDZIAŁ PIĄTY.

Bolesny dramat niewiary (*ciąg dalszy*). Rodzina bez Boga.

Ale oto inne znowu niebezpieczeństwo. Człowiek cierpi w tej samotności, utworzonej dla niego przez niewiarę, a dla pocieszenia się, radby do niej i towarzyszkę swą nakłonić. Zamiast jedności w tejże wierze, marzy o zjednoczeniu w tej samej obojętności. Chcą oni kobiety, któraby już jak oni nie wierzyła, kobiety, jak oni, bez Boga, bez modlitwy, bez wiary, bez nadziei nieśmiertelności: takie to na chorobę swoją wymyślili lekarstwo! Z całych sił starają się małżonce, matce, córce człowieczej zaszcześcić jad niewiary. A cóż, gdy im się uda? „Jak można sobie wyobrazić kobietę bez religii? Cóż, jeżeli nie wiara, podtrzymywa chwiejność tej trzcinki? Kto wzmocni ten najslabszy twór natury, zawsze zagrożony śmiercią lub utratą wdzięków, istotę, która się uśmiecha i umiera, jeżeli nie ma żadnego istnienia poza tem ulotnem?” ¹⁾ Kto ją nauczy w śmiertelnem swem łonie nosić nieśmiertelnego człowieka, uczynić z niego syna

¹⁾ Chateaubriand, *Génie du Christianisme*.

Bożego? Niestety, jakże ona mogła być matką? Żoną nawet być nie potrafi.

Będziemy więc mieli rodzinę bez Boga? Łoże małżeńskie bez błogosławieństwa niebios! Dzieci niepoświęcone w kolebce przez religię! Grób bez modlitw i nadziei, gorzki widok, jeszcze może opłakańszy, niżeli widok duszy bez Boga,—brzemienno różnorodnemi nieszczęściami!

Rozpatrzmy spokojnie i poważnie drażliwy ten przedmiot. Przypatrzmy się z bliska temu nowemu nieszczęściu! Opłakane ono, ale pełne dla nas nauki. Przygotuje ono nas do uczynienia drugiego kroku w znajomości tego dziwnego zjawiska, nazwanego przez nas bolesnym dramatem niewiary wieku XIX.

I.

Spójrzmy naprzód, skąd bierze początek rodzina, jak się tworzy, i nie poprzestaśmy na orzeczeniu, że nie pochodzi ona ani ze zmysłów, ani z rozumu, ani z własnego interesu. Zmysły daleko prędzej rozpręgłyby rodzinę, przy ich niestałości, przy takiej kruchości piękna, służącego im za przynętę. Co do umysłu, to gwiazda samotna, więcej pożądana błyszczeć, aniżeli się połączyć. Nawet aż nazbyt często jest to miecz, który rani zamiast jednoczyć.

Rodzina idzie z czegoś szlachetniejszego od zmysłów, lepszego od rozumu, czystsze, głębsze. Idzie ona z serca. Serce to jest szlachetnym budowniczym tego przybytku dostojnego, nazwanego rodziną.

Serce—to znaczy potrzeba kochania, potrzeba niebłyszczczenia, ale zapomnienia o sobie, nie używania, ale

ofiary, oddania się całkowitego, pod jednym tylko warunkiem: nieodbierania się nigdy napowrót.

I nie tylko serce stwarza rodzinę, ale stwarza ją przez akt najdoskonalszy ze wszystkich swych aktów, przez uczucia przewyższające wszystkie inne w podniosłości, głębokości i trwałości. Dziwna rzecz! jak gdyby serce spragnione uczucia opisywało wkoło siebie pewien rodzaj kół współśrodkowych, coraz ciaśniejszych, a w miarę zacieśniania się koła, uczucie rośnie i wzmacnia się w siłę. Naprzód serce moje zatrzymuje się z uczuciem życzliwości na ogromnym tłumie ludzi. Potem rozpoznaję, witam niektórych w tym tłumie; oznaczające ich słowo: „znajomi,” wskazuje, że umysł mój ma z nimi tylko styczność. Oto teraz inni, mniej liczni, czulej kochani: to są moi przyjaciele. Widzicie, że z zacieśnianiem się koła wzrasta uczucie. Jeszcze bliżej mnie stykają się z moją duszą, stanowią jakby część mego życia: matka moja, bracia i siostry. Czy to już wszystko? Nie. Koło zacieśnia się ostatecznie; serce wznosi się jeszcze wyżej i przychodzi chwila, gdy na szczycie tej wzniosłej piramidy wyrzeka: *Ty tylko!* a wyrzekłszy to, zaraz dodaje: *Na zawsze!*

Otóż z tego najwyższego w sercu miejsca, z tego uczucia najbardziej Boskiego ze wszystkich i najbardziej ludzkiego, bierze początek rodzina. Niestety! tak mało i tak źle dzisiaj kochamy; kochamy tak krótko, tak mało w świętej samotności zjednoczenia, że nie jeden z czytających uśmiechnie się pewnie z naiwności moich teorii. Ale ujmą się za nim dusze wzniosłe i delikatne i serca czyste. One to powiedzą, że skoro się doszło do pewnej wysokości w tem stopniowaniu wielkich przywiązań, samo przez się i niezwyciężenie wydziera

się z serca ten okrzyk: „Tylko ty i na zawsze!” Słowa te stwarzają rodzinę.

One też stwarzają kapłaństwo, życie duchowne; one tworzą księdza, apostoła, dziewicę. Dnia pewnego, podczas modlitwy młodzieńca, przeszła przed nim postać jakaś, piękniejsza od wszystkich ziemskich; wzruszony, ze łzami w oczach, wyrzekł: *Ty tylko i ty na wieki!*

Serce zatem stwarza rodzinę. Jest to jej święte i głębokie źródło. A gdy ją się w tem świetle ogląda, gdy zapominając o ziemi i o tylu smutnych rzeczach, które poniżyły i zepsuły małżeństwo, widzi się, jak z serca człowieka, przez czyn najprostszy i najśłodszy, to jest oddanie siebie samego, bierze początek wszystko, co jest najlepszego tu na ziemi, prawdziwy spokój i jedyne szczęście jego, dziękujemy Bogu za tak łaskawe obejście się z ludźmi. Bo rozum mają nie wszyscy, pieniądze niektórzy tylko; ale serce wszyscy mają, oprócz tylko niegodnych posiadania go.

W tym stanie rzeczy, ponieważ rodzinę stwarza serce, zdawałoby się, że nic prostszego nad czyn taki. A jednak, jeśli spytacie historyi, zarówno jak doświadczenia, zobaczycie, że tak nie jest. Serce było zawsze bezsilne, w rzeczy zdającej się tak łatwą, prostą i słodką. Robiło cudowne usiłowania, miało szczytne porywy i przebłyski: nie dotrwało. Mogło ukochać na chwilę; nie mogło kochać długo, zawsze, w świętej jedności związku. Potrafiło powiedzieć: „Kocham cię;” prawie nigdy nie zdołało wyrzec: „Ciebie tylko i zawsze ciebie!”

Nic może nie rzuciło smutniejszego cienia na życie człowieka. Wszystkie nasze wielkie cierpienia stąd pochodzą. To też człowiek długo nie chciał wierzyć w taką swą bezsilność. Opierał się tej myśli. Ale trzeba

było w końcu uznać i oczywistość. I wiecież co zrobił, widząc się zmuszonym uznać, przeciw woli swej, smutną niedostateczność serca swojego? Na pomoc słabnacemu uczuciu wezwał, nie powiem: siłę, ale—prawo, poparcie społeczeństwa, prawodawstwa swego kraju. Powiedział: „Słaby jestem; nie umiem kochać trwale, głęboko. Słuchaj, o urzędniku, z urzędu twego, co mówię temu szesnastoletniemu dziecku, tej dziewczycy, którą z tysiąca wybrałem: Ty jedna i na zawsze! Oto moja przysięga. Weź ją pod opiekę prawa, pomóż mi jej dotrzymać.” Co za wyznanie! O! wolałbym, ażeby prawo nie potrzebowało mieszać się do rzeczy tak delikatnej i poufnej. Ale ponieważ jest potrzebne, niechże przychodzi, niech bierze w swą opiekę tych dwoje młodych ludzi, którzy kochają się wzajem, chcą się kochać zawsze, a którzy, o wstydzie! nie czują w sobie do tego siły.

Prawo więc wmieszało się; ale nie wystarczyło i ono. Było słabe, i dodam: szkaradne. Zamiast tego, iżby strzegło serca przed jego niestałością, toż serce zmusiło je do uświęcenia słabości-swojej. Były prawa ustanawiające wielożeństwo, zezwalające na rozwód; uświęcały wszystkie słabości i kaprysy serca, otwierały drzwi małżeńskie wszystkim bezeceństwom i brutalnościom. Tak, że nawet z poparciem prawa, serce nie mogło ustanowić na prawdę rodziny, uczynić ją jedną, nierozzerwaną i czczoną.

Wyżej wznieść się należało. I wszędzie młodzi uciekli się do stóp ołtarza, skoro chcieli założyć rodzinę. Boga to prosili o łaskę, ażeby mogli się kochać, kochać się długo, zawsze, nosić w śmiertelnem sercu miłość, któraby nie czuła ciężaru czasu.

Tam otrzymali tę łaskę; ale z jakąż trudnością! Fałszywe religie zesłały, jak i prawa. Niektóre ołtarze na równi z prawodawstwem zdradziły. Nawet religia prawdziwa przed dojściem do całkowitej swej potęgi musiała robić ustępstwa sercu. Jak gdyby Bóg dla pokazania, jak trudnem jest zadaniem stworzyć rodzinę, chciał zachować dla prawdziwej religii, i to jeszcze religii na szczycie czystości i mocy, zaszczyt podniesienia do tego stopnia serca człowieka, ażeby mógł powiedzieć: *Ty jedna i na zawsze!*

I temu to staremu i powszechnemu doświadczeniu chcianoby dziś zaprzeczyć. Wypędzacie religię, a wyobrażacie sobie płocho; że będziecie mogli stworzyć rodzinę! Rodzinę! Ognisko! miejsce, gdzie zawsze będzie można kochać, gdzie po zmęczeniu, cierpieniach i rozczarowaniach życia będzie można znajdować odpoczynek dla zranionego serca, gdzie będziecie mieli szanowane łóża, szczęśliwe kolebki!

Ach! sami nawet poganie opierali o ołtarz swe ognisko; i trzeba żyć w tak smutnych czasach, jak nasza epoka, ażeby mogło niektórym przyjść na myśl obejść się bez Boga w tak strasznem przedsięwzięciu! Ale też cóż widzimy? Jakie smutki i rozczarowania! jakie ofiary ciągnięte do ołtarza i uwieńczone ciernistymi różami! Jakie niespodziane, czasem nawet krwawe katastrofy, których opowiadaniem nie chcę kłaść tych stronic, które zaledwie śmiem wspomnieć!

Sądziłiscie zapewne, że rodzina jest za szczęśliwa, ognisko jej za czyste, obyczaje za święte! że nadużywano szczęścia kochania się za długo i bez chmur, nie prawdaż? więc chcieliście wygnać z rodziny Boga. Ale po wygnaniu Boga, wyrzuceniu za drzwi aniołów, opie-

kuńczących stróżów domowego ogniska, cóż wam pozostanie? Serce, powiadacie. Tak, pozostanie ono, ale na ukaranie was. Pozostanie ze swą słabością, ze swemi burzami. A rodzina zniweczona, łożę małżeńskie zbezczeszczone, przez najsmutniejsze obyczaje zranione serce kobiety, puste kolebki raz jeszcze dowiodą, że niewiara na jedno tylko się zdała, wedle słów jednego z waszych: „Na opustoszenie nieba i odzieranie z uroku ziemi.”

II.

Świadełstwo więc historyi, doświadczenie sześciu tysięcy lat stwierdzają, że bez Boga serce nie ma siły utworzyć rodziny, nie może uczynić jej jedną, nierozrwaną i szanowaną po chrześcijańsku. Teraz poszukajmy przyczyny tego, a na to potrzeba zbadać budowę rodziny, a raczej zejść do serca i prawa jego rozpatrzeć; ponieważ bowiem z uczucia serca bierze początek rodzina, zasadnicze jej prawa są prawami tegoż miłość pełniącego serca.

Młody pewien, światły i zdolny pisarz powiedział raz: „Pierwsze prawo miłości—to prawo postępu, wzrostu. Od pierwszej chwili swego istnienia miłość może żyć tylko pod warunkiem wzrastania. Musi ona wzmagać się, wznosić, nabierać sił przez radości swe lub cierpienia, pogłębiać się przez szczęście, a jeszcze pewniej tu na ziemi, przez próby i ofiary; iść naprzód jednym słowem ¹⁾.” W dniu, w którym przestaje postępować, w którym zatrzymuje się, zaczyna się zmniejszać, a skoro tylko się zmniejsza—umiera.

¹⁾ Henryk Pereyve.

I to jest jedna z przyczyn, że miłość tak rzadko jest na ziemi. Właśnie ta jej wzniosłość ją obezwładnia. Bo jakież stworzenie, choćby najhojniej uposażone, jest zdolne utrzymać w jednym stopniu takie uczucie? Wiem, że za młodu pochlebia się sobie, że się zasługuje na miłość podobną, że się ją licem swem, oczyma podsycać będzie; w latach szesnastu, ośmnastu, w otoczeniu róż i marzeń wyobraża się, że się zawsze będzie rosło we wdzięki, w młodość, w piękność ujmującą; a czytając w starożytnych autorach te niewymownie piękne zdania o znikomości wszystkiego, dowiadując się od nich, że kwiaty opadają, róże więdną, a uczucia ludzkiego serca jeszcze są od róż nietrwalsze, uważa się to za próżne frazesy, za szumne, lecz zbyteczne deklamacye. Jest się tak młodą i piękną! tak pewną, że się będzie zawsze kochaną! Ale niestety, niedługiego trzeba czasu, czasem nawet roku za wiele, ażeby się przekonać, co warte owo „zawsze.” Nawet kiedy ta piękność wzbudza jeszcze podziw świata, przestaje już przemawiać do duszy tego, który wczoraj wieczną jej miłość przysięgał.

Oto jest prawdziwe zagadnienie małżeństwa. Wyobrażacie sobie może, iż najtrudniej jest powstrzymać gwałtowny wzrost uczucia; nie: najtrudniej zapobiedz jego odpływowi. Zapewne, potrzebnem jest powstrzymywać miłość, naznaczyć jej nieprzekraczone granice, uczynić ją skromną i czystą, bo wszystko, co ją czyni czystsza, utrwała ją koniecznie, pogłębia i ozłaca. A w tem oto bez Boga, jesteście bezsilni zupełnie. Trudniej wszelakoż jeszcze podtrzymywać wzrost jej, podsycać ustawicznie jej płomień.

Czytałem wszystkie dzieła naszych bezwyznaniowych moralistów; znalazłem ich wszystkich zaniepokoj-

nym od wpływem serca. Ale cóż oni na to poradzili? jakie są ich lekarstwa?

Jeden powiada: „Jeżeli już nie kochasz, to dlatego, że nie dosyć się przyjrzałeś, nie dosyć zgłębiłeś. Jest w duszy wiekuiste odmładzanie się. Czas, niszcząc jeden wieniec, splata w zamian inny; i od złotych włosów młodości do przyprószonych szronem wieku, piękność ulega przemianie, ale nie znika.” Bardzo to piękne. A jednakże, boski przypływ trwa godzinę; potem następuje odpływ, który skoro raz się rozpoczął, nie ustaje nigdy. Słyszę innych mówiących: „Źle czynicie, patrząc na jedną istotę tylko. Patrzcie na wszystkie. Patrzcie w nich na całą ludzkość. Jedna istota stworzona ma cienie, plamy; ludzkość ich nie ma. Ludzkość jest piękną.” Sofistom tym nie uczynię nawet tego zaszczytu, aby ich zbijać.

Oto i wszystkie wasze lekarstwa. Oprócz nich jest jeszcze tylko wolna miłość. Ale czemże jest ona, jeżeli nie smutnem przyznaniem tego, żeście zarówno nie zdolni powstrzymywać miłość, jak ją podsycać? Wolna miłość rzucona na pastwę własnych swoich płochości, kaprysów i wstrętów. Wolna miłość to dziki potok nieposkromiony, daleko roznoszący przerażenie.

Ale nie, to jeszcze nie ostatni wyraz waszej bezsilności. Upadniecie niżej; pójdziecie aż do pogardzania miłości, do urągania, sceptycyzmu i zepsucia. Po wywyższaniu miłości i stawianiu jej na ołtarzach, szydzić, jako z próżnego marzenia, z niej będziecie, zdepciecie ją nogami, jako fałszywe bóstwo, i dokonacie tem zburzenia rodziny, która żyć nie może bez miłości.

O, dla pokoju świata, dla szczęścia rodzinnego ogniska, nie odbierajmy rodzinie miłości; bo jeżeli nie będzie jej tam, będzie ona na zewnątrz; zepsuje świat, zamiast go upiększyć. Ale nie odbierajmy tej miłości Boga; bo On tylko może ją zarazem podsycać i powstrzymywać. Z jednej strony strzeże On ogniska, zabraniając wejrzenia nawet, a urządziwszy je, poddawszy prawom pewnym, On tylko może rządzić jego wzrostem. Religia przyprowadza młodzieńca do stóp ołtarza, przyprowadza też dziecko, zgina jej kolana i te słowa do ust kładzie: „Mój Boże, jestem młodą, kochaną; ale widzę swą nędzę; widzę, że jestem wątłym tylko kwiatem, że nie można ukochać mnie jedynie i na zawsze. O, Panie, otwórz dusze nasze miłości wiekuistej, a oczy wiekuistej piękności!”

I oto rozdziera się zasłona, i przez ten blask powierzchowny, przemijający tak prędko, zachwycone oko spostrzega prawdziwą piękność: duszę stworzoną przez Boga, przez Syna Bożego, zesłaną chwilowo na ziemię, mającą już w wewnętrznym swym przybytku wielkiego Boga, który dla siebie ją utworzył. Kto określi, ile niepożytego pokarmu daje młodym sercom taki widok? Kto powie, ile z nich ustrzegł on od tych pozio- mych mielizn, o które rozbija się wieczna niby miłość? Wiek może nadejść, rysy twarzy zmienić się, oblicze stracić wdzięk, ale nie będzie to miało wpływu na duszę, która wzrasta z dniem każdym, której piękność przebły- skuje coraz żywiej, w miarę zbliżania się do wieczności. Przychodzi śmierć, a nad brzegiem grobu można wyrzec te słowa pewnego szlachetnego i pobożnego starca naszych czasów: „Nasze szczęście trwało czterdzieści lat, a miłość nasza nigdy nie spadła do poziomu prostej przyjaźni.”

To pierwsze zasadnicze prawo rodziny, ponieważ jest pierwszym prawem serca. Miłość, bezustannie wzrastająca, jest więc pierwszym zasadniczym prawem rodziny, tak samo, jak serce. Widzicie, że prawo to jest za wzniosłe, za szlachetne, za idealnie piękne, ażeby można było urzeczywistnić je bez Boga i przeciw Bogu.

Tę samą cechę posiada drugie prawo, bo w sercu człowieka jest druga dążność, nie mniej piękna, nie mniej trudna do ziszczenia i bez której istnienie rodziny jest niepodobnem. Wyjaśnimy zaraz myśl naszą: gdyby w rodzinie było tylko szczęście, była tylko radość, miłość wzrastająca, byłaby to też rzecz wielka, ale ziemską. Na szczęście, jest ofiara i ona to czyni rodzinę boską.

Przytoczę tu słowa sławnego pisarza: „Małżeństwo nie jest tylko umową; jest ono przede wszystkim ofiarą, i to ofiarą obustronną. Kobieta poświęca to, co jej Bóg dał najcenniejszego, co było przedmiotem najstaranniejszej troskliwości jej matki: swoją pierwszą piękność, zdrowie często i nakoniec tę zdolność ukochania, którą posiada raz tylko w życiu; mężczyzna ze swojej strony poświęca swobodę młodości, te bezpowrotnie najszczęśliwsze lata, zdolność poświęcenia się dla ukochanej, możebną tylko w początku życia, i to usiłowanie miłości, upięknienia i osłodzenia jej życia. Są to dwie czary: w jednej jest piękność i czystość; w drugiej miłość nienaruszona, poświęcenie się na zawsze dla słabszej od siebie; i trzeba, aby obie zarówno były pełne, jeżeli związek ma być całkowitym i błogosławionym od Nieba ¹⁾.”

¹⁾ Ozanam, *De la Civilisation au V-e siècle*. Quatorzième leçon: Les femmes chrétiennes.

Taką jest prawdziwa istota ważnego faktu pobrania się dwojga ludzi. Od tej chwili tysiące więzów przypominają im, że już nie należą sami do siebie, że się sobie oddali. Mnóstwo okoliczności zewnętrznych ich rani, a często jedno przez drugie. I małżeństwo, rozpoczęte w cieniu Raju, kończy się często na krzyżu.

To jest druga skała, o którą rozbija się miłość, chcąc się obejść bez Boga. O, nie chcę źle mówić o ludzkim sercu. Nic nad nie piękniejszego. Wzrusza je sam wyraz: ofiara; poświęcenie przejmuje je zachwytem. A jednakże to serce, to wielkie serce, jakże jest czasem małe! Któż się nie nuży cierpieniem? Któż po wstąpieniu na ten Tabor, gdzie się umiera dla miłości, nie zapragnął zejść z niego? Nosimy wszyscy w sercu szkaradną ranę: niemożność poświęcenia się długiego, nawet dla najbardziej ukochanych.

Stąd to, po kilku latach małżeństwa, pochodzą te głuche kwasy, te nieporozumienia, których już się nawet nie umie skryć od ludzi; to lodowate zimno, ten łańcuch na koniec tak ciężki, że upada się pod jego ciężarem. Tak się kochano, a teraz nie może się znosić wzajem! Dlaczego? bo nie potrafią się poświęcać.

I macie nadzieję, że po wygnaniu z rodziny Boga będziecie się lepiej poświęcali! Przypuszczam, że niektóre piękne dusze, niektóre serca sympatyczniejsze pozostaną sobie wzajem wierne, jak te dwie białe kolumny, pozostałe razem wśród Forum; ale będą to tylko wyjątki i rozpacz powszechna jeszcze ostrzej przy nich będzie odbijała.

Tymczasem tam, gdzie świat nic nie poradzi i nie da nic, prócz środków bezsilnych i mdłych żartów, religia daje siłę. Przed oczy tych, których błogosławi związek, stawia

surowy ideał, ale razem woli ich nadaje siłę, aby go dosięgnąć mogli. Bierze w swe ręce tę miłość w zaczątku i tworzy z niej trwałą rzeczywistość. Podnosi do godności Sakramentu owo „tak” uroczyste, wzniosłe i ulotne razem; wolą Bożą staje się ono żywym, tajemniczym, nieprzerwanym źródłem siły potrzebnej dla jego dotrzymywania. Mogą teraz iść ci młodzi na twarde ścieżki życia; znajdą tam ciernie, smutki, ale nigdy takich, któreby przewyższały ich odwagę. Nieustająca siła będzie ich podtrzymywała na wysokości wszystkich ich obowiązków. Pokój, zgoda, miłość zapanują na zawsze pod ich dachem, bo choć będzie tam krzyż, będzie także łaska Boża.

Ach, żałuję tych mocno, którzy nie chcą Boga w swojej miłości! Nie unikniecie ofiar, a nie potrafcie ich ponosić. Przepowiadam wam smutne dni: nieporozumienia, sprzeczki; kto wie? a może krwawe tragedye i komedye, jakie codzień płamą dzienniki! Tej Golgoty nie pozazdrosczą wam chrześcijańscy małżonkowie.

Czy to już wszystko? czyśmy ujrzeni w zupełności wielkie prawa rodziny i całą niemoc serca do zachowywania ich bez Bożej pomocy? O nie! Ojciec i matka, chociażby najściślej zjednoczeni, to jeszcze nie rodzina, bo to jeszcze nie całe serce. Na złączonym pniu ojca i matki ukazuje się niebawem kwiat: dziecię. Kwiat to, czyli też cierni? W każdym razie jest to przedmiot najszlachetniejszej dumy, najczystszej radości; ale także dla ojca godnego tej nazwy, dla prawdziwej matki—przedmiot najboleśniejszego niepokoju!

Tak jest; ukochana ta istota przyjściem swem na świat nie tylko rozdziera łono matki; zasepia także czoło ojca, obarczając go ciężarem wielkiej odpowiedzialności.

Gdybyż jeszcze dosyć było czuwać nad całością jego zdrowia i życia wpośród tylu niebezpieczeństw! Ale ma ono duszę nieśmiertelną. Trzeba ją wychować, wpoić w nią godność, honor, czystość, uczucie, wiarę; trzeba ją natchnąć poznawaniem samego siebie o miłości Boga i ludzi.

A jeśliby upadł, jeśli burze, tak liczne i gwałtowne w naszych czasach smutnych, ugięły tę słabą roślinkę, potrzeba do niego przemówić, ostrzedz go, podnieść; a gdyby się oparł i obstawał przy złem, trzeba płakać, jęczeć, otworzyć serce i wydać z niego wołanie, któreby aż do Boga doszło i zbawiło nieszczęśliwego.

I myślisz, że bez Boga podołasz tym strasznym obowiązkom! Ależ jeśli nie wierzysz w Boga, ani w nieśmiertelność, ani nawet w istnienie duszy, jeżeli twój syn dla ciebie jest tylko odrobiną materii przypadkowo skupioną i przeznaczoną na pastwę nicości, jakże będziesz dbał o niego, co do tych rzeczy?

Nie będziesz ojcem dusz twoich dzieci. Nie będziesz nawet niestety ojcem wcale! Ominiesz sofizmatem płodność, to trzecie prawo serca i rodziny; odrzucisz, jako ciężar największy życia, zaszczyt ojcostwa.

Nie będziesz miał dzieci: albo będziesz miał tylko jedno, ażeby przekazać mu nazwisko i majątek: i to jedno źle wychowane, ubóstwiane, psute, dlatego właśnie że jedyne. Będzie to twój tyran w dzieciństwie, w młodości poufały towarzysz, a z czasem może twój wstyd i boleść twoja!

Tak odpokutujesz tę zbrodnię, żeś chciał obejść się bez Boga. Nie utworzysz rodziny, albo jeżeli utworzysz, będzie ona twoją karą. I rodzina ta, palcem przez starców wskazywana, będzie nauką dla przyszłych pokoleń,

czego mają unikać, żeby być szczęśliwemi, jak te szczątki rozbitych okrętów, umieszczane na niebezpiecznych wybrzeżach, jako ostrzeżenie dla jadących mimo.

III.

Nie potrzeba nam zresztą przechodzić przez doświadczenie; już się to stało w sposób uderzający. Zaledwie rozszedł się po Francyi podmuch niewiary, ujrzano wszędzie targane więzy małżeństwa. Ciosy wymierzone w ołtarze zachwiały domowe ogniska, jak cięcie siekierą we wspólne korzenie wstrząsa drzewa bliźnięce. Po wielkich panach XVII wieku, którzy uznając w zasadzie świętość związku małżeńskiego, w praktyce pogardzali nim do tego stopnia, że ośmielali się wyjednywać zaszczytne posady dla owoców swego cudzołóstwa; po sofistach wieku XVIII, którzy posuwając się dalej, zaprzeczyli samemu węzłowi małżeńskiemu i zniżając rodzinę ludzką do poziomu zwierzęcej, utrzymywali, że małżeństwo jest faktem przemijającym, rzeczą potrzeby i umowy, niezbędne dla urodzenia dzieci i rozwiązujące się potem ¹⁾; po tych dwóch, już tak strasznych napaściach, nadeszli prawodawcy, synowie sofistów, którzy dokonali ostatecznie ruiny.

Ze wstydem słyszy się, gdy taki prawnik, jak Cambacérès twierdzi, że „*wola małżonków stanowi istotę małżeństwa*, a zatem zmiana tej woli ją rozwiązuje.” ²⁾

¹⁾ *Contrat social* ch. II.

²⁾ *Premier Projet de Cambacérès*, Fenet, t. I, p. 4 et p. 150.

Deputowani, zdający sprawę z ustawy roku 1792, ogłaszają, że uczynili rozwód bardzo łatwym, *z powodu natury małżeństwa*, którego zasadniczą podstawą jest wolna i nieprzymuszona wola małżonków, i ponieważ swoboda osobista nie może być bezpowrotnie odjęta przez żadną umowę ¹⁾.”

Inni deputowani oświadczają: „że niema wcale dzieci nieprawych, ponieważ żadne nie są prawe; i że należy wszystkimi sposobami popierać związki wynikające z uczucia ²⁾.”

Prawa nareszcie mają na czele podobne ustępy: „Zważywszy, jak jest niezbędnem, ażeby Francuzi *cieszyli się łatwością* rozwodu, jako skutkiem swobody osobistej, *której stratą byłaby stała umowa*; zważywszy, iż niektórzy małżonkowie, nie czekając, aż prawo określi sposób i skutki rozwodu, *skorzystali* z tego, iż uważa ono małżeństwo jako *umowę cywilną tylko*,—Zgromadzenie narodowe orzeka, że czas nagli.” ³⁾

Trzebaż wymowniejszego dowodu, że od czasu zagnieźdżenia się we Francyi niewiary, Francuzi nie czują się już na siłach zachować świętych praw małżeństwa?

Rozwód więc ogłoszono. Rzucono się do niego. Było to jak gdyby otworzenie drzwi więziennych. W samym Paryżu, podczas dwudziestu siedmiu miesięcy

¹⁾ *Rapport sur la loi de 1793* p. 17.

²⁾ Zdanie deputowanego Chabot'a w rozprawie o tym przedmiocie.

³⁾ Prawo z 20 września 1792. Proszę zauważyć te słowa: *cieszyć się łatwością rozwodu... korzystać, iż prawo uważa małżeństwo za umowę*. Jak gdyby prawo przyrzekało szczęście, dając rozwód!... Smutny to objaw ówczesnego stanu obyczajów.

tylko po ogłoszeniu prawa, sądy wydały 5,994 wyroki rozwodowe!

Prawda, że nasze obyczaje nie zniosły długo podobnego poniżenia. Francya z obrzydzeniem odrzuciła rozwód. Ale chociaż on jest wykreślony z listy kodeksu, trwa do dziś dnia w jego duchu. Zniknął rozwód prawny; pozostał potajemny. Prasa domaga się go ustawicznie. A tymczasem zwiększają się coraz wśród nas nie tylko separacye co do życia i mienia, nieznane prawie w dawnej Francyi, obecnie zaś tak liczne i bardziej gorzące, niż u innych narodów—ale owe przemycane małżeństwa, przeważnie w wielkich miastach, dzięki którym narodziny dzieci nieprawych mają się w Paryżu w stosunku jednego do trzech.

Podczas gdy prawodawcy, ulegając z jednej strony wpływowi sofistów, z drugiej — powodzi zepsucia, piętnowali wiek XIX plamą rozwodu, wprowadzali zarazem, tym samym wiedzeni duchem, pewną nowość, zupełnie na pozór niewinną, ale która miała zgubny wpływ wywierać na umysły.

Nie jestem ja z tych, którzy potępiają absolutnie *śluby cywilne*, to jest małżeństwo zawarte wobec Państwa, przed lub po odbyciu ceremonii religijnej. Uważam za rzecz słuszną, aby Państwo wiedziało o tak ważnej umowie i aby jego urzędnicy wciągnęli ją do akt, skoro mają czuwać nad jej dotrzymaniem. Ale trzeba było urządzić tę nowość *po chrześcijańsku*, a nie *rewolucyjnie*. Społeczeństwo nie powinno było orzekać, że *małżeństwo jest tylko cywilną umową*; ani mówić małżonkom: *Jesteście połączeni najzupełniej przez mój wyrok*,—co jest fałszem, bo dla katolików żadne to jeszcze połączenie.

Należało szczególnie zabezpieczyć się, ażeby nigdy, w żadnym wypadku ślub cywilny, bez woli stron obu, nie był odłączany od kościelnego; bo w przeciwnym razie jest to pokuszenie przeciw swobodzie sumienia jednej z nich i sidła zastawione na jej dobrą wiarę. Szczególnie nie należało przedstawiać masom przynęty prawnego cudzołóstwa, małżeństwa bez ołtarza i religii; pópierać powagą władzy tej zgubnej dążności do załatwienia bez Boga najważniejszych czynności w życiu.

W ten sposób osłabili w mnóstwie umysłów prawdziwe pojęcie świętości małżeństwa; sprowadzając ją do umowy, jak wszystkie umowy najmu lub sprzedaży, znoszone za wolą stron, przygotowali jego rozwiązanie; i zrobiliby jeszcze więcej złego, gdyby pomimo pozorów, Francya nie była chrześcijańską aż do szpiku kości i gdyby jej obyczaje nie były od praw lepsze.

Mała zmiana zaradziłaby tym niedogodnościom. Oto gdyby ślub cywilny odbywał się nie przed ślubem kościelnym, ale po nim. Młodzi małżonkowie, pobłogosławieni przez Boga, połączeni pod opiekuńczą tarczą religii, udawaliby się potem do mera, aby on urządził świeckie warunki ich związku. Mer nie powinienby załatwiać tej czynności, ażeby się stawili przed ołtarzem, przez się wybranym. Społeczeństwo miałoby z pewnością prawo tego wymagać i mogłoby w rzeczy tak ważnej tych tylko dopuszczać do korzystania z umowy cywilnej, którzy przyjęli węzeł kościelny. Gdyby zaś posuwając do ostatecznych granic poszanowanie wolności, zgadzało się łączyć cywilnie ludzi, nie mających żadnej religii, mogłoby to czynić tylko na zapewnienie piśmienne obu stron, że zamierzają założyć rodzinę bez pomocy Boga.

Taka reforma była już proponowaną przez wybitnych prawników. Byłoby to godnem urzędników i deputowanych naszych czasów, ażeby poparli ją swoją powagą i domagali się gdzie należy jej wprowadzenia w życie ¹⁾.

IV.

Ale to ledwie pierwsza rana rodziny, dotkniętej niewiarą. Poważni obserwatorowie wiele innych klęsk zaznaczają. Nie tylko węzeł małżeński pod tym zabójczym wpływem słabnie i zrywa się; z kolei znika władza ojcowska. Jest ona głęboko zachwiana, jeżeli nie zupełnie zniszczoną. Wszyscy się na to skarżą, szukają środków zaradczych. Ale nie zawsze widzę w tych, którzy poruszają tę kwestyę, tyle światła, ile chciałbym w nich dostrzegać. Niektórzy nie na właściwem miejscu kładą tę ranę, a mało z nich zapatruje się na nią zupełnie jasno.

Co zaciemnia tę kwestyę w niektórych umysłach, to okoliczność, że władza ojcowska ulega w tych czasach zmianie i zmniejszaniu się.

Nie podpada wątpliwości, że stosunek rodziców i dzieci w wieku XIX zmienił się i zmienił się na dobre. Dawna rodzina grecka i rzymska, lub, jeżeli wolimy,

¹⁾ Patrz *le Mariage civil et le mariage religieux*, par M. Sauzet. Znajdujemy tam w najpiękniejszej formie i z najwyższą logiką przeprowadzone wszystkie zarzuty przeciwko ślubom cywilnym, tak jak są teraz we Francyi, również jak i potrzebę reformy, któraby podniosła charakter religijny małżeństwa w oczach prawa.

feudalna i arystokratyczna, gdzie ojciec jest wszystkim, nie tylko ojcem, ale panem i sędzią; gdzie jest jedyną osobą uznawaną przez państwo, przedstawicielem swej żony i dzieci; rodzina taka już nie istnieje. Rozwiązał ją podmuch rewolucyjny. I gdyby tylko tak było, nie uskarżałbym się bardzo.

„Nie wiem — powiada de Tocqueville, — czy ogólnie biorąc, społeczeństwo traci na tej zmianie, ale myślę, że jednostka na niej zyskuje. Sądzę, że w miarę, jak obyczaje i prawa demokratyzują się, stosunki ojców z synami stają się bliższe i serdeczniejsze; mniej w nich występują formuły i władza, zaufanie i miłość są często większe, i zdaje się, jakby węzły przyrodzone zacieśniały się w miarę rozluźniania się społecznych.” Dodaje dalej: „Ażeby ocenić różnicę w tym względzie dwóch stanów społeczeństwa, dosyć jest przejrzeć domowe korespondencje, pozostałe po arystokracji. Styl ich jest zawsze poprawny, ceremonialny, sztywny i tak zimny, że uczucie serdeczne zaledwie może się przebić przez te słowa. Tymczasem u narodów demokratycznych we wszystkich wyrazach, kreślonych przez synów do ojców, panuje coś swobodnego, zarazem poufalego i czułego, co odrazu wskazuje, że nowe nastały stosunki w łonie rodziny ¹⁾.”

Oto jest zmiana, i znaczna zmiana. Gdyby też była ona jedyną w ustroju rodziny XIX wieku, nie przestraszyłbym się nią, i nie w tę stronę obracałbym wzrok, szukający środków zaradczych. Na nieszczęście, w stosunkach ojców i synów nie tylko jest zmiana, nie tylko

¹⁾ De Tocqueville, *De la Démocratie en Amérique*, t. III, p. 315.

zmiana we władzy ojcowskiej; jest także obniżenie, upadek. Władza ta znika. Zabiła ją niewiara, i to w podwójny sposób.

Od trzech już stuleci niewiara bierze stronę synów przeciw ojcom, to jest niezależności przeciw władzy, kaprysu i lenistwa przeciw doświadczeniu; inaczej mówiąc: wielkich nadużyć przeciw małym. Niema deklamacyi, niema wybryków, którychby sobie nie pozwolono przeciwko nadużyciom władzy ojcowskiej; a po przejściu pióra z rąk literatów w ręce prawodawców, niema ścieśnień, jakimi by się nie starano tę władzę otoczyć. Poczem ogłosiły jej upadek dwa wiersze, zamieszczone w kodeksie:

1) Zaprzeczenie ojcu prawa do rozporządzania swym majątkiem na korzyść dzieci, do rozdawania go pomiędzy nie wedle swego uznania, przywiązania do nich i doświadczenia.

2) Ogłoszenie prawa dzieci do mienia rodziców, prawa zupełnego, nienaruszonego i równego dla wszystkich.

Od tej pory, ponieważ dobra ojca należą do dzieci, ojciec jest już tylko dożywotnikiem, kłopotem wkrótce, a co gorsza, zawadą. Po dojściu do pewnego wieku dają mu u ludu uczuć, że żyje za długo, wyrzucają go bezwstydnie pod schody. W klasach wyższych zachowują więcej formy, ale często myślą nie lepiej.

Oto jest pierwszy upadek. Cóż teraz rzec, skoro młodzieniec wejdzie na złą drogę, robi długi, rzuca się do gry, do rozpusty, okrywa ojca wstydem? Ten musi cierpieć w milczeniu. Zapewne, może ogłosić w dziennikach, że nie będzie płacił długów synalka, ale ten będzie tylko śmiał się z tego. Wiedząc, że nie może

być wydziedziczonym, będzie liczył lata, pozostające ojcu do życia i zawczasu zastawi lichwiarzom swój spadek. W niewielu wypadkach ojciec z wielkim trudem i za pomocą wysokich protekcyi będzie mógł wyprawić go do marynarki. Ostateczne to już lekarstwo. Po upływie kilku lat młodzieniec wraca, jeszcze gorszy niż przedtem. Ojcu pozostaje już tylko znosić wstyd i milczeć.

I zauważcie dziwaczność prawa! Odejmuje ono ojcu wszelką władzę dla spełnienia jego obowiązków; zwraca mu ją, skoro chodzi o zaspokojenie namiętności jego. Ojciec ten, nie mogący nic dać dzieciom, również bezwłasnowolny wobec występków jednych z nich, jak wobec kalectwa i ubóstwa innych, ma wszelako swobodę w jednym względzie: oto może zrujnować najlepsze nawet dzieci. Pozostaje mu jedna władza: sprzedania swej majątności, oddania wartości jej kucharce, grania na giełdzie lub rozpraszania w złych miejscach posagu dzieci. Oto żona, córki w nędzy. Prawo na to milczy, nie ma nic do powiedzenia. Wszystko jest najzupełniej prawne.

Nie tylko więc zaszła zmiana w stosunku ojców do synów w wieku XIX, ale zmiana na gorsze. Ojcowstwo zostało zrzucone z tronu; u maluczkich i biednych z cynizmem, u możnych i bogatych z pozornym szacunkiem, ale wszędzie zrzucone. Dzieło to rewolucyi, natchnione przez niewiarę.

Miejmy jednak odwagę powiedzieć rzecz jedną: niczem rany zadane ojcowstwu wobec tych, jakie same sobie zadało. Zrzucono je z tronu, ale ono pierwsze zepchnęło samo siebie.

Straciło urok, tracąc wiarę; samo siebie wyгнаło z tej wzniosłej świątyni, z tego królestwa dusz, zwanego rodziną.

Jeden z wolnych myślicieli powiada ze smutkiem: „Chcielibyśmy wszyscy, po tylu bezużytecznych wysiłkach i utraconych złudzeniach, przytulić, ożywić serce w rodzinie, przy domowym ognisku. Powracamy tam znużeni, ale czy znajdujemy wypoczynek? Nie wcale, bo o czemże będziemy mówili? O rzeczach obchodzących serce, o religii, o duszy, o Bogu? Nie. Spróbujcie rzecz o tem słówko u stołu, w zebraniu wieczornem rodziny u ogniska: matka twoja potrząsa głową; żona ci przeczy; córka, milcząc, nie zgadza się z tobą. One są po jednej stronie, ty po drugiej.” Tak, w tem smutnem położeniu stawiacie się sami, wyrzekając się religii i nie spełniając obowiązków względem Boga. Wylączacie się z rodziny.

W czasach, gdy ojcowstwo nie straciło swej korony, wierzano, że mąż jest u ogniska domowego kapłanem zarazem, królem i prorokiem: kapłanem, ażeby łącznie ze swemi modłami i prośbami przedstawiał i ofiarował Bogu modły żony swej i dzieci; prorokiem, ażeby z nauk przeszłości, z poruszeń teraźniejszości odgadywać tajemnice rzeczy przyszłych i objaśniać je młodszej od siebie żonie i drobnym dzieciom; królem, ażeby wiódł je za sobą do wieczności. Oto, czem jest w wyrokach Bożych małżonek, ojciec. I to jest raną rodzin naszego czasu, w których mężczyzna upadł, w których nie jest już kapłanem, ponieważ się nie modli; nie może być prorokiem, bo sam w nic nie wierząc, nie posiada klucza do wielu rzeczy; a nieuchronnem następstwem tego, sam pojmuje, że nie może być królem: jakże bowiem mógłby wieść rodzinę, nie znając ani punktu wyjścia, ani celu podróży? I czemuż się dziwisz, że zdumiona, zaniepokojona twą religijną nicością, żona twoja, czując, że

w rzeczach dotyczących się duszy nie może ani cię spytać o radę, ani przedstawić ci wątpliwości do rozstrzygnięcia, w tem osamotnieniu sumienia, tak utrudzającym dla niej brzemień macierzyństwa, ze szlachetną troską o wiekuistą przyszłość dzieci,—szuka u stóp ołtarza kierunku, który w wielu rzeczach w tobie znaleźćby powinna, a którego dać jej nie możesz!

'Szczerze też życzę, ażeby chrześcijańscy urzędnicy, prawnicy i deputowani starali się zwrócić ojcowi władzę, przynależną mu u wszystkich narodów wolnych. Jestem przekonany, że prawa nasze potrzebują poważnego przejrzenia w tym celu. Ale jeszcze mocniej wierzę, iż nie przyda się to na nic, jeżeli ojciec nie odzyska praw do szacunku, odzyskując wiarę. Zwróćcie mu wszystkie prawa, nawet prawo absolutnego rozporządzania majątkiem, a jeżeli się nie nawróci, jeśli wpierw nie uczci *władzy ojcowskiej w Niebie*, nie odzyska swej korony. I śmiem utrzymywać, że jeśliby odzyskał prawo robienia testamentu według swej woli, nie odzyskując wiary, nie byłby już tylko upadłym, ale wstrętnym.

Nie zapominajmy, że to bezbożni ojcowie wieku XVIII, uzbrojeni w to prawo i nadużywający go, wywołali tę straszną reakcyę przeciw ojcowskiej powadze, której ślad głęboki pozostał w naszym kodeksie i która na początku tego wieku pozwoliła jednemu z deputowanych wyrzec wobec zgromadzenia narodowego i przy jego oklaskach te słowa: *Władza ojcowska już nie istnieje!*

V.

Ale podczas gdy ojciec odzierał się z władzy i uroku, tracąc wiarę, nie będąc już, nie mogąc być, oprócz

chyba w rzeczach mniejszej wagi, głową i wodzem żony i dzieci, zstępował w oczach małżonki z piedestału w inny jeszcze sposób. Dobrowolna bezdzietność małżeństw jest nie tylko ruiną narodów, ale i głęboką raną ognisk domowych. Mężczyzna traci z jej powodu szacunek w miłości, powściągliwość, skromność, godność, urok. Rani swą towarzyszkę w najczulszą stronę. Upokarza ją. Poddaje ją poniżeniu, którego by nie zniosła bez rozkazu. Myśleć nie może o tem inaczej, tylko z przestachem i wstrętem. Tam, gdzie zaczęło się nadużycie, kończy się często miłość.

Nie są to zresztą jedyne skutki owego pogwałcenia zasadniczych praw małżeństwa. Podczas gdy ta rana poniża ostatecznie mężczyznę w oczach towarzyszki, poniża i tę ostatnią, chociaż w inny sposób.

Pod względem fizycznym lekarze badacze widzą tu dla kobiety źródło stanu chorobliwego, nie występującego wcale w krajach, gdzie płodne małżeństwa są cenione. Pod względem moralnym, skutki bezdzietności są jeszcze opłakańsze. Kobieta, pozbawiona przez najpiękniejszy czas swego istnienia czynności, wyznaczonych jej przez naturę, jeżeli przytem nie jest zmuszoną do ciężkiej pracy, pozostaje w bezczynności, której nie może znieść jej ruchliwa wyobraźnia, wymyśla sobie sztuczne i płochę zatrudnienia poza obrębem domowego ogniska, oddaje się ponętom niedorzecznego zbytku ¹⁾. Ta jest trzecia rana rodziny bez Boga. Nie wspomnę już tutaj o społecznych skutkach bezdzietności małżeństw, wzrastają-

¹⁾ Le Play, *La Réforme sociale*, t. II: La famille, p. 322.

cem wyludnieniu Francyi i poniżeniu wśród innych narodów. Kwestya ta przyjdzie później.

Zapewne, więcej niż ktokolwiek współczuję smutnemu położeniu, jakie dla naczelników rodzin wytworzyły stosunki ekonomiczne tego wieku i prawne przepisy naszego kodeksu. Położenie to nie tylko smutne i bolesne, ale fałszywe, nieznane wiekom poprzedzającym, utworzone przez rewolucyę bezbożną i opartą na urojeniach, i z którego wypływają trzy nasze nieszczęścia: osłabnięcie ojczyzny, złe pożycie wielu młodych małżeństw i zaniedbanie przez większą część ludzi obowiązków chrześcijańskich.

Niech sobie lekkomyślni lub fanatyczni moralisci nie biorą w rachubę tego położenia; niemniej istnieje ono i w niem leży wielka kwestya religijna XIX wieku. Najpoważniejsi myśliciele zajmują się niem. Żadna reforma moralna nie jest stanowczo możebną, dopóki straszna ta kwestya rozstrzygniętą nie będzie.

Prawda, że religia wiele tu może, — nie może wszelako wszystkiego. Nie można nakazać braterstwa dzieściu milionom ludzi. To też Anglicy i Amerykanie, chociaż są głęboko wierzący, nie oglądali się na samą religię, ażeby rozwiązać to zadanie. Ojcowie nasi czynili tak samo. Stworzyli mnóstwo urzędzeń, przez które społeczeństwo wspomagało religię. Podczas, gdy ta ostatnia nakazuje małżeństwom mieć dzieci, pierwsze powinno umożliwiać to swym obywatelom.

Rewolucya, więcej jeszcze bezrozumna, niż występna, zniosła te prawa i urzędzenia. Wprowadziła natomiast porządek spadkobierstwa, będący przedmiotem zdumienia Anglii i Ameryki, „natchniony przez

ślepa miłość swobody” ¹⁾, „czyniący wszystko dożywotniem” ²⁾, „zmuszający rodziny do rozwiązywania się i utwarzania na nowo co lat dwadzieścia” ³⁾, „w którym dzieci są dla ojca zawadą” ⁴⁾, „w którym nie wiedzą co robić z wdowami i starcami” ⁵⁾, i który wydał wszystko zło, trapiąc dziś rodzinę, a szczególnie bezdzietność małżeństw.

Rzecz dziwna i potwierdzająca to, co powiedziano wyżej, ta smutna rana, nieznana nawet w wieku XVIII, ukazała się już była niegdyś, ku końcowi rzymskiego państwa; a była ona owocem niegodziwego sposobu rządzenia i jeszcze niegodziwszego systemu podatkowego. Wróciła w naszych czasach i także na skutek niedorzecznego prawa. Można stąd wnosić ze wszelką pewnością, że żadne usiłowania religii nie ulecą tej rany, dopóki prawo pozostanie takie samo.

Trzeba więc pomyśleć o tem naprawdę. Bo razem z dobrowolną bezdzietnością zjawilo się wiele innego zła: u jednych, zgubny zwyczaj małżeństwa dla pieniędzy i bezwstydné rachuby na blizką śmierć stryjów, ciotek, a czasem własnych rodziców, nazywane *nadziejami*; u innych, wyrzeczenie się małżeństwa i wynikająca stąd coraz większa powaga, jakiej zażywają kobiety bez mę-

¹⁾ Edmond About, *Le Progrès*, I vol. in 8-o, 1864; p. 295.

²⁾ Renan, *Questions contemporaines*, I vol. in 8-o. Paris 1868.

³⁾ Portalis, *Discussion du Code Napoléon dans le conseil d'État*. Jouanneau et Solon, t. II, p. 126.

⁴⁾ Renan.

⁵⁾ Troplong, *Traité des donations*, t. I, p. 11.

ża; u wszystkich i wszędzie „zaniknięcie ducha rodzinnego, unicestwienie władzy ojcowskiej, peryodyczne burzenie ognisk rodzinnych i różnych gałęzi przemysłu, upadających pod prawem podziału spadkowego; nieskończone rozproszenie tak majątności, jak i osób.” ¹⁾

To też najznakomitsi ludzie zaczynają się niepokoić, bo straszna machina rozpraszaająca wszystko, nie ustaje w działaniu. Troplong, prawnik, dawny prezes senatu ²⁾, Pinart, urzędnik, dawniejszy minister spraw wewnętrznych ³⁾, Le Play i inni szukają lekarstwa, i nie zaprzeczając potrzeby religii, owszem, przyznając jej część znaczną, sądzą słusznie, że to lekarstwo ma się znaleźć w rozumnej reformie stanu naszego społeczeństwa. Nie pragną oni powrotu prawa starszeństwa ani dawnych przywilejów, bo to prowadzi za sobą tylko nadużycia, ale chcą przezornego rozszerzenia swobody w przekazach majątności, usunięcia przymusowego podziału, znacznego zmniejszenia praw spadkobierców i kosztów prawnych, chcą nakoniec rozumnej reformy praw, dotyczących własności i sposobów jej przekazywania. Zdaje nam się, że chrześcijańscy urzędnicy i prawnicy nie mogą więcej się przysłużyć ojczyźnie, religii, rodzinom i duszom, niż właśnie zwracając w tym kierunku całe światło swe i gorliwość. Chodzi tu o przyszłość religii we Francyi.

Ale żądając lepszego ustroju społeczeństwa, nie mamy potrzeby oświadczać zarazem, że będzie on nie-

¹⁾ Lanfrey, *Histoire de Napoléon I*, t. II, p. 128.

²⁾ *Traité des donations*, Preface.

³⁾ Mowa wypowiedziana w r. 1865, po powrocie dworu cesarskiego z Douai.

wystarczającym; wszyscy ci znakomici ludzie już to wcześniej od nas uczynili. W najlepszych nawet warunkach ekonomicznych i prawnych wychowanie licznej rodziny jest zawsze ciężkiem brzemieniem, i religia tylko, ufność w Boga, poruczenie się Opatrzności, uznanie świętego powołania ojcowstwa, mogą nakazać ludziom przyjęcie zupełne wszystkich skutków małżeństwa.

VI.

Ten to ogólnie nienormalny stan, ta głucha dysharmonia pomiędzy małżonkami, te ciągłe rozdzźwięki sumień naprowadziły niektórych na myśl, że ponieważ mężczyźni nie mają już religii, lepiej byłoby dla zgodności dusz i spokoju domowego ogniska, aby i kobiety nie miały jej również. Ale dosyć jednego rzutu oka, aby ujrzeć, że nie uda im się rzecz taka; bo stają tu nie wobec przesądu społecznego, towarzyskiego lub wpojonego przez wychowanie, co nicby nie znaczyło, — ale wobec wiekuistych praw natury ludzkiej. A z drugiej znowu strony widać jasno, że jeśli się udała, dokonałoby to ostatecznie ruiny.

Posłuchajmy Pisma Świętego, starej Księgi Rodzaju, w której naucza Bóg, a którą ludzkość przyjmuje i czcią otacza. Ona nam powie, co to jest kobieta, na co została stworzoną i czy możebnem jest dla niej żyć bez Boga i religii.

Gdy Bóg stworzył człowieka, powiada Pismo, spojrzał nań i, przejęty współczuciem dla jego samotności, wymówił te słowa, miłości pełne: „Nie dobrze być człowiekowi samemu; uczynimy mu pomoc jemu podobną” — *Faciamus ei adjutorium simile sibi*.

Oto jest powołanie niewiasty. Stworzoną została na *pomocnicę* mężczyzny. W czymże ma mu pomagać? Oto w pracach jego, w jego smutkach. Tak ciężko jest cierpieć samotnie! Ale w radości także, w marzeniach o szczęściu. Nie jest zupełnie szczęśliwym, kto jest samotnym. A ponieważ człowiek został stworzony nie dla ziemi; ponieważ Bóg dał mu niebieskie nadzieje obok szczytnych porywów i pragnień; ponieważ ma przejść tylko przez ten smutny świat w drodze do Nieba, — kobieta daną mu została, ażeby go w tej drodze podtrzymywać, kierować i towarzyszyć mu. *Adjutorium simile sibi*.

Czuje się całą prawdę, powagę i piękność tego zapatrywania się, przypominając sobie wyrok, wydany przed kolebką człowieka: *Niech uprawia ziemię i panuje nad nią; niech rozkazuje zwierzętom ziemi, ptakom niebieskim i rybom w głębi wód*. Ale, mój Boże, jeśli człowiek zapomni o swym celu! jeżeli ta piękna ziemia, którą w pocie czoła uprawia i użyźnia, ma przed jego wzrokiem zasłonić Niebo! jeżeli umysł jego zaćmi się i zmateryalizuje nawskroś pod wpływem życia! Trzeba mu dać anioła wieczności, apostoła, ewangelistę, mistrza tklivego, miłego i umiejącego przekonywać, któryby w sercu, umyślnie na to stworzonem, zachował zawsze zamięłowanie, potrzebę, żywe poczucie rzeczy ludzkich. *Adjutorium simile sibi*. „Gdy Bóg, umiławszy człowieka, najdoskonalsze ze swych stworzeń, postanowił dać mu dar pierwszy, dał mu niewiastę w nieskończonej swej miłości. Mężczyzna był panem raj, niewiasta jego aniołem.” ¹⁾

¹⁾ Donoso Cortès, *Discours sur la Bible*.

Upadek, który sprawił tak wielki przewrót w całym porządku stworzenia, nie zmienił nic w tem przeznaczeniu. Chociaż zaraz w początku kobieta sprzeniewierzyła się swemu posłannictwu, i tej słodkiej przewagi nad sercem męskiem, otrzymanej od Boga, użyła na odwrócenie mężczyzny od Boga i wieczności, — Bóg, karząc ją surowo, nie odebrał jej tego powołania. Pozostała nadal *pomocą*, podporą mężczyzny. A kiedyż on więcej tego potrzebował? Ziemia staje się ziemią, świat osmutniałym; Bóg się ukrywa. Oto grzech, błąd, wszystkie nieszczęścia. Ach, niechże nie traci mężczyzna swej towarzyszki, swojej podpory, jeszcze droższej w dniach smutku, jeszcze potrzebniejszej w dniach ciemności! „Razem opuszczają wspaniałe siedlisko, drżącym krokiem, z sercem uciśnionem, oczyma od łez przyćmionemi; razem przebyli wieki, postępując ręka w rękę, to stawiając opór burzom, to spotykając na morzu życia łagodniejszy powiew losu. Dosiegając niewiernego człowieka różgą swej sprawiedliwości, zamykając przed nim bramy rozkosznego przybytku, przygotowanego dla niego, Bóg w swoim miłosierdziu chciał pozostawić coś winnemu, coby mu przypominało szczęśliwą przeszłość: pozostawił mu kobietę, ażeby wejrzawszy na nią, raj sobie przypominał” ¹⁾).

A ponieważ pierwsza wina okryła wstydem czoło kobiety, a mężczyzna, zanadto jej już nie ufając, nadużywał władzy swej nad nią, więził ją, usuwał na stronę lub uciskał, tak, że nie mogła już spełniać swego wielkiego posłannictwa w tem upokorzeniu i niedowierza-

¹⁾ Donoso Cortès, *Discours sur la Bible*.

niu: Bóg, w miłości swej dla ludzi, postanowił podnieść ją, naznaczyć jej czoło pięknnością od utraconej większą, ażeby odzyskała serce mężczyzny, poczucie swego wysokiego powołania, i moc i środki do jego wypełnienia.

Jeżeli chcecie zdać sobie sprawę z tego wszystkiego, nie patrzcie na pierwotną Ewę, czystą, wdzięczną, stworzoną dla zachwycania serca człowieka i wznoszenia się z nim razem ku Bogu; ani nawet na Ewę, piękną także, upadłą, ale żałującą swego upadku, opłakującą go, pałającą chęcią zadosyćuczynienia i przodowania nadal w dobrem tak, jak w złem przodowała. Ażeby poznać matkę, małżonkę, córkę człowieczą, trzeba wznieść się wyżej, aż do tej niezrównanej Niewiasty, dziewicy i matki zarazem, Maryi. To jest kobieta w całej pełni swego powołania. Nosiła w swoim łonie Boga; wydała na świat wiekuiste i nieskończone Dobro. W Niej i przez Nią wszystkie kobiety wypełniły dane sobie posłannictwo podnoszenia, oczyszczania, pocieszania mężczyzny, odrywania go od ziemi i wiedzenia ku Niebu. Stąd to od ośmnastu wieków kobieta otrzymuje ten powszechny szacunek, tę czułą i wzniosłą miłość, ową pełną czci względność, które zdobią chrześcijańskie społeczeństwo; stąd posiada ona tę jaśniejącą czystość, tę aureolę skromności, poważną piękność, miłą swobodę, wielką cnotę i nakoniec to pragnienie zachwycenia sercem mężczyzny, ażeby go podnieść ku Niebu i towarzyszyć mu w tej drodze.

Pięknem jest to rozrządzenie Boże! Iluż to ludzi dałoby się pochłonać przez zabiegi doczesne i zapominałoby o wszystkim: o Bogu, duszy, przyszłym swem życiu, gdyby nie mieli koło siebie małżonki, córki, matki!

„Już to w ostatniej godzinie, przejrzawszy jasno, powie Sędziemu swemu z wdzięcznością: „Dobrze mi jest, że nie byłem sam!”

Oto delikatne, wysokie, szczęśliwe zadanie kobiety. Któż nie czuje, jakie zamieszanie w planie tak pięknym sprawiłaby niewiara, jakie zaburzenia podniosłaby w takiej duszy? Zbrudziłaby ten kwiat, swoim palącym technieniem zatrułaby tę czystą atmosferę domowego ogniska! Poniżyłaby tego anioła!...

Skoro niewiara wydrze Boga z jej duszy, gdy nie będzie już miała modlitwy, ani wiekuistych nadziei, ani wiary w swe boskie posłannictwo, czy ta małżonka będzie piękniejszą i czystsza, a ty szczęśliwszym? Czy ta dziewczica będzie wdzięczniejszą, ta matka więcej się poświęcającą?

Ale jakże nie czujecie, że skoro niewiara spustoszy kobiecie serce, tobie, twoim dzieciom i całej rodzinie przyniesie poniżenie, zamęt i kto wie? może rozprzężenie i hańbę! Ślepi! sami wstrząsacie kolumnami gmachu: przygniotą was jego zwaliska!

VII.

Tak jest, zwaliska was przygniotą! bo jeśli dary Boga, udzielone kobiecie, są cudowne, jakże są zarazem niebezpieczne! Mogą stanowić szczęście rodziny; ale nie odwracajcie ich od prawdziwego celu, szczególnie nie zwracajcie ich przeciw niej samej, bo ileż to wtedy niepokoju, łez i hańby mogą jej przynieść!

Spójrzmy na nie z tego punktu widzenia i poznamy ostatecznie opłakany stan rodziny bez Boga.

Jakiż to pierwszy dar uczynił Bóg niewieście?

Odpowiem poprostu: piękność. Ale uchwycimy do-
brze prawdziwy charakter tej piękności. Została dana
kobiecie w jej świętem posłannictwie, to też ma boską
cechę: wzrasta z cnotą, a upada z występkiem, jest
nierozzerwanie związana z czystością.

Kobieta jest piękną i czystą; tem piękniejszą, im
bardziej skromną, przyzwoitą i czystą. Skromność jest
nieodłączną częścią jej piękności, urokiem jej i tarczą.

Tak, że im kobieta jest skromniejszą, tem jest
piękniejszą, a im więcej piękną, tem mniej, stosow-
nie do woli Bożej, ta piękność jest okazywana.

Dlatego to, skoro Chrystus, za przyjściem swo-
jem, opromienił cnotę całym jej urokiem i doprowadził
ją do doskonałości, kobieta stała się tysiąc razy pięk-
niejszą, a razem, rzecz godna uwagi, opadły mury
wiązące ją, zazdrosne zasłony, skrywające ją od oczu.
Ukazała się wdzięczna, skromna, idealnie czysta, jak
ją wymalował Rafael, sto razy piękniejsza, niż ją Fi-
dysz wymarzył. Opadła nawet ta uświęcona zwycza-
jem zasłona, którą zalecał święty Paweł, i można było
zastosować do młodej dziewicy w świecie, do młodej
kobiety w naszych zebraniach te piękne słowa świętego
Wincentego a Paulo: „Cnota będzie jej zasłoną.”

Ta doskonała piękność jest jednak tak nietrwała.
Nie w tem znaczeniu, żeby ulatywała za pierwszym
podmuchem wiatru. Przeciwnie. Podczas gdy dla męż-
czyzny wiek piękności przechodzi prędko, ustępując
miejscu wiekowi siły, — kobieta zatrzymuje się na
nim i czas zdaje się bezsilnym wobec jej wdzięku.
Ale niech tylko dotknie ją występki, niech cień grze-
chu przemknie po tych rysach, to dosyć: twarz po-

zostaje młodą, rysy delikatnymi,—piękności w nich tylko niema. Coś zwiedłego, a wkrótce wstrętnego występuje na tej wykwintnej maseczce i woła na mężczyznę: Odejdź!

A dlaczegoż to? Poco ta piękność na czole kobiety, jeżeli nie dla zjednania jej serca mężczyzny? I poco ten boski związek piękności i cnoty, jeśli nie dla wzniesienia tego serca ku Bogu?

Duch Święty wyjaśnił tę tajemnicę słowami, pełnemi głębokiego znaczenia: „Będą piękne jako świątynie.” Dlaczego? Ażeby jak świątynie podnosić serca do Boga.

To jest pierwszy dar. Któż nie czuje, jak on jest niebezpiecznym bez Boga i cnoty? Nim nadejdzie czas, w którym występki wygania i zohydza piękność, jest chwila, gdy tworzy najniebezpieczniejszą jej ponętę.

„Wielu ludzi zginęło dla piękności niewieściej... bo rozmowa z nią jako ogień się rozpala” (*Ekkl. IX, 9, 11*).

To samo, cośmy powiedzieli o piękności kobiety, trzeba orzec i o jej umyśle. Śliczny to statek, skrzydlaty i śmiały, ale potrzeba mu kotwicy. Inaczej tyjące wichryw uniosą go na rafy i mielizny, a szczególnie dwa: lekkość jego i, skoro już raz zboczy z dobrej drogi, zuchwalstwo. Ale dajcie mu tę kotwicę, to jest moc, powagę, podstawę zasad pewnych i stałych, któreby nim kierowały; inaczej mówiąc: dajcie mu Boga i religię, a nic nie znajdziecie wdzięczniejszego, delikatniejszego, subtelniejszego, przenikliwszego, żywszej zdolności przeczuwania, pełnego rozwoju wszystkich władz duszy.

Porównywią czasem umysł męski i kobiecy; ale jakże można to czynić? Nie są one do siebie podobne w niczem. Rzekłbyś: dwa anioły z dwóch różnych chórów. Całkiem są odmienne i dlatego zgadzają się z sobą i wzajemnie dopełniają. Ów widzi rzecz i myśl jego staje się światłem; ta ją odczuwa i przemienia w miłość myśl swoją. On ma dar uogólniania, brania wszystkiego oderwanie; ona przeciwnie, rozbiera wszystko, przystosowuje i ożywia abstrakcyę. Albowiem on myśli głową, a myśl jego schodzi do serca i tam się ogrzewa; ona myśli sercem, a myśl jej kochająca wstępuje do głowy, aby się tam oświecić. To też ich sposoby obznajmiania drugich z prawdą tak są różne, jak różnie dochodzą do jej poznania. Czego jeden naucza, drugi daje w natchnieniu; co jeden nakazuje, druga uprasza niejako. Jeden zwycięża, druga przekonywa. Piękny dwuśpiew połączonych głosów.

„Głos męski posiada dźwięki majorowe, głośniejsze; głos niewieści obejmuje tony minorowe, przytłumione, uroczyste; w ich braku słyhaćby było tylko szorstkość i siłę pierwszego głosu” ¹⁾.

Nie jedyne to zresztą różnice, jakie można zauważyć pomiędzy nimi. Dwa te, zarówno piękne umysły poruszają się jak gdyby w różnych zakresach. Co mnie uderza w badaniach nad umysłem kobiecym, to jego względna niższość w rzeczach, które mężczyzna zna lub znać powinien, a wybitna i wysoka zdolność do tych, o których tamten zapomina albo może zapomnieć. Weźcie mężczyznę najbogaciej udarowanego, z duszą najdelikatniejszą. W ciągłej walce z potrzebami życia, pochłonięty

¹⁾ Gerbet, *De la mission des femmes*.

przez prozę rzemiosła lub interesów, z konieczności czegoś zanedbuje; czegoż: ideału, nieskończoności. Przygniata go teraźniejszość, widzialnie go uciska; lot jego obniża się, a co gorsza, najdelikatniejsze władze nieużywane—zanikają. Kto mu je przywróci? Gdzie odnajdzie iskrę zapału, zawsze jednostajne zamięlowanie rzeczy wiecznych? Gdzie? w umyśle kobiety. To właśnie, o czym mężczyzna tak prędko zapomina, kobieta najmocniej odczuwa i nie zapomina nigdy. Albo raczej: jedynie to odczuwa, ale odczuwa w sposób wyższy. Dołóżcie największych usiłowań, aby nadać jakiemu dziełu porządek, logikę, wyprowadzić najwidoczniej jedno z drugiego; uderzy to mężczyznę, kobieta nie spostrzeże tego nawet. Ale niech się ukaże myśl wzniosła, czysta, wychodząca z duszy, ogrzana ciepłem serca—kobieta chwyci ją w lot, pielegnuje, rozwija i zdobi. Zarzucają dziś, że to jest wada, brak w kobiecym umyśle. W każdym razie wada to prześliczna, i żałowałbym mocno, gdyby się z niej kobieta poprawiła. Szczęśliwy brak, który nie uzbiera jej do walki z umysłem małżonka, ale owszem stawia ją w możliwości dopełniania go, a czasem w niektórych rzeczach poprawiania. Tam, gdzie wy brak widzicie, ja witam harmonię, i przerażają mnie te nowoczesne próby uczonego wychowania kobiet, te zachcianki niedorzeczne nagięcia ich umysłu do logicznego porządku umysłu męskiego, jego wyrozumowanego poglądu na rzeczy, jego naukowych wywodów. Nie osiągną celu, a usiłując poprawić arcydzieło natury, zepsują je. Zamiast kobiet doskonałych, będziemy mieli nieudanych mężczyzn.

O, barbarzyńcy, chcący tak delikatny, tak skrzydlaty umysł obciążyć nauką ścisłą: algebrą, fizyką,

ekonomią polityczną! Równem prawem połóżcie ołowianą kulę w kielich kwiatu, stworzony do zbierania rosy niebieskiej.

Nie znaczy to, ażeby nie trzeba było kształcić umysłu kobiety; kształcić należy, ale nie obciążać, ani sprowadzać z drogi. Otwórzmy przed nim właściwe mu dziedziny: religię, literaturę, historję, sztukę, poezję, malarstwo, muzykę, bezgraniczne widnokreśli piękna, prawdy, dobra, — niech rozkwita w nich. Ale matematyka, algebra, chemia, fizyka, prawo, agronomia, ekonomia polityczna! O, nie! Żadnej nauki, sam kwiat jej tylko, i to dotykany końcem palców!

Geniusz i zdrowy rozsądek Moliera maluje się jasno w tym pięknym wierszu:

I chcę, żeby kobieta miała o wszystkim pojęcie.

Tak, ale tylko pojęcie. I bądźcie ostrożni, aby nie przesadzić.

Prześlizgnijcie się, śmiertelnicy, nie stąpajcie mocno.

Bo jeżeli kobieta będzie uczoną, jakże zaradzić, aby tego znać nie było? A wiecie, że jeśli znać będzie choć trochę, trzeba się pożegnać z urokiem i wpływem.

Zresztą przyznajcie, że usiłowania te są dla was środkiem, nie zaś celem. Daliście kobiecie do rąk książki dlatego jedynie, żeby zastąpić jej dzieci, których nie ma, i religię, którą jej chcecie wydrzeć. Po wygnaniu z jej duszy Boga, opustoszeniu domu z kolebek, przeraziliście się jej próżności i lekkomyślności. Trzebaż było zastąpić czemś strzaskaną kotwicę religii. Spróbowaliście kotwicy nauki. Na nic to; żadna nauka nie zastąpi tego, coście odtrącili. Żadne książki nie zapełnią próżni, nawet wasze, szczególnie wasze. Co chcecie, aby począł

umysł kobiety wśród waszego świata bez Boga, wobec ateistycznej nauki, pochodzenia człowieka od małpy, skupień i rozproszeń cząsteczek materii według formułek matematycznych, wobec niepodzielnego panowania fizyki i chemii? Będzie się nim brzydziła. Odrzuci wasze księgi, gdzie nie znajdzie dla siebie pokarmu; rzuci wasze wszystkie nauki, i po zamknięciu przed nią świata piękności idealnych, rzuci się do drobiazgów. Pustka opanuje ostatecznie jej życie. Rozum swój, poczucie piękna, przenikliwość, zdolność, poświęci odtąd wymyślaniu coraz nowych mód i co dzień ekscentryczniejszych strojów, szukaniu lekarstwa na swą bezczynność w próżności lub intrygach miłosnych. A ponieważ mężczyzna, zstąpiwszy sam z wyżyn moralnych i sprowadziwszy z nich swą towarzyszkę, nie będzie już znajdował żadnej przyjemności w rozmowie z kobietą, a ona z nim tem mniej, w każdym zebraniu towarzyskiem utworzą się dwa oddzielne koła: w jednym z nich będzie mowa tylko o interesach, handlu, przemyśle, giełdzie, psach, koniach, polowaniu; w drugim tylko o gałgankach. Tak samo jednakże, jak żadna doktryna nie rozejdzie się po Europie bez przejścia przez Francję, gdzie się zajmuje płomieniem, żadna myśl, powstała w umyśle mężczyzny, nie może się rozpowszechnić, póki nie przejdzie przez serce kobiety. To też nauczyciele ateizmu, materjalizmu, socjalizmu, będą poszukiwali kobiet jako współniczek i apostołek. Znajdą je; bo oprócz tej skłonności do błahostek, kobiety mają skłonność do przesady, a poza dobrą drogą, do zuchwalstwa. Znajdą je więc, i to takie, które prześcigną ich samych. Rozlegną się po klubach przerażające okrzyki bezbożności; wydadzą je usta kobiece. Tłumy po bulwarach będą słuchały nauk

najbezwstydniejszego materializmu, socjalizmu najcy-niczniejszego. Nauczać tam będą kobiety. A gdy pra-wem logiki, rządzącej bądź-co-bądź światem, wyrodzą się katastrofy z tych doktryn obmierzłych, będziemy na tych samych bulwarach spotykali zgraje okrwawione i rozczochrane, straszniejsze stokroć od ludzi i zwierząt: zgraje kobiet.

Taką to staje się klęską umysł kobiety bezbożnej, zarówno jak jest sidłem jej piękność, skoro nie posiada wiary, skromności, czystości.

Ale, żeby dobrze ocenić wielkość darów, udzielo-nych kobiecie, zgodność ich z jej boskiem posłannictwem, a także dziwny sposób, w jaki obracają się przeciw niej samej, ludzkości, społeczeństwu, skoro się temu poslan-nictwu sprzeniewierzy; ażeby to wszystko dobrze ocenić, nie dosyć jest zastanawiać się nad umysłem kobiety, ani nad jej pięknością. Żeby mieć wszelkie światło w tym przedmiocie, należy zbadać jej serce. Trzeci to dar i trzecia siła, jaką ma od Boga. Nie żeby mężczyzna był go pozbawionym, ale u niego to tylko połowa jego istoty, u kobiety—to całe jej ja. Przytoczę tu słowa pewnego chrześcijańskiego myśliciela: „Kobieta, we wszystkim od mężczyzny płytsza, głębszą jest w miło-ści” ¹⁾. Znamy wszyscy to wzruszające określenie, wy-rzeczone przez kobietę: „Miłość jest tylko epizodem w życiu mężczyzny; dla kobiety — to całe jej życie” ²⁾.

W istocie Bóg nie stworzył nic piękniejszego nad serce kobiety. Jest to dzieło doskonałe. Męskie serce to cień jego tylko. Czułość, słodycz, poświęcenie bez

¹⁾ De Bonald.

²⁾ Pani de Staël.

granic, delikatność i czystość, jasnowidzenie, światło, cierpliwa wierność i uparta odwaga; któregoż z tych darów nie posiada kobiece serce? ale trzeba, żeby Bóg był w niem obecny. To ogród kwitnący jedynie w promieniach tego słońca.

Co mówię? nawet gdy Bóg jest obecny w sercu kobiety, uszlachetnia je i cnotami napęcza, serce to jest jeszcze niespokojne i nienasycone. A wy chcecie wygnać z niego Boga! Biedne to, opustoszone serce obróci się przeciw wam samym.

Powiadają, że natura nie znosi próżni. Tem bardziej serce, a szczególnie serce niewieście.

To też Bóg nie stworzył ich próżnemi, owszem zappełnił obficie. Miłość córki dla rodziców, małżonki dla męża, matki dla dzieci, siostry dla braci, a po nad temi uczuciami, jednocząca je wszystkie, miłość chrześcijanki dla Boga. Za każdą przemianą w życiu kobiety nowe uczucie rozkwita, jak kwiat nowy. I, rzecz podziwu godna: im większą jest miłość, tem większe, tem straszniejsze obowiązki idą z nią w parze, tak, że z przyrostem szczęścia sercu, życiu jej przybywa cnoty, poświęcenia i ofiary. Tak, że gdy w sercu nagromadzone są wszystkie te uczucia, obowiązki i troski, jakby jedne wsunięte w drugie, — jest ono wówczas jak gdyby okręt, pełny balastu. Może przejść przez życie bez obawy rozbicia.

Ale odbierzcie to wszystko, odejmcie tę kotwicę sercu, jakeście ją już odjęli umysłowi, uczynicie pustkę, a ujrzycie, co z tego wyniknie.

Opustoszone to serce opuszcza dom często; bo cóż ma robić u ogniska, gdzie małżonek jest zawsze nieobecny i gdzie niema kolebek? Opuszcza dom, idzie w świat, ażeby się rozerwać, zabawić, a czasem, w tajemnicy

przed samem sobą, poszukać tych sideł, o których wspomina św. Augustyn: „gdzie to tak miło dać się złapać.”

A cóż spotyka? Serca również puste. O, bo tyle ich jest na tym świecie!

I gdybyż spotykało tylko takie! choć i te powiększałyby i zatruwały jego ranę, ukazując mu swoje własne. Ale znajduje tam także na swoją zgubę owe tak dobrze nazwane eleganckie drapieżne zwierzęta; owe znudzone i sceptyczne, które, na widok kwiatu, krążą przez chwilę koło niego, zadają mu cios, pochylający jego głowę i niszczący go na zawsze, a po ukończeniu tego krótkiego dramatu budzą się nazajutrz przy blasku słońca i śpiewie ptaków, wstają zadowolone i zapominają o wszystkim.

A cóż to biedne, opustoszone serce ma na obronę od takich niebezpieczeństw?

Niestety! Bóg, który zna słabość kobiety, i społeczeństwo, także jej świadome, dali jej od dawien dawna trzy tarcze: religię, skromność i prawo.

Religii wszakże już nie chcecie!

Co się stało ze skromnością po wygnaniu religii, wiedzą wszyscy. Bezczynność umysłu, próżność, pustka w sercu, moda, obróciły ją wniwecz.

Co do prawa, dziwnemby było, ażeby po zdeptaniu ojcowstwa, po ustanowieniu rozvodu, zachowało całą surowość względem uwodziciela.

We wszystkich wolnych i szczęśliwych krajach w Anglii, w Ameryce, uwiedzenie jest zbrodnią. Honor kobiety, dziewicy, jest pod ochroną prawa i pod opieką wszystkich uczciwych ludzi. To też nie myśli nikt o zniesławieniu dziewicy, tylko żeni się z nią. Czynią

z niej małżonkę, zamiast ofiary, ponieważ jedno jej słowo wystarcza, ażeby ściągnąć na głowę uwodziciela karę nieubłaganą.

Tak było i we Francyi aż do roku 1791, w którym to roku wyrok, pełen tej niedorzecznej i występnej czułościowości, cechujący złych uczniów Rousseau, uwolnił mężczyznę od odpowiedzialności za uwiedzenie.

Cóż wówczas zobaczono? Widok nieznany w całej Europie i z powodu którego mówi ona, że Francuzi utracili poczucie moralności. Nigdzie już honor kobiety i dziewicy nie był od napaści bezpieczny. Żeby zachować czystość naszych dziewczeczek, trzeba je zamykać w domu jak w klasztorze, nie pozwalać im stąpić nigdzie krokiem bez matek. Tak dochodzą wieku lat szesnastu, ośmnastu, niewinne jak dzieci, ale nieświadome, naiwne, niewiedzące nic o życiu, niezdolne wybrać sobie męża; i dlatego to ich zamełczenie jest tak często bolesnem przesileniem, napełniającem je zdziwieniem i przestraczem, i wywiera zgubny wpływ na ich życie. Potem ujęte w więzy małżeństwa jak w sidła, zastawione ich prostocie i niedoświadczeniu, bywają nagle rzucone w towarzystwo, w którym zwolnione obyczaje, niepowściągliwe rozmowy, liczne skandale, opinia publiczna bezsilna i pobłażliwa, ojcowska władza słaba a mężowska nieuznawana, narażają je na największe niebezpieczeństwa. A ponieważ i niezdrowa literatura okrywa chwałą uwodzicieli, ośmieszając zwodzonych mężów, nie pozostaje im, przy braku religii, żadna pomoc.

Co do dziewicy ubogiej, mniej ochranianej przez zbyt często nieobecna matkę, ta, jeżeli odrzuci Boga, jest prawie z konieczności ofiarą skazaną na utratę czci. „A ponieważ opinia publiczna, — robi bardzo słuszną

uwagę Le Play,—nie wypełnia pod tym względem zadania, jakie ma u narodów wolnych, i nie posiada dostatecznej wrażliwości ani energii, żeby zabezpieczyć biedne dziewczęta przeciwko pewnym moralnym torturom z najwstrętniejszą cechą, a szczególnie przeciw uwodzicielstwu naczelników fabryk i innych przełożonych, — zło w niektórych miastach przemysłowych doszło do tego stopnia, że ludzie, wiedzący, jaki wstyd robią cywilizacji francuskiej takie obyczaje, i mający wolę przeciwdziałania im, nie mają sposobu wziąć się do tego i nie chcą się narażać na największą śmieszność” ¹⁾.

Straszne to zaiste rany, a jednakże nie dotarliśmy jeszcze do głębi otchłani. Kobieta pozbawiona Boga i uwiedziona staje się sama uwodzicielką. Potrzeba jej miłości wielkich i szlachetnych; odbierzcie je, a będzie miała uczucia występne. Jeżeli nie będzie czyniła dobra, będzie czyniła zło. A skoro ten rozum, wdzięk, dar przekonywania, piękność, ta wytrwałość i to serce wstępują w służbę zła, to coś strasznego! Odkrywano czasem przede mną rzeczy, na które przejęty byłem przerażeniem i zrozumiałem te słowa: „*Zepsucie najlepszego najgorsze.*” O, nie psujcie się, rzeczy najlepsze, będziecie bowiem najgorszemi!

Tak! kobieta dlatego właśnie, że Bóg stworzył ją ręką delikatniejszą i czulszą i dla większego celu, upada niżej od mężczyzny; dalej, niż on, posuwa próżność, egoizm, zamięłowanie świata, zapomnienie o Bogu, nienawiść dobra. Otwórzcie Pismo: jakie tam pochwały dla kobiety, skoro jej serce należy do Boga! „To perła, do której podobnej niema na krańcach ziemi.” Ale

¹⁾ *Réforme sociale*, t. I, p. 283.

jakie oburzenie, skoro się sprzeniewierzy swemu powołaniu!

Dyplomata jeden mówił: Na dnie każdego wydarzenia jest ręka kobiety. Niestety, patrząc na wszystkie nieszczęścia, na wszystko, co zakrwawiło świat i co go zepsuło, powiem: Na dnie każdego upadku jest kobieta. *Initium et finis mulier.*

Pierwsze nieszczęście ludzkiego rodzaju zaczyna się wkrótce po stworzeniu świata i kończy wygnaniem z raju ziemskiego. *Initium et finis mulier.*

Jeszcze świat nie oseczł z wód potopu, a co widzimy wszędzie? Kto zakłóca wiarę, pobożność, pokój u ogniska Abrahama? — Agar. Kto kusi i stara się zgubić Józefa? — Żona Putyfarowa. Kto poniża i hańbi Samsona? — Dalila. Z czyjego powodu Dawid zadaje kłam samemu sobie? — Dla Betsabei. Kto odziera ze czci Salomona? — Obce niewiasty. Kto czyni z Achaba bezbożnika, krzywoprzysięcę i mordercę? — Jezabel. Kto popycha Heroda do ścięcia św. Jana Chrzciciela? — Herodyada.

A cóż jeszcze, gdybyśmy weszli w nowsze czasy? Tak kobieta potrzebuje Boga! tak serce jej, kochające ale namiętne, tklive ale zazdrosne, delikatne ale i wrażliwe, czułe ale łatwe do zagniewania, silne ale zarazem słabe, wielkie ale małe, dobre ale złe — musi być ujarzmione i przemienione przez rzeczywistą obecność Boga, ażeby to życie, rozum, ogień, miłość, zwrócone na prawdziwą drogę, użyte na cel swój istotny, to jest podnoszenie człowieka ku Bogu, dawały ziemi szczęście, a cnoty Niebu.

Dla obrony kobiety przed wami i przed nią samą, przed tymi zimnymi prądami obojętności w rzeczach

religii, tak dla niej zgubnymi, Bóg, ze względu na jej wysokie i delikatne posłannictwo, uczynił jej jeszcze jeden dar, większy nad wszystkie inne. Ale jak go nazwać? A jeżeli nie potrafię nazwać, jak mam go odmalować? Powiem poprostu z Tacytem, ze starymi Germanami, że jest w kobiecie coś boskiego: *Inesse in eis quid divinum*. Ale co? tego nie wiem. Czy to, że ponieważ jest słabszą od mężczyzny, musi być bliżej Boga, żyć więcej, głębiej w Bogu od niego? Może to, że ponieważ jest więcej od mężczyzny powołaną do spraw boskich, jako dziewica, małżonka, matka, a sama przez się niezdolną do wypełnienia tak wielkich zadań, trzeba było, ażeby niejako przyrosła do Boga i nie mogła się od Niego oderwać? A może potrzebnem to było z powodu większych jej boleści? W każdym razie w najtajniejszej głębi duszy kobiety jest czulszy, delikatniejszy i wyraźniejszy zarazem odcisk ręki Bożej, który powstaje, gdy wszystko jest zburzone, i którego nic nie może usunąć ani zatrzeć.

Dlatego to wszędzie, pod każdym niebem, we wszystkich religiach, kobieta szuka Boga. A raczej nie szuka, ale czuje Go; cała jej istota Go przeczuwa. Kiedy znika to wielkie światło, dziewictwo, pozostaje czystość, a później przychodzi macierzyństwo. Jako matka ma jeszcze silniejsze przeczucie Boga, aniżeli jako dziewica. Światłem jest dla niej dziecię u łona, mąż u boku; światłem jej młoda córka, piękna i czysta, syn dorosły, narażony na niebezpieczeństwo. Nigdy nie jest ciemno w sercu, mającem gwiazd tyle. Ma ona wszystkie światła, bo ma wszystkie miłości. Trzebaby jej wydrzeć serce, żeby nie przeczuwała Boga, duszy, dobra, piękna, prawdy, wszystkiego, co szlachetne, co boskie.

Wiecie czego potrzeba, ażeby ją przerzucić na stronę ateizmu? Trzeba, żeby nie była ani dziewczcą, ani żoną, ani matką.

Oto jest owo *quid divinum*. O tę skałę roztrąca się zawsze wszystkie usiłowania ludzi, chcących ją pozbawić religii. *Huc usque venies, et non procedes amplius* ¹⁾. Jakąż pociechą i nadzieją napęlnia się serce, skoro po smutnem wpatrywaniu się w tę powódź niewiary, gdzie z niepokoju i rozpaczys niszczeje i ginie tylu młodzieńców, tylu mężów, tak we wszystkim innem poważnych i rozumnych, tak ślepych i występnych tutaj; skoro po tem wszystkim zajrzymy w ten kącik zaciszny, w te serca, gdzie niewiara nie ma przystępu, chyba tylko jako gość chwilowy; w te dusze czułe i silne, śmiałe i czyste, przechowujące wierzenia, które świat odtrącił, i cnoty niezbędne dla niego, ażeby mu je zwrócić. Tak jest! ojciec zesłał, kapłan zbyt często nie ma władzy. Ale żeby zwyciężyć zło, żeby zatrzymać w biegu prąd niewiary, pozostaje nam, dzięki Bogu, kobieta chrześcijańska, córka, żona, matka. A raczej wam ona pozostaje, o mężowie niekonsekwentni, którzy sądzą, że można wygnać Boga z duszy ludzkiej i ze społeczeństwa, a zachować pokój, godność swą i szczęście! Pozostaje, ażeby was pocieszyć. Bo jakie są skutki niewiary? dokąd nas ona doprowadzi? do jakich nieszczęść prywatnych? — to wam już powiedziałem. Do jakich klęsk publicznych? Pora już to zobaczyć, ażebyście w sercach waszych córek, żon i matek

¹⁾ „Aż póty przyjdiesz, a dalej nie postąpisz.” (Job. XXXVIII, 11).

szanowali wiarę, która jedynie może was podtrzymać, pocieszyć i ocalić w dniach smutku i niebezpieczeństwa.

Trzeba tylko, żeby kobieta, chcąc spełnić to wielkie posłannictwo, nie zapominała nigdy o swoim boskim wzorze i zawsze była taką w oczach mężczyzny, jaką malują Najświętszą Pannę w jej promiennej czystości: z wieńcem gwiazd na czole, otoczoną aniołami, krajem szaty zaledwie dotykającą ziemi i depczącą stopą węża.

ROZDZIAŁ SZÓSTY.

Bolesny dramat niewiary (*ciąg dalszy*).
Społeczeństwo bez Boga.

Rozumiecie to dobrze, że nie ukończyliśmy bolesnego obrazu niewiary wykazaniem spustoszeń, jakie czyni w duszy ludzkiej i w rodzinie. Z zakresu jednostek i rodzin rozszerza się, musi się z konieczności rozszerzyć do zakresu społeczeństwa, i wyradza tam największe zaburzenia. Największe naprzód dla tego, że nigdzie może Bóg nie jest potrzebniejszym, Bóg budowniczy społeczeństw, a zarazem ich klucz sklepienia i cement spajający; powtóre, ponieważ niewiara, świadoma tego, nie szczędziła ciosów. Nie dosyć, że na podstawie filozofii zaprzeczyła boskiemu pochodzeniu społeczeństwa i postawiła natomiast jakąś umowę, która nigdy nie istniała i istnieć nie mogła. Nie dosyć jeszcze, że wygnała w istocie Boga ze stosunków społecznych i politycznych; że usunęła Jego imię z naszych kodeksów, które są jedynym okazem w tym rodzaju, gdzie człowiek występuje i rozkazuje człowiekowi w swoim własnym imieniu; że ogłosiła, iż prawo jest bezwyznaniowem i takim być powinno, co przestraszyłoby

pogan, a nawet dzikich,—niewiara posunęła się jeszcze dalej.

Postarała się wygnać Boga z wierzeń i obyczajów narodu, jednym słowem: z duszy i publicznego życia kraju. A następnie, nie zatrzymując się przed niczem, oddzielając bogactwo od moralności, jak oddziela moralność od religii, po zaciemnieniu kwestyi ekonomii publicznej, kapitału, płacy, stosunków pracodawców i robotników, bogatych i ubogich, zaprawiając takowe jadłem — rozprzega społeczeństwo. Gdyby jej pozwolono, wyjałowiłaby ziemię ojczyzny.

A umysły tak są zaciemnione, że ludzie rozumni, nieposzlakowanej uczciwości, którzy wierzą w Boga i wstydziłiby się zaprzeczać Jego istnieniu, dokładają wszelkich starań, aby usunąć Jego działanie poza zakres społeczeństwa. Otwierają przed Nim naościę podwoje sumienia jednostek, ale uchylają tylko podwoje życia rodzinnego, a zamykają szczelnie wszystkie wejścia do publicznego życia. To jest, że ograniczają działanie Boga w miarę, jak jest bardziej potrzebne.

Naszym obecnym celem nie jest zastanawianie się nad obowiązkami władz krajowych względem religii, ani nad tem, jakie powinny być stosunki Kościoła z Państwem. Później, mówiąc o kościele, napotkamy te delikatne i skomplikowane kwestye. Ta, do której mamy teraz przystąpić, jest obszerniejszą i głębszą zarazem. Dotyka najgłębszych podstaw, jakby wewnętrzności społeczeństwa. Chcielibyśmy dowieść, nawet tym, którzy posuwają zasadę swobody wyznań do najdalejszych możebnych granic, nawet tym, którzy żądają zupełnego oddzielenia Kościoła od Państwa, że wszystko

to nie jest tem, do czego dąży niewiara, że ona poprostu chce wygnać Boga ze społeczeństwa, utworzyć społeczność bez Boga, że to rzecz niemożliwa, potworna, której żaden wiek nigdy nie widział, której słońce nie będzie oświecało bezkarnie; że po najmniejszych w tym celu pokuszeniach następował zawsze stan chorobliwy, konwulsye, śmiertelne dreszcze, zwiastuny pewne upadku, i że nakoniec tak samo, jak po głębokich i głuchych grzmotach możemy sądzić o ilości elektryczności, zawartej w chmurze, tak samo po zamieszaniu w społeczeństwie poznajemy, o ile ono Boga usunęło ze swych ustaw i życia publicznego.

To też nie będziemy się długo zatrzymywali na rzeczach zbyt oczywistych. Żądają dziś faktów, podamy je. Położymy rękę na sercu nowożytnego społeczeństwa i dowiedzimy, że jest mocno chore. Zostało ono zatrute niewiarą i umiera; członki jego stygną; to samo czeka wkrótce serce. Niema chwili do stracenia, chcąc je ratować.

Incedo per ignes. Dotknę żywej, palącej kwestyi tegoczesnej. Wiem, że rana tak jest zaogniona, iż nie można jej dotknąć, nawet ze współczuciem, bez wywołania okrzyku bólu. Jakiż jednak lekarz wstrzymałby się w takim razie? Po co mówić, jeżeli nie na to, żeby powiedzieć prawdę? I czegoż można więcej wymagać nad to, żeby ją wypowiedano z szacunkiem, szczerze, delikatnie i z miłością, tak, jak starałem się ja mówić zawsze i nadal starać się będę?

I.

Badając w tym względzie dawnych filozofów, czy o, że umysł ich, nie tak jak nasz rozproszony, skupiony

owszem, był głębszym, czy, że ludy, którym się przypatrywali, były więcej chore, — widzimy ich wszystkich w podziw i jakby w osłupieniu nad tym niepojętym cudem życia narodu. W czyjej mocy leży, ażeby naród istniał, utrzymywał się wieki całe wśród tylu powodów do upadku? W jaki sposób tysiączne koła tego olbrzymiego mechanizmu nie zużywają się w końcu i nie zapalają? Oto trzy, dziesięć, trzydzieści milionów ludzi, to tyleż woli odrębnych od siebie, przeciwnych, wrogich sobie; w jaki sposób zlewają się powoli w jedno? Jedność społeczna nie może istnieć bez poświęcenia. Jak je otrzymać? otrzymywać od wszystkich i zawsze, w okolicznościach tak nieraz ciężkich, „bo wspólność interesów jednostek tak jest małą, — powiada Rousseau, — że nie wyrówna ich sprzeczności” ¹⁾. A weźcie też w rachubę namiętności ludzkie. Jak ci, którzy nic nie posiadają, stokroć liczniejsi od posiadających, nie złupią tych ostatnich? A ci znowu, dla czego ze strachu i pychy nie zdepczą tamtych, nie okują ich w kajdany, jak dzikie zwierzęta, których się obawiamy?

W społeczeństwie nie tylko są wielcy i małuczy, bogaci i ubodzy, jest także władza i poddani, prawo rozkazywania i obowiązek posłuszeństwa. Obok kwestyi społecznej jest też kwestya polityczna. Któż nie poczuje tu nowego niebezpieczeństwa, rozdwojenia prawdopodobniejszego jeszcze i straszniejszego? Oto władza; jedną ręką opiera się na prawie, drugą na sile: kto uchroni ją przed najstraszniejszą z pokus, przed szaleem pozwalania sobie na wszystko? Ale naprzeciw tej pychy

¹⁾ *Émile*, t. III, p. 199.

u steru oto druga, niemniej szkaradna: lud, który sobie sprzykrzył posłuszeństwo, pracę i cierpienie, który patrzy w górę, zazdrości naprzód, potem grozi. Jak zapobiedz, żeby się te dwa lwy nie pożarły? Kto napelnił serce zwierzchników pokorą, umiarkowaniem, poświęceniem, serca ludzi posłuszeństwem i poszanowaniem prawa? Kto ocali wolność, dzielność, honor? Kto? Filozofowie starożytności zatrzymują się wszyscy, jakom już rzekł, przejęci podziwem i grozą przed straszną doniosłością tego zagadnienia. Nie widzą tu żadnego innego wyjaśnienia, tylko wszechmoc Boga. W ich przekonaniu potrzeba rozkazu Najwyższego Władcy do powstania narodu. Żadne państwo nie istnieje, nie utrzymuje się bez rzeczywistej obecności Boga. „Prawdą to jest istotną,—powiada prześlicznie Platon,— że jeżeli Bóg nie przyczynił się do założenia miasta, jeżeli miało ono tylko ludzki początek, nie uniknie największych nieszczęść. Starajmy się więc wszelkimi możliwymi sposobami naśladować pierwotne urządzenie; powierzając się temu, co w człowieku jest nieśmiertelnem, winniśmy zakładać tak domy jak Państwa, uświęcając jako prawo wolę Najwyższego Rozumu. Bo jeżeli Państwo jest zbudowane na występku i rządzone przez ludzi, depczących sprawiedliwość, niema dla niego środka ocalenia” ¹⁾).

A zarówno, jak potrzebnym jest w ich pojęciu rozkaz Wszechwładcy, aby Państwo powstało, tak samo, skoro zachwieje się ono w swych posadach, uważają za niezbędne, aby był powtórzonem, jeżeli Państwo ma dalej istnieć. „Łatwo jest ostatniemu z ludzi zachwiać

¹⁾ Plat. *De Leg.* t. VIII, p. 180.

Państwem, ale na nowo je umocnić to dzieło trudne i nierychłe, chyba, że Bóstwo stanie na czele rządzących i da się im za sternika” ¹⁾).

Przejęte tą wzniosłą zasadą najślawniejsze narody starożytności, a szczególnie najpoważniejsze i najmądrsze, ażeby żyć długo, usiłowały uczynić swe ustawy głęboko religijnymi. Im więcej religii mogły włożyć w swe prawa, ustawy, rzady, obyczaje, tem dłużej trwać miały nadzieję. „Miasta i narody najwięcej oddane czci Bóstwa, — powiada Ksenofont, — były zawsze najtrwalsze i najmądrsze, jak wieki najpobożniejsze odznaczały się zawsze geniuszami” ²⁾).

Rzym nie inne miał pojęcie o tym ważnym przedmiocie. Sam sposób zakładania miast wedle obrządku etruskiego świadczy wymownie o ówczesnem przekonaniu, że porządek społeczny ma za podstawę porządek religijny. Trzeba było uroczyście naznaczyć miejsce na nowe miasto, po długich modłach i solennych ofiarach. Gdzieindziej znowu, ci, którzy odjeżdżali na zakładanie kolonii, brali z sobą w drogę ogień święty z głównego ołtarza opuszczonej przez się ojczyzny, aby go zawieźć na miejsce, które obiorą dla przyszłego zamieszkania.

Oto geniusz starożytności w swem religijnem pięknie, albo raczej rozum ludzki w całej pełni. W istocie, społeczeństwo zasadniczo i koniecznie wspiera się na Bogu. W Nim to, i tylko w Nim, znajduje pojęcie władzy, sprawiedliwości i prawa, pojęcie o wartości i nienaruszalności duszy, o posłuszeństwie, obowiązku, ofierze

¹⁾ IV *Pythiq.*

²⁾ Xenoph. *Mem. Socr.* I, IV, 16.

i cnocie. Poza Nim społeczeństwo nie ma sprawiedliwości, ani naród wiary. Odejście Boga, a społeczeństwo będzie już tylko kupą kamieni bez cementu, szalonym posągim, odrzucającym swą podstawę. Nie spodziewajcie się, aby cud wstrzymał jego upadek.

A nie tylko prawa nie mają bez Boga i religii podstawy, obowiązki znaczenia, ofiary racji i bytu, ale namiętności nie mają hamulca. Piękny to gmach—naród, ale jakże jest kruchy, skoro Bóg nie trzyma na wodzy jego namiętności! Dwa cudy podziwiam na ziemi. Jeden—to wyspa wśród Oceanu: fale podchodzą ku niej, cofają się, podnoszą, ryczą, a zatrzymają zawsze w porę, ażeby jej nie pochłoniąć. Drugi—to Państwo wśród namiętności ludzkich; namiętności bogaczy, namiętności ubogich, poddanych, królów: pycha, zazdrość, ambicja, zbytek, chciwość, fale złe, błotniste; nadchodzą one, wznoszą się, pienia, cichną i ustępują. Dlaczego? Bo jest Bóg, który mieszka w sercach ludzkich, niebieskimi nadziejami ucisza ich namiętności i koi bole, i buntom duszy człowieka przeciwstawia ziarno piasku, o które się roztrącają. *Huc usque venies, et non procedes amplius.*

Powiedziałem: bole, bo nie widziano jeszcze społeczeństwa, któreby u podstawy i szczytu nie miało poświęcenia. Poświęca się robotnik, który od świtu wyrusza użyźniać swoim potem ziemię: inaczej nie byłoby chleba ani wina, życia fizycznego. Poświęca się górnik, zstępując do wnętrzości ziemi dla wydarcia im jej skarbów: inaczej nie byłoby węgla ani minerału, żelaza ani złota, nie byłoby życia przemysłowego. Poświęcają się urzędnicy poczty, telegrafu, kolei żelaznej, którzy czuwają, podróżują, podczas gdy my spoczywamy: bez tego

nie byłoby życia stosunków międzyludzkich. Sędzia, prawnik, pełnomocnik, poświęcają się, badając nasze zatargi i spory, wyjaśniając je i rozstrzygając, dając nam prawdę, pomoc, bezpieczeństwo i opiekę. Żołnierz walczy za nas i umiera. Kapłan wyrzeka się rodziny, mienia, ażebyśmy wśród tylu trudów, przeciwności, trosk, walk zaciętych z naturą i walk konkurencyjnych nie zapominali o Niebie, prawdziwej naszej ojczyźnie, i Bogu, prawdziwym celu naszym. Oto jest społeczeństwo. Ze wzruszeniem rozważam jego wspaniałość i harmonijną piękność. Sokiem, ożywiającym to olbrzymie drzewo, jest poświęcenie; krwią, poruszającą to szlachetne serce, jest krew ofiary. I dlatego to potrzeba mu Boga, który jedynie pobudza do ofiar i jeden tylko może je wynagradzać.

To też im prawdziwiej przemieszkują Bóg w łonie społeczeństwa, im więcej na Nim opierają się prawa, ustawy, zarząd, obyczaje w życiu publicznym i prywatnym, tem gruntowniejszy jest tam pokój i porządek, tem więcej wznosi się cywilizacya. Nie dlatego, żeby wówczas nie było już niedoli: społeczeństwo będzie zawsze niedoskonałem, ponieważ z niedoskonałych składa się istot; ale niema obawy, ażeby ta niedola przeszła w stan zapalny, ani żeby niepowodzenia jednostek sprowadzały klęski społeczne. Religia, jak starożytny Orfeusz, ułagadza złe popędy, te tygrysy duszy ludzkiej; jak Amfion z legendy, potrafi umiejętnie poruszać wszystkie kamienie, zastępować je nowymi, przerabiać fundamenty i podstawy i w razie potrzeby, odbudować na nowo miasto, czyli społeczeństwo. Wielkość rezultatów można tylko porównać do prostoty środków. Bez rozpraw, bez niczyjego współdziałania, jasnym i potężnym słowem trafia

do wszystkich dusz: tak do rozkazujących, jak i do posłusznych, do posiadających i do wyzutych ze wszystkiego, do cierpiących dziś i mających jutro cierpieć. Na głos jej namiętność milknie przed obowiązkiem, władza zastępuje siłę i wolność może się ukazać. Miłość i poszanowanie, jak dwa anioły opiekuńcze, wchodzi i schodzą po drabinie społecznej i zbliżają ku sobie jej krańce. Ubogi nie zazdrości już bogatemu, który skłania się do niego czule. Lud nie jest już tylko posłusznym władzy, ale kocha ją, a miłość ta powraca ku niemu w postaci dobrodziejstw. Spokojny wewnątrz, swobodny i dumny na zewnątrz, doznając tylu nędz społecznych, ile jest nieuniknionem przy słabości ludzkiej, znoszący je mężnie, podtrzymywany nadzieją, postępuje wielkim krokiem ku szczęściu, zbliżając się do doskonałości.

II.

Oto jest prawdziwy, naturalny, normalny stan społeczeństw. Religia jest ich podstawą, koniecznym kamieniem węgielnym. Szukajcie sobie innego, nie już równego, ale któryby mógł go zastąpić,—żadnego nie znajdziecie.

Bo zauważcie, że zawsze były i mogą być tylko dwie filozofie społeczne:

Filozofia społeczna rozkoszy i filozofia społeczna ofiary.

Filozofia socyalna używania materyalnego, które powinno być jak najspieszniej rozpowszechnione i rozdzielone pomiędzy wszystkich, i filozofia socyalna cnoty, cierpliwości, pobożnego poddania się porządkowi,

ustanowionemu przez Boga, nim nadejdzie niechybny dzień nagrody.

Pomiędzy temi dwiema filozofiami nie może być środka, a dla zapewnienia panowania drugiej z nich, jedynie prawdziwej, pierwsza bowiem bogatych psuje, a ubogich podburza, nie było i nie będzie nigdy innego środka, tylko religia.

Jeżeli bowiem, pojmując, że podstawami społeczeństwa są: ofiara i cnota, zamiast rodzącej je religii postawicie pobudki mniejsze: interes własny, obowiązek względem ludzi, uczucie honoru, które są także pobudką do cnót i ofiar, ale w stopniu nieskończenie niższym, — wasze społeczeństwo umrze z wycieńczenia. Zgaśnie z anemii. A jeśli postępując konsekwentniej, albo pomimo woli, wygnacie filozofię społeczną ofiary, która rządzi tylko przez religię, a weźmiecie natomiast filozofię społeczną używania materyalnego, — umrzecie już nie z wycieńczenia tylko: umrzecie okryci hańbiącymi ranami i pożerani gangreną. A ponieważ klasy ubogie, teraz szczególnie, nie zniosą bezkarnie widoku psucia się klas bogatych w rozkoszach materyalnych, straszliwe konwulsye dokończą tego, co rozpoczną anemia i gangrena. Bolesny ten widok, jaki przedstawia nowożytne społeczeństwo, tak głęboko jest pouczający, że trzeba się nad nim zatrzymać.

Wejźdźmy więc w szczegóły i rozpatrzmy po kolei objawy tej nieszczęsnej choroby.

Wiek XVIII, mierny we wszystkim, a szczególnie w zagadnieniach społecznych, bo tam, gdzie potrzeba mieć tyle rozumu, zdrowego rozsądku, okazał tylko popędy marzycielskiej czułości; po usunięciu z porządku społecznego głównej jego podstawy — religii,

usiłował ją zastąpić przez zasadę własnego interesu. Nie zaprzeczał on jeszcze, jak zaprzeczono później, że społeczeństwo potrzebuje ciągłego i dobrowolnego poświęcenia dobra jednostek dobru ogółu, ażeby żyć, utrzymać w swem łonie porządek, dojść do swobody i zabezpieczyć swą wielkość. Ale ufając zanadto rozumowi ludzkiemu, doradzającemu w istocie to poświęcenie, olśniony widokiem kilku jednostek, które przestrzegały sprawiedliwości i dobra ogólnego przez samo poczucie obowiązku, nie dostrzegł, że większość ludzi jest wcale niedostępną dla pobudek tak oderwanych, i że zgubnem złudzeniem jest chcieć ich prowadzić samą tylko zasadą dobrze zrozumianego interesu. Bo rzeczywiście, co innego jest wielka dusza, a co innego ta pospolita masa, stanowiąca ogół ludzkości. A nawet dla duszy wielkiej inna jest rzecz poświęcić się raz jeden, w okolicznościach uroczystych, na rozkaz obowiązku, a inna poświęcać się bezustannie, w tysiącu okoliczności małych, ukrytych, nieznanych nikomu i o których sami nazajutrz zapomniemy. Temu człowiekowi, pospolitemu bądź-co-bądź pod jakimś względem, tym tłumom pospolitym zawsze, żeby im dodać sił do ciągłego posłuszeństwa, ciągłej ofiary, cóż przedstawicie? Interes własny? to za mało. W tysiącu zdarzeń-cierpieć, słuchać, pracować nie leży w interesie jednostki, a chociaż, biorąc rzecz głębiej, jest to zawsze jej dobrze zrozumiany interes, bo porządek, będący wynikiem tego posłuszeństwa, przyniesie jej więcej korzyści, aniżeli kosztował ofiar, — jest to rozumowanie za wysokie, za subtelne, za delikatne dla ogółu i którego wiele wykształconych nawet umysłów nie zawsze uchwyci. Prévost-Paradol mówi dobrze: „Znosić dobrowolnie nierówność stanów, pracę ręczną, ubóstwo,

żeby razem z całym społeczeństwem uniknąć klęsk bezrządu, iść na śmierć na polu walki, żeby uchronić swych współobywateli i ich potomstwo od upadku ojczyzny, są to wysiłki rozumowania i czyny bohaterstwa ducha, do których rzadko jest zdolną natura ludzka. To też nie zdobywa się na nie, i ludzie, którzy są dobrymi obywatelami jedynie przez poczucie obowiązku, albo posłuszni prawu, nie dla obawy przed niem, ale przez dobre zrozumienie interesów ogółu, są zbyt nieliczni, ażeby utrzymać w społeczeństwie ład, uczciwość i względną ilość poświęcenia, bez jakiej Państwo nie mogłoby istnieć” ¹⁾).

Co najmniej więc rzecz można, iż stawiać w miejsce religii obowiązek ludzki i interes własny, daje się niedostateczny pokarm społeczeństwu, które musi żyć posłuszeństwem, poddaniem się, ofiarą. Nie dziwcież się więc, że życie słabnie. I nie tylko niedostateczny, ale nie zdrowy, nie zaspokajający głodu, oszukujący go tylko, i który ono wkrótce odrzuci, jak zwodniczy. Bo cóż za zysk zawsze cierpieć, zawsze pracować, zawsze słuchać, jeżeli niema nieśmiertelnych nadziei? A gdzie jest obowiązek, jeżeli niema sumienia? A gdzie sumienie, jeżeli niema Boga? Chrystus powiedział: „*Beati qui lugent*”—Błogosławieni którzy płaczą. Ale dodał: „*Quoniam et ipsi consolabuntur*”—Albowiem oni będą pocieszeni. Odrzucacie *consolabuntur*, a myślicie, że ludzie utrzymają *beati*. Macie ich za zbyt głupich.

Niema klęsk, którychby nie prowadziła za sobą ta doktryna. Poniża dusze, upadła charakter, paczy

¹⁾ *La France nouvelle*, p. 356.

poczucie moralności, wpajając w każdego przekonanie, że jego interes jest jedynem prawem dla jego postępowania, i że może pozwolić sobie na wszystko, skoro tylko jest pewnym bezkarności; skupia wszystkie namiętności w ubóstwianiu swego „ja,” we wstrętneńm szukaniu wszędzie swojej osoby. Posuwa się jeszcze dalej: ze społeczeństwa robi scenę, gdzie ścierają się interesy, ludzie już nie słuchają, ustępują tylko, a co smutniejsza, spekulują. Porównywiają zyski, jakie przyniesie posłuszeństwo, z tymi, jakie ma dać opór. W rozumach jest bezrząd, w charakterach nizkość, a do maszyny państwowej już zakrada się nieład, chociaż siła utrzymuje tam jeszcze pozór porządku nazewnątrz. Społeczeństwo upada. I nie uderzenie to piorunu, nawet nie zamach miotły, uprzątającej nieczystości: to ciemny i niski owad, który podgryza skrycie wszystkie korzenie, przygotowując wywrót.

Oto do czego prowadzi zasada własnego interesu, a nie zatrzymując się nad tem dłużej, dosyć jest wymienić wiek XVIII, który ją utworzył, a którego przykład dowodnie wykazuje, o ile ona jest zgubną dla moralności i dla społeczeństwa.

III.

Trzeba więc było szukać innej pobudki, równie rozpowszechnionej, ale skuteczniejszej i szlachetniejszej od tej obrzydłej doktryny własnego interesu, tym zaś wszechpotężnym motorem, który nasz wiek wynalazł, jak sądzi, jest *honor*. Słuchajmy, co mówi de Vigny o tej cnocie, tak pięknej i niezwykłej, skoro przebywa w przybytku sumienia, zamieszkanego przez Boga,

gdzieindziej bladym kwiecie bez korzeni, chociaż nie bez zapachu. „W ogólnem rozbiciu wierzeń, — powiada on, — cóż nam pozostało świętego? Jakie szczątki, których mogłyby się jeszcze jać szlachetne ręce? Oprócz upodobania w dobrobycie i błyskotliwym zbytku nie widać nic w tej toni. Zdawałoby się, iż egoizm wszystko pochłonał. Ci nawet, którzy usiłują ocalać dusze i pogrążają się odważnie w owe fale, czują się blizcy zguby. Iluż jeszcze ugina kolana?... Ludzie żyją i umierają bez myśli o Bogu. Wiek nasz wie, że tak jest, chciałby to odmienić, ale nie może. Spogląda na się ponuro. Z tych smutnych oznak niektórzy wnieśli, żeśmy wpadli w stan taki, jak po upadku Cesarstwa, a ludzie poważni zadawali sobie pytanie, czy charakter narodu nie jest na wieki zgubiony.”

Ale de Vigny nie traci odwagi. Spostrzegł środek zaradczy: „Tak, zdaje się, że ujrzałem w tem ciemnem morzu punkt, który musi być stałym.” A ten punkt stały, ta wiara, którą, zdaje mu się, że wszyscy jeszcze zachowali, to wiara w honor. „Nie widzę, — powiada, — żeby ta wiara zesłabła, lub żeby ją co naruszyło. Podczas gdy wszystkie cnoty zdają się zstępować z nieba, aby nam podać rękę i wznieść nas w górę, honor zdaje się wychodzić z nas samych, a dążyć do niebios. Cnota to czysto ludzka, mogąca uchodzić za dziecko ziemi, bez nagrody po śmierci, cnota życia.

„Bądź-co-bądź, cześć dla niej w różny pojmwana sposób, nie jest nigdy zaprzeczana. Religia to męska, bez symbolu i obrazu, bez dogmatów i ceremonii, której prawa nigdzie nie są spisane; jakże się to dzieje, że wszyscy ludzie odczuwają poważną jej potęgę? Ludzie tegocześni są sceptyczni i ironiczni względem wszyst-

kiego, tylko nie względem honoru. Każdy poważnieje, skoro posłyszysz ten wyraz. Niezwyciężona stałość podtrzymuje go przeciw wszystkim i przeciw samemu sobie na wspomnienie tego uczucia, które jest mu w piersi jak gdyby drugim sercem, gdzie Bóstwo przemieszkuje...

„Honor — to poważanie dla samego siebie i dla piękności swego życia, posunięte do gorącej namiętności... Zawsze i wszędzie chroni od naruszenia godność osobistą człowieka.

„Honor—to męska czystość.

„Wstyd uchybienia honorowi jest wszystkim dla nas. Ta rzecz nieokreślona jest nam świętą.

„Zważcie, co u nas znaczy to wyrażenie ogólne, rozpowszechnione, rozstrzygające, a jednak proste: dać słowo honoru.

„Oby najczystsza z religii w swych nowych przemianach nie próbowała wykreślić lub przytłumiać tego poczucia honoru, czuwającego w nas jak ostatnia lampa w spustoszonej świątyni! ale raczej oby je sobie przyswoiła i połączyła ze swą wspaniałością, stawiając jako jedno światło więcej na swym ołtarzu, który odnowić pragnie. Boskie to jest zadanie” ¹⁾.

Ostatnia lampa w spustoszonej świątyni! Według de Vigny, tem dzisiaj jest honor. O nie! najczystsza z religii nie pomyśli nigdy o przytłumieniu tego wzniesłego uczucia, które starożytność przeczuwała za ledwie, a które rozkwitło w słońcu chrystyanizmu i taką pięknoscią nacechowało narody urodzone u stóp Krzyża. Połączcie po dawnemu honor, cnotę, religię, a ocalicie

¹⁾ *Servitude et Grandeur militaires.*

i uszczęśliwicie ziemię. Ale jeżeli wygnacie religię, a z nią razem jej wierną towarzyszkę — cnotę, cóż wam pozostanie? Cóż znaczy honor, skoro sumienia już nie ma? Czem on jest dla tłumu pospolitych istot? A nawet dla dusz wykształceńszych co znaczy on w niektórych razach? Wiemy wszakże wszyscy, ile podłości można popełnić, pozostając mimo to człowiekiem honorowym.

W pewnem dziele, które miało rozgłos, występuje człowiek nie mający religii, sumienia, ani Boga; pozostaje mu tylko honor. Ślubował mu cześć i sędzi, że to wystarczy. Powiada: „Ponieważ nie mamy już szaleństwa krzyża, miejmy szal honoru.” Ale to szlachetne uczucie nie powstrzymuje go od uwiedzenia żony przyjaciela, ani od doprowadzenia swego dobroczyńcy do śmierci ze zgryzoty, ani od poniżania duszy w ciągłej rozpuszcie, ani wreszcie od skończenia samobójstwem.

Nie, honor bez religii nie wystarcza. Jeżeli wygnacie religię, a z nią sumienie i cnotę, cóż wam pozostanie? Cień cnoty, błądy kwiat ziemi, jak te zioła wschodzące na ruinach. Wiem, że cień rzeczy tak pięknej, jak cnota, jest jeszcze pięknym; że jeżeli sam honor nie może zapobiedz wszelkiemu złu, utrzymuje jednakże w duszach lepsze uczucia; że ponieważ społeczeństwo cnotą tylko żyć może, dobrze, jeśli w jej braku posiada honor. Szanujmy go, jako ostatnią podporę. Przechowujmy starannie te czcigodne szczątki naszego narodowego charakteru. Utrzymujmy w sobie honor, „jako ostatnią lampę w spustoszonej świątyni.” Ale oplakujmy to spustoszenie, i chcąc pobożną ręką odbudować świątynię, „lampy zdobiącej przybytek” nie bierzmy za jedno z mocnymi filarami, służącymi mu za podstawę.

Do tego wyniku dochodzi ze smutkiem przytaczany już przeze mnie autor. On też widzi już tylko jedną ucieczkę — honor, „albo lepiej: punkt honoru, ostatnia i potężna obrona społeczeństw, a szczególnie społeczeństwa francuskiego.” „Jeżeli nasze prawa, o tyle, o ile zgadzają się z powszechnymi prawidłami sumienia, są ogólnie szanowane, jeżeli żołnierz słucha wezwania swojej chorągwi i jest jej wiernym, jeżeli kasjer szanuje kasę publiczną, jeżeli wogóle Francuz należycie wypełnia większość swych obowiązków względem Państwa i współobywateli, winniśmy to przedewszystkiem tak zwanemu punktowi honoru. Nie poszanowanie prawa Bożego, które przeszło oddawna w stan zagadnienia do rozwiązania, nie filozoficzne poświęcenie niepewnemu obowiązkowi, a tem mniej oderwanej idei Państwa, przez tyle przewrotów szarpanej i poniżanej, tylko obawa publicznego zawstydzienia za niski postępek utrzymuje jedynie pomiędzy nami dostateczną chęć postępowania dobrze” ¹⁾.

Oto ostatnie schronienie. Smutnie i wymownie kreśli jego urok: „Widzimy często nad brzegiem strumienia drzewo, mocno przez czas uszkodzone, pień jego jest głęboko rozdarty, tkanka drzewna zniszczona, wewnątrz zawiera tylko trochę próchna, ale kora drzewa jeszcze żyje, soki mogą w niej krążyć, i co rok drzewo okrywa się zielonością, jak za młodych czasów, stoi jeszcze dumnie i może stawić czoło niejednej burzy. Oto wierny obraz narodu, podtrzymywanego jeszcze przez punkt honoru po utraceniu Religii i cnoty” ²⁾.

¹⁾ *La France nouvelle*, p. 358.

²⁾ *Ibid.*, p. 360.

Uznaje on więc nowożytne społeczeństwo za zgniłe wewnątrz, ale o korze silnej jeszcze. Wkrótce jednakże ogarnia go niepokój i przestrasz. Już i kora psuć się zaczyna. Honor, czyli lepiej: punkt honoru, doznaje napaści. Wymienia jego nieprzyjaciół. Są to ci, którzy wynoszą nad wszystko powodzenie, biją przed nim czołem bez względu na jego źródło, ci, którzy wszystko poświęcają dla celu, którzy utrzymują, że cel uświęca środki. Skoro się dojdzie do tego przekonania, „punkt honoru, zależący właśnie na tem, aby nie zarówno cenić wszystkie sposoby dojścia do celu, jest zagrożony zagładą. Przechodzi się wówczas w ten stan duszy, który przewybornie odmalował Tucydides w obrazie upadku Grecji z okoliczności rzezi w Korcyrze i w nieśmiertelnym dyalogu Milończyków z Ateńczykami, zwycięskimi dnia tego i oświadczającymi głośno swoją pogardę dla sprawiedliwości” ¹⁾.

Pówoli zasady te przechodzą w życie prywatne. Z początku tylko w publicznym życiu ośmielano się wychwalać podstęp i gwałt pod nazwą zręczności, mówić, że siła jest miarą prawa, i bić czołem przed powodzeniem. Dla prywatnego życia czyniono zastrzeżenia, ale wkrótce logika bierze górę, i zaczyna się chwalić każdą kradzież dosyć zręczną, aby pozostała bezkarną, jako nadzwyczaj zręczne prowadzenie interesu. Skoro tak staną rzeczy, to już koniec. „Ostatni to, najpewniejszy znak upadku, — mówi on, — kiedy jedyna opora, pozostała nam, punkt honoru, zaczyna chwiać się w naszych rękach, jak owa wątła trzcina, o której mówi Pismo Święte” ²⁾.

¹⁾ *Ibid*, p. 361.

²⁾ *Ibid.*, p. 363.

Bo i cóż pozostaje, aby wznieść dusze aż do surowego poczucia obowiązku? Mają już tylko bezbarwne pobudki do cnoty, powody małoważne i nizkie do pracy, posłuszeństwa, cierpliwości. Społeczeństwo nie umiera jeszcze, ale cierpi, dźwiga się jak może, jak ci chorzy, którzy smutnie i z trudnością błakają się w ostatnich promieniach jesiennego słońca.

IV.

Ale to nie wszystko. Ponieważ niepodobna bezkarnie gwałcić zasadniczych praw swej natury i ponieważ życie nie może uchodzić bez cierpienia, niewytłomaczona jakaś choroba zaczyna dręczyć społeczeństwo. Spytajcie, co mu jest, — nie potrafi wam odpowiedzieć. Ciągłe mu się zachciewa zmiany pozycyi, jak tym chorym, którym już niewiele do życia pozostaje. Stąd próżne wysiłki, a po nich długie odrętwienia. Poważni obserwatorowie są zaniepokojeni, a nawet ogół, ostrzeżony przez wzrastający smutek dobrych obywateli, przeczuwa ogrom niebezpieczeństwa. Słuchajmy, co mówił jeden z tych rozumnych badaczów, słynny Jouffroy, już w r. 1834: „Kraj cierpi, a dowodem tego jest ten niepokój głuchy, zdradzający się wszędzie, owo niezadowolenie, ze wszystkich stron się przebijające, a którego powodu i przedmiotu nikt nie może określić.

„Mojem zdaniem, panowie, ta niezaspokojona potrzeba społeczeństwa, która woła i domaga się, to potrzeba wcale nie materyalna, to moralna potrzeba.

„Chryścjanizm nadał społeczeństwu porządek moralny, to jest całość prawd w każdym przedmiocie,

najbardziej obchodzącym człowieka; według tych praw jest ono urządzone, żyło tym porządkiem moralnym.

„Trzy wieki przeszły nad tym chrześcijańskim porządkiem i zniosły go, a przynajmniej podkopały głęboko, zachwiały w duszach, w sumieniach, w samem społeczeństwie.

„Próżnia po tem niezmiernem zniszczeniu widoczna wszędzie. Jest we wszystkich sercach, masy odczuwają ją niejasno, umysły wyższe — wyraźniej. Trzeba ją zapełnić. Bo jeżeli nie będzie zapełnioną, upewniam, że społeczeństwo się nie uspokoi, nikt uspokoić go nie potrafi.

„Oto jest, panowie, głęboka i prawdziwa przyczyna niepokoju społeczeństwa, i dopóki nie wynajdą moralnego lekarstwa na tę chorobę moralną, dopóty będzie ono niespokojnem, będzie chorem. Kto nie poda mu lekarstwa, ten nie będzie go mógł opanować, nie uzyska nad niem trwałej władzy. Nie będzie mógł uciszyć jego niepokoju, kto nie usunie przyczyny takowego.

„Lud, który nie zdaje sobie sprawy ze swych potrzeb, ale którego one niemniej niepokoją, wyobraża sobie, że każdy przewrót materyalny może mu dać to coś, do którego on wzdycha. Dlatego to jest chciwym wszelkich zmian w ministeryum, wszelkich zmian form społecznych, myśląc, że zmiana wyjdzie na lepsze. Nie wie on, czego mu potrzeba, bo rewolucye ministeryów, form społecznych, rządu, zmiany praw, są to tylko zmiany materyalne i nie mogą dokonać zmiany moralnej, której potrzebuje społeczeństwo” ¹⁾.

¹⁾ Artykuł o prawie skojarzeń, *Moniteur*, 19 marca, 1834.

Trudno lepiej odmalować jedną z najboleśniej-
szych i najwybitniejszych cech społeczeństw nowożyt-
nych, tę próżnię i ten stan chorobliwy, dręczący je
wszystkie, ową potrzebę znalezienia czegoś nieznanego,
co by odpowiedziało niezaspokajany już a nieprzepar-
tym dążeniom. Stąd to pochodzi niepopularność każ-
dego rządu po kilku latach i dziwna ich nietrwałość.
Upadają, ponieważ nie umiały, nie mogły usunąć niepo-
koju, dręczącego społeczeństwo. A społeczeństwo patrzy
obojętnie na ich upadek, bo widziało ich działanie i nie
się już po nich nie spodziewa. Skoro złożą dowody
swej nieudolności, pierwszy lepszy żołnierz wchodzi do
pałacu, gdzie przebywa Zwierzchność, do sali, gdzie się
zbiera Zgromadzenie, wybrane przez wolę narodu, i za-
biera klucze do kieszeni. Naród patrzy na to spokojnie:
cóż go obchodzą ludzie, nie mogący nic dla niego? Po-
tem bez zapału, bez złudzeń, niestety, prawie bez na-
dziei, zgromadza się, ażeby utworzyć nowy rząd, któremu
tak samo dozwoli upaść za lat kilka, skoro przekona się
o jego niemocy. Ażeby żyć, żeby trwać, trzeba by zado-
wolić tę potrzebę społeczeństw, zapełnić tę próżnię, uci-
szyć ten niepokój, a rządy tegoczesne ze swemi bezbożne-
mi prawami nie są do tego zdolne.

W dyalogu Głokona Sokrates dowodzi, że do rzą-
dzenia potrzeba więcej, niżeli wiedzy rzeczy przyrzdzo-
nych, więcej niż nauki ludzkiej: potrzeba Boskiej nauki.
U nas, ona to jedynie jest w pogardzie; cóż się dziwić
bezsilności rządów, następujących jedno po drugim tak
strasznie szybko!

Stąd także wypływa ta nadmierna centralizacya,
która ciąży na społeczeństwach nowożytnych, przygnia-
tając je. Skoro zabraknie spójni moralnej i religijnej,

trzebaż ją czemś zastąpić, a te czterdzieści milionów odrębnych woli, niepowstrzymywanych już przez wiarę, potrzebuje żelaznego jarzma.

Wykazuje się to na wielką skalę od trzech stuleci, w ciągu których w miarę upadku religii wzrastał ucisk administracyjny. Niech mi będzie wolno przypomnieć w tym przedmiocie piękną mowę Donoso Cortès'a o *dwóch wężidłach*. Zaczyna od wykazania, że dwa tylko są rodzaje władzy, jedna wewnętrzna, druga zewnętrzna: władza religijna i władza polityczna; tłómaczy prawo, rządzące niemi, to jest, że skoro opada termometr władzy religijnej, termometr władzy politycznej natychmiast się wznosi i naodwrot. Potem z historią w rękę przeprowadza to porównanie przez wszystkie stulecia. Po odmalowaniu starożytności, gdzie byli tylko tyrani i niewolnicy, bo ponieważ termometr religijny stał na zerze, polityczny musiał się wznieść aż do tyranii, po przypatrzeniu się ludom chrześcijańskim, gdzie przeciwnie, w miarę podnoszenia się religijnego termometru rozkwitają wszystkie swobody,—dochodzi do nowszych czasów i wykazuje, jak przy ciągłym od trzech wieków obniżaniu się termometru religii, termometr ucisku politycznego wznosi się ustawicznie. „Naprzód,—powiada,—władza królewska z feudalnej przechodzi w absolutną. Potem ukazują się stałe armie, czyli milion rąk do obrony społeczeństwa. A ponieważ termometr religijny ciągle spadał, rządy powiedziały sobie: „Mamy milion rąk, ale nie dosyć nam już tego; potrzebujemy jeszcze miliona oczu dla pilnowania społeczeństwa”—i utworzyły policję. Nie dosyć na tem; zechciały mieć milion uszu i otrzymały je przez centralizację zarządu, za pomocą której najmniejsze poruszenie narodu dochodzi do wiadomości władzy.

„A ponieważ termometr religijny opadał jeszcze, polityczny musiał się wznosić w tym samym stosunku. Rządy powiedziały: Nie dosyć nam miliona rąk do powstrzymywania, miliona oczu do strzeżenia, miliona uszu do słuchania, trzeba, abyśmy mogły być wszędzie naraz i jednocześnie. — I tę władzę osiągnęły: wynaleziono telegraf.”

Takim jest stan Europy i świata. Połowa rodu ludzkiego stoi pod bronią, aby nie być pożartą przez drugą.

„A teraz, — woła kończąc mówca, — jedno z dwojga: albo reakcja religijna nastąpi, albo nie. Jeżeli nastąpi, zobaczycie wkrótce, jak w miarę podnoszenia się termometru religii, termometr polityczny zacznie opadać, spokojnie, naturalnie, sam przez się, bez żadnego wysiłku ze strony narodów, rządów lub pojedynczych ludzi, aż dopóki nie stanie na umiarkowanym stopniu swobód narodowych. Ale jeżeli przeciwnie, i to rzecz ważna, termometr religii dalej będzie opadał, to nie wiem, gdzie się zatrzymamy. Nie wiem, i drzę, myśląc o tem. Jeżeli kiedy władza religii była u szczytu, nie potrzeba było prawie żadnego rządu; teraz przy zupełnym jej braku, jakiż rodzaj rządu będzie wystarczającym? Gotują się drogi dla olbrzymiej, bezgranicznej tyranii...”

Oto co mówił Donoso Cortès; i miał po tysiącokroć słusność. Co do mnie, nie potrafię wyrazić, jaką litością przejmują mnie owi krótkowidzący politycy, którzy, usuwając religię z praw, życia i dusz narodu, marzą o udarowaniu go wolnością. Nie, nie: jeżeliby władza religii jeszcze się zmniejszyła, społeczeństwo dostałoby się pod najstraszniejszy ucisk. Bo ponieważ może ono żyć tylko

cnotą, pracą, ładem, zaparciem się, oszczędnością, ofiarą, trzeba byłoby, ażeby siła przenikała aż do sumienia dla zmuszenia duszy do cnoty, aż do rodziny dla utrzymania w niej dobrych obyczajów, aż do własności dla nakazania oszczędności. Powstrzymując społeczeństwo od zguby, prawo rozciągnęłoby władzę nad człowiekiem jeszcze w łonie matki.

Tak jest: chrześcijaństwo albo niewola, jarzmo religii albo jarzmo siły. Środka tu niema.

A ponieważ ta prywatna i publiczna tyrania, wynik nadmiernej i ciągle wzrastającej centralizacji, nie zapobiega nietrwałości rządów, które, nie mogąc zaradzić chorobie społeczeństwa, zmieniają się, podczas gdy tyrania nie ustaje, gdyż trzeba powstrzymywać wole, nie ulegające już żadnemu hamulcowi religijnemu,—jest się zarazem pod jarzmem i w rewolucyi. Zmienia się królów, ministrów, formy społeczne, — ucisku się nie zmienia. Monarchia czy też rzeczpospolita, zawsze to to samo, chociaż firmy są odmienne. Kiedy ktoś zgięty pod za wielkim ciężarem zmęczy zbyt jedno ramię, na drugiego przerzuca, ale ciężar pozostanie ciężarem.

Jednem słowem, oprócz Boga i religii, niema pobudki tak silnej, ażeby podnosić ducha całego narodu i utrzymywać ten naród w surowem pełnieniu obowiązku, w posłuszeństwie, w pracy, poszanowaniu praw, cierpliwości, poświęceniu, cnocie. Pobudki działania, któremi chcą zastąpić religię, są blade, bezsilne. Wytwarzają one narody anemiczne, wlokące się bez tchu i życia, niespokojne i chore, zawsze na łasce pierwszego lepszego despoty, który oszczędzi im trudu życia. Trzeba więc, żeby Bóg wszedł w prawa, w obyczaje publiczne, w urządzenia społeczne. Inaczej możecie odrazu włożyć

żałobę po dniu pokoju, ładu, trwałości rządów i swobody ludów, bo nie ujrzycie go nigdy. Nie powrócicie nigdy do zdrowia.

V.

Nie wyobrażajcie sobie tylko, żeśmy już doszli do dna przepaści, oczekujących społeczeństwa bez Boga. Skraj ich widzieliśmy jedynie; przejdźmy teraz do tej próżni, która jest źródłem tylu chorób. Trzeba ją zappełnić. Ale czem? Po wygnaniu Boga pozostała już tylko materya; rzucają się do niej zapamiętale. A to pociąga za sobą klęski nowego rodzaju. Z jednej strony ustępuje zewsząd tak potrzebna filozofia społeczna ofiary, nie mając już punktu oparcia; z drugiej, na opuszczone przez nią miejsce wkraczają burzliwe fale filozofii używania. Powiedzcie, co poradzą przeciw nieszczęsnemu zalewowi interes własny, obowiązek czysto ludzki, honor? Niestety! nie mogły wymódlz dostatecznego posłuszeństwa prawu, jakże potrafią strzedz czystości obyczajów? Ujrzycie, jak same się zaprzęgają do wozu rozkoszy, a nauka ze swemi cudownemi odkryciami, z temi nieznanemi machinami, w których działaczami są ukryte siły natury, będzie go popychała, aby prędzej postępował naprzód. Wtedy wystąpią haniebne rany i gangrena dokończy tego, co zaczęła anemia.

Bo i dokąd, rzeczywiście, prowadzi nas ten ruch naukowy, będący zaszczytem naszego stulecia? Nauka odpowiada na to z chlubą: Do używania bezgranicznego. Wytwarzać coraz więcej, ażeby coraz więcej używać, z ujarznionej nareszcie przyrody wyciągnąć wszystek

dobrobyt i wszystką rozkosz, jaką będzie mogła dać ludzkości: oto dążność i wytknięty plan nowoczesnej nauki, — a z tego, co już urzeczywistniła w przeszłym stuleciu, można wnioskować o tem, co będzie w przyszłości.

Ale jeżeli wypędzając ze świata Boga i cnotę, przywołacie rozkosz; jeżeli rozbudziecie wszystkie pożądlivości a usuniecie wszystkie hamulce, jeżeli napoicie lud tem wszystkim, co zniża duszę do ziemi, pozabawiając go jednocześnie wszystkiego, coby go ku niebu podnieść mogło, czyż jesteście pewni, że nie powiedziecie go prostą drogą do upadku? Wzniosłość myśli, piękność uczuć, bohaterska wielkość charakterów czyni naród. Wolność, filozofia, nauki, religia uszlachetniają go. Tego przedewszystkiem szukaj, Francyo, a wszystko inne będzie ci hojnie dodane!

Ale cóż czeka naród, który widzi przed sobą tylko to „inne?” Jedna namiętność zaczyna go ogarniać wyłącznie, namiętność dobrobytu, „namiętność miękka, ale uparta i nienasycona, mieszająca się i niejako splatająca z niektórymi domowemi cnotami, z miłością dla rodziny, z czystością obyczajów, z poszanowaniem religijnych wierzeń, a nawet z regularnem, choć zwyczajowem tylko wykonywaniem obowiązków panującego wyznania, które to wykonywanie, dopuszczając uczciwość, wyklucza bohaterstwo i wybornie się nadaje do wytwarzania porządných ludzi a nędznych obywateli” ¹⁾. Oto naprzód stan ogólny, stan mas, i jakby tło narodu.

¹⁾ Tocqueville, *l'Ancien Régime et la Révolution*, p. 175.

Ale u niektórych, a wprędce u wielu, namiętność ta nabiera siły. Tym nie wystarcza już dobrobyt; potrzeba im używania, rozkoszy. A ponieważ do tego koniecznem jest bogactwo, owo pożądanie przyjemności wyradza nadmierną chciwość, nienasycone łaknienie złota. Niemiarkowane i nieograniczone pragnienia rzucają się do wszystkiego, co przyobiecuje dać owo złoto, jedyny teraz zaszczyt, jedyną godność, jedyny wzgląd i cel życia. Gorączka awansu trawi urzędników, ale w tych urzędach, których pragną, o które błagają tak pokornie, nęci ich nie wyniesienie i dostojęństwo, ale tylko złoto. Posady oceniane są wedle dochodów, jakie przynoszą. A co jest okropnem, to, że w miarę wzrostu wynagrodzenia zmniejsza się niezależność. Z przybytkiem pieniędzy uchodzi swoboda. Zawsze czegoś oczekując, człowiek nie odważa się na nic. Powoli to poniżenie rozpowszechnia się jak zaraza, dosięga tych nawet, którzy nie zajmują żadnych urzędów, i widzimy ludzi, którzy z powodu swego osobistego mienia, swego wieku, godności, mandatu poselskiego, powinnyby być przywódcami kraju, a którzy nie odważają się oprzeć ministrowi w izbach, ani projektowi w departamencie. Inni tymczasem, pobudzani tą samą miłością złota, rzucają się do gry giełdowej z całą namiętnością, narażają dziedzictwo po przodkach, posagi córek, nawet chleb dzieci; spokojni zresztą przy całej tej gorączce, wiedzą, że dla ukrycia hańby mają Sekwanę, albo Amerykę; gdzie pod fałszywem nazwiskiem będą znowu mogli rozpocząć swą niecną grę i nieuczciwe spekulacye.

A ponieważ życie jest krótkie, ponieważ czas, mimo naszego pośpiechu, prędzej od nas idzie, złoto to

zaledwie zarobione, a nawet i nie zarobione jeszcze, zamienia się w uciechy. Niesłychany zbytek kazi rodziny. Widzimy same tylko rujnujące toalety, ekscentryczne mody, cenne konie, klejnoty nieoszacowane, fantazyje i kaprysy zaspokajane w godzinę, a które przez rok żywiłyby rodzinę całą. A chociaż złymi sposobami, a nawet czasem dobrymi, zarabia się niezmiernie dużo, żyje się zawsze w długach, nie mogąc wystarczyć takim wydatkom. Pozostawia się u dostawców ogromne rachunki niezapłacone i których wkrótce nie ma się czem zapłacić. Mimo to nie zmniejsza się skali życia, owszem, podnosi się ją, ażeby się odurzyć. Ale już się nie śmie żenić, nie chce się już mieć dzieci, i klęski bez nazwy kalają małżeństwa. Żadne domowe ognisko nie jest bezpieczne, żadne łóże małżeńskie szanowane. Nie żeby się było pochłoniętym przez jaką wielką namiętność,—usiłuje się tylko zabić czas. Ktoś niedoświadczony objawiał raz radość, że cudzołóstwo znika już z obyczajów. „Przeciwnie,—odpowiedział mu znający lepiej życie,—istnieje ono zawsze i nawet potrosze wszędzie, ale tak bez hałasu, tak bez namiętności, że nikt na nie nie zważa. Cudzołóstwo jest dzisiaj we Francyi instytucją prawie.”

W tej bowiem szalonej pogoni za użyciem zmysły tępieją rychło, przesył prędko nadchodzi. W dwudziestu latach jest się starym, rozczarowanym, wie się wszystko o życiu i pogardza się wszystkim. Cnota, szlachetność, miłość, przyjaźń, bezinteresowność, sława, myśl, sztuka, wszystko, co uszczęśliwia i uzacnia życie, uchodzi, zimne samolubstwo przytłumia wszystkie uczucia, a najczystsza z pomiędzy nich, prawdziwa miłość, jest tylko przedmiotem pośmiewiska. Wkrótce cóż będzie

znaczyło upokorzenie ojczyzny, jej straty, byle się na nich nie ucierpiało. W napadniętej ojczyźnie widzi się tylko swój zagon. Zgodzonoby się być Prusakiem, byle nie tracić swych dochodów. I wiek, rozpoczęty w obojętności dla religii, grozi zakończeniem się w obojętności dla rodziny i ojczyzny.

Ale napróżno ludzie zagrzebują się w ziemi; nie są przeto szczęśliwi. Co może dać ziemia nieskończonej duszy? Rodzaj szalu ogarnia człowieka. Dawajcie, dawajcie jeszcze, wynajdujcie, wymyślajcie coraz coś nowego! O nauko, potężna czarodziejko, pójdź, obdarz mię nowem upojeniem! A ty literaturo, wy teatry i romanse, na cóż się zdacie, jeżeli nie potraficie rozbudzić moich wygasłych zmysłów! Wówczas na ulicach, w dziennikach ukazują się dziwne ogłoszenia, przyrzekają zadziwienie, osłupienie, niepojęte i niemożliwe czarodziejstwa, światła elektryczne, deszcze ogniste, śmiałe postawy, nagości nigdy niewidziane. Trzebaż zabawić tych znudzonych. Nadchodzą, biegną pełni oczekiwania. Czystość tylko dziecinna doznaje zadziwienia. Tłumy odchodzą niezaspokojone. Nuda nie ustąpiła, zmysły pozostały martwe. Szukajcie jeszcze, wynajdujcie! Rzymianie potrafili to lepiej od was: mieli cyrk, mieli walki zwierząt, walki ludzi, obnażali dziewice i oddawali je na pożarcie lwom; szukajcież i wy, nie dajcie nam ginąć z nudów wśród naszego jałowego złota i tych mdłych uciech materyalnych, które niczem już są dla nas. *Panem et circenses!* Był to ostatni okrzyk Państwa Rzymskiego, ginącego w błocie i krwi. Nasze to obecnie hasło.

I dlatego to, o zepsute społeczeństwo, słuchaj, co ci powiem: Zmienisz kierunek twej drogi, obalisz twe bóstwa z ciała i krwi, a na ich miejscu postawisz nieskalane

ołtarze, odepchniesz ze zgrozą haniebną filozofię zmysłowych rozkoszy. Wzgardą okryj jej doktorów, mówców i nauczycieli. Wszystko, co ją rozpowszechnia: dzienniki, przeglądy, teatry, romanse, — niech się stanie dla ciebie przedmiotem obrzydzenia! Odródź w sobie sumienie publiczne, niech ono z oburzeniem strąci w cień te niegodziwości. Inaczej, o ludzie, choćbyście nawet potroili szybkość waszych kolei żelaznych, choćbyście wynaleźli skrzydła i szybowali za ich pomocą w powietrzu, choćbyście odkryciami waszemi w przyszłości mieli zaćmić to wszystko, co dziś stanowi waszą dumę, — jeżeli nie przywrócicie w duszach czci Boga, jeżeli nie przywrócicie w nich modlitwy, poświęcenia, pogardy świata, — zgubicie społeczeństwo, zepchniecie je do otchłani napół ze krwi a napół z błota, a choćbyście mieli już siwe włosy, nie śmiem ręczyć, czy sami tego nie zobaczycie!

ROZDZIAŁ SIÓDMY.

Bolesny dramat niewiary (*dokończenie*).

Lud bez Boga.

Wpółród nędz, uderzających każdego, kto uważnie bada stan nowożytnych społeczeństw, widać i środek ratunku, który jednakże pod ślepyimi ciosami niewiary stanie się naszą zgubą największą.

Podczas gdy wyższe klasy bez Boga poniżają się i roznerwowują, występują na widownię społeczną klasy niższe, nie znerwowane bynajmniej, owszem, młode, gorące, pełne—jak zazwyczaj w młodości—nieokreślonych pragnień, daleko sięgających nadziei, zuchwałych marzeń, a liczbą swą i żywotnością zdolne odnowić krew wycieńczonego społeczeństwa. Ale na to trzeba było pozostawić im Boga. Odebraliście Go im, i patrzcież co następuje. Pozbawione tej boskiej wiary, która wskazywała im ich miejsca w hierarchii społecznej; pozbawione tej niebieskiej nadziei, która kazała im cierpliwie oczekiwać wiekuistej nagrody; niedosyć oświecone, ażeby zrozumieć unoszący je ruch społeczny, a za mało moralne, teraz, kiedy nie są już religijnymi, ażeby uczyć

go umiarkowaniem,—zaczynają już patrzeć na te bogate tłumy, przeciągające przed nimi w koronkach i brylantach, i dzika zawieść miota ich sercem. Jeżeli życie jest tylko snem chwilowym, uczta pomiędzy dwiema nicościami, czemuż i one nie miałyby wziąć w niej udziału?

„Gorzka i coraz głośniejsza skarga wydzierają się z ust poddanego, ubogiego, paryi. Pryska wędzidło w ustach ludzkiego rodu. Sprzykrzył on już sobie drogę krzyżową i dotychczasową cierpliwość; nie chce iść dalej.”

Dobrze, ale cóż począć? A ja dodam: Czyż jaż winą?

Zbadajmy to straszne zagadnienie, a przypatrzysz się dokładnie stanowi klas niższych i niezmiernemu przewrotowi społecznemu, wyprowadzającemu je na powierzchnię, przekonajmy się ostatecznie, że społeczeństwo nie może istnieć bez Boga.

Ruch, unoszący te klasy, jest już tak silny, że nie można go powstrzymać; ale może jeszcze nie jest tak szybki, aby nie można było pokierować nim. Tylko niema ani chwili czasu do stracenia. *Cavete, posteri, vestra res agitur!*

I.

Niema zapewne człowieka, któryby nie przyklaskiwał poniesionym do dziś dnia trudom i usiłowaniom dla polepszenia stanu ubogich i robotników i nie cieszył się z osiągniętych już skutków. Ale też każdy chyba widzi z boleścią, że wszystko złe nie zostało zażegnane; że w chwili obecnej jest jeszcze wiele nędzy bez żadnego widocznego lekarstwa, oprócz wielkiej cierpliwości

u cierpiących, a wielkiej miłości bliźniego z drugiej strony.

Posłuchajmy naprzód pewnego angielskiego podróżnika, jak opisuje los naszych wieśniaków: „W tej części Francyi (la Brie), jak i w wielu innych, ciężkie jest życie rolnika. Oracze śpią w oborze lub stajni w tem samem łóżku, a raczej w rodzaju przegródek, na sieniaku rzuconym na ziemi. Dotąd nie widziałem nic, co by mi tak wyraźnie przypomniało niewolnictwo. Przybyłem na folwark o świcie; wszystkie ręce były przy pracy, a ta praca, w lecie rozpoczynająca się o czwartej rano, trwa aż do ósmej wieczorem. Nawet w niedzielę pracują do południa. Zapłata za te długie dni są dwa franki, i to jeszcze jest lepiej, aniżeli w sąsiednich okolicach.” ¹⁾

„Taki stan rzeczy — kończy p. James Howard — zaczyna wywoływać skutki, jakich można się było spodziewać: nędza codzien wygania do miast ludność wiejską.”

Ale i tam los ich wcale nie jest lepszy. Nic niepewniejszego, nic bardziej zawisłego od tysiąca okoliczności, nad istnienie robotnika. Daje on sobie radę, jeżeli nigdy nie choruje, on ani też społeczeństwo. Najmniejsza choroba jego własna, żony jego lub dzieci, najmniejszy przewrót polityczny, najmniejsze bezrobocie skazują go na nędzę. „Ludność miejska—mówi Thiers—nie tak ustawicznie ograniczana w środkach do życia, jak wiejska, ma chwile, w których podwaja się jej zarobek i w których żyje we względnym dostatku. Ale za-

¹⁾ *Revue de Deux Mondes*, 15 sept., 1870, p. 379.

ledwie nieostrożny przemysł, który wyrwał sobie robotników, przepłacając ich, spostrzeże się, że wyprodukował nad miarę, zaraz wstrzymuje się, przestaje ich używać, a ci biedacy okropną i głęboką nędzą, o której nie ma pojęcia wieśniak, przypłacają kilka przebytych dni pięknych." ¹⁾

Co się tycze robotnicy, jej położenie jest gorsze.

Kiedy angielscy fabrykanci, ogromnie wzbogaceni nowemi machinami, przyszedli na skargę do Pitt'a, mówiąc: „Nie możemy już! nie zarabiamy dostatecznie!” — on wyrzekł słowa, które zaciężyły na jego pamięci: „Weźcie dzieci.”

O ileż jeszcze winniejsi są ci, którzy wzięli kobiety, którzy przed nędzą córki miast, przed zaślepieniem wieśniaczki otworzyli zgubną ucieczkę wyniszczającej pracy i natłoku fabryk! Kto powiada: „kobieta,” powiada: „dziecko;” w każdej, którą gubią, gubią całą rodzinę: kilkoro może dzieci i nadzieję przyszłych pokoleń.

Na to odpowiada zwarty szereg ekonomistów: „Ależ najwyższe potrzeby ekonomiczne, społeczne! Przemysł krępowany zatrzymałby się... W imię klas ubogich!” i t. d., i t. d.

Najwyższą potrzebą jest byt. A ginie widocznie. Ludność nie powiększa się i zniża co do jakości. Wieśniaczka umiera z pracy, robotnica z głodu. Jakichże dzieci mamy od nich oczekiwać?

Szczególnie od czasu wynalezienia machin do szycia, do przędzenia, do haftu, robotnica upada pod nadmiarem pracy, a ta praca nieumiarkowana nie daje

¹⁾ Thiers, *de la Propriété*, p. 364.

jej nawet sposobu do życia. Dzień jej jest płatny dziesięć su. Dlaczego? Ponieważ machina wykonywa tę pracę za dziesięć su. Jeżeliby kobieta żądała jedenastu, wolanoby machinę.

Jakże więc radzą sobie robotnice?

„Starają się z jednego dnia zrobić dwa, pracując do ośmnastu godzin na dobę, jak hafciarki w Wogezach... ¹⁾ Albo jak londyńskie szwaczki, pracują po nocach w czasie nawału roboty, jedzą przy pracy i poprzestają na kilku godzinach snu w jakim kątku pracowni bez rozbierania się.” ²⁾ A ileż ich w końcu nie może wytrzymać tego braku snu i wyteżonej pracy!

Cóż wtedy robią?

Nie robią hałasu wcale. Nie będą one, jak silni stowarzyszeni robotnicy, malarze, cieśle—tworzyć groźnych zbiegowisk i dyktować praw. Umierają po prostu z głodu lub suchot.

Ale te, które nie zgadzają się ginąć w ten sposób?

Te idą wieczorem na ulicę.

Wszystko to jest ciemne, bardzo ciemne, i nie rozjaśni się tak rychło. Zapewne, nie traćmy odwagi. Pracujmy. Łagódźmy te nędzy; ocierajmy łzy; polepszajmy los dziecka, kobiety. Starajmy się zaopatrywać potrzeby starego lub chorego robotnika; dla zdrowego i silnego na czas bezrobocia przygotowujmy inne źródła zarobku, na przykład wielkie roboty państwowe. Odmieńmy nasze prawa, tyczące się rolnictwa, przemysłu. Nie patrzmy spokojnie na ten nieludzki, niechrześcijański stan rzeczy, aby pracujący mężczyźni lub kobiety

¹⁾ Victor Modeste, *du Paupérisme en France*, p. 98.

²⁾ *The Undercurrents overlooked*, t. I, pp. 36, 38.

nie mieli z czego żyć. Są to okropności, które nie mają prawa istnieć. Zawsze będą na świecie ubodzy, ale niepowinno być nędzarzy.

Ale kiedy już usuniemy te nadużycia, kiedy poczynimy wszelkie możliwe odmiany, bądźmy pewni, że umierając, my i dzieci nasze, pozostawimy za sobą mnóstwo nieuleczonych nieszczęść. Ziemia jest ubogą: opracowywana usilnie da trochę więcej bogactw, ale nigdy w stosunku do potrzeb. Bóg już ją tak stwoczył, ponieważ nie na używanie pomieścił w niej człowieka, ale żeby wzrastał; żeby wzrastał w pracy, w porządku, w oszczędności, w cnocie, a nie poniżał się i nie zezwierzczał w używaniu.

Ale to właśnie powiększa okropność obecnego położenia klas ubogich. Ta nieuleczona nędza jest w nich nędzą niezrozumianą. Ten ubogi nie tylko ciało ma oddane na łup cierpieniu, ale i duch jego jest w ciemności. Dlaczego jest biedny? Dlaczego on, a nie kto inny? Dlaczego jest nagim? Dlaczego pracując cały dzień i część nocy, ma zaledwie na kawałek chleba? Dawniej religia dawała mu na to odpowiedź. Nakazując bogatym ukracać tę nędzę, tłómaczyła jednocześnie maluczkiemu, dlaczego są na świecie maluczcy, biednym — dlaczego są biedni. Cierpiącym powiadała, dlaczego są tacy, którzy cierpią. Nie łatwo to powiedzieć, ani wytłómaczyć. Ona lepiej czyniła, bo dawała wiarę w to. Ubogi, jak dawny Hiob, wznosił ze swego barłogu oczy ku niebu i z poddaniem się, jeżeli nie ze zgodzeniem, mówił: „*Scio, quia Redemptor meus vivit*”. — Wiem, że Odkupiciel mój żyje. A kładąc spracowaną rękę na wyschlą pierś, na poranione ciało, dodawał: „*Et in carne mea videbo Dominum*” — Tak, ujrzę mojego Boga, ujrzę

Go w tem samem mojem, wówczas przemienionem cie-
le. A gdy na starym pniu religii, jak kwiat wonny,
rozkwitło chrześcijaństwo, wniosło ono do chatki ubo-
giego wizerunek Ukrzyżowanego z wychudłemi ramio-
nami, z czołem cierniem uwieńczonem, z ciałem przy-
krytem łachmanami, ze zboliałem sercem, z litośnem
i pełnem miłości wejrzeniem. Wtedy ubogi nie tylko
poddął się, ale i zgodził z wolą Bożą.

Oto dzieło chrześcijaństwa! Odrzućcie je. Uczyni-
cie coś lepszego.

Ale śpieszcie! Wstańcie wszyscy, do roboty, do
nauczania, do wyjaśniania wielkiej tajemnicy! Niema
chwili do stracenia. Dajcie światła, wy, którzy je posia-
dacie. Nie możecie pozostawić ubogiego w tych ciemno-
ściach. Jest nagi, pracuje, cierpi. Dlaczego? Powiedz-
cie mu to, i śpiesznie. Bo wiecie, co się dzieje? Cierpie-
nie jego niewytłómaczone, nierozumiane, zmienia się
w nienawiść. Patrzy na społeczeństwo z zaciśniętymi
pięściami.

Zjawili się lekarze. Fałszywi, niestety! Jest ich
mnóstwo od dwudziestu lat. Słuchałem ich uważnie.
Otóż wyobraźcie sobie, co powiedzieli cierpiącemu ludo-
wi! Jedno słowo, tylko jedno, ale słowo to w porządku
społecznym jest tem, czem byłaby baryłka dynamitu
wśród filarów gmachu. Powiedzieli ubogiemu: „Masz
prawo do szczęścia!”

Gorzkie szyderstwo! Temu pracującemu ludowi,
któremu ciężko wyżyć, mówią: Masz prawo do szczęścia!

Prawo do szczęścia! Uważajcie dobrze: niema nic
innego w tych wszystkich doktrynach socjalistycznych,
które zrzędziły tak wielkie spustoszenia w naszych kla-

sach roboczych w przeciągu ostatnich lat dwudziestu. Środki były rozmaite, cel ten sam.

Jedni powiedzieli ludowi: „Masz prawo do szczęścia, a wszystko złe pochodzi z władz: władzy duchownej, władzy świeckiej, władzy właścicieli. Trzeba je wszystkie obalić, a najpierw tę, od której biorą początek wszystkie inne: władzę Boga. Sam rządz sobą. *Ἄν ἀρχία*, bez rządu, i w niebie i na ziemi. Ideał twój to bezrząd, którym cię straszą. Będzie to twoje ocalenie.”

Inni, szkoła polityczna, mówili mu: „Masz prawo do szczęścia, a jeżeli go nie posiadasz, to dlatego, że żyjesz w odosobnieniu i że zabija cię konkurencya. Połącz wszystkie twe prace i wyroby, a ponieważ samo tylko państwo może je stosownie rozdzielić, obal wszelką własność, wszelkie zawody i powierz państwu rozdział wspólnych bogactw pomiędzy wszystkich. Winno ci ono szczęście i da je tobie w ten sposób.”

Ostatni, mistycy, zapatrywali się na rzecz z innej strony; ci mówili: „Chrześcijanizm podniósł ducha, to dobrze. Ale to tylko połowa zadania. Teraz potrzeba podnieść ciało. Raj ziemski nie jest za nami, ale przed nami. Wszystkie namiętności są święte, wszystkie požądania winny być zaspokojone.” Socjaliści polityczni wspominali tylko o wspólności dóbr; ci dodali do tego wspólność kobiet. Każdy wedle swego gustu i uzdolnienia.

Wszyscy zatem przyjmowali za zasadę, że celem człowieka jest szczęście doczesne; że polega ono na posiadaniu materialnych bogactw; że posiadanie to jest możliwe, ale stoi mu na przeszkodzie społeczeństwo, to stare, zepsute społeczeństwo, stawiające opór wszystkiemu, co dobre; że zatem trzeba to społeczeństwo wyrzucić dla odbudowania go na nowo, obalając lub rozdzielając włas-

ność, znosząc lub przeistaczając rodzinę i wyganiając religię: trzy przeszkody, najbardziej zawadzające powszechnemu uszczęśliwieniu.

Za ukazaniem się tej teorii klasy bogate wydały okrzyk zgrozy. Jak to! utrzymywać, że szczęście jest celem człowieka, kiedy z historii, z doświadczenia sześciu tysięcy lat widzimy jasno, że chcąc nie chcąc musi człowiek cierpieć! Jak to! naruszać własność! tak świętą, tak nietykalną, potrzebę serca ludzkiego! Targnąć się na rodzinę! na szczęście, urok życia! A wołając tak, chociaż sami, niestety, w tysiączny naruszyli je sposób, mieli bogaci niezaprzeczoną słusność.

W istocie, wszystkie te teorie są wstrętne, zarówno ze stanowiska religii, jak i moralności, a nadto niweczą wszelki porządek społeczny. A nie trzeba, zaiste, tylu przyczyn, ażeby sprowadzić katastrofę. Dosyć jednego tylko wyraźnego słowa. Oto ono. Powiedzcie cierpiącemu ludowi, że są tacy, którzy są przyczyną jego cierpienia. Powiedzcie mu, że ma prawo do szczęścia, a społeczeństwo mu go odmawia: rzuci się na nie i zgruchocze jak szkło. Powtarzam więc, że wszystko to jest niegodziwe i zasługuje tylko na najmocniejsze oburzenie.

Zastanówmy się jednakże trochę. Jeżeli niema wcale Boga, ani nieśmiertelnej duszy, jeżeli doczesność jest wszystkim, a wieczność urojeniem jedynie, — czyż nie największą mądrością jest powiedzieć sobie: Używajmy? „Rozkosz jest wszystkim — powiedział Wolter, — kto ją uchwyci, zbawiony jest.” A cóż powiedzieli oni ludowi? Powiedzieli mu to, co sami sobie mówicie: „Człowiek jest na to, aby używał.” Mieli więc słusność? Znajdźcież w waszej moralności bez Boga jakąkolwiek zasadę, któraby im zaprzeczyła,

Tak jest, znajdźcie mi poza religią jeden jedyny powód, skłaniający tego człowieka, który wam czyści obuwie, nosi wodę, aby był zadowolony ze swego losu, aby przyjął swą codzienną ofiarę i zgodził się na nią! Patrzcie, ile tu warte będą wasze słabe racye obowiązku, honoru, własnego interesu.

— Ale, mój kochany, twoim obowiązkiem słuchać, pracować.

— A! moim obowiązkiem pracować, a pańskim zapewne rozkazywać! Moim obowiązkiem pościć, a pańskim używać! I dlaczegoż to? Ponieważ urodziłem się ubogim. Więc mój obowiązek wynika z przypadku! Niech więc przeklętym będzie przypadek! przeklęty i obalony!

— Ale, mój przyjacielu, twój honor, twoja opinia!

— Mój honor! honor czyszczenia pańskiego obuwia! Powiedzą: „Jakób dobrze czyści buty pana!” Toż to zaszczyt dla mnie!

— Ależ, pomyśl przynajmniej o własnym interesie.

— A tak, interes! Bardzo dobrze! moim interesem jest słuchać, jeżeli jestem sam jeden, ponieważ inaczej byłbym zgnieciony. Ale jeśli by nas było więcej, jeśli byśmy się stowarzyszili! Jest nas sześć milionów robotników, cztery miliony służących: czyż połączywszy się, nie moglibyśmy rozbić naszych oków o głowy tyranów? Wtedy, panowie, role byłyby zamienione: wasz to „obowiązek” byłby słuchać, wasz „honor” czyścić nam buty, wasz „dobrze zrozumiany interes” pościć, pracować i cierpieć!”

Wiem, że inni biorą rzecz z wyższego stanowiska. Kładą w uszy ludu wielkie słowa prawa, woli narodu. Poszanowanie prawa, posłuszeństwo woli narodu. Ale jeżeli nie wierzycie w Boga, ani lud również, gdzież

może być obowiązująca siła prawa? A w nieobecności sumienia i religii czemuż jest wola narodu, jeżeli nie pogwałceniem kilku przez wszystkich? Nie jestem winien posłuszeństwa żadnemu a żadnemu człowiekowi, ponieważ jestem mu równy. A jeżeli nie winienem nic jednemu, to również nic nie winien dwóm, trzem ani dziesięciu. Zero pomnożone przez dwa, trzy, dziesięć, sto, tysiąc pozostanie zawsze zerem. Wasza wola narodu jest więc tylko uciskiem mniejszości przez większość. Będziemy ją znosili, dopóki nie będziemy mogli jej zdeptać.

Jak można nie widzieć, że wszystkie te teorye, wprawiające lud w prawdziwe upojenie, są logicznym wynikiem tych wszystkich, które nasz wiek wychwalał, pieścił, głosił, wprowadzał w wykonanie? Człowiek przychodzi na świat dobrym; psuje go społeczeństwo. Człowiek rodzi się wolnym; prawo nakłada na niego okowy. Człowiek rodzi się szczęśliwym; religia uciska go i dręczy. Ale któż to utrzymuje owo społeczeństwo, te prawa, tę religię, które mnie dręczą i uciskają? Ludzie? Więc rozbijmy ich o bruk!

Słuchajcie i uznajcie swą winę. Powiedzieliście: „Człowiek jest swobodny,” nie mówiąc pod jakimi warunkami może być swobodnym; powiedzieliście: „Ludzie są równi między sobą,” nie dodając, w jakich niezbędnie granicach; powiedzieliście: „Ludzie są przeznaczeni do szczęścia,” nie dodając, gdzie, jak, kiedy to szczęście będzie możebnem. Lud ten żąda więc od was owej swobody, równości, szczęścia. Jest on tylko logicznym. Jakże sobie poradzicie?

Powiedzieliście, że tłumaczenie chrześcijańskie jest fałszywe. Dajcie mu swoje.

Zagadnienie jest następujące:

Albo jest szczęście po śmierci, zasłużone przez cnotę; albo jest szczęście już na tym świecie, ale w takim razie dla wszystkich. Jakiemże prawem moglibyśmy odmówić go ludowi?

Albo rozwiązanie chrześcijańskie: bogactwo spoczywa na pracy, praca na kapitale, kapitał na cnotie, a cnota na Bogu.

Albo rozwiązanie starożytne: bogactwo przez pracę, praca przez kapitał, a kapitał przez niewolnictwo.

Obaliliście niewolę i dobrzeście uczynili; ogłaszacie swobodę i czynicie jeszcze lepiej. Ale usuwając Boga, usuwacie i cnotę; wolność bez cnoty pochłonie was.

Nie żebym wierzył w ostateczny tryumf rozszalałych namiętności klas niższych. Bóg uczynił niezależnem od człowieka istnienie wielkich urzędów, będących podstawą świata; ale nie chciał, aby namiętności nasze były za złe odpowiedzialne. Kto wiatr sieje, zbiera na pewno burzę.

Oto patrzcie, jak już co lat piętnaście, za każdą klęską, otchłań rozszerza się, i to z waszej winy. Cóż logiczniejszego nad to, że po roku 1830, wstrząśnieniu politycznem, mieliście rok 1848, wstrząśnienie społeczne; po 1848, pierwszym zamachu na odwieczne prawa społeczeństwa, mieliście rok 1870 i 1871, drugi zamach, który byłby jeszcze o wiele straszniejszym, gdyby nie wojna zewnętrzna. Przyczyniliście się do tego potrosze wszyscy.

Zbierzcie razem nędzę, pożądlivość, pychę, utopię, niewiarę: w punkcie ich zetknięcia powstanie drapieżne zwierzę. Dołączcie jeszcze do nich słabość dobrych, zniewieściałość bogatych, zgorszenie dawane przez klasy

wyższe, brak zasad, bezbronność społeczeństwa, wszędzie zepsucie i pogardę Boga: zwierzę się stanie straszliwym i niezmierzonym. Dlaczegoż miałoby się powstrzymywać? przed czym?

Nie, nigdy, w żadnym czasie, w najbardziej nawet barbarzyńskiej starożytności nie widziano nic takiego, czemu my się dziś przypatrujemy: tak nierozumnego, nierozsądnego i zgubnego postępowania. Podczas gdy wszędzie klasy wyższe rozumieją, że jest ich obowiązkiem, a w braku obowiązku, dobrze zrozumianym interesem, podnosić klasy niższe, umoralniać, wpajać w nie religię, aby były uczciwe, czyste, wstrzemięźliwe, posłuszne, aby szanowały cudzą własność,—tutaj, we Francji, wyższe klasy zdają się od lat pięćdziesięciu mieć jedną tylko myśl: wydrzeć z serca ludu wszelką religię, to znaczy wszelką moralność, wszelkie sumienie, wszelkie poczucie obowiązku, wszelki hamulec namiętności; i zdawałoby się, że im więcej cierpiały klasy ubogie, tem zawzięciej starano się je zdemoralizować. Mamy naprzykład sześćset tysięcy żołnierzy; o zabawieniu ich i zepsuciu myślano zawsze; co rok przysyłano ich sto tysięcy do Paryża, skąd po roku wychodzili zgangrenowani, zepsuci do szpiku kości. Ale jeżeli kapłan chciał zbliżyć się do nich, jeżeli biskup zamierzył otworzyć dla nich szkołę, dać im mszę w niedzielę,—zaraz w prasie podnosiły się niespokojne okrzyki, a u wyższych oficerów usiłowania te spotykały się z zimną, grzeczną, ale nieprzepartą opozycją. Mamy sześć milionów robotników; co robili pracodawcy, bogaci właściciele fabryk? Przedłużali w niedzielę pracę aż do południa, a otwierali pracownie i fabryki w poniedziałek zaledwie o dwunastej, ażeby przeszkodzić robotnikowi usłyszeć słowo Boże w niedzielę, a po-

móźdz mu psuć się w poniedziałek w szynku. Mamy pięćset tysięcy urzędników kolei żelaznych, biednych ludzi, których straszna praca, czuwanie we dnie i w nocy wyklucza poniekąd ze społeczeństwa: czy daliście im czas i sposoby, aby mogli zadosyćuczynić choć głównym obowiązkom religijnym? Kiedyż to urządzałiscie uroczystości publiczne, zebrania wyborcze, zgromadzenia ludowe, targi, przeglądy? Zawsze w niedzielę, zawsze w godzinach nabożeństwa w kościołach, jakby chcąc lepiej zaakcentować przed ludem waszą pogardę dla rzeczy Boskich.

A podczas gdy tak burżuazya niczego nie zaniedbywała, aby wydrzeć z serca ludu wszelką religię, a z nią wszelki hamulec moralny, wszelką rezygnacyę, wszelkie poddanie się swemu ciężkiemu losowi, jeszcze usilniej rozbudzała w nim wszystkie pożądliwości. Zamiast tych wstrzemięźliwych, prostych i surowych obyczajów, które u bogatego są jakby hołdem oddanym ubóstwu,—wystawy zbytku, zepsucia, rozpusty znieważały jego nędzę. Czyż sądzicie, że ci wszyscy słudzy, ci woźnice, oczekujący was zziębli całemi nocami i widzący przez szyby oświetlonych salonów wasze półnagie cienie tańczące; że te pokojowe, codzienne świadki waszego zbytku, waszej beczynności, waszych intryg, a często i skandalów, czekające na was do późnej nocy, czytające romanse z waszego stolika, które was zepsuły; czy sądzicie, że robotnik, człowiek z ludu, powracający smutnie do swego lichego mieszkania, gdzie czeka na niego nędzna żona, a którego wasz dwuznaczny zbytek obrzucił błotem po drodze; czyż sądzicie, że wszystkich ich dusze nie przejmują się zawiścią, oburzeniem, gniewem! A jakież to słowa wychodzą często z ust bogatych rozpustników,

słowa, gdzie zmieszane są bezbożność, zepsucie, pogarda ludu, nienawiść Boga, a które są słyszane i przyjmowane z gorzką radością w sercach nędzarzy! Nie, takie słowa, takie przykłady, takie postępowanie, którego godnie nazwać nawet nie umiem, nie mogą być stracone. Schodzą do ludu, rozszerzają się po jego żyłach, jak trucizna, jak jad zabójczy, i sprowadzają straszliwe rany.

-Dzieje się dziś z własnością to samo, co w XVI wieku działało się z Kościołem. Pomimo ostrzeżeń Świętych dozwolono nadużyciom rozszerzać się, i powstał protestantyzm. Dzisiaj nadużycia istnieją we własności, w kapitale, w użytkowaniu bogactw. Chrześcijanie żyją po pogańsku. Stąd socjalizm. Socjalizm to protestantyzm ekonomii politycznej.

II.

Zważcie teraz okoliczność, zwiększającą znacznie niebezpieczeństwo.

Obok tego ludu, dla zwrócenia jego uwagi na zgorszenia, dla nauczania go wyciągać z nich wnioski, w szynkach, w klubach, są apostołowie demagogii, tej dzikiej demagogii, która nie jest teorią, tylko zepsuciem; bez wiary, bez prawa, bez obyczajów; głoszonej czasem przez podupadłych panków, czasem przez rozpustników lub oszustów, tej demokracji sztyletu, która zjawiała się w 1793, powróciła w 1848, okazała całą swą pychę, dzikość, nienawiść społeczeństwa i religii w 1871 r.; która żyje pod ziemią w jaskiniach tajnych towarzystw i która czyha na lud, ażeby go

kształcić, jak utrzymuje, to jest wpajać w niego nienawiść wszelkiego porządku społecznego, tudzież wszelkiej religii.

I patrzcie, co się już dzieje w klubach, w kongresach. Wszędzie chór złorzeczeń i przekleństw przeciwko Bogu i społeczeństwu, chór oskarżeń i zabójczych przepowiedni. Przedewszystkiem uchwalają wszędzie postanowienia jak najbardziej wrogie dla religii, ale jednocześnie i najzgubniejsze zamachy na społeczeństwo.

A' zauważcie, że to nie kilka zapalonych głów, nie kilka głosów przebrzmiałych bez echa. Imię robotnika dziś jest legion. Policzył się, drgnął na wieść o swej ilości; spojrzął na swoje muskularne ręce i uśmiechnął się z litością na widok słabych rąk bogacza; powitał zawczasu wielki przewrót, jak upokorzony i ślepy Samson, który obracając koło, pocieszał się odrastaniem swych włosów i przeto nadchodzącą godziną pomsty. Było ich sześć tysięcy w Genewie, tyleż w Bernie, delegowanych przez komitety z Francyi, z Anglii, z Włoch, z Prus, nawet z Rosyi, ogłaszających powszechną rzeczpospolitą, depczących wszelkie poczucie narodowości i ojczyzny, wykrzykujących dziko na wspomnienie Boga, nieśmiertelności duszy, religii, ale także orzekających zagładę dla wszelkiej władzy, armii, urzędów, żądających zniesienia rodziny, małżeństwa, własności, — jednym słowem, obejmujących tą samą nienawiścią religię i społeczeństwo. Nie chcieliście wierzyć, ażeby porządek społeczny i polityczny miał porządek religijny za podstawę; albo, jeżeliście to mówili, to tylko w sposób książkowy i przytaczając starożytność. Czyż będziecie musieli dowiedzieć się o tem własnym kosztem?

Ale czyliż już tego nie wiemy? Ukazała się właśnie ta dzika i krwawa demagogia. Ukazała się już nie w klubach i na kongresach, ale na ulicach Paryża, ze strzelbą w jednej ręce, a z pożarnemi bombami i naftą w drugiej. Podpaliła wielką stolicę z czterech rogów. Pomniki, muzea, biblioteki, arcydzieła geniuszu ludzkiego, domy prywatne i pałace, niczego nie oszczędzono, a jednocześnie mordowała zakładników, arcybiskupa paryskiego, urzędników, oficerów, najszlachetniejsze ofiary. A niczem jeszcze groza tego, czego dokonała, wobec tego, co było jej dążeniem.

Wiecie jednakże, co mię jeszcze może więcej przeraża, aniżeli zbrodnie tej dzikiej demagogii? Oto jej organizacya. Można było przypatrzeć się jej w krwawym blasku pożarów. Nie sześć tysięcy ich jest, ani dziesięć, ani sto, jak można było sobie wyobrazić, czytając sprawozdania z Berlina i Genewy. Mamy cyfrę pewną. Jest ich kilka milionów, zjednoczonych w *Międzynarodówkę*, podzielonych na zgromadzenia francuskie, niemieckie, angielskie, włoskie, hiszpańskie, amerykańskie etc. i dążących do utworzenia pomiędzy sobą społeczeństwa odrębnego zupełnie od społeczeństw, w łonie których są rozmieszczeni. Podczas, gdy te ostatnie są od siebie oddzielone wyraźnemi granicami i zachowują każde z nich swoje cechy, różne urządzenia, wrogie sobie namiętności, jednym słowem swoją odrębność historyczną,—niezliczone zgromadzenia, zawierające w sobie prawie całą niezmierną ilość pracowników naszego Starożytności, porozumiewają się z sobą, łączą i tworzą oddzielny naród w zakresie ciągle rozszerzanego *Międzynarodowego stowarzyszenia pracujących*. Co ich obchodzi naród, w którego łonie przyszli na świat! Uśmie-

chają się na stare i puste słowo: „ojczyzna.” Oni znają jedną tylko: to olbrzymie kosmopolityczne społeczeństwo, w które łączy ich i utrzymuje wspólność złudzeń, cierpień, uraz, ambicyi, żądz, nadziei; społeczeństwo powszechne i ukryte pod ziemią, ale ściśle, zgodne, jednolite, dążące do jasno określonego celu: upokorzenia, ujarznienia, unicestwienia drugiego społeczeństwa, żyjącego jawnie, w świetle słonecznym.

Słuchajcie jego programu. Oto jest, jak go ułożyła socjalistyczna demokracja w Genewie, a przyjęła rada ogólna w Londynie w 1869 r.:

Art. 1-szy. Związek ogłasza się bezwyznaniowym. *Żąda zniesienia wyznań*; zastąpienia wiary przez naukę, a sprawiedliwości boskiej przez sprawiedliwość ludzką; *zniesienia małżeństwa* w znaczeniu instytucyi politycznej, religijnej, prawnej i cywilnej.

2-gi. Chce przede wszystkim całkowitego i stanowczego *zniesienia klas* i równości politycznej, ekonomicznej i społecznej, jednostek obu płci, a w tym celu *żąda koniecznie zniesienia prawa spadkobierstwa*.

4-ty. Odrzuca wszelką działalność polityczną, której natychmiastowym i bezpośrednim celem nie jest zwycięstwo sprawy pracujących przeciw kapitałowi.

Oto dzika i krwawa utopia. Zaczynając od bezbożności dochodzi do zniesienia małżeństwa, prawa spadkowego, do „wywłaszczenia mieszczaństwa dla pożytku ogółu” i do „uniwersalizacyi pracy i kapitału.” Są to ich własne wyrażenia.

I któż to dokona tego dzieła? „Lud. Rewolucja społeczna.”

Jakimiż środkami? Wszelkimi możliwymi. „Skoro socjalna rewolucja, — powiada *Egalité*, jeden z ich trzy-

dziestu dwóch europejskich dzienników, — wywłaszczy burżuazję dla pożytku ogółu, jak ona niegdyś wywłaszczyła szlachtę i duchowieństwo, cóż się z nią stanie?

„Nie możemy odpowiedzieć na pewno. Ale prawdopodobnie nowy stan rzeczy da im nierównie cenniejsze dobro, pracę.... a w razie niedołęstwa.... *kwity na zupe.*

„Ale powiecie: czyż uprzywilejowani dadzą się dobrowolnie ogołocić ze wszystkich przywilejów?

„Na to mamy tylko jedną odpowiedź: Lud wykona to, czego zechce. Potrafi sam uzyskać to, czego mu będą odmawiali. Jeżeli mniejszość, rządząca nami dzisiaj, zechce spróbować walki, odpowiedzialność za jej zgubę spadnie na nią samą. Lud pójdzie swoją drogą, strącając pogardliwie do wody wszystko, co zechce stawić mu zapory.”

Oto jest program, cel jego i środki. Mało ich zresztą obchodzi, gdzie zacznie się działanie. Dzisiaj Paryż, jutro Rzym, pojutrze Londyn, Wiedeń lub Berlin. Odgłos świstawki zgromadzi ich dwieście lub trzysta tysięcy, roznamiętnionych, dzikich, pijanych nienawiścią, pychą i winem, gotowych na wszystkie zbrodnie, a szczególnie na najohydniejsze. Istnieje bowiem logiczny związek pomiędzy bezbożnością a ostatecznymi krańcami rozkoszy, jak i występku. I tak samo, jak bogate klasy, pozbawione Boga, wycieńczone, znudzone, marzą o nadzwyczajnych, nieziszczonych przyjemnościach dla rozbudzenia wygasłych zmysłów, tak samo klasy ubogie, dzikie, rozszalałe, potrzebują dla zadowolenia się potwornych zbrodni. „Dogmaty istnienia Boga i nieśmiertelności duszy są tylko bajki nianiek, odrzucone przez rozum.... — mówił jeden z przywódców de-

magonii; — dajcie mi wielkie zbrodnie, zbrodnie krwawe, niesłychane. Kiedyż już nie będę widział owej pospolitej moralności, owej cnoty, która mnie nudzi!...”

Oto co mówią i dokąd doszliśmy. A ponieważ chcąc zaczepiać społeczeństwo, albo choćby jedną tylko jego klasę, napotyka się religię, i rewolucya społeczna wie o tem, stąd we wszystkich jej nadużyciach była i nienawiść religii, posunięta do wysokiego stopnia. Zaraz w początku ogłosiła i zaprowadziła we wszystkich szkołach nauczanie bezwyznaniowe, bezcześciła, łupiła i zamykała kościoły, więziła i rozstrzeliwała księży i zakonników, jednym słowem: dała się unieść do ostatecznych granic bezbożności i nienawiści Boga.

A jeśliby Opatrzność, postępując dzisiaj znowu jak ongi z Cesarstwem Rzymskiem, któremu powoli i stopniowo ukazywała barbarzyńców, („Sprawiedliwość Boska, która jest nierychliwą, — powiada Bossuet, wspominając o pierwszych najazdach barbarzyńców, — zadowolili się wówczas wyznaczeniem przyszłych burzycieli Rzymu, ukazaniem mu różgi, którą miała go osiągnąć” ¹⁾); jeśliby, powtarzam, Opatrzność nie zamknęła w Paryżu tej hordy nowożytnych barbarzyńców, i gdyby się oni rozleli po wszystkich prowincjach, ujrzanoby już wówczas to, co nastąpi może za lat dwadzieścia: tępienie na wielką skalę, na przestrzeni całej Francyi, kapłanów i zakonników, jako też znaczniejszych osób świeckich.

O, nie zaprzeczam bynajmniej żadnej wielkości nowoczesnej cywilizacji; myślę, że nikt nie przyklaskiwał jej goręcej i szczerzej ode mnie; ale nie trzeba też

¹⁾ Sur l'Apocalypse, II, 424.

zaślepiać się dobrowolnie i naśladować strusia, który będąc gonionym przez nieprzyjaciela, chowa głowę do piasku i, nie widząc już niebezpieczeństwa, wyobraża sobie, że minęło. Co do mnie, gdy myślę o stanie społeczeństwa europejskiego, przypominam sobie zawsze owo źródło, które Chateaubriand spotkał w sawanach amerykańskich: ocienia je wspaniała palma, powierzchnia wody wydaje się cichą i spokojną; ale skoro zajrzymy do jego głębi, spostrzegamy wielkiego krokodyla, ukrytego na dnie i ostrzającego na nas zęby.

III.

Stawię teraz pytanie: Jak zaradzić temu stanowi rzeczy? Moja odpowiedź jest taką:

Jedno z dwojga: albo klasy wyższe szczerze, w zupełności, odważnie powrócą do religii i przykładem swoim zwrócą ludowi Boga, którego mu odebrały, — albo też przejdą przez ogień.

Bo dwa tylko są prawa na świecie: prawo zwierzęcości, na mocy którego gatunki silniejsze pożerają słabsze, i prawo Bóstwa i religii, w którym wyższe istoty zstępują, zniżają się i łagodnie i czule wznoszą ku sobie słabsze. Powróćcie do tego ostatniego, które jest prawem chrześcijańskim; inaczej odzyska moc pogańskie prawo zwierzęcości. Tylko, ponieważ już nie macie za sobą niewolnictwa, a wyzwolone klasy ubogie są zarazem silniejsze i liczniejsze, wy to będziecie pożarci.

Oddajmy sprawiedliwość wybitnym myślicielom naszego wieku. Widzę ich bardzo zaprzątniętych tem

położeniem; ale muszę przyznać, że nie spostrzegam w ich myślach ani tej wzniosłości, ani głębokości i konsekwencji, których takie przesilenie wymaga.

Jedni, dobrzy ale krótkowidzący, zajmują się tylko materialną nędzą ludu. Wyobrażają sobie, że można wyjść z kłopotu za pomocą kilku zakładów dobroczynnych, zapomóg, udzielanych przez biura dobroczynności, i pewnej reformy praw, i nie będę przeczył, że pod tym ostatnim szczególnie względem jest dużo do roboty i potrzeba uczynić wiele. Pójdę tu nawet tak daleko, jak mię tylko zaprowadzą, byle nie do marzeń, nie do niemożliwych utopii. Nie zapominajmy też, że zarówno jak życie człowieka jest krótkiem, ziemia uboga; że uprawiana z największą usilnością udzieli, jak to już mówiłem, nieco więcej, ale nigdy w stosunku do potrzeb; że dowiedziono matematycznie, iż wszystkie kapitały Francyi, rozdzielone pomiędzy jej dzieci, przyniosłyby im po kilka centymów dziennie; że zatem, mimo wszelkich środków, jakichbyśmy użyli, ubóstwo i nędza pozostaną na ziemi i mogą być łagodzone tylko przez pracę, porządek, oszczędność w klasach niższych, przez miłość bliźniego i rozum w wyższych, to jest w jednych i drugich przez cnotę.

Czyż nie widzicie zresztą, że nędza ubogiego leży jeszcze więcej w jego duszy niż w ciele? Nigdy nie uczyniono dla niego tyle, co dziś, i nigdy nie był mniej wdzięcznym. Im więcej otrzymuje, tem dziękuje mniej, tem więcej jeszcze wymaga. Dlaczego? Ponieważ wydzierając mu z duszy Boga, odjęto jego pragnieniom wszelką miarę, wszelki hamulec jego żądzom. Bo nie tylko nagie, poranione ciało tego męczennika potrzeba przewiązywać i leczyć: widzicie tylko połowę zadania,

i to mniejszą. Serce jego bardziej jeszcze jest chore. Nie zdziałacie nic, dopóki z niego nie usuniecie zawiści, pożądlivosti, gniewu, dopóki nie przywróćcie mu rezygnacyi, nadziei. Ale bez Boga nie możecie nawet kusić się o to. Świat będzie zgubiony, skazany nieodwołalnie na gorzkie rozczarowania, na krwawe klęski, jeżeli nie zgaście tych fałszywych światła ekonomii, umieszczających tutaj niebo, i nie oddacie ubogiemu nadziei nieśmiertelnej nagrody w życiu przyszłym.

Widzę innych myślicieli, którzy lepiej pojmują zagadnienie. Nie zanedbując istotnej nędzy klas niższych, zajęci są szczególnie chorobliwym stanem ich umysłu. Mówią oni: „Dusza ludu potrzebuje światła. Potrzebuje ideału więcej jeszcze, aniżeli rzeczywistości, bo ma pociąg do zagrzebania się w materyi. Skąd tedy weźmiecie ten ideał? w jaki sposób podacie go ludowi? Przez oświatę. Tym sposobem, lecząc chwilową chorobę wieku, umocnicie na zawsze zdrowie rodzaju ludzkiego. Uleczycie mieszczaństwo i dacie podstawy ludowi.”

Tak nie będzie, jeżeli nie wezwiecie religii na pomoc. Dlaczego? Ponieważ lud zgorzkniały, chory, zawistny potrzebuje nie tylko światła, ale pewnego, określonego światła: światła z Nieba.

Przyznaję, że potrzebuje też ludzkiego światła: nauki. Koniecznie jej dziś potrzebuje. Lud religijny łatwiej może obejść się bez niej. Choć nie umie czytać ani pisać, dusza jego nie jest pozbawioną ideału. Ma światło, hamulec i kotwicę. Ma wielkie źródło ideału: religię. Ale lud bez Boga i nauki, bez Boskiego i ludzkiego światła—to dzikie zwierzę. Zdolny on do największej łatwowierności; można go popchnąć do wszystkich

zbrodni. Dlatego też pojmuję, że jeżeli w wiekach wiary i u narodów jeszcze chrześcijańskich mniej chodzi o naukę, dziś nie mamy chwili do stracenia. Odebraliście ludowi Boga, podnieścież go przynajmniej do pojęcia człowieczeństwa, własnego interesu, poczucia honoru, do tych słabych rzeczy, które nie potrafią stworzyć wielkiej duszy, spokojnego i czystego społeczeństwa, ale które przynajmniej nie dadzą mu żyć i postępować jak zwierzęta.

Ale szalonymi bylibyście, gdybyście wyobrażali sobie, że zakładając szkoły, szerząc tę oświatę, zaradzicie wszystkiemu złemu. Powtarzam raz jeszcze: lud potrzebuje światła obowiązku, światła pracy, cierpienia, dobrowolnej ofiary, światła poszanowania praw i przytłumienia żądz. Potrzebuje on tego światła, padającego z wysoka, które mówi dziecku: „Pracuj i bądź posłusznym;” młodzieńcowi: „Bądź czystym;” człowiekowi dojrzałemu: „Bądź uczciwym;” starcowi: „Miej nadzieję.”

Odbierzcie mu to światło, dając natomiast wszystkie inne: czyż umysł ludu będzie jaśniejszym, serce mniej zgorzkniałem, charakter mniej zawistnym, lud cały uleglejszym? Owszem, ta właśnie nauka da mu możliwość czytywać dzieła marzycieli, utopistów, demagogów, bałamucić umysł w klubach i psuć duszę czytaniem złych dzienników. Zamiast ocalić ich i siebie razem z nimi, dacie jeszcze jedną broń do ręki tym, którzy chcą wysadzić w powietrze społeczeństwo.

„No, to skończmy z nimi kartaczami.” Nie, nie nie skończy się bez Dziesięciorga Przykazań, ale trzeba, abyście sami naprzód zaczęli je wprowadzać w wykonanie.

Ci, którzy sobie wyobrażają, że można to załatwić za pomocą armat, którzy mówią: „Nie rządzi się ludem

bezbożnym, ale się go bombarduje!" — ci wszyscy niech posłuchają innych słów tego samego genialnego człowieka, ale rozsądniejszych i mędrszych: „Wiesz pan — mówił do Fontanes'a Napoleon, — co w świecie najwięcej podziwiam? niezdolność siły do założenia czegobądź. Dwie są tylko potęgi na świecie: miecz i rozum... Ten ostatni zawsze zwycięży miecz.”

Prawdą to jest szczególnie w narodach katolickich, które nieustannie przebiega i ożywia prąd duchowości, honoru, swobody. Zwycięstwa miecza są tam zawsze przelotne.

Zresztą, jeżeli macie odwołać się do miecza, to już nie społeczeństwo: — to pojedynek pomiędzy warstwą wyższą i niższą. Przygotujcie się na wszystkie jego skutki.

Świat doznał raz tego niebezpieczeństwa; ale wtedy podniósł się chrystyanizm i jak starożytny Orfeusz kazał mieczom wrócić do pochew. „Chrystyanizm, — mówi człowiek, którego słowa nie mogą być podejrzane o stronność, ¹⁾ — zgubił cesarzy, ale zbawił ludy... Drzwi lepianki otworzył Chrystusowym pocieszycielom. Bardzo też chodziło o możnych tego świata! Zajmująca rzecz: ostatnie rżenie cesarstwa, zepsutego do szpiku kości! Ładny zabytek do zachowania: mumia Rzymu zabalsamowana dziewięciu wonnościami Nerona, owinięta w całun Tyberyusza! Chodziło o ubogich, panowie politycy, o powiedzenie im słów pokoju.

„Uczyniło to chrześcijaństwo. A co uczynili przez ciąg tylu lat ci, którzy podnieśli na nie rękę? Widzieli,

¹⁾ Alfred de Musset, *la Confession d'un enfant du siècle*.

że ubogi znosił ucisk bogacza, słaby silnego, ponieważ mówił sobie: „Bogaty i silny będą mnie uciskali na ziemi; ale kiedy zechcę wejść do raju, ja będę u drzwi i oskarżę ich przed Bogiem.” Ta myśl dawała im cierpliwość.

„Przeciwnicy Chrystusa powiedzieli tedy ubogiemu: „Jesteś cierpliwym, czekając dnia sprawiedliwości; nie ma wcale sprawiedliwości. Oczekujesz przyszłego życia, aby tam odnieść pomstę, ale nie ma przyszłego życia. Zbierasz łzy swoje i twej rodziny, krzyki twych dzieci i płacz żony, aby je złożyć u stóp Boga w godzinie śmierci; otóż wiedz o tem, że nie ma wcale Boga.”

„Wtedy w istocie biedny przestał płakać, kazał żonie uciszyć się, a dzieciom iść za sobą i wyprostował się, świadomy swej siły. Powiedział możnemu: „Ty, co mię uciskasz, człowiekiem tylko jesteś;” a kapłanowi: „Ty, coś mię pocieszał, kłamałeś!” Tego właśnie chcieli wrogowie Chrystusowi. Może sądzili, że uszczęśliwią ludzkość, wysyłając w ten sposób biednego na zdobycie wolności.

„Ale jeżeli ten ubogi, zrozumiałwszy już dobrze, iż księża go zwodzą, bogacze ograbiają, że wszyscy ludzie mają równe prawa, że wszystkie dobra są tego świata i że jego nędza jest niegodziwością; jeżeli ten ubogi, za całą wiarę mając wiarę w siebie, w moc swych ramion, powie pewnego dnia: „Wojna bogatemu! mnie się też należy szczęście na ziemi; ponieważ nie ma innego! dla mnie ziemia, ponieważ niebo jest puste!” — wtedy, o wzniosli moralisci, którzyście go do tego doprowadzili, co mu powiecie, jeżeli będzie zwyciężonym?

A co powiecie nam, jeżeli on zwycięży?

Dawniej pomiędzy tymi dwoma światami, światem bogatym, dążącym do upadku przez nadużycie rozkoszy, i światem ubogim, popychanym do dzikości przez zawiść bogactw, był Bóg, Ewangelia, Krzyż, aby je godzić i łączyć. Nie chcecie ich teraz. Cóż pozostanie? miecz, siła. Ale jeżeli miecz wypadnie z rąk waszych, zniewieściałych w rozkoszach, jeżeli lud go uchwyci i wstrząśnie nim w dzikim gniewie, o wzniosli moralści, raz jeszcze was spytam: co nam wtedy powiecie?

Przypuśćmy nawet, że w tym pojedynku bogatych i ubogich klas społeczeństwa, pierwsze będą zawsze górą i za pomocą kartaczów opanują zawsze rozruchy, wiecież, do czego doprowadzacie społeczeństwo? Cofacie je o osiemnaście wieków, powracacie nas do panowania przemocy i przygotowujecie nieuchronny powrót pogańskiego cezaryzmu. „Będziemy się wówczas cieszyli w całej pełni, — powiada jeden autor, — tak przez historyków nazwanym *rzymskim pokojem*, pewnym stanem peryodycznie wracającej gorączki, w której dzikość buntów jest przeplatana odrętwieniem służalstwa; poznamy przyjemność posiadania wojska, wiecznie wahającego się między wiernością i buntem, jedynej podpory i jedynego równoważnika coraz odnawiającej się a zawsze krótkotrwałej dyktatury; dla powstrzymania albo oszukania niecierpliwości naszego pospólstwa, będziemy mieli już to narodowe pracownie i upiększenia wielkich miast, już to porcy wydawane za kwitami; nasi bogacze będą uszczęśliwieni, jeżeli za cenę swej wolności, godności i niezmiennych podatków będą mogli kupić zwodnicze pozory bezpieczeństwa w drodze łaski: co czas jakiś zrezygnujemy się, jako na zło konieczne,

na powrót tych peryodów anarchii, krótkich, co prawda, ale okropnych, jakby stworzonych na to, ażeby wprowadzić u nas obyczaje Tai - Pingów; zresztą, nie nam nie przeszkodzi pozwolić sobie na satysfakcję opozycji liberałów dyletantów, którzy dla wynagrodzenia sobie brutalności prasy w czasach demagogicznej orgii, będą zdobywali się na studenckie dowcipy, zagadkowe aluzye, głęboką ironię domyślników, i Francya będzie istniała jeszcze na mapie... aż dopóki Europa, niepokojona naszym przykładem, zmęczona naszymi szaleństwami, skuszona naszą słabością, nie uzna, że cierpliwość jej już się wyczerpała” ¹⁾).

Jednem słowem, cała choroba współczesnego społeczeństwa pochodzi z dwóch przyczyn: klasy bogate nie mają Boga, aby wstrzymywał je od dążenia prostą drogą do upadku przez zbytek i nadużycie rozkoszy; klasy ubogie nie mają Boga, aby uchronił je od dojścia przez zawiść i gniew do dzikości. Ażeby wolność i szczęście powróciły społeczeństwu, ażeby rozproszyły się chmury, które się nad niem gromadzą, trzeba, iżby warstwy ubogie i bogate zaprzestały w niem walki, trzeba, iżby się pojednały i złączyły. A pojednania tego i połączenia nie było nigdy i nie będzie bez Boga.

Ale to wszystko — to zaledwie połowa prawdy. Wnieśmy się wyżej, obejmijmy wzrokiem szerszy widnokrąg, aby ujrzeć całą doniosłość niebezpieczeństwa.

¹⁾ *Lettres sur l'Association internationale, par M. Dunoyer, ancien professeur d'économie politique à l'université de Berne.* Te godne uwagi listy były drukowane w „Le Français,” mai 1871.

IV.

Nikt już dziś nie zaprzecza, że głównem zagadnieniem naszego wieku jest zagadnienie społeczne, tak, jak polityczne zagadnienie było zagadnieniem wieku XVIII. „Demokracja napływa falami,”—mówił Guizot w Izbie deputowanych już trzydzieści lat temu. „Ten wiek będzie się nazywał wiekiem robotników,”—mówił nie tak dawno Gladstone w angielskiej Izbie lordów. Nikt, powtarzam, nie podaje już w wątpliwość faktu, że wielka rewolucja demokratyczna odbywa się w Europie, a Francja jest głównem jej ogniskiem. Wszyscy to widzą, lecz wcale nie wszyscy jednakowo o tem sądzą. Jedni uważają to za rzecz nową, za przypadek, i wmawiają w siebie, że będzie to można powstrzymać; inni, przeciwnie, uważają, że to fakt nieprzeparty, widząc, że jest on najdawniejszym i najbardziej ciągłym, jaki historia podaje. Przyznaję, że należę do tych ostatnich. Wierzę, że ruch, jaki w tej chwili podnosi niższe warstwy, ma swe podstawy w najdalszych zakątkach historii chrześcijańskiej, że trwa już ośmnaście wieków i ciągle postępował naprzód, nie zatrzymując się ani na chwilę, że nie ludzie nim rządzą, ale on ich unosi, że szczególnie klasy niższe, poddając mu się, nie rozumieją go, i że na koniec jest najzupełniej niezwykłym, bo jest najzupełniej naturalnym i logicznym.

Ale skoro z tego ruchu, którego prawomocność widzę tak jasno, przenoszę wzrok na społeczeństwo, w którego łonie lud wychodzi na widownię, ogarnia mnie przestach. Pod względem politycznym nic nie jest gotowem na jego przyjęcie; pod względem religii

wszystko jest osłabionem, lub zniweczonem. Szukam zapór, któreby mogły prąd ten powstrzymać: niema ich, nie widzę nawet myśli o nich.

Położenie to podobne pod wielu względami do tego, które tak smutnie odznaczyło koniec XVIII-go wieku. Ruch ówczesny nie był społecznym, był tylko politycznym, ale najzupełniej prawomocnym i z tego powodu nieprzewyciężonym. Nikt nie widział tego jednakże. Nie słuchano tych, którzy o tem mówili; ci, którzy mieli jakieś przeczucia, odpychali je od siebie. Nie przedsięwzięto nic dla pokierowania tym ruchem, lub powstrzymania go. Uniósł wszystko: władzę królewską, szlachectwo, społeczeństwo.

Drzę, aby koniec XIX stulecia nie był dla nas jeszcze nieszczęśliwszym, bo, z jednej strony, ruch tegoczesny jako społeczny, jest silniejszym, z drugiej — obalona religia nie stanowi już choćby najslabszej tamy. Tocqueville to samo mówi: „Jeżeli klasy niższe poruszają się, nim chrześcijaństwo będzie odbudowane w umysłach, Europa ujrzy straszliwe, nie dające się z niczem porównać, walki. W istocie, chwila, jaką Francya przebywa obecnie, dlatego jest tak ważną i straszną, że stanowi ona styczny punkt dwóch ruchów, jednego kończącego się, a drugiego poczynającego, których niepożądane spotkanie może spowodzić na świat wielkie klęski.

Pierwszy—to ten ruch przeczenia w rzeczach wiary, ruch burzący chrześcijanizm, który rozpoczyna się z Lutrem w 1517 r., a jeszcze nie jest skończony: wielka trzyaktowa tragedia, będąca obecnie na ukończeniu, która pozostawia za sobą religię osłabioną, społeczeństwo zachwiane, władzę odartą z uroku, rodzinę

w gruzach, a świat w niepokoju o to, co gotuje mu przyszłość.

Niema już katolicyzmu, — powiedział Luter. — Był to pierwszy okrzyk, pierwszy akt tej straszliwej tragedyi. Cały geniusz, dany mu od Boga, całą wymowę, humor, namiętność i wpływ swój cały poświęcił Luter na wyszydzenie Kościoła, na ośmieszenie Papieża, biskupów, księży, zakonników, będąc przekonany, jak mówił, a może i wierzył istotnie, że na tych gruzach zdoła założyć czyste panowanie Słowa Bożego, wznieść niepokalany gmach chrześcijaństwa.

Ale jest logika na świecie, jest pewien porządek rzeczy, który dziś czy jutro musi pociągnąć wszystko za sobą. Jak to? ten stary katolicki Kościół, te liczne zastępy apostołów, dziewic, doktorów, ta jedność, świętość, płodność—wszystko to błąd i kłamstwo! Czemże tedy jest Chrystyanizm? Czyż Chrystus, gdyby był Bogiem, nie powinienby był czuwać nad swoim dziełem, bronić go, zapobiedz, aby przesady nie naruszyły jego piękności? Jeżeli nie uczynił tego, czemże jest i cóż można o nim pomyśleć? Mówicie, że niema już katolicyzmu, zatem i chrześcijanizmu niema; niema Kościoła, niema więc i Chrystusa.

I tak samo, jak znalazł się człowiek, obdarzony ogniem i wymową, z gminnym a potężnym śmiechem na ustach, który wydał pierwsze hasło, tak też zjawił się drugi, który dzieło pierwszego posunął dalej. W łonie najdowcipniejszego narodu na świecie, w kraju, gdzie śmieszność zabija pewniej od siły, znalazł się człowiek od wszystkich rozumniejszy, który swego niezmiernego talentu użył na wyszydzenie i ośmieszenie Chrystyanizmu. Przez osiemdziesiąt lat Chrystus był

znowu posadzony na ławie oskarżonych, wyśmiany, wyszydzony przy oklaskach lekkomyślnego i zepsutego tłumu, i tak jak Luter przez pół wieku wszczepiał w Europie pogardę dla katolicyzmu, Wolter przez wiek cały uczył ją pogardy chrześcijaństwa.

Cóż tedy? Chrystus był tylko oszustem! Ewangelia to tylko wymysł i oszukaństwo! Gdzież więc jest religia? Jakże Bóg mógł pozwolić na takie rzeczy! Więc cóż to jest Bóg? Precz z katolicyzmem! — powiada Luter w XVI wieku. Precz z chrześcijaństwem! — odpowiada Wolter w XVIII w. A wiek XIX dodaje: Precz z religią! Oto punkt, do któregośmy doszli, ostatnie słowo tragedyi. Tragedyi religijnej przynajmniej, bo śmiałe głosy, wysnuwając dalej logiczne następstwo faktów, dodały: Precz z religią, zatem precz z rodziną, precz z własnością, precz ze społeczeństwem!

Wiek XVI zobaczył pierwszy akt tej groźnej tragedyi, i cała Europa wstrząsała się w posadach.

Wiek XVIII ujrzał akt drugi i skąpał się w potokach krwi.

Wiek XIX jest świadkiem trzeciego i oby nie przyplącił tego życia!

Tymczasem, w tej samej chwili, kiedy jest na ukończeniu ten ruch przeczenia i burzenia chrześcijaństwa, który pozostawia religię osłabioną, rodzinę podkopaną, społeczeństwo w gruzach, — rozpoczyna się ruch drugi, który powinienby zastać świat mocno ugruntowanym w posadach, ażeby rozwój jego nie zagrażał temuż niebezpieczeństwem. Ten rozpoczynający się ruch, ta nowo powstająca potęga, której imię, dla jednych przedmiot przestradchu, dla drugich nadziei, jest na wszystkich ustach, — to demokracja. Nie mówię:

demagogia,—ta przejdzie. Mówię: demokracja, która bez względu na to, co o tem myślą, czy się tem cieszą, czy martwią, jest królową przyszłości. Ale nie widzę przyczyny do martwienia się, chyba to, że ukazuje się ona w chwili tak ciemnej i groźnej.

Czemże jest w istocie demokracja? To najwyższy kres tego niebezpiecznego, ale potrzebnego i godnego podziwu wznoszenia się, przez które chrześcijaństwo, biorąc lud z ziemi, bez praw, okuty w kajdany, niewolniczy, uczyniło naprzód z niewolnika poddanego, potem z poddanego człowieka wolnego, członka gminy, a następnie istotę coraz zdolniejszą do spełniania obowiązków obywatelskich. Któż bowiem zaprzeczy, że w chwili ukazania się chrześcijaństwa lud nie istniał? Trzy czwarte części ludzkości były w kajdanach i poniżeniu niewoli. Pomału, łagodnie, nie zaprzeczając niczyim prawom, nie budząc żadnych dzikich chuci, Chrystyanizm rozkuł kajdany niewolnika i wznosząc go o stopień wyżej, uczynił poddanego. Był to pierwszy krok, ale ileż on kosztował! Ile czasu! co najmniej trzysta do czterystu lat. Ile cierpliwości! Kilka razy świat się zatrzęsł. Czasem niewolnik wybuchał, wnosząc, że za długo czeka na chwilę wyswobodzenia, czasem pan brał za broń, mniemając, że ona nadchodzi za szybko. Krew lała się nieraz, i to strumieniami. Na szczęście była religia. Władza jej była nieograniczona. Z wysokości swej przemawiała do bogatych i do ubogich. I dzięki jej, dzięki głębokiej wszędzie wierze, przebyto ten krok pierwszy.

Później, w XII i XIII wieku, uczyniono krok drugi. Poddany zamienił się w człowieka swobodnego, w członka gminy. Tu także nie obeszło się bez

strasznych wstrząśnień, bez krwawych rozruchów. Ale były to średnie wieki. Wiara tkwiła głęboko we krwi panów i ludu. Spotykano się u tego samego ołtarza, dzielono się tym samym chlebem, pito z tego samego kielicha. Niepodobna było, ażeby się nie porozumiano. Przebyto krok drugi.

Dzisiaj jesteśmy w trakcie trzeciego, a chociaż jest groźnym, nie obawiałbym się, gdyby czasy były inne. Bo na czemże ten trzeci krok zależy? Na stopniowem podnoszeniu się mas pracujących do zupełniejszego wykształcenia, do gruntowniejszej moralności, do powszechniejszego dobrobytu i, w ostatecznym wyniku tego wszystkiego, do rozleglejszego wpływu politycznego. A cóż jest w tem wszystkim, co by nie było najzupełniej sprawiedliwem, co by naturalnie nie wypływało z Ewangelii? Któż chciałby biednym odmówić nauki, robotnikom światła? A jeżeli ze światłem dojdą do cnoty, któż mógłby odmówić im wpływu politycznego, prawa i obowiązku wchodzenia w sprawy swojego kraju? Ale w obecnym stanie rzeczy, przy umyśle ludu pełnym ciemności, sercu rozjątrzonem, sumieniu bez Boga, rozpasanych i bez hamulca namiętnościach, cóż nad to niebezpieczniejszego? Piękna to rzecz—wolność, ale nie trzeba, aby przechodziła w swawolę. Nie trzeba, aby wolność stała się okropnym strychulcem roku 1793. Nie trzeba nigdy mieć do wyboru braterstwa lub śmierci.

Ach! gdybyśmy to po wielkiem religijnem przesileniu, którego ostatni okres rozwija się w naszych czasach, mieli ze sto lat na to, ażeby wypocząć, żeby ożywić przytłumione poczucie religijne, stracić w nicość ateizm w praktyce, gdyby ruch ludowy powstał dopiero

wówczas, kiedy religia miałaby już była czas na zbudowanie swych tam, potem, kiedyby już można było oświecić demokrację, wzmocnić jej wiarę, oczyścić obyczaje, na miejsce jej ślepych, rozpasanych namiętności postawić naukę praw i obowiązków,—przyjście na świat demokracji odbyłoby się pokojowo i bez niebezpieczeństwa.

Ale oto nadchodzi ona, gdy wszystko jest obalone, gdy poczucie Boga osłabło, władza jest ugodzona w samo serce, gdy rodzina jest rozprzęgnięta, społeczeństwo chore, religia jakby wygasła, gdy wszystkie tamy, mogące powstrzymywać potok, są zburzone: to przerażające.

I dodam: Oto nadchodzi z ateizmem na ustach, z nienawiścią w sercu, z umysłem pełnym myśli bezbożnych, buntowniczych, zagrażających całości społeczeństwa. Jest czego drżeć! Szukam we wspomnieniach historycznych i nie widzę żadnej epoki, więcej przejmującej naraz boleścią, politowaniem i przerażeniem.

Niech mi czytelnicy pozwolą na wspomnienie, które pomoże mi przedstawić niebezpieczeństwo tak, jak je pojmuję. Słyszeliście pewnie o straszliwej powodzi, która zalała dolinę Loary w roku 1866. Otóż d. 27 września, na kilka godzin przed wielką klęską, byłem z ogromnym tłumem na moście Orleańskim. Loara wzbierała z każdą godziną i wpadała pod arkady mostu, wyrzucając w górę płaty piany. Przepływała zagniewana, dumna; widok jej był wspaniały. Niespokojny o to, co się gotuje, spostrzegłem naczelnego inżyniera, który kierował robotami, i zbliżyłem się do niego, aby się dowiedzieć dokładnie, czego mamy się obawiać.

„Boję się wszystkiego tej nocy, — odpowiedział mi, — może ona być straszną.” Po chwili dodał: „Jest jednakże coś, coby nas mogło uratować. Przybór Alieru i wyższej Loary nie przejdą razem. Przybór Alieru, przynoszący nam 4,000 metrów sześciennych wody na sekundę, wyprzedza na dziesięć godzin przyrost Loary, który ze swej strony przynosi nie mniej niż 5,000 metrów sześciennych. Tylko, — ciągnął dalej z wyrazem zaniepokojenia, — przybór Alieru będzie szedł długo, i może być, iż pierwsze fale wyższej Loary zmieszają się z ostatnimi Alieru. Nie potrwa to długo, wszystkiego trzy lub cztery godziny, ale godziny te będą straszne.” I rzeczywiście, podczas tych trzech czy czterech godzin tamy przerwały się w dwudziestu miejscach, i dolina stanęła pod wodą.

Wyborny to według mnie obraz położenia religijnego. Protestantyzm i jego dopływ, niewiara, kończą przepływać, ostatnie ich fale przechodzą, a w tej chwili nadchodzą pierwsze fale demokracji. Początek jej splata się z końcem wieku XVIII. Oto w czem leży niebezpieczeństwo. Ziemia wstrząsała się już parę razy od stu lat. Czy wstrząśnie się jeszcze? Czy tamy wytrzymają? Nie wiem, ale wiem, że chwila to złe wybrana na wypędzenie Boga z tego świata. Nigdy społeczeństwa gwałtowniej Go nie potrzebowały.

ROZDZIAŁ ÓSMY.

Zarzuty i błędne rozumowania niewiary.—
Czy prawdą jest, że odkrycia nauki wykaza-
ły niemożliwość stosunku pomiędzy Bogiem
i ludźmi?

Słyszę smutne głosy, które mi powiadają: „To
prawda, niewiara jest zarazem bolesną i jałową. Pro-
wadzi za sobą szereg niepokojów, smutków, powiększa-
jących się coraz w miarę, jak postępujemy dalej na
drodze życia.

„Naprawdę serce stara się omamić samo siebie:
nosi w głębi ranę.

„Ale z drugiej strony, czyż nie widzisz, jakie za-
rzuty nauka podnosi dzisiaj przeciw religii?”

— Wierzę w naukę, — mówił mi świeżo jeden mło-
dzieńec, — jakże chcesz, abym wierzył w religię? Re-
ligia i nauka nie zgadzają się z sobą.

— Dlaczegoż to? — spytałem.

— Dlaczego? Ponieważ zasadą i podstawą każdej
religii są z konieczności rzeczy nadprzyrodzone.

— Zapewne, każda religia ma nadprzyrodzoną podstawę ¹⁾. Każda uznaje działanie Boga, który zbliża się do człowieka i jako władca i przyjaciel wchodzi w jego sprawę. Bez tej interwencji Boga religia jest tylko bezsilną mrzonką.

— Właśnie; dlatego też rozwieje się w świetle nauki. Bo dla tej ostatniej nadprzyrodzone nie istnieje; nie ujrzała go ani dotknęła nigdy, a uznaje tylko to, co widzi.

— Tak sądzisz? A jeżeli ja ci powiem przeciwnie, że w świetle nauki, wedle twego własnego wyrażenia, religia nowym zajaśnieje blaskiem. Jeżeli powiem, że nauka widziała nadprzyrodzone, dotknęła go ręką i przynosi obecnie zdumionemu światu niespodziewany i niezbity jego dowód. Tak jest, oto najjaśniejszy i najpiękniejszy wynik naszych cudownych odkryć: wszystkie nauki, astronomia, geologia, filozofia, lingwistyka, historia, pod tą lub inną formą, wprost lub ubocznie, świadczą zgodnie o pewnej i częstej, i nawet ciągłej interwencji Boga w sprawę tego świata. Rozwińmy ten wielki obraz. Pomimo niektórych pojedynczych usiłowań, zbliża się w nauce chwila, kiedy bez religijnego wzruszenia nie można będzie ksiąg jej otworzyć.

¹⁾ Nie bierzemy tutaj słowa *nadprzyrodzony* w znaczeniu teologicznem, ale w tem znaczeniu, jakie nadają mu dzisiaj wszyscy nieprzyjaciele religii. „Nadprzyrodzone jest niemożliwe,” to jest, że Bóg nie może wglądać w sprawy ludzkie. Tak oni wszyscy pojmują ten wyraz. Ażeby ich zbić, stajemy na tym samym gruncie i w tem samem znaczeniu używamy słowa *nadprzyrodzony*.

I.

Że pierwszy atom, pierwsze nasienie, pierwszy ruch, pochodzą koniecznie i stanowczo z przyczyny, leżącej nazewnątrz materyi, i że początek rzeczy jest niepojętym bez pierwotnego współudziału Boga — na to zgadzają się wszyscy.

Nie będziemy obecnie wzywali ani astronomii, ani geologii, ani żadnej z gałęzi biologii. W ciągu dowodzenia napotkamy teksty Newton'a, Keplera, Herszla, Arago, Cuvier'a, Kl. Bernarda, nawet Darwina. Wszystko to jest jasne, niezbite.

Zostawmy także na boku piękne i jeszcze nowe badania ruchu, ciepła i ich przemian. Będą one, wedle najpoważniejszych uczonych, nowym dowodem, że najdawniejszy początek wszechświatowego ruchu wyprzedza naszą epokę tylko o skończoną ilość czasu, że zatem świat miał początek, którego przyczyna była nazewnątrz jego ¹⁾.

Poprzestaśmy na umieszczeniu na czele tego dowodzenia wyjątku z dzieła uczonego Cauchy. Dowód to przez nauki matematyczne pierwszego i koniecznego wdania się Boga.

Cauchy utrzymuje naprzód, że nie można przyjąć liczby rzeczywiście nieskończonej w całym znaczeniu

¹⁾ *Sprawozdania z posiedzeń Akademii nauk*, 1/X 1866. Notatka pana Dupré, dziekana wydziału nauk przyrodniczych z Rennes, o dążeniu każdego systemu materialnego do względnego lub absolutnego spoczynku. Patrz także *Les Sciences et la Philosophie* przez Th. H. Martin'a, dziekana wydziału nauk pięknych z Rennes, str. 308; *le Matérialisme et la Science*, przez Caro, str. 242 i notę B u końca tomu.

tego słowa, ani szeregu z rzeczywiście i absolutnie nieskończonej ilości wyrazów. Wykazawszy niezbitymi rachunkami prawdziwość tego twierdzenia, co też poświadczają wszyscy matematycy: Poisson, Legendre, Lacroix, — Cauchy dodaje, że to zasadnicze twierdzenie daje się równie dobrze zastosować do szeregu liczb i przedmiotów, któreby istniały jedne po drugich, a nawet do szeregu wydarzeń, następujących kolejno po sobie. Tak na przykład, ponieważ możemy twierdzić, że w obecnej chwili istnieje tylko skończona ilość gwiazd, nie ulega również wątpliwości, że ilość gwiazd, które niegdyś istniały, przypuszczając, że wiele z nich znikło, jest także skończoną. To samo, co o ilości gwiazd, musimy przyjąć o ilości ludzi, którzy żyli na ziemi, o ilości obrotów ziemi po jej drodze, o ilości stanów, przez które przeszedł świat od swego początku. Istniał zatem pierwszy człowiek, była chwila, w której po raz pierwszy ukazała się ziemia w przestrzeni, w której zaczęła krążyć około słońca, w której świat cały miał początek. I tak, nauka z konieczności doprowadza nas do tego, czego uczy wiara, że materya nie jest wieczną. Jeżeli nie przyjmujemy tego jako chrześcijanie, będziemy zmuszeni przyjąć jako arytmetycy, jako matematycy ¹⁾. Cauchy dodaje, że także i jako fizycy. Ale nie daje on dostatecznych dowodów tego ostatniego twierdzenia. Tego nam zresztą aż nadto dosyć do uznania potrzeby i rzeczywistości wdania się Boga na początku.

¹⁾ Cauchy, *Leçons (inédites) de physique générale* (faites à Turin à 1832). Wyciągi, ogłoszone w *les Mondes*, przez ks. Moigno. *Impossibilité du nombre infini et ses conséquences*, p. 3—6 du tirage à part. (Paris, 1863, gr. in 8°).

II.

Po uczynieniu lub dopuszczeniu z konieczności tego pierwszego ustępstwa, niewiara naukowa chce się na tem zatrzymać. Ale napróżno. Przyjąwszy pierwszą interwencyę Boga w stworzeniu materyi, chcąc nie chcąc trzeba przyjąć i drugą. Po Stwórcy trzeba uznać Budowniczego.

Jedną nadewszystko nauka rzuca najżywsze światło na tę drugą konieczną interwencyę: astronomia, szczególnie odkąd Galileusz i Herschel wynaleźli teleskop, a Newton, Euler, Arago, sporządzili mapę nieba. Spojrzmy na ten wspaniały widok i nie obawiajmy się zanadto zatrzymać się przy nim. Tem niezbitsze będą wnioski, jakie stąd wyciągniemy.

Pierwszy teleskop, jaki ludzie znali, teleskop Galileusza, powiększał siedm razy przedmioty; ostatni, Herschla, powiększa je sześć tysięcy pięćset razy. Skoro go skierowano na sklepienie nieba, doznano olśnienia. Pokład gwiazd ukazał się niezgłębiany istotnie, przytłaczając rozum i przewyższając wszystkie liczby, w których próbowano go zawrzeć. Herschlowie, brat i siostra, spróbowali tego jednakże i oto do jakich doszli wyników.

Przekonali się naprzód, że zbiór wszelkich gwiazd, stanowiących orszak naszego słońca, to tylko jedna z olbrzymich gromad, z których składa się droga mleczna i z pewnej odległości ta gromada przedstawiałaby widok plamy bielszej na tejże drodze mlecznej. Tę białą plamę spróbowali zbadać, i tylko ją jedną. Gołym okiem widać tam, na horyzoncie Paryża, cztery tysiące sto czterdzieści sześć gwiazd. Ale mamy teleskop, i wiecie,

ile ich dzisiaj dostrzegamy? W jednym tylko kawałeczku konstelacyi Bliźniąt, gdzie najwprawniejsze oko różnia zaledwie sześć gwiazd, dobra luneta pokazuje ich więcej niż trzy tysiące. Cóż tedy cały ogrom niebios! Cóż nawet ta jedna biała plamka, którą nazywamy naszym systemem słonecznym! Oto najdokładniejsze wyrachowania nauki co do tego ostatniego. Arago, Lalande, Delambre i Francoeur zgadzają się na ogólną liczbę mniej więcej siedmdziesięciu pięciu milionów widzialnych gwiazd. A pamiętajcie, że te siedmdziesiąt pięć milionów gwiazd i planet stanowią jedną tylko gromadę drogi mlecznej, i widziane zdala wyglądałyby tylko jak biała plamka, jak płatek piany w bezmiarze. „Mój Boże! jakże piękne są Twe niebiosy! Kto zdoła przeliczyć zastęp słońc Twoich?”

Wszelako nauka nie poprzestaje na liczeniu gwiazd; waży je także. Te siedmdziesiąt pięć milionów gwiazd to nie siedmdziesiąt pięć milionów złotych punkcików na lazurowej makacie. Waga ich jest dokładnie znana. Przypuśćmy, że są gdzieś szale dosyć duże, ażeby można było pomieścić na nich niebieskie ciała; oto coby ujrzało: Przekonanoby się, że Saturn waży sto razy więcej, a Jowisz trzysta trzydzieści ośm razy więcej, niż ziemia. Co do słońca, jest ono milion czterysta tysięcy razy większe od niej, a ponieważ Syryusz jest znowu dwanaście razy większym od słońca, od ziemi zatem większym jest szesnaście milionów razy. Tak, ten błyszczący punkcik na niebie, który widzujemy wieczorami, jest szesnaście milionów razy większym od ziemi!

Z tego wnoście o odległościach i niezmiernych przestrzeniach, potrzebnych do ruchu takim masom. Hezyod, chcąc nam dać wyobrażenie o wyniosłości

firmamentu, przypuszcza, że śpiżowe kowadło, upuszczone z nieba, spadałoby dziewięć dni i dziewięć nocy, nimby do ziemi doszło. Dziecinne wyobrażenie! Pociąg kuryerski, przebiegający pięćdziesiąt kilometrów na godzinę, na przebycie drogi od słońca do ziemi potrzebowałby trzystu czterdziestu siedmiu lat. Tę olbrzymią odległość światło przebiega w ciągu ośmiu i pół minut. Wyrachujcież na zasadzie tego niezmierną głębokość pokładu gwiazd. Wiecie bowiem, ile czasu to światło, przebiegające siedmdziesiąt pięć tysięcy mil ¹⁾ na sekundę, przebywające drogę od słońca w ośm minut, potrzebowałoby na przyjście od Alfę z Centaura? trzystu lat i ośmiu miesięcy; od Węgi? dwunastu lat i pół; od polarnej gwiazdy? trzydziestu jeden lat; od Kozy? siedmdziesięciu dwóch; prawda, że gwiazda polarna znajduje się o ośmnaście bilionów mil od ziemi, a Koza o siedmdziesiąt trylionów. Od Alcyona wreszcie, najświetniejszej z Plejad, światło przychodzi w pięćset lat. Zauważcie przytem, że głębokość niebios nie kończy się na Plejadach, które owszem należą do ich pokładów powierzchownych. To też Herschel utrzymuje, że promień od jednej z tych teleskopowych konstelacyi, wchodzących w skład drogi mleczej, potrzebuje dwóch tysięcy lat, ażeby dojść do nas. Czy badanie naukowe zatrzymuje się chociażby tutaj? Nie. Sięga ono aż do tych mgławic, przebywających na ostatnich wiadomych nam krańcach świata gwiazdowego. Ale tu odległość mąci już myśli. Światło, — mówi Humboldt, — mimo swej błyskawicznej szybkości, potrzebuje dwóch milionów

¹⁾ Francuskich.

lat, ażeby przebyć niezmierną przestrzeń, oddzielającą nas od tych gwiazd. Od słońca światło przychodzi w ośm i pół minut, w dziesiątą część sekundy obiega kulę ziemską, a tutaj potrzebowaloby dwóch milionów lat! Tutaj już się nie rozumuje, nie liczy. Jest się przytłoczonym i pojmuje się całą trafność i delikatną ironię pytania, postawionego Abrahamowi przez Boga: „*Numera stellas, si potes* — Zlicz gwiazdy, jeśli możesz!”

Jeszcze nie dosyć na tem. Najbardziej zadziwiający ze wszystkich wynalazków człowieka, podwójnie wzniosłe i wielkością wyników i tem, że w odkryciu jego nie dopomógł teleskop, ani żadne narzędzia, sam tylko czysty ludzki rozum, to prawo ruchu ciał niebieskich. Nic nie jest nieruchomem w tych nieruchomych przestrzeniach. Wszystko się porusza. Te miliony gwiazd krążą wszystkie w ten sam sposób, w pewnym określonym porządku, w wymierzonych odległościach; wszystkie zakreślają najpiękniejszy ruch, obracając się naokoło siebie i jedne naokoło drugich, jak w starożytnym chórze. A cóż rzec o łagodności, o harmonii tego niby tanecznego ruchu? Cóż szczególnie o jego szybkości? Ziemia krąży naokoło słońca z szybkością siedmiu mil na sekundę, czterystu dwudziestu mil na minutę, dwudziestu pięciu tysięcy dwustu mil na godzinę, sześciuset tysięcy mil na dobę. Jeszcze szybszy Merkury obraca się z prędkością więcej niż miliona mil dziennie. Słońce tymczasem ze swym orszakiem planet zakreśla naokoło jakiegoś nieznanego środka krąg o tak wielkim promieniu, że wydaje się linią prostą, ruchem wspanialszym i łagodniejszym, chociaż jeszcze wynoszącym dziesięć kilometrów na sekundę, trzydzieści sześć tysięcy

kilometrów na godzinę, blisko miliona kilometrów na dzień ¹⁾.

A na jakiejże to podłodze odbywa się ten taniec,— powiedziałbym: zawrotny, gdyby łagodność jego nie wyrównywała szybkości — na jakiej podłodze, powtarzam, tańczą te gwiazd miliony? Niema jej wcale. Tańczą w próżni. A nie zapominajcie o ich ciężarze. Słońce waży dwa nonyliony kilogramów, co wyraża się przez cyfrę 2 i trzydzieści zer:

2,000,000,000,000,000,000,000,000,000,000.

A masa Syryusza waży dwanaście razy więcej. I wszystko to porusza się w próżni z szybkością, dla ziemi, sześćset tysięcy mil na dobę!

A jak gdyby wielki Mistrz, który urządził te chóry, chciał sam siebie przewyższyć, między tymi siedmdziesięciu pięciu milionami gwiazd naszego nieba, które są tylko częścią ogólnego ruchu, przechodzą komety z rozpuszczonym warkoczem. Jest ich znanych siedmnaście milionów, posłusznych nieznanym prawom i przechodzących przez zgodny chór bez zamieszania jego porządku.

Newton odkrył rytm tego potężnego ruchu gwiazd i okrył się przez to sławą. Ujrzał, jak gwiazdy idą, ale ten wielki człowiek, głęboko religijny, wzdrygnąłby się przed przypuszczeniem, że same idą. Zaczęto powtarzać: „Przyciąganie! przyciąganie!” Ale cóż to jest przyciąganie? Kto obdarzył gwiazdy tą siłą, która pociąga je jedną do drugiej, a w chwili, gdy ma stać się zgubną dla nich, jest równoważoną przez siłę przeciwną? Kto dał im tę cudowną równowagę, pochodzącą nie od

¹⁾ Arago, *Leçons d'astronomie*, p. 186 i nast.

powszechnej nieruchomości, ale od wiekuistego ruchu? Kto nakoniec stworzył w łonie niezmierzonych przestworów owo nie tylko arcydzieło piękności, ładu, potęgi, ale ów cud mechaniki, geometryi i rachunku, który pogrąża w uwielbienie rozważający go umysł? Niema wątpliwości: to Bóg, — powiada Newton ¹⁾.

I wszystkie genjusze nauki: Kopernik, Kepler, Galileusz, Kartezyusz, Leibnitz, Euler, Clarke, Cauchy, mówią to samo ²⁾. Wszyscy oni żyli w prawdziwym uwielbieniu harmonii światów i wszechpotężnej ręki, która je rzuciła w przestrzeń i w niej utrzymuje.

A za podstawę temu przekonaniu kładą nie porywy uczucia, jak poeci, ale cyfry, twierdzenia geometryczne. Rozumowanie zaś ich tak jest proste, że dzieckoby je pojęło. Bo posłuchajcie sami:

Dowodzą naprzód, że materya jest z treści swej istotą nieożywioną, że zatem, jeżeli jakieś ciało jest w ruchu, to dlatego, że zmusza je do tego jakieś *inne*, bo wszelki ruch materyi jest z konieczności ruchem *udzielonym z zewnątrz*. Zatem, — powiadają, — ponieważ w przestrzeni niebios panuje niezmierny ruch, unoszący w nieskończone pustynie miliardy słońc, których ciężar przytłacza wyobraźnię, jasnem jest, że istnieje wszechmocny Dawca tego ruchu.

Dalej mówią, że ten ruch niebios przypuszcza rozwiązania zagadnienia matematyczne, które kosztowały

¹⁾ Newton i Clarke, jego uczeń: „Przyciąganie jest skutkiem przyczyny niematerialnej,” (*Philos. de Rohault*), tłumaczenie łacińskie Clarke’a, II, XI, 15).

²⁾ *Comptes rendus hebdomadaires des séances de l’Académie des sciences*, t. XXI. Paris, 1845.

Eulera trzydzieści lat pracy, a o których siedmdziesięcioletni Newton mówił, że nie zdołał wszystkich rozwiązać. Zatem,—mówią,—ten wszechmocny Dawca ruchu musiał też być wszechpotężnym Matematykiem, Rachmistrzem niedoścignionym.

Powiadają nakoniec, że ruch niebieski składa się z dwóch harmonijnych sił: siły przyciągającej ciała do środka i siły oddalającej je od niego. Pierwsza, prawdziwa siła przyciągania, przyciąga ciała do jednego wspólnego środka, ale gdyby była tylko sama, rzuciłaby je w końcu jedne na drugie w stos olbrzymi i nieruchomy. Druga zjawia się w porę, aby zapobiedz temu niebezpieczeństwu, popychając ciała w przestrzeń. Ale skądże ona, ta druga siła, jeszcze od pierwszej dziwniejsza, istotny cud niebios? Niema dla niej innego wytlómaczenia, prócz wiecznotrwałej i nad wszystkie światy wyższej Woli ¹⁾.

I cóż odpowiecie na to wszystko, na tyle przyczyn, powagom tak wysokim, na tak liczne dowody, że jest Bóg, że podtrzymuje gwiazdy swą wszechmocną ręką, że zatem wdaje się i zawsze się wdawał w sprawy człowieka? Co powiada pseudo-nauka, nauka bezbożna i materyalistyczna?

Przeczytałem właśnie ich główne dzieła: *Siłę i materję* Büchnera, *Krążenie życia* Moleschotta, *Przedmowę do dzieł Darwina* przez Vogta, *Dawność człowieka* Haeckla, (mali to są jednakże ludzie wobec Kopernika, Keplera, Newtona, Galileusza, Eulera), przeczytałem,

¹⁾ *Oeuvres de Newton*, 1783, t. IV. Lettre à Bentley, Patrz także Eulera: *Lettres à une princesse allemande*, 68-e lettre.

mówię, ich dzieła i zmęczył mi głowę ten styl, ta niejasność, suchość, te szumne nowe wyrazy, to nieprzystawianie do ścisłego określania i rozróżniania — wszystkie te braki w formie i treści, cechujące umysły, pozbawione hartu i systematyczności. Jestem zmęczony, ale więcej jeszcze zdziwiony, upokorzony niemal tem, co tam znalazłem.

Wiecie, w czem streszcza się ich całe dowodzenie? Zaledwie odważam się je wypisać: *oto, że gwiazdy utworzyły się same!*

To nie do uwierzenia, ale tak jest; przekonamy się o tem zaraz.

„Najwięcej uzasadnioną teorią filozofii przyrody, — powiada Renan, — to, że rozwój świata odbył się bez wdania się żadnej istoty z zewnątrz” ¹⁾. Littré mówi: „Nowa nauka tłumaczy świat przez przyczyny, tkwiące w nim samym” ²⁾. Trzeci odzywa się: „Trzeba stać na bardzo niskim szczeblu istot rozumnych, ażeby szukać nazewnątrz przyczyn utworzenia się świata” ³⁾.

Jakże to? — spytacie. Nic prostszego. Boć czemuże w gruncie jest świat w najwyższych nawet swoich zjawiskach? „Wykwitem surowej materji.” „Utwarem z prostych cząsteczek, z materyałów nieorganicznych” ⁴⁾. Cofnijcież się więc jak można najdalej, do początku, przed wszelkiem uorganizowaniem się materji, co wtedy było? Atomy, nieorganiczne cząsteczki,

¹⁾ Renan, *Revue des deux Mondes*, 15 oct. 1863.

²⁾ Littré, *Conservation, Révolution, Positivisme* p. 26. *Paroles de Phil.*, p. 34.

³⁾ About, *Progrès*, p. 13.

⁴⁾ *Ibid.*, p. 17.

unoszące się w przestrzeni. Te cząsteczki czuły potrzebę zmiany miejsca, ruchu, posuwania się naprzód, stawania się czemś ¹⁾). Pobudzone tą potrzebą, wprawiły się w ruch same, połączyły się z drugimi bez planu, bez cienia jakiego bądź zamiaru, poprostu tylko ulegając prawu przyciągania, kierującemu materią, i z czasem utworzyły gwiazdy i wszystkie światy. Oto jest system. Nie myślcie, abyście znaleźli co innego we wszystkich tych księgach.

Czyta się to, odczytuje, nie wierząc samemu sobie. Ma się ochotę pójść do autora tych systematów i powiedzieć mu: „Pomówmy otwarcie, mój panie, bez próżnych frazesów. Czy wierzysz w to, co utrzymujesz? Czy wierzysz, że te cząsteczki, nie stworzone przez nikogo, krążyły tak w przestrzeni? Czy wierzysz, że były one przez całą wieczność? Jeżeli tak, to wytłómacz mi, proszę, co mogło je skłonić, aby utworzyły świat? Może powiesz: „Potrzeba ruchu i postępu?” Ależ „jest jasnym, że skutek, któryby zwlekał od wieków z nastąpieniem, musiałby zwlekać zawsze i z tej przyczyny nigdyby się nie ukazał” ²⁾).

Kiedy tak sobie rozmyślałem, w umyśle moim tworzył się obraz, od którego nie mogłem się oswobodzić. Widziałem zegar, jeden z tych wspaniałych zegarów, w których cuda mechanizmu doprowadzono do ostatniego stopnia sztuki i doskonałości. W zegarze tym była mrówka, przebiegała ona wszystkie jego sprężyny. Gdyby jej nadano rozum, jakaby była myśl jej pierwsza? Zwiedza żywo i ciekawie wszystkie sprężyny, koła,

¹⁾ Renan, *Revue des deux Mondes*, 15 oct. 1863.

²⁾ Martin, *les Sciences et la Philosophie*, p. 257.

ciężary — całe to urządzenie, które przejmuje podziwem, i zapewne wyciąga wniosek, że tak wspaniałe dzieło świadczy o potężnym i genialnym stwórcy? Gdzież tam! odrzuca tę myśl. Uważa ją za niedosyć *naukową*. *Pierwszą zasadą mojej filozofii*, powiada, *że ten zegar utworzył się bez pomocy żadnej istoty z zewnątrz*. — *Nowym dogmatem jest, że zegar wyjaśnia się przez przy- czyny w nim samym zawarte*. — Postawiwszy to sobie za prawidło, patrzy na wskazówkę. I cóż tak dziwnego w tem, że się ona porusza? Czyż nie widzicie, że styka się z osią, obracaną przez koło?

To koło, w szczególniejszy sposób zazębite, łączy się z drugim, które się również obraca. Tamto jest poruszane przez wahadło, które znowu wprowadzają w ruch ciężary podnoszone i opadające. Nic więc prostszego, *i trzeba stać bardzo nisko w szeregu istot inteligentnych, aże- by szukać przyczyn ruchu zegara nazewnątrz jego*. Co do składowych jego części, owych sprężyn, kół, ciężarów, jeszcze łatwiej zobaczyć, skąd pochodzą. Bo czemże jest ten zegar wreszcie? *Zbiorem prostych cząsteczek, materji nieorganicznych*. Otóż te cząsteczki unosiły się w przestrzeni. Parte potrzebą ruchu, postępu, połą- czyły się według stałych własności. Jedne cząsteczki, mineralne, utworzyły koła, sprężyny, wskazówki. Inne, roślinnego składu, sznury i bloki. Inne znowu — ciężary. Całość, bez planu, bez żadnego zamiaru, ulegając jedynie sile przyciągania, utworzyła to cudowne dzieło. *I trzeba stać bardzo nisko w szeregu istot rozumnych, ażeby poza zegarem szukać przyczyny jego bytu*.

Szczęśliwa mrówko, śpij w pokoju i bądź dumną ze swego geniuszu! Odnalazłaś *naukowe* wyjaśnienie zegara.

III.

Pobita na tym punkcie niewiara naukowa zwróciła się ku ziemi i spróbowała nowej walki, posiłkując się ciemniejszymi zjawiskami życia. Z wyłączeniem kilku jej adeptów, oddanych materjalizmowi najbardziej krańcowemu, nie zaprzecza istnieniu Stwórcy. Tylko, przyznając stworzenie pierwszego zarodka, poprzestaje na tem, obywając się nadal bez Boga. Dla wytłómaczenia stopniowego zjawienia się stworzeń zadowala się zastosowywaniem na osłep drugorzędnych przyczyn.

Ale i tu nauka przychodzi nam w pomoc, i najpewniejsze doświadczalne dane łączą się z najjaśniejszymi zasadami filozofii dla obalenia podobnej hipotezy.

Zgódźmy się na chwilę z naszymi przeciwnikami; przypuśćmy, że wszystkie istoty: rośliny, zwierzęta i człowiek pochodzą za pomocą stopniowych przemian od pierwszego zarodka, od pierwotnego typu. Nawet i w takim razie natura nie doszłaby do podobnych rezultatów, gdyby nie była kierowana przez nieskończoną mądrość.

Dlaczego? Ponieważ skutek powinien być ustosunkowany do przyczyny, a stosunku tego niema wcale pomiędzy grą ślepych sił a tym światem tak harmonijnym, gdzie jaśnieje tak nieskończona sztuka i gdzie pod każdą formą objawia się inteligencja.

Twierdzenie to, które jedna z tegoczesnych naukowych powag, Amerykanin Agassiz, poparł mnóstwem naukowych dowodów, tak jest bijące w oczy, że zgadzają się na nie najgorliwsi Darwina uczniowie, najzapaleńsi wielbiciele. Według Karola Lyell'a, „ten wielki

łańcuch przemian, który sprawił rozwinięcie się świata organicznego, *był kierowany z zamiarem i szczególnie (intentionally and specially guided).*”

A Asa Gray przyznaje, że przemiany były prowadzone *w pewnym korzystnym kierunku*. Owo zaś biedne echo, zwane Renan, powtarza, „że wszystkie cząsteczki łączyły się, skupiały, według *wprzódki ułożonego planu*, ażeby utworzyć ciała.”

Kierowany z zamiarem. Co to znaczy? *Wedle planu, zakreślonego naprzed*. Przez kogo?

Prawda, że Darwin nie zgadza się na te ustępstwa, że utrzymuje, „iż po nadaniu macierzystej formy, do czego potrzebne było działanie Twórcy, wszystkie rodzaje utworzyły się potem *bez wyższej interwencji* lub jakiegokolwiek rozumnego planu.” ¹⁾ Ale cóż w takim razie zostaje dla wytłómaczenia świata? Nieskończone błądzenie po omacku, inaczej mówiąc: przypadek.

Tylko co wobec wspaniałości świata gwiazd powiadano nam, że powstał on sam przez się. Teraz przed cudami ziemskiego świata utrzymują, że ojcem ich jest przypadek. Oto jest zasada naukowej niewiary, słabo zamaskowana wielu szumnymi technicznymi wyrażeniami.

Ale komuż wmówicie, że świat mógł powstać przypadkiem, że to szczytne dzieło może być wynikiem działania sił ślepych, brutalnych, puszczonej samopas? Pomijam tę niezmierzoną poezję natury, wynik jej najwspanialszej harmonii. Biorę jeden tylko szczegół, na przykład oko. Kto uwierzy, ażeby ten delikatny i skom-

¹⁾ Darwin, *De l'Origine des espèces*, p. 507.

plikowany przyrząd, to arcydzieło mechanizmu powstało tak sobie, przez działanie ślepych sił? Darwiniści w poście czoła usiłują wykazać nam, jak oko uformowało się stopniowo. „Jeżeli — powiadają — będziemy krok za krokiem śledzili kolejne doskonalenie się oka w świecie zwierzęcym, dostrzeżemy stopniowy postęp. I tak oko u zwierząt najniższych występuje jako prosta plamka barwnikowa, nie mogąca jeszcze odbijać obrazów przedmiotów zewnętrznych, tylko w najlepszym razie wrażliwa na różne promienie światła. *Nabówczas* przybywa jej czuły nerw. *Później* wewnątrz tej barwnikowej plamki rozwija się powoli pierwszy zarys soczewki. Ale *jeszcze* niema wszystkich przyrządów, złączonych w oku dla jego akomodacyi i ruchu,” ¹⁾ etc.

Ale naprzód, ta plamka pigmentu sama już jest cudem. Kto w tym ślepym, głuchym, niemym zarodku jedną cząsteczkę materii uczynił wrażliwą na światło? To niepojęte, i tak samo niepodobna tego wytłómaczyć, jak niepodobna wyjaśnić samego zjawienia się życia.

Potem, skąd wzięliście to historyczne następstwo różnych przyrządów oka? Wszystko to jest bezzasadne, — to czysta fantazja. Przeciwnie, anatomia porównawcza stwierdza jednoczesne istnienie różnych tych stadyów rozwoju organu wzrokowego u rozmaitych klas zwierząt w naszych czasach.

Natura nie robi prób, nie idzie po omacku, przynajmniej nie możecie tego dowieść, ale wedle tego wspańałego i harmonijnego prawa, które wskazałem w drugim rozdziale tej pracy, wydaje naraz wszystkie odcienie

¹⁾ Ernest Haeckel, p. 633, 634.

oka, od prostej plamy pigmentowej u stworzeń niższego rzędu, od pierwiastkowego zarysu soczewki u trochę wyższych, aż do oka człowieka i oka orła. Najdoskońalszem nie jest wcale oko ludzkie — Bóg dał mu więcej, dając mu oko ducha.

Ale gdyby się nawet udało darwinistom wyjaśnić powstawanie oka za pomocą teorii nieskończonych kombinacji, co jest niemożliwem, oto inny organ, który już stanowczo nie nadaje się do podobnego tłumaczenia. Bierzemy przykład ten od Klaudyusza Bernarda. „W jaki sposób — powiada ten znakomity fizyolog — sok żołądkowy, rozpuszczający wszystkie pokarmy, nie rozpuszcza samego żołądka, którego skład jest przecie ten sam, co i żywiących go pokarmów? Długo nie umiano sobie tego wytłumaczyć. Obecnie wiemy już, że żołądek jest wysłany pewną powłoką czy też pokostem, nie podlegającym działaniu żołądkowego soku. Cóż innego nad to zabezpieczenie ścian żołądka mogłaby wymyślić najbardziej wydoskonalona sztuka? A jakie zdumiewające odkrycie, iż organ, wyrabiający tak niebezpieczny wytwór i używający go, jest właśnie uzbrojony taką opiekuńczą szatą, która od początku musiała z nim razem istnieć, bo inaczej byłby zniszczony, nimby mógł wytworzyć sobie ten środek obronny. Nie można więc tu przyjąć hipotezy długich prób i szczęśliwych trafów.” ¹⁾

Chcecie innego przykładu? Weźmijcie serce. Jest ono umieszczone wewnątrz i w środku człowieka, opancerzone ze wszystkich stron, a podwójny ruch jego jest

¹⁾ Cl. Bernard, *Leçons sur les propriétés des tissus vivants*. Cité par M. Paul Janet, *Revue des Deux Mondes*, 15 fevr. 1873,

cudowny. Jednym wysyła ono do żył zdrowe i silne ciałka krwi, które roznoszą życie po ciele. Potem, gdy się zmęczą i przygasną, przyjmuje je napowrót, zwraca im elektryczność, ciepło i znowu rozsyła je na wszystkie strony. Któż uwierzy, ażeby podobny cud powstał bez żadnego rozumnego planu, przez kaprys ślepych sił? ażeby wytworzył się powoli, stopniowo, przez wieki trwające próby? Cechą wybitną serca jest to, że odrazu musiało być zupełnie doskonałem. Jest ono idealnie piękne zgodnością wszystkich swych części, harmonią szczegółów, odpowiadających sobie. Jest, albo go nie ma. Najmniejsze uszkodzenie zabija je. I jedno to arcydzieło wystarcza dla zbitcia całego systemu.

Posuńmy się wszelako wyżej, do tego prawa związków i uczuć, które stwarza rodzinę, od którego pochodzą ojcostwo i macierzyństwo. Napotykamy tu mnóstwo wzruszających i wzniosłych tajemnic. Zastanówmy się nad jedną z nich, najmniejszą: ową czarą na sercu matki, tak cudownie napełnianą mlekiem z chwilą urodzenia dziecka. Niechże nam wyjaśnią przez jaki szereg prób, robionych na oślep, natura doszła do tego cudu! Czyż zaledwie po nieszczęściach nie do naprawienia spostrzegła ten brak? A jeżeli potrzebowała tysięcy lat, ażeby go uzupełnić, cóż było przez ten czas z dziećmi?

Możemy przytaczać jak najwięcej przykładów, dotykać po kolei wszystkich warunków ziemskiego bytu, a zawsze dojdziemy do wniosku, że bez względu na to, jakich środków użył Bóg do wywołania stopniowo na świat roślin, zwierząt i ludzi — całość tego cudownego stworzenia i każdy jego szczegół świadczą o planie, który nieskończoną Mądrość nakreśliła zawczasu, a Po-

tęga i Dobroć wprowadziły w wykonanie. To samo wyznawali jawnie ludzie, których głos ma prawo być tu rozstrzygającym: Cuvier, Jussieu, Condole, Jan Müller, Flourens, Brongniart, Agassiz. Wszyscy oni orzekają, że „darwiniści błędzą, usiłując w przyrodzony sposób wyjaśnić zagadnienie, wskazujące „*nadprzyrodzoną Przyczynę*.” ¹⁾

Żeby więc wytłómaczyć początek rzeczy, nie wystarczy działalność Boga twórcza tylko; potrzebna też jest druga, przez którą, po stworzeniu wszystkiego, wszystko też uporządkował.

IV.

Zresztą, przyjęliśmy hipotezę Darwina tylko chwilowo, dla przeprowadzenia rozumowania, bo z punktu widzenia naukowego jest ona nieprzypuszczalną. Niepodobna było, aby życie przeszło z jednego królestwa do drugiego, nawet za przewodnictwem Bożem, — a to z tej prostej przyczyny, że *przejścia tutaj niema*.

Pomiędzy królestwami istnieją gwałtowne przeskokki, przepaście. Wzmiankowałem to w drugim rozdziale niniejszej pracy; teraz potrzeba dowieść tego i naukowo przeprowadzić potrzebę działania Boga.

Według hipotezy kosmograficznej Laplace’a, Herszla, Araga, Ampère’a, kula nasza była niegdyś

¹⁾ Brongniart, *Revue des cours scientifiques*, t. VII, p. 563. Paris, 1870. Patrz także *Cours de physiologie comparée. Leçons de M. Flourens, red. par M. Ch. Roux, revues par les professeurs*, 40-e leçon, p. 174—180, Paris, 1856, in 8-o,

ciałem gazowem, rozrzedzonem. Skoro tak, zapytajmy nauki, w jaki sposób powstały na niej rośliny, zwierzęta i ludzie.

1) Rośliny. „Tak samo nam, naturalistom, niepodobna jest wiedzieć, skąd wzięły się rośliny na ziemi, jak znać początek wszechrzeczy,” mówi Bischof.¹⁾ Istotnie roślina jest nowym tworem; ma wszystko to, co i minerał, ale i coś nad to: centrum organizacyjne, wewnętrzną siłę rozwoju, sok, odradzające nasienie. A Liebig znów: „Zdanie, że natura posiada siłę twórczą, zdolną z niektórych materii w rozkładzie wyprowadzić różne rośliny, może być tylko wynikiem niedostatecznego badania.”²⁾ — „Dla wyjaśnienia tej nowej istoty, — powiada Becquerel, — konieczne jest potrzebne działanie twórczej potęgi.”

Tyle co do roślin. Potrzeba było pierwszej czynności Boga, aby stworzyć materię, drugiej, aby ją uporządkować; teraz niezbędną jest trzecia Jego interwencja, aby po minerale nastąpiła nowa istota, roślina.

2) Zwierzęta. W porównaniu z minerałem roślina jest cudem, istotą nadprzyrodzoną. Jeszcze większym znowu cudem jest zwierzę, porównane z rośliną. Posiada ono wszystko to, co ma roślina, ale posiada też coś więcej: wewnętrzną zdolność ruchu, pojmowania dowolnych uczuć. A skąd bierze się ta zdolność? Nauka tegoczesna powiada z Flourens'em: „Życie nie powstaje ze śmierci; życie rodzi się z życia tylko.” Mówiąc in-

¹⁾ Przytoczony przez Hettingera, *Apologie du Christianisme*, t. I, p. 206.

²⁾ Liebig, *Chemische Briefe*, p. 20.

nemi słowy, niema przejścia pomiędzy światem nieorganicznym a organicznym. „Gdybym miał określić życie,— pisze Klaudyusz Bernard,— powiedziałbym: Życie to tworzenie. Każdy żyjący zarodek zawiera w sobie myśl, objawiającą się przez jego rozwój.” To jest, że niema przejścia od rośliny do zwierzęcia; jest tylko wyższość, tworzenie, działanie wyższej potęgi, powołującej do życia nową istotę. Flourens, Klaudyusz Bernard, Cuvier, Liebig, Aleksander Humboldt i Quatrefages przyjmują ten pogląd po rozstrzygających doświadczeniach. ¹⁾ Virchow nie przeczy temu. ²⁾ A jeżeli taki na przykład Burmeister uparcie czepia się teorii samorodztwa, to sam naiwnie przytacza jako swój ostatni argument, że inaczej „musiałby przyjąć działanie nadprzyrodzonej potęgi dla wyjaśnienia powstawania istot organicznych.” ³⁾ Sam Bernard Cotta przyznaje, że „jest nierozwiązana zagadka, która nawet pomimo naszej woli zmusza nas, abyśmy przyjęli nieskończoną potęgę Twórcy; jest nią początek masy ziemskiej, jako też pierwsze zjawienie się na świecie istot organicznych.” ⁴⁾

Tak samo więc, jak ukazanie się rośliny, tak nieskończenie wyższej od minerału, nie mogło nastąpić bez działania Boga, tak i zwierzę, tak nieskończenie wyższe od rośliny, potrzebowało do powstania nowego „stań się!” twórczej potęgi.

¹⁾ Patrz wyżej, str. 107.

²⁾ Hettinger, *Apologie du Christianisme*, t. I, p. 201.

³⁾ Burmeister, *Geschichte der Schöpfung*, p. 304.

⁴⁾ B. Cotta, *Gen.* t. II,

3) Człowiek. Czemże są dwie przepaście, o których mówiliśmy, w porównaniu z trzecią, oddzielającą zwierzę od człowieka? Tutaj to występuje istota doskonale nadprzyrodzona, istota nowa, nie dająca się porównać z poprzedniami i nie mogąca być inaczej wyjaśniona, tylko przez proste bezpośrednie działanie twórczej potęgi. Pozwolimy sobie zatrzymać się nad tem, bo właśnie z tego powodu głównie są na tę kwestyę zwrócone wszystkie usiłowania materyalistycznej nauki.

„Myśl, żeby tak różne pomiędzy sobą zwierzęta, jak małpa, słoń lub kolibr, mogły wyprowadzać swój ród od tych samych przodków, wyda się nową tym, którzy nie szli z postępem tegoczesnej nauki przyrody.” ¹⁾ A dalej: „Co się tyczy człowieka, ci, którzy utrzymują, że potrzeba mu było osobnego aktu stworzenia, zniżają swój poziom umysłowy do poziomowi dzikich ludzi.” ²⁾

Ponieważ więc człowiek nie był stworzony osobno, ale pochodzi od zwierząt, potrzeba, ażeby Darwin utworzył dla niego rodowód. Nie wprowadza go to przy najmniej w kłopot, a jeden z jego uczniów, Haeckel, uważa nawet za możebne ustanowić „z pewnością” dwadzieścia jeden stopni naszego drzewa genealogicznego. Naprzód małpa. Przez układ zębów, budowę nozdrzy i pod innymi względami, człowiek *oczywiście* należy do rodzaju małp.” ³⁾

¹⁾ Darwin, *The Descent of Man*, t. I, p. 203.

²⁾ Id., *ibid.*, p. 386.

³⁾ Id., *ibid.*, p. 190.

To jest pierwszy stopień. Mamy i inne. Darwin dawniejsze zwierzęta workowate uważa za poprzedników małp. Workowate znowu pochodzą od pierwotnych jednootworowych. Jednootworowe wyprowadzają się od ryb. Płuca człowieka to tylko przekształcony pęcherz pławny ryby. Przeszliśmy prawdopodobnie przez formę zbliżoną do ryb kostołuskich (ganoidei), a przedtem jeszcze przez niższą od tamtej, istniejącą i teraz amphioxusa. Wyżej jeszcze, a raczej niżej, łączymy się z pierwotnym konarem, który musiał zbliżać się do jednej z form żachw (ascidiae). Nakoniec na ostatnim stopniu tej linii wstępnej Haeckel ukazuje nam monery, które określa jako organizmy bez organów. ¹⁾ A ponieważ prace Laplace'a, jako też i Herszla, nie pozostawiły już wątpliwości co do pierwotnego istnienia masy ziemskiej w stanie gazu, a następnie rozżarzonego płynu—oto niektórzy posuwają się do twierdzenia, że moglibyśmy mieć i gazowych przodków!

Oto jest ta doktryna. Narodziny jej wprawiły w zachwyt Taine'ów, About'ów, Renan'ów — cały ten półświatek nauki, który grozi nam obniżeniem naszego poziomu umysłowego, tak jak inny półświatek obniżył poziom nasz moralny. Dziwna rzecz! Oto ci ludzie, którzy wzdragają się uznać siebie za współplemienników murzynów, unoszą się radością na myśl, że w żyłach ich płynie krew małpia. Ale nie myślcie, ażeby

¹⁾ Patrz wyborne artykuły ks. Lecomte'a, doktora ès sciences, w *Revue Catholique de Louvain*, o darwinizmie i początku człowieka. (*Rev.-Cath. de Louv.*, an. 1871, août, nov. et decem. An. 1872, fevr., mars, avr. et mai). Skorzystamy wiele z tej umiejężtej i sumiennej pracy.

nauka grała tu jaką rolę. Bardzo im też o nią chodzi! Nie chcą być braćmi murzyna, ponieważ naucza tego religia, a uznają się za synów małpy, bo ona temu przeczy. W tem cały sekret.

Ale podczas, gdy się tak cieszyli, prawdziwa nauka pracowała usilnie w cichości nad zebraniem dostatecznego szeregu przeciwnych dowodów przez najpoważniejsze i niezbite doświadczenia.

Otóż doświadczenia te dowiodły, że tak pod względem anatomicznym, fizyologicznym, jak i ze stanowiska umysłowego, moralnego, religijnego, pomiędzy człowiekiem a małpą jest przepaść, „otchłań olbrzymia (*enormous gulf*) niezmierzona, nieskończona odległość (*a divergence immensurable, practically infinite*),” wedle wyrażenia pewnego darwinisty, zwyciężonego oczywistością, ¹⁾ że zatem powstanie człowieka wymagało osobnego wdania się twórczej potęgi.

Zresztą wszystkie te szaleństwa ducha ludzkiego, te zboczenia chorych umysłów nie tyle wzbudzają w nas żalu, skoro wspomnimy, ile to pięknych prac im zawdzięczamy. Któż przedtem pomyślał o tak dokładnem przestudyowaniu porównawczej anatomii ludzi i zwierząt? I któż przeczuwał całą głębokość otchłani, jaką Bóg rozciągnął między nimi pod względem budowy, tudzież tych organów, które najwięcej zdają się mieć pomiędzy sobą podobieństwa. Napozór jedno to i to samo. Przypatrzcie się bliżej, a poznacie całą różnicę.

¹⁾ Huxley, przytoczony przez ks. d'Argyll, *Primeval Man*, p. 50.

I tak: człowiek stoi prosto, nogi ma oparte mocno na ziemi, wzniesiona głowa patrzy w niebo. I małpa próbuje tego nieraz. Zdawałoby się, że choć mniej dobrze chodzi od człowieka, zawsze jednak chodzi. Zbadajcie stos pacierzowy, podstawę nóg, szwy głowy jednego i drugiej: są to dwie zupełnie różne od siebie istoty. Dowiedli tego: Quatrefages w swojej *Historji człowieka* i głębokiem *Sprawozdaniu o postępach antropologii*, ¹⁾ Duvernoy w tak dokładnych i ciekawych swych *Studyach nad gorylem*; ²⁾ Gratiolet ³⁾ i Alix ⁴⁾ w swoich *Anatomicznych opisach szympansa*; Bianconi w swoim *Studjum nad człowiekiem-malpą*; ⁵⁾ Godron w swej pięknej pracy *O rodzaju i rasach*. ⁶⁾ Jako potwierdzenie tego samego przytoczymy jeszcze wspa- niałe prace Owena nad *Porównaniem nogi człowieka i małpy*. ⁷⁾ Ta noga małpia to nawet nie noga, to ręka z wyraźnym wielkim palcem, jak przystoi istocie leżącej. A Alix'a uczony *Rozbiór ręki ludzkiej*, ⁸⁾ tego

¹⁾ A. de Quatrefages, *Rapport sur les progrès de l'anthropologie*, p. 244. Paris, 1867. — *Histoire de l'homme*, t. III, p. 31, 32. Paris, 1869.

²⁾ Duvernoy, *Archives du Muséum*, t. VIII, p. 173.

³⁾ *Annales des sciences naturelles*, t. VIII, p. 347.

⁴⁾ Ibid.

⁵⁾ Bianconi, *l'Uomo-scimmia*, p. 49. Bologna, 1864.

⁶⁾ Godron, *De l'Espèce et des Races*, t. II, p. 119, Paris, 1859.

⁷⁾ Owen, *On the Classification and geographical Distribution of the Mammalia*, 1859.

⁸⁾ Alix, *Recherches sur la disposition des lignes papillaires de la main et du pied*. (*Annales des sciences naturelles, Zoologie et Paléontologie*, t. VIII, p. 346. Paris, 1867.

kompasu, wedle słów Blainville'a, który świadczy o geometrze i który sam przez się wystarcza, ażeby między człowiekiem a zwierzęciem położyć nieprzebytą przestrzeń.

Przed temi szczegółowemi i dokładnemi pracami zmuszeni byli złożyć broń Huxley, Schaaffhausen i sam nawet Büchner.

Ale nic ich bardziej nie zbiło z tropu i nie zmusiło do milczenia, niż praca Bischofa, a szczególnie Aëby'ego, z zakresu kranilogii. Ostatni mianowicie, nader biegły anatom, postanowił przeprowadzić wyczerpujące porównanie czaszki ludzkiej i małpiej ¹⁾. Dzieło jego zawiera setki i tysiące pomiarów tak jednych, jak drugich. Badania te doprowadziły do wniosku, że czaszka człowieka i czaszka małpy tylko napozór są do siebie podobne; naukowo zaś niema pomiędzy nimi nic wspólnego. Co dziwne, podobieństwo niejaki jest tylko w początku, przy narodzeniu; znika w miarę rozwoju młodych istotek. Rozwój obu czaszek odbywa się stale *w kierunku odwrotnym*. A i w tej pierwszej chwili „przestrzeń między człowiekiem a małpą jest zawsze *bez porównania* większą niż ta, która oddziela małpę od reszty zwierząt.”

Czy to więc badamy ogólną budowę ciała, stos pacierzowy, miednicę, szwy głowy, czy rozpatrujemy rękę, nogę, czaszkę, — zawsze przychodzimy do tego wniosku, że ze stanowiska anatomii pomiędzy człowiekiem a małpą leży otchłań. Aëby wyraził to w obra-

¹⁾ Aëby, *Les Formes du crâne de l'homme et des singes*. Leipzig, 1867.

zowy sposób: „Nauczyliśmy się uważać typ ludzki jako samotną wyspę, nie połączoną niczem z sąsiednim lądem ssących” ¹⁾).

Darwin nie odpowiedział ani słówkiem na pierwsze te rozprawy.

A przecież ten zarzut, czyniony jego teorii, przedstawia jeszcze najmniej trudności ze wszystkich. Cóż znaczy otchłań anatomiczna wobec otchłani fizyologicznej? Pominieśmy tyle zasadniczych różnic, biorąc jedną tylko, ale która wystarcza w zupełności do wytworzenia niezgłębionej przepaści pomiędzy najdoskonalszą małpą i najniższym stojącym człowiekiem. Jest nią dar mowy. Już jest najmniej sześć tysięcy lat, od kiedy człowiek „wzniósł się ponad małpę” ²⁾). Dlaczegoż ta tak długo pozostaje w zacofaniu? Dlaczegoż owe wielkie małpy, „pełne inteligencji i uczucia,” od których pochodzeniem p. About tak się szczyci ³⁾), nie pomyślały o utworzeniu sobie mowy, któraby malowała ich uczucia i inteligencję? Wiecie co odpowiadają wyznawcy Darwina? „Jeżeli wielkie małpy nie przemówiły dotychczas, to z powodu, iż nie poczuły potrzeby do tego” ⁴⁾). Nie są więc podobne do nas, którzy potrzebujemy wypowiadać wszystkie uczucia nasze i którzy, prócz ogólnego języka, umiemy wytworzyć sobie każdy swój odrębny, odpowiedni duchowi, nas ożywiającemu.

Napróżno darwiniści odwołują się do geologii dla powetowania ciosów, jakie ponieśli przez fizyologię i ana-

¹⁾ Aëby, *Les Formes du crâne* etc., p. 91.

²⁾ Renan, *Vie de Jésus*, Introduction.

³⁾ About, *Progrès*, p. 17.

⁴⁾ Dally, *L'Ordre des primates et le transformisme*, p. 21.

tomie. Wyparci ze świata żyjących, chronią się w świat wykopalisk, w czasy przedhistoryczne. Przed kilku laty wielce ich poruszyło znalezienie w Neanderthalu czaszki zdającej się przez swą ściśniętą formę przypominać typ małpy. Ale naprzód odcisk gipsowy, zdjęty z jej wnętrza, wykazał zupełnie co innego ¹⁾. Przytem odkrycie mnóstwa kopalnych czaszek, szczególnie w Cro-Magnon (we Francyi) i w Strangenas (w Szwecyi), utwierdziło nas w przekonaniu, że w dawnych tych czasach rasa ludzka nie tylko nie zbliżała się do małp, ale przeciwnie, plemiona, zamieszkujące pierwotnie Europę, przewyższały o wiele niejedno z dziś istniejących; że tedy, wedle słów Aëby'ego, „darwiniści nie mogą na poparcie swej hipotezy przytoczyć ani jednego faktu ze znanej nam dotychczas historii ludzkości” ²⁾.

Już to braku odwagi nie możemy zarzucić darwinistom. Dają jej nadewszystko wybitny dowód, usiłując wykazać w zwierzętach wszystkie władze umysłowe, moralne i religijne, które dotychczas przywykliśmy uważać za wyłączne cechy człowieka. Wymagała tego całość ich systemu, dla niej musieli dowieść razem z p. About, iż owe „pełne inteligencji i uczucia duże małpy i ludzie mają władze *jednakowej natury*, co do stopnia tylko różne” ³⁾. Ale jakże przeprowadzić podobne założenie? Wychodzimy już tutaj z zakresu nauki wkraczając w dziedzinę kuglarstwa. To też kolejno

¹⁾ *Congrès international d'anthropologie*, tenu à Paris en 1867, p. 359. Paris, 1868.

²⁾ Aëby, *Conclusion*.

³⁾ About, *Progrès*, p. 17,

albo tak poniżają władze umysłu, że nie możemy się dziwić, znajdując je u zwierząt, ponieważ nawet maszyny je posiadają. „Wszystko, co w jakibądź sposób zaznacza związek pomiędzy rzeczami lub ich pojęciami — rozumuje. Jeżeli więc działacz mechaniczny przeprowadza tę czynność, będącą wynikiem rozumu, nie widzę dlaczego mielibyśmy odmawiać mu zdolności rozumowania” ¹⁾. Albo też stanowczo zaprzeczają człowiekowi władz, których u zwierząt odnaleźć nie mogą. „Wola zwierzęcia — twierdzi Haeckel — jak i wola człowieka nie jest nigdy wolą. Nauka odrzuca stanowczo to tak rozpowszechnione mniemanie o wolności naszej woli” ²⁾. Innym razem znowu tak wynoszą umysłowe władze zwierząt, że nie można już dopatrzeć się różnicy pomiędzy nimi a człowiekiem. Darwin zapytuje: „Skąd możemy wiedzieć, czy stary pies, mający dobrą pamięć i do pewnego stopnia żywą wyobraźnię, nie rozpamiętywa nigdy przyjemności, jakich doznawał na polowaniu?” ³⁾ Dopatruje się w nich poczucia obowiązku, zarodków moralności, a nawet cnot nabytych ⁴⁾. „Kiedy psy gończe nie gonią, a wyżyły nie stają do zwierzyny, uchybiają swemu obowiązkowi i postępują źle” ⁵⁾. Pies, według Vogta, obawia się rzeczy nadprzyrodzonych ⁶⁾.

¹⁾ Huxley, citation de Saint-Georges Mivart, *Revue contemporaine*, janvier 1872.

²⁾ *Revue catholique de Louvain*, année 1871.

³⁾ Darwin, *The Descent*.

⁴⁾ Id., *ibid.*, p. 42, 52, 76 etc.

⁵⁾ Id., *ibid.*, p. 32.

⁶⁾ Vogt, t. I, p. 294.

W innem znów miejscu uczony ten upewnia, że koń posiada w wysokim stopniu pierwiastki idei religijnej ¹⁾. Branbach utrzymuje, że pies ma dużo religii ²⁾. Darwin miał psa, który wierzył w duchy ³⁾.

Śmiech bierze na te teorye, których nie przyjmuje się na seryo; twórcy ich wówczas, unosząc się gniewem, oświadczają bez wahania, że ci, którzy nie podzielają ich poglądów, stoją pod względem umysłowym *daleko niżej od psów*. Warto przeczytać ten znakomity wywód. „Niektóre twierdzenia naszych przeciwników, — powiada Haeckel, — dowodzą zdumiewającego braku jasnych i wyraźnych myśli, jako też i braku związku w procesie myślenia, — stawiając tem samem swych twórców *niżej od psów, koni i słoni najzmysłniejszych*. *Zwierzęta te bowiem, po największej części nie są przygniecione tem mnóstwem zasad i przesądów, które krzywią od młodości proces myślenia u olbrzymiej większości ludzi; tak, że często u zwierząt znajdujemy sąd o rzeczach prostszy i sprawiedliwszy, aniżeli nawet u uczonych*” ⁴⁾.

Ponieważ więc „te zwierzęta po największej części nie są przygniecione takim mnóstwem przesądów i zasad,” nie zawadziłoby objaśnić nas, które to mianowicie zrzuciły z siebie owo upokarzające jarzmo, a które, niestety, jeszcze je znoszą. Ale znakomity uczony nie pomyślał o tem, aby wyświecić nam tę kwestyę; a gdy-

¹⁾ Vogt, t. I.

²⁾ W przytoczeniu Darwina, *The Descent*, t. I, p. 67.

³⁾ Id., *ibid.*

⁴⁾ Haeckel, *Gen. Morphologie*, t. II, p. 436, Berlin, 1866,

byśmy go spytali sami, uznałby nas może za zbyt ciekawych.

Prawda, że nie wszyscy darwiniści posuwają się do tego stopnia nierozsądku. Uchodzi to tylko w Berlinie. Ale wówczas oczywistość zmusza ich do wyznań, któremi zbijają sami siebie. Przyznają, że między człowiekiem inteligentnym a niższymi od niego zwierzętami jest olbrzymia przepaść, przestrzeń niezmierzona, nieskończona w istocie, — i oto, jak z nią sobie radzą. „Tak samo, jak umysł przenikliwy, widząc na ziemi uprawne rośliny i zwierzęta domowe, nie wiedząc nawet o istnieniu człowieka, wywnioskowałby z nich o obecności i działaniu jakiejś rozumnej wyższej od nich istoty, która kierowała ich udoskonaleniem; tak samo, widząc z jednej strony zwierzęta, z drugiej człowieka, musimy wniesć, że *istoty rozumne, wyższe od człowieka, musiały kierować działaniem przyczyn przyrodzonych*, ażeby sprowadzić to przejście, które inaczej istniećby nie mogło” ¹⁾.

Jeżeli tak jest, wnosi bardzo słusznie uczony redaktor *Revue catholique de Louvain*, ponieważ wiemy o Bogu, a nikt z nas, nawet i sam Wallace, nie wie o tych przypuszczanych istotach, które miały kierować postępem naszych kosmatych przodków i wytworzyć z nich ludzi, czyż nie daleko prostsza i naukowo uzasadnioną rzeczą będzie przypuścić, że *człowiek jest bezpośrednio tworem Boga?* To jasne jak słońce.

¹⁾ Wallace, *Contributions to the theory of natural selection; a series of essays*, London, 1870.

V.

Mamy już tedy naukowe dowody, że Bóg kilka razy wdawał się czynnie do spraw tego świata. Napróżd, stworzył materję; powtóre, uporządkował ją według zawczasu nakreślonego planu; potrzecie, stworzył królestwo roślin; po czwarte — zwierzęta, a po piąte — człowieka. Dowodzą tego nie tylko księgi święte, ale także astronomia, geologia, fizyologia, anatomia i fizyka.

Jeżeli zaś Bóg kilka razy brał czynny udział w stworzeniu i uporządkowaniu świata, może wdawać się i nadal w bieg jego wypadków.

Le Play robi tę uwagę niektórym uczonym, którzy odrzucają interwencyę, o której mówiliśmy, przyjmując ją w dwóch jedynie wypadkach. „Jeżeli, mówi, ma to być przeciwnem rozumowi, aby Bóg stworzył świat przez szereg następujących po sobie aktów, nie wiem w czem miałoby mu lepiej dogadzać przypuszczenie dwukrotnego tylko stworzenia — raz materji nieorganicznej, a drugi raz pierwszego żyjącego zarodka. Jeżeli nie ubliża to Bogu, że po tylu wiekach czysto mineralnych zjawisk, które zaznacza geologia, stworzył ten zaród, — to dlaczegoż ubliżałoby Mu miało kierowanie temi nieustannemi przemianami, których ślady odnajdujemy na ziemi i w świecie ciał niebieskich? Argumenty niedowiarków sprzeciwiają się nawet prawu harmonii i konsekwencyi, nieodłącznemu w umyśle naszym od Wszech Potęgi: rozum, dostrzegłszy jednorażowe wdanie się Boga, z konieczności wyprowadza z niego wniosek bezustannej Jego interwencyi. Ta to zasada tworzy główną podstawę wszystkich wyznań. Prawdę

więc mówimy, twierdząc, że badanie otaczającego nas świata skłania umysł ku religii raczej, aniżeli ku niedowiarstwu ¹⁾).

Ale nauka objaśnia wzajemny stosunek Boga i człowieka w inny jeszcze sposób, jeszcze godniejszy uwagi od tego prawa konsekwencji. Przypomnijmy sobie ten tak wychwalany w wieku XVIII system niewzruszonych praw natury, do tego stopnia nieugiętych, że nie dopuszczały się wmieszania żadnej wolnej woli pod groźbą zburzenia całego gmachu. Za pomocą jego filozofowie mieli nadzieję wykluczyć Boga od wszelkiego mieszania się do spraw tego świata. Otóż nauka tegożczesna rozproszyła to ciasne i fałszywe pojęcie o świecie i ona to jeszcze ukaże nam plan stworzenia w nowem świetle, które będzie zarazem światłem religii.

Zobaczmy, jakie porobiła odkrycia w rozległych dziedzinach stworzonego świata. W istocie odkryła nam trzy rzeczy, wykazujące jego prawdziwą piękność.

Pierwsze, że świat jest utworzony z sił, oddziaływających nieustannie jedne na drugie wedle praw ogólnych i niezmiennych.

Drugie, że siły te są podporządkowane jedne drugim, tak, iż silniejsze na każdym kroku znoszą, miarkując lub zawieszając czynność sił słabych.

Trzecie nakoniec, że duch krąży swobodnie wśród tego wielkiego zbiorowiska sił, rządzących materją. Miarkuje, zawiesza lub znosi jedne za pomocą drugich i staje wobec nich wszystkich jako pan i władca.

¹⁾ Le Play, *La Réforme sociale*, t. I, p. 53.

Oto jest ogół praw natury, a ostatnie szczególnie jest nacechowane pięknem. Bo wyobraźmy sobie, że duch jest zależny od praw obcych; cóżby to było? Obezwładnienie. Ale gdyby mógł je dowolnie przeistaczać, to znów byłby nieporządek. Tymczasem są one niewzruszone, my zaś jesteśmy wolni, a swoboda ta nasza powiększa się w miarę wzrostu naszego ducha. To właśnie jest cudownem.

Prawem naprzykład jest przyciąganie do środka ziemi wszystkich ciał, które się na niej znajdują. Nie przeszkadza nam ono wszakże podrzucić w górę kamienia. A kiedy on wznosi się, ulegając nadanemu sobie rozpędowi, przyciąganie do środka ziemi nie jest wcale usunięte, tylko poprostu chwilowo zwalczane przez przeciwną siłę. Balon, obciążony załogą z dzieściu osób i prócz tego balastem z kamieni, powinienby leżeć na ziemi. Tymczasem wznosi się w górę, i to do znacznych wysokości. Dlaczegoż to? Oto z powodu, że człowiek użył tu swej wolnej woli i rozumu, i siłę przyciągania przeciwstawił inną, potężniejszą od niej, która unosi balon w górne przestwory. A kiedy my dzień po dniu i sto razy na dzień tak działamy, dlaczegoż Bóg nie miałby używać swojej mądrości i wszechmocy? Oto dziecko umiera. Jest chore, a lekarz nie może rozpoznać jego cierpienia. Matka modli się, składa ręce dziecka do modlitwy. Wieczorem przychodzi lekarz. Niedostrzeżony przez niego wpierw objaw zwraca jego uwagę. Zaleca lekarstwo; dziecko powraca do zdrowia. Czy był tu jaki przewrót praw natury? Bynajmniej. A czy nie mogło tu być wdania się Boga? Dlaczegożby nie?

Inny przykład. Jestem muzykiem, poetą, mówcą. Przemawiam, śpiewam. Czyliż niezmiennie prawa, rządzące słowami i muzyką, krępują wyraz moich uczuć i myśli? Moich, tak jest, bo jestem nędznym twórcą, nędznym artystą. Ale spójrzcie na mistrza; jego te same prawa podtrzymują, unoszą. Porusza się w pośrodku nich swobodny i natchniony. Wyciska łzy, wzbudza dreszcz trwogi, wprawia duszę w zachwyt, i jak słusznie ktoś powiedział o słowiku, potrzebuje tylko zmienić ton, aby radosne pienie przemieniło się w hymn boleści. Słaby to obraz Boga! Znając wszystkie siły stworzenia, gra On na nich, jak na strunach olbrzymiego instrumentu, z tem mistrzowstwem twórcy narzędzia, którego nikt nie zdoła naśladować, i wedle swojej woli zsyła nam nadzieję, ból lub radość, aby nas zachęcić do dobrego, albo też zmieniając nagle ton, gdy Go o to prosimy, kładzie kres cierpieniu i darzy dusze nasze pokojem i szczęściem.

A wszystko to bez naruszenia żadnego prawa natury, działając tylko jednemi na drugie, „zmieniając ton,” jak my sami czynimy.

Oto jest plan świata, odkryty przez nas za pomocą nauki, i szlachetna rola, dla ducha w nim wyznaczona. A im duch jest potężniejszym, im lepiej potrafi miarować, zawieszać, ustosunkowywać ogólne prawa, tem bardziej wyzwala się z zależności od nich i wyzwala nas razem z sobą. Człowiek dziki ociera się codziennie o te potężne siły, za pomocą których stworzyliśmy cuda, nie przeczuwając tego zupełnie. A i my sami, ileż to czasu patrzaliśmy bezmyślnie na wrzącą wodę, dopóki przenikliwy wzrok geniuszu nie odkrył w niej siły i nie przyswoił sobie? To samo z piorunochronami,

z telefonami i z tylu innemi siłami przyrody, których my ślepi nie potrafiliśmy się dopatrzeć. Teraz staracie się kierować tym balonem, o którym wyżej wspomniałem, usiłujecie użyć go jako środka komunikacyjnego. I słusznie. Nie siły tu brakuje; olbrzymi magazyn przyrody ma jej podostatkiem. Brak wam tylko geniuszu, któryby ją potrafił znaleźć. I znajdziecie w końcu tę siłę i wiele innych, a ponieważ żaden wynalazek nie ginie, dzięki drukowi, zbliżają się czasy, w których ogólne prawa coraz mniej będą krępowały ludzkość. Wówczas sprawdzi się orzeczenie Bacon'a, że nieco nauki oddala od religii, a wiele nauki zwraca ku niej. W istocie, człowiek, uwolniwszy się za pomocą geniuszu od mnóstwa praw, rządzących światem, nie będzie się już dziwił, że Bóg nie podlegał nigdy żadnemu z nich; znosząc się ze wszelką łatwością, pomimo oddalenia ze swymi ukochanymi, zrozumie, że Bóg też to czyni; że prawu przeciwstawia prawo, siłę — siłę; jak i my sami, a potężniejszy od nas i mędrszy, posługuje się wszystkimi temi siłami jako narzędziem swoim.

Prawda, że czasem w rzadkich wypadkach uderza nas inna cecha w Bożem działaniu. Cecha ta dla nas, nie dla Niego inna, zwraca na się naszą uwagę. Prawa natury, niewzruszone zazwyczaj i co do wszystkiego, czasem pod pewnym względem bywają zmieniane istotnie. Ale i tu przedstawia się pytanie: dlaczego mielibyśmy odmawiać Bogu władzy, której sami używamy codziennie? Zaszczepiacie szlachetną płonkę w drzewo dzikie, nie rodzące owocu, i oto ku swemu własnemu zdumieniu pokrywa się ono nim pierwszy raz w życiu. Ten kwiat prosty i biały z natury, ta róża, którą Bóg stworzył różową, przybierają najrozmaitsze barwy i w

nie. A cóż rzec o zwierzętach, zwróconych z przyrodzonej swej drogi? o tych gatunkach nowych, niesłychanych, cudownych, z których tak jesteście dumni! Ale nadewszystko cóż rzec o ważniejszych nierównie cudach chemii, fizyki, biologii? Komuż przyszłoby to na myśl, aby człowiek wynalazł sposób usuwania bólu, odejmowania całych członków, rozcinania najstraszniejszych wrzodów tak, aby chory nie poczuł nawet tego? Któżby uwierzył, aby człowiekowi osłabionemu, wycieńczonemu przez chorobę, cierpiącemu na brak krwi, można było wlać krew obcą, krew człowieka zdrowego i przywrócić go przez to do życia? „Są to małe zapewne cuda, — mówi wyborny krytyk, — ale, uwzględnivszy tylko stosunek, czyż wielkie robią się w inny sposób? Jak jedne tak i drugie wychodzą z zakresu pozornego porządku rzeczy nadprzyrodzonych; ale czyż narusza to istotny porządek? Czyż łańcuch przyczyn i skutków jest przerwany przez to, że nasi ogrodnicy szczepią, krzyżują, wytwarzają nowe odmiany, lub zdumiewająco ulepsząją te, które już istnieją? Wcale nie. Dlaczegoż więc nie mielibyśmy uwierzyć, że w wyższym zakresie, w powszechnym biegu rzeczy mogą się wydarzyć innego rodzaju nadzwyczajności, nagłe uzdrowienia, zdumiewające przemiany, niezwykle objawy woli lub jasnowidzenia, bez obalenia zwyczajnego porządku? Wszystko zależy od rodzaju potęgi, jaką przypisujemy Sprężynie tych faktów, Temu, który, kierując wszystkim, tak samo jest mocen utworzyć wyjątek, jak i prawo” ¹⁾.

¹⁾ Vitet, *La Science et la Foi*,

Nie pisaliżescie sami: „Któż wie, czy nauka, mistrzyni życia, nie zmieni jego warunków, czy wszechwiedna biologia nie da nam nowego życia?” ¹⁾ To znaczy: Któż wie, czy nauka nie sprawi cudu?

Dozwalacie więc czynić cuda nauce; odmawiacie tego Bogu!

VI.

Jest więc pewnem, że Bóg może się wdawać w sprawy ludzkie. Może, ponieważ czynił to. Czynił to kilka czy kilkanaście razy, może więc czynić to zawsze. Może to uskuteczniać bez naruszania praw natury, działając tylko jednemi na drugie, jak i my czynimy. Może również w tym celu naruszać pozornie owe prawa, jak czynią znowu ludzie, chcąc wywołać zjawisko niezwyklesze, nie piękniejsze od zwykłych zjawisk, ale które, jako rzadkie, zwraca na siebie wzrok i uwagę; do tegośmy więc już doszli, a sądząc z przeszłości o przyszłości, zbliżamy się do czasu, w którym nauka rzuci nowe i rozstrzygające światło na kwestyę stosunku Boga z człowiekiem.

Zauważcie, żem się tylko powoływał na nauki przyrodnicze; a tyleż innych, równie prawdziwych nauk składa dzisiaj jednobrzmiące świadectwa!

Człowiek został stworzonym, przemówił. Skądże nauczył się mówić? Czy sam przez się? Tego nie

¹⁾ Renan, *Revue des Deux Mondes*, année, 1861.

przypuszczał ani Platon w starożytności, a Rousseau w nowszych czasach, i zarówno Humboldt w imię lingwistyki, jak i Bonald w imię filozofii wykazują, że była tutaj ręka Boża.

Człowiek został stworzonym, mówi; zostaje ojcem. Skądże wzięła się dusza jego dziecka? Skąd biorą się dusze tylu dzieci, przychodzących na świat codzień? Czy wyprowadzacie je z materii? Może wywodzicie z drugich dusz? Albo może wyobrażacie sobie, że były stworzone wszystkie jednocześnie, ale pozostawały gdzieś na składzie, bez myśli, bez uczuć, bez pamięci? I tu trzeba przyjąć bezpośrednie i ciągłe działanie Boga.

Człowiek umiera. Jeśli nie jesteście pogrążeni w przepaściach materjalizmu, wierzycie, że będzie osądzony i wedle swych zasług wynagrodzony lub ukarany. Ale i tu interwencja Boga jest potrzebną.

A idąc dalej, pomiędzy tą kolebką, potrzebującą bądź co bądź Boskiego działania, a grobem, gdzie tak z Platonem jak i z Chrystusem trzeba zgodzić się także na interwencję Boga, człowiek żyje. Ale czemuż jest życie? Czyż nie bezustannem tworzeniem? Czyż nie wpadlibyśmy w każdej chwili napowrót do nicości, z której wyszliśmy, jeśliby ręka, która nas z niej wywiodła, choć na chwilę przestała nas podtrzymywać? Czytajcie Bossueta, Leibnitza, Malebranche'a, Fénelona, Kartezjusza, a dowiecie się, czy świat mógłby istnieć przez godzinę bez ciągłego Boskiego kierownictwa.

Nie robię nacisku; pozostaję w granicach nauk ścisłych i filozofii ludzkiej. A cóż byłoby, gdybym zaj-

rzał w świat historyi? Wykazałem odrębność człowieka od istot niższych, względem których jest jakby „samotna wyspa, zupełnie oddzielona od sąsiedniego ładu ssących.” Gdybym chciał, czyżbym nie mógł przeprowadzić tego samego twierdzenia względem Jezusa Chrystusa w porównaniu z innymi ludźmi? Jak roślina jest cudem w porównaniu z kamieniem; jak zwierzę w porównaniu z rośliną jest także cudem; jak człowiek na koniec jest cudem jeszcze większym w porównaniu ze zwierzęciem; tak samo czyżby nie można udowodnić, że Chrystus, w porównaniu z całą ludzkością, jest cudem? Życie Jego i doktryna nie przyszły nam drogą dedukcyjną. Jest tu ogromna wyższość. Jego nauka, życie, cnoty wznoszą się wysoko ponad owe czasy i ponad wszystkie czasy, ponad Jego naród i ponad wszystkie narody; nikt ich nigdy nie prześcignął; co mówię! nikt im nawet nie dorównał. Literalnie Chrystus jest jak samotna wyspa, zupełnie oddzielona od sąsiedniego ładu ludzkości.

Ale nie będziemy kładli nacisku na ten ważny i uroczysty fakt w historyi świata, na to odrodzenie ludzkości tak nadprzyrodzone, jak niem był i jej początek. Poświęcimy temu niebawem tom cały. Tymczasem zadowolimy się faktami, które nauka potwierdziła, wszyscy prawdziwi uczeni przyjęli, a które rzucają jasne światło na wielkie zagadnienie religii, na święty związek Boga z człowiekiem.

Oto więc ostatnie słowo, stanowczy wynik wszystkich naszych cudownych odkryć:

Bóg coraz większy;

Człowiek zawsze, niestety, słaby i ułomny;

Pomiędzy jednym zaś i drugim działanie Boga, uznane za pewne przez naukę, i które, jak mówi Le Play, koniecznie musimy uznać za stałe też, nieustające.

A stałe działanie, stała interwencja Boga, to właśnie religia, którą określiliśmy jako spotkanie Boga i człowieka, ich uścisk wzajemny.

RÓZDZIAŁ DZIEWIĄTY.

Zarzuty i błędne rozumowania niewiary (*ciąg dalszy*). Czy prawdą jest, że wielkie narody tegoczesne porzucają religię, a porzuciwszy ją, stają się większymi i szczęśliwszymi?

Niema więc w naukach ścisłych nic takiego, coby sprzeciwiało się religii; ale jakże rzecz się ma z historią? Czyż nie widzimy, jak wielkie narody coraz bardziej zaniedbują religię w naszych czasach? A nawet, czy nie są one tem większe, im zupełniej otrząsają się z jej jarzma? Szczególnie z Francją, a nawet z całą Europą, czyż nie jest tak, że upadek wiary idzie w parze z najbujniejszym rozwojem umysłu, i że cywilizacya najszybciej wzrasta tam, gdzie nie jest krępowana i przygniatana jarzmem pojęć i praktyk religijnych?

Mówi tak wiele osób, i zarzut ten, chociaż zasadzający się na błędnem zrozumieniu rzeczy, wywiera wpływ wielki.

„Prawda, — przyznaje Le Play, — że pewne narody, wysoko stojące pod względem materyalnym i potężne, a szczególnie Francya od początku XVIII stulecia, zaniedbały religię; ale osłabnięcie najpotrzebniejszych czynników moralnych i nieporządku, zaszło w społeczeństwie, nie omieszkały ich ostrzedz, że schodzą z dróg cywilizacyi. Ludy zaś, uznane dziś za najwyżej stojące, nie przechodzą przez to wszystko i przewyższają inne wiarą silną i niewzruszoną” ¹⁾).

Spróbujmy objaśnić gruntownie te dwa podstawowe założenia, dodając w ten sposób nowy, bardziej jeszcze uderzający dowód do tego wszystkiego, cośmy już przytoczyli na poparcie naszego twierdzenia, że społeczeństwa nie mogą się obyć bez religii. Przez wzgląd na tych, którzy nie wierzą, nie trzeba im pozostawiać wątpliwości, ani pozoru do niej.

I.

Zgodzicie się zapewne ze mną, że Anglicy i Amerykanie północni są to dwa wielkie narody; oba wolne, potężne i handlowe, pokrywają Ocean swemi flagami, a kulę ziemską koloniami. Jeden z niewielkiej wyspy rozszerzył swe panowanie na obszar większy od państw Aleksandra i Cezara i na sto siedemdziesiąt cztery miliony poddanych; drugi, młody jeszcze i młodzieńczo wyglądający, pozwala już teraz wnioskować o tem, czem bę-

¹⁾ Le Play, *La Réforme sociale*, édit. in 12, t. I, p. 74.

dzie w wieku dojrzałym. Oba silne i swobodne, bogate i mężne, śmiałe i roztropne — jednym słowem, gdyby nie Francya, największe narody naszych czasów.

Jakiż jest charakter tych dwóch narodów? Nikt mi nie zaprzeczy, że oba są głęboko religijne.

Chwilowo Anglia spróbowała niewiary, ale niezwłocznie zdrowy rozsądek wskazał jej, że religia jest podstawą społeczeństw, zapewnia im bezpieczeństwo i wielkość, — zabrała więc znowu swoje dawne miejsce na czele ludów, których chluba jest religijność. Tylko, niestety, ²zudzieliła, przedtem jadu niewiary innym narodom, na podobieństwo tych chorych, którzy zdrowieją, zaraziwszy innych swem cierpieniem. Posłuchajmy tu Le Play'a: „Wszyscy oświeceni ludzie w Anglii widzą w religii chrześcijańskiej zasadę nowożytnej cywilizacji, źródło pomyślności powszechnej i podstawę wolności. Żaden autor, dbający o opinię współobywateli, nie wyraża przeciwnego zdania; patrzano by na niego jak na burzyciela społeczeństwa. Wszyscy, którzyby ośmielili się wystąpić w tej materii, byliby wykluczeni, za wspólną zgodą rodzin, z każdego uczciwego towarzystwa.

„Mężowie stanu, uczeni, autorowie, artyści, którzy zajmują wysokie stanowiska w rządzie, w armii, w administracyi, w rolnictwie i przemyśle, jednym słowem wszyscy, którzy mają przeważny głos w opinii publicznej, skwapliwie głoszą te zasady przy każdej sposobności.

„Każdy, postawiony wysoko w społeczeństwie prawem dziedzictwa lub za pomocą własnej zasługi, wie, że nadaremnieby usiłował zapewnić dalszym pokoleniom swojej rodziny chęć do pracy, dobre obyczaje i wynikający z tego dobrobyt, jeżeli nie przekaże swym dzieciom w dalszym ciągu dobrych tradycji, jakie dostał od

przodków, a których podstawą są zasady religii. Wszyscy tam pojmują, że przy najlepszem nawet usposobieniu niższych warstw narodu, porządek społeczny tylko w takim razie jest zapewniony, jeżeli klasy rządzące czerpią pobudki postępowania i kierunek wykonywanej przez się władzy w silnych przekonaniach religijnych” ¹⁾.

Przekonania te, tak ugruntowane w umysłach, harmonizują zresztą najzupełniej z cechującym naród angielski zamiłowaniem swobody, czynności umysłowej i fizycznej. Nie uważa on religii za nieprzyjaciółkę nauki ani wolności, i to daje jej ostatecznie niezachwianą podstawę w tym kraju. Posłuchajmy dalej La Play’a:

„Anglicy, uważając stale religię za podstawę swej narodowości, cenią też wysoko korzyści, wynikające ze znajomości prawd naukowych i z wolnego roztrząsania zasad. Rozumieją oni, że siła społeczeństwa nie zależy od jednej tylko mocy wiary, bo narody niższe o wiele od innych były nieraz religijniejszymi. Siłę tą oceniają przede wszystkim według ilości swobody, którą wierzenia narodu znoszą bez osłabnięcia. Wykonywanie praktyk religijnych, łącznie z nieustannem kształceniem umysłu, przyzwyczajają do odróżniania rzeczy, mogących być z korzyścią, roztrząsanemi, od tych, których nie należy poddawać wątpliwości. Umysł, przyzwyczajając się w ten sposób do spoglądania w życie przyszłe bez poddawania roztrząsaniu prawd, które nam objawiła Przedwieczna Mądrość, rozwija się i potężnieje.

„Taki widok przedstawia nam od dwóch wieków ten potężny trzeci stan angielski. Czerpiąc natchnienia za-

¹⁾ Le Play, *La Réforme sociale*, édit. in 12, t. I, p. 74.

równy z Pisma Świętego, jak i z nauki, z jednakową pilnością uczęszcza on do swych świątyń i pracowni i, wykonywając z przekonania prawa religii i moralności, wytrwale swą pracą zmienia powierzchowność kuli ziemskiej. Podczas kiedy Francya, osłabiona przez niewiarę, marnuje siły w krwawych rozterkach i pracą pokojową nie sięga prawie poza swe granice z wieku XVII, Anglia ogarnia cały świat swemi fabrykami, przedsiębiorstwami kupców swych i kolonistów” ¹⁾.

Proszę tu czytelnika o zwrócenie uwagi na to, że piękne te słowa są wynikiem najdokładniejszych i najbezsronniejszych badań. Droga doświadczenia i sumiennej obserwacji powracamy do dawnego punktu zapatrywania się wielkich umysłów, do tego, co orzekli Platon, Arystoteles, Cyceron i Plutarch, cała starożytność grecka i rzymska; do tego, co wyznawał naród żydowski, czego naucza chrześcijaństwo. Religia podnosi narody; Bóg stwarza ludy. Najreligijniejsze z nich będą zawsze najwolniejszymi, najczystszymi, — jednym słowem: największymi. Jeśli chcemy więcej dowodów, zwróćmy oczy na Amerykę.

II.

Tutaj przykład jest jeszcze więcej uderzający, właśnie dlatego, że naród to młodszy, mniej osiadły, rozrzucony na ogromnej przestrzeni, bez silnej politycznej spójni, — że to nie stara monarchia, ale młoda rzecz-

¹⁾ Le Play, *La Réforme sociale*, édit. in 12, t. I, p. 74.

pospolita. Powiedziano, iż Anglia jest dziełem mnichów, a Francya biskupów; Amerykę stworzyli wyznawcy. Dała jej początek religia, ale religia prześladowana i szukająca schronienia.

Pierwszym też swoim aktem oddała ona religię pod opiekę wolności; nie tej wolności, która gardzi wszelką religią, ale tej szczytnej wolności, która szanuje wszelkie sumienia. A umieściwszy swą starą religię pod osłoną wolności, oddała tem samem młodą swoją wolność w opiekę religii. Z tego to podwójnego świętego przykładu powstała Ameryka.

Istotnie religia nie tylko była przyczyną powstania narodu amerykańskiego, ale jest nadto warunkiem jego bytu, umożliwiając mu wolność. „Podczas gdy prawo pozwala mu czynić wszystko, — powiada Tocqueville, — religia zabrania mu na wszystko się ważyć i wszystkiego przedsiębrać.” ¹⁾

I to właśnie utrzymuje życie społeczeństwa, bo, jak słusznie dodaje ten sam autor: „jakżeby społeczeństwo mogło istnieć, gdyby więzy moralne nie ścieśniały go w miarę rozluźniania się więzów politycznych? Cóż bo poradzić z narodem, który nie jest nikomu poddany, jeżeli nie jest poddany Bogu?” ²⁾

To też, jak tylko stąpimy na ląd amerykański, czujemy, że mamy przed sobą naród wolny i wierzący, i wolny dlatego tylko, dlatego jedynie oswobodzony od tysiąca więzów, które dolegają nam w Europie, że jest

¹⁾ De Tocqueville, *De la Démocratie en Amérique*, t. II, p. 217.

²⁾ Tamże, t. II, p. 221.

wierzącym. Powietrze, którem dusza tam oddycha, składa się zarazem z wolności i wiary; i tak samo jakbyśmy się zatruli natychmiast, gdybyśmy powietrze potrzebne do życia pozbawili tlenu,—tak samo i ze wszelką pewnością wolność byłaby zgubną dla Ameryki, gdyby jej odjęto religię. Wszędzie też napotykamy religię, w prywatnych rozmowach i w papierach urzędowych, w rodzinach i w Państwie; nikt jej nigdy nie podaje w wątpliwość, nie zazdrości jej wpływu, ani stara się jej krępować; owszem, wszyscy wzywają jej, jako najlepszej części składowej powietrza, którem oddychają, niezbędnego warunku życia. Tocqueville, który wiele spostrzeżeń czynił nad Ameryką i przebiegał ją we wszystkich kierunkach, pozostawił nam w tym względzie dane bardzo pouczające. Mamy tam żywcem uchwycone zdania i uczucia ludzi najznakomitszych i zupełnie nieznanych, urzędników, adwokatów, kupców, żołnierzy, ojców rodzin, nawet młodzieńców: wszystkie brzmią jednoznacznie, oświadczając, że niemożliwe jest społeczeństwo bez religii.

Nic też dziwnego, że te myśli, te silne przekonania przebijają także w dokumentach urzędowych. Od Washingtona, który podpisując konstytucję amerykańską uświęcał w niej jednocześnie podwójną zasadę wolnej religii i wolności wierzącej; od Franklina, który wnosił, aby posiedzenia kongresu były otwierane modlitwą, czego przestrzegano odtąd zawsze,—aż do Abrahama Lincolna i Williama Johnsona, którzy wśród strasznego wstrząśnienia, doznanego przez Stany Zjednoczone, dali słyszeć zadziwionej Europie wyrazy tak dla niej nowe, bo głęboko chrześcijańskie; — wszyscy prawodawcy i urzędnicy mówią tak samo; i rzecz jasna, że te wyznania wiary, te

głosy ogółu zwrócone do Boga, błagające przebaczenia, wzywające pomocy, dziękczynne, nie brzmiałyby bezustanku w ustach przywódców i przedstawicieli narodu, gdyby nie pochodziły z duszy ludu głęboko wierzącego i nie znajdowały w niej zawsze oddźwięku.

Życie chrześcijańskie tych ludów ma jeszcze jedną cechę, wybitnie charakteryzującą jawną ich i silną wiarę: święcenie niedzieli ¹⁾. Oba one, tak czynne i ruchliwe, dla których czas to pieniądz, zatrzymują się posłusznie i ze czcią, skoro dzwony ogłaszają dzień Pański. Nie słysząc ani huku młotów, ani turkotu kół; niema pocztę; ledwie kilka pozostaje pociągów. Dystylarnie, bilardy, kawiarnie—wszystko zamknięte. Jakaż tajemnicza siła powstrzymuje tych ludzi, trawionych przez sześć dni gorączką pracy? Czyż nie prawda, że musi w tem być jakaś wielka myśl, wyższa nad wszystkie ziemskie uczucia i interesy? Tak, jest myśl, że niemożliwym bez wiary byłoby społeczeństwo, że jeżeli coś może się bez niej obejść, to chyba tylko despotyzm, ale nigdy swoboda. Jakażby to była radość dla niewierzącego, gdyby taki lud stał niżej od wszystkich innych! Ale nie: jest on najswobodniejszym, najbardziej przemysłowym, najczynniejszym, najpotężniejszym. Zaiste dowód to, że wielkie narody nie są na drodze do odstąpienia wiary i że nie jest to warunkiem ich wielkości.

Jeśli by kto zarzucił mnie tutaj, że Ameryka jak również i Anglia, są oddzielone od Kościoła przez schizmę

¹⁾ Patrz godne uwagi artykuły, ogłoszone w r. 1869 w *Correspondant*, „O stanie chrześcijaństwa w Ameryce.“ Pod osłoną bezimienności ukrywa się jeden z najznakomitszych umysłów tegoczesnych.

i herezyę, — to oprócz tego, że mógłbym spytać, kto uczynił Anglię, a zatem i córkę jej Amerykę, kto dał Anglii wszystkie instytucye, którym ona zawdzięcza swój spokój i wolność: sąd przysięgłych, parlament, uniwersytety, swobody jej narodowe, co wszystko powstało przed schizmą i przebyło ją bez zmiany, — zauważę tylko, że nie zajmuję się tu porównywaniem narodów katolickich z protestanckimi. Przyjdzie czas i na tę ważną kwestyę; nie mam zamiaru jej pomijać. Teraz chodzi nam tylko o to, czy wielkie narody są wierzące lub nie, i czy niewiara czy wiara przyczynia się do ich wielkości. Otóż Anglia i Ameryka (a mógłbym tu dodać i Niemcy—delikatność każe mi o nich zamilczeć),— Anglia i Ameryka są to dwa bardzo wielkie narody i oba bardzo religijne, co wystarcza mojemu założeniu. Nie zatrzymam się dłużej nad tem. Śpieszno mi przejść do Francyi, do tego nadzwyczajnego narodu, który Bóg na to, zdaje się, stworzył, aby dawać przezeń światu nauki; a nigdy chyba nie dał więcej bijącej w oczy i skuteczniejszej, niż dowiódłszy naprzód przez wielkość Francyi, a dziś przez jej nieszczęścia, jak najhojniej nawet udarowane narody potrzebują Boga i religii. Pozwólcie mi zająć się szczegółami i wybaczcie, jeżeli się nad nimi przydłużej zatrzymam: będę mówił o mojej ojczyźnie.

III.

Długaby to była i bolesna historia, gdybyśmy zechcieli opowiadać, jak uczucia religijne były u nas ranione i przytłumiane. Przez ciąg trzech stuleci zbu-

rzono gmach religii we Francyi. Przez trzy stulecia, a kosztem jakich wysiłków! Dusza we Francyi ze wszystkich naraz stron była napastowana. Nie oszczędzono niczego, aby usunąć jej chrzest z pamięci; a pomimo to osiągnięto ten cel za ledwie w połowie. „Mam umysł niedowierzający bardzo, a duszę nadzwyczaj religijną,” mówił jeden młodzieniec w naszym stuleciu. Czyż to nie obraz dzisiejszej Francyi? Ale następne jego słowa niosą nam pociechę: „Ponieważ umysł z natury swojej poddaje się duszy, jest prawdopodobnem, iż kiedyś będę chrześcijaninem.” Nim to nastąpi, czyż Francya wzrastała w miarę tego, jak umysł jej tracił wiarę? Któż ośmieli się utrzymywać coś podobnego? Owszem, któż nie czuje, jak głęboko dziś jest podkopane społeczeństwo francuskie, i kto nie widzi, że dlatego jest tak podkopane, iż brak mu Boga? Podobnem jest ono do lokomotywy, pędzącej przed siebie bez hamulca i kierunku, zawsze jeszcze wspaniale pięknej, ale pięknnością wzbudzającą trwogę, bo ta to właśnie piękność unosi ją do otchłani.

„Żaden naród nie istniał nigdy bez podstawy religii,” mówi Rousseau. Ale gdyby kiedy istniał taki naród, jedyny w swoim rodzaju, któryby mógł żyć uczciwie, łamiąc to pierwotne przymierze, źródło swojej siły,—to nigdy Francya. Dlaczego? Sam tego nie wiem. Może być, iż Bóg chciał w niej mieć doskonałe dzieło, a bez promienia wyższego to rzecz niemożliwa. Może dlatego, iż stworzył ją dla jakiegoś wielkiego posłannictwa moralnego i religijnego, i ona go nie może spełnić inaczej, tylko w ścisłym z Nim zjednoczeniu. Bądź co bądź, choć to jest tajemnicą, jest niemniej faktem. I chętniebym powtórzył o Francyi to, co wy-

żej mówiłem o kobiecie: „Nie psujcie się, rzeczy najlepsze, bo staniecie się najgorszem!”

Poczucie tego istniało w chwili powstania Francji, poczucie niejasne, ale niemniej głębokie. Żaden lud nie narodził się w podobny sposób; i okoliczności, towarzyszące temu wystąpieniu na widownię, jedynemu w rocznikach świata, wzbudziły w świadkach jej przeczucie, że przygotowuje się coś wielkiego i wzniosłego. Świat był w zawieszeniu i rozprzężeniu. Z jednej strony stare rasy rzymskie upadały przez zepsucie, i śmierć ich była nieuchronną, ponieważ gangrena zagnieździła się we wszystkich ich ranach. Z drugiej strony nadchodziły młode plemiona barbarzyńskie, gorące, dzikie, o umyśle pograżonym w błędach, o sercu hardem i pijanem pychą, o rękach zakrwawionych. Przerażenie ogarnęło wszystkie dusze. A pomiędzy tymi zwyrodniałymi przedstawicielami świata rzymskiego i dzikimi świata barbarzyńców Kościół szukał smutnie, nie ktoby mu podał pomoc, ale z jakich żywiołów mógłby znowu zacząć odbudowywać.

W tej to chwili ukazuje się Francya. Rodzi się na polu bitwy, jak przystało wojownikowi; z aktu wiary, z wejrzenia ku niebu, jak przystało dla apostoła; schyla pokornie głowę pod ręką bezbronnego starca, jakby na znak, że powołaniem jej będzie rozpościeranie panowania prawa zamiast brutalnej siły; jednocześnie ta wiara chrześcijańska zstępuje na nią za pośrednictwem kobiety, małżonki, matki i dostaje się ludowi przez duszę jego naczelnika i króla. Złączyły się tu najsympatyczniejsze cechy. Świat był olśniony tem wdzięcznem i dumnem zjawiskiem. A chociaż odtąd Francya, jak człowiek w różnych epokach swojego wieku, zmieniała twarz

i postać, żadna nie przewyższyła, nie dorównała może pierwszej jej piękności.

A jak stosowną dla wielkiego narodu z wielkiem posłannictwem była ta ziemia, na której osiedlił się Klódoweusz ze swoim ludem! Najuczeńszy geograf starożytności, Grek, Strabon, był przejęty podziwem na jej widok i powiedział, że ujrzawszy ją, trzeba wierzyć w opatrność bogów, w świetne przeznaczenie ludu, który ją obierze za siedlisko. W istocie, położenie Francyi w środku Europy, w pobliżu wszystkich wielkich narodów, a jednak odosobnione i zabezpieczone od nich wodami i górami; z drugiej strony otwarte na Atlantyk i morze Śródziemne i połączone przez to z całym światem, jest wyjątkowe i jakby umyślnie dla niej przez Boga wybrane. Podziw nasz i wdzięczność wzmagają się jeszcze, gdy po rozpatrzeniu tych zewnętrznych warunków budowy naszego kraju zwrócimy oczy na ukształtowanie jego wewnętrzne, na przerzynające go w różnych kierunkach góry, dostatecznie wysokie dla uregulowania systemu wód, nie tyle przecież, aby przeszkadzały komunikacyi mieszkańców; na doliny jego urodzajne, wydające kwiaty i owoce rozmaitych klimatów; wzgórza okryte bujną szatą roślinności, wspaniałe rzeki; na tę tak piękną i harmonijną przyrodę. Im więcej przypatrujemy się tej niepospolitej całości, tem bardziej utwierdzamy się w przekonaniu, że Bóg stworzył Francję tak piękną dla szczególnego jakiegoś celu.

Ale przygotowując tak starannie ciało Francyi, że ośmielę się tak powiedzieć, widzialny gmach, jaśniejący wyższą pięknnością, z większem jeszcze staraniem i powolniej tworzył Bóg jej duszę. Jako wielki mistrz, wziął do tego najpiękniejsze materyały, łączył je powoli

i rozkazał czasowi, temu wielkiemu warunkowi doskonałości, aby je doprowadził do zupełnej pomiędzy sobą doskonałości. Zobaczcie pojedyncze rysy, cechujące Francję, i wnioskujcie z nich o jej duszy.

Naprzód kropla krwi gallijskiej. Wesołość, żywłość, złośliwość, lekkość, szyderstwo, tak dobrze nazywane gallijską solą, skowronkiem gallijskim. Sól — rzecz ostra, gryząca. Skowronek, ptaszek żwawy, wesoły, wzlatujący ze śpiewem w górę.

To jest żywioł pierwotny, niezatarty. Cała Francja jest zaprawiona tą gallijską solą w odcieniach najróżnorodniejszych. Jest sól pikardzka i normandzka, sól paryska i orleańska, burgundzka, gaskońska i marsylska. I samym nam trudno orzec, który z tych rozmaitych odcieni jest miłszy i wykwintniejszy.

Żywioł to pierwotny, jak już powiedziałem, ale żywioł niebezpieczny, który przechodzi łatwo w nadużycie i mógłby stać się szkodliwym, gdyby woda chrztu nie złagodziła jego ostrości. Na szczęście, religia stała na straży. Sól gallijska, miarkowana przez nią i idąca ręką w rękę z chrześcijańską miłością bliźniego, była długo nieszkodliwą. Wydała ona coś odrębnie francuskiego, co to zaczyna się uśmiechem a kończy łzami.

Drugim żywiołem był żywioł rzymski. To znaczy: gruntowność, rozsądek, prawość, jasność; utworzyło to nasz język i nasze prawa, naszych wielkich pisarzy i wielkich polityków; ten niezrównany język francuski, który słyszeliśmy kilka miesięcy temu w Rzymie z ust Niemców, Rosyan, Anglików, Amerykanów, nawet ludzi ze Wschodu, którego rozpowszechnienie skłoniło jednego z biskupów amerykańskich do wyrażenia, na początku soboru, że gdyby porozumienie się po łacinie nastę-

czało jakie trudności, zostawałby jeszcze język francuski.

A jak gdyby Bóg chciał, aby żadnego uroku nie brakowało naszemu narodowi, na owo tło złośliwej żywości i rzymskiej powagi padł także od najwcześniejszych czasów promyk z Grecyi. Kolonie focejskie rozszerzają się po południu Gallii; od Marsylii, Nîmes, Montpellier dochodzą do Lugdunu, Grenobli, Dijonu, przynosząc temu krajowi jakby podmuch Wschodu. Może sobie ginąć wdzięczna sława Aten: Francya przejmie po nich w spadku i przechowa światu ten kwiat umysłu, ten attycyzm, gust, owo coś wykwintnego i doskonałego w rzeczach umysłu.

Po tem wszystkim, skoro już duch Gallii, Rzymu i Grecyi, zlawszy się w jedno, dał początek duchowi francuskiemu, nadchodzi Kłodoweusz, a przez niego Germania daje nam swą piękność. Od niej to pomiędzy innemi, mamy tę namiętną miłość swobody. Połóżcie rękę na pierś Francyi; poczujecie w niej zawsze bijące serce Germanina, którego kolebką są lasy. Od niej również mamy na obronę naszej wolności szpadę naszą ¹⁾, bystrą, pewną siebie, która przeszła w bagnety, prawdziwą broń francuską, dotąd niezrównaną. Zapewne, że mogły być inne miecze zarówno mocne, ale nie było jeszcze żadnego równie pięknego. Wpłynęła nań Kalwarya ²⁾.

Czy to już wszystko? Trocha krwi gallijskiej, trocha greckiej i rzymskiej, trocha krwi Franków, złą-

¹⁾ W oryginale: *la francisque*.

²⁾ Czy to nie za wiele? (*Przyp. tłóm.*)

czone w naszych żyłach i poruszające nasze serca, czy to już uczyniło krew Francyi? O, nie! Kto dał nam ponad tymi darami dobroć, która wieńczy je wszystkie, rycerską wspaniałość, będącą rysem właściwym naszego charakteru? Kto nam dał miłość ku małym, słabym, zwyciężonym, ku ofiarom przemocy, żywe poczucie sprawiedliwości, drażliwość honoru? Kto dał żyłom naszym tę krew, która burzy się na widok zdrady prawa, pokrzywdzenia, słabości, znieważenia honoru? Chrześcijaństwo to, krzyż Kalwaryjski, miłość Tego, który umarł z miłości ku ludziom i otworzył na Golgocie źródło poświęcenia aż do zaparcia się siebie. Wszystkie narody piły z tego źródła, ale my więcej od innych; piliśmy z niego aż do upojenia, tak, że uśmiechały się mądre narody wokoło nas.

Zwrócono uwagę na łatwość, z jaką chrześcijaństwo przyjęło się w narodzie francuskim. Było do tego wiele przyczyn. Naprzód pierwiastki składowe charakteru narodowego były prawie wszystkie głęboko religijne, układające się jedne na drugich. Powtórę wszystkie uczucia, które rozwija religia: niepodległość ducha, wspaniałość, miłość honoru, szacunek dla kobiet leżały już w zarodku na dnie naszej duszy, tak, że przyjście chrześcijaństwa było tylko jak gdyby zapaleniem przygotowanego już drzewa.

Wprawdzie były i takie strony pierwotnej naszej natury, które sprzeciwiały się połączeniu; ale to właśnie uczyniło je tem głębszem i trwalszem. Chateaubriand, zdaje mi się, powiedział, że aby związek był trwałym, potrzeba wielkich różnic w charakterze przy wielkiej harmonii serc. A gdzież większe różnice w charakterze, niż pomiędzy Kościołem a Francją? Ona tak

żywa, tak gorąca, często zmienna, zawsze ruchliwa, przerzucająca się z ostateczności w ostateczność z pośpiechem dla niej samej dziwnym; on, przeciwnie, tak poważny, powolny, tak cierpliwy, prawie że nieruchomy, chociaż nieruchomym nie jest, nigdy się nie śpieszący, bo jest obrazem Boga, który panuje nad wiekami. On używa zawsze władzy i nakazuje posłuszeństwo, podczas gdy ona aż do szaleństwa miłuje wolność. Ale przy tych różnicach w charakterach co za zgodność serc!

Jeden i druga mają ten sam zapał do piękna, prawdy, dobra; tę samą pogardę dla wszystkiego, co niskie, brzydkie, pospolite, ziemskie, dla wszystkiego, co się sprzedaje, kupuje, płaci; tę samą wzniosłość duszy, tę samą otwartość, tę samą żarliwość apostołską, potrzebę rozszerzania po świecie tego, co sami cenią: sprawiedliwości, prawdy, cywilizacyi. To też jak tylko Kościół i Francya spotkali się z sobą, poznali się wnet i połączyli, i przez ciąg czterestu stuleci zmienne koleje losu, różne zaburzenia, ani niesłychane wysiłki bezbożności nie mogły naruszyć tego związku czternaściekroć wiekowego.

Pod wpływem tego związku, który dla obu stron był dobrodziejstwem, duch Francyi powstał, wzrósł i dojrzał. Nie czas tu i nie miejsce opisywać te trzynastcie stuleci, przez ciąg których umysł francuski powstawał, dochodził do świadomości samego siebie, tworzył sobie język z okruszyn wszystkich języków, kształcił swój gust, uczył się łączyć naiwność z siłą, prostotę z wzniosłością, delikatność największą z najwyższą powagą, aż wreszcie dosięgnąwszy dojrzałości, po różnych próbach i nieudolnych a jednakże wspniałych wysił-

kach, mógł dać światu największy wiek rozwoju umysłowego, jaki kiedykolwiek istniał.

Tak jest, największy wiek ludzkości, chwila, w której umysł ludzki na ziemi dosięgnął najwyższego szczytu prawdy i piękna. Śpieszę ustąpić głosu lepszemu od siebie znawcy, mającemu więcej powagi i kompetencji. Oto co mówi Cousin: „Francya, niedbała o swoją sławę, nie domyśla się, jak się zdaje, że w jej rocznikach jest zamieszczony największy może wiek ludzkości, wiek obejmujący ludzi najbardziej znakomitych we wszystkich gałęziach.” Po przytoczeniu zaś imion wojowników, administratorów, polityków, dodaje: „Jakiż inny wiek, przynajmniej w naszych czasach, widział naraz tylu pierwszorzędnych poetów? Nie mamy, prawda, Homera, Dantego, ani nawet Tassa lub Milтона. Epopėja w jej pierwotnej prostocie jest nam również niedostępna. Ale za to w zakresie dramaturgów mało kto nam wyrówna.... Odważę się wypowiedzieć myśl moją: według mnie Eschylos, Sofokles i Eurypides razem wzięci nie przewyższają jednego Corneille’a. Jest on wzniosły na swój, nowy sposób, nieznany starożytnym i nowożytnym pisarzom, którzy go poprzedzili.” A cóż rzec o Racine’ie? „Jest on sobą nawet w naśladowaniu i o wiele prześciga starożytnych. Skąd zaczerpnął on ową uroczą delikatność, ów wdziek, ową czystość w słabości nawet, ów smutek, czasem nawet głębokość, ów cudny język, jakby żywcem wyjęty z kobiecego serca?...” Co się Molière’a tycze, „jeżeli nie ma równej twórczości poetyckiej jak Arystofanes, ma coś może lepszego: ma charakter. Koloryt jego nie tak jest świetny, ale rysunek wyrazistszy. A wszyscy starożytni i nowocześni bajkopisarze czyż wyrównają na-

szemu Lafontaine'owi? Pisarz to najprostszy i najwyższukańszy zarazem, a sztuka jego znika w samej swej doskonałości....

„Dosyć to wielcy, zdaje mi się, poeci, a mamy ich jeszcze więcej: mam tu na myśli owe wykwintne lub wzniosłe umysły, które podniosły prozę do wysokości poezyi. Może tylko jedna Grecya w czasach swego rozkwitu przedstawia taką rozmaitość godnych podziwu prozaików. Z największą prawdą można powiedzieć, że proza francuska nie ma rywalki w nowożytnej Europie, a nawet przewyższa łacińską prozę starożytności, co do rozmaitości przynajmniej i co do bogactwa; wyrównywa jej tylko grecka proza z najpiękniejszych swych czasów, od Herodota do Demostenesa. Nie przekładamy Demostenesa nad Pascala, i trudnoby nam nawet przyszło orzec wyższość Platona nad Bossuetem. Platon i Bossuet to w naszym przekonaniu dwaj najwięksi z pomiędzy dawnych i nowych mistrzów słowa, różniący się wybitnie pomiędzy sobą, ale także mający i niejedną wspólną cechę: obaj posługują się przeważnie mową potoczną, zbliżoną nawet do ludowej, a chwilami wznoszącą się bez trudu do poezyi, niemniej od homerycznej wspaniałej; obaj są delikatni i subtelni, a częstokroć wspaniali i wzniośli. Platon ma zapewne więcej niezrównanego wdzięku, wzniosłą pogodę i jakby uśmiech boskiej mądrości. Bossuet góruje w tragiczności, w której stoi z nim na równi tylko wielki Corneille” ¹⁾.

Tacy to są nasi pisarze. Nie tylko równi największym poetom i prozaikom starożytności, ale nawet

¹⁾ Cousin, *Du Vrai, du Bien et du Beau*, X-e leçon.

od nich wyżsi, tak pod względem formy, jak szczególnie i przedewszystkiem pod względem myśli, rozumowania wyższego, pewniejszego, bez braków i cieni, bez przymieszki błędów; pożyczają oni od starożytnych wszystko, co ci mają najpiękniejszego, i udoskonalają je jeszcze. Poznajemy tu ów sympatyczny duch Francyi, zawsze gotowy na przyjęcie wielkich myśli wszystkich wieków i narodów, przyswajający sobie dorobek umysłowy Latynów, Greków, ludzi Wschodu, Włochów, Hiszpanów; przelewający, jeżeli się tak można wyrazić, do swojej duszy dusze Homera, Wirgilusza, Tacyta, Sofoklesa, Eschylosa, Biblii; chrystyanizujący, że tak rzekę, arcydzieła starożytności: Fedrę, Andromakę, Galateę; a zawsze oryginalny, nawet gdy naśladuje, bo zawsze jest sobą i zawsze chrześcijańskim. Wieki przyszłe inne przywiodą umysłu francuskiego objawy, inny język, inne rodzaje stylu; ale żaden nie dorówna tym, i uznają ludzie, że silna i łagodna, choć surowa szkoła chrześcijanizmu nie przytłumiła wcale ducha francuskiego, owszem nadała mu lot nowy, a życie umysłowe nigdy nie było u nas bujniejsze, silniejsze, powszechniejsze, nigdy tak nie przenikało we wszystkie sfery ludzkiej czynności, oryginalności, a szczególnie i nadewszystko wielkości, jak wówczas, kiedy Kościół i Francya stanowiły silnie spójną całość.

A jednocześnie z podnoszeniem i uszlachetnianiem ducha Francyi pod wpływem chrześcijaństwa, serce jej zaczęło się też rozbudzać. Nie potrzeba mu było wszelako tak długiego czasu rozwoju; powstało odrazu ze wszystkimi swemi cechami, z których najpiękniejszą jest wspaniałość. Ta wspaniałość, powiemy mimochodem, nie dała Francyi stać się narodem

zdobywców, lub choćby nawet narodem kolonizacyjnym. Nie potrafi ona uciskać ludów. Nie mogłaby nigdy przez trzy stulecia trzymać Indyi pod swą stopą, ani wysysać krwi Irlandyi. Skoro los wojny daje jej w ręce lud słabszy od niej albo pozostający za nią na drodze postępu, idzie do niego, krzewi w nim cywilizację, poczem wraca, pozostawiając mu wolność. Wada to jest, przyznaję, której Francuzi poczynają się już niestety wstydzić; ale wada to cnoty, a ta cnota tak była wysoką, że nasi ojcowie poświęciliby wszystko i wszystko przetrwali, byle nie narazić się na jej utratę.

Któż wypowie piękność serca Francyi? Zaledwie narodziło się, stało się sercem całej Europy, najczulszem i najdelikatniejszym miejscem na ziemi, które odczuło każde cierpienie, odpowiedziało na każdy okrzyk bóleści. Posłuchajcie, co mówi w tym względzie jeden Hiszpan ¹⁾: „Rozejrzyjcie się naokoło, spójrzcie, gdzie jest najwięcej i największych klęsk i nieszczęść; jeżeli to nie będzie w Anglii, mieszkańcy jej nie wyjdą ze swego obojętnego spokoju; ale Francya inne ma pod tym względem usposobienie. Choćby te klęski szerzyły się na antypodach, nie zmniejsza to sympatyi ludu francuskiego dla cierpiących. Między nim a cierpiącymi powstaje wnet jak gdyby prąd elektryczny; Francuzi zrywają się jak jeden mąż, pełni współczucia i żądni pomagać nieszczęśliwym.”

Takiem jest Francyi serce. Ma ono coś czułego i wzniosłego zarazem, *flebile nescio quid* poety, dar pięknych łez i dzieł wielkich. Któż przeliczy, ile to

¹⁾ Donoso Cortès, Oeuvres complètes, t. I, p. 255.

z takiego serca przez ciąg czternastu wieków wyszło wzniosłych natchnień, cudownych i bohaterskich porywów uczucia, dzieł nacechowanych dobrocią i wspianą myślnością? Jak myśliwy z nogą w strzemienu nasłuchuje kierunku wiatru, tak Francya, przez czternaście stuleci stojąc w pogotowiu wpośród Europy, nasłuchiwała, skąd przyjdzie niesprawiedliwość, gdzie da się słyszeć wzywanie pomocy. To powoływała swoich rycerzy do pełnienia po wsiach i miastach służby honoru i cnoty, to znowu, wzmagając się na duchu przy groźniejszym niebezpieczeństwie, budziła cały Zachód i stając na czele krucyat, ratowała Europę i cywilizację. Potem, za Krzyżowcami wysyłała zastęp apostołów i sióstr miłosierdzia, aby leczyli rany i oświecali dusze, koili bóle i rozkrzewiali cnoty. Ale i w codziennem życiu ileż to przez ten czas wydała Francya serc zacnych, dusz słodkich, delikatnych i wzniosłych, anielskich dziewic, świętych matek! ilu doskonałych ludzi! urzędników surowych i nieskazitelnych, odważnych żołnierzy, świątobliwych biskupów, kapłanów, zakonników! ilu Świętych! Szczególnie Świętych; żaden naród nie wydał ich tylu, co Francya, świętość bowiem jest szczytem cnoty, tak jak ta ostatnia najprzedniejszym kwiatem serca. Kto chce naprawdę poznać serce Francyi, powinien wziąć spis jej Świętych, zliczyć ich, zbadać ich charakter. Ale któżby ich mógł przeliczyć? Pełno ich wszędzie; następują po sobie bez przerwy i bez liku; w najmniejszych wioskach i miasteczkach, we wszelkich klasach społeczeństwa, w wioskach i klasztorach, w arystokracji i w duchowieństwie, równie jak u ludu; jedni jaśniej pojedynczo, oświecając i napawając wonią swych cnót miasta i wsie, krzewiąc w nich

i utrzymując wzniosłość uczuć, pogardę świata, świętą moc duszy; inni łączą się w gromady, w zastępy, tworząc owo wojsko ducha, zakony, stałe wojska cnoty i ofiary, których nie znał Rzym, ani Ateny, ani Sparta; które wychodzą z łona Kościoła, ale nigdzie nie są liczniejsze, żywotniejsze ani bardziej jaśniejące, niż w narodzie francuskim.

Śpieszę wyjaśnić, iż nie miałem bynajmniej zamiaru powiedzieć przez to, aby inne chrześcijańskie narody Europy, Anglia, Hiszpania, Włochy, Niemcy, nie miały także Świętych. Mają ich one również, mają liczne i wspaniałe zastępy. Wielkie to i wzniosłe współzawodnictwo owych czasów. Ale to serce Francyi tak jest gorące, tak wrażliwe i delikatne, że zdaje się, iż wszystkie myśli innych serc w niem dopiero nabierają całej swej pełni i doskonałości. Rycerze z Alkantary, z Kalatrawy regule francuskiej zawdzięczają owe szlachetne uczucia, cechę istotnych rycerzy. Do tego serca podążają wielcy założyciele zakonów wszystkich krajów i wieków: święty Maurus i święty Franciszek z Asyżu—z Włoch, jak i święty Kolumban z Irlandyi; święci Brunon i Norbert, przysłani nam przez wybrzeża Renu, i święty Dominik, a później święty Ignacy, przybywający z Hiszpanii. Oprócz tego daru serca wykończania i udoskonalania natchnień, gdzieindziej powstałych, w tym wspaniałym rozkwicie świętości, ma nadto Francya jeszcze jeden dar, sobie właściwy. W jej łonie przeważnie powstają zakony *dobroczyńne*. Hiszpania posiada większe Święte zakonów kontemplacyjnych; Włochy — świętsze samotnice; Niemcy — dziewice poetyczniejsze i najuczeńsze. My mamy siostry miłosierdzia. Powstają one z naszego serca, pod tysiścem nazw

i sukni, a zawsze są te same, zawsze można je poznać. Inne narody zazdroszczą nam ich i naśladowują niedoleżenie, one zaś zawsze, ku wiekuistej czci imienia francuskiego, dają dowody pojętności i czynności, męstwa, pogody usposobienia, czystości, słodyczy w sile, wesołości w ofierze, jednym słowem — wszystkich naszych przymiotów, uszlachetnionych jeszcze i upięknionych przejściem przez dziewicze serca. To samo, co o zakonach, powiem i o Świętych. Nie mamy świętego Franciszka z Asyżu ze stygmatami miłości, ani seraficznej świętej Teresy, ani surowego Franciszka Borgii lub też przerażającego Pawła od Krzyża; mamy świętego Wincentego a Paulo.

Cóż dziwnego, że mając takie serce, Francya zawsze jakby instynktowo przyjmowała za swoje wszystkie sprawy, od których zależała cywilizacya i los rodzaju ludzkiego? że brała zawsze udział we wszystkim, co jest wielkie, szlachetne, użyteczne, piękne? Cóż dziwnego szczególnie, że nie pozostaliśmy nigdy obojętnymi wobec cierpienia Kościoła, który cały jest słabością? Kościoła, który jest więcej, niż niewiastą, który jest matką? cóż dziwnego, że za każdą uczynioną mu zniwagę, zdradę, opuszczenie ujmował się miecz francuski i wznosił francuski sztandar? Tak, powtarzam raz jeszcze, ku wiekuistej nam czci i nauce — myśmy to mieczem Klódoweusza wygnali plemiona barbarzyńców, mieczem Karola Martela rozgromili hordy Saracenów; u stóp Papieży złożyliśmy tarczę i oręż niezależności i władzy świeckiej przez Pepina i Karola Wielkiego; przez trzy pokolenia krzyżowców, od Godfryda de Bouillon do świętego Ludwika, trzymaliśmy straż przy zagrożonem chrześcijaństwie; mieczem po-

teżniejszym jeszcze, mieczem geniuszu i wiary w rękę Bossueta powstrzymaliśmy postępy protestantyzmu; a chociaż nie zdołaliśmy utrzymać władzy świeckiej Piusowi IX, potrafilismy za niego cierpieć i ginąć w osobach Lamoriciere'a, Pimodana, Charette'a i żuawów. Gangrena opanuje może serce Francyi, ale serce to biło i przez czternaście wieków najszlachetniejszym było sercem na świecie.

Grecy sądzili, że piękność fizyczna zwykła towarzyszyć piękności moralnej i jest jak gdyby jej odbiciem. W miarę też powstawania umysłu i serca Francyi tworzyło się jej piękne ciało. Szereg królów odważnych, rozumnych, miłych, ukochanych tak, jak żądni inni władcy, a u ich boku zastęp mądrych i przezornych ministrów, prawdziwych polityków, rozpoczynają dzieło zjednoczenia Francyi i prowadzą je bez pośpiechu, lecz i bez opieszałości. Wiedzą oni, że czas to potężny czynnik, nie śpieszą też, wyczekują, wchodzą w układy, korzystają z okoliczności, więcej starając się o ujmowanie sobie plemion, niż o ich zdobywanie, aż do czasu, w którym samą siłą swych uczuć monarchicznych Francya dosięgła najpiękniejszej, jakiej można było żądać, narodowej jedności.

A w tem tak wielkiem i potężnem dziele nie przypominają królowie ani ministrowie, że różnaitość wieńczy dzieło zjednoczenia. Zadowolają się też ożywieniem całego kraju jednym duchem; umieją uszanować różnice charakteru, zwyczajów, a nawet rządu każdej dzielnicy, naśladować w tem Boga, który dając ziemi jedno niebiosa i jedno słońce, unikał jednakże wszelkiej monotonii i każdy kraj obdarzył jak gdyby osobnem, jemu tylko właściwem słońcem i niebem. To też

powoli i stopniowo około wspólnego środka gromadzą się i jednoczą nierozdzielnie wszystkie prowincye, tak różniące się między sobą, ale wszystkie piękne, wszystkie obfitujące w tyle pomników religijnych i historycznych, zawsze żywe ogniska wszystkich odcieni francuskiego umysłu i serca.

„A ponieważ różnaitość sama przez się jest wesołą, charakter i ogólna fizyognomia narodu są najweselejsze ze wszystkich. Obejrzyjcie zbiór portretów angielskich, a przekonacie się, że wszystkie są jednakowe: surowe, wspaniałe i smutne; przyczyną tego jest, że wielkość, to jest jedność, bez piękna, to jest bez różnaitości, będzie zawsze smutnie surową i smutnie wspaniałą. Anglik i w ucztach swoich jest poważny; przeciwnie, Francuz śmieje się i w boju” ¹⁾.

Taką jest Francya; takim zamieszkujący ją szlachetny naród. Powiadam: szlachetny, bo też mówiąc o nim, ciągle się chce używać tego wyrazu: jego szlachetny umysł, szlachetne serce, szlachetne oblicze. Posłuchajmy Bossueta: „Trzeba przyznać—powiada on,— że królowie nasi oprócz tego, że byli bardzo religijni, mieli jeszcze *szlachetność*, za którą czcił ich świat cały i która podnosiła ich ponad wszystkich innych panujących. Kiedy cesarze z bronią w ręku dochodzili praw swoich i bronili ogólnych interesów głów koronowanych, nasi królowie mieli daleko pewniejszą ochronę w *szlachetniejszym* ustroju państwa i większem dostojenstwie swojej korony” ²⁾.

¹⁾ Donoso Cortès, *Oeuvres complètes*, t. I, p. 256.

²⁾ *Discours sur l'unité de l'Eglise*, II partie.

Szlachetny to, zaiste naród, łączący wspaniałomyślność z delikatnością, a łagodność z siłą; rozumny, kochający, pracowity, żądny postępu, podnoszący posłuszeństwo przyzwoitą miarą wolności, a religię — przyzwoitą miarą rozumu; syn starszy Kościoła i głęboko katolicki, ale nie jak mnich Hiszpan, ani jak artysta — Włoch: jak żołnierz, apostoł i siostra miłosierdzia. Patrząc nań tak i szukając w historyi postaci typowej, któraby najlepiej odzwierciadlała jego rysy, znajduję dwie, pomiędzy któremi waham się, nie mogąc uczynić wyboru: świętego Ludwika i Joannę d'Arc. Ta czysta, gorącego ducha, rozumna, bohaterska, najrzadsza z istot, które kiedykolwiek władały mieczem, ów wspaniałomyślny, odważny, kochający, bez skazy sprawiedliwy, najrzadszy ze wszystkich dzierzących berło; ta umiera za ojczyznę na stosie, a gdyby nie mogła jej ocalić, umarłaby z boleści; ów broni swojego narodu mieczem, jednoczy go sprawiedliwością, uświęca swą cnotą, pociąga za swem przewodnictwem aż za morza, na walki godne jego, podjęte w obronie Boga i cywilizacyi; oboje oderwani od świata, dążący do Niebios, pełni miłości dla Boga i ludzi; sumienni do najwyższego stopnia, bohatersey duszą; jednym słowem: dwie najpiękniejsze i najdoskonalsze postacie, szlachetne odbicie charakteru narodowego.

Ale te myśli wzbudzają inne, które rozjaśniają nam dalsze widnokregi. Nie tylko została Francya stworzoną przez Boga i przez Kościół, ale dla Boga i dla Kościoła; po to, ażeby była na ziemi rycerzem Boga, Chrystusowym żołnierzem, jak określa wymownie Szekspir. To jest przyczyną, racją bytu jej ducha i charakteru, jej serca i jej miecza. To światło rozjaśnia

i tłumaczy wszystko. A ponieważ wszystkie wielkie rzeczy na świecie zawsze były przeczone i przepowiedziane, jak to widzimy na przykładzie chociażby Rzymu, którego zadaniem było przez jedność materyalną przygotować jedność moralną świata, a który miał to instynktowe przecucie, że jest miastem wiecznem z woli bogów; lub na przykładzie barbarzyńców, którzy sami głosili, że są narzędziami pomsty Bożej, że coś gnało ich i popychało do Rzymu; więc i nad kolebką nowonarodzonej Francyi rozległy się mnogie prorocze głosy. Czytając listy współczesnych Papieży, Anastazego, Wigiliusza, Grzegorza Wielkiego, widzimy, że duch ich sięga do wspaniałej przyszłości Francyi i jakoby ją odgaduje. W najstarszych gallijskich mszałach modlitwy na pomazanie królów, na pasowanie rycerzy zdają się tchnąć pewnym proroczym instynktem, zawczasu przewidującym wysokie Francyi powołanie. Nie przesadził Bossuet utrzymując, że „Bóg odebrał Rzymianom straż Kościoła, a powierzył ją Frankom, których namaścił na mężnych opiekunów, niezwyciężonych obrońców tej czulej matki tudzież ubogich” ¹⁾; ani również de Maistre, kiedy wykazuje „religijne i moralne przodownictwo w Europie, dane Francyi przez Boga” ²⁾; ani O. Lacordaire, głosząc w kościele Notre-Dame „posłannictwo religijne narodu francuskiego.” Zapewne, dosyć mieliśmy chwil wahania, zaślepienia, obłędu; popełniliśmy omyłek i win wiele; ale czyż nie wypełniliśmy tego posłannictwa? czyśmy nie byli wierni tej straży

¹⁾ *Sermon sur l'unité de l'Eglise, II partie.*

²⁾ *Considerations sur la France, p. 3; Du Pape, p. 6.*

honoru? Czyliż każdego czasu naród nasz nie wydawał ludzi, w których przebywała i żyła chrześcijańska Francyi dusza, od Klodoweusza, który, słuchając opowieści o męce Zbawiciela, sięgnął do miecza ze słowami: „Czemuż nie było tam mnie i moich Franków!” aż do Karola Wielkiego, tego opiekuna Papiestwa i założyciela świeckiej jego władzy; od Godfryda de Bouillon i Piotra Pustelnika aż do Ludwika świętego, „pokornego żołnierza Chrystusa?” A później, kiedy nadeszły chwile słabości, a za nimi nieszczęścia, jeżeli mieliśmy straszliwe kary, czyż nie byliśmy wybawiani w cudowny sposób? Czy nie dosyć samej Joanny d’Arc na dowód naszego boskiego powołania? Czy przez ciąg czterestu wieków, od chrzcielnicy w Reims do krucyat, od krucyat do rusztowania Ludwika XVI, od przytułku danego Piusowi VII pod sklepieniami Notre-Dame do chwalebного powrotu do Rzymu Piusa IX i do otwarcia soboru watykańskiego, nie byliśmy ludem wybranym, narodem apostołskim, żołnierzem Boga na ziemi? A nawet czyż to posłannictwo było kiedy jaśniejsze i bardziej uderzające, niżeli właśnie w czasach, kiedy Francya dawała się opanowywać zaślepieniu i zepsuciu, zapominała swego powołania i nie chciała go już wypełniać, a mimo to wypełniała je jakby pomimo woli?

Smutne to czasy na takie wspomnienia, o mój kraju! Niebo się zachmurza. Piszę to w Orleanie, otoczonym i ostrzeliwanym, a z moich okien widać, jak wszystkie z niego wyjścia są zamknięte przez pruskich żołnierzy. Ale Bóg widzi, żem nie przeoczył przeto twej piękności, nie zapomniał twojego powołania ani przyszłości twojej. Zawsze jesteś dla mnie arcydziełem Boga, a twoje rany, które całuję z uczuciem sy-

nowskiem, zwiększyły tylko moją ku tobie miłość, do podziwu dodając współczucie. A jeżeli do tych wszystkich uczuć duszy mojej dla ciebie przyłączyło się jeszcze jedno nowe, o ojczyzno moja, to pewnego rodzaju gorzka radość na widok twojej wielkości obok barbarzyńców, którzy depczą po tobie, ale nie dorównywają ci wartością!

IV.

Arcydzieło może być zniszczone przez barbarzyńców. Rzecz to często widziana i nie zadziwiająca nikogo. Tak ongi znikły owe boskie marmury Fidyasza, Praksytelesa, Wenus z Milo, Wenus Medycejska, Herkules Farnezyjski, Apollo Belwederski, Laokoon, których szczątki z taką czcią zbierała cywilizowana Europa XVI wieku. Ale zdumiewa i przeraża fakt, że piękniejsze od tych wszystkich arcydzieło, Francję, mogły pchnąć do zguby, ręce jej własnych dzieci: przez trzy bowiem stulecia wielu Francuzów nie szczędziło starań, aby sprowadzić na manowce jej potężny umysł, zepsuć jej serce, spodlić charakter, podkopać życie i okryć hańbą jej imię; szczytny wynalazek druku, szlachetne narzędzie—prasa, były od trzech wieków ich młotem, którym pracowali bez wytchnienia i upamiętania, aż dopóki nie obrócili w proch boskiego wizerunku. Ani Prusacy tegocześni, ani Anglicy w wieku XV nie potrafiliby zaszkodzić Francyi: jeżeli zginie, waszą to będzie winą, bezbożnicy, materyaliści, pozytywiści nazw wszelakich, o których bezeceństwach nie mogę teraz pomyśleć wobec tylu klęsk i bez gniewu, do jakiego nigdy nie sądziłbym się być zdolnym.

Nie nie mogło ich powstrzymać: ani miłość synowska, ani poszanowanie przeszłości, ani troska o teraźniejszość i o przyszłość. Od trzech wieków z szatańską wściekłością sprzyśleli się na to arcydzieło.

I czegoż nie próbowali, aby wyrwać Francyi wiarę, jej starą wiarę katolicką, zniweczyć czternastowiekowy z Kościołem związek! Nie dość, że wygwizdali chrystyanizm, wyszydzili go, napiętnowali śmieszcnością, ażeby zmusić każdego Francuza do wstydu się miana chrześcijanina; nie dość, że ujarzmili Kościół, zaprzeczyli jego najświętszym prawom, wzbronili mu najniezbędniejszych zewnętrznych znaków; ale jeszcze dołożyli wszelkich usiłowań, aby usunąć religię z naszych praw i instytucyj, odjąć im wszelki ślad wiary do tego stopnia, że próżno w naszych statutach szukać imienia Bożego, i że to Francya wypowiedziała owo dzikie, a raczej nawet dzikim ludom nieznane: „Prawo jest i powinno być bezwyznaniowem;” dołożyli wszelkich starań, aby wygnać religię z myśli i zwyczajów Francyi, wmówić jej, że wielki naród nie potrzebuje wiary, że religia jest zawadą w dyplomacyi i że sumienie to rzecz zupełnie polityce obca; aż dopóki istotnie nie doprowadzili naszej ojczyzny do tego, że odrętwiona obojętnością, zaślepiona zwątpieniem i ateizmem socyalnym zgodziła się na powierzenie kierunku swych spraw bezbożnym dyplomatom i ministrom, straciła jasny pogląd na rzeczy i świadomość swego posłannictwa, zachowując o niem mętne i niejasne pojęcie i wspomnienie.

A jednakże Opatrzność dopuściła w czasach niezbyt odległych, aby to przeznaczenie Francyi znowu zajaśniało i stało się niejako warunkiem naszej narodowej wielkości. Odwieczna nasza współzawodniczka,

Anglia, przyjęła protestantyzm. Katolickiej Francyi przypadało przez to samo pierwsze miejsce w łonie chrześcijaństwa. Cóż to za dobra sposobność do objęcia rządów świata, o które toczył się zawsze spór z Anglią! i coś łatwiejszego nad wybór drogi, do tego celu wiodącej! Należało tylko zgromadzić w około siebie wszystkie kraje katolickie: Hiszpanię, Portugalję, Niderlandy, Bawaryę, Szwajcaryę, Państwo Włoskie, wspomódz, podać rękę Austrii i wspólnemi z nią siłami osłaniać Stolicę Apostolską; poczem obezwładnić protestantyzm pod względem politycznym i, szanując swobodę sumienia jednostek, przeszkadzać wpływowi Państw; następnie na czele ludów katolickich sięgnąć poza morze, szerzyć wiarę w Indyach, Australii, Afryce, obu częściach Ameryki, Chinach i Japonii, i popchnąć przez to świat cały na drogi prawdziwej cywilizacyi, która właśnie jest panowaniem Ewangelii w społeczeństwach. Cóż, powtarzam, prostszego nad to, coś piękniejszego, odpowiedniejszego duszy Francyi, chwalebniejszego dla Europy, potrzebniejszego dla całego świata? I czyż nie jasnem jest, że gdyby Francya przeprowadziła ten plan wytrwale i konsekwentnie, gdyby obróciła na to wszystkie siły, których użyła na poniżenie domu austriackiego, i zapal, z jakim szerzy w świecie rewolucye, postać świata byłaby zupełnie zmienioną na jakie tysiąc lat, a ona sama wzniosła się do wysokości, na której nie zdołałaby jej zaszkodzić bezsilna zawiść wrogów. Zamiast tego, jakież jest nasze położenie? Z jednej strony, protestancka Anglia opanowała wszystkie morza, i podróżny spotka jej sztandar prawie wszędzie, gdzie tylko noga ludzka może stąpić. Z drugiej strony wschodzą na widnokręgu, jak krwawy meteor, Prusy, powiekk-

szone przez nasze omyłki, ośmielone przez naszą nieudolność. Mają one pięćdziesiąt jeden milion ludzi, wyćwiczonych i nie zdenerwowanych, i gotują Zachodowi najazd barbarzyńców, któremu nic się nie oprze. Dążą do posiadania Indyi i osiągną je wbrew Anglii. Poczem będzie już gotowa obręcz na opasanie i zduszenie narodów katolickich. Przypuśćmy, że Anglia, uwzględniająca tylko swój interes, znajdzie go kiedy w związku z Prusami, będzie to hasłem zagłady dla katolickich ludów. Wtedy Francya będzie patrzyła smutnie i bezsilnie na klęski, którym zapobiedz nie będzie w jej mocy; przypomni sobie wszystkich tych polityków, głupich, nieudolnych, poziomego umysłu, obłąkanych niewiarą i bezbożnością; imiona ich okryje wzgardą i złorzeczeniem; ale już będzie za późno, chyba, że Bóg przyjdzie jej na pomoc i dowiódłszy jej przez tyle nieszczęść, że skutkiem jej usunięcia się ze wskazanej przez Niego drogi jest upadek, odmieni oblicze świata, zsyłając jakąś cudowną i niespodziewaną pomoc swojemu Kościołowi, którego nigdy nie opuszcza:

Ale przypuściwszy nawet ową cudowną pomoc, której źródło może nie trudno byłoby wskazać, cóż się stanie z Francją, jeżeli będzie obstawała przy swej bezbożności, odrzucając wszelką religię? Weźmy mapę ziemi i zwróćmy uwagę na zmiany zaszłe w rozmieszczeniu zaludnienia tych niezmierzonych przestrzeni od początku naszego stulecia. Dwie potęgi współzawodniczące z sobą, ale stanowiące jedność pod względem pochodzenia, języka, praw i obyczajów, Anglia i Stany Zjednoczone, opanowały całą kulę ziemską, wyjąwszy Europę, albo raczej same tylko na niej istnieją, tak, że poza wodami, oblewającemi naszą część świata, imię nasze

zaledwie jest wspominane obok tych potęg. Wobec tego przypomnijmy sobie, że niegdyś ludzie zadawali sobie pytanie, czy nasze plemię i nasz język nie otrzymają pierwszeństwa przed wszystkimi innymi i czy cywilizacja reszty świata nie będzie miała cechy francuskiej. Dziś szala już się przeważyla, i dwie przynajmniej części świata, Ameryka i Australia, bezpowrotnie należą do plemienia Anglo-Sasów.

Ale ta przewaga Anglo-Sasów poza granicami Europy to tylko słaby obraz tego, co nas czeka w niedalekiej przyszłości. Nie upłynie chyba wiek jeden, a Stany Zjednoczone, które będą naówczas liczyły przeszło sto milionów mieszkańców, ogarną Meksyk, Brazylię, różne Stany Ameryki Południowej, i podziela z Anglią panowanie nad Oceanią, Australią, Nową-Zelandią, a może i Chinami ¹⁾.

Otóż w tem plemieniu, świat pokrywajacem, w dwóch tych narodach krwią i prawami tworzących jedność, w Anglii i Ameryce, najbardziej rozszerza się katolicyzm. *Mens agitatur molem*. Jest to coraz widoczniejsze. Przypuśćmy, że rzeczy pójdą dalej tym samym trybem, co jest bardzo prawdopodobne; że, oficjalnie lub nie, przyjmie Anglia katolicyzm; że Ameryka, w roku 1800 mająca dziesięć katedr biskupich, a obecnie osiemdziesiąt, przy końcu stulecia będzie ich miała dwieście, bo to jest też wielce możebne: wtedy zmieni się postać rzeczy w świecie religii; przesilenie minie; Kościół stanie znowu na czele ludzkości. Ale w tych wszystkich bardzo możliwych kombinacjach gdzież będzie miejsce

¹⁾ Prévost-Paradol, *la France nouvelle*, p. 362.

Francyi? Jeżeli ona będzie coraz mniej wierzącą, coraz bezbożniejszą i bardziej materyalistyczną, jakąż odegra rolę wówczas, kiedy Anglia i Ameryka na wszystkich lądach i morzach podniosą sztandar wiary, wolności i cywilizacyi? Oto będzie marnie zamierała w Europie. Utrata panowania słuszną będzie jej karą za to, że nie chciała szerzyć na ziemi Królestwa Bożego, i będzie żyła z dnia na dzień na sposób starych narodów Europy, tracąc coraz więcej na sile i znaczeniu. Do tego doprowadzą nas nasze błędy, a gdybyśmy mieli wyższe pojęcie naszego wielkiego posłannictwa religijnego i moralnego, naszego chwalebnego powołania przez ciąg piętnastu wieków, nie przyszłoby do tego nigdy.

Napróżnobyśmy pocieszali się tem, że jeśli wielkie zagadnienia polityczne świata i Europy będą odtąd załatwiane bez naszego współdziału, jeżeli utracimy głos rozstrzygający w rzeczach dotyczących się religii, pozostaniemy niemniej nowożytnymi Atenami, środkowym punktem rozumu i smaku, jakim była w starożytności Grecya: najwykwintniejszym miejscem w świecie. Zaprawdę, byliśmy tem wszystkiem, ale czy i nadal będziemy, jeżeli będziemy trwali we wstępie do wszelkiej religii, jeżeli wygnamy Boga z naszych umysłów i serc tak, jakśmy Go już z praw naszych i urzędzeń wygnali? Cechami naszego umysłu były właśnie: podniosłość, szlachetność, wielkość, szczególnie złączona z prostotą; tym rzadkim i rzadko w parze chodzącym przymiotom zawdzięczamy nasze pierwszeństwo wśród ludów tegoczesnych, o którego zachowanie więcej dbać byliśmy winni. Tymczasem nie staraliśmy się o to wcale; po pokoleniu filozofów, usiłujących odebrać chrześcijaństwo duchowi Francyi, co było pierwszym poniżeniem, nie podobna

bowiem odłączać ducha chrześcijańskiego od geniuszu i piękności Bossueta, Fénelona, Pascala, Kartezjusza; są one w nich tak jednolite, że lepiej nie kusić się nawet o dokonanie pomiędzy nimi rozdziału; po tem zatem pierwszym pokoleniu, darzącem nas poniżeniem pierwszym, przyszła chmara wstrętnych sofistów i przedsięwzięła godne siebie zadanie zmateryalizowania naszego ducha, co jest jednoznaczem z jego zupełną zagładą. Bo jeśli, jak utrzymujecie, niema wcale Boga, duszy, ducha żyjącego i nieśmiertelnego, w cóż się, kiedy łaska, obróć: prawda, rozum, cnota, poezya, zapach, piękno? Wszystkie rzeczy ducha nikną, a zniknięcie ich — to śmierć dla umysłu francuskiego. Czyż nie one bowiem stanowią jego samoistność i wyższość? Czy chemia, fizyka i inne nauki przyrodnicze i ścisłe, któremi wcale nie pogardzam i w których zakresie mieliśmy i mamy wielu odznaczających się mężów, czy są one mimo to właściwem nam polem, gdzie geniusz nasz rozkwita i panuje? Wygnajcie Boga ze świata umysłu, zmateryalizujcie świat ten, a zostanie nam w nim miejsce ni większe, ni wyższe od miejsca każdego innego narodu. Odbierzcie Boga, duszę, duchowość naszemu geniuszowi, tak podniosłemu, szlachetnemu, tak wysoce uduchowionemu we wszystkim, w filozofii, w poezyi, w wymowie, sztukach pięknych—cóż pozostanie? nic wcale. A raczej pozostaną dwie rzeczy, które nigdy nie przynosiły nam chluby, owszem, były nam raczej skazą, a po wygnaniu Boga, a zatem przy braku lekarstwa i hamulca, będą naszym wstydem.

Niema na świecie, nic doskonałego i największe dusze mają swoje słabe strony; duch francuski ma stron tych dwie: lekkość i skłonność do rozwiązłości. Ta

skłonność przedewszystkiem zagraża nam niebezpieczeństwem. Chrystyanizm powstrzymał ją, miarkował, karcił, tak, że przez całe średnie wieki nie rozbijała w zło istotne. Ale w XVI wieku przy osłabnięciu tego wielkiego hamulca, owa skłonność do rozwiązłości rozlała się po raz pierwszy szerszym strumieniem, który ogarnął literaturę formalną powodzią w wieku XVIII. Wówczas to ukazały się dzieła, do których czytania nie śmie się przyznać nikt uczciwy: *Dziwica* Woltera, *Wojna bogów* Parny'ego, bezceństwa Pigault-Lebrun'a i wiele dzieł podobnych, na które trzebaby urządzić tajemną bibliotekę, jak owo tajemne muzeum w Neapolu na odkopane nieskromne klejnoty dam rzymskich. Myślę, iż żaden naród nie skałał papieru taką ilością błota, jak Francuzi, i że nigdzie niema takich książek, jak nasze z XVIII i XIX w., takich powieści, poezyi, tragedyi, felietonów, tchnących zepsuciem, rozpustą i bezbożnością. Niedawno porządkowałem i oczyszczałem z tych śmieci bibliotekę po zmarłym starcu. Jeszcze jestem przejęty zgrozą. We francuskim księgozborze trzeba stawiać kroki jak najostrożniej, tak, jak w niektórych ulicach, aby nie dotknąć się kału.

Do tego dołączcie lekkość francuską, którą brak wiary jeszcze powiększa. Jakaż bowiem wartość mieć mogą wszystkie poważne zagadnienia dla ludzi, odrzucających duszę i Boga? Co po historii ludziom, którzy zaprzeczają wolności i wszędzie widzą tylko panowanie praw nieugiętych? Umysłem grzęznącym w błocie na co się przyda poezya? Dajcie im dziennik dla zabicia kilku godzin dnia, i to dziennik nie zanedto poważny! Jak w pewnej chwili historii naszego narodu wydelikaczone i zniewieściałe dłonie nasze upuściły ciężki miecz

ojców, tak samo umysł coraz lżejszy wygnał ciężkie foliały dla poważnych jeszcze in quarto, które zostały wkrótce zastąpione przez szlachetne in octavo. Ale i to, wyparte wprędce przez coraz mniejsze i lżejsze formaty, znika z widowni, umysł zaś nasz, słabnący coraz bardziej, nie może już wydołać i tym ostatnim. Pojedyncze arkusze pism codziennych przynęcają czytelników lekkim felietonem. Albo raczej przynęcały, bo i te czasy należą już do przeszłości, kiedy poważny dziennik, poświęcony polityce, lżejszym wiadomościom udzielał miejsca w felietonie tylko, czyniąc to ustępstwo dla rozrywki swoich czytelników. Dzisiaj cały dziennik jest felietonem. Próżno w nim szukać polityki, artykułów poważniejszych, wiadomości naukowych; same tylko plotki uliczne, tłuste historyjki, anegdoty zakulisowe. Taki dziś jest umysłowy pokarm narodu, bogaciej uposażonego nad wszystkie narody nowożytne. Pomału umysł rozprasza się, rozdrabnia coraz więcej. Nie może zdobyć się na najmniejszy wysiłek, nuży go wszelkie natężenie uwagi. Gaśnie.

Kończmy to dzieło: Wygnajmy Boga z ducha narodu, a z Nim podniosłość, szlachetność, powagę, głębokość, siłę, to jest moralną wielkość i piękność; zostanie tylko rozwiązłość i lekkość, dwie pokrewne sobie własności, i ujrzymy, co będzie z umysłem francuskim. Będziemy jeszcze Grecyą, ale nie z czasów Peryklesa; będziemy Grecyą współczesną Cycleronowi, w której Rzym zaopatrywał się w gramatyków, nauczycieli i historyków, płacąc im złotem i pogardą. Nie mogąc zapomnieć o minionej wielkości, będziemy nużyli świat powtarzaniem imion Bossueta, Pascala, Corneille'a, Kartezjusza; ale te wielkie imiona uwydatnią jeszcze naszą wobec nich

małość. Niewiara wytworzy z nas tylko jałowych dostarczycieli rozrywki lub wesołych gorszycieli, i ojczyznę Bossueta i Corneille'a sprowadzi do zaszczytnej roli Figara Europy.

A jednakże te wszystkie zamachy, skierowane przeciw duchowi Francyi, przeciw jej szlachetnemu i światłemu umysłowi, są jeszcze niczem wobec z tak zatrważającą zgodą i wytrwałością przeprowadzanych usiłowań zepsucia i zgangrenowania jej serca. Widzieliśmy wyżej, czym jest serce Francyi, widzieliśmy jego wyjątkowo piękne cechy. Ale i ono ma strony słabe. Jedną ma własność wybitną, ale też i wysoce niebezpieczną, jeżeli boski wpływ religii nie będzie jej ustawicznie strzegł, prowadził, poskramiał i przeistaczał. Ta to własność dała początek rycerskości, tkliwej czci dla kobiet, doprowadzonej w wiekach średnich do stanu kultu; bo Kościół pojął swym rozumem i praktycznym rozsądkiem, że nie zagraża Francyi zagłada przez egoizm, ale owszem może być łatwo przez miłość doprowadzoną do zepsucia, że zatem trzeba tę miłość uświęcić, postawić niewiastę prawie na ołtarzu i zapalić serca czcią dla najwyższego ideału. Ten jest także początek w naszych czasach tak nazwanej francuskiej kurtoazji, galanterji, będącej szczególniejszem i czysto francuskim połączeniem szacunku, delikatności i nadskakiwania, i stanowiącej w obyczajach to, co w świecie umysłowym stanowił w Grecji attycyzm. Ale na to trzeba, aby poziom religijny się nie obniżał, w przeciwnym razie od średniowiecznej rycerskości, od kurtoazji i galanterji wieku XVII jeden krok tylko do zbytnej swobody i niebezpiecznej czułości XVIII stulecia, a stamtąd do wolnej miłości, nie krępowanej żadnemi prawami

i skrupułami, rządzącej się kaprysem i upodobaniem przelotnem, a dalej do wszelakiego występku i hańby.

Otóż tej to stronie serca Francyi, stronie najdelikatniejszej, najbogatszej, najidealniejszej, ale też i najniebezpieczniejszej wypowiedziano zaciętą wojnę. Nie szczędzono niczego, aby ją zepsuć, poniżyć, zbezczęścić. Zjawili się sofisci, którzy postawili sobie za zadanie uwolnić nasze serce od wszystkich więzów, wszystkich tam boskich, od hamulców rozumu i sumienia; rozkiełznać jego namiętności i zepsuciem wyrwać z niego chrześcijaństwo, tak jak Kościół oczyścił je, dając mu chrzest. Może za Renem można platonicznie zaprzeczać istnieniu Boga, utrzymywać, że niema duszy, niema wolności ducha ani też odpowiedzialności za postęпки, jednym słowem, że niema dobra ani zła, nie zagrażając przez to jednostkom ani ustrojowi społecznemu. Ale we Francyi to niemożliwe. Takie myśli nie pozostają w umysłach w stanie abstrakcyi; rozszerzają się wnet zepsuciem w obyczajach. Niema, powiadacie, Boga, niema duszy. Więc musicie przyjąć i nieuchronny wniosek. Niema Boga: zatem prawda jest urojeniem, nieśmiertelność to tylko mrzonka, cnota to niedorzeczność. To produkt pewnych organizmów, „jak cukier lub witryol.” Możecie sobie wytwarzać cnotę, ofiarę, jeżeli wam to sprawia przyjemność. Ja wytwarzam rozkosz, użycie.

To też kiedy wolnomyślicielstwo podkopywało tak w sercu Francyi wszystkie tamy i zrywało wszelkie węzła, spójrzcie, co porabiała przez ten czas jego córka, wolna moralność. Córka? powinienbym raczej rzec: jego matka. Co stwarzała? jak nazwać jej dzieło? Pióro moje nie skała się tem imieniem, powiem tylko, że kiedy zaczyna się ich panowanie, wracamy w czasy

cesarstwa Bizantyjskiego. Dotąd ukryte one były, w cieniu czatowały na swe ofiary; naraz podniosły głowę, ukazały się na ulicach, zaczęły mieć rozgłos i powodzenie, przejeżdżać się po Paryżu rozparte w powozach, obryzgując wszystko błotem. To narodziny pół-światka, a wnet po swem powstaniu zaczął on dyktować prawa wielkiemu światu. Narzucał mu swe obyczaje, mody, wyzywające kostiumy, zuchwałe postęпки, nawet swój prostaczy język. Rujnował go; ssał jak pijawka jego bogactwo, honor i krew. Potem zwracał mu jego synów, jak morze wyrzuca topielców po rozbiciu się statku, wyniszczonych, zezwierzęconych, wyłysiałych, z oczyma zapadłemi i zwiędłą twarzą, niezdolnych do odczucia pocziwej miłości, nie mogących być ojcami, albo dających swym potomkom życie chorobliwe, przekazując im w spadku zgubną truciznę, która znikczemnia nasze pleię. A wyście sądzili, że można odjąć sercu, francuskiemu szczególnie, hamulec wiary i zatrzymać je potem w pół drogi! Nie powstrzyma się ono wcześniej, niż w kałuży!

A całe to hańbiące zepsucie, grasujące w Paryżu, prasa szerzyła po wszystkich prowincjach, po całym świecie nawet. Za pomocą jej Paryż zatruwał świat cały swoją lubieżnością. Cała Europa zbiegała się do niego i powracała do siebie zepsuta, naprzekór powołaniu Francyi, które ona przez ciąg czterestu wieków godnie spełniała.

Ale nigdzie więcej i lepiej nie dała się widzieć ta hańba, niż w sztuce dramatycznej. Już to nie tragedye, osnute na wielkiej osi cnoty i miłości, nie obrazy szlachetnych uczuć, tak u nas niegdyś udatne, którym Corneille i Racine dali początek, ani nawet wesoły i deli-

katny, szlachetny jeszcze, chociaż nie dosyć chrześcijański, śmiech Molière'a. Nie było tam już nic dla duszy i umysłu. Gromadzono się, aby się przyglądać nawpół obnażonym kobietom, i im ich było na scenie więcej, im bardziej były nieskromne, tem większem powodzeniem cieszył się teatr.

W ten sposób rozpręgały się obyczaje Francyi, psuła się krew najzacniejsza. A tymczasem pierwiastek rozkładu przedostawał się do rodzin pod zmienioną formą. Niesłychany zbytek psuł je i rujnował. Wszystko zdawało się sprzysięgać na ich zgubę, wszystko dążyć do zatrucia ostatków niezepsutej krwi, co ożywiała serce Francyi, przechowanych w prowincjonalnych zakątkach i w łonie zacnych rodzin; wszystko, poczynszy od mód najbardziej krzyczących, obrażających jeszcze więcej dobry smak aniżeli moralność, od nieskromnego obnażania, znieważającego pierś najczystszych dziewic, do wyuzdanych tańców, odbywanych pod okiem zaślepionych matek i występnych ojców.

Któż wypowie stopień rozprężenia moralnego, do którego doszliśmy? Kiedy czytam ówczesnych pisarzy, powieściopisarzy, głównie jedna rzecz uderza mnie i przestrasza. Anglia, Ameryka, Niemcy posiadają mnóstwo powieści z życia rodzinnego, czystych, delikatnych, opisujących domowe ognisko, drobnostki życia codziennego, ale opromienionych blaskiem uczucia. Z Francją rzecz się ma przeciwnie. Nie ma ona powieści nie opartej na wiarołomstwie, nie malującej jakiegoś gorszącego zajścia. Potrzebuje zakazanej miłości i krwi. Wszakże uznano powszechnie, że literatura jest obrazem społeczeństwa. Czyliż ci malarze obyczajów widzą w otaczającym ich społeczeństwie same tylko intrygi, samo zepsucie i wia-

rołomstwo? Albo może wiedza, że niczem innem nie zajmą czytelników? Tak jest, Francya utraciła moralność i cnotę, traci je coraz bardziej, i dochodzimy do chwili, kiedy zło, zakorzeniwszy się na dobre u jednostki lub społeczeństwa, zagraża już życiu.

Jest-że na to jakie lekarstwo, jaki środek zaradczy od tej gangreny, toczącej serce Francyi? Tak jest, było jedno, cudownie zastosowane tak do jego stron pięknych i wielkich, jak i braków stron słabych. Ale odrzucać je. Francya miała religię, której pierwszym symbolem była Dziewica, nadziemsko czysta, do której serca garnęły się nasze córki i czerpały z niego skromność, wdziek miły, które je upiękniały, napełniały urokiem nasze domy, zdobiły nawet ulice.

Drugim religii tej symbolem był krzyż, który uczył dojrzałych mężów nie panować, ale służyć, poskramiać siebie, być gotowym do ofiary, i nadawał im podniosłość myśli, delikatność uczuć, skromność i łagodną powagę, które były ozdobą, bezpieczeństwem i szczytem rodzinnego ogniska.

Ostatnim wreszcie wyrazem tej religii jest miłość, miłość nie myśląca o sobie, pełna poświęcenia, dana nam z Nieba, ażeby nauczyć nas kochać, aby szerokim strumieniem ogarnąć całą ludzkość.

A wy tę religię odrzucacie! I zdaje się wam, że waszą moralnością bez podstaw i bez nimbu świętości utrzymacie te wszystkie cnoty! Myślicie, że utrzymacie chrześcijańską skromność, że zachowacie czystość młodzińców, utrzymacie małżeństwa w jedności, szczęściu, błogosławieństwie Bożem, małżeństwa nieskalane, wzrastające w miłość wzajemną, pełną delikatności, szacunku i poświęcenia, jaką daje im chrystyanizm! Sądzicie, że

zachowacie dziewice nieskalane, godność niewiasty, świętość małżeństwa!

Albo może wyobrażacie sobie, że wzgardziwszy tem wszystkim, podeptawszy te swoje najcenniejsze dobra, pozostaniecie mimo to zawsze wielkim narodem?

O, nie! dobre obyczaje tworzą wielkie narody; czyste ogniska tworzą silne plemiona. A ogniskami czystemi, rodzajnemi są te tylko, które się wspierają o ołtarz. Wspomnijcie na wiek XVIII. Wówczas, wedle czyjegoś silnego wyrażenia, „Sardanapal nocował w sypialni świętego Ludwika, Stambuł nawiedził Wersal i upodobał go sobie.” A w kilka lat potem Francya pogrążała się w otchłani!

Utraciecie tedy wszystkie te skarby, a nie śmiałybym zaręczyć, czy z ogólnego rozbicia uratujecie tradycyjne narodowe męstwo! Nie cofam ja nic z tego, co powiedziałem wyżej o francuskim mieczu. Nawet po tylu klęskach pozostaje on najpierwszym w świecie. Ale nie należy go dawać w ręce bezbożne, rozpustne, sprzedajne. Czyż myślicie, że skoro zaszcepicie gangrenę w sercu, będzie ono jak przedtem przybytkiem męstwa? Ależ męstwo i honor to najbardziej boskie przymioty serca! Świadczą one o gruncie szlachetnym i wzniosłym. Starożytni mówili, że ojczyzna—to ołtarze i ogniska. Ale wy ołtarzy nie macie; okrywacie je pogardą i zniewagą! Macie tylko ogniska, i to ogniska smutne, ponure, skalane może, bez kolebek. Za cóż mielibyście ginąć? Zostają wam tylko interes własny i przyjemność, a nikt nie kładzie życia w ich obronie.

Nie zapomnę nigdy widoku, jaki mieliśmy w Orleanie 15-go sierpnia roku 1870 i dni następnych. Zwołano tam wszystkie rezerwowe pułki, wszystkie milicje

z sąsiednich departamentów, aby spróbować utworzyć z nich wojsko, któreby mogło naprawić pierwotne klęski. Ulice były pełne żołdactwa brutalnego, pijanego, które bluźniło Bogu i znieważało Jego kapłanów. Pamiętam jakby to było wczoraj, jak cały pułk jeden przeprowadzał szyderskimi okrzykami szanownego siwowłosego księdza. Tysiąc pięciuset zbrojnych uragało jednemu starcowi. A kiedy ktoś z przechodzących, oburzony taką podłością, robił uwagę jednemu z przełożonych, ten odpowiedział tylko ruchem ramion, oznaczającym, że nic na to nie poradzi. Wówczas wydało mi się, że mam przed oczyma los, a raczej nieszczęście Francyi.

To samo wrażenie, tylko silniejsze jeszcze, miałem w dniu 13-tym października, we dwa dni po bitwie pod Orleanem i wzięciu tego miasta. Wyszedłem był dla zwiedzenia pola bitwy i zobaczenia, czy nie znajdzie się w otaczających winnicach jakiś ranny, potrzebujący pomocy. Kopano właśnie dwa wielkie groby pomiędzy Chapelle-Vieille i Fleury, jeden dla francuskich żołnierzy, drugi dla wrogów. Znoszono i zwożono trupy z promienia dwu i trzymilowego, bo armia francuska, rozproszona pod Orleanem, pokryła była dużą przestrzeń.

Tymczasowo składano nad brzegiem dołów w stosy tych poległych, których twarze nosiły jeszcze wyraźne odbicie przedśmiertnych wrażeń i uczuć. Szczególnie rysy tych, którzy byli na miejscu zabici kulą, wyrażały dumę, gniew i zapał. Pamiętam, kontrast ogromny z nimi tworzył młody milicyant z Chêr, szczupły, delikatny, twarzy dziwnie i wysocę pięknej, ugodzony w piersi, z szeroko otwartymi oczyma i ustami, jak gdyby miał zaraz przemówić. Położyli go byli na młodym Bawarczyku, łagodnym i jasnowłosym, który wyglądał

jak śpiący. Obu złączyła w swoim objęciu śmierć, wielki rozjemca ludzkich niesnasek. Niedaleko stamtąd spotkałem się z wrażeniem, powyżej wzmiankowanym. W ustronnem miejscu, pod mostem kolejowym, natrafiłem na żołnierski tornister obok porzuconej fuzyi. Wiatr przewracał kartki wyglądającego z niego zeszytu. Wziąłem go do ręki. Na początku były tam bezbożne i nieskromne piosnki kordegardowe, skreślone oplakaną kaligrafią i ortografią. Następnie ta sama ręka pomieściła tam skandaliczne opowiadanie, najsprośniejsze jak można sobie wyobrazić. Biedny chłopiec, poszedł do boju z tem bezceństwem w tornistrze! Jeżeli zginął, to był jego wiatyk. Zalany łzami wracałem do miasta zbombardowanego przedwczoraj przez Prusaków. Zdawało mi się, że wracam z pogrzebu Francyi. Ale w duszy mojej nie sam tylko był smutek; łączyło się z nim oburzenie. A myśląc o tych wszystkich, którzy od lat dwustu nie szczędzili usiłowań, aby zepsuć Francję, i doprowadzili nas do tych nieszczęść, przypominałem sobie sławne słowa A. Musset'a:

„Czy śpisz zadowolony, Wolterze?”

Ale chociaż serce Francyi tak mocno jest chore, charakterowi jej zagraża większe jeszcze niebezpieczeństwo. Trzeba mieć odwagę wyznania sobie, że charakter zajmuje ostatnie miejsce we wszystkich wspaniałych darach naszej ojczyzny. Jest ona z natury ruchliwa, wrażliwa, rządzącą się uczuciem, co jej nadało pierwszorzędną piękność; powodzenie napęłnia nas otuchą i czyni niezwyciężonymi, ale przeciwności odejmują nam energię; przechodzimy kolejno od gorącego zapалу do zniechęcenia; wzbudzamy podziwienie świata to wspaniałemi

zwycięstwami, to znowu doniosłością i głębią klęsk naszych i nieszczęść. W życiu państwowem to samo dziwne przerzucanie się od krańcowej niepodległości do ostatecznego służalstwa. Dzisiaj, do zbytku zazdrośni o naszą wolność, wyganiaamy królów za łada powodem, a nazajutrz korzymy się ze drżeniem przed pierwszym lepszym, który odważy się podnieść nad nami batog. W jednej Francyi z pomiędzy wszystkich krajów chrześcijańskich panował swojego czasu terrorizm; w niej jednej jest on zawsze możliwy, a w tym napadzie szału niewiadomo, co przejmuje większym podziwem: podłość rządzących, czy też rządzonych? Jakże nasza stara religia katolicka dobrze znała duszę Francyi, jak wytrwale i konsekwentnie pracowała nad podtrzymaniem i umocnieniem naszego charakteru! Ona to rycerzom naszym dała hasło: *Potius mori quam foedari*; sędziów nauczyła: „wydawać wyroki, a nie wyświadczać przysługi;” a ludziom stanu włożyła w usta te słowa: „Dusza moja należy do Boga; serce do króla; ciało moje jest w mocy złych ludzi; niech robią z niem co się im podoba.” Dzięki też tej surowej i hartującej szkole chrystyanizmu kraj nasz wydawał dotąd na podziw świata największe charaktery, najpiękniejsze dusze, najsilniejsze przekonania, jednym słowem: najpiękniejsze typy tego francuskiego charakteru, z natury lekkiego, niestałego, wrażliwego, unoszącego się łatwo zapalem i równie łatwo poddającego się apatyi, ale który przez wiarę, sumienie, honor, przez stałość zasad wznosił się do mocy i wielkości.

To jest dzieło religii, a zburzyła je niewiara. Śpijcie spokojnie. Nie pozostało z niego nic, albo raczej tak dobrze, jak nic. Przeszliśmy przez niepowszednie

kłeski. Z uwagą, jak mam zwyczaj, patrzałem wokoło siebie. Przygnębienie dusz, podkopanie charakterów wprawiły mnie w przerażenie. Niema już ludzi! Dlaczego? Ponieważ nie mamy zasad. U większości ludzi próżno szukać gruntu, podstawy w duszy. Są oni rozumni, wykształceni; umieją wszystko; o wszystkim potrafią mówić; ale ich wyobrażenia o moralności, pojęcia najważniejszych zagadnień, rzeczy nieskończonych, są nieokreślone, chwiejne, czasem dziwnie błahe. Duszom ich brak kotwicy. Nie trzymają się one żadnego pewnika. Cóż dziwnego, że są oddane na wolę fal i wichrów? O cóżby się wsparły, chcąc stawić czoło burzy? To też zabrakło nam jednocześnie wszystkich sił: siły posła, któryby głosował niepodległe i według sumienia; siły prefekta, podprefekta, mera, których posłuszeństwo nie przekraczałoby prawideł honoru i sumienności; siły autora, szanującego swoje pióro. Francya nie ma tego wszystkiego, bo nie ma już tej świętej, najpotrzebniejszej ze wszystkich siły, siły moralnej, opartej na niezachwianem przekonaniu; siły, która powiada:

„Boga się boję, Abnerze, i niczego więcej.”

Dokończcie zniszczenia tej moralnej siły; podepczcie wszelkie zasady, jako urojenia; uprzątńjcie z dusz resztki przekonań, jakie się jeszcze zachowały; tylko nie mówcie potem, żeście zazdrośni o wielkość Francyi. Póki nie znała was, bezbożnicy, materyaliści, postępowała na czele ludzkości, budziła w niej uwielbienie i zazdrość. Dzisiaj wam to zawdzięcza, że już ogromem klęsk swoich i głębią niedoli jest dla niej przedmiotem podziwu.

Tak pod pałacem tchnieniem politycznego i społecznego ateizmu słabnie i gaśnie umysł, serce, charakter, ciało nawet. Tak jest, ginie nawet i ciało Francyi, tak silne, tak potężne, tak dobrze uorganizowane. Nie tylko zmniejsza się wzrost narodu, tak, że co lat piętnaście trzeba zniżać miarę dla rekrutów; nie tylko krew blednieje, tak, że w pewnych okolicach, w wielkich miastach, w Paryżu, wydaje nam się, że jesteśmy wpośród tłumu widm; oto i ludność zmniejsza się stopniowo, jak wypalony olej w lampie. Korzenie naszego życia podgryza zło nieznane naszym ojcom, które występuje tylko u ludów upadających. Czyżby nadszedł dla nas ów czas Państwa Rzymskiego, kiedy nie było prawie małżeństw, kiedy trzeba było zmuszać młodzieńców prawem do obioru towarzyszkii życia; kiedy szczególnymi łaskami i przywilejami, pensyami nawet potrzeba było zachęcać rodziny, aby miały dzieci? Faktem jest, że według najświeższych statystycznych danych, Francya co do przyrostu ludności zajmuje ostatnie miejsce w szeregu państw europejskich. Oto, kiedy na przykład w Prusiech przyrost ten od roku 1817 do 1864 wynosi 82⁰/₀, we Francyi dochodzi zaledwie do 25⁰/₀. Różnica jeszcze staje się wybitniejszą, skoro porównujemy Francję z Rosyą, Anglią lub Stanami Zjednoczonymi. Przez ostatnich kilka lat ludność stoi w tej samej mierze, ale chociaż ilość pozostaje niezmienną, jakoś jej pogorszyła się. Giniemy widocznie. Wybacz, Francyo, kochającemu cię synowi, ale jakże mógłbym nie zapłakać nad tobą! Oto Rosya zdobywa górną Azyę, a wkrótce może zapanuje i nad dalszym Wschodem. Oto Anglia pokrywa kwitnącemi koloniami Oceanie, Australię, Indye. Oto Ameryka, zapełniwszy oba lądy, rozszerzy się

wkrótce na wszystkich morzach, ty zaś, moja wielka ojczyzno, nie będziesz może miała rąk dosyć do uprawy własnej ziemi!

Ale w smutku mym i niepokoju na widok słabnięcia i wycieńczania się ciała Francyi pod mroźnym podmuchem niewiary, materyalizmu i bezwyznaniowości, nie troszczę się jedynie o fizyczne ciało tej kochanej ojczyzny, jej krew, siłę i liczbę jej dzieci; nadewszystko trwożę się o ciało jej społeczne, o organizację tego drogiego mi narodu, tak zjednoczonego, tak pełnego życia, tak wolnego niegdyś, dzisiaj zaś tak wzburzonego, tak niezgodnego, tak mocno chorego, wstrząsanego ciągle nowymi przewrotami, jak owe dusze potępionych Dantego, któremi miotają wiekuiste wichry. Utraciliśmy starą naszą konstytucję, a niezdolni jesteśmy do utworzenia nowej. Dawna miała zapewne swoje usterki, ale dzięki to jej Francya, chociaż głęboko przywiązana do swoich królów, była zawsze ziemią swobody. Obecnie, tyle razy już pracując nad odbudowaniem tego starego gmachu na nowych podstawach, w formie, któraby go czyniła zdolnym przetrwać przyszłe możliwe przewroty, czyż osiągnęliśmy pożądaný skutek? Zważcie, jakiej to już organizacyi nie próbowaliśmy w obecnem stuleciu, a któraż z nich mogła się utrzymać? Co piętnaście lat szukamy sobie nowej, a skoro ją posiadamy, nie otaczamy jej czcią, nie uważamy za rzecz świętą i nietykalną, nie podlegającą naganie i krytyce, chyba bardzo ostrożnej i pełnej szacunku; nie naśladujemy starożytnych, którzy uważali ją za daną z Nieba i pomieszczali w świątyni, aby to odosobnienie, tajemniczość i opromienienie blaskiem religii uczyniło ją tem czcigodniejszą; nie obchodzimy się z nią jak

z drzewem, którego korzeni nie odkopuje nikt, oprócz dzieci albo szaleńców; owszem, zaledwie powstanie, poddajemy ją krytyce, wynajdujemy jej słabe strony, obieramy ją za cel dowcipu, za przedmiot żartu i szyderstwa, tak, że po upływie lat piętnastu niema potrzeby jej obalać: upada sama, zdyskredytowana, odarta z uroku, wzgardzona, ośmieszona. Co piętnaście lat mamy „rewolucyę pogardy.” A wówczas, kiedy w zaślepieniu pracujemy nad tem wielkiem dziełem, w pyłe wzbijającym się z tych szczątków społecznej budowy kryje się i czai stronnictwo, pragnące przywłaszczyć sobie władzę, nim będzie mogło kraść własność. Biedna moja ojczyzno! z kimże cię porównam? Jesteś podobna do owej niewiasty starożytnej, płaczącej, ponieważ czuła, jak dwaj jej synowie bili się w jej łonie.

Podwójcie usiłowania, bezwyznaniowcy, ateusze, materyaliści: Francya nie dosyć jeszcze poniżona! W sercach robotników miejskich i rolników wsi, w sercach wszystkich, którzy cierpią, zagaście wszelkie zasady a rozplomieńcie pożądlivości, zdejmcie wszelkie hamulce, rozkiełznajcie namiętności, a nie będzie potrzeba barbarzyńców, żeby zniszczyć Francyę i świat od niej oswobodzić. Rozszarpie się ona własnymi rękoma.

Albo raczej nie! — występki nie uchronią jej od barbarzyńców, a jeżeli niewiara weźmie w niej górę, to, zaćmiwszy jej umysł, zepsuwszy serce, podkopawszy charakter, rozerwawszy jedność narodową, będzie miała dla niej w pogotowiu wiele innych nieszczęść. Stracony archanioł Milтона ma jeszcze wiele pięknych śladów dawnej wielkości i świetności; tak samo będzie i z Francyą: chociaż straci wiarę, zmateryalizuje się, wszelako zachowa charakterystyczną swą i piękną cechę, ducha

apostolstwa, prozelityzmu. W wiekach średnich szerzyła ona na całym świecie swoje urządzenia polityczne, społeczne i religijne; w XVI i XVII stuleciu propagowała swój język, obyczaje, sztukę, a obecnie swoje prawodawstwo; i wszędzie, gdzie się tylko zjawi, musi odcisnąć piętno swoje; gdy będzie zepsuta, będzie szerzyła swe zepsucie. Z uwiedzionej stanie się uwodzicielką. I straszna to będzie rzecz, kiedy ten jej umysł, wdzięk, to serce, ten język, gorliwość ta zaprzęgna się do służby zła. Przyjmie ona z niemieckich uniwersytetów systematy filozoficzne najśmielsze, najobrzydliwsze i najbardziej upadlające; oczyści je, rozjaśni, uprzyścipleni, wyciągnie z pyłu ciężkich ksiąg, gdzie były pogrzebane, i rozrzuci po całym świecie, aby wszędzie zagasić światło. Przedstawi najrozpasańsze mody, najniemoralniejsze książki i powieści. Tych, niestety, nie będzie potrzebowała u innych zapożyczać; wysnuje je sama z siebie. A jeżeli jej twórczość w tym kierunku nie podoła temu zadaniu, wyda tylko na nowo wszystkie utwory XVIII wieku; wydrukuje je w lotnych świstkach kilkugroszowych, ozdobi sprośnemi ilustracyami i rozleje je po całym świecie przez wędrownych przekupniów. Będzie miała misyonarzy zepsucia, jak niegdyś misyonarzy cnoty. Przez morza i góry porozumie się ze wszystkimi burzycielami porządku społecznego; podnieci jeszcze nie dosyć gorliwych; w najustronniejszych dolinach rozdmucha płomień rewolucyi i krwawą jej pochodnię wzniesie nad światem. Królowie przerażą się tem nowem apostolstwem; narody zdrowe jeszcze usuną się od Francyi, jak od zapowie-trzonej. Oddzielią się od niej kordonem sanitarnym. I, czy to za wolą Boga, pomnego na dawną Francję

i opuszczać jej nie chcącego, czy przez zawiść, nienawiść lub niepokój królów i narodów, którzy będą usiłowali zagasić to niebezpieczne ognisko; — po opustoszeniu, zmniejszeniu, rozdarciu Francyi przez jej własne dzieci, zdziesiątkują ją jeszcze i zdepczą obcy; a jeśli, od czego uchowaj nas Boże, te wszystkie klęski spowodują jej zgubę, pielgrzym, zwiedzający jej szczątki, nie miałby dosyć łez, ażeby opłakać jej niedolę.

„Jako siedzi samo miasto pełne ludu!...” (Treny Jer. I, 1).

„Komu cię przyrównam, abo komu cię przypodobam, córko Jerozolimska?... ”

„Klaskali nad tobą rękoma wszyscy mijający drogą, świstali i chwiali głową swoją nad córką Jerozolimską, mówiąc: I onoż to jest miasto doskonałej piękności, we-sele wszystkiej ziemi?” (Tamże, r. II, 13, 15).

Ale wspomniawszy, że to przez bezbożność i występki upadła królowa narodów, pielgrzym zaduma się nad ruinami i wyda mu się, że słyszy głosy, które trwożyły Jerozolimę w przeddzień jej upadku: „Bogowie odchodzą.” Przywiedzie dzieci swe i wnuki, aby zrozumiały naukę, jaką te szczątki zawierają, i wskazując im zwaliska Luwru, Tuileryów, łuki mostów Sekwany, wyrzeczcie: „Patrzcie, mieszkał tu niegdyś wielki naród, ale upadł, ponieważ chciał żyć bez Boga!”

V.

Ale nie kończmy na tak smutnych przepowiedniach. Nie, bezbożni, bezwyznaniowcy, materyaliści, nie opanowaliście duszy Francyi, chociażście na nią

ze stron wszystkich umiejętnie i konsekwentnie napadli. Staraliście się dotrzeć do jej źródeł; nie dostaliście jej wszelako. Wymyka się wam; ucieka z waszych ciasnych widnokręgów, z jaskiń, w których chcieliście ją zamknąć i gdzie jej duszno; na przekór wam wznosi się do stref pogodnych, gdzie przemieszkuje wielkość i światło.

Spójrzcie naprzód na umysł Francyi, ten umysł szlachetny, światły i logiczny. Nie, nie zmienił się on, nie zmniejszył, nie zgasł; jaśniej dziś szczególniejszym blaskiem, wyższym zaiste od blasku wieku XVIII, w pewnych częściach równym blaskowi XVII wieku, nawet ośmielę się utrzymywać, że wyższym pod niektórymi względami. Język XIX w. ma zapewne mniej poprawności, mniej wielkości surowej, ale za to jest barwniejszym, bogatszym i dźwięczniejszym, więcej ma rozległości i giętkości. Chcieć unieruchomić język jest to barbarzyństwo. Żyje on, rozwija się, traci jedne piękności, nabywa za to innych. Czyż nie widzicie, ile to nowych, wybitnych piękności, które już kielkowały w wieku XVIII, ale były przytłumione przez zbyt puryzm, nadały obecnie naszemu językowi blask szczególniejszy? A ileż darów zupełnie nowych, nieznanych poprzednim wiekom! Weźmy na przykład poezję liryczną. Czyż może w tym względzie porównać się z nami wiek XVIII? Prawda, że ma Racine'a. Ale u niego poezya liryczna to tylko dodatek; a zresztą, jest on jedynym, bo nie zaliczę nigdy do liryki ód Boileau; my zaś mamy co najmniej trzech pierwszorzędných liryków. Ale nie tu jeszcze nasza stanowcza i wybitna wyższość. Stanowi ją poezya serca (*intime*). Pod tym względem przeszłość nie daje nam wyższych ani

równych. Wiek XVII nie przeczuwał nawet tego rodzaju, w którym my stworzyliśmy arcydzieła. Na przykład, że wymienię tu jedno tylko, *Le Lac* (Jezioro) będzie żyło, póki żyć będzie język francuski i przejdzie do potomności w jednym przynajmniej rzędzie z najpiękniejszymi utworami wieku XVII. A w iluż to innych rodzajach znaleźliśmy nowe drogi! W historii na przykład, tak w wieku XVII bladej i ogólnikowej, wyjąwszy Bossuet'a, bo ten posiadał geniusz, który wszystko zastępuje. Skończę na tem, ponieważ nie mam obecnie zamiaru przeprowadzać wyczerpującego porównania pomiędzy umysłem Francyi XVII i XIX w.; a przytem, to co powiedziałem jest wystarczającym dowodem, że bezbożność, materyalizm i bezwyznaniość nie opanowały jeszcze do tego stopnia umysłu francuskiego, aby go spospolitować, poniżyć i zagasić.

Chcę tylko zwrócić waszą uwagę na cechę tego umysłu w naszym stuleciu. Tam tylko zachował jeszcze pewną wielkość, gdzie pozostał religijnym. Jest o tyle wielkim, o ile chrześcijańskim. Powiedzcie, jacyż są nasi wielcy filozofowie, którzy w przyszłości będą uosobieniem naszego geniuszu filozoficznego? Bezspornie de Maistre, a może i Bonald: autor *Wieczorów Petersburskich* ¹⁾ i autor *Pierwotnego Prawodawstwa* ²⁾. Nie ośmielam się zaliczać do nich Cousin'a, wielkiego prozaika, filozofa miernego, bez oryginalności, bez mocy, bez pomysłowości, o którego z pewnością nie upomni się ateizm i materyalizm. Za to chętnie przytoczyłbym

¹⁾ Soirées de Saint-Pétersbourg.

²⁾ La Législation primitive.

tutaj religijnego Maine'a de Biran, który może podniósł najwyżej myśl filozoficzną w naszym wieku. A któż jest naszym wielkim prozaikiem? Chateaubriand, autor *Geniuszu Chrześcijaństwa* ¹⁾, śpiewak *Męczenników* ²⁾. Jeden tylko mógłby z nim współzawodniczyć: autor *Studyum nad obojętnością* ³⁾. Przejdźmy kolejno do poetów. Znam wszystkie wady Lamartine'a, ale cóż w nim za cudowna wzniosłość duszy! Zaczekajmy, aż wiatr postrąca z tego szlachetnego drzewa dużo zwiedłych liści i nieco nadpsutych owoców, a pozostanie mała wiązanka rzeczy wyborowych, kwiatów i owoców przejętych duchem religijnym. To samo będzie z Wikto-rem Hugo; tylko że to potężne drzewo będzie potrzebowało silniejszego wiatru. W każdym razie z jego i Lamartine'a utworów te tylko pozostaną, które tchną duchem chrześcijańskim. A jeśli, jak przypuszczam, niektóre poezye Alfreda de Musset przejdą do potomności, to właśnie te, które malują przerażający smutek jego opustoszałego serca, jego okrzyki zranionego orła, wymowne złorzeczenie tym, którzy Boga ze świata wygnali. Weźmy teraz mówców. Czy wiek XIX ma wielkich? Tak jest, a na ich czele Berryer'a, równego największym nie tylko tego wieku, ale wszystkich czasów; jednego z tych niewielu, co na tym biednym świecie, gdzie wszyscy jākamy się, mówili dobrze; potem Lacordaire'a, mniejszego niżli poprzedzający, bo nie miał jego prostoty ani siły uczucia, ale zawsze jeszcze bardzo wiel-

¹⁾ Génie du Christianisme.

²⁾ Les Martyrs.

³⁾ Essai sur l'indifférence.

kiego. Byłby on jeszcze większym, gdyby nie był nic napisał, bo jego pióro ustępuje wiele jego słowu. Ci oto pozostaną nam z pomiędzy wszystkich, którzy już nas opuścili. A jeszcze czy pozostaną wszyscy? Przynajmniej będą przyszłym wiekom świadectwem wysoce duchownego religijnego i chrześcijańskiego charakteru myśli w wieku XIX. Wszystko z tego wieku, co przeżyje innych, będzie nacechowane tajemnem dotknięciem, chrztem religii. Wszystko inne, napoczęte przez nieczystego robaka ateizmu i materyalizmu, pójdzie do śmieci, do rynsztoku. Tak, bezbożni, pomrzecie, już nawet pomarliście! Szukam pomiędzy wami, czyje imię jest przeznaczone do chwały, czyja skroń czeka nieśmiertelnego wawrzynu, ale nikogo takiego nie widzę, i wy mi go wskazać nie potraficie.

Wielkie umysły, wymienione wyżej, są co prawda wystarczającym dowodem, że dusza Francji jest jeszcze głęboko religijną; ale o ileż jaśniej poznajemy tę prawdę, kiedy badamy jej serce! Ono to szczególnie dalekie jest od śmierci. To wielkie serce dręczone, przytłumiane, gorszone, psute przez was, wymyka się wam także. Prawda, że z waszej łaski niema już dla niego miejsca w polityce; że jęczy bezsilnie nad Irlandyą, płacze i burzy się nad niedolą Papieża prześladowanego, znieważanego, więzionego. Bije wszelako w piersiach wszystkich prawych dzieci Francji; jest zdolne wzruszyć zapałem całą izbę poselską, wyrwać wahającemu się i opornemu ministrowi sławny okrzyk: „Nigdy, nigdy!” A przygniecenie owo w zakresie polityki, ową przymusową bezczynność socyalną, prawie wygnanie z ojczyzny, urzędowej przynajmniej, wynagradza ono sobie w życiu prywatnem mnóstwem naj-

bardziej wzruszających i szczytnych pomysłów. Serce to Francyi stworzyło w XIX stuleciu Siostrzyczki Ubogich i w przeciągu lat dwudziestu urządziło sto przeszło przytułków dla opuszczonych starców. Ono to, przyjąwszy od XVII wieku cudowną instytucję Sióstr Miłosierdzia świętego Wincentego a Paulo, rozwinęło ją i rozszerzyło nad wszelkie spodziewanie; pomnożyło liczbę tych aniołów stosownie do ludzkich cierpień; rozsiało z nimi pociechę i nadzieję po miastach i miasteczkach, po szpitalach, więzieniach, fabrykach, pracowniach, aż na pola bitew, gdzie tylko są łyzy do otarcia, rany do leczenia, boleść do pocieszania, zmarli do grzebania. A ponieważ i tych dziewic nie dosyć jeszcze było, oprócz tego, że na ten sam wzór stworzyło mnóstwo innych niemniej dobroczynnych i czystych służubogich, ale jeszcze wprowadziło w wykonanie śmiały pomysł XVII stulecia, zebrało w szkołach i zakonach młodzieńców i kobiety żyjące w świecie i poruciło im służbę ubóstwu. Prawda, że wygnaliście ich, oczerniwszy. Podpisując przywrócenie wolnomularstwa, tą samą ręką podpisaliście ich skasowanie, nie mogąc wszelako zdziwić ich ani zniechęcić, a tem mniej zniszczyć. Oprócz zaś tych dwóch wojsk miłosierdzia, zastępu czystych i męźnych dziewic i pomocniczego zastępu młodzieńców i kobiet światowych, serce Francyi tworzyło jednocześnie trzeci zastęp misyonarzy i apostołów. I tutaj jeszcze Francya XIX wieku bierze prym nad Francją wieku XVII, jak i nad każdym innym narodem. Wszyscy zgadzają się na jedno, że misyonarz francuski przewyższa wszystkich innych, że jest ze wszystkich najweselszym, najżywszym, najświetniejszym, najczystszy, że posiada największy dar przekonywania; jest to

postać, która przynosi nam największy zaszczyt, a której nie spostrzegliście nawet i nie uznali za godną uwagi. A jednakże ci młodzieńcy razem z wiarą roznoszą na wszystkie części świata, na dalekie morza Indyi, Chin, Japonii imię Francyi, jej geniusz, charakter, serce, najszlachetniejsze tajniki duszy Francyi w ich najpiękniejszych i najwspanialszych objawach. Ale wy nie zważacie nawet na to. Widzicie tylko rany, które są waszem dziełem, nad których powiększeniem pracujecie; nie spostrzegacie płomieni, wychodzących z tego wielkiego, zranionego przez was serca, które umrzeć nie chce i nie może.

Nie zginął więc jeszcze w zupełności żaden z pięknych przymiotów Francyi. Pomimo tak silnych i długotrwałych natarć, nie utraciła ani szlachetnej wzniosłości umysłu, ani żywotności uczuć serca, zawdzięcza zaś to pierwiastkowi religijnemu, wchodzącemu w skład jej narodowego charakteru, i którego nic nie mogło jej wydrzeć. Tak samo rzecz się ma z jej siłą, życiem, z jej męską energią. Krew, która pozostała jeszcze czystą w jej żyłach, to krew chrześcijańska. Spójrzcie na przykład, które prowincye są jeszcze najżywotniejsze, gdzie małżeństwa mają dzieci, a ogół ludności cieszy się dobrem zdrowiem. To właśnie te, do których najmniej przedarła się niewiara. Które to również dały zagrożonej ojczyźnie liczniejsze zastępy ochotnika? których synowie okazali się najodważniejszymi, najchętniej kładli życie w ofierze? Skąd pochodzili ci wszyscy szlachetni młodzieńcy, żuawi Charette'a, ochotnicy Cathelineau, bretańscy i południowi strzelcy, którzy, oddawszy w osobie swoich naczelników miecz swój na usługi Kościoła, niemniej ochotnie ofiarowali

go zagrożonej Francyi? w szeregach armii myśl o Bogu, religia w szlachetnych sercach ileż to wzbudziła bohaterskich poświęceń u wojowników wszelkich stopni, od najwyższych aż do najniższych. Ilu to z nich, gotując się do boju, przychodziło do nas pojednać się i połączyć z Bogiem, i szło potem ze spokojem i radością na miejsce bitwy, skąd potem chwalebne niejednego szczątki unosiliśmy z żalem! A ci wszyscy chwalebni młodzieńcy, ci wodzowie, którzy nie pomnąc na siebie ani na swe rodziny, zamknęli się w Paryżu, przeistaczając go w obozowisko, i przyjęli za hasło: „Z Bożą pomocą, za ojczyznę!” — ci wszyscy poczuli w łonie serce Francyi.

Prawda, że powodzenie nie uwieńczyło ich usiłowań, ale bo też ciosy z wysoka padły. Jak owi dłutem Praksytelesa unieśmiertelnieni synowie Nioby, na których bóstw ręka zesłała grad pocisków, napróżno starają się obronić od śmierci, napróżno kryją się na łono zbolelej matki: muszą wszyscy zginąć i uznać, że pomimo młodości i męstwa nikt się nie ostoi przed gniewem bogów. Tak jest i z Francją w tych smutnych czasach. Zostaliśmy pokonani i ukarani. Cóż to za niesłychane zaślepienie w początku tej wojny! Co za szereg klęsk niepojętych! Wszystko, co tylko może nas uratować, nie ma powodzenia; co tylko robi się przeciwko nam, udaje się najdoskonalej. Czyż którykolwiek naród, pozbawiony wojska, powstał kiedy jednogłośnie, przejęty szczytniejszym zapalem? Ale czyż smutniejsze niepowodzenie spotkało kiedy podobne bohaterskie wysiłki? O moja ojczyzno, nie za miecz chwytać ci trzeba teraz, ale ugiąć kolana, bić się w piersi, uznać, że Pan jest sprawiedliwy i niemożna Go bezkarnie opuszczać!

Uzna to Francya; nieszczęście odrodzi ją powtór-
nym chrztem z wody łez. I piękniejsze niż kiedy od-
rodzą się jej światły umysł, szlachetne serce, miecz
śmiały i bitny; odrodzi się w niej! poczucie wysokie-
go religijnego i moralnego posłannictwa, i z pomo-
cą Bożą i Jego błogosławieństwem znajdzie siłę,
aby je godnie wypełnić w wielkich zmianach, które
gotują się i które zmieniają oblicze świata. Ujrzę to
oczyma ciała, nim umrę, a jeżeli nie, wówczas zejść
do grobu z niezachwianą tego pewnością.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY.

O prawdzie i piękności religii.

Zatem jest religia! Jest łącznik, drabina Jakóbo-
wa pomiędzy tą smutną ziemią a promiennem niebem.
Człowiek wstępuje po niej a Bóg schodzi; coś natu-
ralniejszego nad to, że się spotykają?

Widzieliśmy, że szczytne to spotkanie, tak praw-
dopodobne i naturalne ze względu na charakter Boga
i człowieka, jest także możebnem metafizycznie i nau-
kowo; że nie sprzeciwiają się temu spotkaniu i połą-
czeniu ani ogólne prawa, rządzące światem, ani od-
krycia nowoczesnej nauki.

Postępując dalej, przyjęliśmy za pewnik potrzebę
tego związku. Ludzkość bez niego jest tworem nie-
dokończonym. Jednostka nie ma bez niego wielkości;
rodzina — miłości; społeczeństwo — czystości, trwałości,
spokoju; życie — widnokręgów szerszych, nadziemskich.
Religia to nie tylko podstawa i klucz sklepienia świata;
z woli Bożej jest ona jego urokiem i nadzieją.

Ale że ten święty stosunek Boga z człowiekiem jest możliwym i niezbędnym, to musi istnieć; inaczej być nie może. Trzeba się więc przekonać o jego istnieniu, zbadać, w jaki sposób zjawił się na świecie, jak stopniowo dochodził do coraz większej doskonałości.

Mimo bowiem, że religia jest tak dawną, jak świat, mimo, że powstała

W dniu, kiedy dni powstały,

nie odrazu była doskonałą. Zapewne, była od początku rzeczywistą obecnością Boga w łonie ludzkości, istotnym Jego związkiem z człowiekiem. To jest jej składowy pierwiastek. Ale ta obecność z biegiem czasu jawniej się zarysowała; węzeł się ten zacieśnił. Miłość ta, jak każde prawdziwe uczucie, uległa prawu postępu. Stała się czulszą, serdeczniejszą, głębszą. A ponieważ było to uczucie wzajemne, obustronnie też ulegało temu wzrostowi, który Bóg obiecywał, dawał, urzeczywistniał, ludzkość przeczuwała, o którym marzyła, którego pragnęła, — pragnęła czasem do dziwactwa, marzyła aż do szału.

Ale w jaki sposób wypowiedzieć to wszystko? jakimi słowami? jakim sercem? Zaniechajmy przynajmniej wszelkich rozpraw; za zimne to w tem miejscu. Dajmy pokój bezpożytecznym dowodom. Nie przekonają one tego, kto by obojętnie patrzył na wspaniałe i szerokie widnokreśli religii: jej dawne porządki, równe wiekiem początkom ludzkości; tę ciągłość, ten stopniowy rozwój i ten ustrój cudowny, tak zadziwiająco zgodny ze wzniosłą, kochającą, duchową stroną ludzkiej istoty. Wrócimy do tych dowodów później, kiedy według planu dzieła tego, będziemy szczegółowo badali

rozmaite części religii. Teraz zastanowimy się nad jej harmonijną całością.

I.

Jakże naprzód uprzytomnimy sobie ową pierwszą chwilę istnienia świata, religijną i dziewiczą chwilę, gdy człowiek, powstając do życia, powstał zarazem do czci, dziękczynienia i miłości.

Chociaż krótko wyraża się tekst Pisma o tej pierwszej uroczystej i wzniosłej chwili naszego rodu, widzimy z niej jasno to, co odgaduje rozum a serce przeczuwa: że religia rozpoczyna się z pierwszym tchnieniem człowieka i że początek jej dał Bóg. On przemówił pierwszy. Stwórca stał się nauczycielem stworzenia, które nie miało ojca, ani matki, ani doświadczenia, i w pierwszym objawieniu odkrył przed nim źródła religii, rodziny, społeczeństwa i wiedzy.

Powiedziałem, że Bóg dał początek. Ale trudno mi pojąć, w jaki sposób mógł uprzedzić okrzyk wdzięczności i czci w sercu Adama... W każdym razie, wnet po stworzeniu ukazał mu się Bóg w cieniu raju ziemskiego. Ukazał mu się pod ludzką postacią, która jest ideałem ziemskiej piękności. Mówił do Adama i patrzył na niego; a spojrzeniem tem i słowami wprowadzał serce jego w zachwyt i rozplómiętał je miłością. „Patrz, — mówił do niego — patrz na tę ziemię, te niebiosy, te niezmiernie przetwory! Dla ciebie wszystko uczyniłem. Bądź panem dzieł moich. Królestwem twojem ziemia cała. Z każdego drzewa rajskiego jedz, ale z drzewa wiadomości dobrego i złego nie jedz, bo

którego dnia będziesz jadł z niego, śmiercią umrzesz.” (Rodz. II, 16, 17).

Pierwsze to słowa Boga do człowieka. Jest w nich dar i rozkaz zarazem; dar, ponieważ Bóg jest ojcem; rozkaz, ponieważ jest i królem. Dar jest niezmierny: *dedit universa*, — aby pobudzić człowieka do wdzięczności, ale ma ograniczenie, aby mu zaznaczyć jego podległe stanowisko i obowiązek czci i posłuszeństwa. W niewielu słowach cała to, jak widzimy, budowa religii. Rozwinęła się następnie, ale nie zmieniła bynajmniej.

Po tem pierwszym objawieniu następuje zaraz inne. Adam obejmuje w posiadanie swoje państwo. Przegląda naturę, długi szereg stworzeń, które go poprzedziły, których jest panem i królem, ponieważ streszcza je wszystkie w sobie. Patrzy na nie nie przelotnie tylko i powierzchownie. Przenika wejrzeniem aż do ich wnętrza. Światłym swym rozumem widzi ich istotne imiona. Otwiera usta... Wpierw przemawiał Stwórca; teraz odzywa się Adam. Mówi, ponieważ słyszał już mowę. Nie szuka słów, nie jęka się. Język jego jest bogaty i głęboki. Żaden z najgenialniejszych nawet jego w przyszłości synów nie mówił piękniejszym. „I nazywał Adam imionami ich wszelkie zwierzęta, i wszystkie ptactwo powietrzne... i wszelkie bestye ziemne.” (Rodz. II, 19, 20). To drugie objawienie, objawienie mowy, a w niem klucz wszelakiej wiedzy i przepowiednia zarazem społeczeństwa. Bo i na cóż dana Adamowi mowa? Nie żeby przemawiał do zwierząt; dosyć na to znaku, spojrzenia; ani do rozmowy z Bogiem: serce przemawia bez słów, w cichości, i to najlepsza jest

mowa. Więc na cóż to drugie objawienie? Widzę tu istotny zamiar Boga: rodzinę i społeczeństwo.

Długi szereg stworzeń przesunął się przed oczyma Adama. Nie znalazł wśród nich istoty podobnej sobie, ale też jej nie pragnął. Ten król niezmiernego świata, ów kapłan dziewiczej świątyni, samotni poświęconej Bogu, stworzony do modlitwy, miłości, do opiewania chwały swojego Stwórcy, nie przypuszczał, aby można było mieć w sercu inne uczucie. Miłość Boża wystarczała mu; nie znał miłości ludzkiej, tych rozlicznych odcieni uczucia, które tyle osładzają życie. Nagle... Bóg musiał na niego tkliwsze rzucić wejrzenie, bo oto Adam omdlewa w zachwyceniu. Ciało jego pada na ziemię, a dusza jednoczy się w miłości z Bogiem. W tym stanie najwyższego rozbudzenia i natężenia wszelkich władz umysłu i serca Adam widzi, jak Bóg pochyla się nad nim i bok mu otwiera; widzi, jak tworzy On tę przepiękną postać, która nie jest już jego ciałem, a mimo to jest ciałem jego; wpatruje się w tę istotę, tak różną od niego a tak do niego zarazem podobną; i w jego sercu powstaje miłość ludzka, owe uczucia tak szlachetne, czyste i wzniosłe, chociaż niższe od miłości Bożej, a które z nią spolem mają mu odtąd zdobić, osładzać, uszlachetniać i prostować drogi życia. Zachwycony tym widokiem już nie mówi — śpiewa; a śpiew ten boski—to objawienie porządku, jaki powinien panować w uczuciach człowieczego serca. „To teraz kość z kości moich, i ciało z ciała mego; tę będą zwać Mężyną, bo z męża wzięta jest. Przetoż opuści człowiek ojca swego i matkę, a przyłączy się do żony swej, i będą dwoje w jednym ciele.” (*Rodz., II, 23, 24*). Samotnik więc ten poznał w swoim zachwyceniu, co

to, ojcostwo, poznał szlachetną i wysoką miłość, która czyni ojca.

Poznał też tę drugą miłość, niemniej głęboką ani wielką, czulszą, delikatniejszą, skorszą do zaparcia się siebie, silniejszą miłość, która czyni matką.

A ponad niemi przeczuł trzecią miłość, przed którą bledną dwie pierwsze.

Cała hierarchia uczuć przesunęła się w ten sposób przed tem sercem dziewczem w zachwyceniu.

Dlatego przesunęła się, kiedy był zachwycony w uczuciu miłości Bożej, aby go nauczyć, że te uczucia nie są najpierwsze, ani najwyższe, ani najśłodsze, ponieważ miłość Boga poprzedziła je w jego sercu i tak już wysoko je podniosła; ale że nie są wcale miłości tej przeciwne ani wrogie, że nie współzawodniczą z nią, ponieważ w upojeniu tej miłości zaznał ich rozkoszy; i że, jeżeli chce na zawsze zachować tę ich piękność, świeżość, woń i czystą rozkosz, jaką w nich znalazł, powinien obie te miłości zachować na zawsze w wątłym przybytku swego śmiertelnego serca tak, jak dostał je od Boga; aby miłość Boża zawsze ogarniała i uświęcała miłość ludzką.

Te były pierwsze objawienia Boże, dane człowiekowi. Dotykały, jak wiemy, trzech punktów: obowiązku czci, posłuszeństwa, dziękczynienia i podległości względem Boga; małżeństwa, jego jedności, nierozzerwalności, świętości i podporządkowania uczuć ludzkich miłości Bożej; наконец mowy. Ludzkość w kolebce otrzymała zatem od Boga zasadnicze prawa religii, wiekuiste prawa miłości i prawa myśli zawarte w stanowczych i matematycznie pewnych prawidłach danej jej mowy.

Ten cudowny początek świata jest rzeczywiście godnym Boga i godnym człowieka; człowiek powstaje w rękach Bożych, utworzony z gliny na Boski obraz i podobieństwo; Bóg tchnieniem swoim nadaje mu duszę, na usta kładzie mu słowo, serce napełnia wszystkimi uczuciami. Pomijam boskość tej opowieści; biorę ją jako ludzką hipotezę nowożytnych materyalistów, według których ziemia bierze się niewiadomo skąd, a na niej zjawiają się odrazu żyjące istoty; ziemia wilgotna, ogrzana przez słońce, wydaje je bez organizmów rodzicielskich i bez żadnego pierwiastkowego nasienia; te żyjątka, owady, robaki, mnożą się, rosną, podlegają przemianom, dają początek wszystkim stworzeniom, a nawet samemu człowiekowi; nietoperze przechodzą w orły, orangutany w ludzi; ludzie ci przez całe stulecia bełkocą, żywią się żołądkami, tworzą sobie język, wymyślają moralność, rodzinę, społeczeństwo; i wobec tych wszystkich niemożliwych i niedorzecznych, a nawet wstyd nam czyniących tajemnic, które nauka przyjmuje bez wahania, powiadam sobie: Jeżeli już mają być tajemnice, to wolę swoje. I bierze mnie chętka napisać rzecz, o której zamyślał Pascal, pod tytułem: *Łatwiej jest wierzyć, aniżeli nie wierzyć*.

II.

Oto tedy początek religii i forma jej pierwotna. Mowa rozpoczyna wielkie dzieło połączenia Boga z ludzkością. I nie dziw: słodka to rzecz mowa. Jednoczy ona ściśle dusze; na swoje lekkie skrzydła bierze mój umysł i przenosi go w umysł mego przyjaciela. A raczej

z serca wychodząc, niesie serce do serca. To też, skoro pocujemy do kogoś sympatyę, czyż pierwszem naszym pragnieniem, pierwszą dążnością, nie jest mówić z nim, w poufnej rozmowie połączyć się z jego sercem? Jak tylko Adam na sercu Bożem obudził się do życia, było to i jego pierwszą potrzebą, i pozostało wiecznotrwałem pragnieniem ludzkości, mimo że grzech owe święte stosunki przerwał i utrudnił. Przez czterdzieści wieków słyszymy ciągle wołanie ludzkości: „Przemów do nas, Panie!” Nie wystarcza jej widok niebios, ani wspomnienia objawienia pierwiastkowego. Chce mieć coś bardziej określonego i czulszego zarazem. Chce słyszeć Boga. Prawda, że czasem, czując się winną w Jego obliczu, woła: „Niech Pan do nas nie mówi, bychmy snadź nie pomarli!” (*Wyjście, XX, 19*). Ale i wówczas, nie mogąc wyrzec się tego szczęścia, dodaje natychmiast: „Niech mówi przynajmniej Mojżesz lub który z proroków.” Najczęściej zresztą słucha tylko swego serca. Otwórzcie poezye Homera, albo księgi Buddy, Wedy lub też Zend-Awestę, Platona, Sofoklesa lub Wirgiliusza, wszystkie pomniki ludzkiej myśli, pojedynczej lub zbiorowej, gdzie tylko drga tętno duszy ludzkiej — wszędzie znajdziecie okrzyk: Przemów, Panie!

A ten grzech pierworodny, o którym Wolter mówi, że jest podstawą teologii wszystkich ludów, tak samo, jak nie wygładził w sercu ludzkości potrzeby przemawiania do Boga i słyszenia Go mówiącego, tak samo nie przeszkodził Bogu zniżać się do ludzkości i udzielać jej odpowiedzi. Co chwila powstaje człowiek, naznaczony piętnem Bożem, któremu powierzono nosić słowo Pana. Po Adamie—Noe; po Noem—Abraham; po Abrahamie—Mojżesz; po nim—Dawid; potem wielcy prorocy:

Izajasz, Jeremiasz, Daniel, Ezechiel. Rozmowa ta ciągle nie doznaje przerwy. Ziemia spogląda w Niebo i woła: „Przemów!” Niebo patrzy na ziemię i mówi: „Słuchajcie!” Dzieje się tu na wielką skalę i w formie społecznej to, co dzieje się w duszach o każdej godzinie dnia i nocy. Wymieniają się tam bezustanku dwa słowa. Jak w pięknej rozmowie po Zmartwychwstaniu, Bóg mówi do duszy: „Maryo!” A dusza mówi Bogu: „Mistrzu!”

Dziwi mnie mocno, że tylu ludzi jest zdania, jakoby ta święta rozmowa była przeciwną naturze. Cóż tam jest jej przeciwnego? Czy że dusza woła do Boga? czy może to, że Bóg jej odpowiadać raczy? A może to, że ten Bóg, przemawiający do każdej duszy w skrytości jej serca, zwraca się publicznie do całej ludzkości? Czy może znowu, że wybiera ludzi, naznacza ich swą cechą i czyni z nich posłów swoich i echa swego głosu? Otóż nie powtarzając tego, cośmy powiedzieli powyżej i zatrzymując się tylko na tym ostatnim punkcie, nie dosyć wyjaśnionym, odpowiemy, że nowy to jest dowód głębokiej zgodności Objawienia z naturą ludzką. W jaki bowiem sposób odbywa się umysłowy i naukowy ludzkości postęp? Czy każdy musi osobiście przeprowadzać badanie, dochodzić własną pracą niewzruszonych praw przyrody? Czy każdy za siebie jest zmuszony patrzeć na niebo, na gwiazdy, na ziemię, morze i sam sobie utworzyć astronomię, fizykę, chemię, geografję? Żeby tak było, musielibyśmy zawsze pozostawać w ciemnocie. Postęp przychodzi nam inaczej. W jaki sposób? Przez odkrycia i naukę wyższych umysłów. Galileusz wstaje, i świat dowiaduje się na zawsze o obrotowym ruchu ziemi. Za ukazaniem się Newtona wzbogacił się skarb

ludzkiej wiedzy o nowy rozdział: przyciąganie. Gutenberg nadchodzi i składa w ręce człowieka niezrównane narzędzie, nadające myśli szybkość błyskawicy i trwałość spiżu. Przy każdym kroku naprzód ludzkości zjawia się człowiek wyższy, geniusz pierwszorzędny, przewodnia inteligencya, poseł Boży, którego znakiem jest geniusz, któremu powierzono zawołać na ludzkość: „Naprzód!”

Zsyłanie proroków, cudotwórców stosuje się do tego ogólnego planu, powiększając go nadto. To tylko rozszerzenie powszechnego prawa, zakreślonego dla postępu ludzkości. Homer, Eschylos, Pascal, Tacyt, Dante, Shakespeare, Newton, Galileusz, Kepler, Platon, Euler są wysłańcami Boskimi dla umysłowego i naukowego postępu ludzkości. Mojżesz, Dawid, Izajasz, Jeremiasz, Daniel, Ezechiel—to wysłańcy Boga dla jej religijnego postępu. Pierwsi z nich są swobodniejsi, są więcej sobą; otrzymali oni od Boga wielkie narzędzie, ale posługują się niem o własnych siłach; drugimi kieruje Bóg bezpośrednio i zsyła im słowa, które mają powtórzyć ludzkości. W tem cudownem urządzeniu widoczna delikatność i poszanowanie zarazem. Bo jeżeli jest godnem Boga wspomagać ludzkość w jej umysłowym, naukowym i społecznym postępie, o ileż godniejsza rzecz Jego dobroci, Jego świętego ojcowstwa, wspierać jej postęp religijny! A jeżeli w pierwszym rozwoju ukrył swój współudział, aby pozostawić ludzkości chwałę jej odkryć, w drugim należało, aby zaakcentował go, aby jawnie rządził religijną stroną ludzkości, aby osobiście nią kierował, odkrywając przed nią jej przyszłe koleje w życiu ziemskim i pozagrobowym, — jak dobry ojciec, który powierza obranym przez siebie mistrzom kształcenie

swego dziecka w naukach i sztukach, ale sobie pozostawia zadanie kształcenia jego duszy, wzbogacania go własnem doświadczeniem, przygotowania do życia, rozjaśniając przed nim przeszłość i przyszłość.

Tak ubiegły pierwsze cztery tysiące lat życia ludzkości. Tak z tej czterdziestowiekowej rozmowy utworzyła się owa niezrównana księga, Pismo Święte; księga jedyna w swoim rodzaju, pół boska, pół ludzka, zapełniona wołaniem duszy i odpowiedziami Boga, do której każdy wiek część dołożył; gdzie każda wątpliwość znalazła oświecenie, każdy występek karę, każda cnota nagrodę, każda boleść pociechę; która przez cztery tysiące lat zapisuje smutki, pragnienia, radości, obawy, nadzieje ludzkości i Boskie nauki, przechowała je ku wiekiustemu oświeceniu synów ziemi. Mnóstwo ludzi brało w niej udział; ale ponieważ byli tylko echami błagającej ludzkości lub wysłańcami, odnoszącymi odpowiedzi Boga przez wszelkie różnice epok, charakterów, geniuszu, we wszystkich widać jedną moc, jedną prawdę, jedną miłość, jedną ludzkość i jednego Boga. A podwójny i dziwny akcent w tej księdze: jeden wzruszony, niespokojny, smutny, błagający, drugi wzniosły, prosty, czysty, nadziemski, świadczą niezbicie o obecności w niej dwóch duchów: Bożego i ludzkiego.

Zjawiska tego nie przedstawiają ani Homer, ani Pindar, ani Eschylos, ani Platon, ani Wirgiliusz. Wieje od nich duch tylko ludzki.

Prawda, że ponad temi arcydziełami geniuszu indywidualnego mamy święte księgi narodów: Wedy, Zend-Awestę, Ramayanę, Mahabharatę, księgi Buddy. Nowoczesna nauka bada je z ciekawością i ma słuszność, a wiara nie powinna obawiać się towarzyszyć jej w tej

pracy, lub podzielać jej podziwu. W istocie księgi te są święte. Nie przypominają w niczem dzieł powyżej wymienionych autorów; i na czele każdej z nich umieściłbym chętnie napis Ash-Nagara: „Ksiąg tych nie napisał sam człowiek.” Są tam istotnie okrzyki wiary duszy ludzkiej, jej smutki, nadzieje, prośby, jej wieczne utyskiwania; ale i w odpowiedzi na nie są i prawdziwe słowa Boga. Pod zasłoną zmian ludzkich ukrywają się tam widoczne szczątki objawienia patryarchów i Mojżeszowego. Jest tam dużo rzeczywistych słów Bożych do pierwszych ojców rodu ludzkiego, które po długiem błakaniu się w pamięci pokoleń przybiły tu do brzegu i pozostały tu, jak szczątki rozbitego okrętu przybijają do sąsiedniego wybrzeża i na niem pozostają. Na wszystkich tych stronicach można znaleźć ułamki zdruzgotanego klejnotu, rozpiechłe tony boskiej melodyi, która rozbrzmiewała nad kolebką ludzkości. Starożytność wiedziała o tem, i dlatego wciąż tak religijną księgi te otaczała. Jeżeli zaś uwierzyła i fałszywym w nich objawieniom, to dlatego, że były pomieszane z prawdziwemi, i wiara w te ostatnie usposobiła je przyjaźnie do przyjęcia pierwszych. Tak to ludzkość zawsze miała wstręt do religii, która byłaby tylko czczą jednostronną przemową! tak wierzyła zawsze mocno, że ponieważ woła do Boga, nie podobna ażeby Bóg jej nie odpowiedział!

Spostrzegam dziwne niezrozumienie rzeczy u wydawców i komentatorów tych ksiąg świętych. Porównując je do Biblii, są przejęci podziwem i mówią: „Jak można nie zauważyć podobieństwa, jakie przedstawia proces objawienia i natchnienia w tych wszystkich wielkich księgach: w Wedach, Zend-Aweście, księgach Buddy, księgach homerycznych, Biblii, Ewangelii, Ko-

ranie; które jeden z naszych historyków tak trafnie nazwał: „Biblią ludzkości?” Jak nie zauważyć tego podobieństwa i nie być przejętym podziwieniem z tego powodu? W jakiż sposób tyle wspólnych im wszystkim pięknych myśli, szlachetnych i czystych uczuć, tyle wybornych prawideł moralności może pochodzić z tak nierównych źródeł, jak natura Boska i natura ludzka? Pociąg więc objawienie i natchnienie nadprzyrodzone, jeżeli przyrodzony rozum i sumienie w tylu rzeczach mówią to samo?

Pisarze ci przypuszczają, że w Piśmie Świętem przemawia sam Bóg, a we wszystkich innych księgach sama tylko dusza ludzka. Błąd to podwójny. W Ewangelii dusza ludzka przemawia tyleż, co i w Wedach, tyle w Biblii, co i w Zend-Aweście. Ta sama dusza, która w księgach Buddy błaga, płacze, jęczy, ma nadzieję, kocha, tęskni do Boga, ta sama odzywa się i w Piśmie Świętem. Skądże wam to przyszło, że w Piśmie jest tylko sam Bóg, tylko „objawienie i natchnienie nadprzyrodzone?” Jest tam również i dusza; i dlatego to powiadacie słusznie, że we wszystkich tych księgach „język tak mało się różni w tylu rzeczach.” Tylko Biblia ma duszę i Boga, a zatem niema w niej błędu. I dlatego język „w tylu rzeczach tak mało różny,” w tylu innych różni się stanowczo i zasadniczo.

Poza tem wszelako, nie powinniście myśleć, iż Bóg jest całkiem nieobecny w księgach narodów. Skądże wam znowu przyszło, że w księgach tych są tylko „naturalny rozum i sumienie?” To znów błąd zasadniczy. Jest w tych księgach słowo Boże, chociaż tylko szczątkowo, rozproszone, zagrzebane, czasem zmienione do niepoznania, jak ułamki rozbitego okrętu, wyniesione przez

morze na brzeg i tam rozrzucone, potrzaskane, zagrzebane w ziemi, pokryte rdzą. Jest—ale trudno je poznać inaczej, tylko szukając go oczyma wiary, która je rozpoznaje i ze czcią wskazuje. I dlatego, pomimo tych szacownych szczątków, zrozumiałych dla jednej tylko wiary, zbiór tych ksiąg świętych jest jedynie „Biblią ludzkości;” Biblią Boga jest księga dziewicza i nienaruszona Pisma Świętego.

To też zważcie, jak różne są ich losy. Podczas, kiedy żadna z tych świętych ksiąg nie zdołała nigdy przekroczyć granic narodu, w którego łonie powstała, jako echo pierwotnego objawienia i dla zadosyćuczynienia potrzebie każdego z nich usłyszenia słowa Bożego; podczas kiedy każda z ksiąg owych poza obrębem swojego ludu jest przedmiotem tylko dla nauki, Biblia od sześciu tysięcy lat jest czystem ziarnem, żywiącem narody. Niema dla niej Żyda, ani katolika, ani protestanta, ani odszczepieńca. Wszyscy, którzy ją znają, otaczają ją czcią najwyższą; kto jej raz zakosztował, pić z niej będzie na wieki. Rzym otwiera ją na swych soborach, Ameryka zaś na swoich kongresach. Anglia łąduje nią okręty, Szwajcarya zapełnia hotele. Jest ona w tornistrze żołnierza pruskiego, idącego pod Sadowę, i pod głowę rosyjskiego szeregowca, poległego pod Sewastopolem. Misyonarz francuski, schroniony w nędznej lepiance, całuje z miłością jej karty, gotując się na śmierć męczeńską; a Murzyn, Kafr, Hotentot, czytając opis Genezy albo początek Ewangelii, zaczyna poznawać Boga, Stwórcę świata i Jego Boskiego Syna, który zbawił ludzi. Każda dusza w tych cudownych wyrazach odnajduje siebie, a razem z sobą odnajduje i swojego Boga. Bo są tam oboje, nie oddzieleni i obcy sobie,

ale znający się, kochający, rozmawiający z sobą, jednoczący się ściśle w niebieskiej rozmowie. „*Mów, Panie, bo słucha sługa twój*” (I Król. III, 9). — „*Słuchaj, córko, a patrz*. (Ps. LXIV, 11).

Oto jest całe Pismo Święte. Oto religia w swej pierwiastkowej formie. Oto pierwsze nawiedzenie człowieka przez Boga, pierwszy krok Jego w odpowiedzi na nasze pragnienia, pierwszy tryumf w wielkiej tajemnicy zjednoczenia Jego z ludzkością. A ponieważ Bóg nie odbiera swoich darów, a koniec ich nie zgładza początku, skarb ten pozostanie nam na wieki.

III.

Ale chociaż słodkiem jest słowo i ściśle dusze jednoczy, nie mogło długo wystarczyć Bogu ani człowiekowi. Był to tylko przedsmak, tylko pierwszy krok, który pociągał za sobą drugi. Słodkiem jest słowo, ale skoro towarzyszy mu obecność, to już zupełne szczęście. Słodkiem ono też jest w nieobecności, w smutnem dla kochających się rozłączeniu. Wówczas jest to niejako połowiczna obecność; podtrzymuje ona serce i pociesza je w braku obecności całkowitej. Ale któż zadowolił się nią kiedy? Zaprawdę, nie może być trwałą miłość, podtrzymywana tylko przez oddalone słowa, nie rozgrzewana i nie ożywiana obecnością przedmiotu ukochania; nie może być trwałą między osobami znającymi się, coś więc dopiero między takimi, które się nigdy nie widziały?

To też od samego początku Bóg żywił stały zamiar zamieszkania pomiędzy nami. A ludzkość zaczyna

od samego początku odczuwać szczególną potrzebę Boga, któryby między nami zamieszkał, którego moglibyśmy oglądać i dotykać.

Powiecie, że to bałwochwalstwo, a bałwochwalstwo jest błędem i występkiem!... W istocie, ale każdy błąd jest tylko źle pojętą prawdą; a w każdym występku jest okruszyna dobra, która go podtrzymuje i umozębnia. Zło absolutne nie istnieje. Na dnie pogaństwa spoczywała wielka prawda; pod szaleńcem bałwochwalstwa kryło się szlachetne pragnienie, potrzeba mająca siedlisko w najtajniejszych zakątkach ludzkiej duszy.

Pragnieniem tem i potrzebą jest potrzeba istotnej obecności przedmiotów naszego ukochania. Nie wystarczają nam ich słowa. Potrzebujemy móżdż ich oglądać naszymi oczyma, dotykać rękoma, przycisnąć ich do serca. Bez tego stygnie każda przyjaźń wszelkie uczucie gaśnie. Dlaczego? Pominiemy to tymczasem; zatrzymamy się nad tą kwestyą później, kiedy będziemy rozbierali dogmat Wcielenia. Zaznaczamy tu tylko ten fakt pewny, niezwykłą i wiekiustą potrzebę ludzkiej natury.

Potrzebę tę mogą, prawda, zmusić do milczenia, uwięzić w sercu; mogą złożyć ją na ołtarzu w ofierze całopalnej. Ale gdy zapominając stworzeń, wyrzekam się ziemi i zwracam ku Niebu serce próżne ludzkiej miłości, to i tam szukam rąk, których mógłbym dotykać, nóg, które okrywałbym pocałunkami, serca, które przycisnąłbym do swego serca, istoty ukochanej, którą mógłbym uściśnieniem przygarnąć do piersi. Ta to potrzeba dręczyła ludzkość. Wzywała ona Boga z Nieba; a ponieważ godzina jeszcze nie wybiła, ponieważ Bóg zazdrosny i obrażony zamknął się w swej świętości

i sprawiedliwości i nie skłaniał ucha błaganiom ludzkości występnej; człowiek, nie mogąc obejść się bez obecności Bożej, przyzywał sobie fałszywych bogów z wnętrzości ziemi, z łona mórz, z wyżyn Olimpu. I bogowie nadeszli pod wszelkimi postaciami. Uosobili w marmurze wszystkie formy ludzkiej piękności, a także i wszystkie pokusy zła. Ludzkość oddawała im cześć boską, dotykała ich i patrzyła na nich. Pod temi kamiennymi postaciami czciła ona najpiękniejsze pomysły swego serca; przyodziała tych bogów w swoje kształty, posadziła ich u swych ognisk, zaludniła nimi swoje góry, lasy, źródła, wyobraziła w nich sobie opiekunów i niejako współuczestników swoich uczuć i swoich skarbów. Ale napróżno zwiększała ich liczbę; napróżno Fidyasz i Praksyteles nadawali życie kamieniom; nic nie mogło ukoić owej dręczącej sumienie i serce ludzkości potrzeby.

A czemże były święte księgi narodów? jakie nadzieje w nich one żywiły? O czemże innem traktowały, jeśli nie o przychodzeniu bogów pomiędzy ludzi, o ich wpośród nas obecności, o ich wcieleniach nieustannych?

Tak zaś głęboką była ta potrzeba, że nie oparł się jej sam nawet naród żydowski. I jemu trzeba było bóstw widzialnych. Napróżno wzbronionem mu było to, co jest najpiękniejszem na ziemi po cnocie: sztuki piękne, aby go ustrzedz od bałwochwalstwa. Nie wytrwali mimo to. A czemże innem jest ich historia, jeśli nie ciągłym szeregiem obietnic i upadków? Od Jehowy przechodzą bezustannie do ołtarzy bałwanów, a od nich znowu wracają do Jehowy. A jednakże Bóg przyszedł im był na pomoc. Jeżeli nie obdarzył ich jeszcze swoją zmysłami odczuwaną obecnością, udzielił im przynajmniej jej symbolu, podobieństwa, którego pierwowzór

ukazany był Mojżeszowi. Była to Arka Przymierza. Tam przemieszkiwał wpośród swego ludu; duchem spoczywał na cherubinach: „*I nie masz innego narodu tak wielkiego, któryby miał bogi tak przybliżające się do niego, jako Pan Bóg nasz przytomny jest na wszystkie prośby nasze.*” (Powt. pr., IV, 7).

Daremne lekarstwa! za szczupły pokarm dla głodu i pragnienia ludzkości! Ani Arka nie wystarczała Żydom, ani bałwany poganom. Trzeba było, aby Bóg zstąpił i zamieszkał między nami, pełen łaski i prawdy.

Nareszcie przyszedł. Dnia pewnego, w pośrodku świata i w pośrodku czasów, w czterdzieści wieków po stworzeniu, na łonie wielkiej i materyalnej jedności, utworzonej przez naród rzymski, powstała jedność religijna. „*Słowo ciałem się stało i mieszkało między nami,*” — powiada Apostoł. (Św. Jan, I, 14). „Widzieliśmy je — powiada Apostoł, Jan święty, — słyszeliśmy je, dotykaliśmy go rękoma, spoczęliśmy na jego sercu.”

Tak więc, mój Boże, spełniły się wszystkie marzenia! nedorzeczne marzenia narodów... wzniosłe marzenia dusz! Ale te szalone ludy pragnęły Ciebie, o Panie! Te dusze wzniosłe przeczuwały Ciebie! Tak, byłeś przedmiotem ich nadziei, i nie powinienesz być ich zawieść!

A słowo ciałem się stało i mieszkało między nami, — powiada Apostoł. (Św. Jan, I, 14). Małuczcy je widzieli, a ubodzy dotykali się go. Pozwalał dziatkom siadać sobie na kolana i nie odtrącał nawet grzeszników. Nie doszliśmy jeszcze z kolei do opisu szczytnych scen zbliżania się ludzkości do Chrystusa. Zresztą, któż potrafi wypowiedzieć całą ich nieskończoną piękność, pokorę, czystość, tklivość? To, jak owa biedna niewiasta,

ludzkość próbuje kraj jego szaty całować. To wzrastając w śmiałość miłości i żalu, łzami oblewa i pokrywa pocałunkami czyste i święte nogi Syna Bożego, uświęcając się sama tem dotknięciem. To znowu czerpiąc jeszcze większą odwagę w swojej niewinności, miłości, w uroczystości danej chwili, odważa się sięgnąć do Jego serca, kładzie Mu głowę na piersi i usypia tam w zachwyceniu.

Trwało to przez trzy lata. Potem aby ostatecznie wzruszyć i pociągnąć do siebie wszystkie serca, Jezus wstępuje na Kalwaryę w chwale piękności, której nie przeczuwali Homer ani Fidyasz, bo składały się na nie cierpienie, boskość i miłość.

A gdy tak umierał, aby dać ludzkości miarę swego uczucia, też ludzkość omdlewała u stóp Jego krzyża w osobie Maryi; cierpiała Jego ranami w osobie Magdaleny; wpatrywała się miłośnie w ów bok przeбитý w osobie świętego Jana; zdejmowała Go z krzyża i przed pogrzebaniem okrywała zwłoki pocałunkami.

To było drugie spotkanie Boga z ludzkością, druga uroczysta i wzniosła chwila, w której Bóg zstąpił do ludzkości i z nią się połączył.

IV.

Wszystkie dzieła Boże są doskonałe i niema w nich żadnego braku. Tem więc bardziej ma się rzecz tak samo z Wcieleniem, które jest arcydziełem Jego. Mimo to spotykam tam trzy nie braki, nie wady, ale trzy granice, wskazujące, że to jeszcze nie ostatnie słowo w związku Jego z ludzkością.

Pierwszą jest granica czasu. Tylko trzy lata! Jeden dzień! jedna godzina! Dla wszystkich trzy lata, dla Magdaleny dzień jeden, godzina jedna dla świętego Jana! Po to więc ludzkość wzywała Boga przez czterdzieści stuleci, aby cieszyć się Nim tylko przez te krótkie i bolesne trzy lata! Oblubieniec dusz miałby tak rychło opuścić swe oblubienice i na zawsze je osierocić! Nie, to niepodobna! Przysięgam wam na miłość Boga i ludzkości. Miłość pragnie i wymaga nie tylko obecności ukochanej osoby, ale obecności trwałej, wiekuistej. Na podobieństwo uczniów w Emmaus miłość powiada: „Zostań z nami, Panie.” (*Łuk. św., XXIV, 29*). Pozostań z nami, pozostań na zawsze, nie rozłączajmy się nigdy!

Druga granica, to granica przestrzeni. Gdzie to upłynęły owe trzy lata? W ukrytym zakątku, w małym kraiku, nie większym nad dwadzieścia mil obwodu. A ja tylko co powiedziałem, że ludzkość miała Go trzy lata! Po toż więc przez czterdzieści wieków pragnęła Go gorąco, wyglądała Go z utęsknieniem, aby cząstce jej małej danem Go było widzieć? I zaledwie po Jego odejściu dowiedziała się o Nim! Nie, nie, to niepodobna! Te zapory czasu i przestrzeni znikną przed podwójną miłością Boga i ludzi! Przeczuję już Eucharystię; odgaduję Ją, nim o Niej w Ewangelii przeczytam, o tej Eucharystyi, o której św. Augustyn powiedział, że jest rozszerzeniem wiekuistości Wcielenia. Ludzkość bywa tak często zawodzoną w snach swoich i marzeniach, ale tutaj nie będzie omylona: Chrystus będzie z nią do skończenia wieków. Wszystko jedno, synu Adamowy, do jakiej ziemi zagnają cię losy, oświeconej czy barbarzyńskiej, wszystko jedno, czy we wspaniałej świątyni, lub też w ubogim wiejskim kościółku smutne twoje serce

będzie szukało ukojenia: wszędzie znajdziesz przed ołtarzem lampkę zawsze gorejącą, która oznajmia wiekiutą obecność Boga wpośród ludzkości.

Wymieniłem trzy granice, wskazujące nam, że Wcielenie to jeszcze nie ostatni wyraz połączenia Boga z ludzkością; ale jakże potrafię opisać tę trzecią granicę? Słodko nam jest widzieć ukochanych naszych, słyszeć ich, dotykać, spocząć na ich sercu, ale często-kroć owo niezupełne szczęście jest zaprawne goryczą. Bo wreszcie, wszakże to właściwie duszę kochamy, a nie możemy jej dosięgnąć. Na obliczu, na czole, na oczach, ustach dostrzegamy jej odbłask, i dlatego to tak pożądamy obecności drogiej nam istoty; ale zawsze to tylko odbłask nieuchwytny. Chce nam się zwyciężyć tę cielesną zaporę, uchylić zasłony, która duszę przed nami ukrywa. Wspólnie z autorem książki *O naśladowaniu* wzdychamy: „O, gdybym mógł połączyć się duszą z duszą! opuścić ciało moje i dosięgnąć duszy!” Ziemia nas nuży i niecierpliwi, a pragnienia nasze wznoszą się do Nieba.

Ale czy słusznie powiedziałem, że nie możemy dosięgnąć duszy? Owszem, nawet i na naszym smutnym świecie bywają takie chwile; bywa, że czujemy, jak nasze dusze stykają się; że czas, przestrzeń, ani nawet śmierć sama nie potrafią ich rozłączyć; że mogłaby przerwać się zewnętrzna obecność, nie bez cierpienia wprowadzić, ale bez zagrożenia jedności dusz.

Zatem w dwojaki sposób mogą dusze z sobą przebywać, dwa mają rodzaje obecności. Jedna słaba, niezupełna, wolno i boleśnie idzie zewnątrz do wnętrza; drugą przeczuwamy najczęściej tylko, bardzo rzadko doświadczając; ta druga, wysoka i święta, łączy

dusze, pomijając zewnętrzne warunki bytu. Zawsze przeczuwałem ten szlachetniejszy i lepszy rodzaj obecności, a nawet w najpiękniejszych chwilach mojego życia sam go, chociaż przelotnie, doświadczyłem. Poznałem, że dusze mogą jednoczyć się niezależnie od ciał, pomimo nich i wyżej od nich zawierać niebieskie związki, dla których ciało stanowi tylko zawadę. Otóż to obcowanie duszy z duszą, to zlanie się dwóch istnień w jedno, które my tu przeczuwamy zaledwo w ogólnych zarysach i dopiero w Niebie w całej pełni poznamy, Bóg uskutecznia tu na ziemi, łącząc się z ludzkością w Sakramencie Ołtarza. Eucharystya bowiem nie jest niczem innem, tylko obcowaniem wnętrza z wnętrzem, bezpośredniem dusz połączeniem.

Pan Jezus kilka razy wspomina o tej podwójnej obecności. Naprzód powiada uczniom swoim: „*Błogosławione oczy, które widzą, co wy widzicie. Bo powiadam wam, iż wiele proroków i królów żądali widzieć, co wy widzicie, a nie widzieli; i słyszeć, co słyszycie, a nie słyszeli*” (Łuk., X, 23, 24). Było to tylko obcowanie zewnętrzne, z zewnątrz do wnętrza, nie wewnętrzne; obecność Wcielenia, nie Eucharystyi. Była przyjemną dla zmysłów, ale nie dosyć podnosiła dusze. Podsycala uczucie tkliwe, słodkie sercu, niedoskonałe wszelako, zanadto ludzkie, niedość boskie. To też Ten, który powiedział najpierw: „*Błogosławieni, którzy widzą, co wy widzicie,*” teraz mówi: „*Pożyteczno wam, abych ja odszedł*” (Jan, XVI, 7). Ale nie obawiamy się przeto Jego nieobecności. Słuchajmy oto, co mówi Paweł święty: „*I my znaleźmy Chrystusa w ciele; ale, dzięki Panu, znamy Go teraz lepiej.*” Słuchajmy samego Pana Jezusa; cóż mówi On, spotkawszy

Magdalenę po zmartwychwstaniu: „*Nie tykaj się mnie*” (Jan, XX, 17). Pozostaw te zewnętrzne stosunki tym, którzy nie są jeszcze pewni swojej, ani mojej miłości: wątpięmu Tomaszowi, chwiejnym Apostołom. Ty wierzysz, bo kochasz, wznieś się zatem wyżej: „*Nie tykaj się mnie*” (Jan, XX, 17). Czemże jest dotykanie, patrzenie, słuchanie? Usiłowaniem dojścia do duszy, wejścia przez zewnętrzne wewnątrz. Ale jest coś nadto lepszego. Jest obecność wewnętrzna, cudowne, boskie obcowanie duszy z duszą.

Któż wypowie całą czułość i sztukę, z jakimi Chrystus urzeczywistnił ten związek? „*Jezus,—powiada Jan święty,—umiłowałszy swe, którzy byli na świecie, do końca je umiłował*” (Jan, XIII, 1). Kończąc więc ostatnią wieczerzę, po której zaraz miał pójść na męki, wziął chleb w ręce i patrząc na uczniów swoich, rzekł im: „*Pożądaniem pożywałem tej Paschy z wami*” (Łuk., XXII, 15). Potem, wzniosłszy oczy w niebo, błogosławił chleb i dawał im: „*Bierzcie a jedzcie, to jest ciało moje, które za was będzie wydane*” (I Kor., XI, 24). To już nie słowa: „*Błogosławione oczy, które widzą to, co wy widzicie.*” To już nie owa obecność zewnątrz z wewnątrz. Nadeszła chwila wielkiego połączenia, zjednoczenia duszy z duszą. „*Bierzcie a jedzcie, to jest ciało moje.*” „*Kto pożywa mego ciała, a pije moją krew, we mnie mieszka, a ja w nim.*” (Jan, VI, 57).

Potem biorąc kielich, błogosławi go: Bierzcie i pijcie! „*Ta jest krew moja, która za wielu będzie wylana, na odpuszczenie grzechów*” (Mat., XXVI, 28). Jestem zdumiony; mój ludzki rozum jest zarazem zachwycony i nieufny. Jakże to może być, o Panie!

A Jezus dodaje: „*Czyńcie to na pamiątkę moją! Zaprawdę, zaprawdę powiadam wam, kto pożywa mego ciała i pije moją krew, we mnie mieszka, a ja w nim.*”

Oto ta obecność z wnętrza do wnętrza, ta spójność dusz, której ciało jest tu na ziemi przymuszonym, lecz niedołącznym pośrednikiem. I tu ono tworzy ten związek, ale jest to ciało zupełnie duchowe, postacie chleba i wina jedynie dla uprzedzenia zmysłów moich, że tam jest Bóg. Przenikam wiarą tę zasłone, widzę przez nią ciało i krew mojego Boga, — ale nie dosyć mi na tem. Duszę Jego mieć pragnę. „Obym mógł połączyć się duszą z duszą! wyjść z ciała i dotrzeć do duszy!” Kościół odpowiada mi też: „Z ciałem i krwią Jezusa daje ci Pan duszę i Bóstwo Jego!” Zamknijcie się, oczy moje; duszo moja, zamknij się w sobie i uczuj tajemne Boskie dotknięcie! *Ty we mnie, a ja w Tobie.* To urzeczywistnienie tego Boskiego związku, o którym tyle marzyliśmy. Skorośmy patrzali oczyma tylko, a dotykali rękoma, możemy zapomnieć. Ale kiedy serce dotknęło serca, kiedy dusza przemieszkiwała w duszy, nie zapomnimy tego nigdy!

V.

Komunia jest aktem przemijającym. Stanowiłoby to jej wadę, gdyby można jej było takową zarzucić. Ależ co mówię: wadę! Wszakże najlepsze w naszym życiu jest przemijające. Gdzież są moje najgłębsze uczucia radości, najżywsze porywy? Cieszyłem się nimi

przez krótką chwilę i już ich nie mam. Są to przelotne błyskawice tylko, ale oświecają nam życie.

Przytem przelotny akt Komunii ma nieśmiertelny skutek. Bóg bowiem, łącząc się z naturą ludzką, uszlachetnia ją, dodając od siebie doskonałości, na przeciwnieństwo człowieka, odzierającego z uroku wszystko, czego się dotknie. „*Żywie już nie ja, ale żywie we mnie Chrystus*” (Gal., II, 20). A także: „*Jeżeli mnie kto miłuje, będzie chował moję... i do Niego przyjdziemy, a mieszkanie u Niego uczynimy*” (Jan, XIV, 23). Stałe zamieszkanie Boga w duszy a duszy w Bogu to nieśmiertelny owoc świętej Eucharystyi.

„Akt przemija — mówi Bossuet; — nie zawsze trwamy w tem świętem zjednoczeniu. Ale trwamy w niem pragnieniem, prawem. To też Chrystus powiada: Kto mnie pożywa, we mnie mieszka, a ja w nim. A przemieszkuje w nas nie tylko chwilowo; szczęście to trwalszy ma skutek. Kto mnie pożywa, kto cieszy się mną, mieszka we mnie. I związek ten jest obustronny: mieszka we mnie, a ja w Nim” ¹⁾.

Do tego to dążyli zarówno Bóg, jak człowiek. Człowiek pragnął połączenia się z Bogiem, a Bóg — połączenia się ze stworzeniem. I oto połączyli się — religia wypowiedziała swoje ostatnie słowo.

Taki był jej cel od początku, i każdy jej krok naprzód dążył do ustanowienia i utwierdzenia tej istotnej obecności Boga w ludzkich sercach. Daje nam tę obecność chrzest i wszystkie sakramenty, jako też modlitwa, krzyż i Ewangelia, wszystko, co tylko pochodzi

¹⁾ Bossuet, *Méditations sur l'Evangile*, 24-e jour.

z Nieba, sprowadza ten błogosławiony związek. Ale Eucharystya nadaje mu tylko właściwy kwiat uczucia, woń miłości, pewność posiadania. Pożywamy, pijemy przez krótką tylko chwilę; dusza przelotnie napawa się u tego źródła, ale po tym akcie Bóg pozostaje w duszy, a dusza w Bogu.

Związek to tak istotny, że nie różni się niczem w swej treści od niebieskiego. Jedna jest tylko między nimi różnica,—oto ta, że tutaj łączymy się z Bogiem, pod zasłoną ukrytym przed nami. I dlatego właśnie to jeszcze nie ostatni stopień zjednoczenia, dlatego duszy na nim nie dosyć:

O quando luceat... dies!

Oto krok, który nam jeszcze pozostaje do zrobienia. Posłuchajmy tu dalej Bossuet'a: „W Eucharystyi posiadam samego Pana niebios, Tego, który jest szczęściem błogosławionych. Treść, sama istota jest tutaj; pozostaje tylko podnieść zasłonę. Zdejm ją, o Panie! rozprosz ten obłok; pozostanie mi ta treść właśnie, będąca mojem uszczęśliwieniem. Czyliż nie posiadam już tej treści w Twojem ciele? A w ciele Chrystusa czyż nie mam Jego duszy, Jego całej osoby, w osobie zaś Jego—Tego, który przebywa w niej cieleśnie; w całej pełni, to jest Słowa Ojca; a w Słowie czyż nie posiadam zarazem Ojca? I czyż nie wyrzekł On prawdy, kiedy powiedział: „*Kto mnie widzi, widzi i Ojca*” (Jan, XIV, 9). Posiadam tedy *Wszystko*. I czegoż mam więcej pragnąć, jeżeli nie tego, abym mógł widzieć to, co posiadam, przebić zasłonę, ujrzeć jasno i naocznie

to, co wiem dobrze, iż mam, ale czego nie mogę oglądać?" ¹⁾

Tak, pozostaje nam ten ostatni i najwyższy krok naprzód. To ostateczne pragnienie serca, ostatnie słowo natchnionej księgi: „*A duch i oblubienica mówią: przyjdź... Panie Jezu*” (Objaw., XXII, 17, 20). A Chrystus odpowiada: „*Oto przychodzę rychło*” (Objaw. XXII, 12, 20). A święty Jan i z nim ludzkość cała powtarzają: „*Przyjdź, Panie Jezu! Amen, przyjdź Panie, ale już bez zastony.*”

Zatrzymajmy się tu nieco i z wysokości, do jakich doszliśmy, rzućmy porównawczo okiem na religię i *religie*. Wzrastająca stopniowo piękność pierwszej daje nam skalę do ocenienia drugich i uporządkowania stosownie do ich wartości.

Najniżej stoją tu ci, którzy nie przyznają nawet stosunku Boga z człowiekiem przez słowa; raczą oni przyzwalać, ażeby człowiek mówił do Boga, ale nie wierzą, aby Bóg mógł mu odpowiadać. Tacy nie mają żadnego pierwiastku religijnego, najprostszego nawet; stoi ona u nich niżej zera. To też ten stopień wiary nigdy nie osiągnął znaczenia społecznego. Rzuca się również w oczy jego bezsilność w oddziaływaniu na obyczaje. Jeżeli ludzie z takimi przekonaniami są uczciwi, to nie dlatego, iżby mieli religię, ale pomimo że jej nie posiadają.

Wyżej nieco mamy ludzi, dozwalających, ażeby człowiek mówił do Boga, a Bóg mu odpowiadał; przypuszczających, iż człowiek może wzywać Boga na pomoc,

¹⁾ Bossuet, *Méditations sur l'Évangile*, 24-e jour.

a On udzielać jej człowiekowi. To jest najniższy stopień religii. Poza tem nie istnieje ona. Mimo to, ponieważ ci ludzie mają pierwszy, zasadniczy pierwiastek religii, wierzenia ich wzniosły się tu i owdzie do godności wyznania narodowego. Pierwsze tu miejsce zajmuje Mahomet. Z tem wszystkiem, ponieważ ten pierwiastek religii jest najmniejszy ze wszystkich, wyznanie to nigdzie nie uzyskało wpływu na serce człowieka. Nie podnosi go ono do stóp Boga, który tak mało dla nas się zniżył. Najmniejszy to stopień miłości w sercu Bożem, najmniejszy też ofiary i cnoty w ludzkim.

O wiele już wyżej stoją ci, którzy nie tylko wierzą w ten święty stosunek Boga z człowiekiem, ale także w obecność Jego na ziemi, w Jego istotne między nami przebywanie. Należą tutaj protestanci. Tylko, że ta obecność Boża zaledwie może być nazwana obecnością. Pozbawiona ona jest trwania, pośpieszna, przelotna, nie rozciągająca się na wszystkich: — zjawisko raczej, niżli obecność. Przyjmują oni zasadę, a cofają się przed jej dalszymi wynikami, które przecież każdy zdrowy rozsądek potwierdzi. Zatrzymują się w pół drogi, nie śmiąc przyjąć wszystkich owoców miłości. To też i przez pół tylko podnoszą serca ludzkie; czynią je prawem, uczciwem, ale nigdy wzniosłem. Nie mają oni apostołów, dziewic, ani męczenników. Nie dlatego, żeby nie posiadali cnót; muszą je mieć, mając takie pierwiastki religijne, jak słowo Boże w Piśmie Świętem i obecność Jego przez Wcielenie. Ale ich cnota jest jak ich dogmaty. Zatrzymuje się w pół drogi. Jakże mogłoby być inaczej? Bóg ich nie dosięga szczytu

w miłości ku ludziom,—jakże ludzie mieliby wznieść się wysoko w swoim dla Niego uczuciu?

Nakoniec — ponad religią przyrodzoną, która nie przypuszcza żadnego istotnego stosunku między Bogiem i człowiekiem; ponad mahometanizmem, przyjmującym ten stosunek, ale tylko przez słowa i z daleka; ponad protestantyzmem, przyjmującym oprócz słowa wzajemną obecność, rzeczywiste chociaż przelotne przebywanie Boga między ludźmi; ponad tymi wszystkimi zarysami religii—stoi religia katolicka, jedyna zupełna religia, bo ona jedna doprowadza do skutku związek Boga z człowiekiem w sposób godny jednego i drugiego i z nigdy niezrównaną wielkością. Przez nią to Bóg schodzi rzeczywiście do człowieka, człowiek zaś wznosi się do Boga; w niej związek ten jest istotny, żyjący, ścisły, przewyższający wszystkie związki, jakie człowiek może zawrzeć lub nawet wymarzyć na ziemi. Śmiałość tej niebieskiej religii jest istotnie Boską; wskazując nam w Bogu miłość najszczytniejszą, wzbudza ją w nas także; czcząc w niebie Boga, bez miary szczodrego w darach swej ku nam miłości, uczy nas nie znać tu na ziemi miary w ofiarach naszych dla Niego. To najwyższy stopień piękności duchowej na ziemi i związku Boga i dusz. To ostatnie słowo religii.

ROZDZIAŁ JEDENASTY.

O cudownych skutkach religii, a w szczególności o boskiem działaniu cierpienia.

Dokończmy tego, cośmy zamierzeli powiedzieć o religii z ogólnego punktu widzenia, rozpatrując jej cudowne skutki. Nie będziemy już powtarzali tego wszystkiego, co dostatecznie było wskazane w ciągu tego tomu, a czego dłuższe rozprawy nie rozjaśniłyby więcej, — i przejdziemy teraz do najwyższego, a przynajmniej najbardziej wzruszającego działania naszej Boskiej wiary. Chcę napisać ten rozdział dla tych wszystkich, którzy cierpią. Bo w gruncie rzeczy, wszakże religia nie jest rzeczą wyłącznie rozumu, nauki. Nie zawsze siedzimy wpośród naszych książek, przy biurku lub w pracowni. Czasem choroba powala nas na łóżko. Przychodzi schyłek życia, smutna i odarta ze złudzeń starość. Czasem musimy czuwać przy łożu cierpiącej żony, umierającego dziecka. Ileż to razy w życiu oddałoby się chętnie cały swój rozum i naukę za odrobinę pociechy! Co powie nam wówczas religia? Bo jeżeli nie przyda

się na nic w takich razach, to cóż nam po niej? Przyznaję, że niewysoko ceniłbym Boga, któryby wiele wymagał, nie dając nic w zamian, chciał mieć ode mnie hołdy, uwielbienia, nie ocierając za to łez moich; od którego nie odchodziłbym nie tylko lepszym, ale także uspokojonym i pocieszonym. I ze wszystkich religii zawsze tę uznaję za jedynie prawdziwą, która zdoła mi wytłómaczyć przyczynę moich łez, a szczególnie potrafi je otrzeć.

Przy tylu nieprzyjaciółach posiada też religia trzech nieśmiertelnych sprzymierzeńców, którzy nie dadzą jej nigdy zginąć. Pierwszy z nich to właśnie wielkość człowieka, której szlachetne porywy i boskie pragnienia ona tylko może zaspokoić. Wykazaliśmy to w poprzedzających rozdziałach, nie mamy więc potrzeby powtarzać się w tym względzie. Drugi—to nasza ułomność, strona ciemna, burzliwa, niesforna ludzkiej natury, która też w religii jedynie może znaleźć uszlachetnienie i pomoc. To także było tu dowodnie wykazane. Nakoniec trzecim, najpotężniejszym nie-stety i najbardziej niepożyтым sprzymierzeńcem religii jest cierpienie.

Im dalej postępuję na drodze życia, tem bardziej widzę, że każda dusza cierpi, i tem bardziej czuję, że dla jakiejś tajemniczej przyczyny jest to dobrem dla niej. Cierpienie zbawiło świat pogański; było ono dla niego rodzajem wewnętrznego chrystyanizmu, przygotowaniem do Ewangelii. Ono to i dzisiaj zbawia ludzi światowych, nie dozwalając im zaślepić się zupełnie, ugrzęznąć całkiem w sprawach ziemskich. Ono zmiękcza ich serca, utrzymuje w nich łagodność i dobroć; ono mówi im o Bogu, nawraca ich tajemnie,—gdy już

nikt z otaczających nie śmie tego próbować. I stąd to owa zadziwiająca łatwość, z jaką na łożu śmierci powracają do wiary. „O człowiecze! snem tylko jesteś przelotnym, bolesnem marzeniem; istniejesz jedynie przez nieszczęście; znacysz coś tylko przez smutek twojej duszy i wiekuistą melancholię twojej myśli” ¹⁾. Owa to „wiekuista melancholia” wytwarza wiekuistą religię. Chcąc wykorzenić tę ostatnią, zniszczcie wprzód pierwszą. Dopóki będą łyż na świecie, zawsze oczy niemi zwilżone muszą zwracać się ku Niebu.

Chciałbym więc teraz rozważyć boleść. Skąd ona? na co się zda? Czy poza religią jest na nią jaki balsam? A sama religia czy go posiada? Bo jeżeli to prawda, że ona i jedynie ona cieszy skutecznie boleść, byłby to nowy, może najwyższy a zaiste najbardziej przemawiający do przekonania dowód jej prawdy, jej niepożytej, wiekuistej trwałości.

Tylko tych, którzy nie znają cierpienia, proszę, aby tego rozdziału nie czytali. Nie rozumielibyście go, albo zmusili mnie do rozpraw, odbiegających od przedmiotu. Piszę to jedynie dla cierpiących.

I.

Po co cierpienie? Oto jest pierwszy okrzyk duszy. Człowiek, ugodzony ciosem niedoli, dotknięty chorobą, śmiercią ojca, matki, dziecka, wymawia tylko jedno słowo: Dlaczego? Milknie, oko ma nieruchome, jakby

¹⁾ Chateaubriand.

chciał przeniknąć wejrzeniem otchłań, w której pogrzebane jest jego szczęście. Tylko kiedy niekiedy podnosi głowę, patrzy błagalnie na przyjaciół i powtarza to samo słowo, bo jego boleść nie może zdobyć się na inne: Dlaczego? powiedzcie, dlaczego?

Dlaczego, niestety! Któż to wie? Nikt nie potrafi dać na to odpowiedzi, ani nauka, ani filozofia. Nawet przyjaźń, serce—milczy bezsilne. Przyjaciele Hioba, widząc go pogrążonego w wielkich boleściach, milczeli przez dni siedem, nie śmiąc przemówić i nie wiedząc, coby mieli rzec, aby go pocieszyć. Wirgiliusz zaś, malując zburzenie Troi, przedstawia nam niewiasty siedzące na brzegu morza, milczące i zrozpaczone, z załzawionymi oczyma, wlepionymi w fale. Takim jest człowiek pod brzemieniem niedoli.

Kiedy te wielkie obrazy po raz pierwszy przedstawiły się oczom moim, przypominam sobie, że ich nie zrozumiałem; wziąłem je był za przesadzone. Te długie milczenia wydawały mi się nieprawdopodobnymi. Potem sam tego doznałem, doznałem też gorzkiej niemożności otworzenia ust wobec wielkich nieszczęść, poczucia, że nie w mojej leży mocy złagodzić je i pocieszyć niemi dotkniętych.

Dlatego to, jeżeli istnieje gdziekolwiek moc, umiająca pocieszać, niechże przyjdzie, niech lekko podtrzyma głowę cierpiącego, niech szepnie mu do ucha słowa, na które nawet przyjaźń nie może się zdobyć. Jeżeli może, niech da odpowiedź na te pytania boleści, bo nie posiada jej ziemia, ani nawet najbardziej kochające serce.

Po co cierpienie? cierpienie pod Bogiem dobrym? Spytałem niegdyś o to pewnego starca i nie zapomnę nigdy wyrazu, z jakim mi odpowiedział: „Właśnie też

dlatego, mój synu, że jest dobrym.” Wówczas omal że się nie oburzyłem. Dziś już mnie to nie oburza i powiadam: Być może.

Inaczej bowiem byłbyś okrutnym, o Boże! Stworzyłeś człowieka; jest on twojem dzieckiem; kochasz go: bo nacóżbyś go stwarzał? Nadto, jesteś wielkim, niezmiernym, nieskończonym. Człowiek jest słabym, jest bańką mydlaną, a Tybyś miał pragnąć go przygnębiać! Ja dziecka nie skrzywdziłbym. Za silny jestem na to. Wstydby mi było tak nadużywać mej siły. Jakże więc bluźnilibyśmy, przypuszczając, że Ty, o Boże, mógłbyś nadużyć Twojej potęgi, uderzając nas bez celu, bez przyczyny, wydając nas obojętnie na łup ślepych sił, które nas druzgoczą! Mój Boże i Panie! czyż stworzyłeś choć jedną duszę do czego innego, niż do szczęścia? A jeśli ręka Twoja godzi w nią boleśnie, winniśmy uznawać na klęczkach, że czynisz to przez dobroć, z jakimś tajemniczym celem, który zrozumiemy kiedyś.

Widzę, jak ludzie światowi oburzają się na to. Wyda się im niepojętym absurdem, aby utrapienia i boleści tego świata pochodziły z dobroci Bożej. Zastanówmy się jednakże nad tem.

Czy rozmyślnie i dobrowolnie nie można narazić na cierpienie czule ukochanej osoby, na tem większe czasem cierpienie, im mocniej ją miłujemy? W tem leży jądro kwestyi.

Oto dziecię igra nad brzegiem przepaści. Wychyla się za kwiatem lub motylem, traci równowagę, już ma upaść. Nagle porywają je gwałtownie jakieś ręce, i to tem gwałtowniej, do im silniej miłującej je należą osoby. Dziecko płacze, cierpi. Skądże na nie przyszło to cierpienie? Oczywiście od kochającego serca matki.

Tu znowu drugie dziecko bawi się nożem, skaleczy się niechybnie. Na szczęście nadchodzi ojciec, wrywa mu nóż, często gwałtownie, nawet karze dziecko, aby nie czyniło tego na przyszłość. Dziecię płacze i w duchu oskarża ojca, ale z czasem przekona się, że miał słusność.

Jeszcze podam przykład. Matka dziecka chorego podaje je sama pod nóż chirurga. Dziecię płacze, odpycha lekarza, ma nawet ochotę bić matkę. Czyż powiemy, że ona jest okrutną? Może być, że dziecko to powie pod wpływem cierpienia, ale my, sięgając głębiej, współczujemy co prawda dziecku, ale matce jego daleko więcej. Wiemy, że ona jest tu godniejszą litości.

Zastosujcie tedy do Boga to, co jest tak pięknem, tak zrozumiałem, gdy rozpatrujemy ojcowskie uczucia na ziemi, a pojmiecie wszystko! Zapewne, jeżeli nie wierzycie w Boga, jeżeli nie wiecie, że jesteśmy przez Niego stworzeni, że dążymy do Niego; jeżeli uważacie świat jako szranki dla walki ślepych sił, wówczas boleść nie ma żadnego znaczenia. Jesteś złamanym, zmiażdżonym; cóż ci mam powiedzieć? Pocóż narażałeś się na tę chorobę? Na co było pozostawiać dziecko pod kołami wozu? Pozostaje ci przeżuwać w milczeniu swoją boleść, nie uprzykrzając się jękami pustymi Niebiosom i ludziom, którzy ci nic nie poradzą. Karą życia bez Boga jest cierpienie bez pociechy.

Ale opuśćcie te ciemne otchłanie, wyjdźcie na światło religii i rozumu. Uwierzcie w Boga; w Boga mądrego, potężnego i dobrego; w Boga, który dla siebie ludzi stworzył i postawił ich na chwilę w czasie, aby zasługiwali na wieczność, — aby ich umysł, serce, osobistość były ich własne, były dziełem ich rąk; w Boga,

który, podczas gdy dzieci Jego, ludzie, pracują nad tem wielkiem dziełem, czuwa nad nimi, daje im pomoc, oddala od nich niebezpieczeństwa, podnosi ich i umacnia, ażeby przebyli ziemię, nie zatrzymując się na niej, świat—nie zasklepiając się w nim i nie psując; uwierzcie w tego Boga,—a wnet w Boskiem świetle, które będzie wam początkiem pocieszenia, zaczniecie rozpoznawać, skąd pochodzi boleść i dla czego Bóg na nią zezwala.

Bóg to stworzył ten świat, i stworzył go umyślnie za ciasnym dla nas. To też nie możemy się w nim poruszać bez cierpienia, znajdując na każdym kroku zapory i granice, z którymi zetknięcie się ból sprawia. Powiadam, że Bóg naumyślnie tak urządził, aby te granice wzbudzały w nim tęsknotę ku czemuś lepszemu,—ale zaiste nie wiem, czy mógłby nawet inaczej uczynić. Gdy będziemy kiedyś w nieskończoności, dusze nasze będą się w niej poruszały swobodnie, nie skrępowane niczem. Nie napotkamy nigdzie granic, zapór, ani kresu. Wówczas będziemy szczęśliwi. Ale ten biedny świat musi być z natury rzeczy za ciasnym dla nas, czyby go Bóg urządził tak, czy owak. Dusze nasze, znalazłszy się na nim, nie mogą nie cierpieć, nie znajdować za ciasnem tego Prokustowego łoża; nie mogą rozwijać skrzydeł bez potrącania wszędzie o zawady, poruszać się bez skaleczenia. Taką to jest ziemia, uczyniona nam na próbę, abyśmy nie mogąc znaleźć na niej spoczynku, wzdychali do szerszych przestworów i wybiegali ku nieskończonym widnokręgom.

A teraz przypuśćcie, że jakaś istota kurczy swe skrzydła, zamiast je rozwijać; że zamiast wzbijać się pod niebiosa, przypada dobrowolnie do ziemi; że nie znajduje tego łoża Prokusta za ciasnem, że wielki orzeł górski,

zamknięty. w ciasnej klatce, zadowolony jest ze swej siedziby i podziwia kraty swojego więzienia dlatego, że są złote lub srebrne, albo też jaskrawo pomalowane; że wreszcie nieśmiertelna istota nie czyni użytku z nadprzyrodzonych władz swojej duszy, zamyka się w obrębie tego świata, czuje się na nim szczęśliwą, zasklepia się tam i poniżej i już jest bliską upadku i zguby ostatecznej: jakże możemy myśleć, że Bóg się w to nie wda? I jakżeby się nie miał wdać, nie miał zacieśnić tych zapomnianych granic, ażeby się dały znowu uczuć, — uczynić ich dotkliwymi, ażeby zmusić do wzniesienia ducha? Jakże mógłby nie wyrwać noża z rąk tego dziecka, nie unieść go gwałtownie ojcowską ręką z nad brzegu przepaści, do której wpadnie za chwilę, nie oddać go, gdy jest chore, w ręce lekarza? A gdy to czyni, jakże człowiek, ogłuszony boleścią z początku i zaślepiony łzami, mógłby nie powiedzieć mu potem: „Dobrze uczyniłeś, Ojcze!”

Oto jest wytłómaczenie boleści, podstawa i główna zasada jej boskiego działania. Na zapytania cierpiącej duszy religia daje nam jedną, czułą i pocieszającą odpowiedź. Człowiecze, powiada ona, jesteś stworzony dla Boga. Gdybyś więc miał dosyć odwagi, ażeby przejść przez ten smutny świat, nie pogrążając się w nim, i serce dosyć silne, miłość dosyć gorącą, ażeby wznosić się do Boga przez zasłonę stworzeń, cierpienie nie istniałoby wcale. Jest ono stworzone jedynie dla zrównoważenia upadku twojej miłości.

W istocie, na samym początku, pod drzewami raju, istniała tylko miłość i ona sama wystarczała. Spełniała wówczas to samo zadanie, które dzisiaj ma cierpienie, i spełniała je daleko lepiej. Cierpienie oświeca, oczyszcza, odrywa od rzeczy przemijających; cierpienie

podnosi serce. Ale i miłość czyni to samo, tylko że szybciej i wspanialej. Gdyby więc nie osłabła ona w rajskim ogrodzie, gdybyśmy przechowali w całości płomień miłości pierwotnej,—boleść nie istniałaby, ponieważ nie byłaby potrzebna. Bóg w swojej nieprzebranej dobroci dodał nam na pomoc to nadziemskie skrzydło, gdyśmy się pograżyli w materii.

Musimy przypuścić to, albo oddać się rozpacz i uwierzyć w druzgoczący nas straszny fatalizm.

Tak jest, musimy zrobić wybór w cierpieniu: albo zimna i nieubłagana ręka fatalizmu, który rozgniała nas bez litości, skoro wpadamy pod jego koła, albo tkliwa i ojcowska ręka Boga, dotykającego nas oględnie i z miłością, ażeby nas ulepszyć. Niema pośredniej drogi pomiędzy Bogiem dobrym a Bogiem tyranem.

Co do mnie — wybrałem. Nigdy nie przypuszczę, o mój Boże, ażebyś miał być obojętnym, ślepym, niesprawiedliwym lub okrutnym. Całuję karzącą Twą rękę, i chociaż cierpiąc nie rozumiem ciosu, który we mnie ugodził, jedno tylko chcę mieć na ustach: „Łaski, Tyś dobry! Łaski, Tyś wielki i mądry!”

Ale dosyć już o ogólnej zasadzie; trzeba nam wnikać w szczegóły, śledzić okiem i sercem, jak ręka Boga, dotykająca człowieka boleśnie, wyrывa go w istocie z pomiędzy niebezpieczeństw i podnosi stopniowo do coraz większej piękności ducha i cnoty.

II.

Tak oto przedstawia się nam rzecz w istocie. Ziemia jest ciasną, za ciasną dla istoty nieśmiertelnej.

Uciska mnie, rani. Idę przez nią jak więzień, ciągnący swoje kajdany. Krok mój cięższy z dniem każdym, ruchy coraz bardziej utrudnione, głowa pochylona lub drżąca — powtarzają mi codzień same przez się, bez pomocy Boga, że nie jestem stworzony dla ziemi.

Lepiej jeszcze dowodzi mi tego towarzysz mojej podróży, człowiek. Zawodzi mnie lub zdradza na każdym kroku. Jeśli wesprę się na nim, łamie się i zadaje mi ranę. Nawet najlepsi, niestety, którym daję słodkie miano przyjaciół, nie są mi wierniejszymi. Odbiera mi ich śmierć, albo nużą się mojami wadami, lub też odstręczają smutkami moimi. Iluż to z nich duszą przyłgnęło do mojej duszy, a śmierć oderwała ich ode mnie gwałtownie! Iluż zaufało mi, zbliżyło się radośnie do mego serca, ale znalazło tam tyle chłodu, może i egoizmu, że musiało odejść z rozczarowaniem! A ilu innych szukałem w chwili, gdy potrzebowałem oprzeć zbolałą głowę na przyjaznem ramieniu, i nie znalazłem ich! O, jakże człowiek jest niezdolny do głębokości przyjaźni i jak prawdziwemi są te słowa mędrca: „Niemasz nic rzadszego, niż prawdziwy przyjaciel!”

I gdyby to jeszcze jedna przyjaźń zawodziła ludzi! Zdradzeni przez nią, zmęczeni już i zranieni życiem, szukamy pocieszenia. Mówimy sobie: Poszukam czegoś innego, znajdę inne przywiązanie, czulsze, głębsze, nie tak samolubne, jedyne, a o tamtych zapomnę. I upatruje sobie człowiek istotę, zdaje się, naumyślnie stworzoną przez Boga dla szlachetnego celu kochania i pocieszania. Różni się ona bardzo od mężczyzny, bo nie posiada ani jego ambicyi, co go upewnia, że nie wejdzie mu w drogę jako współzawodniczka. Różna od niego, ale tem mu droższą, nie ma nic z tego, co posiada męż-

czynna, w równym stopniu jak on, ale ma za to wszystko, czego mu braknie. Bóg z cudowną sztuką utworzył jej serce; cierpienie ją pociąga, poświęcenie przykuwa do siebie, — a jako uwieńczenie swoich darów dał jej Pan jakby przeczucie, które pozwala jej rozumieć wszystko, ażeby wszystko przebaczać. Mężczyzna widzi tę istotę, stworzoną dla niego przez Boga. Przenika go dreszcz radości, i odmłodzony, jakby odnowiony, odchodzi od ołtarza, przed którym zostali połączeni.⁶ Ale niestety! czy z winy to jego są nie urzeczywistnione te marzenia szczęścia, czy z winy kobiety? Czy może obojga? Albo to może Bóg tak urządził, iżby to marzenie pozostało marzeniem tu na ziemi, aby skierować nasz wzrok ku Niebu, gdzie ono stanie się rzeczywistością? Bądź co bądź, krótko trwa ono i źle. Nie dotrzymuje swoich obietnic nawet u najlepszych, najczulej związanych. A cóż rzec o innych? Co powiedzieć o ogniskach, gdzie są tylko wygasłe popioły? A o tych, w których nigdy nie było płomienia, lub o tych nie tak już nieszczęśliwych, gdzie jaśniał płomień żywy i gorący, ale musiał zagasnąć pod nielitościwym technieniem śmierci?

Porzucamy opustoszałą rodzinę, jakeśmy odwrócili się od zagasłej przyjaźni. Rzucamy się w wir interesów, w życie czynniejsze i głośniejsze, bo pragniemy się ogłuszyć. Ale zaledwie tknęliśmy się rzeczy publicznych, już nas prześladują niechęci i nienawiści, policzkują nas oszczerstwa. Zdawało się nam, że znamy już dostatecznie ludzi; teraz znajomość owa wzbogaca się jeszcze. Odstępujemy zbolali, rozczarowani, zniechęceni do wszystkiego.

Jak podróżny wstępujący na górę, który potracił w drodze wszystkich swoich towarzyszków, rzuca wzrokiem

ze szczytu, dokąd doszedł sam jeden, i widzi w dole, na przebytej już drodze, drzewa obalone przez burzę; tak my, doszedłszy do kresu życia, potrzymy naokoło siebie i widzimy, że pozostaliśmy sami. Zdała, poza sobą, spostrzegamy zniweczone marzenia, zerwane przyjaźnie, zagasła miłość, tyle lepszych uczuć, które poginęły nam w drodze i których nie spotykaliśmy już potem, — i ze smutkiem w sercu przeżywamy ostatnie dni naszego istnienia, które byłyby nadzwyczaj ciężkie, gdyby nie Pan Bóg. I znużeni wszystkim, nawet nadzieją, nie licząc już na nic, ani nawet na uczucia serca, widząc, że każda czara jest próżną, a każdy napój gorzkim — wołamy w końcu: „O Boże, Boże!”

Pytacie się: na co jest potrzebne cierpienie? Oto na co: ziemia zasnuwa się przed nami mgłą, a rozświećla się Niebo!

Tak jest, oto przyczyna boleści, według poważnej i wysokiej nauki naszej świętej wiary. Stworzeni dla Boga, zagrzebujemy się w rzeczach doczesnych. Ścielemy sobie na ziemi gniazdko zdala od mrozów i wichrów, gdzie pragnęlibyśmy zasnąć, w pomyślności, gdzie zdaje się nam, że nie zestarzejemy się nigdy, gdzie brakuje nam tylko nieśmiertelności. Otóż na to gniazdko, w którym zapominamy o wieczności, Bóg zsyła co czas jakiś cierpienie, ażeby nas upamiętać i oświecić.

Ale któż potrafi opisać działanie Boga, gdy Go zmuszamy do użycia tego środka? Z jaką delikatnością zastosowuje ciosy do potrzeb! Najczęściej załedwie dotyka bolesnego jakiegoś miejsca. To jakieś marzenie nas zawodzi, złudzenie rozwiewa się. To znów przyjaciel zapomina, kochające serce ostyga. Mimowoli wzno-

simy wzrok wyżej. Mówimy: O mój Boże, Ty tylko nie przemijasza!

Kiedyindziej Bóg znowu uderza mocniej. Upada czyjś majątek, karyera lub tron. Świat widzi tylko chmury pyłu, podnoszące się z tej ruiny, ale dusza dotknięta ciosem widzi coś innego. Nieznane dotąd światło zaczyna się jej ukazywać; Niebo otwiera się przed jej oczyma i wynagradza jej straconą pomyślność ziemską. Królowa angielska mówiła: „Dzięki Ci, Boże, żeś mi odebrał trzy królestwa, jeżeli to miało mnie uczynić lepszą.” A Bossuet mówił o niej: „Dziękowała Bogu; czy za to, że uczynił ją królową? Przeciwnie, za to, że uczynił ją nieszczęśliwą królową!”

Jeżeli boleść jest jeszcze większą (bo utracić tron to jeszcze nie największe nieszczęście, — znam daleko gorsze), wówczas światło zwiększa się, można powiedzieć w stosunku do cierpienia. Jest ono czasem do tego stopnia żywym, że wywołuje w ustach cierpiących tak piękne słowa i tak czyste uniesienia Świętych. „O, ileż światła kryją w sobie te żałobne szaty!”—mówiła młoda wdowa, która w dwudziestym roku życia utraciła największe szczęście, o jakim można było marzyć. Oto jeszcze jej słowa: „Nie można sobie wyobrazić, co cierpię, jakież nudy, próżnia, ciemność zapełniają dla mnie ziemię! tę ziemię, która była niegdyś tak prześliczną w moich oczach, której zbytnie umiłowanie sumienie mi wyrzucało! A teraz, o jakże kocham śmierć!” Zwróćcie uwagę na te ostatnie słowa. Te same powtarzają się tak często w ustach Świętych, na ostatnich szczeblach ich udoskonalenia. W jednej chwili, jednym rzutem skrzydeł boleść uniosła tę młodą wdowę, to dwudziestoletnie dziecko na wyżyny oderwania się od wszystkiego,

dla których osiągnięcia taka święta Teresa lub Joanna Chantal potrzebowały czterdziestu lat nieustannej pracy.

Niekiedy ciosy mnożą się. Bóg przemawia głośno ponad nami. To jakby głos grzmotu; pioruny na nas spadają. Ale tu szczególnie któż wypowie wszystkie pełne tkliwości względy Boga dla ludzi? Matka, oddająca swoje dziecko pod nóż chirurga, okrywa je pieśczoćmi, obsypuje pocałunkami przed operacją, podczas niej i po niej. Słaby to obraz tego, co zachodzi w duszach ludzkich. Skoro miecz jest wbity aż po rękojeść, towarzyszy mu często takie rozświecenie nagłe, taka jakaś nadprzyrodzona i nieznana radość współcześnie z nadzwyczajną boleścią, że najbardziej nawet od Boga oddalona dusza poznaje Jego rękę i całuje ją. Przytoczę tu przykład, którego sam byłem świadkiem.

Kilka lat temu znalazłem pewnego urzędnika, który dobiegł był średnich lat i połowy swego zawodu, ciesząc się wielkiem poważaniem i wpływem. Był bogaty, szczęśliwy; miał wszystko, oprócz wiary. Miał za żonę kobietę wielce pobożną i niepospolitą, i dwie śliczne córki, którym dał jak najlepsze wychowanie. Panienki te, w wieku lat osiemnastu i szesnastu, do uroku miłej powierzchowności i młodości łączyły wdzięk pobożności, skromności i niewinności serca, wpojonych im przez złą matkę. Spotykałem go często w towarzystwie córek. Dumny był z nich tą szlachetną dumą ojca, który odradza się w dzieciach godnych siebie. Dnia pewnego starsza z dwóch sióstr dostała nagle gwałtownego bólu głowy i w przeciągu dni kilku umarła, jak święta:—tyfus ją zabił. Młodsza, którą czempredzej, ale widać już za późno, oddalono, dostała tej samej choroby na wsi

i wkrótce połączyła się z siostrą. Biedny ojciec przebył cały tydzień w tym domu na wsi, niemy, ponury, wpatrzony w łóżko, na którem wyzionęła ducha jego ostatnia pociecha. Wyszedł stamtąd zupełnie przemieniony i oświecony. Cóż to jest ten świat i co wart on? Co warte godności, zaszczyty, urzędy, wpływy? Wszystko to teraz wstrętne mu było. Co warte są stworzenia, jeśli czystość, cnoty i wdzięki nie obroniły od śmierci jego ukochanych dzieci? Zrozumiał, iż takie ciosy nie mogły wypływać z przypadku, bo w takim razie pozostałoby nam chyba rozbić o mur głowę. Zrozumiał, że nie mogły pochodzić z woli Boga nieczulej i obojętnej, bo nie mógłby się zdobyć na dosyć nienawiści dla takiego Boga. Zobaczył, że Bóg mógł tak postąpić jedynie przez miłość, w sposób, którego teraz wprowadzić nie mógł on jeszcze zrozumieć, ale zrozumie później. I wszystko wyjaśniło się i rozświetliło przed jego wzrokiem.

Pozostał jeszcze długie lata w świecie, nie opuszczając urzędowania, służąc godnie ojczyźnie; nawet osiągnął najwyższe godności w swoim zawodzie, ale był to już dobry chrześcijanin, który wprowadził świat w podziw mocą swojej wiary i niewzruszonością nadziei. Służył biednym, rozdawał im posagi swoich dzieci. Umarł już, a gdy opuścił ten świat i odnalazł tam dwie córki przemienione i jasne — wszyscy troje w uścisku, który już nie będzie miał końca, zrozumieeli, dlaczego Bóg rozdzielił ich na chwilę, i jak, nagradzając i biorąc do swojej chwały dzieci, dał ojcu okupić ceną przemijającego rozłączenia niezmiernie szczęście życia na wieki w jednym z niemi świetle i jednej miłości.

Oto pierwsza usługa, jaką cierpienie oddaje ludziom. Zrozumiej to, duszo moja, i skorzystaj z tego:

pierwszym skutkiem, jaki Bóg dobroci dał naszym cierpieniom, to promień światła.

III.

Ale na tej smutnej ziemi istnieje jeszcze inne niebezpieczeństwo, aniżeli pogrążenie się w rzeczach doczesnych, widzialnych: istnieje niebezpieczeństwo zepsucia się, zatracenia w zetknięciu ze złem piękności duszy. Ponieważ zaś Bóg jest tem, czem jest, czyli nieskończoną sprawiedliwością, najmniejsze nawet zło nie może skazić duszy, nie wywołując zarazem kary. Już stary Homer powiedział, że cierpienie idzie za zbrodnią krokiem powolnym i pewnym. Popelniasz czyn występny: dajesz Bogu powód do ukarania cię. Popelniasz występków dziesięć — dziesięć to przyczyn kary. Cóż to będzie, jeżeli tych czynów karygodnych będzie sto, tysięcy? jeżeli uczynisz ze swego życia nieprzerwane pasmo występków?

Czasami, gdy okręt wychodzi na morze, tworzy się w jego spodzie ledwie widoczna szpara. Woda przesącza się przez nią z początku powoli, kroplami; ale jeśli się nie spostrzegą i nie pośpieszą temu zapobiedz, po niejakiem czasie okręt pójdzie na dno oceanu.

Tak dzieje się i z niebezpieczeństwem dusz. Prawie wszystkie pogrążyłyby się powoli i niechybnie w otchłaniach Boskiej sprawiedliwości, gdyby nie było gdzieś zbawczej potęgi, oczyszczającej mocy, która służy za przeciwwagę ogromowi ich win. I dlatego zawsze ludzie pojmowali, że najstraszniejszą rzeczą dla grzesznej i nie pokutującej duszy jest niedoświadczanie cier-

pienia, pomyślność bez chmurki jednej. Są powodzenia przerażające, na które ze drżeniem spoglądamy.

Widzicie w tem drugi cel boleści, jej drugie wzniosłe posłannictwo. Skoro człowiek upadł, skoro w zetknięciu z grzechem stracił czystość duszy i upodobanie w dobrem, a w nich skrzydło, które go unosiło ku górze, Bóg powierza go cierpieniu. Stoi ono obok grzechu, ażeby drogą pokuty wyrwać go z ludzkiego serca. Cierpienie ogarnia występnego człowieka i zanurza go w swym ogniu dla oczyszczenia. Tak złoto pod działaniem płomieni wyrzuca ze swej istoty wszelkie obce ciała i wychodzi z próby piękne i czyste.

Nie sędzę, aby jakikolwiek umysł poważny, obdarzony poczuciem złego i dobrego, miał tu chęć oskarżania sprawiedliwości Boskiej. Dla mnie sprawiedliwość nie tylko zdaje się stanowić konieczną atrybucję Jego świętości, ale jest także nieodłączną od dobroci Jego. Pociąga mnie a nie odpycha. Bóg, który nie umie karać, to Bóg, który się nami nie zajmuje. Nie odczuwam ciężaru Jego ręki, ale nie mogę ucałować Jego kolan. Cóż nam po miłości powierzchownej, której nie można dotknąć ani obrazić! A cóż nas obchodzi Niebo, równie obojętne na zniewagi nasze, jak i na modły!

Nie utrzymuję wcale, ażeby te ciosy nie były straszliwe; zaraz powiemy, jak je można łagodzić; teraz chcemy tu tylko wykazać, jak się je wyjaśnia i jak w widokach Boga mają one cel użyteczny, ważny i święty. Otóż zauważcie, z jak głęboką sztuką utworzył Bóg cierpienie.

Albo raczej czyliż to On je stworzył, przynajmniej takie, jakie istnieje obecnie? Bóg nie stworzył cierpienia ani też śmierci. Oboje powstały jednocześnie;

oboje są nieszczęśliwymi dziećmi grzechu, brzydkimi jak on sam, a celem ich jest pokazanie człowiekowi, że nie może bezkarnie powstawać przeciwko wiekuistym prawom, a szczególnie naprowadzanie go znowu na drogę obowiązku nieprzewidzianymi ale wzniosłymi sposobami. W smutnej chwili ukazania się cierpienia na świecie nieskończona miłość wzięła je sobie za narzędzie i wielki środek podnoszenia dusz, jak wielki mistrz, który buduje wspaniałe świątynie ze szczątków i ruin. Bóg potrzebował karać, ale pragnął przebaczać; — miłość Jego w tem widziała swoje szczęście, aby posłużyć się złem na korzyść dobra; — w miłości więc swojej i sprawiedliwości utworzył karę, któraby zarazem wzmacniała, podnosiła winowajcę. Ustawił rusztowanie, któreby mogło przemienić się w ołtarz: utworzył cierpienie.

I patrzcie, jak to uczynił, ażeby było prawie niepodobnem człowiekowi nie zmienić swej kary w pokutę. Powiedział sobie: Trzema drogami dąży człowiek do zguby. Psuje się czynami, na które składają się pycha, poządliwość i bunt: to też niekiedy pogrąży go pomimo jego woli w pokorę, posłuszeństwo i ofiarę. I utworzył boleść z tych trzech żywiołów, w tajemniczy sposób złączonych.

Spójrzcie na człowieka chorego, umierającego. W jakimże jest stanie? Przedewszystkiem w upokorzeniu. Gdzież się podział ten żywy i świetny umysł, ta płynna wymowa, ta znajomość interesów? Owa, niegdyś piękna kobieta, przeraża nas. Wszystkie dary przyrodzone znikły; wszystko jest w upokorzeniu. To jest pierwszy stan. Odpowiada on pierwszemu z żywiołów grzechu — pysze. Potem patrzcie, co za bierne posłuszeństwo! Wczoraj jeszcze nie słuchało się nikogo,

nawet Boga; dzisiaj trzeba słuchać wszystkich, sług swoich nawet. A co za cierpienie! Gdzież ta krew wrząca w rozkoszy? Dzisiaj krąży ona niestety to za powolnie, to za prędko, — ale zawsze w posłuszeństwie, upokorzeniu i boleści. Uzyskajcie od takiego chorego akt wewnętrznego połączenia się z wolą Bożą, akt rezygnacyi i miłości, a pojmiecie, jak go to prędko podźwignie na duchu.

I dlatego to dusze nie giną. Kiedy niekiedy Bóg pogrąża je w cierpienie, powołuje, czy chcą czy nie chcą, do pokuty, i jeśli tylko przyjmą to z poddaniem, cierpienie dobrowolnie przyjęte odradza je i zbawia. Wystarcza na zmazanie w nich ogromu nieprawości.

A jeżeli łatwo dostrzedz z samego składu pierwiastków, że boleść jest dziełem mądrości, jeszcze łatwiej poznać, że i miłość należała do jej utworzenia. Jak bowiem ustosunkowane jest cierpienie do każdej duszy! Zupełnie jakby niewidzialna i czuła ręka skierowywała je właśnie w te miejsca, gdzie jest potrzeba naprawy i rozbudzenia życia. Z jakim uporem rozumnym powraca zawsze w dziedzinę serca! A jak cudowne wywiera skutki! Działa prawie jak sakrament, *ex opere operato*, swoją własną mocą. Oto człowiek gwałtowny, despota, egoista; skoro zaznał cierpienia, jakże stał się przystępnym! sam do ciebie wyciąga rękę; dziękuje ci za najmniejszą grzeczność. Ileż to pokory powstało z boleści!

To oschłe i nieczułe serce wzywa cię, prosi o trochę uczucia. Miłość odradza się w niem we łzach.

Ten młodzieniec, tak zuchwały względem Boga, tak nieprzystępny dla wszelkiego wyższego światła, odurzony głosem namiętności, pod wpływem cierpienia otrząsa się

z nich, jak drzewo w jesieni z liści. Ognisko zła gaśnie, nieczyste marzenia rozpraszają się. Wszystko, co było hańbą jego duszy i, jeśli był chrześcijaninem, doprowadzało go do rozpacz, zmniejsza się i znika prawie zupełnie w zetknięciu z cierpieniem.

A cóżby to było, mój Boże, jeśliby dusza działała z niem wspólnie! jeśliby pojmowała tę pracę, składała dzięki za każdym uderzeniem dłuta i młota! jeśliby nie była niemą, bez życia, przygnębioną, ślepą, ale pojmującą, żywą, gorącą! jeśliby rozumiała, co w niej sprawia Boski pracownik i radowała się z tego!

O duszo moja, poznaj smutek twoich win, twoje wiekuiste upadki, twoją ciemność, próżność i samowolę; obmywaj się z nich łzami. Nie śmiem mówić ci, ażebyś przyzywała cierpienie, ale nie odtrącaj go, skoro przyjdzie! To przyjaciel. Zrozumiej je, zrozumiej ten drugi chrzest, z którego możesz wyjść tak piękną!

A ty, matko, chrzcij twoje dziecko twem cierpieniem. Gdy wydajesz je na świat w takich boleściach; gdy podczas bezsennych nocy usypiasz w objęciu te biedne istotki, płaczące, chociaż jeszcze same nie wiedzą dlaczego (a dowiedzą się o tem dosyć prędko!), nie pozostawiaj bez użytku tego kapitału cierpienia. Umieszczaj go na procencie na ich korzyść. Niech za dojściem do wieku walk i niebezpieczeństw będą bogate skarbem łez macierzyńskich, jej cierpień przyjętych dobrowolnie i odważnie za nie ofiarowanych.

Bo Bóg uczynił tę drugą rzecz cudowną, że cierpienie przyjęte dobrowolnie jest nieocenionem. Nie tylko że oczyszcza jedną duszę, ale jego własności rozciągają się i na wszystkie nam ukochane. To jak gdyby

wonności Aarona, które po namaszczeniu i poświęceniu jego głowy schodziły po jego brodzie i nasycaly zapachem aż do krajów jego szaty. Przeczytajcie w księdze Genezy tę cudowną rozmowę Boga z Abrahamem, o owych dziesięciu sprawiedliwych, którzy mogli służyć za przeciwwagę dla tysięcy występnych — przeczytajcie to i pojmijcie całą odradzającą własność cierpienia.

Wiecie, dlaczego ten człowiek, który nie modli się nigdy, nie oddaje Bogu żadnej czci, zasmuca Go, a może i znieważa — dlaczego on żyje, dlaczego nie dotyka go kara niebios? Oto dlatego, że w około niego jego działki modlą się, jego żona płacze, i te kochające go istoty gromadzą na szali przeciwległej jego nieprawościom wszystkie swoje cierpienia, zasługi, cnoty i niewinności.

A jeśli narody istnieją, jeśli te niezmierne warsztaty grzechu nie upadają pod ciężarem swoich nieprawości, to dlatego, że mają w swoim łonie dobrowolne zadosyćuczynienia, ludzi cierpiących i poświęcających się przez miłość. A jeżeli czasem, gdy hańba i zbrodnia zbyt nagromadzi się w żyłach narodów, nagromadzą się i nieszczęścia; jeśli ludy są już na drodze zguby i zatrzymują się na niej, — to poszukawszy dobrze, zawsze znajdziecie, że było tam choć kilka wielkich dusz, które się dobrowolnie poświęciły; były jakieś niezasłużone cierpienia, znoszone szlachetnie, święcie, wzniosłe; kilka kropel krwi czystej, która popłynęła z miłości, ażeby obmyć fale krwi niegodnej. Ale dosyć tutaj ogólnych uwag; wzywają nas inne punkty widzenia.

IV.

Słyszę, jak poeta mówi:

O boleści, ty czynisz człowieka!

A drugi, brat jego w geniuszu, dodaje:

Nic tak nie podnosi, jak wielkie cierpienie.

I przeczuwam trzecią i najwyższą przyczynę cierpienia. Jest ono nie tylko światłem wpośród ciemności i złudzeń życia i lekarstwem na jego zepsucie: ożywia i poświęca dusze; powiedziałbym prawie, że stwarza je na nowo; przynajmniej daje im piękność i wzruszającą wielkość, których nie potrafiłaby im dać sama cnota.

Prawdą jest, że na tej smutnej ziemi bez cierpienia nie było nigdy wielkiego czynu ani wielkiej duszy. Geniusz, sława ani cnota nie wystarczały nigdy do wielkości. Zawsze potrzeba było na to cierpienia.

Daremnie jeden człowiek połączył na swej głowie wszystkie korony — ludzkość z uznaniem jego wielkości czekała, ażeby otrzymał chrzest cierpienia.

Nawet i cnota, cnota szczęśliwa, nie jest największą rzeczą na ziemi. Zawsze brak jej tego czegoś niezrównanego i wykończonego, które tylko nieszczęście może jej nadać.

Jak gdyby w tej wysokiej pracowni, gdzie się tworzą wielkie dusze, geniusz, sława, cnota mogły tylko szkicować zarysy. Ostatnie poprawki, które należą do Mistrza, są wykonywane przez cierpienie.

Dlaczego? To tajemnica, powiadają. Prawda, ale może ta tajemnica nie jest tak niezgłębioną, jakby się zdawać mogło.

Jesteśmy istoty małe, bo ograniczone. A im chętniej poddajemy się tym granicom, im bardziej zamykamy się w nich, tym mniejszymi jesteśmy. Ażeby urosć, trzeba wyjść z nich, trzeba je przełamać, wydostać się nadludzkim wysiłkiem poza to nędzne koło. Ale na to potrzeba cierpieć.

Jest to jak owo koło z żarzących węgli, którem indyjskie dzieci otaczają owad, jeśli przypuszczają, że jest niebezpieczny. Stworzenie to próbuje je przekroczyć, ale cofa się przed bólem, pozostaje na miejscu i kończy tam życie. Dusze pospolite czynią tak samo. Wielkie dusze wychodzą z koła, przekraczając ogień cierpienia.

Patrzcie oto na pisarza. Kiedyż przychodzą mu wzniosłe myśli: czy w miękkości, w bezczynności, kiedy pozostaje w pozornym zakresie swojej natury? czy też wówczas, kiedy wydostaje się z niego bolesnym wysiłkiem? „Ukończyłem właśnie tę ciężką pracę w milczeniu siedemnastonocnego czuwania. Teraz zaś po wykonaniu dzieła, w modlitewnym skupieniu ducha i drżący jeszcze od cierpień, jakie przy tej pracy poniosłem, pytam siebie: czy głos mój będzie wysłuchany?” Tak to powstają w boleści wielkie dzieła.

A poeta gdzież znajduje nieśmiertelne oddźwięki? Któżby o tem nie wiedział! Nigdy dusza nie śpiewa piękniej, niż w boleści.

I każda z ran jej
Nadaje jej ton wznioslejszy.

A im krwawszą jest rana, tym bardziej wzmacnia się harmonia tonów.

Najpiękniejszymi śpiewami są śpiewy rozpaczny,
A niektóre nieśmiertelne są samem łkaniem.

To samo dzieje się z wielkimi charakterami, z głębokimi duszami, z sercami dobrymi. Potrzebują one cierpienia. U tych, którzy go nie doznali, życie przechodzi jakby tylko po wierzchu dusz. Uczucia ich nie mają mocy, serca czułości, umysł dobrych widnokręgów. Wszystko w nich jest powierzchowne, umysł pospolity, a dobroć płytka.

Jednem słowem, pod każdym względem tylko cierpienie przenika do duszy dosyć głęboko, ażeby ją powiększyć. Są w nas miejsca bardzo podniosłe, gdzie życie drzemie; ukryte głębie, które zawierają skarby, a do których dusza nie może się dostać, z powodu braku mocy. Potrzeba na to gromu boleści. A nawet ośmielam się utrzymywać, że są miejsca w sercu, które nie istnieją, zarodki zaledwie niejasne, które aby mogły być powołane do życia, potrzebują cierpienia.

Wiecie, jak to bywa, skoro słyszymy piękną muzykę. Z początku jesteśmy kołysani łagodnie, zachwyceni, wzruszeni. Potem nagle za jakimś dźwiękiem, jakimś potężniejszym akordem dusza nasza ulatuje w górę, uniesiona, zachwycona. Odezwały się w niej nieznane głębie. To samo czasem, ale rzadziej, umie zdziałać wymowa. Olśniewa nagle błyskawicą, rozbrzmiewa gromem. Wszyscy są uniesieni, mówca i słuchacze. Okrzyk ten, którego sam mówca nie przewidywał w sobie, poruszył ich do głębi.

Otóż to samo, co czynią geniusz, wymowa, muzyka, to samo prawie boleść: ma taką samą jak one moc przeniknąć do najtajniejszych głębi ludzkiej istoty i unieść ją ponad nią samą. Tak samo jak z krzemienia wylatuje iskra, skoro go uderzymy — dusza ludzka pod ciosem boleści wydaje światło, wielkość, bohater-

stwo, poświęcenie — tysiące ukrytych skarbów. W tym złomie marmurów jest ukryty posąg, ale potrzeba go stamtąd wydobyć. Szmaragd tkwi w tym kawałku kwarcu; za rozbiciem go załśni tysiącem promieni. Ale trzeba odjąć tę kamienną zasłonę, użyć do tego młota i dłuta. Człowiek usiłuje to uczynić, ale ponieważ nigdy prawie nie ma tyle odwagi, aby uderzać z potrzebną siłą, Bóg zsyła na niego cierpienie, iżby mu dopomógł w tem wielkiem dziele.

I dlatego to zawsze Święci, bohaterowie, geniusze, wszystkie dusze wielkie były po wsze czasy umiłowanemi dziećmi cierpienia. Tylko zbolełe czoła przyozdabiały się laurowym wieńcem. Przypomnijcie sobie Homera, Milтона, Tassę, Dantego, Kamoensa. Tylko podniosłość uczucia dała im wieczną sławę, a tej podniosłości jako też głębokości pojęć nigdy nie osiągnęliby bez cierpienia.

A żołnierze, bohaterowie! Cierpienie tworzy żołnierza. Nigdy dusza nie okazuje się w bardziej wzruszającej i prawdziwej piękności, niż w obliczu śmierci, w tej uroczystej chwili, kiedy niebezpieczeństwo wywołuje takie zupełne zaparcie się siebie. Zadaniem żołnierza jest zapomnieć o sobie i poświęcać się aż do śmierci. To jest najwyższa piękność duszy, innej niema prawie wcale. Przypatrzcie się dobrze a przekonacie się, że prawdziwie wzniosłym bywa człowiek tylko wobec cierpienia i śmierci.

Dlatego to Święci są najwznioślejszymi z ludzi. Grom boleści trafia w nich i podnosi na wyżyny nie jednorazowo tylko, przypadkiem, na polu bitwy; żyją oni w cierpieniu z własnej woli i z woli Bożej, i dają mu w sobie wolne pole działania. Cierpienie odrywa

ich ustawicznie od wszystkich rzeczy stworzonych i od własnego „ja.” I to życie zaparcia się i poświęcenia, którego najwyższym wysiłkiem poszukują aż na dnie własnej duszy, czyni z nich jakby nieustanną całopalną ofiarę. Największy to widok, jaki ziemia może przedstawić niebu.

Święty Franciszek Salezy pisze: „Nie wiecie czego nam zazdroszczą aniołowie: oto niczego innego, tylko możliwości cierpienia dla Boga, bo oni nigdy dla Niego nie cierpieli.” Co mogą oni ofiarować Bogu i tym, których kochają? Hołdy, modlitwy? I my to samo możemy, a nadto mamy cierpienia, przyjęte dobrowolnie i znoszone z miłością.

I nie tylko aniołowie zazdroszczą nam tej wielkości, tej wzruszającej piękności. Bóg na łonie swojej chwały jest przejęty podziwem dla tego, czego człowiek dokonywa na łonie boleści. Pozazdrościł mu tej wzniosłej zdolności zaparcia się siebie, cierpienia i umiærania dla tych, których kocha. I zdaje się, że gdyby Bóg nie był potrafił umrzeć za człowieka, który dla Niego cierpiał i umierał, człowiek miałby rodzaj piękności i wielkości, którego brakłoby Bogu. Dlatego to dnia pewnego otworzyły się niebiosy, i Syn Boży wstąpił na krzyż w nieskończonem cierpieniu, aby pomimo wszelkich możliwych ofiar człowieka dla Boga, widział on zawsze swego Stwórcę w chwale wyższej nad swoją ofiarę.

Wielkość zatem i piękność dusz ludzkich stopniują się według cierpienia. To jak gdyby piramida. Na jej wierzchołku są ci, na których czole błyszczy geniusz, cnota i cierpienie, a na czele ich Ten, który pod tymi trzema względami jest pierwotnym pomiędzy synami

ludzkimi. Niżej stoją cierpienia mniej silne, a z niemi uczucia płytsze, pospolitsze istnienia. Im niżej, tem więcej słyhać śmiechu; im wyżej—tem więcej powagi, tego uczucia nierozłącznego ze wszystkim, co wielkie, a z nią prawdziwej piękności, o uroku niewypowiedzianym piękności cnoty, miłości i cierpienia. Cierpienie, to coś tak wielkiego, że zwiększa nawet piękność. Serce i twarz zarówno pięknieją przez cierpienie.

V.

Zatrzymajmy się na chwilę w tem miejscu. Pełno tu światła. Więc cierpienie nie dotyka tylko tych, którzy zapominają o Bogu na tym biednym świecie, ani tych, których ogarnia to zepsucie. Sprawiedliwi także cierpią; dobrzy mają krzyżyki. Cierpią, aby byli jeszcze sprawiedliwsi; znoszą krzyże, aby się udoskonalić. Oto dosięgliśmy jądra kwestyi. Rozpatrzmy ją bez pośpiechu. Zaczniemy rozumieć życie w smutnem, lecz żywym świetle cierpienia.

Kiedyż poznamy, że człowiek sam siebie tworzy; że Bóg zesłał go na ziemię w stanie niewykończonym, zarodkowym, ażeby właśnie musiał pracować sam nad sobą; ażeby z tej bryły zimnej, nieforemnej, bez charakteru, bez piękności, własną pracą stworzył piękny i harmonijny posąg? A nadto, kiedy ujrzymy, że jako pomocnika w tej pracy nadał mu Bóg cierpienie? Nie byłś pięknym, wielkim ani świętym, człowiecze, aleś nim został. Dlaczego? Bo cierpiałeś.

Spójrzcie, jak ludzie przychodzą na świat. Wszyscy w stanie zarodkowym, niekiedy potworni. Najlepsi

przynoszą z sobą pierwiastek cierpki i surowy, grunt jałowy i oschły. Wielki spostrzegacz orzekł, iż wiek dziecinny nie zna litości. Młodzieniec ma mało serca. Ma krew, uniesienia, zapal, które bierze za serce, ale to rzecz zupełnie odrębna; — bezpośrednio po największem uniesieniu, które bierzemy za miłość, a nawet w samym jego ciągu, z jednego jakiegoś ruchu, z jednego rozkazującego, pogardliwego lub egoistycznego słowa poznajemy, że serce tam jeszcze nie powstało. Albo posłuchajmy mowy człowieka, jeszcze młodego. Ma on wdzięk, rozum, wyobraźnię, zapal, naukę. A jednak nie mówi dobrze. Cóż mu wtedy brakuje? — Nie cierpiał.

Potrzeba wiele czasu, potrzeba prób i cierpień znoszonych w wielkiej łagodności, aby nadać sercu urok, duszy wzniosłość i moralną piękność. Niektóre i to najpiękniejsze struny nie odzywają się wcale w człowieku, jeśli nie były zwilżone łzami. Dlatego to cierpienia spadają na nas tak obficie. Nadchodząca fala nie czeka na ustąpienie poprzedniej. Boleści ducha, serca, najróżnorodniejsze cierpienia i choroby, gorycz nieustająca napływają ciągle i zapełniają życie. Dziwi nas to i pytamy: dlaczego?

Tak, dlaczego szczęście uchodzi zawsze, a cierpienie nie ma nigdy końca?

Oto dlatego, ażeby nas oszlifować, zetrzeć z nas wszystkie chropowatości, opracować nas działaniem ryłka powolnem i delikatnem.

Jednym przypadają w udziale gromy boleści, na podobieństwo tych potężnych ciosów młota, jakie Michał-Anioł musiał spuszczać na marmur, z którego miał wywołać posąg Mojżesza. Innym ustawiczne, drob-
aż-

gowe, delikatne działanie koła szlifierskiego, które dyamentom nadaje piękność, blask i ogień. Ale tak w jednych jak w drugich, cierpienie działa jednakowo rozumnie i dopomaga im udoskonalać się i upiększać.

A ma tam ono tyle do roboty! Niech was to więc nie dziwi, że musi powracać często. Nieustannie wraca w te same miejsca, szczególnie w miejsca słabe. Jeśli jesteś łagodnym: ono musi ci nadać siłę. Silny jesteś; czyż nie chcesz za pomocą jego stać się łagodnym? Mamy osobę o sercu kochającym: cierpienie w ciągłej ofierze i zaparciu się siebie uczy ją miłości, któraby nie była miękką, ani zanadto ziemską, ale wzniosłą, szlachetną, czynną, działającą i wytrwałą. Inna znowu ma charakter wielki i stały, ale egoizm jej nie zna wiary: jakże nie ma tu pośpieszyć cierpienie? Trzeba, aby łyzy ożywiły tę gasnącą tkliwość i miłość upadającą. O wy, dusze dumne i egoistyczne, które jesteście tak pełne swojego „ja,” zaczekajcie na cierpienie; ono zmusi i nauczy was kochać. A wy, serca kochające, oczekujcie go również i obawiajcie się go. Przeniknie ono was tak całkowicie! Nie da wam rozplywać się w miękkich czułościach. Tkliwość wasza będzie musiała przemienić się w szlachetność i cnotę.

Nie dosyć rozumiemy głębokie działanie boleści. Inaczej, uwielbialibyśmy niewidzialną i kochającą rękę, która kieruje rylcem. Kiedy nie łudząc się wejrzymy w siebie, rozpoznajemy z podziwem, jak trafnie cierpienie wymierza swe ciosy.

A nie tylko dotyka ono duszy tam, gdzie są właśnie braki, cienie, wady, aby nadać jej brakujące przymioty; często skierowuje swój rylec do najpiękniejszych

stron naszych, do cnót, najciężej przez nas nabytych. Dlaczego to? Ażeby powiększyć je przez próby, odjąć im rdzę wszelką. Jesteś dobrym, cierpliwym, dlatego też spadną na ciebie różnego rodzaju przykrości. Masz serce kochające: będziesz zmuszony żyć z samolubami. Twoja największa cnota będzie właśnie nieuznana; najlepsze uczucie nie znajdzie do kogoby się zwrócić. Byłeś stworzony do cichego, rodzinnego życia, a będziesz może żył samotny lub stracisz wcześniej towarzyszkę swoją. Dusza twoja jest zdolna do wszystkich uczuć ojcowstwa, a nie będziesz miał nigdy dzieci. Jeśli masz w duszy drażliwsze miejsce, cierpienie skieruje ku niemu swe ostrze; znajdzie je, choćbyś je przed wszystkimi utaił. A może go i sam nie znałeś, ale ono ci je pokaże. Bo cierpienie—to narzędzie tylko, a kieruje nim ktoś, co wszystko widzi.

Chcę wam dać jeszcze inne przykłady. Czy zauważyliście, jak umiejętnie cierpienie zastosowuje się do dusz? Razem z nimi podnosi się i zniża; stosownie do nich czyni się delikatnem i grubem. Jeśli jesteś niezdolny odczuć subtelne udęczenie duszy, Bóg zesle ci twarde wysiłki fizyczne. Nie możesz odczuć szlachetnych cierpień honoru, Bóg ci zesle pospolite troski majątkowe. Nie potrafisz doznać świętych cierpień serca, Bóg da tobie suche niepokoje umysłu. Nie traćcie szlachetności, bo skoro cierpienia wyższego rzędu nie będą na was działały, duszom będą dane cierpienia poziome.

A przeciwnie, patrzcie, jak cierpienie wznosi się i niejako uduchowia w miarę, jak dusze oswobadzają się z materii. Któż pojmie i wypowie wyższe, nieznane tłumowi cierpienia, które są udziałem geniuszów, poetów,

umysłów wybranych? A jak odmalować niewidzialne i wzniosłe męczeństwo, zsyłane przez Boga sercom macierzyńskim, zachwyconym sercom dziewic i Świętych?

Życie jest tygłem, gdzie dusze kształtują się dla Nieba, a w tym tyglu każda ma ogień, jakiego potrzebuje. Wy, którzy rozumiecie to i pożądacie wzniosłości i świętości, pozwólcie działać cierpieniu. Ten, który niem kieruje, wie lepiej od was, gdzie należy zwrócić ostrze.

To prowadzi mnie do jeszcze bardziej zajmującego punktu widzenia, albowiem widnokrąg rozszerza się w miarę, jak postępujemy naprzód.

VI.

Uważałem często jedną rzecz, która z początku zadziwiła mnie, a następnie przejęła zachwytem.

Każde życie rozpoczyna się szczęściem, a kończy smutkiem. Szczęście rozbłyska z jutrzeńką życia i znika z nią razem; potem nadchodzi smutek i nie ma już końca. Dlaczego z początku, kiedy jeszcze nie działałem, nie uczyniłem nic, na nic nie zasłużyłem, otrzymuję wszystkie dary i wszystkie radości, a na końcu, kiedy już pracowałem, modliłem się, kochałem, kiedy poddałem się woli Bożej — wszystkie smutki i opuszczenia?

Dlaczegoż Bóg umieszcza na początku

To wszystko, co jest w życiu najlepszego?

Powiedz mi to, o Boże, ażeby smutek nie ogarnął moich ostatnich dni, a serce nie pękło z bólu

w starości mrocznej i ponurej, bez pociechy i nadziei, bo bez światła!

Widzimy, że jesteśmy tutaj na to, ażeby pracować nad tworzeniem siebie samych, nad upięknieniem własnej duszy. A piękność ta nie dosięga nigdy swego kresu, musi ciągle wzrastać. „Bądźcie doskonałymi, jako Ojciec mój Niebieski doskonałym jest.” Trzeba postępować ze światła w światło, z cnoty w cnotę, nigdy się nie zatrzymując. A w szczęściu zatrzymujemy się właśnie, zapóźniamy i zapominamy. Dlatego to zaczynamy od szczęścia, ale nie możemy trwać w niem. Bóg musi nas z niego wygnać. *Egredere, egredere!* — Naprzód, naprzód! rzućcie to, co was powstrzymuje; nie ustawajcie w drodze! Bóg tak nakazał nam postępować ciągle naprzód, wedle powiedzenia Bossuet’a, że nawet w nieskończoności nie pozwolił się nam zatrzymywać.

I dlatego, skoro chcemy zatrzymać się na ziemi, skoro zapominamy się w szczęściu, płomień boleści wybuchu na Boże skinienie pod naszymi stopami i zmusza nas do postępowania dalej.

Takimi są dzieje ludzkości, takimi każdej pojedynczej duszy.

Spójrzcie oto na świat: rozpoczął się on rajem ziemskim. Ale ileż to trwało? Człowiek nie wytrzymał długo takiego szczęścia. Potrzeba mu było wygnanym być z raju, ażeby we łzach odnaleźć wygasłą miłość i stracone piękno.

Spójrzcie na chrześcijaństwo: ono także wzięło swój początek niejako w Edenie. Ale cóż wyrzekł wkrótce jego Boski Założyciel? „*Pożyteczno wam, abych ja odszedł.*” A potem te słowa pełne znaczenia: „*Bo*

jeśli nie odejde, pocieszyciel nie przyjdzie do was" (Jan, XVI, 7). Znaczy to, że jeśli szczęście będzie trwało ciągle, szczęście słodkiego obcowania Mistrza z uczniami, Duch nie znajdzie pomiędzy nich; Duch, czyli wielkość, cnota, święty ogień gorliwości, ofiary, poświęcenia. *Spiritus non veniet.*

To samo dzieje się z każdym życiem. Dziecko przychodzi na świat tak jakby w raju; pieszczą je, miłują, otaczają troskliwością. Ale nie trwa to długo—nie może trwać. Musi skosztować goryczy, napić się z potoku, bo inaczej nie osiągnęłoby dojrzałości. Strzeż się więc, matko, ażeby miłość twoja nie wyszła mu na złe!

Nadchodzi czas małżeństwa, nowego rozdziału w życiu. Ono także ma swoją godzinę szczęścia i zachwyty. Ale gdyby ta godzina rozciągnęła się na całe życie, cóż stałoby się z duszą? Ludzie zapominaliby o rodzicach, przyjaciółach; zaniedbywali swego powołania, biednych; zaprzestaliby pracy nad własnem udoskonaleniem. Stawaliby wśród drogi. A tymczasem obowiązkiem naszym jest postępować naprzód bezustanku. *Egredere, egredere.* Potrzeba się rozstać nie z miłością, ale ze szczęściem, jakie ona daje; poznać jej ograniczoność i nieudolność. Trzeba pogłębić swoje serce boleścią raczej, niż radością. *Bo jeśli ja nie odejde, pocieszyciel nie przyjdzie do was.* Dożyć winniśmy do cnót miłości, piękniejszych stokroć i lepszych nad radości, jakie nam daje; starać się osiągnąć ducha, ogień, cnotę dla cnoty samej, ofiarę i poświęcenie.

I życie zakonne ten sam przedstawia widok. Rozpoczyna się słodkim nowicyatem. Któż wyrazi szczęście duszy, Bogu poślubionej! Ale i to przemija. Oszłości,

opuszczenia, ciemności nie omieszkają się ukazać. Światło, pociechy duszne uchodzą jedne po drugich. Dusza pozostaje osamotnioną, czerpiąc siły jedynie w wierze i miłości. Pod jej stopami rozżarza się coraz gorętszy płomień boleści, nie dający jej zatrzymywać się w drodze.

Takimi są dzieje wszystkich dusz i każdego życia. Na początku chwila szczęścia, przelotnego upojenia, jak kropla słodczy na brzegu kielicha. Następnie źródło radości zmniejsza się z każdym krokiem, a przybiera potok cierpień. Ciało jest codzien cięższe, serce bardziej zbolełe; ciężar z każdym dniem więcej przygniata barki. Chcielibyśmy przynajmniej powstrzymać wzbieranie bólów, skoro nie zdołaliśmy powstrzymać uchodzącego szczęścia. Tymczasem i to jest rzeczą niepodobną. Sen za snem przemija; jedno rozwiane marzenie ściga drugie. Zaledwie zasypaliśmy jeden grób, a już musimy kopać drugi. Daremnie wołamy z poetą:

Uderzaj dalej, boleści, jeżeli znajdziesz miejsce!

Miejsca tego nie brak nigdy; cierpienie zawsze je sobie znajdzie. Skoro wyczerpie siły ciała, bierze się do umysłu; zwalczywszy umysł, rani serce z kolei. Zraniwszy, ponawia ciosy. Gąbka z dna morskiego raz nasycona wodą, nie przyjmuje jej nadmiaru. Z sercem dzieje się inaczej, ono ma nieskończoną zdolność cierpienia. Tak dochodzi człowiek do kresu. Wszystkie jego marzenia rozwiały się; dorobek jego cały rozproszony; dzieła obalone; ukochani w grobie. Cóż mu pozostaje? Odwaga go odbiega; mało braknie, ażeby nie oddał się ostatecznej rozpacz. O zaślepienie ludzkie!

Co ci pozostaje, człowiecze? Oto ty sam, twoje serce i dusza. Ogień boleści przetrawił i zniszczył wszystko, oprócz duszy twojej. Kiedy przygasł płomień stosu męczeńskiego Joanny d'Arc, nie pozostawił żadnego szczątku ofiary, tylko jedno serce. Życie to także ogień. U kresu jego pozostaje tylko serce, oczyszczone, powiększone, wyszlachetnione, przemienione przez cierpienie, godne nieba, dla którego było stworzone i dokąd może teraz powracać.

Do tego dążyło cierpienie. Widzicie dobrze, że w istocie cierpienie w działaniu swoim zastępuje miłość. Jej to zadaniem było uczynić to, co cierpienie spełniło. Miłość oświeca, oczyszcza, uszlachetnia, miłość podnosi i uświęca; a jeśli obecnie cierpienie dokonuje tego wszystkiego, to dlatego tylko, że miłość nie jest dosyć silną, ażeby sama jedna podołała zadaniu.

Ale w parze z cierpieniem jakże jej potęga jest wielką! Bez współdziałania zaś miłości i cierpienie niewiele może. Miłość to jego kierunek i regulator, ona jedna zna całą jego moc i użyć jej stosownie potrafi. Mała miłość z wielkiem cierpieniem już dużo stanowią i mogą dokazać cudów. A jeśli jeszcze miłość dorównywa w sile cierpieniu, jakże wtenczas szybko człowiek wznosi się na wyżyny! Dojrzewa w przeciągu chwili jednej; dusza jego wyrwa się ku niebiosom. Pan Bóg wysłał swoich aniołów, ażeby Mu ją przywiedli.

VII.

Dochodzimy już najwyżej, do ostatniego słowa religii o bolesnej i niepojętej tajemnicy cierpienia. Kto

stworzył cierpienie? Kto mu nadał moc oświecania, oczyszczania, uszlachetniania i uświęcania dusz? Kto zsyła na dusze cierpienie, jak na pola deszcz i słońce? Jaki genialny rzeźbiarz ociosuje dusze, ażeby nadać im kształt najpiękniejszy? I dlaczegoż Pan Bóg pracuje nad uszlachetnieniem ich przez miłość i cierpienie, jeśli nie dlatego, że je kocha? Słuchajcie, dusze, tego ostatniego słowa, słowa najszczytniejszego, jedynie mogącego was pocieszyć. Bo są krzyże tak ciężkie, że wszystko, co było powiedziano wyżej, nie wystarcza do ich pocieszenia. Nieskończone boleści potrzebują pociech nieskończonych.

Wiedzieć, że Bóg nie tylko jest dobrym, mądrym, wielkim i miłosiernym, ale kocha nas przytem; że miłość Jego jest dla nas jak On sam nieskończoną, a cechami jej są: siła i zazdrość; tak, że przy niej wszystkie uczucia ziemskie są tylko bladymi cieniami, martwymi liśćmi z drzew opadłymi. Jakże mogłoby być inaczej? Czyż serce Boga jest martwem, nie umiejącem kochać sercem? Czyż jest to jedno z tych serc połowicznych, pozbawionych ognia miłości, których słabe iskierki powracają do nich, niezdolne będąc dosięgnąć i rozżarzyć serc innych? Lub też byłoby ono z tych serc bezsilnych, które kochają wprawdzie i nawet gorąco, ale niemocne są uczuć swych w czyn wprowadzić? Kochając, czyliż podobnie jak my jęczy i ubolewa, że nie może tego nawet wyrazić dostatecznie? Bóg jest naszym ojcem i matką zarazem. Przedstawcie sobie ojca wszechmogącego, matkę, której potęga równałaby się miłości. Czy dobrze zastanowiliście się nad słowami: miłość nieskończona? Miłość skończona już jest rzeczą szczytną; „wszystko może,” powiada

autor *Naśladowania* ¹⁾; jakąż więc być musi nieskończona miłość! Zważcie to wyrażenie: nieskończona; to znaczy: niewyczerpana, niewyciężona; nieskończona—to jest niezmordowana w dawaniu i nigdy nie syta wzajemności. „Będiesz miłował Pana Boga twego ze wszystkiego serca twego, ze wszystkich sił twoich, ze wszystkiej duszy twojej.” Tego wymaga On od nas, a wymaga, ponieważ daje to samo. „Wiedźcie, że wasz Bóg jest Bogiem zazdrosnym.” To samo napisał na Synai i Kalwaryi, w dwóch chwilach, kiedy najbardziej zbliżył się do ludzkości; napisał gromem i błyskawicą, łzami i krwią, ażeby cała ludzkość wiedziała o tem i nie mogła nigdy zapomnieć.

Z tego stanowiska spójrzcie na drogi Boskie i usiłujcie je pojąć. Bóg kocha dusze; jest zazdrosnym o ich piękność. Dlatego tylko umieścił je na chwilę w doczesności, ażeby dodać im o jedną więcej piękność, o jedną więcej zasługę, pochodzącą z wolnej woli dzieci Bożych. Jakże troskliwie i z miłością czuwa nad ich życiem, wspiera je w tej krótkiej ale ciężkiej pielgrzymce! Jak im wymierza radość i boleść, miłość i cierpienie, jak umiejętnie to wszystko ustosunkowuje, jedynie w tym celu, ażeby je uczynić jak najpiękniejszymi, na podobieństwo wielkiego artysty, łączącego genialnie światła i cienie dla jak największej doskonałości swego obrazu! „Jeżeli Bóg chce, aby twoja dusza należała do Niego całkowicie, — pisał O. Lacordaire do młodzieńca, nie mogącego dźwignąć się po doznanym gorzkim zawodzie, — cóż w tem dziwnego, że odbiera jej

¹⁾ *O Naśladowaniu*, ks. III, rozdz. V.

wszystko, coby mogło jej być przeszkodą? Pismo uczy nas, że jest to Bóg zazdrosny. Nie dziw się, że Pan odjął ci szczęście tej słodkiej i dozwolonej miłości, pociechy uczucia, którego wolno kosztować na ziemi człowiekowi; On chce, ażebyś Jego wyłącznie umiłował." I dodaje te piękne słowa: „Kiedy Bóg spuszcza na nas swą różgę, czyni to dlatego, ażebyśmy nie szukali innej głowy nad zakrwawioną głowę naszego Zbawcy; innych oczu, ust, niż Jego; innych ramion do oparcia się, niż Jego ramion biczami poszarpanych; innych rąk i nóg do całowania, tylko Jego rąk i nóg gwoździami przebitych dla naszej miłości; innych ran do pielęgnowania, tylko Jego Boskich, wiecznie otwartych. Czyż miłość nie jest miłością, drogi przyjacielu! Uskarżasz się, że nie jesteś kochany, kiedy Bóg dał twemu sercu czystą, niezmierzoną, niewyciężoną miłość. Chciałbyś pokalać ją doczesnem uczuciem, ale widać, że On tego nie chce i dlatego karze cię i dotyka. Odkrywa przed tobą znikomość świata. Krzyżuje cię, ażebyś ukochał i naśladował krzyż Chrystusowy. Celem Jego jest posiadać miłość wszystkich ludzi, ku temu też zdążają drogi Opatrzności Jego."

Tak wszystko zmierza do tego celu, zarówno zniweczone marzenia, jak i druzgoczące gromy. Wszystkiem kieruje zazdrosna miłość, która chce być koniecznie wywzajemnianą. W tem całe rozwiązanie cierpienia, wyjaśnienie śmierci—w działaniu miłości bez miary, która pracuje nad pięknoscią dusz, albo zrywa więzy, stojące na przeszkodzie ich z nią połączeniu. Inaczej i śmierci nie możnaby sobie wyjaśnić.

Miłość ta czasem wyczekuje na dusze długo i cierpliwie — daje im dojrzewać pod działaniem boleści.

Zrywa je dopiero wówczas, kiedy utracą cały kwas i cierpkość. Jak piękną bywa śmierć niektórych starców! Ale też jak dobrym jest Bóg, który ich tak długo oczekiwał!

Niekiedy znowu Pan zabiera ze świata dusze prawe zaraz po zjawieniu się ich na nim. Żałujemy ich — oskarżamy Boga o okrucieństwo, a tymczasem tu właśnie miłość Jego dla nas ujawniła się w całej rozciągłości i delikatności. Pismo Święte uczy nas, że w tych przedwczesnych zgonach, które starożytni przeczuciem pojęli i otaczali czcią i zazdrością, przez łzy, zalewające nam oczy, mamy widzieć i podziwiać miłość nieskończoną, która zerwała owoc przedwcześnie dojrzały: „*Stawszy się na krótki czas doskonałym, przeżył czasów wiele*” (Mądr., IV, 13); albo miłość opatrzną, która chciała oszczędzić wątłej roślince za gwałtownej burzy: „*Pochwycon jest, aby złość nie odmieniła umysłu jego*” (tamże, IV, 11). Mówimy: Ależ była tak czysta! — a właśnie dlatego skłoniła ku sobie serce Boga. Kochaliśmy ją tak mocno! Prawda, ale ktoś kochał ją jak wy i przed wami; ktoś, co był jej więcej niż ojcem, matką, niżeli małżonkiem, co uczynił dla niej wszystko, co byście sami uczynili, gdybyście obok miłości posiadali Bożą wszechwiedzę i wszechmoc. Przytoczę tu autora wspomnianego wyżej: „My nieszczęśliwi zapominamy zawsze, że jest Istota, mająca większe od nas prawo do przedmiotów naszego ukochania, Istota, nazywająca się w Piśmie Bogiem zazdrosnym. Zapominamy w uczuciach naszych o Tym, który kocha więcej, niż wszystkie stworzenia pospołu; który, chociaż nieśmiertelny z natury swojej, chciał umrzeć za nie, ażeby im odjąć wszelkie prawo skargi na Jego wyroki. Podnieście oczy do tych przy-

bytków miłości bez granic: tam zrozumiecie tajemnicę naszych łez, tam na łonie Bożem ujrzycie ukochanych, straconych w doczesności. Tam pojmiecie przyczyny tego urządzenia, które wam się zdaje okrutnem; ujrzycie, że nieskończona piękność chrześcijańskiej duszy pociąga ją nieprzeparcie ku Temu, z którym ją chrzest zjednoczył. A skoro zwrócicie oczy na ten widnokrąg łez, którego wam z każdym dniem ubywa, przekonacie się może, iż więcej waszym ukochanym oszczędzono cierpień, niżli ujęto radości, i będziecie składali dzięki niepojętej dłoni, która ściągając się ku sługom i wybranym swoim, zsyła na nich błogosławieństwa.”

W tem oto chwala religii, że nie tylko włożyła słowa takie w usta geniusza, ale usposabia wszystkie serca do ich przyjęcia i zrozumienia. Ludzka mądrość, choćby najwyższa, nie dokazałaby tego. Cóż bo może ona przeciwstawić tym pojęciom? Jak wytłómaczy boleść, cierpienie najpiękniejszych dusz, najzacniejszych rodzin, ludzi najgodniejszych szczęścia, biorąc po ludzku, bo całe życie myśleli o szczęściu drugich? Niech nam po swojemu przedstawi przyczyny tego niepojętego zjawiska, które najcnotliwszym może odjąć odwagę. A nadewszystko, po wskazaniu nam źródła łez naszych, niechaj je otrze, co właśnie czyni religia, a co nam jest najpotrzebniejszem. Ale tylko religia to potrafi, i jak ujrzymy niebawem, czyni to w sposób Boski.

ROZDZIAŁ DWUNASTY.

O cudownych skutkach cierpienia (*ciąg dalszy*).
Jak religia, tłómacząc nam cierpienie, dopomaga zarazem je znosić.

Może powiecie na to: „Jeżeli tak, jakże można płakać cierpiąc? Jeśli boleść rozjaśnia, oczyszcza, uszlachetnia, przemienia, jeśli jest wielką pracownicą życia, zesłaną dla urabiania serc ludzkich, dla przetwarzania ich w swym ogniu i unoszenia ich na swych skrzydłach ku Niebu, to płacz w cierpieniu jest nierozumem i słabością, buntem i grzechem.”

Nie, grzechem jest tylko szemranie.

Przyznaję, Panie, że szaleńcem jest człowiek,
Jeżeli ośmiela się szemrać;
Nie skarżę się więc, nie przeklinam wcale:
Dozwól mi tylko płakać.

Religia nie wzbrania im łez — zezwala na nie, o mało że nie powiem: nakazuje, w każdym razie uświęca je, a uświęcając, łagodzi. Uczy nas w żalu

spoglądać ku Niebiosom, nie¹ zapominając o ziemi, koł nasze cierpienia jeszcze umiejętniej, niż je tłómaczy.

W pokoju więc i pełni nadziei rozważajmy ten drugi stopień Boskiej nauki cierpienia. Któż bo nie potrzebuje tego? Kto jeszcze tak nie zna życia, że nie nosi żadnej rany w sercu? Kto z nas w tych smutnych czasach nie przywdział żałoby po kimś ukochanym? Niechże religia uczy nas płakać.

I.

Skąd ludzie mogą wnosić, że religia wzbrania łez? Najreligijniejsza po wszystkie wieki dusza, idealny typ życia prawdziwie niebiańskiego, jak muszą przyznać ci nawet, którzy nie uznają jego boskości — Jezus płakał. Ugiął się pod ciosami cierpienia. Oblany potem i łzami w ogrodzie Oliwnym, powiedział: „Smutna jest dusza moja aż do śmierci,” i anioł przyszedł Mu na pomoc w spełnieniu kielicha goryczy. Na krzyżu szukał pociechy, potrzebował jej, chociaż niestety nie znalazł, ktoby Go pocieszył. Łzy Jego nad grobem Łazarza są jeszcze piękniejsze, bo pochodzą z serca. Jakieżby one były, gdyby nie pocieszająca pewność Jezusa, że może przywrócić życie przyjacielowi? Ta święta boleść, to boskie wzruszenie będą wiekuistą pociechą wszystkich cierpiących. Ludzkość zebrała te łzy drogocenne, otoczyła je czcią i uwielbieniem, bo one ją uczą, że płacz w nieszczęściu nie obraża Boga, który sam także cierpiał i płakał.

Prawda, że znaleźli się fałszywi mistycy, którzy posunęli się aż do zabrania łez w boleści. Ale

Kościół potępił ich naukę, a ludzkość ze wstrętem odwróciła się od nich, kierując wzrok pełny miłości na prawdziwych bohaterów, którzy są jej wzorami, którzy nie znieważyli natury ludzkiej pod pozorem uczczenia Boga.

Naprzód u stóp krzyża Marya, Matka boleści, najczystsza, najsilniejsza, najświętsza pomiędzy stworzeniem, według jednych zésłabła, leżąca na ziemi, według drugich stojąca, ale wedle zgodnego wszystkich świadectwa zalana łzami i przeciążona boleścią:

Stabat mater *dolorosa*,
Juxta crucem *lacrymosa*.

Po Mistrzu, po Jęgo i naszej Matce, idą wszyscy Święci. Czy przypatrzyliście się kiedy ich wiarogodnym wizerunkom? Twarze ich mają jakiś wyraz rozczulony, w oczach widnieją łzy; a czytając ich życie, przekonujemy się, że żadni rodzice, małżonkowie, dzieci, nie zachowali się w cierpieniu bardziej po ludzku od nich. Kto na przykład nie zna łez świętego Augustyna przy łożu śmierci świętej Moniki? jęków i wymownych skarg świętego Bernarda po śmierci brata? Musimy też wspomnieć rozdzierający żal świętej Elżbiety Węgierskiej, kiedy jej został wydarty ukochany małżonek. Czytajcie autorów współczesnych świętemu Ludwikowi; zobaczycie z jakimi ostrożnościami oznajmiono mu śmierć matki, i jak, pomimo najdoskonalszej rezygnacji tego wielkiego Świętego, otaczający lękali się o jego życie, tak dalece cierpiał. Wymienię tu również list i łzy świętego Franciszka Salezego po śmierci matki, i świętą Joannę Chantal, której ogrom boleści gorszył przytomnych. Fałszywi mistycy, o których mówię,

nie tylko że potępili uczucie i tkliwość, ale nadto naruszyli historyczną prawdę, ażeby zyskać przykłady dla swojej nauki. Potworzyli jakichś fałszywych świętych, okropnych, wynaturzonych; świętych marmurowych, martwych, bez serca i uczucia. Zdawało im się, że dodają im tem wielkości. Postąpili jak ci szaleńcy, którzy pod pozorem wywyższenia wiary zaprzeczają istnienia rozumu i depczą umysł ludzki. Czyż nie widzieli, że to właśnie stanowi główny czar dusz pobożnych, to najbardziej pociąga ludzkość do Świętych, że rzeczy Boskie łączą się w nich z człowieczeństwem, siła idzie w parze ze słabością, a uczucie z odwagą? Cierpienie ich objawia się przez płacz, jęki, przez omdlenie fizyczne, ale jęczą bez szemrania, płaczą bez goryczy, natura ich ludzka ulega słabości, ale mimo to nie tracą najdoskonalszego poddania się woli Bożej.

Więcej powiem: ta spójnia z Bogiem, ta jedność duszy wzmaga w nich człowieczeństwo. Przynajmniej nie spotkałem nigdy w historyi i nie napotykam w życiu boleści tak silnych, jakie znajduję w żywotach Świętych; i podziwienie nad ich siłą potęguje się we mnie zachwytem nad ich miłością.

Nie zabrania więc łez religia i nigdy ich nie zabraniała. Raczejby wzbronila tak dziką obojętność, a przynajmniej dziwiłoby ją, gdyby życie przecięte nie wywołało łzy żadnej. Widziałyby w tem siłę, która nie z niej idzie; nie poznałyby serca, które usiłowała kształcić, miłości, której piękność odkryła światu. Odwróciłyby się niespokojna, nie widząc w rysach chrześcijanina wyrazu oblicza Chrystusowego nad grobem Łazarza, na twarzy chrześcijanki nie odnajdując jednej łzy Maryi, pod krzyżem stojącej. „Błogosławieni,

którzy płaczą.” Słowo to jest natury, ale i religii zarazem.

Płaczcie więc, dajcie folgę łzom waszym. Oto życie wasze rozdarte. Odjętą wam jest lepsza połowa waszej duszy. Owoce waszej miłości gasną wam w objęciu, jak kwiaty zwarzone przez pierwsze przymrozki. Płaczcie, nie szukajcie pocieszenia. *Et noluit consolari, quia non sunt.* Człowiek pocieszyć was nie może, a Bóg nie chce. Bo nie chce On takich dusz, które się prędko pocieszają, które po stracie ukochanej osoby odwracają się i usiłują zapomnieć. Owszem, płaczcie, nie zapominaście nigdy! „Łzy — powiada święty Augustyn — świadczą o cierpieniu, świadczą o miłości. To krew serca, spływająca strumykami” ¹⁾. W wierze więc, nadziei i miłości ofiarujcie krew tę u stóp Krzyża.

II.

Dusza przez religię oświecona płacze więc w smutku, ale płacząc korzy się przed swym Stworzycielem. Przemawia do Niego: „Tak chciałeś, Panie, tak więc jest dobrze. Rozum mój nie może tego pojąć; cała natura czuje wstręt gwałtowny. Jeśli to być może, niech ten kielich będzie oddalony ode mnie. Wszakże, o Panie, bądź wola Twoja, a nie moja.”

Prawda, że początkowo tylko ze drżeniem wymawiamy owo: „Bądź wola Twoja.” Ale im dłużej je po-

¹⁾ Testantur lacrymae dolorem; testantur amorem. Erumpunt quasi rivuli sanguinis cordis. (S. August. Homil. XXVII).

wtarzamy, tem głębiej przenika nam w serce balsam pociechy. Dusza umacnia się stopniowo, podnosi; mów sobie: Bóg jest dobrym, wszystko robi przez dobroć. Potem zaczyna mówić: Bóg jest samą miłością; czyni wszystko przez miłość. A jeśli zbolełemu sercu jeszcze za trudno zdobyć się na wyznanie tak niezachwianej wiary, mówi przynajmniej jak pewna złamana smutkiem wdowa: „Tak, mój Boże i Panie! mam nadzieję, że wierzę mocno, iż wszystko, co czynisz, dobre jest.” To jest pierwsza pociecha, jaką religia daje duszy: jasne pojęcie nieskończonej Boskiej dobroci pośród mgły nas otaczającej, i pod ogromami boleści pewność miłości Jego.

Kiedy młoda wdowa, do której jeszcze powrócimy, omal że nie upadała pod ciężarem swego krzyża, zacny i pobożny ksiądz Gerbet, który usiłował ją cieszyć i umacniać, ułożył dla jej pokrzepienia wyznanie wiary, które nazwał *Credo cierpienia*. Ułóżcie każdy swoje *Credo cierpienia*, stosownie do waszych krzyżów. *Credo* wiary jest tylko jedno; cierpienie mnóstwo ich mieć może. Ułóżcie je sobie, tylko nie wykreślajcie z niego myśli następnych:

„Wierzę, mój Boże, że jesteś dobrym; wierzę, żeś samą dobrocią, z całych sił duszy, całą mocą rozumu mojego!

„Wierzę, mój Boże, że jesteś więcej, aniżeli dobry, czuły, łaskawy, przebaczący, miłosierny; wierzę, że jesteś samą miłością; wierzę, że wszystkie Twe myśli i czyny pochodzą z Twego serca, czerpiąc w Twojej miłości swój początek i dokończenie!

„O Boże mój! kocham mojego ojca, matkę, braci, siostry, męża, dzieci moje; wszystkich ich kocham ser-

decznie, głęboko; ale Ty, Panie, kochasz mnie stokroć więcej. Wierzę w to z całego serca!

„O Boże mój! ja nie chciałam zaszkodzić mojemu dziecięciu. Jakże mogłabym myśleć, że Ty mnie chciałbyś zaszkodzić? Ukaralam je wprawdzie czasem, nawet uderzyłam. Odbierałam mu przedmioty, w których sobie podobało, zabraniałam przyjemność sprawiających rozrywek, nie zważając na płacz jego. Czyż nie dla jego dobra to czyniłam? Tobą się, o Boże, świadczę, że nigdy postępowaniem mojem nie kierowała chęć zaszkodzenia mu, albo dowiedzenia mej nad nim władzy; wzdrygam się na tę myśl samą; zawsze pragnęłam i szukałam tylko jego dobra. Dla tego celu gotowa jestem cierpieć i umierać. A przecież moje serce, Panie, to tylko słaby cień Twojego! Całuję więc mój krzyż, mówiąc sobie: Zesłała mi go dobroć i miłość Boża. Nie widzę tego dzisiaj; natura moja wzdryga się ze wstrętem przed cierpieniem; ale wierzę w to mocno. W pełnej ufności opieram swoje zranione serce o Jego serce ojcowskie.

„Niecierpliwie, ale w pokoju czekam, o Panie, wielkiego dnia światła. Mgła rozwieje się wówczas; dowiem się wtedy, dlaczego odebrałeś mi ojca, matkę, dlaczego pozbawiłeś mnie małżonka; dlaczego z gniazdka, które przygotowałam dla mych piskląt, zabrałeś mi jedno, dwoje, troje. Dowiem się, dlaczego trzeba było, ażeby mnie nie zrozumiano, zdradzono, spotwarzono może. Dowiem się, dlaczego choroba musiała mnie na długie lata przykuć do łóżka. Wszystkiego, Panie, dowiem się!... Ale wszak już wiem wszystko. To samo słowo oświeca wieczność światłości, co i nasze cienie

ziemskie. Bóg jest dobrocią, Bóg jest miłością; wszystko, co czyni, czyni przez dobroć, przez miłosierdzie.

„Kiedyś, Panie, połączysz wszystkich, których tu rozdzieliłeś. Otrzesz łzy, ukoisz boleści nasze. Czekam, wierzę i kocham” ¹⁾).

III.

Trzeba jednakże przyznać, że są nieszczęścia, które wprawiają w pomieszenie umysł i podkopują wiarę, w których ta sama wiara zdaje się najbardziej niedopuszczać pocieszenia. Umiera nam ukochana istota, która przez całe życie nie zwróciła myśli do Boga. Śmierć zabiera dziecko, młodzieńca wpośród rozbujanego jego namiętności. Całe życie nie zapomnę krzyków jednej matki po samobójstwie syna. Co to za niezmierna boleść dla matki, a dla chrześcijanki jeszcze straszniejsza i bardziej przygniatająca! Ale i tam religia nie zawodzi cierpiących i rzuca promień nadziei na najgrubsze ciemności, nie pozwalając nam zupełnie zwątpić.

Kto może wypowiedzieć miłosierdzie Boga nad Jego konającym dziecięciem? Kto może wiedzieć, co zaszło między Bogiem a duszą w cieniach ostatniej godziny, kiedy uszy człowieka są ją zamknięte na wszelki głos ziemski! Kto powie, co się dzieje w chwili, kiedy dusza tli jeszcze w ciele jak blady płomyk już nie z tej

¹⁾ Patrz w *Récit d'une soeur, Credo cierpienia*, które ułożył ks. Gerbet. Wszystkie w niem słowa wyjęte są z Pisma Świętego.

ziemi, ale jeszcze nie należąc do Nieba, kiedy Bóg zbliża się, ażeby tę duszę przyjąć? Czyż matka odpycha dziecko, chociażby niewdzięczne? Czyż nie próbuje wszelkimi sposobami zwrócić go ku sobie? Czyż nużą ją starania, podjęte w tym celu, robienie mu tak pospolicie nazwanych awansów? Czy nie posuwa się w tem aż do przesady? Czy nie wytrwa do końca, usiłując je uratować, nawet pomimo jego woli? A wszakże Bóg jest więcej, aniżeli matką.

Spójrzcie, co uczynił, ażeby zgubę dusz uniemożliwić prawie. Nie dosyć, że otoczył nas łaską, o której powiedziano, że nas poprzedza, towarzyszy nam, postępuje za nami, otacza nas i ogarnia naokoło; niedosyć, że ustanowił siedem sakramentów, siedem strumieni światła i siły dla naszego całego życia i każdego w nim okresu; nie wystarczało to widać do uspokojenia Jego ojcowskiego serca, bo oto patrzcie i uwielbiajcie cudowny wynalazek Jego miłości.

Jesteś na bezludnej wyspie, sam jeden; nie jesteś ochrzczony. Nie masz kapłana, ani żadnego chrześcijanina, któryby ci udzielił sakramentu odrodzenia. Masz umierać. Byłżebyś zgubionym? Nie; tworzysz w głębi serca akt pragnienia, akt miłości, i oto jesteś ochrzczony, odrodzony, zbawiony. Kościół nas tego uczy.

Jesteś chory; czujesz już nad sobą lodowaty powiew śmierci. Przypominasz sobie wszystkie swoje grzechy, słabości, niezaprzeczone występki, które sumienie głośno ci teraz wyrzuca. Kapłan, któryby wysłuchał twej spowiedzi, ofiarował Ją Bogu i rozgrzeszył cię w Jego imieniu, nie przybywa. Cóż masz począć? Z głębi serca wydobywasz westchnienie, łzę, żal, jeden jedyny

akt miłości, i oto jesteś rozgrzeszony, oczyszczony—grzechy twoje są ci odpuszczone.

Jesteś w kościele, w czasie, kiedy ofiara Mszy świętej nie odprawia się, kiedy Ciało i Krew Pańska są przed tobą zamknięte. A jednak jesteś spragniony i łaknący Boga twojego. Mówisz: „Jako spragniony jelenź wzdycha do źródła wód żywych, tak dusza moja wzdycha do Ciebie, Panie!” Czy masz być pozbawiony szczęścia Komunii świętej? Nie; z głębi serca posyłasz akt miłości, i oto jesteś z Nim zjednoczony. Kościół tego naucza, i naucza, że ta Komunia przez pragnienie może być tak istotną, że w skutkach dorównywa rzeczywistej Komunii, a nawet niekiedy przewyższa ją.

Widzimy więc, że Bóg udzielił ludzkiemu sercu moc sakramentalną niejako. Może ono chrzcić, rozgrzeszać, jednoczyć się z Bogiem o własnej sile; samo sprawia skutki sakramentów i zastępuje je, kiedy nie możemy ich otrzymać. Samo w sobie jest całą religią. Cóż tedy utrzymują, że potępiamy wszystkich? Sami widzicie, że nie możemy nikogo potępić. Oto umiera człowiek; umierając, jeszcze bluźni. Nie przyjął księdza, odepchnął od siebie krzyż. Był to jego ostatni czyn, ostatnie postanowienie, poczem zapadł w to ostatnie przedśmiertne majaczenie i ciemności, w których my nie możemy już konającemu towarzyszyć. Pomoc religii już stracona dla tej duszy, przez pół tylko na tym świecie będącej. Ale pozostało serce, któremu łatwo uzyskać przebaczenie i zbawienie przez prosty akt miłości, żalu, pragnienia, przez jedną myśl: „Boże, kocham Cię!” Ludzie, nieświadomi prawdy, płaczą i rozpaczają naokoło tego łoża śmierci, a tym-

czasem może aniołowie w radości zabierają duszę do Nieba. Ósmy sakrament ją zbawił ¹⁾).

Człowiek odbiera sobie życie: straszna to zbrodnia. Kościół odwraca się ze zgrozą od krwawych szczątków i ma słuszość. Ale czy naucza, że ta dusza jest już bez ratunku zgubioną? Bynajmniej; któż bowiem może wiedzieć, co działo się w duszy w chwili konania? Któż wie, co ujrzała ona w świetle ostatniej godziny, co pomyślała i uczuła? Powiecie, że miała mało czasu? Cóż tutaj czas znaczy? Jednego wejrzenia, słowa, jednego porywu uczucia dosyć, ażeby oczyszczona świat ten opuściła.

Posłuchajcie, co wam opowiem:

W jednym z klasztorów Nawiedzenia była za czasów matki Chantal pokorna i świętobliwa zakonnica, niegdyś u dworu odznaczająca się pięknością, a teraz w zakonnem życiu nieustannemi modłami i pokutą; nazywała się Marya-Dyoniza de Martignat. Miała ona raz następujące objawienie:

Ksiązę Karol-Amadeusz Nemours, znajomy jej niegdyś na dworze sabaudzkim, przebity szpadą, skończył życie na miejscu w pojedynku ze swoim szwagrem, księciem de Beaufort. Sabaudya cała była pogrążona w smutku. Otóż tego samego dnia, którego odbył się ten smutny pojedynek, blisko na tydzień przed tem, aniżeli wiadomość o nim przyszła do klasztoru, zapłakana matka Martignat upadła do nóg przełożonej, mówiąc: „Matko wielbna, przychodzę ci

¹⁾ Wyrażenia powyższego nie należy brać w ścisłem znaczeniu. (Przyp. tłóm.)

oznajmić, że książę Nemours pojedynkował się i został zabity na miejscu; ale nie lękaj się: w tej chwili, kiedy miecz go przeszył, zdążył wnieść duszę ku Bogu i przebłagać Jego sprawiedliwość. Jest teraz w czyśćcu, ale niestety tak głęboko! Któż go wyratuje?”

Przełożona jeszcze wahała się dać wiarę jej zapewnieniom i była w wątpliwości co do zbawienia tej duszy. Siostra Martignat opowiadała dalej: „Miał on wprowadzić tylko jedno mgnienie oka, ażeby współdziałać łasce Bożej, ale skorzystał z niego. Nie tyle wzrusza mnie, dodała, stan niewymownych cierpień tej duszy, jak unosi i przejmuje podziwem błogosławiona chwila, która go zbawiła. Przedstawia się ona moim oczom jak upust nieskończonej Bożej dobroci, miłosierdzia i miłości. Schodził on ze świata w grzechu śmiertelnym, zasługującym na piekło. Drogocenna chwila łaski została mu udzieloną nie z powodu jego własnego odwołania się do Boga, ale jako wynik Świętych obcowania, na skutek modłów za niego zanoszonych. Bóg wszechmocny dał się łaskawie przebłagać jakiejś pobożnej duszy i wysłuchał jej modlitw, odstępując zwykłego porządku swej świętej sprawiedliwości.”

Trudno oderwać się od tej teologii, tak jest cudowną; przytoczymy więc dalsze słowa siostry: „Bóg użył wrodzonego każdemu instynktu wzywania Go w niebezpieczeństwie życia, jako Najwyższego Dawcy, ażeby w duszy księcia wzbudzić działanie Boskiej poświęcającej łaski. Łaska Boża działa prędzej, niż możemy sobie wyobrazić; nie tyle trwa nasze mrugnięcie okiem, co całkowity przewrót w duszy, która działa z nią zgodnie, i to cudownie dowodzi nam, że jesteśmy stworzeni na obraz i podobieństwo Boże.”

Od dnia tego święta zakonnica poświęciła się w zupełności zmniejszeniu cierpień „swego biednego księcia,” jak go nazywała, ofiarując za niego swoje pokuty, modlitwy, prosząc wszystkich o modlitwy, urządzając na nie prawdziwą kwestę. Przed śmiercią ku pocieszeniu swojemu została upewnioną, że zasługi jej zadosyćczynień sprawiły, iż ta dusza przybliżyła się nieco do przybytków wiekuistej światłości. O prawdziwości zaś tego objawienia nie powątpiewał nikt, ani spowiednik, ani biskup, ani przełożona, ani też ona sama.

Jak mało znamy serce Boga! Kiedy umiera człowiek, ten człowiek, którego On sam stworzył, którym opiekował się przez całe życie, którego karał, hamował, skierowywał i oświecał, ażeby go utrzymać na drodze dobrej, a który Go mimo to nie słuchał, — wówczas Bóg podejmuje z nim ostatnią walkę, walkę miłości, walkę matki upadającej w rozpacz, w szal prawie z gniewu i miłości, skoro ma stracić dziecko. Ten Bóg dobroci schodzi ku człowiekowi, ten niespokojny ojciec pochyla się nad łóżem konającego syna. Przypomina wszystko, czego użył dotychczas, ażeby go pokonać: światło, łaski, kary, dobrodziejstwa:

Zasypałem cię niemi, chcę cię jeszcze przygnieść.

Jeżeli chory podda się na pierwsze wezwanie, ludzie widzą zwycięstwo, i religia raduje się z nawrócenia grzesznika. Ale jeżeli się opiera i w tym stanie wchodzi w cienie przedśmiertne, walka przedłuża się poza nasze mi oczyma, i nadzieja ratunku nie jest jeszcze dla niego stracona. Kiedy mgła śmiertelna zaciąga już oczy chorego, kiedy nogi już stygną, kiedy muszą przykładać mu rękę do serca, chcąc zobaczyć, czy jeszcze nie skonał,

mógłbym poczuć tą ostatnią walkę, gdyby ręka była obdarzona tak wielką wrażliwością. Chodzi tu o jedno tylko słowo, mniej nawet, o westchnienie, o uczucie. Bóg z uporem miłości usiłuje je zyskać, i musi często zyskiwać, jako zręczny zapaśnik.

Spytacie może, skąd to wiem, skąd wziąłem historye walk takich? Z waszego własnego serca. Jeśli jesteście ojcami, matkami, czy nie podobnie postąpilibyście? A serce Boga miałoby być od waszych serc gorszem? On byłby zdolny mniej od was uczynić dla swoich dzieci! To nie zgadza się ze zdrowym nawet rozsądkiem. I tak oto Boska nasza religia nie pozostawia bez pociechy żadnej boleści; każdą koi balsam nadziei.

IV.

Ale ostatnim wyrazem religii nie są wiara ani nadzieja. Ostatnie jej i najwyższe słowo jest to miłość. „A teraz — powiada Apostoł — trwają wiara, nadzieja, miłość: to troje, a z tych większe jest miłość” (*I Kor., 13, 13*).

Po ukojeniu boleści drogocennem lekarstwem wiary i nadziei, sięgnęła dalej, i widząc, że można wszystko zrobić z człowiekiem, odwoławszy się do jego serca, pokusiła się przez miłość przemienić cierpienie.

Pokusila się nauczyć nas kochać cierpienie. Największe to może dzieło na świecie owo zastosowanie miłości do cierpienia, uczynienie boleści przedmiotem umiłowania; i zmuszeni jesteśmy uznać, że jeśli tylko nie jest niedającym się urzeczywistnić marzeniem, jest to

najzupełniejsze z gruntu i niebieskie rozwiązanie zagadnienia boleści.

Im więcej zastanawiam się nad tem, tem bardziej mnie dziwi, jak niemocnymi byli ludzie po wszystkie czasy wobec tego zagadnienia. Od sześciu tysięcy lat Prometeuszowy sęp cierpienia rozdziera nam piersi, wygryza serca, a cóż uczyniono przeciw niemu? Na co przydaje się wszelki opór, jaki ludzie stawiają cierpieniu? Albo zaprzeczają go, co jest szaleństwem; albo nienawidzą go, co je tylko zwiększa; albo usiłują je usunąć, co jest marzeniem niedościgłym; albo starają się rozerwać i zapomnieć, co dodaje boleści do boleści, grób do grobu, poraz drugi grzebie najdroższe nam istoty. I oto wszystko!

Pewien zdolny i wśród najświetniejszej karyery będący człowiek, zajmujący wysoką posadę, światowiec przytem, dotknięty niemocą, która powstrzymała go w jego zawodzie, uskarżał się niedawno przede mną w tych słowach: „Nie możecie sobie wyobrazić, jak płaskimi, nędznymi pocieszeniami ludzie raczą mnie codzień. Powiadają: „Podróżuj; jedź do Włoch, na Wschód.” — O czemże? Nie mam trzydziestu tysięcy franków dochodu, żeby prowadzić takie życie.

— No, to weź się do nauki, studyuj fizykę, chemię; będziesz miał rozrywkę.

— Ależ mam już czterdzieści lat; praca moja w innym dotychczas była kierunku. Nie posiadam nawet początków tych nauk. Zresztą potrzebowałbym mieć na to pracownię, narzędzia, a nie mam na nie środków.

— No, to kup sobie mikroskop i zabawiaj się przyglądaniem owadom; to cię zajmie.

— Dajcie wy mi pokój z temi wszystkimi pociechami! Smutno mi, cierpię; życie mi obrzydło; nie możecie mi nic ulżyć.

— Oto wierne sprawozdanie—ciągnął dalej—z moich codziennych rozmów; oto perswazyje, któremi mnie głowę suszą. I któż to tak mnie pociesza? Oto ludzie zdrowi jak dęby, i mający każdy pięćdziesiąt tysięcy franków dochodu.”

A przecież ten człowiek był tylko dotknięty upadkiem sił, niemocą, która mu przerwała karierę. Cóżby to było, gdyby stracił był ukochaną żonę lub dziecko?

Już za czasów Joba znani byli ci uciążliwi pocieszyciele, *consolatores onerosi*. I my ich znamy i możemy zawsze zgóry przewidzieć, co nam powiedzą. Nie potrafią zdobyć się na nic innego, tylko to, cośmy wyżej przytoczyli. To też wskażcie mi choć jedną osobę, choć jedną łzę, którą otarli. Świat pełen jest ludzi, którzy mają tyle rozumu, że nie spodziewają się usunąć cierpienia, a nie mają światła wiary, aby je zrozumieć, więc też chylą w milczeniu głowę pod jego ciosami, żyjąc w przygnębieniu i rozpacz. Jeden współczesny lekarz powiedział, że dwie trzecie ludzi umiera teraz ze smutku. Miałem tego sam liczne dowody. Jakże mogłoby być inaczej? Wszędzie wokoło, na prawo i na lewo, nad nami i pod nami cierpienie, a pociechy żadnej; ponad nami zaś Niebo obojętne i nieczułe. Jest z czego stracić rozum i chęć do życia.

I dlatego to, widząc, jak religia uczy człowieka znosić cierpienie, przyjmować je z wiarą, poddaniem się, nadzieją; widząc, jak idzie dalej jeszcze, jak, przywiódłszy dusze na te pierwsze stopnie, podnosi nawet najpokorniejsze na stopień najwyższy i tak je oświeca,

że poczynają kochać boleść, — dlatego to twierdzą, że jest tu ręka Boża, i że może nic nie jest większym dowodem boskości religii.

Mówcie sobie dowoli, że nie podobna jest kochać cierpienia, że to przesada i egzaltacya. Ja wam oświadczam, że to są fakty, fakty stwierdzone doświadczeniem, fakty, w które obfituje żywot każdego Świętego, a nawet, chociaż w stopniu różnym, życie wszystkich, najpokorniejszych nawet chrześcijan; i dodam, że są to fakty najzupełniej zgodne z logiką.

Jak to! kochać cierpienie? Dlaczegoż nie, jeśli ono nam czyni dobrze? jeżeli niweczając ciało, śmiertelną powłokę, rozświeca duszę naszą? jeżeli oczyszcza ją i odradza, nadaje jej istotną wielkość i nieśmiertelną piękność!

Gdyby bryła marmuru, opracowywana ręką Michała Anioła, mogła była rozumieć, co się z nią dzieje, czyż nie byłaby przejęta radością za każdym uderzeniem dłuta, które ją przemieniało?

Złoto, które znajdujemy w stanie nieczystym, pomieszane z ziemią, brzydkie na wejrzenie, gdyby było żywym, wdychałoby do ognia, w którym utracą wszystko, co kazi czystość. Powiedziałyby zapewne: „*Mam być chrztem ochrzczone; a jakom jest ściśnion, aż się wykonam?*” (Łuk., XII, 50) — *Baptismo habeo baptizari, et quomodo coarctor usque dum perficiatur?*”

Takiemi są dzieje pierwszych bohaterów religii. Choćbyście szukali najusilniej, ani jednego nie znajdziecie, któryby nie kochał cierpienia, nie w niem samem i dla niego, ale dla skutków, jakie sprawia. Cierpienie oczyszcza, odradza; a te czyste dusze, wiecznie jęczące nad swoją podległością grzechowi, z radością przyjmo-

wały cierpienie, uwalniające je z tych więzów. Cierpieć nie jest to upokorzenie; i te dusze pokorne radowały się na myśl, że będą kiedyś rozciągnięte na łożu boleści, że twarz ich straci cały blask i piękność, rysy kształty, że ciało ich ulegnie największemu upokorzeniu, jakie tylko być może. Cierpienie, śmierć—to rozdział ze wszystkimi rzeczami stworzonymi, zniweczenie wszystkich marzeń, złudzeń, wszystkich grzechów; to koniec czasu, a początek wieczności; rozdarcie zasłony, która Boga przed nami ukrywa. Jakże Święci, żyjący w Nim tylko i dla Niego, nie mieliby być przejęci radością? Jakże nie mieliby witać w cierpieniu zbawcy, w śmierci oswobodzicielki? Jakże nie mieliby wołać: *Cupio dissolvi et esse cum Christo?*

Tak działa religia na swoich wyznawców. Rzuca na cierpienie takie światło, że muszą je pokochać; rozkoszują się niem; w niem dopiero żyją. Spoglądają na krzyż z miłością, mówiąc mu: *O bona crux! crux amata!*

Prawda, że mówię tu tylko o fizycznym cierpieniu, które udręcza nasze ciało, ubezwładnia członki, O takim tylko mówię, że religia skłania nas do jego umiłowania. Ale czyliż to już nie cudowna zmiana. kiedy wy, ludzie, swoją mądrością tego świata nie potraficie wlać we mnie rezygnacyi, miłości dla cierpienia, ani nawet wyjaśnić mi i dać pojąć, że można je kochać?

Nie wiem, czy mogę ośmielić się mówić o miłości cierpienia w bólu moralnym, w stratach serca, w rozłączeniu z ukochanymi. Ciężko mnie to przychodzi; strach mi, ażeby to przypuszczanie nie było zniewagą natury ludzkiej. A jednak rzecz ta, nieprawdopodobna

według nas, znajduje urzeczywistnienie w osobie kobiety, która cierpiała bez miary, a ponieważ dzieje jej serca są właśnie w związku z przedmiotem, o którym traktujemy, czytelnicy wybaczą mi, że na większą chwałę Boga i religii przytoczę je tutaj i opowiem, jak najstraszniejsza boleść doznała w niej Boskiego pocieszenia i przemieniła się prawie w szczęście.

V.

— Nie znam żadnego dzieła w dziale współczesnej nam literatury, traktującym o dziejach dusz, które obudzałoby żywsze współczucie niż *Opowiadanie siostry* ¹⁾.

Dwoje młodych spotyka się w Rzymie, poznaje i pokochuje. Unoszą w dalszą drogę: jeden nagle rozbudzoną miłość, druga zaród uczucia, który miał się rozwinąć i w krótkim przeciągu czasu dosięgnąć szczytu. Posłuchajcie zwierzeń jego, albo lepiej słów ich obojga, bo jedne warte są drugich, a ręka przyjazna połączyła je w tem samem opowiadaniu. Co za siła uczucia i jaka czystość zarazem! Co za miłość, a przytem ileż wiary! Chyba nigdy dwa kochające serca nie były bardziej w Bogu złączone, wyjąwszy Świętych.

Albert naprzykład pisze: „Przysięgam Pani, że kiedy jestem przy Tobie, to, co czuję, zdaje mi się być przepowiednią przyszłego życia. Jakżeby uczucia tego rodzaju nie miały istnieć poza grobem? Nie wierzę,

¹⁾ *Récit d'une soeur*, p. M-me Craven, née de la Ferrouays.

aby można było kochać niewinnie i głęboko, *Ciebie* kochać jednym słowem, a nie być przejętym religią i wiarą w nieśmiertelność” ¹⁾.

Aleksandra tymczasem kreśli te słowa: „Mama zaprosiła księcia Ł. na taras. Poszłam za nimi, starając się iść jak najpowolniej, bo myślałam sobie: może właśnie teraz *on* przyjdzie. Tak się też stało. Z radości, że go widzę, nie mogłam znaleźć słowa, które mogło wyrazić więcej niż chciałam, i o ile sobie przypominam, pierwsza odezwałam się. Cały ten wieczór taki był szczęśliwy dla mnie! O Panie Boże! Ty, który jesteś samą miłością! Czyż ta miłość, która sprawia, że nie widzimy żadnej niedoskonałości w ukochanej osobie, ten zachwyt, ta radość bez granic nie są przedsmakiem tego, gdy za pozwoleniem Twojem będziemy *na wieki* kochali naszych najdroższych?” ²⁾

Trochę dalej: „Większą część wieczorów spędzaliśmy na górnym tarasie. Czarowne to było. Dwie zatoki, wybrzeże, Wezuwiusz wyrzucający ogniste strumienie, niebo wyiskrzzone gwiazdami, powietrze balsamiczne, a przy tem wszystkim *miłość*, miłość z Imieniem Bożem na ustach i w sercu!”

Albert zaś: „Chciałbym powstrzymać czas w biegu. Każdy dzień upływa tak szczęśliwie. Nigdy nie rozumiałem szczęścia lepiej, niż teraz, kiedy mam duszę upojoną radością. Czyż podobna, aby kwiat tak piękny miał zwiędnąć? Nie, to musi być na zawsze!

¹⁾ *Récit d'une soeur*, t. I, p. 49.

²⁾ *Ibid.*, p. 54.

takie szczęście musi żyć poza grobem; tak więc już tu na ziemi mam początek. Nieba!" ¹⁾

Znowu głos kobiety w tym dwuśpiewie harmonijnym: „Raz wieczorem w Castellamare przypatrywaliśmy się z balkonu zachodowi słońca. Mamy nie było nawet w bocznym pokoju. Byliśmy, jak gdyby sami na świecie, z Bogiem tylko. Albert, z zachwytem wpatrzony w słońce, odezwał się: „Ach, gdybyśmy mogli pójść za nim!” Podziwiałam jego zapal, ale nie odczuwałam w tym samym stopniu. Myślałam więcej o nim—on więcej o niebie. Ja przez niego niebo uwielbiałam; on wznosił się tam o własnej sile. Po takiej jak ta chwili, cały wieczór był dla mnie jakby uświęcony. Z jakimże spokojnem uczuciem szczęścia szłam się ubierać, aby ukazać się trochę ładniejszą oczom tego, który mnie lepszą czynił!” ²⁾

Wszystko brzmi podobnie; trzebaby chyba przytaczać wszystko. Nigdy nad życiem dwojga młodych ludzi nie świeciła jaśniejsza jutrzienka. „Szliśmy z nim i jego siostrami koło Villa-Réale. Rodzice ich zamykali pochód. Tak kroczyliśmy sobie, stanowiąc już jakby jedną rodzinę. Oświecał nas wspaniałe piękny księżyc i gwiazdy; patrzaliśmy w nie z uwielbieniem dla Boga, przejęci uczuciem miłości i przyjaźni jedni dla drugich” ³⁾.

I z tego rajskiego szczęścia, po jedenastu zaledwie dniach małżeńskiego pożycia, wyrwał ich bolesny

¹⁾ *Récit d'une soeur*, t. I, p. 69.

²⁾ *Ibid.* p. 81.

³⁾ *Ibid.* p. 89.

niepokój, który po czterech latach przeszedł w boleść najstraszniejszą. Ale religia, która opromieniała ich szczęście, nie zawiodła ich w ostatniej godzinie. W cierpieniu zjednoczyła ich jeszcze ściślej i trwalej. W tej samej chwili, kiedy mąż przez wrota śmierci wstępował do żywota wiekuistego, żona, urodzona w błędnem wyznaniu, aktem wolnej i czystej woli przeszła na łono prawdziwej wiary; jej pierwsza Komunia zeszła się z ostatnim Wiatykiem umierającego. W tydzień potem pisała osierocona: „Nie rozdzielaj, Panie, tego, coś złączył. Wybacz mi moje zuchwalstwo, że ośmielię się rzec Tobie: Pomnij, że zawsze o Tobie pamiętaliśmy! Pomnij, że nie napisaliśmy do siebie listu, żeby nie wymienić Twego Imienia i nie wzywać błogosławieństwa. Pomnij, że wiele modłów zanosiliśmy do Ciebie pospół. Pomnij, że zawsze pragnęliśmy, aby nasza miłość była wieczystą” ¹⁾.

I tak religia podtrzymywała ją aż do końca. Dzieje tej całej miłości i bólu, tego związku dusz i ich rozłączenia wykazują wszędzie boskie jej działanie, ale może nie do tego stopnia, jak ostatnie stadyum—cierpienie osamotnionej. Religia nie dała jej umrzeć z bóleści, ani umrzeć bóleści swojej. Ustrzegła ją od nieszczęścia zapomnienia, rozerwania się, szukania na zewnątrz siebie próżnej i grzesznej pociechy. Otoczyła przed nią aureolą zmarłego małżonka, tak, że jej związek z nim był odtąd ściślejszy, niż za życia. A ponieważ cierpiała właśnie nad rozłączeniem się z ukochanym, znalazła ukojenie, skoro go odzyskała w nowej

¹⁾ *Récit d'une soeur*, t. I, p. 430.

nieśmiertelnej miłości. Wkrótce na dawne życie zaczęła zapatrywać się, jak na słaby przeblysłk jutrzeńki, na nieudolną zapowiedź przyszłego połączenia. Tłómaczyła to raz jednej z sióstr swojego męża: „Pomyśl sobie, wszak wszystko, co nam jest miłe tu na ziemi, to cień tylko, złudzenie, a rzeczywistość tego jest w Niebie. A czyż nie najmiłszą na ziemi rzeczą jest kochać? Nie trudno więc pojąć, że kochać samą Miłość jest to szczyt szczęścia, dlatego też największem szczęściem jest kochać Chrystusa, byleśmy tylko umieli tak Go kochać, jak miłujemy tutaj drogie nam osoby. Nie byłabym się nigdy pocieszyła, gdybym nie dowiedziała się, że można taką miłością kochać Boga, i że ta miłość będzie trwała wiecznie.” Siostra ciągnęła dalej: „Jesteś bardzo szczęśliwą, że możesz tak kochać Boga.” Na to ona odparła: „Jakże mogłabym Go nie kochać! Jakże mogłabym pomyśleć o Nim bez uczuć miłości i wdzięczności, i jakaż w tem moja zasługa, choćby tylko wiary, kiedy po takim szczęściu ziemskim, jak moje było, tak upragnionem, posiadaniem z rozkoszą, utraconem w bezdennej rozpacz, dusza moja tak jest dziś przemienioną i szczęśliwą, że wobec tego niczem zupełnie jest wszystko, co znałam lub mogłam sobie wyobrazić...”

Zdziwiona temi słowami siostra pyta: „A gdyby ofiarowano ci takie życie z Albertem, o jakim marzyłeś dawniej, i to na długie lata?”

— „Nie przyjąłabym go!” ¹⁾ — odpowiedziała bez wahania.}]

¹⁾ *Récit d'une sœur*, t. II, p. 405.

Innym znowu razem ta sama siostra, widząc, jak ona krząta się spokojnie w tym pokoju, gdzie tyle przecierpiała, napomknęła o bolesnej przeszłości. Odpowiedź jej może zadziwić tych, którzy wiedzą, jak głęboką i niezmienną była jej miłość dla zmarłego: „Prawda, były to ciężkie, straszliwe i smutne czasy, ale dziś, za łaską Boga, wesoło oplakuję mego Alberta” ¹⁾.

Wesoło oplakuję! Oto Boskie słowo. To prawdziwe zwycięstwo, istny tryumf, ciężko zboliałą duszę łagodnie i stopniowo wznieść do dobrowolnego poddania się cierpieniu, a od poddania się do ukojenia serca w nadziemskiej nadziei, potem zaś do radości, i to radości bez zapomnienia o drogiej istocie, a raczej do radości w miłości wzrastającej bezustanku—i wszystko to bez zadawania gwałtu naturze ludzkiej, bez nagłego powstrzymania łez, bez znieważania w nas uczucia. Ale odnieść takie zwycięstwo może tylko religia i tylko religia Chrystusowa je odnosi.

VI.

Chciałem nie wymawiać tu imienia Chrystusa. Nie chodzi nam jeszcze bowiem o religię objawioną, o chrześcijaństwo; obecnie mowa tylko o religii w ogólności. Ale chrześcijaństwo jest do tego stopnia w całym znaczeniu tego słowa religią, religią powszechną i wiekuistą, religią serc ludzkich i serca Bożego, że

¹⁾ *Récit d'une soeur*, t. II, p. 409.

skoro tylko zaczyna się mówić o religii, dochodzi się do chrześcijaństwa, a tem bardziej tutaj, kiedy mowa o cierpieniu i o tem co je łagodzi.

Wszystkie religie podnosiły na piedestał szczęście; jedno tylko chrześcijaństwo cierpienie czcią otoczyło. Bóstwa pogańskie przedstawiały się ludzkości uwieńczone kwiatami, w atmosferze radości i szczęścia; nie miały nic wspólnego z nędzarzem leżącym na barłogu, z uciemiężanym niewolnikiem, z wdową, z sierotą, ze wszystkimi, którzy tu na ziemi cierpią i płaczą. Tymczasem ukazała się religia, wskazująca zupełnie innego Boga. Wisi On na rusztowaniu hańby, ręce i nogi ma przebite, czoło uwieńczone cierniem, serce przebite włócznią; ciało Jego nie ma innego przykrycia nad purpurę krwi Jego własnej. Dawne bóstwa były to bóstwa rozkoszy. Precz z nimi! Ludzkość ich nie potrzebuje. Oto prawdziwy Bóg, Bóg boleści.

Ludzkość zdumiona patrzy, nie wie z początku sen li to, czy jawa? Nie może jej się to wszystko pomieścić w umyśle. Jeśli to jest Bóg prawdziwy, jak mógł cierpieć? jak mógł umrzeć? Dlaczego nie spuścił ognia z nieba na swoich katów? Dlaczego poddał się cierpieniu? Nie przez bezsilność, bo jest Bogiem. Nie dlatego, że musiał—jest Bogiem. Przez miłość zatem. Cierpiał przez miłość dla ludzi.

Pociągnęło to nieprzeparcie ludzkie serca, utkwilo w nich głęboko.

Sofiści podnieśli zarzuty, utrzymywali, że to rzecz niemożliwa, że to nie przystoi. Bóg nie mógł cierpieć i umierać za człowieka. Ale matki inaczej myślały i, wejrzawszy na krzyż, odparły sofistom: „Cóż w tem nieprawdopodobnego? Żywimy dzieci nasze mlekiem

naszych piersi; dla ocalenia ich oddałybyśmy krew naszą.” A młodzieniec w czystem szczęściu pierwszej miłości, dziewica, której ideałem poświęcenie, wejrzawszy na krzyż, odparli sofistom: „Jak możecie dziwić się upokorzeniu i cierpieniom Chrystusa? Chyba nie kochaliście nigdy. My nie wahałobyśmy się wydać na śmierć i upokorzenie, gdyby trzeba było dowieść naszej miłości.” Osiemnaście już stuleci ludzkość odpiera zarzuty sofistów tym okrzykiem serca. Miłością odpowiada miłości.

Potem, wejrzawszy na krzyż Mistrza, ludzkość poczuła ulgę w niesieniu swoich krzyżów. Niewolnik bity myślał sobie: „On cierpiał biczowanie.” Ubogi cierpiąc głód wspominał: „On pragnął, a dali Mu tylko żółć i ocet.” Król, nie na tronie, ale na rusztowaniu, myślał, że i On był wiązany, i wyciągał ręce do katów, tłumiąc głos oburzenia krwi pokoleń królewskich. Geniusz w chwili śmierci kazał sobie podać krucyfiks, a na zarzut, że nie może już do niego przemawiać, odpowiedział: „Prawda, ale mogę na niego patrzeć.”

Nawet niedowiarzek, chcący pod wpływem zazdrości i gniewu zamordować śpiącą, którą podejrzewał o niewierność, spostrzegłszy nagle krzyż, uspokaja się, rzuca nóż i całuje na klęczkach Ukrzyżowanego, mówiąc: „Przebacz mi, Panie Jezu! Urodziłem się w wieku niewiary i mam dużo do odpokutowania. Biedny Synu Boży, zapominany przez ludzi, nie nauczono mnie kochać Ciebie. Nie szukałem Ciebie nigdy w świątyniach, ale dzięki Bogu, nie nauczyłem się jeszcze nie zadrzeć, znajdując Cię w takiej chwili. Pomnij, że był niešťczęśliwy, który nie odważył się umrzeć ze swej boleści, widząc Ciebie przybitego do krzyża! Wybawiłeś

od grzechu bezbożnika; gdyby wierzył w Ciebie, pocieszyłbyś go!”

Nie jeden pseudo-mędrzec utrzymuje, że to wszystko nie trafia mu do przekonania, że cudze cierpienia nie zmniejszyły jego własnych, że słaba to dla niego pociecha widzieć, iż Chrystus więcej wycierpiał. Żałuję mocno takich i mogę im odpowiedzieć tylko przytoczeniem dalszego ciągu tej modlitwy pod krzyżem

Najniewierniejszego dziecka wieku niewiary.

Oto ona jest: „Wybacz tym, którzy Ci bluźnią! Nie widzieli snadź Ciebie, gdy byli zrozpaczeni! Wybacz, Jezu, szczęśliwym tego świata, którym się zdaje, że nie będą Ciebie nigdy potrzebowali! Przebacz im, pycha ich znieważa Ciebie, ale prędzej czy później, omyje ich chrzest łez; miej więc litość nad nimi. Dosyć są oni nieszczęśliwi, że sądzą się być bezpieczni od burz wszelkich i że do nawrócenia potrzeba im dobrej szkoły niedoli. Nasza mądrość i niedowiarstwo — to grzechotki w rękę starych dzieci; przebacz nam, że mamy się za niewierzących, Ty, któryś się uśmiechał na Kalwaryi. Ze wszystkich naszych nędz doczesnych najgorszem jest to, że staramy się zapomnieć o Tobie. Ale Ty wiesz, że to wszystko jest złudzeniem, które jedno Twoje wejrzenie rozwiewa. Wszakże sam byłeś człowiekiem! Cierpienie Bogiem Ciebie uczyniło; narzędzie męki podniosło Cię ku Niebu i wysłało na łono Ojca pełnego chwały; i nas także ono wiedzie do Ciebie, jak Ciebie zawiodło na łono Ojca; dopiero uwieńczeni cierniem upadamy na twarz przed Twym wizerunkiem; tylko skrwawionemi rękoma obejmujemy Twe przebite nogi. Poniosłeś męczeństwo, ażeby Cię kochali nieszczęśliwi.”

Wszakże sam byłeś człowiekiem! Cierpienie Bogiem Cię uczyniło. Jedyne to dysonans w tym pięknym okrzyku. Powinienby był powiedzieć: „Byłeś człowiekiem i Bogiem, i jako człowiek i jako Bóg bosko piękny; ale cierpienie podniosło jeszcze tę piękność. Gdyby tego było potrzeba, cierpienie poświęciłoby Cię powtórnie na króla ludzkości.”

Ujrzymy dalej tę królewską piękność Syna człowieka; ujrzymy ją, jako wzmacnia się w miarę boleści, jak zbliżenie śmierci wywołuje coraz to łagodniejszy, czulszy, bardziej nadziemski i porywający wyraz na Jego Boskiem obliczu. Jakże pięknym jest Jezus w świetle boleści! Naśladujmy Go; udoskonalajmy się w cierpieniu.

On powiedział: „Nikt (duszy) nie bierze ode mnie, ale ja kładę ją sam od siebie” (*Jan, X, 18*). Naśladujmy Go. Cierpmy i umierajmy nie z musu, jako niewolnicy, ale przez wolną wolę, z własnego wyboru. A którzy ujrzą nas na łożu śmierci, niech wyrzeką tak, jak o Nim: „Ofiarowan jest, iż sam chciał.”

On powiedział: „Większej nad tę miłość żaden nie ma: aby kto duszę swą położył za przyjaciół swoje” (*Jan, XV, 13*). Naśladujmy Go, mówiąc i czyniąc tak samo. Niech nasze cierpienia, choroby, śmierć mają nie tylko zasługę wolnej woli, ale większą jeszcze zasługę miłości. Nie umierajmy z osłabienia, ani ze starości, ani z choroby; ponośmy śmierć z miłości. Niech nasze życie idzie na pożytek naszym dzieciom, rodzicom, przyjaciołom, krajowi, ludzkości, Bogu, a narzędziem, które je wytoczy po kropki, niech będzie miłość!

On powiedział: „Umieram za wasze grzechy, za grzechy ludzkości. Na jednej szali gromadzą się nie-

prawości ludzkie; na drugą, dla zrównoważenia, kładę krew moją.” Naśladujmy Go; połóżmy tam także naszą. Uczmy się u stóp krzyża, że ponad wszystkie zasługi wyżej wspomniane, ponad zasługę śmierci w ofierze miłości, większą zasługą jest umrzeć za odkupienie innych, cierpieć na wzór Chrystusa, dokładając swoją krew na szalę przeznaczeń świata.

Ludzkość uznała to i dosięgnęła tych szczytnych wyżyn, idąc za śladem Ukrzyżowanego. Nie dosyć już jej było przyjąć i ukochać cierpienia; pożądała Go, nie mogła Go się doczekać. Chrześcijanie i chrześcijanki biczowali swe ciało, oddawali krew swoją dobrowolnym aktem. W nocy, gdy wszystko jest pogrążone w spoczynku, wspominali, że Jezus był za nas ukrzyżowany, i wstawali, aby na swoich ramionach wycisnąć krwawe piętno pokuty. Już nie idzie im o ulgę w cierpieniu. Pragną go owszem na wzór Zbawiciela, wzdychając do niego; nigdy im go nie dosyć; dusze trawione są dziwnem pożądaniem boleści. Można powiedzieć, że to szal — niech i tak będzie, ale nie można zaprzeczyć jego rzeczywistości. Trzeba więc uwielbiać religię, która, kiedy wszystkie ludzkie usiłowania wobec tego zagadnienia były niemocne, sama jedna potrafiła nie tylko wzbudzić poddanie się cierpieniu, ale ukochanie jego w duszach nawet najpokorniejszych, a w niektórych bohaterskich potrafiła sprawić ten cud, że pragną cierpienia, szukają go, że są przejęte szczęściem wpośród bólu pokuty.

Jezu, Pocieszycielu nasz, kiedy już wymówiłem Twe Imię, nie wzbronię memu sercu wznieść się do Ciebie. Nie szukałem Cię jeszcze, a oto już Cię znajduję! Poznają Ciebie po tem, że wszystkie łyzy osychają

u stóp Twoich, wszystkie cierpienia są ukojone i pocieszone Twem Boskiem dotknięciem.

Mój Boże! Czyż może być większy dowód Twojej rzeczywistej wpośród nas obecności, niż to, że uczymy się kochać cierpienie? że biedne ludzkie istoty uwieńczone cierniem, pokaleczone, o złamanych członkach i sercu, są przepelnione radością i szczęściem wpośród swoich doświadczeń? „*Nader obfituję weselem w każdym utrapieniu naszym*” (II Kor., VII, 4).

ROZDZIAŁ TRZYNASTY.

O cudownych skutkach cierpienia (*dokończenie*).
Nieśmiertelność i połączenie wiekuiste. Miłość
poza grobem.

Przepatrzmy pokrótce to, cośmy powiedzieli w poprzedzających rozdziałach. Fakt sam cierpienia zawiera zarazem tajemnicę i potrzebę.

Tajemnicę dla rozumu: poco istnieje cierpienie?

Potrzebę dla serca: jak mu ulżyć?

Wszystko jest bezsilne wobec tej tajemnicy i potrzeby — wszystko, oprócz religii. Filozofia uznaje swoją niemoc; lepiej jeszcze uznają ją sami cierpiący. Jedna religia coś tutaj może pomódz. W jej świetle straszliwe widmo nie tyle nas przeraża. Nie tyran to już ani wróg — owszem, pomocnik o nadziemskiej mocy. Oświeca, oczyszcza, uszlachetnia; umacnia cnotę; przetrawia swym ogniem serce, czyniąc je godnem Boga. Dusza widzi je z przerażeniem i podziwem; odczuwa je, odbiera

jego ciosy, poddaje mu się, nareszcie umiłowuje je, a nawet niejedna mężniejsza dochodzi do tego, że go pożąda, i zamiast ratować się ucieczką, zamykać oczy, cierpieć ze wstrętem i bez zasługi, dobrowolnie zatapia się w niem i przemienia przez miłość. To jest pierwsze zwycięstwo religii, ale bynajmniej nie ostatnie.

Religia wie, skąd bierze się cierpienie i dlaczego bywa na nas zsyłane; wie także, jaki jest jego koniec, i mówi to tak dokładnie i stanowczo, że pociesza nas ostatecznie. Wie ona, że to życie jest początkiem tylko, zna jego koniec i cel. Wie i twierdzi stanowczo, że żaden szlachetny poryw naszej duszy nie będzie zawiedziony, że pomimo śmierci i poza nią znajdziemy światło nieskończone, miłość bez granic, wiekuiste szczęśliwe życie. Śmierć, to ciemny tunel tylko, poza którym odnajdujemy daleko piękniejsze światło.

Tak, religia upewnia nas o nieśmiertelności, a cóż to jest, jeżeli nie zupełne nasycenie duszy, czyli wiekuiste połączenie, miłość poza grobem? To jej zapewnienie ostatecznie pociesza nas w bólu.

Zatrzymaj się nieco na tych samotnych wyżynach, duszo moja! Dobrze tu jest. Ziemia stąd jest maluczką, ale Niebo rozciąga się nad głową. Życie jest jak stroma góra Righi w Szwajcaryi. Wchodzi się na nią w pocie czoła, ale skoro już jesteśmy na wierzchołku, spostrzegamy nad sobą niebo, u stóp zaś niezmierny alpejski widnokrąg.

I.

Są dusze tak szczęśliwe, że uważają śmierć za największy dowód nieśmiertelności. U grobu ukochanych

do tego stopnia są przejęte uczuciami wiary i nadziei, że wołają z poetą:

Czyż można wątpić u grobu?

Szczęśne to dusze! Każda nowa strata zaludnia im Niebo. Koniec ich życia nie jest ciężki; widzą, że lepsza częśćka ich samych wyprzedziła je w drodze do Nieba, i że się tam niebawem połączą.

Ale są inne biedne bardzo i godne litości, na które śmierć wywiera przeciwne działanie. Smutek przesłania w ich sercu nadzieję nieśmiertelności. Zapano-
wuje nad nimi noc; bolesne zwątpienie przeszywa serce: „A może to i koniec!” Ten smutny stan pochodzi nieraz z samego ogromu ich miłości: gdyby mniej kochały, nie byłyby zwątpiły.

Tutaj to właśnie religia okazuje całą swą wzniosłość. Uspokaja zatrwożoną duszę, uchyla przed nią te drzwi tajemnicze i pozwala jej zapuścić wzrok pełen nadziei za pomrokę grobu. Dopomaga jej odnaleźć prawdę drzemającą w głębi jej istoty. Nie na kamieniu bowiem ani na pergaminie skreślił nam Bóg dogmat nieśmiertelności; złożył go w wywodach rozumu i w przeczuciach serca. Chciał, abyśmy nie mogli go odrzucić bez zaprzeczenia sobie samym.

Dusza jest, a zatem będzie. To najprostszy, a zarazem najniczbitszy argument, jaki Bóg w nas włożył, argument, na który niema odpowiedzi. Za dowód służy to, że kiedy kto nie chce duszy w przyszłości, na-
przód zaprzecza jej w czasie obecnym. Ale jak tego dopiąć? Trzeba być bardzo rozumnym, aby potrafić sobie wmówić nieobecność duszy. Nie każdy zdobędzie się na to, i ogromna większość za każdą sposobnością

przekonywa się zę zdziwieniem, że ma jeszcze wiarę w swoją duszę, jak ów chory, któremu starano się wmówić, że tylko ten umiera, kto chce śmierci, on zaś odpowiedział: „Lękam się, ażeby się nie zapomnieć!”

I nietylko, że dusza jest, ale chce być; chce być coraz więcej. Każda woła o coraz więcej światła, miłości, życia. I to się ma skończyć w nicości! Ten głód i pragnienie, stanowiące tło duszy, mają być niepotrzebne, bez celu i przyczyny, przeciwne zdrowemu rozsądkowi? mają być wiekuistym szyderstwem? Pragniesz światłości bez granic, radujże się, bo będziesz miał wiekuiste ciemności! Żakniesz i pragniesz życia: śmierć i nicość dane ci będą! Prosi o „zawsze,” a odpowiedź ma brzmieć: Nigdy! To niedorzeczność!

„Koniec—głupie słowo!—pisał niegdyś Goethe.—Dlaczego koniec? Koniec i nic to słowa jednoznaczne.” Jeżeli wszystko, co zostało stworzone, ma zginąć, cóż znaczy w takim razie chwalebne dzieło stworzenia? Nie, to co^o jest nie może mieć końca, tylko odrodzenie.

Zresztą, to wzrastające życie jest nietylko potrzebą, ale i rzeczywistością. Niektóre dusze potężnieją, wzrastają istotnie. W jaki zaś sposób zachodzi w nich ta zmiana, ten postęp? Oto mocą cierpienia i miłości. A więc cierpienie i miłość naprawdę istnieją! Oczyszczają duszę, powiększają ją; nadają jej niezaprzeczoną piękność. Gdyby nie było nieśmiertelności, po cóż to wszystko? Marzenia moje rozwiały się co do jednego; ukochani wszyscy pomarli; wszystkie pragnienia pozostały nieziszczone; jedynie ta myśl mię pocieszała, że przez te wszystkie cierpienia, próby, oczyszczone serce stało godniejszym i bliższym Boga i w Nim odnajdzie

wszystko utracone. A wy mnie powiadacie, że to serce z całą moją istotą ulegnie nicości!

Oto od lat dwudziestu, trzydziestu, pracuję nad oczyszczeniem, uszlachetnieniem tego mego serca; usiłuję oderwać je od wszelkich rzeczy niskich, próżnych i znikomych; a kiedy właśnie zaczynam odnosić owoce tego trudu, śmierć ma je zebrać i obrócić wniwecz! Niepodobna to jest! Naprzekór wam twierdzę, że mylicie się grubo. Nie dla śmierci dusze wzrastają, nie dla nicości zdobią się cnotami!

A jeżeli nadzieja nieśmiertelności tak żywo we mnie przemawia przy każdym wejrzeniu w głąb serca, jego cierpień, miłości, cnoty, jego powoli wprowadzanego w czyn pragnienia, postępu, cóż dopiero, kiedy wspomnę o Bogu, wznosząc oczy ku niebu!

Bo o tem, że On jest, nie wątpiłem nigdy. Żadna burza młodości nie przyćmiła mi czoła zwątpieniem, a przynajmniej żadna nie zostawiła trwalszych śladów. Każdy smutek mówił mi o Jego imieniu, każda zmarszczka dowodziła mi Jego wielkości. Zbielałe włosy i rozwiane marzenia są mi najlepszą ewangelią, nie dopuszczającą zwątpić.

Bóg zatem jest; jest On stwórcą, ojcem; kocha dusze, stworzył je przez miłość, bo dla czegoż innego by to uczynił? Przez wiele lat z rzędu błogosławi im, otacza je opieką, ożywia, miłuje, a potem miałby je naraz oddać nicości i nie wspomnieć więcej o nich! Miłość Jego miałaby być mniejszą, niż miłość tej matki, którą Pismo Święte chwali, że nie chciała być pocieszoną, gdyż niema już jej dzieci! *Quia non sunt!*

A potem, jeśli na słońcach i nieprzeliczonych światach w przestworze są żyjące istoty, które modlą

się, cierpią, kochają, miałyby również niszczyć ich duże, skoro dojdą do wyższej doskonałości!

Wszystkie te z tchnienia Jego zrodzone dzieci mają być przez Niego samego i na zawsze zniszczone. A On przez resztę wieczności ma cieszyć się szczęściem, że już nie ma dzieci, czuwać nad pustymi cmentarzami, jak grabarz bez zajęcia! Jakiegoż to Boga wyobrażacie sobie!

A jeśli powiecie, że będzie nadal bezustanku tworzył, za jakiegoż mistrza go macie, kiedy ostatecznie stworzyłby tylko na to, żeby niszczyć! Wielkie dzieło Boga miałyby więc tylko zaczątki, próby, zarysy, nie zupełnego i skończonego! Byłby to koncert z samych przygrywek, dramat przerywany gwałtownie i okropnie zakończony! To nie sposób, to przechodzi wszelkie pojęcie nieskończoności.

„Ujrzę mojego Boga w ziemi żywych.” Tak jest, wierzę w to niezachwianie, że Go zobaczę. „Schowana jest ta nadzieja w zanadrzu mojem.” (Job. XX, 27). W Nim znajdę wszystko, czego szukam. Tak długo szukałem czystego, nieprzyćmionego niczem światła, i nie znalazłem go! Zgłębiłem wszystkie zagadnienia i nie rozwiązałem żadnego; mając lat sześćdziesiąt, w większej postępuję ciemności, niż gdy byłem młody, bo wiem, że człowiek nic nie wie; ale nie tracę odwagi; łaknę zawsze wiedzy i z radością witam ziemię, która mnie nasyci. „Nasycon będę, gdy się okaże chwała Twoja.” (Ps. XVI. 15).

Szukałem miłości i nie znalazłem jej również. A mówię nietylko o miłości stworzeń. Ona to szczególnie początkiem, zarysem tylko była. Zaledwie przytknąłem usta do czary, kiedy mi ją odebrano. O Bożej

miłości mówię. Ileż jej skosztowałem? A jednak ileż pragnień! ale i co za cienie! A jaka odległość między Nim a mną! jaka między nami zasłona! Zasłona ta musi się rozedrzeć! Nie będę omackiem szukał mego Boga, jak ślepy, albo jak człowiek w ciemnościach. Ujrzę Go na własne oczy. A widząc Go, będę się nasycał miłością wiekuistą: „Nasycon będę, gdy się okaże chwała Twoja”. (Ps. XVI. 15).

Pragnąłem życia. Przez kilka lat czułem, jak wzrastało we mnie. Rosłem, wzmacniałem się. Potem nagle to ustało; doszedłem do szczytu, po którego drugiej stronie schodzimy już tylko śpiesznie do grobu, i poczułem, że mi ubywało życia, jak oliwy w niepodsyconej lampie. Teraz oto jestem osłabły, złamany, pochylony do ziemi. Czyżby to miał być koniec? O, nie! „Ujrzę mego Boga w ziemi żywych.” Znajdę w Nim życie, o jakim marzyłem, życie nieskończone, życie wieczne. „Nasycon będę, gdy się chwała Twoja okaże.” (Ps. XVI. 15).

Przez takie oto myśli religia podtrzymuje dusze, umacnia je i zmiękcza; w taki sposób pomaga im przebyć samotną drogę starości i usypia je łagodnie w śmierci. W miarę jak zstępują w cień, wielka światłość powstaje przed nimi. Kiedy chrześcijanin nie dostrzega już ziemi, religia staje u jego wezglowia i ukazuje mu Niebo. Uprzedza go z miłością o jego ostatniej godzinie. Dotyka jego członków zmęczonych życiem, ażeby je przygotować do ostatniej walki, dołączając poważne akty żalu za grzechy do słów pociechy i nadziei. Kiedy przypomnienie grzechów uczyniło go pokornym, cierpliwym, poddającym się woli Bożej, ona dodaje mu siły, wkładając w jego ręce wizerunek Boga, który za

nas cierpiał i umarł. Tak uzbrojonego wiedzie na spotkanie śmierci, uczy go witać ją, jako oswobodzicielkę. Chwila jeszcze, a będą zniszczone wszystkie sny jego. Będzie się napawał u niewyczerpanych źródeł światła i miłości. Wszystko to mówi religia tej niespokojnej duszy, która tyle pragnęła, tyle przecierpiała, posiadała tak mało. Umierający czuje już przedsmak wieczności. Zaczyna przed nim świtać jutrzeńka dnia niezachodzącego; czoło jego ma już jak gdyby jej odbłask. Tehnienie nieśmiertelności unosi się nad posłaniem, gdzie kona w pokoju. I kiedy oczy kochających jeszcze go szukają na ziemi, on uleciał już do Nieba.

II.

Ale chociaż religia daje tak wysoką pociechę i nadzieję tym, którzy umierają, i tym, którzy pozostają osieroceni, nie mogło im to wystarczyć. Za boska to jest pociecha, za mało ludzka. Nie dosyć bierze w rachubę to serce z ciała, które Bóg nam dał i które chce mieć też nieśmiertelnem. Do tego więc pierwszego słowa religia dodaje drugie, niemniej piękne.

W tej ziemi błogosławionej, ku której dążę, znajdę nietylko mego Boga. *Ujrzę mego Boga w ziemi żywych.* Tak jest, znajdę Go otoczonego wszystkimi, którzy żyją; „bo nie jest Bóg Bogiem umarłych, ale żywych.” Jeżeli żyję ja, dlaczegoż wszyscy moi nie mieliby żyć również? Jeżeli moja wzrastająca wiara, miłość, piękność ducha zwyciężyły nicość, dlaczegożby oni również zwyciężyć jej nie mieli? Jeżeli ja zachowam mój własny rozum, sumienie, swobodę, moją od-

rębną osobistość, oni także będą mieli swoją. Poznam ich. Dokonam życia, przyjaźni, miłości, ojcowstwa, które zaledwie rozpocząłem. Powiększę je. Jako syn, pójdę w przeszłość długiego szeregu mych przodków; poznam ich wszystkich. Jako ojciec, ujrzę cały szereg mego potomstwa, aż do czasu, kiedy moja krew wygaśnie z woli Bożej lub z mojej własnej winy. Odnajdę moich przyjaciół, wszystkich, których kochałem. Razem będziemy się litowali nad tą odrobiną uczucia, którąśmy niegdyś mieli za miłość. To moja niezachwiana wiara. Życie to drugie, życie rodzinne, przyjaźni, miłości, życie społeczne będzie miało swoje uzupełnienie, tak, jak i tamto. To moje drugie wyznanie wiary, tak pewne, jak pierwsze. „Schowana jest ta nadzieja w zanadrzu mojem.” (Job. XX, 27).

Tymczasem w niektórych duszach, i to wierzących, spotykam dziwne pod tym względem wątpliwości. Czy spotkamy się w Niebie? Jedna z nich odzywała się: „Szczęśliwe są ptaki: odlatują razem. My prawie zawsze musimy pojedynczo wybierać się w drogę. Żyło się we dwoje—odchodzi się osobno. Wielki to smutek dla serc kochających. Wierzę, mam nadzieję, poruczam się z ufnością Bogu. Wiem, że przez śmierć przejdę do żywota. Ale, niestety, jeśli w tym żywocie nie będę miała tych, których kochałam!”

Druga znowu, która utraciła siedemnastoletnią córkę i była chwilowo oddaloną od młodszej, chorej ciężko, mówiła: „O, gdybym była pewną, że zobaczę moją córkę!” — „Malerkę pacjentkę?”—spytałem, sądząc, że o niej myśli. „Nie, tamtą!”— „Jak to! wątpisz pani?” — „Nie wątpiłam, kiedy byłam szczęśliwą;

ale teraz wątpię. Widzę, że to tylko pobożne przypuszczenie. Kościół nie orzeka nic, Ewangelia milczy, a nawet niektóre książki uczą, że nie zobaczymy się w Niebie. To mi rozdziera serce.”

W taki oto sposób fałszywi mistycy mrożą duszę i nie chcący kopią przepaść pomiędzy najszlachetniejszymi uczuciami ludzkiego serca a religią przez swoje głupie doktryny. A ponieważ ostateczności stykają się zazwyczaj, ich to pobożne ręce kończą dzieło bezbożników. Ci odrzucają nieśmiertelność, tamci głoszą ją, ale wstrętą.

Skąd wzięli to wyobrażenie, że nie poznamy się w Niebie? Gdzie wynaleźli, że zatopienie się najwyższe w Bogu wszelkie wspomnienia pozaciera? Zawsze ta sama historia szkalowania natury ludzkiej pod pozorem wywyższania łaski, jak gdyby głębokie, niezwykłe uczucia serca nie były z natury rzeczy najwyższym światłem tu i wszędzie! Czyż wszystko, co świadczy o nieśmiertelności duszy, nie świadczy zarazem o nieśmiertelności wspomnienia, o nieśmiertelności miłości, o nieśmiertelności związku z tymi, których kochamy? Czyż ostatniem słowem nieśmiertelności, świadectwem jej najważniejszym nie są słowa: Chcę zawsze kochać tych, których kocham? Zatem oni będą żyli. Tak jest, jeżeli jest Bóg, jeżeli świat ma jakie znaczenie, jeżeli stworzenie nie jest szyderstwem, olbrzymią igraszką bez celu, oto jest ostatnie słowo nieśmiertelności, dowód jej najistotniejszy i najwyższy.

Słuchajcie głosów ludzkiego serca.

„O śmierci!—mówił jeden szlachetny umysł:—mógłbym ci oddać wszystko inne; przyjaciel ci moich nie oddam.”

Drugi znowu: „Nie, nie sędzę, aby można kochać niewinnie i głęboko, nie będąc przejętym religią i wiarą w nieśmiertelność. Zdaje mi się, że odczuwam zapowiedź przyszłego życia. Jakżeby takie uczucia nie miały istnieć poza grobem?”

A oto głos poety,—nie trzeba lekceważyć poetów, gdyż oni miewają natchnienia:

Gdzie żyją? jaka gwiazda na ich głowy
Zlewa trwalsze i łagodniejsze światło?
.
Czyżby utracili słodkie tutejsze imiona?
Nie odpowiadają na wołania nasze?

O nie, mój Boże! jeśli chwała Nieba
Wygnała z dusz ich wspomnienie o ziemi,
Byłbyś nam w sercu zatarł pamięć o nich;
Czyżbyśmy próżno ich oplakiwali?

Młodzi zaś małżonkowie, przechadzający się nad brzegami Adryatyku: „Czyż to nie cierpienie kochać dla tego tylko życia? Czyż nie pragniesz wiekuistej miłości?”

Oto jest prawda. Niech sobie Kościół milczy, niech nie mówi Ewangelia: cóż to znaczy? Serce przemawia, a jest ono nieomylnem w tych oto rzeczach, które leżą specjalnie w jego zakresie. Wszystko mógłbym oddać ci, o śmierci, tylko nie tych, których kocham!

III.

Prawda, że czytamy w Ewangelii, iż Chrystus zapytywany przez Saduceuszów o tajemnice przyszłego życia, a szczególnie o los tych, którzy kilka razy małżeństwo zawierali, odpowiada: „Albowiem w zmartwychwstaniu ani się żenią, ani za mąż idą.” (Mat. XXII. 30). Ale cóż to znaczy? To tylko, że już nie będą małżonkami w znaczeniu ziemskim, ale wiekuistymi oblubieńcami.

Spytacie może: „Cóż będzie z ich miłością?” Będzie ona podobną do miłości brata dla siostry, albo matki dla dziecka:

Każdy ma z niej część swoją i każdy posiada ją w całości;

lub też, jeżeli wolicie, podobną będzie do miłości Jezusa dla dusz. Każda jest oblubienicą, a jeden tylko jest oblubieniec.

To mówi Ewangelia; nie zaprzecza wcale temu przeczuciu ludzkiego serca, potwierdza je owszem, na tych nawet stronicach, gdzie napozór wcale niema tej doktryny; bo na niektórych jaśniej ona. Czemże innym jest Ewangelia, jeśli nie opowiadaniem o śmierci i zmartwychwstaniu Zbawiciela, który umiłował swoich umiłował ich aż do końca, poza grób? który w swoim połączeniu z Ojcem, w przemienieniu po śmierci nie zapomniał o żadnym ze swych umiłowanych, owszem, powracał wielokrotnie, aby im to powtórzyć z większą jeszcze tkliwością, aniżeli przed śmiercią, i z prawdziwie wzruszającymi względami delikatności i odcieniami

uczucia. Miał Matkę; cóż z Nią uczynił? Czyliż nie króluje po prawicy Jego, wszystko mogąca nad Jego sercem daleko jeszcze więcej, aniżeli za życia na ziemi? Któż ośmieli się powiedzieć, że Ona w niebie nie poznała swego Syna i nie jest poznawaną przezeń?

Miał On i uczniów, apostołów dwunastu; czy zapomniał o nich? Cóż powiedział im, przed rozstaniem? „*Niech się nie trwoży serce wasze, albowiem idę gotować wam miejsce.*” (Joan. XIV, 1—4). Dlaczego? „*Iżbyście gdzieś ja jest i wy byli.*” Boskie to słowa! to samo wołanie co i powyższe: „Wszystko mogę ci oddać, śmierci, tylko nie ukochanych moich.”

A gdy Piotr pytał Go niespokojnie: „*Panie, dokądże idziesz?*” odrzekł mu Zbawiciel: „*Dokąd ja idę, nie możesz teraz za mną iść; ale potem pójdziesz.*” Wiadzimy, że czeka ich połączenie. A Piotr cóż odpowiada: „*Czemu nie mogę za Tobą iść teraz? duszę moją za Ciebie położyć*“ ¹⁾. Jak gdyby mówił: „Czy to śmierć stanowi przeszkodę? Umrę więc, ażeby nie rozłączać się z Tobą.”

A jeszcze co im mówi? „*Zasiądziecie na dwunastu stolicach i będziecie sądzić dzieci Izraela*” ²⁾. Może kto powie, że na tych dwunastu stolicach nie będą znali jeden drugiego? albo nie będą znali tych, których będą sądzili? albo może ci, którzy będą sądzeni, nie będą znali sędziów swoich?

Pod jakąż postacią przedstawia nam Chrystus Niebo? Pod postacią uczty. „Kto zwycięży, danem mu

¹⁾ Joan. XIII, 37.

²⁾ Matth. XXX, 29.

będzie zasiąść u mojego stołu w Królestwie mojem.” Czy współbiesiadnicy będą się znali, czy nie? A jeśli nie, wystawmy sobie ten cień uczty z milczącymi cieniami, które nie znają się wzajemnie. Zaiste, byłoby to nader miłem!

IV.

Po zapytaniu Ewangelii chcecież usłyszeć głos Kościoła? Po tysiąc razy pod wszystkimi formami i z najzupełniejszą pewnością twierdzi on, że w niebie zobaczymy się, rozpoznamy, będziemy się kochali. Chce on, abyśmy w modlitwie prosili Boga o to szczęście. Jakichże to świętych czci Kościół? Czy są to same cienie, bezbarwne, pozbawione osobistości, nie znające się wzajem, nie pamiętające o ziemi, jedynie zatopione w kontemplacji? Przeciwnie, są to istoty czynne, żyjące, które zachowały swą osobistość i swą odrębną fizyognomię, które kochają jedne drugie, interesują się nami, wdają się w sprawy ziemskie, przypatrują się walkom naszym, zwycięstwom i z nich się radują. A Kościół, obchodząc święto każdego i każdej z nich, czy nie prosi Boga, aby nam dał w wiecznej szczęśliwości weselić się z ich towarzystwa? *Da nobis in aeterna beatitudine de eorum societate gaudere.* Oto jego prośba, a jeżeli jest mowa o szczęściu w ich towarzystwie, to chyba można stąd wnosić, że będziemy ich znali i sami znani od nich będziemy. Nie dosyć na tem; trzeba, aby nic nie pozostało bez wyjaśnienia: o co więcej prosi Kościół? O „szczęście widzenia ich: *Da, quaesumus, Domine Deus noster, ut sicut Tuorum commemoratione*

Sanctorum temporalibus gratulamur affectu, ita perpetuo laetemur aspectu. Zdaje się, że to dosyć jasne. Szczęściem naszym będzie widzieć ich i być przez nich widzianymi, a nie pogrążonymi tylko osobno w najwyższej kontemplacyi. Zobaczymy się, poznamy, będziemy się kochali. Mówi to Kościół i powtarza po sto razy na rok, a raczej codziennie, na każdego Świętego.

A oto coś bardziej jeszcze pocieszającego. Jest we Mszale modlitwa za zmarłych rodziców odprawiającego Mszę kapłana: *Pro patre et matre sacerdotis.* O cóż Kościół w niej prosi? Czy tylko o wieczne szczęście dla rodziców, dla syna zaś o szczęście zbawienia ich i jego samego kiedyś? Nie, nie dosyć byłoby tego, nie wystarczałoby, gdyby dziecko i ojciec, matka i dziecko nie mieli wieść dalej w niebie słodkiego rodzinnego życia. Do zupełnego ich szczęścia trzeba, ażeby się widzieli. „Boże, który nam rozkazałeś czcić ojca i matkę, zmiłuj się nad duszą ojca mego (lub: matki mojej), odpuść jej grzechy i daj mi go (ją) oglądać w szczęściu wiecznej światłości.”

Meque eos in aeternae claritatis gaudio fac videre.

To samo, co o ojcu, matce, dziecku, mówi Kościół i o małżonkach. Twierdzi, że ich wzajemna miłość będzie trwała dalej w Niebie, w formie wyższej i z większą siłą. W tem to delikatnem pojęciu bierze źródło wstręt jego do powtórnych ślubów, którym odmawia uroczystych modlitw, nie zezwala na zasłonę ani na wieńiec i wogóle nie toleruje żadnego objawu radości. Czegoż więcej trzeba? I to właśnie w chwili najuroczystszych tajemnic Kościół zanosi takie modlitwy.

V.

Może po tych wszystkich poważnych zapewnieniach nie trzeba już przyzywać świadectwa tradycyi. Uczynię to jednakże, chociaż pokrótce. Przeprowadzę przed wami największe geniusze i najszlachetniejsze serca, i poczujecie raz jeszcze, jaka jest harmonia między Bogiem a człowiekiem, między nieomylną nauką religii a przeczuciami niemniej pewnemi ludzkiego serca.

Będę ich przytaczał jedynie według porządku chronologicznego:

Tertulian. Oto naprzód jeden z najpotężniejszych umysłów chrześcijaństwa, chmurnego ducha i surowego serca, mało dostępny uczuciu, skąd, jak również z przyczyny, że sięga czasów apostoelskich, świadectwo jego ma podwójną wartość: „W życiu wiecznem Bóg tak nie rozłączy tego, co sam zjednoczył, jak nie zezwala na ich rozłączenie w życiu doczesnem. Żona będzie zawsze towarzyszką męża, a mąż będzie zawsze posiadał to, co w niej jest najlepszem i najwięcej wartem,—serce. Nie stracą nic na nieobecności stosunków niższego rzędu. Czyż najczystszy związek nie jest najlepszym?” ¹⁾

Święty Cyprian. Słuchajcie jego słów przedziwnych: „Ponieważ jako obcy przechodnie przebywamy świat ten smutny, wzdychajmy więc do dnia, który nas doprowadzi do ojczyzny, powróci nas do Nieba. Czyż

¹⁾ Tertul. *de Monog.*, cap. X.

wygnańcowi nie śpieszno wrócić do kraju? A człowiek, który śpieszy wrócić do swoich przez morza, czyż nie wzywa pomyślnego wiatru, aby módz prędzej uścisnąć tych, do których dąży? Niebo jest naszą ojczyzną, a ojcowie nasi poprzedzili nas w podróży do niej. Śpieszmy więc, biegnijmy, ażeby ich powitać. Wielka liczba drogich osób czeka w Niebie na nas; pragnie nas mnóstwo przodków, braci i dzieci, którzy pewni już swego zbawienia, niepokoją się o nasze. Śpieszmy zobaczyć ich, uścisnąć! Cóż za radość dla nich i dla nas!" ¹⁾

Święty Atanazy. Ten wielki i głęboki teolog pozostawił w tym przedmiocie jedno słowo tylko, ale jasne jak dyament. Jeden traktat jego nosi tytuł: *Zapytania potrzebne, które każdy chrześcijanin wiedzieć powinien.* Otóż czytamy w odpowiedzi na XXII pytanie: „Duszom sprawiedliwych daje Bóg w Niebie wielkie dobro,—oto poznają się nawzajem” ²⁾.

Święty Ambroży. Duch ten łagodny i tkliwy nie mógł wahać się w podobnej kwestyi. Ujawnia swoje przekonanie w przepięknej prośbie do tylko co zmarłego brata. „O, mój bracie, ponieważ mnie poprzedziłeś, przygotujże mi miejsce w tem wspólnem nas wszystkich mieszkaniu, którego teraz nadewszystko pożądam. I tak samo, jak tutaj było nam wszystko wspólnem, w Niebie też nie znajmy rozdziału. Błagam, nie daj nigdy czekać temu, który tak gwałtownie pragnie połączyć się z tobą. Zaczekaj na idącego; wspomóż śpieszącego; a jeśli spóźnię się zanadto, wezwij mnie. Ja-

¹⁾ Ś. Cypr. *de Immortal.*, in fine.

²⁾ Ś. Athan. *Quaestiones ad Antiochum.*

każbym miał pociechę, bracie mój, gdyby nie nadzieja rychłego z tobą połączenia? Tak, pocieszam się nadzieją, że nasze rozłączenie nie będzie długie, i że otrzymasz łaskę prędkiego wezwania tego, który cię tak mocno żałuje” ¹⁾).

Święty Augustyn. Wszystkie jego dzieła pełne są tej doktryny. Przytoczymy z nich dwa tylko ustępy: jeden o Nebridiusie świeżo zmarłym, a według starożytnego wyrażenia, spoczywającym na łonie Abrahamowem:

„Jakiebądź jest to łono Abrahamowe, ale tam on żyje, mój Nebridius, mój słodki przyjaciel. Żyje w krainie błogosławionych, o którą tyle mnie zapytywał, mnie, który tak mało miałem światła, aby mu odpowiedzieć. Nie przybliży już ucha do ust moich, ale przybliży usta do Ciebie, Boże, który jesteś źródłem życia i w wiekuistym szczęściu napawa się dowoli, wedle ogromu pragnienia swego. A mimo to nie obawiam się, aby w upojeniu zapomniał o mnie, bo z Ciebie pije, o Panie, który mnie nigdy nie zapominasz” ²⁾).

Drugi ustęp dotyczy jego matki: „Nie — mówił raz do swego ludu: — umarli nie wracają. Bo gdyby ta moc była im dana, widziałbym każdej nocy moją pobożną matkę, która za życia nie mogła być zdaleła ode mnie; która udawała się ze mną w najdalsze strony, przez lądy i morza, byle mnie nie opuszczać. Bo nie daj Boże, aby wszedłszy do szczęśliwego życia, stała się mniej kochającą i nie przyszła mię pocieszyć, gdy

¹⁾ Ś. Ambr., *De Excessu fratris sui*, lib. I, n. 78.

²⁾ Ś. Aug. *Confess.*

cierpię, ona, która kochała mnie więcej, niżbym potrafił wypowiedzieć!”

Niepodobna, aby stała się mniej kochającą, wszedłszy do szczęśliwego żywota! Oto niezachwiana pewność i boska podstawa tej drogiej wiary, że spotkamy się kiedyś, ażeby się dalej miłować.

Święty Jan Złotousty. Ten wzniosły mówca usiłuje pocieszyć młodą wdowę, która utraciła męża po pięciu latach najściślejszego i najbardziej chrześcijańskiego związku. Cóż jej powiada? Czy powiada: „Pociesz się, nie zobaczycie się już nigdy. Będziecie żyli w tem samem niebie, ale tak zatopieni w Bogu, że nie poznacie się nawet.” Nie, słuchajcie, co do niej pisze: „Jeżeli pragniesz zobaczyć w niebie twego męża, jeżeli chcesz z nim wspólnie się radować, powinnaś jaśnieć taką czystością życia, jaką jego życie jaśniało. Będziesz z nim razem nie przez pięć tylko lat, jak na ziemi, ani nawet przez dwadzieścia, sto, tysiąc, ale przez całą wieczność. Zobaczysz go odzianego już nie w tę piękność cielesną, jaką miał odchodząc, ale w inny urok, w piękność, której blask przewyższy blask promieni słońca... Po życiu, zapełnionem temi samymi cnotami, będziesz przyjęta do tego samego domu i będziesz znowu mogła być z nim na wieki wieków, złączona nie węzłem ziemskiego małżeństwa, ale innym, daleko lepszym. Pierwszy łączy tylko ciała, podczas gdy drugi, czystszy, miłszy i świętszy, łączy duszę z duszą” ¹⁾.

To właśnie utrzymywaliśmy wyżej. Nie będą już małżonkami w znaczeniu ziemskim, ale będą się wie-

¹⁾ Św. Chryzost. *Ad Viduum juniorem*.

kuiście miłowali. Podrzędny węzeł małżeństwa opadnie; pozostanie wyższy, piękniejszy.

Święty Teodor Zakonnik. Surowy ten mnich, żyjący w ósmym stuleciu, za ukazaniem się współczesnej mu obrzydłej nauki fałszywych mistyków, porwał się oburzony: „Bezrozumne, bezbożne twierdzenie! Tak, nie można o tem wątpić: brat pozna brata, ojciec dzieci, żona męża, przyjaciel przyjaciela. Poznamy się, ażeby obecność Boża w nas była jeszcze radośniejszą przez jedno więcej dobrodziejstwo, dodane do tylu innych, przez spotkanie się wszystkich, którzy się kochali.”

Do wdowy jednej pisał: „Bóg, który cię stworzył i który wpośrodku twojej młodości połączył cię z tym zacnym człowiekiem, potrafi cię z nim na nowo połączyć w dniu zmartwychwstania. Uważaj więc jego nieobecność za podróż. Czyż nie zgodziłabyś się na nią, gdyby ją nakazał król jaki? A Ten, który ją nakazał, jest prawdziwym, jedynym królem świata. Mówię ci to, bo wiem, że znowu będziesz miała swego małżonka w dniu Pańskim” ¹⁾.

Święta Teresa. U dusz, gorejących miłością Bożą, jeszcze milej nam znaleźć porywy serca, które ta miłość rozszerza i powiększa, a wcale nie zacieśnia. Dnia pewnego święta Teresa była przygnębiona smutkiem, cierpiąca, wyczerpana, jak się to czasem zdarza nawet najsilniejszym. Cóż uczyni Pan, ażeby ją pocieszyć? Mówi nam to sama: „Kilka ledwie chwil przeszło, kiedy zachwycenie nieprzepartą siłą uniosło mnie ponad mnie samą. Przeniesioną zostałam w duchu do Nieba,

¹⁾ S. Theod. Stud. *Epist.* lib. I; ep. XXIX.

a pierwszymi osobami, jakie tam zobaczyłam, byli moi rodzice” ¹⁾. Widzi ich z ziemi; poznaje ich mimo niezmiernej przestrzeni, jaka się rozciąga między rajem a naszym sercem. Skoro zaś tej przestrzeni nie będzie, miałyby ich nie zobaczyć?

Święty Franciszek Ksawery. Czytajcie co pisze do św. Ignacego: „Mówisz, uniesiony twą dla mnie przyjaźnią, że pragnąłbyś gorąco zobaczyć mnie jeszcze raz przed śmiercią. Tylko jeden Bóg, który widzi serca nasze, wie, jak żywe i głębokie wrażenie wywarł na moją duszę ten słodki dowód twej dla mnie miłości. Ilekroć sobie to przypomnę, a trafia się to często, oczy moje mimowoli zachodzą łzami; a jeśli mi przychodzi myśl słodka, że mógłbym cię jeszcze uścisnąć, wylewam niezwłocznie potok łez, których nie mogę powstrzymać. Niestety! być może, iż nie ujrzymy się na ziemi inaczej, tylko przez listy; ale w Niebie za to spotkamy się twarzą w twarz! Jakże się wówczas uściśniemy!” ²⁾.

Święty Franciszek Salezy. Wszystkie dzieła świętego biskupa genewskiego, jak można się łatwo domyślić, są pełne tej pocieszającej nauki, że spotkamy się w Niebie i że uzupełnimy tam przyjaźń, rodzinę, jedność, któreśmy na tym świecie zaledwie nieudolnie zarysowali.

Do pewnej pani, która straciła męża, pisze: „Niezadługo pójdziemy za nim do Nieba, miejsca naszego odpoczynku. Tam to uzupełnimy i będziemy wiekuiście

¹⁾ Św. Teresa, jej *Żywot*, przez nią samą napisany, rozdz. XXXVIII.

²⁾ Św. Franciszek Ksawery, list XCIII.

zachowywali dobre i chrześcijańskie przyjaźnie, któreśmy tu ledwie zaczęli. Główna to myśl, jakiej wymagają od nas zgaśli przyjaciele..." etc. ¹⁾

Do swej krewnej, która utraciła ojca: „Nie smućmy się, moja córko; wkrótce wszyscy się połączymy. Ciągłe i bezustanku zbliżamy się do kraju, gdzie są nasi zmarli. Myślmy tylko o tem, abyśmy szli dobrze i naśladowali wszystko dobro, jakieśmy w nich widzieli" ²⁾.

Do matki po stracie dziecka: „Pozostań w pokoju, droga córko, i nie odwracaj serca od Nieba, gdzie jest twój drogi mały święty. Rychło go ujrzysz. Społeczność nasza, rozproszona przez śmierć, zbierze się znowu w Niebie" ³⁾.

Fénelon. Możnaby się obawiać, że wielki arcybiskup Kambrezyjski, obalamucony i zaślepiony swojemi mrzonkami czystej miłości, miał fałszywy pogląd na tę kwestyę. Ustrzegła go od tego wrodzona tkliwość jego serca. Czyż nie napisał: „Bierze chęćka życzyć, ażeby wszyscy przyjaciele czekali na siebie, iżby umrzeć razem."

To też spójrzcie, jak on pociesza tych, których kocha, kiedy ich serce jest dotknięte. Nietylko wierzy, że ludzie zobaczą się kiedyś i że rozdział śmierci będzie zniweczony, ale zaprzecza śmierci mocy rozdzielania w tem nawet życiu kochających się istot. Nigdy nie są bardziej złączone, niż kiedy śmierć przerwie obecność widzialną. „Nie — pisze do księżny de Beau-

¹⁾ S. François de Sales, edit. Migne, t. V, p. 407.

²⁾ Ibid. p. 938.

³⁾ Ibid p. 895.

villiers,—zmysły tylko i wyobrażenia straciły swój przedmiot. Ten, którego nie możemy już oglądać, przebywa z nami więcej niż kiedy. Znajdujemy go zawsze we wspólnem dusz naszych ognisku ¹⁾). Widzi nas stamtąd; wyjednywa nam tam prawdziwą pomoc; lepiej zna od nas nasze ułomności, sam żadnych już nie znając, i wyprasza nam środki potrzebne do naszego uzdrowienia. Ja, który tyle lat byłem pozbawiony widzenia go, teraz otwieram przed nim serce, widzę go w duchu przed Bogiem; a chociaż go gorzko opłakałem, nie mogę wierzyć, abym go utracił. Ileż jest rzeczywistości w tem duchowem obcowaniu!”

A do wdowy po księciu de Chevreuse: „Łączmy się sercem z tym, którego opłakujemy; uchodząc z przed naszych oczu, nie oddalił się przeto od nas. Widzi nas, kocha, przejęty jest współczuciem dla naszych potrzeb. Sam szczęśliwie przybwszy do portu, modli się za nas, którzyśmy jeszcze na burze narażeni. Przemawia do nas w głębi naszej duszy: „Śpieszcie się połączyć z nami.” Czyste duchy widzą, słyszą, kochają zawsze swych prawdziwych przyjaciół we wspólnem ognisku dusz naszych ²⁾). Przyjaźń ich jest nieśmiertelną tak, jak jej źródło. Niedowiarkowie siebie jedynie kochają; powinni by oni rozpaczać, że tracą na wieki swoich przyjaciół; ale przyjaźń Boża przemienia obcowanie widome w obcowanie czystej wiary; płacze, ale pociesza swą boleść nadzieją, że odnajdzie swoich przyjaciół w krainie prawdy i na łonie samejże miłości” ³⁾).

¹⁾ W oryg. *centre commun.*

²⁾ W oryg. *centre commun.*

³⁾ Fénelon, *Lettres.*

Poprzestańmy na tem; moglibyśmy do nieskończoności przytaczać teksty; nie pomnożylibyśmy światła. Jest ono tu w tym wysokim stopniu nateżenia, po którym już nie wzrasta. Serce zatem ludzkie nie myliło się; religia naucza tego, o czem marzyło. Religia zatem nie myli się; serce człowieka marzy, przeczuwa, pragnie, wierzy gorąco w to, czego ona naucza. Oba światła, to, które przychodzi z góry, i to, które przychodzi—nie śmiem powiedzieć, że z dołu,—z serca człowieka, zgadzają się z sobą. Oba mówią, ku ostatecznemu pocieszeniu człowieka, że ziemia jest tylko początkiem, i że w niebie uzupełnimy to, cośmy tu na ziemi zaledwie rozpoczęli; że nasz umysł będzie się tam napawał światłem, a nasze serce miłością; i to nie pojedynczo, z osobna, ale w społeczeństwie, w rodzinie, w przyjaźni. To samo to będzie życie, jak to, które tu prowadzimy, tylko będzie w niem brakowało grzechu, a będzie za to Pan Bóg.

Chcecież powziąć wyobrażenie o tem pięknem życiu niebieskiem? Przypomnijcie sobie świętego Augustyna i św. Monikę przy oknie w Ostyi. Oboje pewnego wieczoru rozmawiali tam z sobą. Przed nimi rozciągały się wielkie samotne ogrody, niebo słodkie, Tybr zawsze tak smutny i melancholijny; wzrok ich obejmował nieskończoność morza, serca rozważały nieskończoność niebios. Myślą, modlitwą wznoszą się powoli ponad te rozległe przestrzenie, ponad gwiazdy, ponad własne dusze i wszystkie stworzenia, aż do Boga. Sięgają do Niego, dotykają Go, *ictu oculi, ictu cordis*, zachwytem serca, i przynajmniej przez chwilę dusze ich zapominają o sobie w widzeniu wieczności. Ale nie wznoszą się tam osobno. Syn nie zapomina w swoim

zachwycie o matce; matka w swem szczęściu pamięta o synu; wznoszą się społem; ręce ich spotykają się, uściskają, i dzieląc się w ten sposób swemi uczuciami, podwajają swoje szczęście. Oto wierny obraz Nieba, jeśli dołączymy jeszcze do tego trwanie: oczy i serce w Bogu, a ręka w ręku naszych ukochanych!

EPILOG.

DROGI ŚWIATŁOŚCI.

M i s t r z.

Błogosławieni, którzy wierzą!

U c z e ń.

O tak, błogosławieni, którzy wierzą! Ale powiedz mi, Mistrzu, co mam uczynić, aby uwierzyć? Oto już lat dziesięć, dwadzieścia, jak szukam wiary, nie mogąc jej znaleźć. Gdzież ona jest? Czy znasz drogę do niej wiodącą? Czy jest gdzie bielejąca jutrzienka, miejsce ochłody, światłości i pokoju?

M i s t r z.

Tak, jest takie miejsce. Znam drogę do niego. Wskażę ci ją. Duszo ukochana! nabierz odwagi. Kto

poczyna sobie przykrzyć ciemność, już do niej nie należy. A kto wzdycha do utraconej światłości, jest już jej prawie godzien.

U c z e ń.

Mów prędko. A jeżeli masz w ręku dobrodziejstwo wiary, zlej je na moją duszę, bo wiele wycierpiałem. Od lat wielu toczy mnie zwątpienie. Wiele czytałem, wiele rozprawiałem, i nie doszedłem do niczego. Tyle jest przeciwnych sobie religii, a w każdej z nich tyle ciemności i tajemnic, że prawie wyrzekłem się nadziei znalezienia kiedykolwiek prawdy.

M i s t r z.

Jakże cię żałuję, żeś był przez czas tak długi pastwą zwątpienia! Ale ileż nadziei budzi się we mnie, gdy widzę, jak nad tem cierpisz, i jak mi jest jasnem, że jeżeliś jeszcze nie doszedł do prawdy, to dla tego tylko, żeś zmylił drogę! Zdajesz się czynić religię zależną od rozumu, od nauki, od długotrwałych i głębokich dociekań. Tymczasem, zastanów się tylko. Jeżeliby religia była rzeczą rozumu i nauki, chociaż, jak to mówią, ulice są ich dzisiaj pełne, czyż nie zgodzisz się, że wielu pozostałoby z niej wydziedziczonymi? Cóżby się stało z maluczkimi i ubogimi? A z młodymi, którzy umierają w kwiecie wieku, nim doszli do pełnego rozwoju umysłowej potęgi, a także z nieprzejrzanymi zastępami kobiet, którym Bóg dał, prawda, równą męskiej inteligencję, a czasem i geniusz, ale którym dał nadto o wiele więcej: podniosłość serca, majestat macierzyństwa, anielską czystość dziewictwa;—które otwierają nam oczy i zamykają je, i których życie tak

jest zapełnione podtrzymywaniem i pocieszaniem naszego, że nie można od nich wymagać, iżby się oddały poszukiwaniu prawdy w potrzebnej do tego ciszy i odo-sobnieniu? Społeczność Boga i dusz miałaby zatem arystokrację! Ci, którzy już wszystko posiadają: rozum, czas, majątek, posiadaliby bardziej od innych Boga, posiadaliby Go łatwiej i zupełnie! Małuczcy, ubodzy, pracujący nie mogliby wznieść się do Niego! Przy-puszczenie podobne przejmuję wstrętem. Bóg winien nam być dać sposób krótki, prosty, łatwy, dla wszyst-kich przystępny zawierania z Nim tego niebieskiego związku, zwanego religią.

U c z e ń.

Zapewne. Ale jakież jest ten łatwy i prosty sposób?

M i s t r z.

Jest ich kilka, prostych bardzo i łatwo dostęp-nych; albowiem Bóg, który chce, aby wszyscy ludzie znaleźli prawdę, nie szczędził im sposobów jej pozna-nia. Ale przystąpmy odrazu do najpiękniejszego i naj-niezawodniejszego. Czy pamiętasz, com ci rzekł o głównej istocie religii?

U c z e ń.

Tak jest; myśl ta nadzwyczaj mi się podobała. Uważałem zawsze religię za przymuszony hołd, za cześć nakazaną ludziom przez Boga; który niewiele dbał o nią. Widziałem w niej tylko obowiązek, pozbawiony godno-ści, piękności, uroku. Myśl twoja uśmiecha mi się. Wy-daje mi się być oczywistą. Religia jest spotkaniem Boga i człowieka, spotkaniem ich przez serce. Bóg

i człowiek to dwie istoty, albo lepiej jeszcze dwie miłości, które dążą do siebie wzajem. Spotykają się w religii; ona zadowala święty pociąg, jaki mają jeden dla drugiego. Proste to i wzniosłe zarazem.

M i s t r z.

A więc jeżeli tak jest, jeżeli religia jest stosunkiem Boga i człowieka przez serce, czyż nie spostrzegasz prawdziwej drogi, do niej prowadzącej? Jeżeli chcesz trafić do tej świątyni, pozostaw rozum, weź z sobą tylko serce. Pozostaw geniusz, naukę, weź z sobą tylko miłość. Kołacząc do drzwi, nie mów: „Chcę widzieć” — ale: „Chcę kochać.”

Tak jest, jeżeli pragniesz znowu zawrzeć z Bogiem ten słodki i głęboki związek religii, rzuć jałowe zarzuty; uczyni coś prostszego i zarazem słodszy: usiłuj kochać.

Kropla miłości w sercu szerzy więcej światła, aniżeli przeczytanie setek tomów. Wystarcza ona do rozstrzygnięcia wszelkich wątpliwości, do rozproszenia mgły wszelkiej. Bo wiesz, jaki jest przywilej miłości? Otacza przedmiot ukochania jasnością, przy której wszystko blednie. Kocham: wszystko gaśnie, wszystko traci urok; jedno już tylko wzbudza we mnie zachwyt — przedmiot mojej miłości.

A rozpraszając mgły i cienie, miłość przenika zarazem tajemnice. Przeczuwa je, odgaduje. Dziwisz się, że Bóg tak wielki zniża się ku tak małemu człowiekowi; że ma sobie za szczęście z nim przebywać; że urodził się w żłobie; że umarł na krzyżu. Umysł może się w istocie dziwić, ale nie serce, bo ono czuje się zdolnym uczynić tak samo, skoro kocha. Miłość jest zara-

zem wzniosłym oświecicielem i wszechmocnym robotnikiem.

U c z e ń.

Znaczy to, że gdybym kochał, mógłbym uwierzyć.

M i s t r z.

Właśnie.

U c z e ń.

Ale jakże kochać Boga? Jest On tak wysoko, tak daleko, tak jest niedostępny! Przyznam ci się, że słowo to w ustach chrześcijan wydawało mi się zawsze próżnym dźwiękiem.

M i s t r z.

Kiedyś poznasz jego rzeczywistość i słodycz. Tymczasem kochaj wszystko, co znasz z Boga, wszystko, co z Niego w tobie pozostało; bo nie przypuszczam, ażebyś był tak nieszczęśliwy, iżby nic Bożego nie pozostało w gruzach twojej duszy. On jest prawdą; kochaj prawdę. Jest sprawiedliwością; kochaj sprawiedliwość. Jest czystością; kochaj czystość. A skoro raz staniesz na tej pochyłości, to bez trudu, bez wysiłków, samem tylko działaniem ciężkości, zsuniesz się w objęcia religii.

A trzeba ci tu powiedzieć słówko jaśniejsze i zarazem praktyczniejsze. Nie możesz kochać Boga, ponieważ jest za wysoko, za daleko, zanadto wielki; kochaj człowieka, jego dziecię; nadewszystko tego, który nie jest wysoko, ani daleko, który nie jest wielkim. Kochaj służącego, który ci czyści obuwie, odźwiernego, który ci podaje klucz od mieszkania; stróża, który zamia-
ta ulice przed twoim progiem. Nie możesz zbliżyć ust

do świętych nóg Boga; kładź je na upokorzonych i zbolących rękach ubogiego. Powiedz sobie: „Szukam prawdy, nie znajduję jej. Będę czynił dobrze. Będę się starał czynić jak najwięcej dobrego. A wtedy jedno z dwojga: Albo Bóg jest, zatem wynagrodzi mnie, zeszle na mnie światło. Albo go nie ma...”

U c z e ń.

Ale nie, to niepodobna. Bóg jest, koniecznie, niezaprzeczenie. Inaczej dobro byłoby urojeniem, cnotą snem, sumienie oszukaństwem! Łotry tylko byłiby w posiadaniu prawdy!

M i s t r z.

Dobrze mówisz, synu; dusza twoja słusznie przeczuwa. Tak, Bóg jest. I skoro będziesz czynił dobrze, będzie z tobą tak samo, jak niegdyś ze sławnym Donoso Cortès'em, hiszpańskim posłem we Francyi, który z młodości obojętnej i bez religii wzniósł się nagle do światłości tak niewzruszonej wiary, że stał się jej apostołem. Zapytywany, w jaki sposób odegnał te wszystkie wątpliwości, które przez tyle czasu zaciemniały jego potężny umysł, odpowiedział: „Nie wiem tak dalece; pamiętam tylko jedno: oto nigdy nie zobaczyłem ubogiego, nie pomyślawszy przytem, że jest mnie równym i bratem.”

Albo jeżeli chcesz drugiego przykładu, stanie się z tobą, jak ze świętym Wincentym a Paulo. Skoro w młodości wiara jego zachwiała się, instynkt, który Bóg dał nam wszystkim, ażebyśmy mogli znaleźć światło, popchnął go do miłosierdzia. Jak gdyby powie-

dział sobie: Wszystko w wierze jest ciemnością, tajemnicą. Trójca jest tajemnicą; Wcielenie jest tajemnicą; Odkupienie jest tajemnicą. Ale nie jest tajemnicą biedny, dziecko bez opieki, chory trawiony gorączką. Nie jest tajemnicą to, że należy cieszyć płaczących, karmić głodnych, odziewać nagich; nie tajemnicą, ale światłem jaśniejącem jest miłosierdzie, ofiara, zapomnienie o sobie, poświęcenie. Wiara jest tajemnicą, ale nie jest tajemnicą miłość. Rzucę się więc w światłość miłości, ażeby przejrzeć w ciemności wiary. W taki oto sposób święty Wincenty a Paulo pokonał wątpliwości i w tak sam ty je pokonasz.

Kochaj zatem Boga. Usiłuj dosięgnąć do Jego ust błogosławionych, a przynajmniej do nóg i rąk przebitych dla nas; a jeżeli nie możesz tam dosięgnąć, całuj stopy ubogich, małych, opuszczonych; bo miłość, która jest treścią religii, która stanowi jej piękność i nie naruszoność, jest z konieczności i drogą do niej.

U c z e ń.

Ten więc jest twój niezawodny sposób. Kochać Boga, kochać wszystko, co z Niego znamy: prawdę, sprawiedliwość, czystość, cnotę; kochać człowieka, który jest tworem Boga, a najbardziej małego, ubogiego, nędzarza; kochać go, to znaczy szanować go, wspierać, opiekować się nim, pocieszać go, jednym słowem: czynić mu dobrze. I utrzymujesz, że ten, któryby tak postępował, doszedłby niezawodnie do prawdy!

M i s t r z.

Tak, niezawodnie, według tych słów pięknych: „Uczynki rodzą miłość, a miłość rodzi wiarę.” A po-

stępując tak, nie tylko dojdiesz do religii w ogólności, ale, jeżeli jest taka, którą Bóg stanowczo objawił, dojdiesz do tej koniecznie. Bo, jeżeli Bóg taką utworzył, któraż to jest? Oczywiście ta, w której Bóg więcej kocha człowieka, w której człowiek więcej kocha Boga, ta, w której Bóg i człowiek łączą się węzłem ściślejszym. Im więcej zatem będziesz kochał, tem pewniej i rychlej będziesz popchnięty w objęcia prawdy.

U c z e ń.

Zatem twój wielki sposób doprowadzania dusz do wiary, to proste zalecenie im: Czyńcie dobrze?

M i s t r z.

Tak; czy wydaje ci się to dziwnem?

U c z e ń.

Przeciwnie, zachwyca mię to, i wyznaję, że jeśli bym mógł być przekonany, że ta jest droga do wiary, skłoniłoby mię to stanowczo prawie, ażebym był chrześcijaninem. Bo cóż nad to piękniejszego i pełniejszego pociechy? Czynić dobrze! roztaczać naokoło siebie atmosferę cnoty! A w miarę jak życie upływa, jak dzień zbliża się do schyłku, przebiegając wspomnieniem czas, który już nie wróci, móżdż sobie powiedzieć: „Miałem w życiu wiele smutków; popełniłem może wiele grzechów; ale zdaje mi się przynajmniej, że nie przeszedł przez nie bez uczynienia odrobiny dobra!” A za nadejściem wieczoru życia widzieć u swego łóża dzieci i wnuki, pobłogosławić je po raz ostatni i móżdż pomyśleć: „Nie pozostawiam im tyle mienia, ani niestety tyle szczęś-

cia, ileby im życzyło moje ojcowskie serce; ale nikt im nie odbierze tej pociechy, że będą zawsze mogły wspominać: „Nasz ojciec był zacnym człowiekiem!” Myśli te mnie wzruszają. Sięgają tego, co jest we mnie najpodnioslejszem, najszlachetniejszym, najczystsze, najgłębszem. Zaprawdę niczem jest zdrowie, niczem majątek, niczem wiedza ani sława. Jedna jest tylko rzecz na świecie godna ubiegania się człowieka, stosowna dla jego wielkości, oto: usiłowanie żyć i umierać jako człowiek zacny. Ale czyliż pewnym jesteś, że tego dosyć, ażeby dojść do prawdy?

M i s t r z.

Pewny najzupełniej. Trzeba tylko dobrze pojąć znaczenie tych słów: „czynić dobrze.” Oto człowiek dobry; prawy, uczciwy; miłuje on ludzi, wspomaga nieszczęśliwych. Cóż czyni? Gotuje sobie skrzydło, które go uniesie ku światłu. Ale jednocześnie popełnia niesprawiedliwość; obmawia współzawodnika lub szkodzi mu podstępnie; nienawidzi nieprzyjaciela; korzysta z nienawiści lub słabości: coż czyni? Przymocowuje sobie kule do nogi, ciężar, który wznieść się w górę prawie mu uniemożliwni. Czyliż tego nie czujesz?

„Każdy bowiem, który źle czyni, powiada Jezus, nienawidzi światłości, ani idzie na światłość” (Jan, III, 20). Nie jest ani godzien tego zbliżenia, ani do niego zdolny; potrzeba, ażeby się wyrzekł zła, przynajmniej chęcią, a czynił dobrze tak wewnątrz, jak i na zewnątrz. „Biada wam... obłudnicy, iż oczyszczacie co jest wewnątrz kubka i misy, a wewnątrz pełni jesteście drapiestwa i plugastwa.” (Mat., XXIII, 25). Jesteś dobrym, uczciwym, prawym, pobłażliwym: to już

wiele, ażeby dojść do Boga. Oto brzegi naczyń przygotowane. Idźże dalej. Czy serce jest czyste? Prawda jest jako rosa: chcąc ją mieć w czystości, należy zbierać ją do czystego naczynia. Zrozumiej wielkie słowa, które śpiewamy co niedziela: *Natus ex Maria Virgine*. Bóg rodzi się w duszach tak tylko, jak się narodził przed wieki. Jest owocem serc czystych.

U c z e ń.

Rozumiem to. Ale, Mistrzu, drzę rozumiejąc.

M i s t r z.

A jednakże i Platon powiedział to samo:

Czegoż trzeba, ażeby zobaczyć Boga? Być czystym
i umrzeć.

Wzdychasz do światła. Nie stawiajże na jego drodze grubej, nieprzejrzystej zapory. Inaczej światło, skoro nadejdzie, natrafi na zaporę i odbije się od niej. Przygotuj dla niego czysty kryształ, piękne szkło przejrzyste. Światło przyjdzie, przeniknie je i pozostanie rozświetlając wszystko. Wielką przeszkodą dla dusz w widzeniu Boga są zmysły. Oto owa zapora. Owe zmysły grube, nieprzejrzyste, obciążają i psują dusze; trzeba je poniżać, umartwiać, uduchownić, wyanielać, ażeby oswobodzić duszę. Nim nadejdzie śmierć, która zdejmie zasłonę, trzeba się uciec do czystości, która uczyni ją przejrzystą.

U c z e ń.

„Być czystym i umrzeć.” Gdzie Platon znalazł tak boskie słowa! Mogłyby jaśnieć na stronicach Ewangelii.

Mistrz.

Braknie tam jednakże jednego tylko słowa, ażeby zdanie było zupełnie poprawnem. „Być czystym i umrzeć!” Nie, to jeszcze nie Boska ścieżka światłości. Trzeba było powiedzieć: „Być pokornym, czystym i umrzeć!” Nietylko bowiem ciało ocieęża i zaciemnia duszę; ocieęża się ona sama, nadymając się pychą. Utraca siły, podnosząc się, wywyższając grzesznie. Nadto, chcąc uczynić z siebie punkt środkowy wszystkiego, traci poczucie proporcjonalności; widzi jedynie siebie samą; wzrok jej nie mocen jest uchwycić żadnej harmonii. Nakoniec,—i to stanowi główne przekleństwo pychy,—odosabniając się tak, nie otrzymuje już prawie nic z góry. Na podobieństwo ludzi zaopatrzonych w niepalną odzież, którzy przechodzą bezkarnie przez ogień, żyje w pośród Bożej światłości, nie oświecając się nią. Nauka tegoczesna odkryła sposób *odosabniania* ciał niektórych; nie są już przewodnikami światła, ciepła, elektryczności. Pycha sprawia w stosunku do duszy ten straszliwy skutek. Zmysły odejmują duszy przejrystość, pycha ją *odosabnia*. Oboje sprawują, że jest niedostępna wyższemu światłu.

Któż pojmie całą piękność czystości! To światło ciała, jak pokora jest światłem ducha. Pokora, czystość, miłość bliźniego—prawdziwe to są trzy Gracye. Nie można ich rozdzielić. Są z sobą w boski sposób związane. Jedna wiedzie do drugiej. „Kto czyni miłosierdzie, dochodzi do światłości.” Oto miłość bliźniego prowadzi do prawdy. „Błogosławieni czystego serca, albowiem oni Boga oglądają.” Oto znowu czystość prowadzi do światłości. Chcesz widzieć je w połącze-

niu? „Jakże jest pięknym w światłości czysty zastęp bojących się Boga!” Oto złaczone pokora, czystość, miłość bliźniego, które wspólnie zanoszą duszę w objęcia Boga.

U c z e ń.

Zaczynam rozumieć twoją naukę. Ponieważ religia jest węzłem, łączącym Boga i człowieka, wszystko, co zbliża się do Boga: miłość, uczciwość, czystość, pokora, z konieczności musi się zbliżać do religii, i jeśli jest jaka przez Boga objawiona, musi nieomylnie do niej prowadzić. Pojmuję nawet, że to jest najpewniejsza droga. Bo cóżby tu mogło złudzić? Chcę wygnać zło; chcę czynić dobrze. Kto może się mylić, tak zamierzając? Za zasadę mego życia biorę czynienie dobrze, wierne, stałe, bezinteresowne, odważne wykonywanie obowiązku. Oczywiście tu jest prawda. Oto droga, prowadząca niechybnie do Boga. Niepodobna, aby On nie stał u jej kresu.

M i s t r z.

Tak, niepodobna, ażeby skoro człowiek przez cnotę stanie u jednego końca tej drogi, Bóg z prawdą nie był u drugiego. Wspomnij na marnotrawnego syna. Skoro uczynił pierwszy krok na tej drodze, ojciec oddawna był już na drugim jej końcu.

U c z e ń.

Rozumiem to doskonale. Ale powiedz, czyliż istotnie niema nic nad to do czynienia, ażeby dojść do wiary? Nie trzebaż żadnego badania? Jak to! Bóg dał nam umysł, rozum, pojęcie; dał je nam dla prawdy, ja

mając na celu, ażebyśmy mogli ją znaleźć, nią się cieszyć; a nie używasz ich do tego! pozostawiasz je bezczynnymi! Nie powierzasz im żadnej czynności w szukaniu prawdy! Przyznaję, że dziwi mię to i boli.

M i s t r z.

Miej cierpliwość! Przyjdzie kolej i na naukę, na badanie. Umysł będzie potrzebny i współdział jego będzie wielce pożyteczny. Ale godzina jego jeszcze nie nadeszła. Religia jest spotkaniem Boga i człowieka, spotkaniem ich przez serce. Serce więc działa tutaj najpierw; miłość przygotowuje warunki spotkania, wprawia dusze w stan zgodny z Bogiem, ażeby mogła uczuć do Niego tęsknotę i dążyła do Niego z radością; bo wiesz, że społeczność jest możliwą tylko pomiędzy podobnymi sobie istotami. Uczyniliśmy to już, ale ta pierwsza czynność nie jest jeszcze skończoną.

Do miłości, która czyni dobrze, sprawia w nas czystość i pokorę, która przygotowuje duszę, trzeba dołączyć modlitwę, która przyzywa Bożą iskrę i roznieca płomień. Tego nauczał i sam doświadczył Maine de Biran w tych ciężkich latach, kiedy wracał powoli do światła. W dzienniczku swoim, gdzie co wieczór zapisywał swoje bolesne uczucia i wrażenia, takie na przykład wskazuje środki powrotu do prawdziwego życia: „Naprzód pragnąć, czuć swoje braki, nędzę, zależność i usiłować wznieść się ponad to wszystko. Powtórę modlić się, ażeby nadszedł duch mądrości, czyli żeby przyszło Królestwo Boże; modlić się, oczy mieć zwrócone do źródła, z którego przychodzi nam światło. W ten sposób dochodzimy do posiadania nieskończonego, nie-

wyczerpanego skarbu.” „Któż — mówił jeszcze — udzieli mi skrzydeł modlitwy?... Ach jakże potrzebuję się modlić!” A zaraz potem: „Dzień pokoju, rozsądku i względnego szczęścia—skutek modlitwy.”

Te są słowa wielkiego filozofa, największego może filozofa naszego wieku. Rozum wskazał mu, że w doprowadzeniu do światła modlitwa może jeszcze więcej od samego rozumu. Po miłości najsilniejszy to środek. Zresztą modlitwa jest trudną dla tych tylko, którzy nie kochają. Skoro kochamy, nie trudno nam powiedzieć z Oblubienicą Pieśni: *Osculetur me osculo oris sui*—Przybliż, Panie, usta Twoje do ust moich, ażebym wyszedł z mej samotności i powrócił do słodkiego obcowania wiary; albo z Samarytanką: *Domine, da mihi bibere*—Panie, daj mi pić, ażebym nie potrzebował już przychodzić samotnie w skwarze południowym do tej Jakóbowej studni, tak oddalonej i tak rzadko w wodę obfitującej. Oto jest modlitwa. Chcesz powrócić do religii, do tego słodkiego związku Boga i człowieka, słusznie więc usiłujesz zbliżyć do Niego twe serce; ale niedosyć na tem: trzeba, ażeby On także przyszedł, ażeby pochylił się nad tobą jak ojciec, a o to trzeba Go prosić. Od tak już dawna wzgardziłeś tym związkiem: czyż nie możesz uklęknąć i prosić Boga, ażeby powrócił?

U c z e ń.

Tak zapewne; ale do modlitwy potrzeba wiary; a jeśli chcąc wierzyć, trzeba się modlić, czyż nie jest to błędne koło?

M i s t r z.

Ach tak, to błędne koło. Świat jest pełen takich kół błędnych. Ale posłuchaj, jak Bóg rozwiązuje to koło. Przyznaję, że trzeba wiary, ażeby módz się modlić, przynajmniej zaczątków wiary. Zaczątki wiary to smutek w niedowiarstwie, to twój niepokój, twoja próżnia; zaczątki wiary to twoja niepewność, owo „być może,” które ci co chwila podszeptuje znękanе serce: Może jest prawdziwa religia? może znalazłbym drogę do niej, gdybym dobrze szukał? Czyż nie możesz uklęknąć i powiedzieć: „Mój Boże, wybaw mię ze zwątpienia! Ty, który mnie stworzyłeś, zeszlij na mnie światło i zakończ mój smutek i ogrom moich męczarni!”

A jeśli tego jeszcze nadto, jeśli to uznanie Boga za trudnemby było dla twego niedowiarstwa, mów modlitwę, której Fénelon z tak wysoką i pełną uczucia delikatnością uczył tych, którzy wątpili za jego czasów. „Jeżeli to prawda, że jest ponad człowiekiem jakaś istota potężniejsza i lepsza od niego, od której on jest zależny, zaklinam tę Istotę na jej dobroć, ażeby użyła swej potęgi ku wspomózeniu memu. Widzi Ona moje szczere pragnienie, moją nieufność w sobie samym, moje uciekanie się do Niej. O Istoto nieskończenie doskonała, jeżeli prawdą jest, że istniejesz i że słyszysz wołanie mego serca, ukaż się mnie! podnieś zasłoną z Twego oblicza! ustrzeż mnie od niebezpieczeństwa nieznanania Ciebie, błakania się zdala od Ciebie i uwódnienia się memi myślami w szukaniu Ciebie! O prawdo, mądrości, dobroci najwyższa, jeżeli prawda, że jesteś tem wszystkim, co mówią, i że uczyniłaś mię dla siebie, nie znieś, ażebym należał do siebie samego i żebyś nie

posiadała dzieła rąk twoich. Otwórz mi oczy, ukaż się
twojemu stworzeniu!”

U c z e ń.

Dziwna rzecz, to prawie te same wyrażenia, co
w tchnącym tymże duchem wołaniu smutnego i zbola-
łego serca tego biednego Alfreda Musset’a:

Jeśli nasz niepokój śmiertelny
Do Ciebie dotrzeć jest w stanie,
Jeżeliś jest nieśmiertelny
I słyszysz nasze wołanie,—

Ach, złam sklepienie tych ciemnic,
Co kryją niebo przed nami!
Usuń zasłony tajemnic,
Ukaż się Pan nad Panami!

M i s t r z.

Ale nie; dajmy pokój tym „może,” tym „jeżeli,” tym
przypuszczeniom, wymyślonym przez ludzi na pokrycie
powrotu ich do wiary. Bóg jest; nie wątpimy o tem.
Żyje w nas, nie potrzebujemy Go daleko szukać. Mów-
my Mu więc poprostu: „Ojcze nasz, któryś jest w Nie-
biesiech, święć się Imię Twoje, przyjdź Królestwo Twoje,
bądź wola Twoja jako w Niebie, tak i na ziemi; chle-
ba naszego powszedniego daj nam dzisiaj; i odpuść nam
nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowaj-
com; i nie wwódt nas w pokuszenie, ale nas zbaw ode
złego. Amen.” Odwołuję się do twojej bezstronności;
któż nie może zmówić tej modlitwy?

U c z e ń.

Ach, każdy! Co do mnie, nie znam nic nad nią piękniejszego, bardziej podnoszącego duszę i głębszego przy całej swojej prostocie. Otwiera przede mną niezmiernie widnokreśli, wzniosłe widoki. Przyznam ci nawet, że oddawna mówię ją w głębi serca. Wzruszała mię zawsze; jeszcze mię jednakże nie oświeciła.

M i s t r z.

Mów ją i nadal. Chrystus powiedział: „Kończcie, a będzie wam otworzono.” Kończysz, a nie otworzono ci. Kończ jeszcze, kończ mocniej. A po zakonlataniu przysłuchuj się, czy nie otwierają. Wielu kończy i odchodzi. Kiedy Mistrz przychodzi drzwi otworzyć, niema już ich. Powiedziawszy: „Mów, Panie, bo słucha sługa Twój!” trzeba słuchać, a iżby słuchać, potrzeba się uciszyć. Proste to zaprawdę, ale główne.

Czy zastanowiłeś się kiedy nad tem, w jakich okolicznościach Chrystus przyszedł na świat? Przyszedł wpośród najzupełniejszej ciszy. Naprzód umilkły głosy Proroków, święte głosy rozlegające się od wieków, przygotowujące świat do przyjęcia Zbawiciela. One naprzód ustały. Następnie uspokoił się i ucichł powoli gwar zdobywców, którzy od wieków byli plagą ziemi i napełniali ją zamieszaniami i przerażeniem. August zamyka świątynię Janusa, i Chrystus przychodzi na świat. Cisza ta była jeszcze niedostateczną. Bóg czeka jeszcze, aż cienie nocy zastąpią gwar dnia i zamęt spraw ludzkich, i wówczas to wpośród najróżnorodniejszego milczenia: milczenia Proroków, milczenia zdobywców, milczenia spraw ludzkich, milczenia nawet na-

tury, usłyszano głos: „Chwała na wysokości Bogu, a na ziemi pokój ludziom dobrej woli!”

U c z e ń.

Rozumiem dobrze tę ciszę. Jeżeli Bóg raczy do nas przemawiać, słuszną jest, abyśmy Go w skupieniu słuchali. Ale przyznaję ci, że mię ta cisza przeraża; bo jakże ją osiągnąć? Znasz nasze życie, życie tego-czesne. Interesy nas pochłaniają, troski nas gnębią. Uszy nasze są pełne tysiąca odgłosów potrzebnych lub niepotrzebnych. Potrzebaby samotności, a gdzie ją znaleźć? Życie nasze nie należy już do nas, ale do całego świata; gna naprzód całą siłą pary. Ulituj się nad niem; ruch nowoczesny takiem je uczynił. Nie wymagaj ode mnie niepodobieństwa.

M i s t r z.

Nie przerażaj się tak i zrozumiej mnie. Nie wymagam od ciebie ani milczenia spraw ludzkich, ani milczenia nauk, ani wyrzeczenia się stosunków z ludźmi. Wszystko to jest uprawnionem, nie przeszkadzało więc nigdy wzniesieniu się duszy do Boga. Ciszę tu potrzebną łatwo bardzo osiągnąć. Czy wiesz, co uczynił Kar-tezyusz, ażeby dojść do prawdy?

U c z e ń.

Wiem doskonale. Spostrzegł on, że mu zapełniono umysł mnóstwem pojęć, nie dowiódłszy mu ich dostatecznie, i nie wiedząc jakie odrzucić, jakie zatrzymać, postanowił je tymczasem wszystkie usunąć; zmazać wszystko, według jego własnego wyrażenia, a po-

tem w tej ciszy i semotności odbudować cały gmach tej prawdy, wypróbowując każdy kamień z osobna

M i s t r z.

I ty uczyn tak samo. Odrzuciłeś już wszystkie pojęcia religijne pod pozorem, że nie były dostatecznie dowiedzione, odrzuć tak samo wszystkie zarzuty przeciw religii, próżne cienie, widma trapiące cię. Zmaż wszystko. Nie chcesz przyjąć nic przemawiającego na korzyść istnienia Boga, co by nie było dostatecznie dowiedzionem; proszę cię więc, nie przyjmuj również nic przeciwnego temu twierdzeniu bez poprzedniego ścisłego badania.

U c z e ń.

Ależ zdaje mi się, że sama uczciwość tego wymaga!

M i s t r z.

Zapewne, ale postępuje się uczciwie względem wszystkich, tylko nie względem Boga. O swoim przyjacielu,—co mówię?—o pierwszym lepszym nie uwierzono by w to, w co się wierzy, kiedy rzecz tyczy się Boga. Pomysły najniedorzeczniejsze, nauki najpotworniejsze, opowiadania najdziwaczniejsze, z którychby się śmiano, jeżeliby pogłoski przypisały je naszemu służącemu lub odźwiernemu, przyjmują się bez wahania, jeżeli idzie o religię. Przynajmniej, gdyby szło o ludzi, staranoby się je sprawdzić, ale gdy idzie o Boga, nikt o tem nie myśli. Na wiarę jakiego opowiadania, jakiegoś zasłyszanego słówka przyjmuje się za pewne, za dowiedzione najbardziej oburzające rzeczy. Żyje się z tem prze-

konaniem lat dwadzieścia, trzydzieści, nie pomyślawszy przeczytać coś o tem, lub się kogoś zapytać. Zresztą nie uczy się nikt w rzeczach dotyczących się wiary; każdy ma siebie za zdolnego rozstrzygać wszystkie jej kwestye bez żadnego przygotowania.

Jesteś młodym i prawym. Nie możesz wiedzieć, do jakiego stopnia dochodzi teraz to obłąkanie, jakie fałszywe pojęcia napęłniają umysły; jakie błędne ogniki prowadzą na manowce wyobraźnię, jakie śmieszne, a nieraz ohydne widmo jest brane, często nawet z najlepszą w świecie wiarą, za religię. Wróciliśmy do tych pierwszych wieków chrześcijaństwa, w których największą przeszkodą do nawracania się pogan była ich najzupełniejsza nieświadomość religii i najniedorzeczniejsze pojęcia, jakie sobie o niej wytwarzali, i w których pierwszy promień światła, padający na duszę prawą, na umysł takiego Justyna, Klemensa Aleksandryjskiego, Augustyna, pogrążał je w podziwie i zawstyżeniu. „Jakże mi wstyd było — pisał ten ostatni — że byłem tak zuchwały i bezbożny, iżby przypuszczać, że Kościół naucza rzeczy tak śmiesznych, i nigdy nie starać się w tem oświecić! Nieszczęsny, czekałem od lat tylu, nie przeciw religii katolickiej, która nic takiego nie mówi, ale przeciwko urojeniom mojej występnej wyobraźni.”

I z nami tak się dzieje. W dziennikach, w przeglądach, w codziennych rozmowach czekamy przeciw urojeniom. Ileż to razy świadkiem tego byłem! Iluż to ludzi szlachetnych i rozumnych mówiło mi: „Jakże chcesz, abyśmy uwierzyli w takie rzeczy?” A skoro im odpowiedziałem: „Ależ religia bynajmniej tego nie naucza, mówi tylko to i to” — byli niepomier-

zadziwieni, i kilku ich nawróciłem tem prostem wyjaśnieniem.

Widzisz więc, jakiej ciszy od ciebie wymagam: oto najzupełniejszej ciszy i nieobecności uprzedzeń co do religii. Zmaż wszystko. Powiedz sobie: Nie przyjmę nic przeciw Bogu, przeciw religii, coby nie było zgłębionem, sprawdzonem, dowiedzionem. I jak Kartezyusz po dotarciu do głębi zmazał punkt stały, na którym się oparł, ażeby odbudować cały gmach prawdy, ty także po usunięciu zwodniczych cieniów, dostrzeżesz punkty stałe i jasne. Stań naprzeciwko nich odważnie i szczerze. Jest Bóg. Możesz-że o tem wątpić? Czyż to nie punkt świetlany w twoim umyśle, w twojem sercu, w twojem sumieniu? Jest dusza. Czyż o tem wątpisz? Między Bogiem a duszą jest harmonia, jest wzajemna skłonność, oczywisty niezaprzeczony węzeł. Badaj tę harmonię, zgłębiaj, rozpatruj ten węzeł. Spytaj siebie: „Czy wątpię rzeczywiście o Bogu? Czy naprawdę wątpię o mojej duszy? Czy wątpię o stosunkach ich z sobą? Dlaczegoż więc nie żyję zgodnie z tą moją wiarą?” Tego od ciebie naprzód wymagam. Czyż to nie rozsądne, nie sprawiedliwe? Czy nie możesz mi tego przyobieczać?

U c z e ś ć.

Nie będę miał w tem trudności ani zasługi. Dzięki Bogu, te prawdy nie przyćmiły się nigdy w mojej duszy. Jaśniej w niej tak łagodnem i czystem światłem, że myśl, iż mogłyby zgasnąć, napęlnia mnie przestachem. Byłaby to noc bez gwiazdki jednej. Ale przyznam ci, że z wyjątkiem tych świetlanych punktów wszędzie zresztą panuje ciemność. W którąbądź zwró-

cę się stronę, wszędzie napotykam tysiące trudności. Czy zgadzasz się, abym je zaczął zgłębiać?

M i s t r z.

I owszem, zachęcam cię do tego. Ale powiedz mi naprzód, czy jeśliby ludzie badali religię, Chrystusa, Kościół w usposobieniu, w którym cię teraz widzę; jeśliby umysł był pokorny, serce czyste; dusza w ciszy i skupieniu; jeśliby na tem tle przygotowawczem jaśniały, jako gwiazdy: Bóg, dusza i ich konieczne stosunki,—to chociażby nawet przechodziły tam niekiedy chmury i cienie, czyż nie uwierzyłbyś w blizki wschód słońca i piękność dnia?

U c z e ń.

Owszem, Mistrzu.

M i s t r z.

Czy nie czujesz, że stan, do jakiego starałem się ciebie doprowadzić, jest prawdziwy, potrzebny, i że skoro chodzi o rzecz tak wielkiej wagi, jak religia, dusza nie powinna się cofnąć przed żadną ofiarą, ażeby stan ten osiągnąć, inaczej obrażałaby Boga i uchybiała sobie samej?

U c z e ń.

Oczywiście.

M i s t r z.

Rozpoczynajże poważne badanie religii. A chociaż już jesteś na progu światłości, i czuję, jak rozluźniają się i słabną wszystkie więzy, które cię przytrzy-

muja, pozwól, abym ci dał niektóre rady co do tej ważnej sprawy. Bo nie dosyć jest mieć założenie; trzeba jeszcze nie zboczyć z drogi. Otóż dlatego potrzeba postępować z pewną metodą.

U c z e ń.

Mów, Mistrzu. Słowa twoje pocieszają mnie. Zdaje mi się, że dostrzegam światło. Ale cierpiałem tak długo, że nie śmiem teraz oddawać się nadziei.

M i s t r z.

Przypominasz sobie, co ci rzekłem: Religia nie jest ani filozofią, ani algebrą, niedosyć więc badać ją rozumem; trzeba ją jednocześnie zgłębiać sercem, sumieniem, słowem: całą duszą. To pierwszy warunek, ażeby się to badanie powiodło. Ale tego niedosyć; trzeba uczynić drugi krok. Zaraz wyjaśnię myśl moją. Ponieważ religia jest największą rzeczą na ziemi, trzeba ją badać tem, co jest w duszy największego, chcąc ją zrozumieć.

U c z e ń.

Rozumiem, Mistrzu, dobrze, rzecz pierwszą: poznawać, badać religię całą swoją duszą. Ale co rozumiesz przez badanie religii tem, co mamy w duszy największego?

M i s t r z.

Słuchaj dobrze, bo nie powiedziałem ci jeszcze nic równie ważnego. Czy zauważyłeś, że wszystkie wielkie dusze są wierzące? Same przez się dążą do Boga. Skoro tylko napotykają religię, Chrystusa, chrześcijań-

stwo, pojmują to wszystko instynktowo i znajdują tam odpoczynek.

U c z e ń.

Jak to, niema wcale wielkich dusz pomiędzy temi, które oddalają się od Jezusa, które nie zachowują przepisów chrześcijańskich!

M i s t r z.

Nie to chcę wyrazić; uchowaj Boże, ażebym tylu szlachetnym sercom wyrządzał tak niesłuszną zniewagę! Ale czy wiesz, przez co oddalają się od Jezusa i chrześcijaństwa? czy przez to, co w nich jest szlachetnem i wielkiem? Bynajmniej. Przez to, co mają czystego, wzniosłego, głębokiego? Nie, po tysiąc razy nie! Przez cóż więc? Przez to, co w nich jest małym, ciasnem, powierzchownym, niespokojnem, zmaconem. A oddalając się tak, cierpią. Pokazuje to, że dusza ludzka wielkimi swemi stronami dąży do Boga, do Chrystusa, do religii, do chrześcijaństwa. Oddala się od nich jedynie przez małe.

U c z e ń.

Jakże to, Mistrzu?

M i s t r z.

Oddaję to pod sąd twój własny. Przypomnij sobie, co ci się czasem przytrafiało w chwilach, których niezawsze można uniknąć, kiedy religia ukazywała się twej duszy. Zdarzało się to w smutku, po doznaniem rozczarowaniu: przyjaciel obojętniał, ukochana osoba

zgasła. Albo w jednej z tych chwil, kiedy serce czuje próżnię, smutek, samo nie wiedząc dlaczego. Niebo rozświecało się nad tobą; Bóg się do ciebie przybliżał. Mówiłeś sobie: „Dlaczego zapomniałem o Bogu? Możeby do Niego powrócić?...” Potem potrząsałeś głową ze słowami: „Później... zobaczymy.” Wówczas i w wielu podobnych chwilach czułeś się jak gdyby w mocy dwóch przeciwnych prądów, z których pierwszy pociągał cię do Boga, do chrześcijaństwa, do religii, a drugi oddalał cię od nich. Rozpatrz-że teraz uważnie i bezstronnie oba te prądy. Dostrzeżesz, że nie wypływają z tego samego źródła i nie przebiegają tych samych pokładów duszy. Jeden krąży po powierzchni, w tym gwarnym zakresie, gdzie tłoczą się wszystkie troski i myśli doczesne; drugi płynie spokojnie w tej cichej części duszy, gdzie podnoszą głos jedynie zagadnienia wieczności. Otóż który z tych dwóch prądów, powierzchowny czy głębszy, prowadzi do wiary, a który popycha do niewiary? Zbierz swoje wspomnienia i sam rozstrzygnij.

Dla kogoż są wrażenia namiętne i zmienne? Dla kogo myśli wypiełgowane w milczeniu, w samotności, w modlitwie? Dla kogo jest dowcip lekki, szydarczy, zbywający wszystko drwiącem słówkiem, żarcikiem? Dla kogo głęboka rozwaga, badająca istotę rzeczy, wartość argumentów, doniosłość wyników? Dla kogo zamięlowanie przyjemności, pieniędzy, dobrobytu, niezależności, życia bez trosk i trudów? Dla kogo duch poświęcenia się cnocie, oporu grzechowi, posłuszeństwa obowiązkom? Dla kogo szukanie swojej korzyści, zadowolenia miłości własnej, próżnej chwały? Dla kogo uległość względem Boga, skromność przed ludźmi, zaparcie się sie-

bie, dobra i czysta wola, szukająca cnoty i prawdy? Dla kogo upodobania w złem? Dla kogo czystość?...

U c z e ń.

Nie kończ, Mistrzu. Oszczędź mię. Prąd, odpychający moją duszę od Boga, jest powierzchowny, niespokojny, skalany; prąd, unoszący mię ku Niemu, jest głęboki, spokojny i czysty. Chcę mu się nie opierać, ale pomóż mi jeszcze. Chcę poświęcić poznaniu prawdziwej religii mój umysł, serce, sumienie, całą moją duszę, i chcę użyć do tego samych tylko wielkich stron tej duszy. Ale kieruj mną, bo nie wiem dobrze, jak mam to uczynić. Co naprzykład rozumiesz przez wielkie strony umysłu? Bo przypuszczam, że od umysłu należy rozpocząć.

M i s t r z.

Umysł, jak to ujrzyś, ma stronę małą i wielką, i zależnie od tego, którą z nich zagłębia się w Bogu, w nauce, w religii, dochodzi się lub nie dochodzi do wiary. Oto naprzykład dwóch ludzi, obaj bardzo rozumni; jeden z nich, za ukazaniem mu Chrystusa powiada, że nie dostrzega w Nim żadnych cech prawdy; drugi tymczasem, skoro tylko się do Niego zbliżył, wnet poczuł, jak wątpliwości jego wszystkie w mgłę się rozwiewały; zważ proces umysłowy ich obydwóch. Jeden zastanawia się nad drobiazgowymi trudnościami szczegółów, nad różnicami tekstów, nad sprzecznościami dat, zacieka się w subtelności nieuchwytnie; drugi wznosi się ponad to wszystko, słucha głosu własnej duszy, rozważa przecucia serca i świadectwa niezbite życia. Jeżeli naprzykład chodzi o to, czy Chrystus jest Bo-

giem? — pierwszy krytykuje tekst, wariant, hebrajskie znaczenie słowa: Syn Boży, podnosi jakąś trudność genealogiczną; drugi, wznosząc się ponad te szczegóły drobiazgowce, nie chcąc czynić swojej wiary zależną od omyłki kopisty lub nieporozumienia chronologicznego, staje naprzeciw ludu żydowskiego i jego zadziwiającej historii, naprzeciw Pisma Świętego i jego proroczego posłannictwa, spogląda na niezrównaną fizyognomię Chrystusa, na Kościół i jego cudowną niepożytość, rozważa Boga, któryby nie mógł dopuścić, ażeby świat był przez kłamstwo nawrócony, przemieniony, uświęcony, i woła: „Ten-ci jest zaprawdę Syn Boży!” Jeżeli chodzi o Wcielenie, Odkupienie, pierwszy zatrzymuje się nad drobnostkowymi trudnościami, subtelnościami, które mu nasuwa powszedni i płytki pogląd na rzeczy, wikła się, chcąc koniecznie dojść, *w jaki się to działo sposob*; drugi wznosi się wyżej, aż do świetlanych *przyczyn* tych wielkich tajemnic i mówi sobie: „Cóż w tem dziwnego, że Bóg poniżył się i upokorzył dla swoich dzieci, że umarł, ażeby je zbawić, kiedy każda dobra matka to samoby uczyniła?” Znaczy to, że jeden stara się poznać Chrystusa tylko małą stroną swojego umysłu, stroną powierzchowną i drobnostkową; drugi używa do tego strony wielkiej, głębokiej, zdolnej do odczuwania natchnień. To też kiedy jeden z nich, uwikłany w małoważne kwestye lichej logiki, egzegezy i stanu wiedzy swojej epoki, odchodzi smutny, odnosząc za całą korzyść swego badania większe tylko ciemności; drugi, zapatrujący się na rzecz z wyższego punktu widzenia, uczuje wrychle, że przyczyny powątpiewania mają moc tylko nad powierzchowną stroną człowieka, przyczyny zaś skłaniające do wiary, porusza-

ią i przekonywają człowieka wewnętrznego, i zachwycony wynikami tego badania, czerpie z niego światło życia i pogodę śmierci. Chcesz może drugiego przykładu?

U c z e ń.

Tak, bo przyznaję, że te uwagi przejmują mnie zachwytem.

M i s t r z.

Mówmy zawsze tylko o rozumie. Zapewne zauważyłeś, iż umysł ludzki ma dwie odrębne części: część, pragnącą widzieć, i drugą, która chce wierzyć. Chcemy widzieć, widzieć jasno, całkowicie, widzieć bez żadnej mgły przysłaniającej: to jedna strona duszy. Potem w innych chwilach, to, co jest nie ciemnem, ale ukrytem, tajemniczem, pociąga nas i zachwyca. Oto dlaczego religia, utworzona dla duszy człowieka, ma olśniewające przebliski i głębie tajemnicze. Widzimy i wierzymy. Patrzymy i dajemy się prowadzić Bogu. Całkowite to szczęście w całkowitej prawdzie. Jeżeli więc chcemy jedynie widzieć, jeżeli uznajemy to tylko, czego możemy dotknąć ręką, jeżeli poza tem, co widzimy, nie jesteśmy zdolni nic odczuć ani przeczuc, jeżeli nie przypuszczamy nawet istnienia tych ukrytych głębi, w których jeszcze więcej się zgaduje, aniżeli się widzi,—nie dojdziemy do niczego. Ale czyż tylko w religii nie dojdziemy do niczego? I w filozofii także, w estetyce, w przyjaźni, w prawdzie, w dobrem, w pięknie, w wiedzy ludzkiej tak samo, jak i w wiedzy Bożej. I za to, żeśmy zanadto chcieli widzieć, albo raczej chcieli jedynie widzieć, utracimy nie tylko wielkie światło, ale i całe szczęście wiary. Czytałem gdzieś

opowiadanie o ślepym, którego nieodstępnie otaczała opieką kochająca siostra. Był prawie szczęśliwy ze swojej ślepoty. Mówił, że na tym świecie, gdzie niema zupełnego szczęścia, jednym z największych jest być ślepym i kochanym. Mieć zawsze przy sobie żonę, córkę, siostrę, istotę drogą, która ciebie nie odstępuje, ponieważ nie możesz się bez niej obejść; módz ciągle mierzyć jej przywiązanie do siebie ilością obecności, jaką nas darzy, i mówić sobie: „Ponieważ poświęca mi cały swój czas, zatem posiadam serce jej w całości; mieć wierność jednej duszy w nagrodę za świat cały; czuć się tem więcej kochanym, im więcej się jest niedołącznym; w ciemności i przez ciemność stać się gwiazdą, około której krąży ten anioł — mało jest radości, powiadał, tej równych. Chrześcijanizm posiada właśnie takie najwyższe szczęście. Niebo jego ma ogrom światłości; widzi on tyleż i tak daleko, jak każdy inny. Ale skoro ustaje światło, noc nie nadchodzi,— owszem, zaczyna się inne szczęście. Chrześcijanin zamyka oczy i oddaje się, powierza się Bogu. Dusza szuka Go w ciemności i znajduje Go tak samo, jak kiedy miała oczy otwarte. Nie widzi Go, ale Go czuje. Podtrzymuje ją ręka niewidzialna. Jego to ręka. Serce uderza przy jej sercu,—to serce Boże. Po cóż widzieć Go, skoro się Go dotyka? Czyż to nie największe szczęście? Nie oddalibyśmy tych cieniów za wszystką światłość możebną.

Widzę, wiem, czuję!

Niema ślepoty tam, gdzie jest pewność. Pewność jest tam, gdzie jest miłość. To raj w cieniu.

U c z e ń.

A więc, Mistrzu, lepiej jest nie widzieć. Zamykam oczy, wierzę.

M i s t r z.

Nie, trzeba widzieć i wierzyć. Trzeba badać i ufać. Trzeba chwilami otwierać oczy, ażeby dobrze widzieć, a w innych chwilach trzeba je zamykać, ażeby widzieć lepiej. Jednem słowem: ponieważ religia, utworzona dla duszy człowieka, jest zarazem całą światłością i całą tajemnicą, trzeba ją objąć całym umysłem, całą jego wielką i wzniosłą stroną.

U c z e ń.

Nie zapomnę nigdy tego, coś mi powiedział, i widzę jasno, dlaczego tylu ludzi nie dochodzi do poznania religii. Używają do tego małej strony swego umysłu, nigdy wielkiej: strony mędrkującej, powierzchownej i drobiazgowej, nigdy strony głębokiej i odczuwającej natchnienia z góry. Ale przypomniałeś mi, że trzeba szukać prawdy całą duszą, zatem sercem tyleż, co i umysłem. Otóż pragnąłbym widzieć, czy i serce ma także stronę wielką i małą? i w jaki sposób mamy szukać prawdy wielką jego stroną?

M i s t r z.

Serce jest jako i umysł; ma dwa bieguny: jeden ciasny, szukający siebie, samolubny, miłujący pozornie, nie znający naprawdę miłości. Cóż chcesz, aby człowiek o takim sercu rozumiał z Boga, z Chrystusa,

z Wcielenia, z Odkupienia? Zamknięty w ciasnem kole uczuć ziemskich, nie pojmując miłości inaczej, tylko jako radość albo rozrywkę; prędko rozczarowany, bo miłość tak pojęta rychło rodzi obrzydzenie; uśmiecha się, skoro słyszy o miłości Boga; nie wierzy w nią, i jakże miałby w nią wierzyć, kiedy już nie wierzy w żadną miłość ziemską, bo może ich wszystkich nadużył! Często nawet oburza się, szczególnie jeśli jeszcze nie upadł tak nisko, jeśli uszanował w swej duszy to wielkie uczucie; serce to czułe, ale czułością czysto ludzką, woła wówczas, że chcecie znieść rodzinę, zgładzić rodzinne przywiązanie i szczęście domowe, — i ta miłość Boża, stanowiąca urok i szczęście dla serc wielkich, wydaje mu się przeciwnikiem i wrogiem. Dla czego? Ponieważ zapatruje się na miłość z ciasnego punktu widzenia, ponieważ zatrzymuje się na powierzchni serca. O, gdybyż zstąpił głębiej, w te utajone zakątki, gdzie jest siedlisko jej prawdziwe; gdyby zrozumiał niezmierną wielkość i szczytną piękność serca człowieka; gdyby pojął, że napróżno szuka ono zadowolenia na ziemi; że uderza się i rani bezustanku o niedoskonałe uczucia, jak więzień o ściany swego więzienia; gdyby gardząc miłością, która jest tylko rozkoszą, rozumiał miłość będącą męczeństwem, męczeństwem swej własnej wzniosłości, nie mocną oddać się w takim stopniu, w jakim tego pragnie i cierpiącą nad tą niemożnością, — wówczas wzniosłby się do pojęcia miłości nie skończonej, źródła wszelkich miłości i zarazem ich dopełnienia, ich opieki, puklerza, ich pierwiastku wiekuistego życia, i znalazłby w swoim sercu dla zrozumienia Boga, który jest całą miłością, „przyczyny, których nie zna rozum.” Bóg dałby się uczuć jego sercu.

Zobaczyłby, jakby przez natchnienie, a raczej przez doświadczenie, piękność wiary, słodycz nadziei, świętość miłości, i ze stosunków, które mu Bóg dał z ukochanymi na ziemi, wzniosłby się bez trudu do pojęcia swoich stosunków z Bogiem, to jest całej religii. Czemże jest światło umysłu wobec tego światła? Co znaczy widzieć Boga wobec odczucia Go sercem? Można wątpić, skoro się widziało; ale kiedy się czuło, to niemożliwe. Bóg, drogi przyjacielu, uczynił z serca człowieka Ewangelię. Wyrwał na niem wszystkie tajemnice. Uczynił z nas samych, przez naszą własną naturę obraz Trójcy, Wcielenia; a w całej głębi ojcostwa ukrył w nas stworzenie, opatrność, odkupienie, ofiarę, krzyż. Wykonywamy sami te wszystkie tajemnice względem naszych dzieci, ażebyśmy sami je w sobie nosząc, uwierzyli im tem łatwiej w Bogu. Ale na to trzeba, ażeby miłość pozorną, która szuka siebie i żyje zadowoleniem i szczęściem osobistem, zastąpić przez miłość prawdziwą, która czyni z siebie ofiarę — miłość małą przez wielką.

U c z e ń.

A więc nie trzeba przestać kochać, ażeby dojść do poznania Boga?

M i s t r z.

Przeciwnie. Im więcej będziesz kochał, byle tylko w czystości, w zaparciu się siebie, w poświęceniu, tem więcej serce twoje czuć będzie Boga. Bo Bóg jest miłością. Ma przeciw sobie tych jedynie, którzy nie kochają, albo kochają źle.

U c z e ń.

To jest samolubów.

M i s t r z.

Właśnie. Wszystkie wielkie serca są z Nim, tak samo jak wszystkie wielkie umysły. A także wszystkie wielkie sumienia. Bo nie potrzebuję ci mówić, że jest także sumienie małe i wielkie, albo jeżeli wolisz sumienie ma stronę wielką i małą, i wszyscy ci, którzy zbliżają się do Boga wielką stroną swego sumienia, znajdują bez zawodu światło i pokój.

U c z e ń.

Mistrzu, zaczynam rozumieć, co chcesz powiedzieć. Ale ukończ, coś rozpoczął, i wskaż mi oznaki, po których można rozpoznać sumienie małe i odróżnić je od wielkiego.

M i s t r z.

Pamiętasz opowiadanie o tym młodzieńcu, którego Pan Jezus spotkał? Spojrzał nań Pan z miłością, a kiedy młodzieniec pytał Go: „*Nauczycielu dobry, co dobrego mam czynić, abym miał żywot wieczny?—który mu rzekł: Co mnie pytasz o dobrym? Jeden ci jest dobry Bóg. A jeśli chcesz wniknąć do żywota, chowaj przykazania. Rzekł Mu: Które? A Jezus rzekł: Nie będziesz mężobójstwa czynił, Nie będziesz cudzołożył, Nie będziesz czynił kradzieży, Nie będziesz fałszywego świadectwa mówił, czcij ojca twego i matkę swoją, a będziesz miłował bliźniego twego, jako samego siebie. (Mat., XIX, 16 — 19; Marek, X, 17 — 20).*” Gdyby ów młodzieniec miał to,

co nazywam sumieniem wielkiem, gdyby miał sumienie poważne i głębokie, które przenika poza literę, aż do ducha rzeczy, uczułby, że nader niedokładnie wypełniał owe przykazania; że prześlizgiwał się tylko po ich powierzchni, ale zdeptał ducha ich, głębokie znaczenie, samą kwintesencję, i upadłby do nóg Chrystusowych, błagając Go o łaskę żalu za grzechy. Zamiast tego, zaślepiony, przez to, co nazywam małym sumieniem, sumieniem łatwym i łatwo dającym się zadowolić, nie sięgającym głęboko, trzymającym się litery prawa, mówi: „*Wszystkiemu tego strzegł od młodości mojej: czegoż mi jeszcze nie dostawa?* (Mat., XIX, 20).” I odchodzi zadowolony z siebie, ale zostawiając Pana smutnego. Obraz to wielu ludzi, których ich cnoty, że ośmielię się tak wyrazić, oddalają od Chrystusa; ludzi uczciwych w obyczajach, w stosunkach z bliźnimi, względnych dla nich, miłujących rodzinę, ale którzy nigdy nie zrozumieli ani praw, jakie Bóg ma do nich, ani ogromu swoich grzechów, ani jak dalece potrzebują Zbawiciela. Jakże tacy ludzie mogliby przyjść do Chrystusa? Zanadto są na to z siebie zadowoleni. Nie pragną świętości, jaką On przynosi. Nie potrzebują jego łaski. Dopatrują się w Chrystusie piękności duchowej, ale niezdolni są zrozumieć w Nim Boskiego Pokutnika. Sumienie to im w tem przeszkadza, sumienie zadowolone, powierzchowne, które oznaczam przez sumienie małe. Dajcie mi człowieka, czującego ciężar grzechu, brzydzącego się złem, wzdychającego do lepszego życia i gotowego do ofiar, ażeby tylko znaleźć pokój, łaskę, przebaczenie, cnotę, — a ręczę za tego człowieka. Potrzeba go tylko zbliżyć do Chrystusa, a odda Mu się niezwłocznie i bezpowrotnie. Widzisz, młodzieńcze, lu-

dzie gubią się dziś przez to, że umieją tylko te słowa: „*Boże, dziękuję Tobie, że nie jest jako inni ludzie, dra pieżni, niesprawiedliwi, cudzołożnicy. Poszczę dwakroć w tydzień i dawam dziesięcinę ze wszystkiego co mam. (Łukasz, XVIII, 11 — 12).*” Tylko to umieją powie dzieć: Jestem uczciwym człowiekiem. Nie umieją rzec: „*Boże, bądź miłościw mnie grzesznemu!*“

U c z e ń.

To jest idą do Boga z sumieniem małym, powierzchownym, zadowalajacem się łatwo i które z tej przy czyny staje się często sumieniem fałszywem. Nie umieją wzniesć się do Boga świętości tem delikatnem i głębo kiem sumieniem, które zawsze drży, czy jest dosyć czy ste, aby Go znaleźć. O Boże, który znasz mój smu tek, moje gorące pragnienie prawdy, moje usiłowania bolesne i próżne, daj mi wielkie sumienie, wielkie ser ce i wielki umysł! albo raczej, ponieważ wszystko to jest we mnie, daj, abym zwrócił ku Tobie wszystkie wielkie strony mojej duszy! Niestety, jakże się dzisiaj wstydzę, że sobie czasem wyobrażał, iż jestem za wielkim, abym mógł wierzyć! Za małym owszem by łem. Tak jest, małym było wszystko, co mię oddala ło od Boga, od Chrystusa, od religii, a próżne wyobra żenie o mojej wielkości było najmniejszym ze wszyst kiego. Przyjm, Boże, to wyznanie jako pierwszy do wód mojego do Ciebie powrotu; przyjm i drugie, któ re mię jeszcze więcej upokarza. Wszakże wyobraziłem był sobie, że chcąc Tobie się oddać, Tobie, który jes teś samą wielkością i źródłem wielkości wszelkiej, mu siałbym obciąć skrzydła albo swobodzie mojej, myśli, albo tkliwości uczuć, albo sile charakteru, albo najszla-

chętniejszym pragnieniom duszy mojej! Dzięki Ci, Pannie; czuję łuski, opadające mi z oczu. Tylko to, co mam małego, jest przeciw Tobie; wszystko, co we mnie jest wielkiem, trzyma stronę Twoją. Oddaję Ci tę wielką stronę mojej duszy. Albowiem przez nią, o Boże, wracam do światła. W niem chcę odpoczywać, żyć i umierać.

M i s t r z.

Niech Bóg błogosławi ten poryw twej duszy i niech cię nieustannie wspiera w drodze, jaka ci jeszcze pozostaje. Ujrzałeś, że człowiek potrzebuje religii. Potrzebuje jej człowiek, potrzebuje Bóg. Nie można pojąć ani jednego ani drugiego bez łączącego ich węzła. Postawmy teraz pytanie: jaką jest ta religia? W tym celu skróćmy sobie drogę i przystąpmy bez zwłoki do najważniejszego zagadnienia: stańmy w obec Jezusa Chrystusa. Czy Chrystus jest Bogiem? Bo jeżeli nim jest, nie pozostaje nam nic innego, tylko ukorzyć się i uwielbiać Go.

U c z e ń.

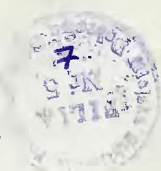
Tak, Mistrzu, głównem zagadnieniem jest: Czy Chrystus jest Bogiem? Przyznaję, że budzi ono we mnie wątpliwości. Dopomożesz mi je rozwiązać. Nigdy nie było nad nie ważniejszego.

M i s t r z.

Tak, zaiste, nigdy nie było ważniejszego, ani potrzebniejszego, ani straszniejszego, ani bardziej wzruszającego, ani bardziej obfitującego w najróżnorodniej-

sze widoki i harmonie, ani stosowniejszego do badania dla dusz wielkich. Ale, Bogu dzięki, nigdy też nie było łatwiejszego. Gotujże umysł i serce. Widzieliśmy pierwsze promienie jutrzeńki; ujrzymy teraz wschód słońca.

K O N I E C.



SPIS RZECZY.

Przedmowa autora	Str. v
PROLOG.	
Plan szczególny pierwszego tomu, zatytułowanego: Wiara i Niewiara	vii
(Wstęp ogólny do całego dzieła). Pobudki, metoda i plan tego nowego wykładu nauki chrześcijańskiej	ix
ROZDZIAŁ I.	
O prawdziwej naturze człowieka	15
ROZDZIAŁ II.	
O prawdziwej naturze Boga	38
ROZDZIAŁ III.	
O prawdziwej istocie religii	77
ROZDZIAŁ IV.	
Bolesny dramat niewiary. Człowiek bez religii i Boga .	102
ROZDZIAŁ V.	
Bolesny dramat niewiary (ciąg dalszy). Rodzina bez Boga	133
ROZDZIAŁ VI.	
Bolesny dramat niewiary (ciąg dalszy). Społeczeństwo bez Boga	181

ROZDZIAŁ VII.

Bolesny dramat niewiary (dokończenie), Lud bez Boga . 211

ROZDZIAŁ VIII.

Zarzuty i błędne rozumowania niewiary. — Czy prawdą jest, że odkrycia nauki wykazały niemożliwość stosunku pomiędzy Bogiem a ludźmi? 247

ROZDZIAŁ IX.

Zarzuty i błędne rozumowania niewiary (ciąg dalszy). — Czy prawdą jest, że wielkie narody tegoczesne porzucają religię, a porzuciwszy ją, stają się większymi i szczęśliwszymi? 289

ROZDZIAŁ X.

O prawdzie i piękności religii 349

ROZDZIAŁ XI.

O cudownych skutkach religii, a w szczególności o boskim działaniu cierpienia 378

ROZDZIAŁ XII.

O cudownych skutkach cierpienia (ciąg dalszy). — Jak religia, tłumacząc nam cierpienie, dopomaga zarazem je znosić 417

ROZDZIAŁ XIII.

O cudownych skutkach cierpienia (dokończenie). — Nieśmiertelność i połączenie wiekuiste. — Miłość poza grobem 448

EPILOG.

Drogi światłości. — Jak można odzyskać utraconą wiarę. 473



Miejska Biblioteka Publiczna
w Dąbrowie Górniczej



105 0 000007 1